

ANTONI BIAŁKOWSKI

PAMIĘTNIKI
STAREGO ŻOŁNIERZA

(1806 – 1814)

WYDAŁ

WACŁAW TOKARZ

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW – G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1903

PRZEDMOWA.

Antoni Białkowski urodził się w dniu 13 czerwca 1788 roku z rodziców-ziemian średnio zamożnych, posiadających jakiś majątek czy dzierżawę w okolicach Poznania. Był, zdaje się, najmłodszym z trzech czy czterech synów. O wykształceniu, jakie odebrał, nie wiemy nic, musiało ono być bardzo niewielkiem. Ojciec, dawny konfederat barski, wpoił w dzieci zamięłowanie do wojskowości, po za tem zaś, zwyczajem owoczesnym, mało dbał o nie. Dwaj starsi synowie służyli w wojsku pruskiem, w regimencie Zastrowa, trzeciego ślad zaginął w legionach i do r. 1806 rodzina nic o nim nie wiedziała. Antoni chował się w domu, marząc o tem, jak on z kolei wstąpi do wojska, a tymczasem zaczytując się w gazetach wiadomościami o zwycięstwach francuskich, które dostarczały mu tematu do obrazów.

Gdy wybuchła wojna r. 1806, liczył Białkowski lat 18 skończonych. W Wielkopolsce nie odrazu zapanował ten nastrój, który tu zastali Francuzi w listopadzie r. 1806. Zdawało się, że potęga pruska nie da się tak szybko podważyć — formowała więc lojalna szlachta dla «swego króla» pułk «Towarzyszy», a nawet wielu z młodzi szlacheckiej zaciągnęło się na ochotnika do szeregów pruskich.

— VI —

O mało nie zrobił tego już po Jena i nasz Białkowski, 18-letni chłopiec chciał być żołnierzem, a rodzice nie widzieli powodu, dla któregoby mu mieli teraz zabronić służby w wojsku pruskiem. Na szczęście Prusacy zbyt prędko opuszczali Poznań, aby czekać na ochotników, i Białkowski, zamiast w szeregach korpusu Lestocque'a, znalazł się w dywizji Dąbrowskiego. Nie z nim pierwszym, można powiedzieć, ani z ostatnim los takiego urządził figla, ale on jeden z niewielu mówi o tem z rozbrajającą zupełnie szczerością.

W dniu 15 listopada 1806, a więc w 9 dni po przyjeździe Dąbrowskiego do Poznania, zaciągnął się Białkowski, jako szeregowiec, do pułku 4 go (później przy zmianie numeracji 12-go) piechoty liniowej. Nie miał nasz autor majątku, nie mógł więc awansować tak szybko, jak jego rówieśnicy, przyjęci do utworzonej wówczas w Poznaniu na przyjazd Napoleona gwardii honorowej, nie miał również na tyle inteligencji wrodzonej i energii, aby iść w górę na przebój, jak współcześnie zaciągający się, również jako szeregowiec, Prądyński, miał tylko — odwagę i służbistość, zalety dość powszechne w armii Księstwa Warszawskiego, aby same przez się mogły mu zapewnić awans. Nie znał nasz autor przy tem języka francuskiego, co było wielkim brakiem i poważną przeszkodą do awansu.

W tych warunkach Białkowski osiągnął to, co w ogóle mógł osiągnąć: w 6 dni po swoim wstąpieniu do wojska *) został kapralem, w dniu 2go grudnia 1806 r. sierżantem starszym, w dniu 4go stycznia 1807 podporucznikiem, 13 września 1808 — porucznikiem, 31 grudnia 1810 kapitanem — i w tym stopniu powrócił do kraju

*) Cytowane podług stanu służby A. Białkowskiego w K. W. Wójcickiego: »Cmentarz powązkowski« Tom I. str. 259—260. Warszawa 1855.

— VII —

w r. 1814. Kampanie przebył dość szczęśliwie: w r. 1809 pod Jankowicami otrzymał silne cięcie w głowę, pod Smoleńskiem — dostał postrzał w lewą nogę, pod Krasnem — kontuzję od kuli działowej, natomiast wyszedł cało z pobojuwiska lipskiego. Za kampanię r. 1809 otrzymał srebrny krzyż wojskowy polski, natomiast przedmiotu gorących swych marzeń, krzyża Legii honorowej, do którego był parokrotnie przedstawiany, nie uzyskał, a w roku 1813, mimo jego starania, nie zaliczono go do batalionu gwardii pieszej polskiej. Białkowski był zbyt ambitnym, aby nie odczuć głęboko swego miernego powodzenia — i stąd jego gorycz, gdy mówi o sztabowcach, o oficerach mówiących po francusku, o oficerach wyższego stopnia wogóle, stąd mówienie ciągle o «intrydze», która decydować miała o wszystkim w wojsku polskiem. Po powrocie do kraju w r. 1814 został Białkowski przy nowej formacji wojska kapitanem w 3-cim pułku piechoty liniowej. Awansował powoli, choć, zdaje się, dość łatwo przystosował się do nowego systemu. W r. 1819 jest majorem i dopiero w r. 1829 awansuje na podpułkownika. W r. 1830 otrzymał nasz autor znak honorowy za 23-letnią służbę oficerską, o roli zaś jego w kampanii w r. 1831, w której wziął udział, nie wiemy nic bliższego. To pewna, że Białkowski nie emigrował, ale skorzystał odrazu z amnestyi. W r. 1832 znajdujemy go na wsi w Podlaskiem u rodziców żony (Franciszki z Wójcickich, siostry K. Wł. Wójcickiego), zajmującego się głównie ogrodnictwem. Po śmierci żony Białkowski przeniósł się do Droblina w pobliżu Leśnej, gdzie nabył część wsi. Zmarł, rażony apopleksją, w d. 30-go stycznia 1852; pochowano go na cmentarzu obok klasztoru, naówczas OO. Paulinów, w Leśnej.

— VIII —

Udział Polaków w epopei Napoleońskiej wpłynął silnie na całe owoczesne pokolenie. Miało ono przed oczyma wypadki wojenne, jakim równe wskazać trudno, że wspomnimy tutaj tylko o pełnej zwycięstw, a przecież kończącej się pogromem wyprawie zachodniej Europy na Rosyję w r. 1812 i o walce narodów w r. 1813.

Inteligentniejsi uczestnicy tych wypadków mieli poczucie ich ważności, stąd tak duża stosunkowo ilość istniejących notat pularesowych (zwłaszcza z r. 1813), częściej jednak spisywano wrażenia przeżyte w lat kilka lub kilkanaście po wypadkach, a najczęściej lubiano o nich opowiadać.

Do takich opowiadaczy znanych i cenionych należał, zdaniem K. Wł. Wójcickiego, Białkowski; pamięć miała mu zawsze dopisywać, a opowiadanie swoje lubił okraszać żołnierskim humorem. Gdy stary wojak osiadł już w Droblinie, K. Wł. Wójcicki, zachwycony opowiadaniem, zachęcił go do ich spisania. Sprawa do urzeczywistnienia była trudna: Białkowski wogóle w życiu nie wiele miał do czynienia z literaturą i czytaniem, tem bardziej nie umiał się wypisać. Pisanie pamiętników wlokło się dość długo, podobno dopiero koło r. 1850, a więc w lat 40 po opisywanych wypadkach, pamiętnik został jako tako zredagowanym, a wykończył go Białkowski w dwóch ostatnich latach swego życia.

K. Wł. Wójcicki, który zamierzał wydać niniejszy pamiętnik, zestawia go z pamiętnikiem Paska, unosi się nad jego żywością opowiadania i wartością źródłową. Jest to przesada widoczna, która tylko może szkodzić należytemu ocenieniu «Wspomnień starego żołnierza».

Białkowski napisał pamiętnik w późnej starości na podstawie wcześniejszych opowiadań. Ten fakt, łącznie z indywidualnością samego autora, decyduje o wszystkich

— IX —

wadach i zaletach pamiętnika. Białkowski nie liczy się w swoim opowiadaniu całkowicie z chronologią, co odbija się fatalnie już na opisie wypadków kampanii r. 1813, a w r. 1814 wypadków już poprostu rozróżnić nie można. (Pamięć miejscami nie dopisała tu autorowi zupełnie, że przytoczymy tutaj jego twierdzenie, iż Napoleon przy układach w Fontaineblau w r. 1814 zapomniał zupełnie o Polakach). Redagowanie pamiętnika z wcześniejszych opowiadań odbiło się na nim zgubnie jeszcze pod jednym względem: jest w nim stosunkowo za dużo anegdot i ciekawostek, za których prawdziwość niktby nie dał wiary, a które obliczonemu

były ongi na zajęcie audytoryum. Z tej racji również nie mają wartości opisy bitew, na czym zresztą nie wiele tracimy, gdyż tych opisów nie szuka się w pamiętnikach niższych oficerów piechoty. Są jednak wyjątki i pod tym ostatnim względem w pamiętniku Białkowskiego, że zaznaczymy opis bitwy pod Jedlińskiem, oraz dramatyczny i niewątpliwie prawdziwy opis walki bez pardonu, jaką 12-ty pułk staczał na przedmieściach w 4-tym dniu bitwy Lipskiej.

Cały pamiętnik jest pisany z punktu widzenia niższego, mało inteligentnego, oficera piechoty, w tem tkwi źródło jego wad, ale i jego wartość, dla której zasługiwał on na wydanie.

Autor przedewszystkiem podaje cały szereg faktów drobnych, pomijanych zwykle w pamiętnikach o szerszym zakresie, a które mają swoje poważne znaczenie. Żałować wypada, iż zamiast anegdot, autor nie podał więcej takich szczegółów z życia wojskowego, jak n. p. obraz: 18-letni feldfebel wypłaca żołd wiarusom z legionów, a ci go oszukują w sposób tak prosty. Tutaj należą n. p. szczegóły o rabunku Tczewa, sceny z żołnierzami z powodu nie

— X —

wypłacania żołdu w latach 1807 — 1808, opowiadanie o zachowaniu się publiczności warszawskiej podczas ćwiczeń wojsk przed kampanią w r. 1812 etc. Z tych szczegółów niektóre mają znaczenie jeszcze większe, n. p. opowiadanie o stosunku ks. Józefa do sprawy używania kary cielesnej przy nauce rekrutów, albo opis inspekcji gen. Fiszera w przededniu kampanii r. 1812, jego wymagań i rad, dawanych przezeń oficerom o tem, jakim powinien być ich stosunek do żołnierza.

Najciekawszym jednak jest ten punkt widzenia wąsko żołnierski, jaki autor stosuje do opisywanych przez siebie wypadków. Nieporównanymi n. p. bo zupełnie szczerymi są ustępy, w których autor mówi o swem pragnieniu wstąpienia do wojska pruskiego po Jena, gdy n. p. potępia dezercje Polaków z armii rosyjskiej w r. 1812, którą przecież za obowiązek narodowy uznawały odezwy konfederacji etc. Autor jest w pierwszym rzędzie żołnierzem, a względ na interes kraju stanowczo jest w nim bardzo drugorzędnym motywem. W r. 1814 dochodzi Białkowski do stanowczego entuzjazmu dla cesarza Aleksandra I., który, podług niego, obiecał wojskom polskim, że na granicy polskiej powita je »król polski«. Ten nowy entuzjazm odbił się trochę na całej redakcyi pamiętnika, zmniejszając poważnie dawny entuzjazm dla Napoleona.

Białkowski jest prawdziwym żołnierzem, który wierzy ślepo w szczęście i zdolności swego dowódcy, to też w wypadkach II. 1813—1814 wciąż mówi o zdradzie i intrydze, jest dalej żołnierzem piechoty, jazdy nie znosi, raz dla zwykłego antagonizmu obu broni, powtórze dlatego, że jazdę polską zbyt różniano w r. 1813 (jeden wyjątek czyni B. dla Krakusów), stąd jego pełne gorczy wzmianki o jeździe w r. 1809, a następnie oświecenie

— XI —

sprawy deorganizacyi wojska polskiego po bitwie Lipskiej, jako spowodowanej wyłącznie stanowiskiem jazdy.

Białkowski służy zrazu w dywizyi Dąbrowskiego i kocha swego wodza przedewszystkiem. Gdy więc potem, rzeczywiście wbrew uzasadnionym nadziejom całego wojska, ks. Józef zostaje ministrem wojny, niechęć autora dla niego nie ma granic. Może w przesadnej formie oddaje tu Białkowski to, co istotnie myśleli podwładni Dąbrowskiego, rozdrażnieni zmianą numerów pułków etc. Dopiero podczas bitwy Lipskiej bohaterstwo ks. Józefa korzystniejsiej uspasabia dla niego autora.

Do pamiętnika wreszcie przedostały się tu i ówdzie opowiadania, mające większą wartość źródłową, n. p. opowiadanie o pojedynkach krakowskich w r. 1809, ciekawy opis zachowania się Austriaków w r. 1813 (str. 285) etc.

Autor dużo mówi o sobie i tutaj go skontrolować nie podobna, niektóre jednak opowiadania, n. p. o oblężeniu Torunia, noszą piętno przesady. Jednem słowem, mamy tutaj do czynienia raczej z ciekawym przyczynkiem historyczno-obyczajowym, niż ze źródłem historycznym. W ten też sposób trzeba je było traktować przy wydawaniu.

Autor, jak wyżej, nie bardzo umiał się wypisać: używa on niewielkiego zapasu słów i zwrotów i zwłaszcza powtarza się ciągle. Ponieważ żaden względ nie nakazywał specjalnego pietyzmu w stosunku do tekstu, więc opuściliśmy cały szereg ustępów, zaznaczając to w przypiskach *), a następnie w mniej ważnych miejscach — skracaliśmy

*) Do niezaznaczonych należy opuszczony wstęp, poświęcony przeważnie opisowi bitw pod Austerlitz i Jena, zupełnie bezwartościowy.

— XII —

opowiadanie, ściągając nieraz parę zdań w jedno, a równocześnie zmieniając zbyt powtarzające się wyrażenia.

W przypiskach staraliśmy się ustalić chronologię opowiadanych faktów, oraz prostować je. W części przypisków korzystaliśmy z notat dawniej dołączonych przez nieznanego autora do odpisu manuskryptu Białkowskiego *).

*) Podajemy poniżej te przypiski, w których korzystaliśmy z not dawniejszych: Str. 24 noty 1, 2, 3; str. 26 n. 2; str. 30 n. 1; str. 31 n. 1; str. 32 n. 1; str. 34 n. 1; str. 35 n. 1; str. 36 n. 1; str. 38 n. 1; str. 50 n. 1; str. 51 n. 1; str. 52 n. 1; str. 59 n. 1; str. 60 n. 1, 2; str. 68 n. 2; str. 69 n. 1, 2, a następnie noty Nr. 1 na str. 116, 117, 126, 127, 151, 159, 171 i 201.

W. T.

Po bitwie pod Jena armia francuska wkrótce zajęła Berlin, a jej awangardy zbliżyły się do Poznania ¹⁾. A nim to nastąpiło, do Poznania przybył regiment piechoty pruskiej z Królewca, maszerując jakby na odsiecz swej armii. Niepomyślnie wiadomości z pod Jena zatrzymały go w mieście do dalszego rozkazu. W Poznaniu nie zdawano sobie sprawy z ważności bitwy pod Jena: wiadomości podawane przez gazety upewniały nas, że Francuzi pobici, że armia pruska cofnęła się w celu zajęcia lepszej pozycji, by następnie oskrzydlić Francuzów.

Wiadomości o tych powodzeniach Prusaków zachęcały mnie do wejścia w służbę pruską, zwłaszcza, że w przybywającym do Poznania pułku było paru oficerów Polaków, a brakowało podchorążych. Do służenia w wojsku pruskim zachęcały mnie także opowiadania braci moich, którzy po kilka lat w regimencie Zastrowa służyli. Robiłem sobie nadzieję, że zasłużę na względy moich przełożonych i w czasie wojny prędszej dosłużę się wyższego stopnia.

Postanowiwszy sobie niezmiennie wstąpić do tego regimentu w służbę, nalegałem na ojca mego o przyspieszenie tego. Ojciec mój udał się ze mną do dowódcy regimentu, a sądząc, że będziemy mieli do czynienia z jakimś

¹⁾ Bitwa pod Jena miała miejsce w dniu 14. Października 1806 r., korpus Davouta zajął Berlin w dniu 25. t. m., a podjazdy tegoż korpusu w dniu 1. listopada stanęły w Międzyrzeczu.

— 2 —

Niemcem, przybrał sobie współobywatela jako tłumacza. Jakiś się zadziwili, kiedy przychodzimy do kwatery dowódcy regimentu, otoczonego licznym sztabem, a ten wita nas po polsku. Kiedy dowiedział się o zamiarze moim, zaczął mi robić refleksye. Inni oficerowie zapytywali się mnie, czy wiem, że armia jest na stopie wojennej.

Zdziwiło to pułkownika, że, wiedząc o tem, trwam w swoim przedsięwzięciu niezachwianie; w końcu zapytuje się mnie, czyli mówię po francusku.

Na odpowiedź moją, że nie posiadam tego języka, rzekł z użaleniem: „Szkoda, bo może ten język bardzo będzie potrzebny”. Później, obróciwszy się do sztabu, zaczął rozmawiać o interesie służbowym w języku niemieckim, a nas pozostawił jakby w niepewności. Gdy nalegał na ojca, aby zapytał się, czyli ostatecznie będę przyjętym, otrzymałem odpowiedź pułkownika, że mogę

wrócić do domu i oczekiwać zawiadomienia, a jeżeli tylko chodzi o to, abym prędko był żołnierzem, to (są to jego słowa) „zaręczam wam na słowo oficerskie, że na 1. Listopada już on niezawodnie będzie żołnierzem”. Ja tłumaczyłem sobie wszystko na swoją korzyść i sądziłem, że będę żołnierzem pruskim, ale inaczej przeznaczenie chciało, bo, kiedy ja gotowałem się do wymaszerowania z tym pułkiem, dowiedziałem się jednego poranka, że tej nocy nagle regimentów jak najciszej z miasta wymaszerował. Ileż złorzeczeń posyłałem za owym dowódcą, że mnie tylko oszukał, nie zawiadomiwszy zostawił, kiedy tego samego wieczora tumult ludzi oznajmił nam, że przybyli Francuzi ¹⁾. Pobiegłem niezwłocznie zobaczyć to nieoczekiwane zjawisko, aż tu widzę wojsko, które na pierwsze spojrzenie nie bardzo mi się podobało: nasamprzód nie

¹⁾ Dowódca pierwszego pułku strzelców konnych, pułkownik Exelmans wkroczył do Poznania w dniu 4. listopada o godz. 6-tej wieczorem. „Les rues, donosi o tem raport Davouta, étaient tellement pleines de monde, qu’a peine les Français pouvaient les traverser”.

— 3 —

kapelusze stosowane jak u Prusaków, ale jakieś niby czapki żydowskie (byli to konni strzelcy), a, co mnie najwięcej zadziwiło, żołnierze byli w płaszczach, czego nigdy u Prusaków nie widział.

Wkrótce po przejściu wspomnianego oddziału, który, nie zabawiwszy najwięcej parę godzin, udał się ku Warszawie, przybył generał Dąbrowski ¹⁾, którego oczekiwano z niecierpliwością. Kiedy sztafeta z Bytomia, z traktu berlińskiego, zawiadomiła, że generał jedzie, natychmiast, pomimo słoty dnia tego, wyległa większa część miasta na przedmieście św. Marcina. Gdy karetą z generałem stanęła, pomimo ciemnej nocy i słoty, powitał go lud zgromadzony radosnymi okrzykami, a później, wypręglszy konie, sam zawiózł go do mieszkania, pomieszczonego w domu Mielżyńskich.

Później wyniesiono go z karety na rękę, a za chwilę całe miasto iluminowano.

Wkońcu wkroczył do miasta korpus marszałka Davouta ²⁾. Kiedyśmy się przypatrywali temu wojsku, nie mogliśmy wyjść z podziwienia, jakim sposobem mogło

¹⁾ Wezwanie do stawienia się przed cesarzem otrzymał Dąbrowski w dniu 5. października 1806 r. w kwaterze głównej w Chieti (zostawał on wtedy w służbie neapolitańskiej). W dniu 22. Października był już Dąbrowski w głównej kwaterze Wielkiej Armii w Dessau wziął następnie udział w tryumfalnym wejściu Napoleona do Berlina; dnia 4. listopada wyjechał z Berlina, a 5. listopada stanął na ziemi polskiej. Generał tak opisuje swój przyjazd do kraju: „Partout le General fut reçu avec le plus grande enthousiasme. Des communes entières accoururent au devant de lui, chacun s’empressait de lui témoigner sa joie. Les habitants de Posen (przyjechał Dąbrowski dnia 6. listopada do Poznania) avaient illuminé la ville, une foule de citoyens de tout âge et de tout sexe formait une haie dans es rues, la jeune noblesse à cheval vint à sa rencontre, et le ramène au triomphe. Arrivé dans la ville, les bourgeois dettelèrent ses chevaux, et le trainèrent jusqu’a son logement, l’air retentissait de vive Napoleon, vive Dąbrowski. Le tout se faisait sans avoir été ordonne et de propre mouvement”.

²⁾ 9. listopada.

— 4 —

takie wojsko zwyciężyć naszych Prusaków, którzy (jak się nam zdawało) daleko porządniej i regularniej ubranymi byli. Francuzi szli w płaszczach, co się zdawało dziwaczem, kaszkiety mieli w pokrowcach płóciennych, w paseczki albo w kratki niejednostajne; na rabatach mieli także pokrowce różnego koloru i desenia, co nas w zdumienie wprawiało i sądziliśmy, że był to zbiór ludzi z różnych korpusów zebranych; do tego, przechodząc, nie zachowywali żadnego porządku, w szeregach szli krokiem

podróżnym, bez taktu, broń bez bagnatów niosąc do góry kolbami, a ciągle z sobą rozmawiając. Dziwiło nas nie mało, że oficerowie szli piechotą, niosąc na sobie płaszcze i często swe bagaże, co wszystko przeciwnem było taktyce wojska pruskiego.

Często słyszałem rozmawiających naszych obywateli, pytających jeden drugiego: „Gdzież jest to śliczne wojsko nasze? Czyż można uwierzyć, aby te karły mogły pobić naszych olbrzymów, wszak to nasz jeden grenadyr trzech takich weźmie na bagnety?”

Dalej mówili — „to chyba manewr naszego króla, tak jak gazety pisały, on to tych szczurów naumyślnie tu wpuścił, aby, otoczywszy ich, razem zabrał”.

Było to ogólne uprzedzenie niemieckie, że wpuszczenie Francuzów było manewrem, przez który król pruski zamyślał ich otoczyć. Ponieważ tak myślano, burmistrzowie miast zajętych przez Francuzów, chcąc dać dowód uczciwości swemu monarsze, zbierali rekruta i sekretnie przesyłali do swej armii.

Kiedy to dostrzeżono, było już przy końcu listopada 1806 r. Pewnego dnia, po południu przyszły małe oddziały piechoty francuskiej i, postawiwszy broń w kozły przed ratuszem w Poznaniu, czekały. W parę godzin później przywieziono na furach trzech burmistrzów z miasteczek pobliskich, między Berlinem a Poznaniem leżących. Wspomnianych burmistrzów eskortowali saperzy francuscy. I ja przez ciekawość pobiegłem dowiedzieć się. Burmistrzowie,

— 5 —

z wozów zesiadłszy, stanęli przy stopniach drzwi ratusza, na których sąd ich już czekał i w tym momencie odczytano wyrok śmierci za wydanie rekruta nieprzyjacielowi. Wyrok wykonano pod ratuszem. Oddziały zbliżyły się każdy do swojego, wystrzeliły w tym momencie; trupy pokładzono na tych samych furach i wywieziono. Wskutek tego rozstrzelania ogłoszono w trzech językach zawiadomienie o występkach trzech burmistrzów i zastrzeżono, że ktoby zdradzał Francuzów albo Polaków, podobną śmiercią karany będzie¹⁾.

Lecz inaczej ci sami obywatele twierdzili później, kiedy, po przejściu korpusów Davouta i Neja, przechodziło przez Poznań 12 pułków kirysyerów. Był to dzień pogodny i słońce świeciło, kiedy przechodzili kirysyerzy; żołnierze jechali bez płaszczy i lśniły się na słońcu hełmy jako też i kirysy. Patrząc na to sąsiad mego ojca, niejaki Ulatowski, obywatel, tak do mego ojca przemówił: „Sancta Marya, panie Józefie, czy Waćpan widzisz to wojsko, wszakże to oni w żelaznych sukniach; ja dotąd powątpiewałem o klęsce naszego wojska, ale patrz no waćpan, kto jest w stanie oprzeć się temu okropnemu wojsku. Zginęliśmy! Zginęliśmy! Zginął nasz kochany król, zginęło nasze piękne wojsko” — wyrzekał, załamując ręce. Po przejściu tego wojska, ktoś że znajomych ostrzegł mego ojca, że to wojsko poszło w nasze okolice; udaliśmy się zatem spiesźnie do domu. Gdy wieczorem zbliżaliśmy

¹⁾ W listopadzie r. 1806 rozstrzelano w Poznaniu na placu ratuszowym burmistrza Deffert'a „aus Obersitzko“ i drugiego, którego nazwiska nie znamy, z Gołańczy, za to, że jeden z nich odprowadził kasę, a drugi — zapasy broni do twierdzy Grudziądz. Za wstawiennictwem paru osób odwołał marszałek Davout ten wyrok w ostatniej chwili, ale ulaskawienie przyszło za późno.

Po egzekucji rozlepiono po mieście plakaty, że ma to być przestroga dla Niemców i biada wszystkim, którzy się podobnego występkę dopuścili. (Zwei Opfer Napoleonischer Willkür in Posen. Zeitschrift f. Gesch. Posen. 1884 t. III. str. 180-183).

— 6 —

się do celu, spostrzegliśmy zdala niezmiernie łuny w kierunku naszej wioski; podchodząc, ujrzelśmy w bliskości gumien gęste ogniska, płotów już żadnych nie było, stodoły pootwierane, zboże powynoszono i rozdano koniom.

We dworze naszym dostrzegliśmy mnóstwo światła i ruch znaczny — zbliżamy się do bramy, sztyldwachy nas nie wpuszczają, aż po długim oczekiwaniu przyszedł przecie sierżant, który na szczęście mówił po niemiecku; temu powiedziałem, że jesteśmy tutejsi, że mój ojciec jest właścicielem tego domu. Wreszcie wpuszczono nas do dworu, gdzie zastaliśmy z trzech pokoi powynoszone różne rzeczy. Matka i młodsze rodzeństwo umieścili się w spiżarni, a kucharz marszałka Morthier¹⁾ krzątał się około wieczerzy. Szczęśliwy był porządek zachowany przez tegoż kucharza, bo gdy przyjechał z swoim kuchennym furgonem, natychmiast rozkazał, aby ogień spiesźnie rozpalono, a on tymczasem dobył z furgonu już oprawny drób i to wszystko, co było potrzebne do zrobienia wieczerzy, na którą i my domownicy byliśmy zaproszeni. Po wieczerzy zawołał kucharz matki i rozkazał tyle drobiu zabić i oprawić, ile na drogę potrzebował. Ale wracamy się do marszałka Morthiera. Kiedyśmy weszli do domu, kazał nas marszałek zawołać do pokoju, czego baliśmy się, bo słyszeliśmy, że Francuzi często rozstrzelują²⁾. Gdy stawiliśmy się do niego, zapytał nas jeden z oficerów, który mówił po niemiecku, gdzie byliśmy dotychczas i skąd tak późno wracamy; wkońcu zapytał się mnie, kto wiszące na ścianie malowidła malował. Na odpowiedź, że ja, wziął mię za rękę i poprowadził do jednego z tych malowideł, na którym było wyobrażone wojsko angielskie, niosące swego rannego generała. Na zapytanie, ktoby to był, odpowiedziałem, że to admirał Nelson. Posłyszawszy marszałek wyraz

¹⁾ Jest to widoczna pomyłka, korpus marszałka Morthier znajdował się wów czas na Pomorzu szwedzkim,

²⁾ Oprócz wymienionych wyżej burmistrzów Francuzi w Wielkopolsce rozstrzelali tylko paru swych żołnierzy za rabunek.

— 7 —

„Nelson”, który jakby z radością powtórzył, zaczął mnie niezmiernie ścisnąć i w głowę całować i kazał adiutantowi spytać mnie, gdzie ja to widziałem. Ja odpowiedziałem, że, czytając w gazetach to zdarzenie, wyobraziłem sobie, że tak być musiało. Po uściśnieniu najczulszem, znowu mi różne zadawano pytania, a ja musiałem objaśniać moje malowidła.

Miedzy temi jeszcze jedno było wyobrażenie: część miasta, z głębi którego widać było wierzchołki kopuł meczetów, a przed bramą stało mnóstwo Turków, z których jeden stary niósł na tacy klucze miasta; do tego Turka zbliżał się jakby generał francuski, mając pióro na kapeluszu i szarfę trójkolorową, a włosy pod kapeluszem długie i równo ścięte; to wyobrażało zdobycie Aleksandrii, a ten generał był Bonaparte. To wyobrażenie sami odgadli, ale tylko chcieli odemnie potwierdzenia, a gdy usłyszeli odemnie przyznanie, znowu mnie marszałek uściśkał i mówił, że i to z gazety wiedzieć musiałem. Jednakowo podziwiali, że dość trafnie zrobiłem Bonapartego figurę i ubiór. Potem adjutant do ojca mówił, dlaczego mnie do wojska nie odda, kiedy jestem tak przejęty wojskowością, — mówił, jakby duchem wieszczym, że będzie ze mnie sztabsoficier. Marszałek drugiego dnia wyruszył w dalszą drogę. W parę godzin zajechał do nas niejaki Zdanowicz, porucznik regimentu Potockiego, dawnych wojsk polskich. Był on później kapitanem 12. pułku piechoty za W. X. W. Dawny przyjaciel ojca, wyjąwszy z kieszeni proklamacyę generała Henryka

Dąbrowskiego, która wzywała dawnych wojskowych i młodzież do wojska, a to pod karą śmierci, pokazywał nam ją ¹⁾). Ojciec mój zabrał mnie i udaliśmy się nazajutrz do Poznania (15. Listopada 1806), a, przybywszy, tam znaleźliśmy już inną postać. Ruch nadzwyczajny, wojska francuskiego mnóstwo; pomiędzy nimi ujrzałem kilkunastu naszych, a nawet moich

¹⁾ Takiej odezwy jen. Dąbrowski nie wydał.

— 8 —

szkolnych kolegów, już w mundurach wojska polskiego, niektórych już jeżdżących konno. Był to oddział, złożony z kilkuset młodzieży, synów możniejszych obywateli; powyższy oddział był już sformowany dla Napoleona pod nazwą Legii honorowej ¹⁾). Ubrani byli po ułańsku, mundury granatowe z amarantem. Dowódcą tego oddziału był Umiński. Ale wróćmy się do generała Dąbrowskiego. Udaliśmy się w Poznaniu do generała. Nasamprzód ojciec mój miał zamiar dowiedzieć się o swoim synu, a moim starszym bracie, który po, wyjściu z wojska pruskiego, z niejakim p. Radzimierskim, wyjechał za granicę, a następnie wstąpił do legionów.

Brat mój, wszedłszy w służbę legionów, pisał ostatni list z Regio. Gdyśmy przybyli do generała, na zapytanie ojca mego o swego syna, generał dał tę odpowiedź, że jeszcze nie przyszło biuro jego, w którym są rodowody legionów, z których można się było dowiedzieć o życiu albo śmierci brata mego. Przy tej sposobności ojciec przedstawił mnie generałowi, jako ochotnika do wojska; generał odesłał mnie do pułkownika Kąsinowskiego, jako organizatora dywizji.

Wtem pomiędzy tłumem przeciska się pani Wedelstaedt, wdowa, i także przedstawia syna swego Adama, a mego kolegę szkolnego, jako ochotnika do wojska. Na zapytanie, jak się nazywa, odpowiedziano: Wedelstaedt; generał zapytuje się, czyli jej mąż nie był kuzynem pułkownika, tegoż nazwiska, który, jak mówił generał, potem, pełen zasług wojskowych, poległ chlubnie przy obronie Pragi ²⁾). Na odpowiedź wdowy, że to był jej mąż, a ojciec

¹⁾ Już w dniu 9. listopada donosi Dąbrowski o formowaniu tej gwardii honorowej. Autor nasz pomieszał „Garde d'honneur“ z „legion d'honneur“.

²⁾ Autor nasz pomylił się tutaj wyraźnie. A Wedelstaedt spotykamy po raz ostatni w bitwie pod Chelmem, Autor „Kościszki” przypuszcza, że zaraz po niej Wedelstaedt otrzymać musiał dymisy.

— 9 —

przedstawionego Adama, w dowód czego miała też wdowa patent męża swego, generał, ucieszony tem zdarzeniem, tak do niej mówi: „W nagrodę zasług ojca, którego byłem przyjacielem, mianuję syna tego walecznego — oficerem, z zastrzeżeniem, że zostanie umieszczonym w tym pułku, który sobie wybierze”.

Ja, słysząc jaki los szczęśliwy spotkał mego kolegę, winszowałem mu, że w tak krótkim czasie awans uzyskał. Udaliśmy się później do wyżej wspomnianego pułkownika Kąsinowskiego dla zapisania się na listę; ale jaka różnica była między kolegami szkolnymi: Adam — umieszczony w randze podporucznika w pułku wówczas pierwszym piechoty, dowództwa księcia Ant. Sułkowskiego, ja zaś przeznaczony zostałem do pułku czwartego piechoty, dowództwa Stanisława Ponińskiego. Dnia 15. listopada 1806, jako żołnierz, po zapisaniu się do listy, udałem się do klasztoru dominikańskiego, jako przeznaczonego na koszary dla nowo organizujących się pułków. Ale jakież nas przeznaczenie dzieliło, gdyśmy występowali do apelu: mój kolega przed frontem, w gronie oficerów, a ja w szeregu jako żołnierz. Ale później inaczej przeznaczenie chciało. Kolega mój szkolny, Adam Wedelstaedt, będąc jednego razu na służbie w koszarach, zapytany został przez podchorążego ze służby pruskiej Miaskowskiego, jakim sposobem uczyć będzie swoich podkomendnych musztry, kiedy jej wcale sam nie umie, na co Wedelstaedt odpowiedział, że się jeszcze nauczy. Zaczęto się z niego śmiać, że tylko za zasługi ojca, nie własne, został oficerem, że kto inny byłby podziękował za to i dosługiwał się sam stopnia oficera. Wedelstaedt tak to dalece wziął do serca, że w tym momencie udał się do matki, a z nią do generała, prosząc, aby się mógł od żołnierza dosługiwać.

Pomimo najusilniejszego przedstawienia generała Wedelstaedt trwał w swoim uporze, dopóki nie uzyskał zezwolenia wrócenia na stopień żołnierza. Ale jakież nieszczyśliwe tego chłopca było przeznaczenie. Oto, dostał się do pierwszego

— 10 —

pułku, którego dowódcą był Sułkowski; natłoczyło się do tego pułku synów ważniejszych panów, a jak się pokaże później, od zawiązku tego pułku przysiężona była intryga. I tak, kiedyśmy się z Adamem w czasie kampanii spotkali przypadkiem, ja byłem podporucznikiem, on był jeszcze żołnierzem; później, gdyśmy się spotkali w r. 1812 pod Smoleńskiem, ja byłem kapitanem, on dopiero podoficerem. W końcu byłem podpułkownikiem, on zaledwo stopień porucznika z dymisyą uzyskał, chociaż sprawowanie jego było przyzwoite i honorowe i do tego odbył kampanie w kraju i za granicą. Szczególniej w Hiszpanii los zawistny nie przestawał go prześladować, a szczególnie intryga. — Wracam się do mego położenia. Po przypędzeniu jeńców pruskich z pod Jeny, ale rodem Polaków (gdyż Niemców popędzono za Ren), gdyśmy dywizję już do 5000 liczyli ¹⁾, podzielono nas na 4 oddziały, t. j. do czterech pułków i na garnizony przeznaczono. Pułk czwarty, w którym byłem umieszczony, dostał się do miasta Kościana, o mil cztery od Poznania; oddział tego pułku natychmiast wymaszerował do miejsca swego przeznaczenia ²⁾). Ja, chcąc cokolwiek od ojca otrzymać forszusu na drogę, prosiłem o urlop na tydzień i udałem się do domu, a otrzymawszy tylko bardzo małą kwotę od ojca, pospieszyłem z bratem moim starszym, który, będąc junkrem w pruskim wojsku, otrzymał teraz stopień podchorążego. Przybywszy do Kościana już prawie wieczorem, udaliśmy się do mieszkania dowódcy, które tak natłoczone było z powodu odbioru rekrutów, że w żaden sposób nie można było się docisnąć dla zameldowania naszego powrotu. Fundusze

¹⁾ Z jeńców pruskich z pod Jeny — Polaków — sformowano legię włosko-polską i nadwiślańską, nie wcielano ich wcale do dywizji Dąbrowskiego. Dywizja Dąbrowskiego ogółem liczyła 8648 ludzi i 1826 koni.

²⁾ Pułk 4 piechoty należał do brygady Fiszer. Organizować się począł na dobre dopiero w dniu 26. listopada 1806 r. w Kościanie, dokąd zaczęli przybywać rekruci.

— 11 —

asze już się znacznie wyczerpały, a bez zameldowania nie uzyskalibyśmy kwatery, żywności, ani żołdu, zatem koniecznie trzeba było dostać się do dowódcy. Ilekroć jednak dostaliśmy się do pokoju, warta, która była przeznaczona do pilnowania porządku, przecinała nam przystęp.

Ale przecież los się nad nami zlitował, bo oficer dyżurny, który ciągle wołał na wartę, aby nikogo nie wpuszczała, kogo nie zawołają, wkońcu do nas się zbliża i pyta, czego się ciśniemy, i grozi, że każe nas wypchnąć i do kozy zaprowadzić. Wtem brat mój mówi, że musimy tylko urlop nasz zaprezentować, gdyż nam się dzisiaj kończy, abyśmy nie byli odpowiedzialni za to, żeśmy się nie meldowali. Kiedy on dyżurny (był to porucznik Koszucki z Działyńskiego regimentu b. W. p., w mundurze tego pułku) usłyszał nasze nazwiska, które mu przeczytałem zapytał się brata, którego jesteśmy Białkowskiego synami. Dowiedziawszy się, że Józefa, natychmiast każe nas wpuszczać, sam dowódzcy prezentuje i prosi o względy dla synów swego największego przyjaciela i kuzyna, wskutek czego dowódzca rozkazuje nam dać kwatery oficerskie i największą wygodę.

Nazajutrz przeznaczają nas do kompanii czwartej, której dowódcą był kapitan Grotowski, później za czasów królestwa pułkownik i dowódzca pułku 7-go piechoty liniowej, który tak mnie polubił z pierwszego wejrzenia, że często kazał przychodzić mi do siebie, przepisywać części regulaminu i w krótkim czasie posunął mnie na stopień kaprała. Stopień ten, acz mały, przecież dla mnie wielkim się być zdawał. Później, gdy niejaki Glimowicz, upiwszy się na służbie, zrobił jakąś awanturę i został zdegradowany, mnie, jako dobrze się prowadzącego i pilnego w służbie, awansowano w miejsce wspomnianego sierżanta.

Brat zaś odrazu został feldfeblem tej kompanii. Ale, kiedy naprowadzili rekruta tak, że w każdej kompanii było już po 400 ludzi, natenczas rozkazano z każdej kompanii

— 12 —

uformować dwie i przy owym podziale brat został feldfeblem przy tymże kapitanie Grotowskim, a mnie posunięto na feldfebla do kompanii nowo formowanej, której dowódcą został porucznik Font, później kapitan ¹⁾). I tu znowu szczęściem dostałem się do dobrego dowódcy, bo nie tylko, że mnie lubił, ale w moim młodym wieku mnie wspierał (nie liczyłem wówczas jak lat 17). Kilka razy mógłbym być wpaść w biedę, nie mając doświadczenia.

I tak, raz jednego miałem wypłacać żołd kompanii. Widziałem za czasów pruskich, że feldfebel pozawijał w papierki żołd dla każdego żołnierza osobno i potem, utworzywszy szeregi, każdemu z kolei dawał do ręki; i ja tak chciałem postępować. Ale coś się stało! Oto, gdym płacił ludziom stojącym na skrzydle prawem, ci, skorom ich pominął, przechodzili poza frontem i stawali znowu na skrzydle lewem, odbierając drugi raz żołd. Ale Bóg nie chciał mojej krzywdy, jak na szczęście mój dowódzca nadchodzi i widzi to oszustwo. Rozkazuje wstrzymać się z wypłatą, a tymczasem tych starych jak zacznie kijem okładać i mówi, — wskazując na mnie: — „To jest względem was dziecko, a wy nie powinniście byli dopuścić, aby go krzywdzono”.

(Jenerał Dąbrowski, będąc ufnym, że z racji jego zasług za granicą będzie naczelnym wodzem, nadawał pułkom Nr. 1, 2, 3 i 4. Później, w miarę intryg, dywizya jego nie Nr. 1-szy ale 3-ci otrzymała, a pułki zmieniły Nr. 1-szy na 9-ty, 2-gi na 10-ty, 3-ci na 11-ty, a 4-ty, w którym ja byłem, na 12-ty przeistoczono ²⁾).

Lubo mój dowódzca natychmiast rozkazał zwrócić wzięte pieniądze, przecież nie wszyscy oddali i poniosłem straty złp. 48. Wtedy, po napomnieniu mnie ojcowskiem, naganiał mi, że się jego w tym względzie nie zaradził,

¹⁾ Podług stanu służby pułk. Białkowskiego uzyskał on stopień feldfebla w dniu 2. grudnia 1806 r.

²⁾ Na tę zmianę numeracji pułków skarżył się Dąbrowski przed Davoutem. Jego zażalenia przesyłano nawet cesarzowi.

— 13 —

przykazawszy, aby odtąd nie wypłacać bez jego obecności.

Natychmiast sam zaczął wypłacać, wskazując mi sposób, jakim można zapobiedz oszukaństwu.

Kazał mi podać listę, która była zrobiona do odczytywania w czasie apelu, w której były wszystkie odmiany zanotowane, jakoto: będących na warcie, urlopie, w lazarecie i odkomenderowanych. Dowódzca wywoływał obecnych i wypłacał im żołd, ale zaraz robił ołówkiem znaczki na liście. Jednakowoż znalazło się kilku takich, którzy chcieli wmówić w niego, że będąc wołani nie odezwali się i nie odebrali żołdu, ale tym za odpowiedź dawał kilka kijów.

Żywność dla kompanii rozdawano w mojej stancyi, a do jej odbioru i rozdawania był wyznaczony kwatremistrz kompanii, czyli tak zwany furyer. Był to stopień wyższy od kaprała czyli gefreitera, a niższy od sierżanta czyli podoficera. Ponieważ ta dystrybucya odbywała się pod mojem okiem, przeto furyer nie mógł dopuścić się nadużycia, po każdej więc dystrybucyi, zostawało się czasami mięso, chleba kilkanaście bułek, kaszy kilka garncy, soli i t. p. Ale były czasami takie zdarzenia, że po dystrybucyi powrócił żołnierz z lazaretu albo komendy, wtedy, zamiast ponownego zgłaszania się do magazynu, pokrywaliśmy to z remanentu. Później nastąpił odbiór mundurów i ubiorów dla kompanii; jakież to niezmierny mozoł był dla nas. W czasie spokojnym powinna być brana miara na każdego człowieka. Ponieważ jednak czasu było niewiele do umundurowania się i nauczania się musztry, przeto oficer ubiorczy rozkazał krawcom zrobić mundur na trzy miary, to jest na najwyższego, średniego i małego człowieka., My, feldfeblowie odebraliśmy polecenie, aby w naszych kompaniach rozgatkować ludzi w podobny sposób i stosownie do tego mundury z komory odebrać. Gdy do mojej stancyi dość obszernej, zwieziono to wszystko, został tylko do

— 14 —

stolika (gdzie były papiery kompaniczne) mały kurytarzyk, reszta wszystko było trzewikami, bielizną, mundurami i kaszkietami zarzucone.

Ubiór podoficera i żołnierza w naszym pułku składał się z następnych efektów: Kaszkiet, kształtu czapki ułańskiej, koloru granatowego, gęsto pikowany na wierzchu i od dołu obszyty skórą czarną, po czterech stronach, niemniej i wszędy na krzyż, był ozdobiony sznurkami złotymi; z lewej strony ku wierzchołkowi przyszyta była kokarda trójkolorowa, a nad nią zasadzony był pompon długości około sześciu cali, koloru złotego dla kompanii tyralierskich, ponsowego dla grenadyerskich, a zielonego dla wołyżerskich. Dalej — kurtka, czyli mundur, koloru granatowego z wyłogami i wypustkami żółtymi, spodnie także granatowe z wypustką żółtą, kamasze krótkie czarne, w których guzików cynowych białych sztuk 8; do tego leibik biały sukienny, kołnierz i dragony ¹⁾) granatowe, guziki u całego umundurowania białe z numerem 4, płaszcz koloru szaraczkowego z kołnierzem żółtym i takimiz dragonami, guziki białe. Inne pułki, dywizję jenerała Dąbrowskiego składające, używały mundurów następujących: Pułk 1-szy granatowego z białem, 2-gi zielonego z granatem, 3-ci niebieskiego z granatem a nasz 4-ty, żółtego z granatem. Do tej dywizyi należały jeszcze dwa pułki jazdy, t. j. pułk 6-ty ułanów dowództwa Dziewanowskiego i pułk 5-ty konnych strzelców dowództwa Turny.

Ubrawszy kompanię zupełnie, odebrawszy ze składu i rozdawszy broń, która była kalibru małego, z długimi bagnetami, to jest potsdamska pruska ²⁾, zaczęliśmy codziennie chodzić na musztry.

Pewnego wieczora około 6. stycznia 1807, gdy

¹⁾ Rabaty.

²⁾ Broń otrzymała dywizja Dąbrowskiego z arsenałów pruskich. Sprowadzono ją z takim pośpiechem, że już w dniu 13. listopada Davout donosi cesarzowi o oddaniu w ręce Dąbrowskiego pierwszej partii karabinów. Dodajemy tutaj parę szczegółów z pamiętnika gen. Weyssenhoffa. Żołnierze nie mieli ani tornistrów, ani patrontaszy, płaszcze noszono różnokolorowe. Pułk 6-ty ułanów — powstał ze szlacheckiego pułku pruskiego „Towarzyszy”, który szlachta wielkopolska uformowała w r. 1806.

— 15 —

porządkował moje papiery kompaniczne i zapisywał jeszcze odebrane efekta, wchodzi brat mój, który także był tylko feldfeblem w innej kompanii, i zapytuje się mnie, co robię. Odpowiedziałem, że sobie papiery porządkuję, na co brat mi odpowiada: „Już tobie to niepotrzebne, bo już trzeci dzień mija, jak jesteśmy mianowani oficerami”. Wyraz „oficerami” przejął mnie wskroś ukontentowaniem, tak, że stanąłem osłupiały, nie wiedząc co odpowiedzieć. Brat powiada do mnie: „Oto, zamknij stancję i pójdźmy do jednego z naszych kolegów, a tam się o rzeczywistości z rozkazu dziennego przekonasz”. Przybywszy tam, zastaliśmy kilku nowo mianowanych oficerów wesoło się bawiących, oczekujących na nas. Po wejściu naszym nastąpiły wzajemne powinszowania i odczytano rozkaz dzienny, w którym i ja byłem umieszczony jako podporucznik ¹⁾. Na długiej i wesołej zabawie wieczór o w przebiegł nadzwyczajnie prędko.

Po rozejściu się, gdy przyszedł do swej kwatery, zastałem rozkaz pułkowy, nakazujący dnia następnego wystąpienia pułku z całym pakunkiem, tak jak do marszu. Celem tego wystąpienia był wybór do kompanii wyborczych, czyli grenadyerskich, i wołyżerskich, umieszczenie oficerów po kompaniach i uorganizowanie batalionów bojowych. Skład batalionów był podług następującego porządku: Wszystkie kompanie nieparzyste składały batalion pierwszy, a parzyste batalion drugi. Tak n. p. kompanie grenadyerskie miały numera oddzielne; ponieważ ich było dwie, a zatem pierwsza należała do składu batalionu pierwszego, a druga do batalionu drugiego. W ten sam sposób rozłożonymi były po batalionach kompanie tyralierskie,

¹⁾ Stopień ten otrzymał autor w dniu 4. stycznia 1807 r.

— 16 —

których w całym pułku było 14, i wołyżerskie, których było dwie; każdy więc batalion składał się z jednej kompanii grenadyerów, jednej wołyżerów i siedmiu — fizyliarów ¹⁾.

Gdy nadszedł wspomniany dzień, wystąpiło wszystko w pole. Dopiero otworzyło się pole do intrygi współzawodnictwa. Każdy chciał być umieszczonym podług swego upodobania. Żołnierzy wybierano najprzystojniejszych do kompanii wyborczych ²⁾. Każdy dowódca chciał mieć w służbie znanych sobie z gorliwości podoficerów. Ja oczekiwałem spokojnie mego nowego przeniesienia, a kiedy dowódca pułku zebrał wszystkich komendantów kompanii dla ułożenia nowego rozkładu oficerów i podoficerów, kiedy mój dowódca odszedł, przychodzi do mnie porucznik Morawski, dowódca kompanii pierwszej tyralierów i, po powinszowaniu mi nowego stopnia, oświadcza, że podług rozkazu nowego przeznaczony byłem do kompanii dowództwa jego, jako oficer, a zatem wzywa mnie, abym się udał na przeznaczone miejsce i dopomógł mu do rozkwaterowania kompanii. Po przekonaniu się naocznie udałem się z porucznikiem Morawskim ³⁾. Mój dowódca kompanii, porucznik Pont zakrzyczał wszystkich, utrzymując, że mnie, jako swego feldfebla, nikomu nie odstąpi, a że on o moim nowym awansie nic nie wiedział, przeto przy nowym rozkładzie dowiedział się, że niejaki Grzelachowski, sierżant, posunięty na stopień sierżanta starszego czyli feldfebla, na moje miejsce — do jego kompanii, tj. 12., przeznaczony został. Rozgniewany mocno, przybiega do kompanii, aby mnie nikomu nie oddać, a, nie zastawszy mnie, był przygotowanym

¹⁾ Jest to nieścisłość. Gen. Weyssenhoff podaje, że kompanii fizyliarskich było w każdym batalionie po cztery, kompanie liczyły po 150 ludzi.

²⁾ Grenadyerskich.

³⁾ Podług raportu Dąbrowskiego — wyznaczono po 16 starych oficerów, którzy odbyli służbę w legionach albo w czasie r. 1794, do każdego pułku.

— 17 —

wyłączyć mnie za odejście od kompanii; dopiero podoficerowie tej kompanii oświadczyli mu, że ja, jako oficer, udałem się do kompanii pierwszej tyralierów. Znowu wraca się do dowódcy pułku z prośbą, aby mnie mógł, już jako oficera w swej kompanii zatrzymać, ale było już zapóźno. Ten porucznik, a później kapitan Font, tak był do mnie przywiązany, że, chociaż w innej kompanii byłem, później w czasie kampanii każdym kawałkiem chleba ze mną się dzielił i taką miał nademną opiekę jak nad własnym synem.

Gdy, rozkwaterowawszy kompanię, w której umieszczonym byłem, powracałem do swej dawnej kwatery, idąc ulicą — spotykam się z swym dawnym dowódcą, który biegnie ku mnie z wyciągniętymi rękami, winszując mi z rozczuleniem awansu. „To nieszczęście mówił, że ja o twoim awansie dawniej nie wiedziałem, bo bym pewnie postawił na swoim”.

Teraz nowy kłopot: będąc feldfeblem dostałem umundurowanie stosowne do mego stopnia, które mnie nic nie kosztowało, teraz oficerskie, raz że kosztować będzie więcej, co gorsza, funduszków na to nie było. Doświadczeńszy odemnie, będąc feldfeblem, byłby z samej żywności pewną sumkę zebrał, ja zaś przeciwnie — jeszcze z mego żołdu przy wypłacie żołdu kompanicznego musiałem dołożyć, tak że pan oficer był goły jak bizon. Prawda, że o stół nie było co się turbować, bo w owym czasie mieszkańcy żywić nas

musieli, ale gorsza o mundur oficerski. Jak nad każdym człowiekiem, tak i nademną widocznie czuwała opatrność; następujące zdarzenie dopomogło mi do ziszczenia moich marzeń. Przybył do naszego pułku nowy dowódca, Stanisław Poniński, pułkownik, zamianowany przez Napoleona, którego polityka w tym względzie była niezgłębiona, bo awansował ludzi młodych wprost na pułkowników, dając im pod komendę starych, pod bronią osiwiatych legionistów; domyślić się należy, że cel jego był taki, aby ci młodzi ludzie, wywdzięczając się za tę dostojność, przyczynili się

— 18 —

także do umundurowania pułku ¹⁾). Jakoż Poniński odpowiedział celowi swego dobroczyńcy, bo znaczne sumy włożył w upiększenie pułku. Dzięki tej samej polityce młody książę Sułkowski otrzymał dowództwo pułku pierwszego, Mielżyński drugiego, a Łącki trzeciego. Ale wracam do mego położenia. Kiedy, powtarzam, przybył pułkownik Poniński, nakazał on zaraz, aby w jego kwaterze wieczorem zbierali się wszyscy oficerowie na teorię, a gdyśmy się wszyscy zebrali, podpułkownik wówczas, Chlebowski ²⁾ tłumaczył nam zaraz regulamin. Pokazawszy nam jeden manewr za pomocą linijek i gałek, wyobrażających różne stopnie, zażądał, aby go który z oficerów powtórzył. Zaczawszy od kapitanów, aż do najmłodszych — żaden nie był w stanie choćby jako tako zacząć ten manewr, aż kolej przysłała na mnie. Kiedy mnie przywołano, uważałem dobrze i, od zaczęcia ustawiania linii aż do umieszczenia wszystkich stopni odrobiłem, wszystko jak się należy. Za to obsypał mnie instruktor, podpułkownik Chlebowski pochwałami, które zwróciły na mnie uwagę pułkownika Ponińskiego. Zapytał on mnie od razu o nazwisko, a, dowiedziawszy się, wziął mnie na bok, oświadczając, że szczęśliwy jest, że jego kuzyn (tak mnie nazwał) ma takie zdolności; widząc mnie zaś w podoficerskim mundurze, wyraził przypuszczenie, że zapewne mi jeszcze krawcy munduru nie wykończyli z powodu nawału roboty w tym czasie. Ja otwarcie odpowiedziałem. „Mniejsza by było o krawców, byleby fundusz był na sukno“. Pułkownik skłonił lekko głowę i odszedł odemnie.

Jakie było moje podziwienie, kiedy dnia następnego odbieram zawiadomienie od kapitana Hipolita Stokowskiego,

¹⁾ Oprócz zanotowanego przez autora względu — Napoleon miał jeszcze na widoku to, „aby znakomitsi obywatele Wielkopolscy wciągnięci byli osobiście w to ogólne powstanie, lub (jak mówili niektórzy) kompromitowanie się“. (Pamiętniki generała Jana Weyssenhoffa). Pułkownik Poniński „dzielił trudy“ pułku aż do pokoju Tyłżyckiego.

²⁾ Ozdobiony w kampanii r. 1807 krzyżem legii honorowej.

— 19 —

trudniącego się ubiorem pułku, abym przybył do szwalni pułkowej, gdzie krawiec pułkowy weźmie mi miarę na cały ubiór oficerski. Z największym pośpiechem i radością dopełniłem rozkazu i tak w przeciągu 24 godzin ubrany byłem kompletnie; nie zapomniano nawet o pałaszu.

W przeciągu 6 tygodni wyruszyliśmy przez Poznań ku Gdańskowi. W czasie tego marszu przechodziliśmy przez Bydgoszcz ¹⁾.

W marszu za Bydgoszczą dostała nasza kompania przeznaczoną wieś na kwatery, dość obszerną, tak żeśmy oficerowie we dworze, a żołnierze wszyscy w jednej wsi się mieścili, a to z tego powodu, że kilka naszych oddziałów, a szczególnie naszej nowej kawalerii, wpadło w ręce pruskich czarnych huzarów. Skoro przybyliśmy do dworu, będąc najuprzejmiej od gospodarza przyjęci, bawiliśmy się wesoło: we dworze było kilka panien, nas oficerów trzech, kapitan Chrzanowski, porucznik Miaskowski i ja, podporucznik. Za zbliżeniem się wieczora podoficer, przybyły z raportem do kapitana, otrzymał rozkaz, aby na wszelki przypadek ludzie się nie rozbiegali i z wszelką gotowością czekali. Słyszając to panny, zapytały Miaskowskiego porucznika, udającego ciągle przed nimi junaka, co by zrobił, gdyby huzarzy napadli na wieś. Na to Miaskowski, wskazując na swój pałasz, stojący przy oknie, odpowiedział: „Żeby ich było i 50-ciu — łby pościnam“. Upłynęło parę godzin, gospodarz z kapitanem udali się do przyległych pokoi, a Miaskowski w pośród panien ciągle rozprawia, jak Francuzom łby ścinał pod Jeną, gdy służył w wojsku pruskim. Wtem ktoś mocno do drzwi zastukał. Panny, widocznie uprzedzone o wszystkim, mówią do naszego bohatera. „Dla Boga, kto to tak mocno puka?“ Wołają lokaja, aby zobaczył, ktoby to był, a lokaj odpowiada, że się boi,

¹⁾ Punktem zbornym dla dywizji Dąbrowskiego była Bydgoszcz, cała dywizja zebrała się tam w dniu 22. stycznia 1807. Żołnierze nie posiadali ładownic, rozdano im po 6 ładunków, które trzymali w kieszeni.

— 20 —

bo coś mówią, że huzary już we wsi. Nasz junak jeszcze więcej między panny się wcisnął, a wtem otwierają się drzwi od pokoju i przy świetle świec pokazuje się huzar w ponsowym dolmanie i takimże kołpaku, trzymający karabinek odwiedziony w rękę i krzyczący po niemiecku: „Wo sind die Polaken?“ Ja, siedząc zdala przy oknie, poznałem po głosie kapitana swego i w tym momencie domyśliłem się, że to — dla postrachu naszego zucha. Kapitan, zmierzyszy karabin ku Miaskowskiemu, ściągnął kurek i zabłysnął płomień z podsypanego prochu na panewce. Kiedy nasz zuch, wściśnięty między panny, zobaczył wymierzony do siebie karabinek, pada na ziemię i na czworakach ucieka pod stół, stojący na środku pokoju i okryty dywanem.

Skoro się schował pod dywan, wszyscy w śmiech, nasz bohater jeszcze nie może domyślić się, że to jest żart. Co wysunie głowę z pod dywanu, to, jak zobaczy rękaw od dolmana, znowu się schowa. W końcu wstają panny: „Panie poruczniku to żart, niech pan wyjdzie“. Gdy głowę wystawił, chcąc wyjść, ja przez żart zawołałem: „Pardon“. — On znowu się schował, aż całe obłężenie panien dywan podniosło ze wszystkich stron, wyszedł dopiero, pot z czoła obcierając, jękając się, mówi do mnie: „Masz szczęście, że ja nie dostałem do pałasza, bo bym cię był rozsiekał“. — Wszyscy, śmiejąc się, pytają, za co by mnie był rozsiekał. Odpowiedział drżącym głosem: „Oto, że on przy moim pałaszu siedział, a nie brał się do obrony“. Któraś z panien znowu mówiła: „Przecież pan miałeś bliżej do pałasza — bliżej jak do stołu, pod który się schowałeś, a potem czyż nie można było poznać kapitana, wszak był w swoim mundurze, tylko dolman miał zawieszony na sobie, a mundur i szlify widne z pod tegoż były“.

Z Bydgoszczy postępując dalej, zbliżyliśmy się pod Grudziądz, który leży, tak forteca, jako też i miasto tego nazwiska, na prawym brzegu Wisły. Jest to forteca jedna z najmocniejszych; zdaje się, że załoga Grudziądza jest

— 21 —

gdzieś w ziemię zagrzebana, bo nie widać żadnego gmachu, ani budynku, jedynie wzgórek. My jednakowoż mieliśmy atakować tak niedostępną fortecę, mając tylko po 6 ładunków na żołnierza. Po bezskutecznym ataku od strony Wisły, po lodzie udaliśmy się do Świecia, Chełma i Gniewu ¹⁾; wówczas to pierwszy raz w mem życiu nocowałem na polu (w obozie) śniegiem okrytem. Nie mogłem tego pojąć, jak na śniegu stajałym bez odzieży nocować można. Starzy żołnierze zaręczali mi, mówiąc: „Zobaczysz, jak to będzie dobrze, jak na niczem zbywać nam nie będzie“. — Pamiętam, była to wieś bardzo duża, nazwiskiem Sprouden, do której gdy wysłano żołnierzy, wrócili zaraz. Jedni niosą słomę, drudzy drzewo, inni bagaże, drób, mleko, masło i t. d. W

przeciągu godziny już nasłano słomy, rozpalono ogień, porobiono baraki, a, gdy zaczęto gotować, można było zapomnieć o biedzie, jaką sobie wystawiałem. Po wystaniu dwóch dni we wspomnianym obozie nagle wieczorem cofnęliśmy się do miasteczka Gniewu, a, przybywszy tam około północy, staliśmy na rynku pod bronią, wysyłając gęste patrole w stronę, z której przyszliśmy. Jak się domyślałem, groziło nam jakieś niebezpieczeństwo. Po przyjsciu wiadomości pomyślniejszej rozkazano nam rozejść się po kwaterach, zastrzegając na przypadek alarmu szybkie zebranie się. Dostaliśmy z naszym kapitanem kwaterę w szynku u żyda, który odstąpił nam alkierza, a sam umieścił się w pierwszej izbie. Po parugodzinnym śnie, przebudził nas hałas, słyszymy krzyk w pierwszej izbie i szcęk broni. Kapitan mówi do mnie: „Pójdź też tam, zobacz, co się dzieje”. We drzwiach naszych było okienko, przeto, spojrzawszy przez takowe, zobaczyłem, że grenadyer z pułku naszego Jabłoński (o którym będzie później) stoi przy żydówce i broń swoją niby to nabija. Powiedziawszy kapitanowi, com widział, wychodzę do pierwszej izby i mówię do Jabłońskiego: „Co ty robisz,

¹⁾ Nieudana ta próba ataku miała miejsce w dniu 11. Lutego 1807 r. Pod Grudziądem zostawiono oddział obserwacyjny.

— 22 —

nie rób hałasu, bo pójdziesz do kozy”. Żołnierz odpowiada, że chce kupić wódki, — a żydówka wzbrania się sprzedać. „Ale na co broń nabijasz”? Żołnierz na mnie mruga a wkońcu mówi do mnie na boku, że on tylko udaje a broń nie jest nabitą. Wreszcie poleciłem żydówce sprzedać mu wódki i odebrać za nią pieniądze. Gdy się to zrobiło, wróciłem do alkierza i położyłem się, będąc znużonym po marszu. Nie upływa kilka minut, wpada żydówka z największym krzykiem, dopytując się, gdzie ten żołnierz, kto on jest; mówi dalej, że to był anioł. Ja się pytam, czego od niego chce, kiedy on przy mnie za wódkę zapłacił. Żydówka znowu krzyczy: „O wej! to nie żołnierz, ale to anioł”. Sądziłem z początku, że żydówka oszalała, ale później zrozumiałem, że go dlatego aniołem nazywa, bo jej ojca starego uzdrowił. Gdy Jabłoński udawał, że broń nabija, ojciec jej, który, paraliżem tknięty, trzy lata z łóżka nie wstawał, zobaczywszy tego żołnierza z ogromnymi wąsami i faworytami, nabijającego broń, zapomniał o swej słabości, a może i cyrkulacja krwi z przestrachu powróciła, dość że, zerwawszy się z łóżka, uciekł na dziedziniec. Po wyjściu żołnierza żydówka spostrzegła, że starego ojca na łóżku niema, aż ten później powrócił ze dworu i modlić się zaczął, że Bóg zesłał anioła w osobie żołnierza. Zgromadzeni żydzi prosili mnie najusilniej, abym wspomnianego żołnierza kazać poszukać; sprowadzono go odrazu. Skoro przyszedł, mnóstwo żydów ze sąsiednich domów nazbiegało się zobaczyć (jak mówili) anioła. Po różnych gestach i modlitwach obsypali żołnierza nagrodami, tak w pieniądzach, wódce, jako też różnych rzeczach i bieliznie. Po upływie dwóch dni udaliśmy się znowu do swej wsi Sprouden. Tam, rozkwaterowawszy się po dwie kompanie (t. j. po 300 ludzi) u jednego gospodarza, staliśmy przez trzy dni. Gospodarz dał jeść wszystkim do woli, a do tego wszystkim żołnierzom kawy na śniadanie. Zabawną było rzeczą, gdy nasi żołnierze, nie znając kawy, wołali, aby do tej cienkiej polewki dawał gospodarz klusek

— 23 —

albo kaszy. Nazajutrz udaliśmy się spieszenie pod Tczew. Był to dzień 23. lutego 1807 r. Zbliżając się do miasta, usłyszeliśmy pierwszy raz kanonadę. Było to oznajmienie nam, że tę fortecę koniecznie w tym dniu cesarz postanowił wziąć szturmem, a to z następujących przyczyn. Przed dwoma tygodniami wszedł do tego miasta oddział naszej jazdy, a przez nieostrożność żołnierze pozostawiali z koni, nie zostawiając żadnej straży. Będąc ucześtowani, cokolwiek sobie podpiłi, a wtedy mieszkańcy tameczni, pozabierawszy konie i broń, powiązali ich i odesłali do Gdańska. Gdy z innej strony nadszedł oddział jazdy francuskiej postąpiono z nim tak jak z pierwszym. Doszło to do wiadomości cesarza, który rozkazał generałowi Dąbrowskiemu z jego dywizją i artylerią saską — szturmem zdobyć Tczew, a mieszkańców dwugodzinnym rabunkiem ukarać ¹⁾. Gdyśmy zbliżyli się do miasta, zastaliśmy już niektóre pułki blokujące toż miasto Tczew. Jest to z dawnych czasów miasto obronne: leży nad brzegiem

¹⁾ 27. stycznia dywizja Dąbrowskiego, złożona z pierwszych batalionów pułków jego dywizji, to jest z 4 batalionów, stała w Gniewie. Awangarda, złożona z 1 szwadronu jazdy pułku 6. i kompanii strzelców pieszych kapitana Gołaszewskiego, zajęła Tczew, wysyłając podjazdy ku Gdańskowi. Kompania Bystrama zajęła miasto Starogród, ale ta została napadnięta przez pruskiego porucznika Schierstaedt z oddziałem 50 huzarów i 50 fizylierów. Polacy, pobici, stracili 30 niewolnika i działa. Schierstaedt ze zdobyczą i oddziałem ruszył ku Tczewu. Niedaleko od tego miasta został napadnięty przez Umińskiego, huzary zostały rozpedzone, a fizyliery wzięci w niewolę i zaprowadzeni do Tczewa. Wziętą w niewolę kompanię odbito. Pułkownik Schaffer, stojący w Danziger Werder z 400 ludźmi, ruszył w ratunek swoim. Umiński nie otoczył się placówkami, co dało możliwość Schafferowi wejść do miasta przez groblę od strony Wisły i napaść zniemacka na Polaków, którzy stracili w zabitych przeszło stu ludzi. Umiński, 2 oficerów, 93 żołnierzy stali się zdobyczą Prusaków. Uległ następnie po bohaterskiej obronie Gołaszewski, ranny śmiertelnie i wzięty do niewoli z większą częścią swej kompanii.

O tym przypadku, zdaje się, wspomina Białkowski i zapewne za uwiadomienie Schaftera ukarał Dąbrowski Tczew rabunkiem.

— 24 —

Wisły, opasane murem dość wysokim, w półkole zbudowanym, którego końce dotykają Wisły ¹⁾. Samo miasto bardzo porządnie zbudowane. Po zabraniu dwóch oddziałów wojska, spodziewając się zemsty albo kary, posłano najspieszniejszą po pomoc do Gdańska, którą niezwłocznie otrzymali. Po przybyciu naszym pod Tczew, zastaliśmy w nim przeszło 3000 wojska regularnego ²⁾, sześć sztuk

armat i wszystkich obywateli z bronią na murach. Po opasaniu ze wszystkich stron miasta i uderzeniu z dział, tak, że w kilku miejscach zapalono, tak przedmieścia, jako i samo miasto, generał Dąbrowski posłał do miasta parlamentarza, podpułkownika Grotowskiego z pułku naszego, proponując załodze, aby dla uniknięcia rozlewu krwi broń złożyła. Generał pruski ³⁾, dowodzący, zapytał się parlamentarza, jakie to wojsko oblega. Na odpowiedź, że polskie odpowiedział z oburzeniem, że tylko zna wojsko francuskie, z którym wojny toczy, ale z pastuchami polskimi nie myśli umowy zawierać. Kiedy parlamentarz robił mu uwagę, że niechaj spojrzy na oblegające wojsko, a przekona się, że to nie są pastuchy, tenże odpowiedział, że ostrzega parlamentarza, aby nie nadużywał jego cierpliwości, aby się na moment nie zapomniał, bo może kazać go powiesić jako buntownika ⁴⁾. Po takiej odpowiedzi Grotowski powrócił do obozu. Skoro generał Dąbrowski tak oburzającą odebrał odpowiedź, rozkazał, aby na wszystkich punktach rozpoczęto atak, mówiąc, że trzeba, żebyśmy im dali się poznać, że nie jesteśmy pastuchami. Sam zaś z swoim synem, generałem brygady Jasiem (takeśmy go nazwali), na

¹⁾ Opasane murem, ale nie obronne.

²⁾ Höpfner, pruski historyk tej wojny, oblicza garnizon Tczewa na 621 ludzi. Dąbrowski w swej odezwie do obywateli Wielkopolskich na 900 ludzi. Po pomoc mieszkańcy Tczewa posłali, ale miasto zostało otoczone przed jej nadejściem.

³⁾ Dowodził w Tczewie major Roth.

⁴⁾ Jest to, zdaje się, wiadomość całkiem oryginalna naszego pamiętnikarza.

— 25 —

czele 12 sztuk dział i pierwszego pułku piechoty uderzył od przedmieścia i traktu prowadzącego do Starogardy ¹⁾. Zbliżywszy się do bramy, która była zabarykadowana drzewem, rozkazał jednej kolumnie, mającej na czele oddział saperów z całej dywizji zebranych, uzbrojonych toporami i siekierami dla wycięcia bramy — uderzyć na bramę. Ale, skoro wspomniany oddział zbliżył się do bramy i zaczął wycinać barykady, obsypany został gradem kul z murów przyległych bramie, tak, że się mało z tego oddziału przy życiu zostało. Widząc generał bezskuteczność swego zamiaru, rozkazał się cofnąć saperom, a zatoczywszy 12 dział ciężkiego kalibru, rozkazał powtórzyć kilka razy strzały, co gdy wykonano, tak brama, jako też barykady zniszczone i wybite zostały ²⁾. Widząc załoga, że już brama wybita, doprowadziła i osadziła w bramie sześć armat kartaczami nabitych. Generał nie tracąc czasu z synem na czele pułku pierwszego w bramę i zdobywa takową, rażony kartaczami i ręczną bronią z muru. W tym momencie, skoro zdobył takową, załoga broń rzuciła, mieszkańcy zaś jeszcze ciągle się bronili ³⁾. Nasz pułk stanowił prawie skrzydło oblegających linii, od strony naszej przystęp był trudny, więc tylko saska artyleria, strzelająca

¹⁾ Brama od Starogardy nazywała się Mülhlenthor. Pułkownik J. Dąbrowski i 1-szy pułk piechoty bili się przy bramie Wiślanej, jak stwierdza raport jen. Dąbrowskiego, autor nasz myli się więc widocznie.

²⁾ Dokonał tego oddział artylerii francuskiej, przydzielony przez Napoleona do dywizji Dąbrowskiego pod dowództwem kap. Charelot, wyróżnionego za bitwę krzyżem legii.

³⁾ W tym momencie bitwy, wyróżnił się młody naówczas podporucznik 1-go pułku piechoty — Dezydery Chłapowski, który zasłużył sobie również na legię. Pamiętnik gen. Weyssenhoffa wspomina o fakcie, że 1-szy pułk polski — żadną miarą nie chciał ruszyć na szturm bramy, dopiero, gdy ujrano batalion Badeńczyków, szykujący się do szturm i Weyssenhoff zawołał do żołnierzy: „Cóż — dacie się uprzedzić tym Niemcom?” — pułk „ruszył natychmiast mimo gradu kul”.

— 26 —

po murach, usiłowała wybić w nich wyłom, a nasza piechota strzelała do broniących muru, tak żołnierzy, jako też mieszkańców ¹⁾.

Batalion pruskich strzelców (Feldjegrów) chciał się ratować ucieczką przez Wisłę po lodzie. Skoro się na środek Wisły dostał, artyleria saska skierowała działa ²⁾ na lód, który się załamał i cały batalion śmierć znalazł w Wiśle. Kilkunastu strzelców, którzy później z miasta wybiegli, widząc co się stało z ich batalionem, rzucili broń i poddali się nam dobrowolnie. Kiedy miasto zdobyte zostało, wypędzono z niego załogę, a generał rozkazał wszystkim naszym pułkom zbliżyć się do bramy, którądy jeńcy byli prowadzeni, tak, aby generał pruski wraz ze swoim oddziałem mógł pastuchów bliżej zobaczyć. Generał Dąbrowski wskazując na nas zapytał: „Czyż Wćpan widział takich pastuchów? a co poznałeś ich waszmość?” co usłyszawszy, żołnierze pruscy zaczęli na swego generała i oficerów błotem i kamieniami rzucać, tak, że generał pruski prosił o pomoc, której mu udzielono ³⁾. Oddział jazdy otoczył jeńców, odłączając oficerów od żołnierzy; tak rozdzielonych poprowadzono do Gniewu. W tej bitwie, oprócz straty, jakąśmy ponieśli, generał Dąbrowski wraz z synem zostali ranieni ⁴⁾. Potem ogłoszono wojsku polecenie cesarza: rabunek dwugodzinny jest dozwolony, po upływie zaś tego czasu, skoro będzie uderzony apel, ktoby nie stawiał się do swego pułku, karany będzie śmiercią. Za uderzeniem apelu rozsypały się pułki po mieście. Ja, będąc pierwszy raz w takim wypadku,

¹⁾ 4 pułk, według raportu Dąbrowskiego, nie był w ogniu pod Tczewem, stał w rezerwie przez cały czas.

²⁾ Wspomina o tym fakcie raport Dąbrowskiego. Artyleria saskiej pod Tczewem nie było, tylko badeńska.

³⁾ Jest to wiadomość, za którą odpowiedzialność bierze nasz pamiętnikarz.

⁴⁾ Za bitwę pod Tczewem otrzymała dywizja Dąbrowskiego 14 krzyżów legii honorowej, z których 5 dla podoficerów i żołnierzy.

— 27 —

ciekawym byłem zbliżyć się przypatrzeć tej scenie. Gdy przyszedł za wojskiem i wszedł przez bramę pomiędzy trupami, tak naszymi, jako też i nieprzyjacielskimi, dreszcz mnie przeszedł na widok ciał przeszytych, tak kulami armatnimi, jako też kartaczami. Gdy wszedłem w ulicę, prowadzącą do rynku, wstąpiłem do jednego domu, gdzie był handel korzenny; zobaczyłem tam na stole porozsypane rodzenki, pieniądze, w drugim miejscu — cukier, zmieszany z pieprzem. Będąc wówczas lubownikiem słodczy, skoro te spostrzegłem, nie oglądając się za żadną zdobyczą, wszedłem do sieni, a, zbliżywszy się do słodczy, zacząłem wybierać rodzenki, później farynę i sypałem w gębę. Wtem wchodzi we drzwi wołyżer naszego pułku i, opierając się na broni, mówi do mnie: „Aha! — i pan Antoni jest tu!” W tym momencie wystrzelił ktoś z korytarza, prowadzącego z dziedzińca, a, ugodzony kulą w piersi, wołyżer padł na znak, tak, że aż na ulicę się za drzwi przewrócił. Przestraszony podobnym wypadkiem, przeskoczywszy trupa, wybiegam na ulicę. Przechodzący żołnierze z legii północnej, posłyszawszy strzał z tego domu i widząc trupa, zapytują się mnie, kto tego żołnierza zabił. Ja im w krótkości odpowiadam, że w tym domu wystrzelono i wskazałem korytarz, z którego wystrzelono. Przebiegliśmy takowy i spostrzegamy na dziedzińcu za pompą — stojącego człowieka, któremu tylko ręce było widać, w których trzymał karabinek krótki i przybijał ładunek. Na uczyniony krzyk wychyla się on z za pompy i strzela powtórnie do nas, nie trafił z nas żadnego, a wówczas żołnierze przyskoczyli do niego i zakuli go bagnetem; dobijając go kolbami z głowy czaszkę odbili, potem, wzięwszy go, z drzwi odwiekli i przerzucili przez sztachety. Żołnierze udali się na górę, poszedłem i ja za nimi, weszliśmy do pokoju, który był ślicznie umeblowanym. Zaczęli szukać zdobyczy po różnych miejscach. Ja, zobaczywszy siebie w lustrze tak wielkim, że całą figurę widziałem, czego nie zdarzyło mi się widzieć od czasu, jakem mundur

— 28 —

oficerski wziął na siebie, unosiłem się, że tak powiem, nad swoją figurą, patrząc, jak mi było dobrze w kapeluszu z piórem, szlifach i przy pałaszu.

Kiedy tak się przed lustrem wykręcam, jeden z żołnierzy, przechodząc koło lustra, uderza w nie kolbą i w kawałki tłucze; zepsuł mi humor, pozbawiając przyjemnego widoku. Ale cóż miałem robić, nie śmiałem im nic mówić, raz, że pozwolony był rabunek, a powtóre, że to byli żołnierze starzy wśacze, a ja w porównaniu do nich — dzieciak. Po stłuczeniu lustra, chodząc po pokoju, zobaczyłem w drugim pokoju pantalon, a otworzywszy go, zacząłem bębnić palcami „włazł kotek na płotek”. Zbliżył się drugi wśacz i, akompaniując mi kolbą, w drzazgi porozbijał klawisze. Znowu pozbawiony przyjemności patrzyłem, jak wszystkie portrety ten sam los spotkał, co lustro i pantalon. Ucieszywszy się do woli, żołnierze zapragnęli wejść do trzeciego pokoju, który był zamknięty. Jeden z żołnierzy, zbliżywszy się do drzwi, zaczął próbować bagnetem, czyliby zamku nie otworzył, na co rzekł drugi, wiekiem najstarszy: „Nie paskudź, jak nie umiesz!” — i sam uderzył z wierzchu w zamek kolbą, że takowy od razu odleciał. Gdy drzwi się otwarły, spostrzegam leżącą na łóżku kobietę w wieku, przy której kłęczy młoda dziewczyna. Na widok takich wśaczy krzyk wydały. Żołnierze odrywają dziewczynę od łóżka, a jeden z nich, odwiódłszy kurek u broni, wymierza do kobiety, mówiąc groźnym głosem: „Geld!” Kobieta, przestraszona, odpowiada z płaczem: „Kein Geld mein Herr”. Żołnierz, ściągnawszy broń, obrócił się, chcąc gdzieindziej szukać zdobyczy. Drugi z nich mówi: „Bracia! tak się nie robi, oto tak”, — schwyciwszy za piernat leżącej kobiety, zrzucił ją razem z pościelą na ziemię. Co za widok miły dla naszych wśaczy! Dwa wory talarów ukazały się pod pościelą. Wszyscy, chwytając za worki, krzyknęli: „Zabić babę!” Żal mi się zrobiło tej kobiety, rzuconej na ziemię z pościelą, która, widząc rozjuszonych wśaczów, prawie konwulsyjnie błagała

— 29 —

o przebaczenie. Z trudnością mi przyszło odwieść ich od wywarcia zemsty. Powiedziałem: „Wszakże wszystko sobie wziąć możecie, a nie odbieracie jej życia, bo ona i tak nie przeżyje tego po tej stracie”. Na to jeden: „Dobrze mówi porucznik, podzielmy się pieniędzmi!” Wnet najstarszy z nich, rozwiązawszy worki, zaczął dzielić talary na 4 kupki, z których jedną dla mnie przeznaczono. Kiedy każdy z nich zabierał swój dział, ja odstąpiłem swego, mówiąc: „Dziękuję wam, podzielcie się sami”, na co jeden z nich odzywa się surowo: „Co to, porucznik tem gardzi?” „Nie“, — odpowiedziałem spokojnie, mam ja dosyć swoich pieniędzy w domu“ (co nie było w istocie, ale aby się ich pozbyć); drugi odrzekł, że niech tak będzie, a wziąwszy pozostałą kupkę, podzielił się z nimi. W końcu rzucili się do komód, do których już też kobieta sama klucze oddała. Ja, korzystając z ich nieuwagi, gdy zajęli się dobywaniem bielizny, wyszedłem z pokoju. Widząc to, młoda dziewczyna wybiega za mną, prosząc, abym nie odchodził. Kiedy tego uczynić nie chciałem, uchwyciła mnie za mundur i tak za mną na ulicę wyszła. Spotykamy na ulicy kilku naszych żołnierzy z pułku drugiego, który dopiero wszedł do miasta. Obstawiono nas zaraz, jedni się pytali o niektóre wiadomości, drudzy w mgnieniu oka dziewczynę odarli tak, że sukienkę, nie mogąc z niej zdjąć, bo się mnie trzymała, na niej rozdarli i wzięli. Wtem jedzie ulicą generał Kosiński, dowódca naszej brygady; ja w nowym ambarasie, gdyż to był jeden z najsurowszych dowódców. Kiedy przyskoczy do mnie na koniu i zawoła: „Co pan tej dziewczynie zrobił, jak mogłeś ją tak odzierać?” Ja wyznałem prawdę, jak się działo, a gdy dziewczyna wszystko potwierdziła, generał rozkazał ją odprowadzić na rynek do jednego domu i oddać ją pod dozór żandarmerji. Uwolniwszy się od tak przykrych zdarzeń, powracam do bramy i spotykam żołnierza z swojej kompanii, który widać wpadł do magazynu strojów i zabrał różnego rodzaju czapki i stroje damskie, niósł je jak wiązkę siana

— 30 —

za wstążki w rękę. Zapytuję się: „A ty na co to pobrałeś?” Odpowiada mi, że przyda się to na onuczki. Innego znowu spotkałem, który lepszy wybór zrobił, bo, zamiast czepków ze wstążkami, zegarków najmniej 50 za łańcuszki w rękę trzymał. Wkońcu spotykam podoficera ze swego pułku, który mnie się zapytuje, czy bym się czego nie napił i wylicza mi z kolei rozmaite trunki. Gdy wspomniał o miodzie, jako słodczy, które lubilem, namówił mnie, abym z nim poszedł do piwnicy, gdzie wszelkich trunków, napić się można. Udałem się z nim, a przybywszy tam, zastałem mnóstwo żołnierzy z naszych pułków, jednych już pijanych leżących, drugich pijących, a innych otwierających czopy takim sposobem, że strzelali w dna, a przez otwory lał się trunek. Tymczasem inni kaszkiety (bowiem innych naczyń nie było) podstawiali i z nich pili, niektórzy zaś mieli satysfakcję — strzelania tylko do beczek. Niektórzy, będąc napici, chybiali dna beczki i o mało — kogo nie zabili, ja, widząc taki nieporządek, wyrzekłem się i miodu. Trunki porozlewane były tak, że już stopy ludzkie zanurzały się w nich, gdym wychodził z piwnicy. Usłyszawszy bicie w bębny, apel, a nawet alarm, wybiegłem z miasta, a, oddalwszy się ze zgiełku, usłyszałem niezbyt daleko ogień z ręcznej broni i z armat. Dowódcy nasi, biegając na koniach, wołali: „Do broni! do broni!” Mnie zwrócili do miasta, abym wypędzał żołnierzy, aby się najspieszniej do obozu udawali. Powodem tego było przybycie posiłków ze Starogardy. Generał Dąbrowski, spodziewając się tego, wysłał w kierunku ku wspomnianemu miastu znaczny oddział legji północnej, która, spotkawszy się z dążącymi na odsiecz Tczewa pułkami, takowe nie tylko odparła, ale parę tysięcy do niewoli wzięła¹⁾. W końcu

¹⁾ Kolumny nieprzyjacielskie pokazały się na trakcie gdańskim od Sangenau — i na drodze idącej przez Żuławy. Pierwszą z nich rozbił i zabrał jej 200 niewolnika jen. Puthod z legji północną. Przeciw drugiej, która się wprędce cofnęła, był wyprawionym pułk. Dziewanowski z jazdą i Badeńczykami.

— 31 —

zebrano pułki w obozie, ale brakowało wielu żołnierzy, a to z powodu pijaństwa. Skoro noc nastała, postawiono warty przy bramach, aby nikogo do miasta nie wpuszczać, przeciwnie każdego z miasta wypuszczać. Ale jakież było podziwienie, kiedy za nadejściem dnia znaleziono nowych trupów, znać tych, którzy, będąc pijani, po mieście się włóczyli. W tym celu rozpoczęto rewizje najściślejsze, wskutek których znaleziono w krypcie pod kościołem 60 żołnierzy pruskich, niemniej i mieszkańców ukrytych, a po

ścisłem badaniu wspomnianego oddziału przekonano się, że ksiądz miejscowy do tej zbrodni należał, ten, dowiedziawszy się o wykryciu tego, ucieczką się ratował.

Drugiego dnia rozkazano pochować trupy. Żołnierze odkomenderowani do tej czynności, między którymi był podoficer z pułku naszego, Głowacki (zbierający trupy mieli rozkaz, aby osobno Prusaków, osobno naszych pochować), znaleźli trupa z głową urwaną od kuli armatniej tak, że tylko kawałek brody został. Zaczęli się sprzeczać; jedni mówili, że to był Prusak, inni — że Francuz. Na tę sprzeczkę nadszedł żołnierz z legji północnej i powiada: „Nie sprzeczaście się, bo to jest Polak dobrze mi znany, który obok mnie był zabity; jest to mieszczanek z Grodziska”. Usłyszawszy to Głowacki, zapytuje się, jak się nazywał, gdyż z

Grodziska wszystkich znał. Na to mu żołnierz odwiada, że Głowacki. Podoficer, rozpiąwszy trupa, rozpoznał na ciele wiadome sobie znaki, po których poznał rodzzonego brata. Zdarzenie to stało się z następującego wypadku. Nieboszczyk Głowacki, wzięty był jako kantonista do wojska pruskiego, w bitwie pod Jeną dostał się nieboszczyk do niewoli, a, że wszystkich Polaków z jeńców pruskich wybierano do wojska polskiego nowo organizowanego, dostał się przeto nieboszczyk do legii północnej, której było 14 batalionów, dowodzonych przez oficerów Polaków z legionów przybyłych albo francuskich ¹⁾).

¹⁾ Legii północnej było 5 batalionów, po 1000 ludzi w każdym. Dowodził nią najsamprzód jen. Zajączek, potem M. Radziwiłł; oficerami byli przeważnie Polacy.

— 32 —

Dnia trzeciego po wzięciu Tczewa przybył do nas marszałek Lefebvre, który objął dowództwo korpusu mającego oblegać Gdańsk, a więc i dywizji generała Dąbrowskiego, zrobił przegląd dywizji i kazał zrobić mały manewr, który wykonano z niespodziewaną dokładnością.

Po większych manewrach dziwił się marszałek niezmiernie, że w tak krótkim czasie wojsko to jest w stanie walczyć obok wojsk francuskich. Z drugiej strony nie mógł sobie wystawić, jak to wojsko młode tak skłonne było do zniszczenia. Gdy stanął marszałek na jedną noc w Tczewie, nie mógł w całym mieście znaleźć jednego pokoju, w którym by znaleźć można, choć jedną całą szybę w oknie, piec, albo jakikolwiek sprzęt nienaruszony.

Po 8 dniach pobytu pod Tczewem, przeprawiwszy się przez Wisłę, udaliśmy się ku Gdańskowi. Po trzechdniowym marszu przez Żuławy, pułk nasz miał się złączyć z dywizją francuską, generała dywizji Schrama ¹⁾). Było polecenie, aby z pułku posłano na ordynans żołnierza do sztabu generała Schrama; a że, w czasie marszu podpułkownik

¹⁾ Autor tu pisze nadzwyczajnie ciemno i by to zrozumieć, wypada zrobić takie objaśnienie. Po rannym jenerale Dąbrowskim objął dowództwo nad Polakami generał Kosiński. Polacy byli rozrzućeni po wszystkich dywizjach 10. korpusu. Powtórzę tutaj za Höpfnerem (3. 328) rozlokowanie Polaków w dziesiątym korpusie:

- 1-sza dywizja: generał Michaud. Legia Północna: 3 bataliony, 2148 ludzi.
- 3-cia dywizja: jen. Giełgud
- 2-go polskiego 1. bat. 374 ludzi
- 3-ci polski pułk 2. bat. 946 ludzi.
- 4-ta dywizja: jen. Gardanne
- 2-go polskiego pułku batalion 646 ludzi
- 4-ty pułk polskiej piechoty 1275 ludzi.

— 33 —

Chlebowski słyszał razu jednego grenadyera mówiącego po francusku, z tego tytułu, zatrzymawszy kompanię, zapytał się: „Zdaje mi się, że tu któryś żołnierz mówił po francusku?” Wtem wychodzi grenadyer jeszcze bardzo młody i odpowiada, że on jest tym żołnierzem. Podpułkownik rozkazuje mu oczyścić się i udać się do sztabu. Gdy przybył, zameldował się generałowi po francusku. Generał Schramm, zdziwiony, że w wojsku polskim znajduje się żołnierz mówiący po francusku, zapytuje się jak się nazywa. Tenże odpowiada „Rassin”, na co generał mówi, że on jest chyba Francuzem. „Nie“, — odpowiada, — „ojciec mój był Francuzem, a ja na tej ziemi rodziłem się, a zatem jestem Polakiem „Dlaczego jesteś żołnierzem tylko?” Na co Rassin opowiedział całą biografię życia swego. Ojciec jego, wywieziony małym chłopcem z Paryża, był kuchmistrem u księcia Radziwiłła. On zaś sam, urodziwszy się w Polsce, gdy doszedł do lat pełnych, wzięty był do wojska pruskiego. Dostawszy się pod Jeną w niewolę, później, jako

- Dywizja jazdy jen. Polenz
- 2-gi polski pułk jazdy 3. szw. 215 ludzi
- 1-szy polski pułk jazdy 3. szw. 817 ludzi.
- Poln. Kavall. der Edelleute 2. szw. 121 ludzi.

Razem Polaków pod Gdańskiem 9. batalionów piechoty, 5389 ludzi, 8. szwadronów jazdy: 1153 ludzi. — Cyfry te stosują się do 1-go kwietnia 1807 r. 1-go pułku tu nie widać, bo on w tej chwili należał do oblężenia Kolberga.

Höpfner (3. 352) pisze „die Polen gingen nach dem Gefecht bei Dirschau bis auf Höhen von Rosenberg vor“. Wypada sobie to tłumaczyć, że legia północna, dywizja Giełguda i jazda poszły i zatrzymały się u Rosenberga, to jest na pół drogi między Tczewem i Gdańskiem. Polacy zaś dywizji Gardana, to jest czwarty pułk i batalion 2-go poszły prawym brzegiem Wisły. Generał Schramm zaś dywizją nie dowodził, bo był tylko generałem brygady. Jen. Weyssenhoff pisze: „Już też zaczęto ścisłą blokadę twierdzy, a dla dokonania tego po drugiej stronie Wisły, przecięcia komunikacji z Pilawą i strzeżenia się napaści nieprzyjaciela od tamtej strony, wzmocniono brygadę generała Schramm dwoma pułkami: 2-gim Downarowicza i 4 -ty m Ponińskiego“.

— 34 —

jeniec, — do Polaków oddanym został. Kiedy następnego dnia żołnierz ten miał powracać do domu, generał Schramm dał mu ekspedycję, aby doręczył ją podpułkownikowi swemu; w tej ekspedycji wyrażonem było zadziwienie generała, że taki człowiek, posiadający edukację i w takim wieku tyle mający lat służby, mógł być tak zapomniany i opuszczony, poleca więc w imieniu cesarza, aby grenadier Rassin, w nagrodę długoletniej służby, był natychmiast posunięty na stopień kaprała, w dni trzy na stopień sierżanta, w dni trzy na stopień sierżanta starszego, a na koniec w dni trzy na stopień podporucznika, a po dopełnieniu tego ma się, jako oficer, zameldować generałowi. Co się też i stało, a gdy się zameldował generałowi, ofiarował mu tenże 10 ludorów na mundur, a 10 na epolety.

Po kilkudniowym marszu stanęliśmy na koniec we wsi Firstenwerden ¹⁾, w punkcie bardzo ważnym ze względu na wysokie położenie, potrzebnym do przeprawy przez Wisłę. Skorośmy tam przybyli, przypadła na mnie kolej zaciągnięcia warty obozowej; zebrawszy więc oddział przeznaczony na wartę, udałem się, będąc przez jednego francuskiego żołnierza zaprowadzonym na miejsce, gdzie już stała warta francuska. Przybywszy na miejsce, znalazłem wartę francuską, umieszczoną w izbie u młynarza, którego

¹⁾ Dwie wiorsty od punktu, gdzie Wisła się dzieli na Wisłę i elbląską Wisłę, jest rzeczywiście wieś Fürstenwerden. Tylko dlaczego wojsko szło od Tczewa do tej wsi kilka dni, nierozumiem, bo całej przestrzeni jest tylko 56 wiorst. Pewnie, że autor zapomniał, bo całego marszu było tylko jeden dzień.

W opowiadaniu Białkowskiego, przydzielonego do brygady Schramma, odnajdujemy tylko wiadomości o działaniach cząstkowych. Dla wyjaśnienia więc operacji wojsk polskich dodamy, że generał Kosiński zdobył przed miastem Stolzenberg, a legia północna — Langenfurth. Dzięki niedbalstwu Badeńczyków, zajmujących przedmiście Scheidlitz, w Wielki Czwartek — nieprzyjaciół podczas wycieczki pobił z początku Polaków i zabrał im dużo niewolnika (wówczas został wzięty do niewoli D. Chłapowski), później, pod osobistym dowództwem mar. Lefebvre, odparto wycieczkę.

— 35 —

wiatrak stał niedaleko. Sądziłem, że zmieniam tę wartę, ale dowiedziałem się od oficera, że ja tylko mam rozstawić szyldwachów, tak aby razem z francuskimi stali, dlatego aby się nasi oswoili z miejscowością, a później, gdy ci dalej pójdą, miejsce to nie było opróżnione. Skoro wszedłem do izby dobrze ogrzanej, będąc sfatygowanym z marszu i zziębniętym, usiadłszy sobie, zdrzymałem się. Przebudzony zostałem później przez podoficera francuskiego, który umiał po niemiecku, ten mi oświadcza, że oficer od warty prosi mnie z sobą do kolacji. Ja, będąc rozespany, usiadłszy do stołu, jadłem z apetytem. Kiedy dano pieczone, którego zjadłem ze dwa kawałki, sądziłem, że jem zająca. Gdy mięso zdawało mi się zbyt miękkie i śliskie i mdłe, zacząłem się lepiej temu mięsu przypatrywać, kiedy zobaczyłem nogi od mniemanego zająca zupełnie innej maści, bo była pstrokata. Zrobiło mi się jakieś obrzydzenie, a nie dojadłszy drugiego kawałka, położyłem nóż i widelec. Spostrzegłszy to oficer, pyta mnie, dlaczego nie jem, podziękowałem mu i przybliżyłem się do podoficera, który umiał po niemiecku; ten pyta mnie, czy wiem co jadłem, a na odpowiedź moją, że się domyślam, powiedział mi, że to jest kot, ale przytem zachwalał, że niema wyborniejszego mięsa jak kocie. Jeszcze gorzej mnie zemdliło, ale oficer, spostrzegłszy to, prosił, abym wina się jeszcze napił. Ponieważ wino było wytrawne, przeto cokolwiek lepiej mi się po niem zrobiło. Pozostałe szczątki owego kota oficer oddał warcie, która najdrobniejszymi kawałkami się dzieliła jak najlepszym przysmakiem. — Około północy Francuzi, zebrawszy szyldwachów, udali się w marsz, a Polacy pozycje te zajęli, stojąc tu parę tygodni aż do Wielkiego tygodnia przed Wielkanocą ¹⁾.

W Wielką środę przed wieczorem zapowiedziano

¹⁾ W 1807 roku Wielkanoc była 29. marca, a zatem Wielka Środa była 25-go.

— 36 —

nam, aby wcześniej pójść spać, bo około północy mamy być w pogotowiu do marszu. Gdy zbliżył się ten czas, wystąpiliśmy pod wałem Wisły. Trzeba wiedzieć, że Żuławy są doliną, środkiem której Wisła przechodzi, otoczona dwiema odwiecznymi groblami, czyli wałami i, gdy przyjdzie wiosna, mieszkańcy tameczni pilnują, aby rzeka w którym punkcie nie przerwała grobli, bo w takim razie wszystko by zatoniło. Sądziłem, że w tym punkcie, to jest pod Firstenwerden, przeprawiać się przez Wisłę będziemy, z powodu, że na wale, pod zasłoną jednego zabudowania, ustawiono na faszynach ogromne baterie, wystawione naprzeciw nad Wisłą leżącej wsi, nazwiskiem Grinberg ¹⁾, w której to wsi także już zastaliśmy wał ufortyfikowany i działa zaciągnięte. Ale inaczej się stało. Kazano nam pójść poza wałem w górę Wisły, a uszedłszy około mili drogi, przybyliśmy do wioski Route Bude, także leżącej nad Wisłą; tam nakazano nam zaczekać i rozdano żołnierzom po szklance wódki, około kwaterki trzymającej. Później, skoro czas nadszedł, wsiedliśmy na berlinki. Na każdą berlinkę zmieściła się jedna kompania Francuzów i jedna Polaków. Gdy już wszystko było gotowe, nakazano największą cichość. Posuwaliśmy się z wodą, kierując się nieznacznie pod brzeg przeciwny, czyli lewy, Wisły, a czas był tak doskonale wyrachowany, że tylko co dzień zaczynało przybyliśmy do wsi Grinberga.

Gdy za pomocą rozjaśniającego dnia szyldwachy pruskie, stojące na wałach spostrzegli nas, zaczęli nasamprzód krzyżeć: „wer da! wer da!” a później „Raus, raus“, a żaden nie strzelił, tak że my do lądu otwarcie przybijaliśmy. Nareszcie wystąpiła pruska warta z poza wału i ta dopiero zaczęła strzelać. Na nieszczęście nasze brzeg był tak płytki, żeśmy berlinkami przybić do brzegu nie mogli, a Prusaków coraz więcej przybywało i obsypywali nas

¹⁾ Autor zapomniał, wsi z takim nazwiskiem tu niema, a naprzeciw Fürstenwerden jest wieś Szönbaum.

— 37 —

kulami, będąc sami ukryci za wałem. My odpowiadaliśmy z berlinek, stojących bokiem do brzegu, jednakowoż nie mogliśmy rozwinąć naszej siły. Byliśmy skupieni, tem więcej nas przeto ginęło. Nasi dowódcy krzyczą: „W wodę!” A zatem, wzięwszy broń i patrontasze do góry, wskoczyliśmy z bory do wody.

Mieliśmy iść wodą więcej jak 50 kroków, a Prusacy gromadzili się i coraz gęstszym ogniem razili; bylibyśmy niezawodnie odparci, gdyby nie bateria po drugiej wówczas stronie Wisły, pod Firstenwerden, która przez rozebranie zabudowania, maskującego ją poprzednio, teraz odsłoniętą została. Ogień przeszło 20 dział — spędził Prusaków. My tymczasem opanowaliśmy brzeg, a skoro dostaliśmy się do wału, posłużył nam on za parapet, skąd zaczęliśmy sypać ogień.

Wspierani od baterii z przeciwnego brzegu, w krótkim czasie wyparliśmy całą załogę Grinbergu i wzięliśmy 6 sztuk dział, do których nieprzyjaciół nie miał przygotowanych koni.

(Ludzie, wpakowawszy się w błoto z działami, takowe zostawić musieli, w ten sposób wpadły w ręce nasze wraz z 700 niewolnika). Reszta załogi, rozsypawszy się po zarośniętej okolicy, ucieczką się ratowała.

Po posunięciu się w dyrekcyi ku Gdańskowi, uszedłszy z pół miii, napotkaliśmy w jednym zabudowaniu 2 kompanie piechoty pruskiej. Zabudowanie było w kwadrat murowane pod dachówką, murem otoczone, na którym były sztachety, a za którymi stali Prusacy i bronili przystępu.

Kiedy dowódca batalionu francuskiego posłał parlamentarza, aby broń złożyli, nie chcieli nawet przypuścić takowego, odpowiadając strzałami, co zatrzymało nasze posuwanie się. Ale nasz dowódca spostrzegł, że między oblężonymi niema żadnego oficera, tylko jakiś brzuchaty podoficer, czy feldfebel, najwięcej się uwijał. Rozkazał dobrze strzelającym żołnierzom swoim powchodzić na dachy przyległych domów i wskazanego podoficera

— 38 —

na cel brać. Ten śliczny pomysł koniec położył bitwie, bo, jak tylko feldfebla zabito, natychmiast cała gromada hurmem do bramy udała się i otworzyła. Wskutek tego wzięliśmy 400 ludzi i zapasy żywności nagromadzone w tym budynku i tak bez przeszkody żadnej udaliśmy się dalej. Około 3. godziny z południa ukazały nam się wieże Gdańska. Mieliliśmy jeszcze jedną odnogę Wisły, którą przebyć nam trzeba było. Jednakowoż, jeszcze przed Wisłą spostrzegliśmy znaczny korpus pruski, który był wysłany dla wsparcia uchodzącego przed nami wojska pruskiego. Skoro nasze oddziały zeszyły się i połączyliśmy się ze sobą, rozpoczął się ogólny ogień, ale w tym punkcie nieprzyjaciel miał przewagę nad nami, z powodu żeśmy dział nie mieli, oprócz sześciu w Grinbergu wziętych. Zbliżająca się noc koniec położyła tej bitwie, Prusacy opuścili Herbody i cofnęli się przez most do Gdańska, a my, zająwszy Herbody, natychmiast rozpoczęliśmy sypanie okopów. Nazajutrz, to jest w Wielki Piątek, znowu Prusacy wyszli przeciwko nam, a po długiej utarczce — cofnęli się znowu nad wieczorem, widząc niemożność wyparcia nas z Herbody z powodu usypanych szanów¹⁾. W Wielką Sobotę przybył korpus francuski „Garde de Paris”, który zajął nasze stanowisko, a my udaliśmy się na morze, prawie na wysokość fortecy, którą Prusacy nazywają „Weichselmünde”. Postawiono

¹⁾ Höpfner czerpał z źródeł autentycznych, i pod względem dat mylić się nie może. Nasz autor czerpał jedynie z pamięci, przeto Höpfnerowi trzeba oddać pierwszeństwo. On pisze (3. 413), że w Wielką Sobotę 28. marca: „Die französische Besatzung der Nehrung drängte von Neufahr über Heubude gegen Weichselmünde und der Kreit, dem Ganskruge gegenüber, vor, wurde aber von einiger Infanterie, den Kosacken und Geschützen beim Ganskruge zurückgetrieben; jedoch behielten die Französen Heubude besetzt und postirten Schutzen langs des Weichseldames“. O nowych wypadkach na Heubude Höpfner nie wspomina. W tym czasie Weyssenhoff został mianowany gros-majorem 4-go pułku i objął faktycznie jego dowództwo, gdyż Poniński „mało się trudził pułkiem i służbą“.

Pułk 4-ty rozkwaterowany był w okolicach Heubude.

— 39 —

nas na wzgórzu piaszczystym nad morzem i tam, sypiąc baterie, przepędziliśmy święto Wielkanocy, dostawszy tylko na święcone po 5 kartofli, które dla braku naczyń — piekliśmy. Jeżeli można w życiu człowieka liczyć dni nieszczęśliwe, to te, któreśmy spędzili wówczas nad morzem, do nieszczęśliwych należą. Nasamprzód, każdy z nas, który pierwszy raz odwiedzał morze, odchorować musiał na morską słabość, to jest womity, zawrót głowy, febrę i gorączkę. Ale obok tego, nieznośniejsze było położenie nasze, bo trzeba było dzień i noc pracować około fortyfikacji, a ziemia piaszczysta bezskuteczną pracę robiła, gdyż, co usypimy, skoro wiatr owieje i uschnie, natychmiast się rozsypie. Aż wreszcie saperzy francuskie dostarczyły nam faszyn i koszów, które przecież zatamowały sypanie się piasku. Z powodu przenikliwego zimna od strony morza, przedsiębraliśmy rozpalenie ogniska dla ogrzania się, ale nieszczęściem — wiatr mocny gasił i rozrzucał ogniska, a piasek, niesiony pędem wiatru, oczy zasypywał. Kiedy owe baterie już były bliskie ukończenia i byliśmy szczęśliwi, mając jakąś zasłonę od zimna i wiatru, przybywa korpus saperów pieszych i zajmuje baterie przez nas usypane, a nam rozkazano udać się napowrót do Herbody dla sypania nowych szanów. Trafialiśmy z deszczu pod rynnę, bo postawiono nas w takim punkcie, gdzie Wisła się zakręca, przeto, po usypaniu tak nazwanej reduty, ciągle niepokojeni byliśmy przez baterie nieprzyjacielskie pływające, zbudowane na berlinkach. Posuwały się one pod wodę, w zakręt, wzdłuż naszej reduty i rdzennym strzałem granaty do naszej reduty wrzucały. W końcu marca marszałek Lefebvre uznał za konieczne przeciąć komunikację między Gdańskiem a Münde. W tym celu postanowił pod zasłoną dwóch redut zbudować most na Wiśle, który miał zarazem ułatwić komunikację między korpusami¹⁾.

¹⁾ Nasz pamiętnikarz, jak w ogóle oficerowie niżsi, opisujący działanie wojenne, jest tu bardzo niejasnym. Dla objaśnienia więc dodajemy, że w dalszym ciągu mówi on o zbudowaniu reduty naprzeciwko cypla wyspy Holm — na prawym brzegu Wisły. Reduta ta dochodziła do kanału Laake, który ją przedzielał od długiego i ostrego cypla wyspy Holm.

Pułk 4-ty wyruszył na tą pracę z lasu na półwyspie Nehrung. Tajemniczość tej roboty była konieczną, bo punkt, na którym sypano redutę, wystawionym był na ogień twierdzy Weichselmünde.

— 40 —

Polecono to inżynierii, która, poznawszy pierwiej pozycje, będące jeszcze w posiadaniu nieprzyjaciela, przygotowywała faszyny i kosze, jednocześnie po obu brzegach Wisły rozpoczęła budowanie dwóch redut, w sposób następujący: Jednego wieczora, w czasie nocy ciemnej i dżdżystej, wzięto nas trzy kompanie; udaliśmy się do terytorium saperskiego, gdzie zastaliśmy mnóstwo koszów na ten cel porobionych.

Inżynieria rozdzieliła nas na rotę, tak że każda rota, składająca się z 3 ludzi, miała w ten sposób podzieloną pracę: dwóch ludzi wzięło za końce kosz, a trzeci człowiek niósł broń wszystkich i 3 szpadle, dla siebie i dwóch niosących kosz. Tak zorganizowana, cała nasza karawana ruszyła za przewodnictwem inżynierów, zalecających nam największą ciszę. Gdy przyprowadzono nas na punkt przeznaczony, inżynier, zaczawszy od rotę pierwszej, rozstawił nas, mierząc krokami tak, aż uformował kwadrat, obrócony jednym rogiem ku Wiśle. Gdy która rota była już na miejscu poleconem, ta, postawiwszy kosz, jak najspieszniej go ziemią zasypała, tworząc zasłonę od strzałów nieprzyjacielskich. Wszystko to odbywało się z największą możliwie ciszą.

Nie sposób było jednak, aby przypadkiem, natrafiwszy na kamień szpadlem, o niego nie trącono. Aż oto słyszymy głos szyldwachów poza nami i od strony naszego obozu, wołające: „Wer da?!“ — a po trzechkrotnym zapytaniu strzeliły jeden po drugim i uciekły ku swoim, tak że jeden nawet na kopiących żołnierzy wpadł.

— 41 —

Gdy krzyki doszły do Gdańska, nie uderzono od razu na alarm, ale zabrano się do zorientowania się, w którym punkcie jest nieprzyjaciel. Mieliliśmy więc dość czasu (nie zachowując już milczenia) nie tylko do nasypiania koszów, ale nawet do obsypania ich ziemią, a co więcej, do wykopania przed koszem rowu pewnej głębokości, co nas wszystko bezpiecznymi od strzałów robiło.

Prusacy nie wiedzieli, gdzie wyszukiwać wśród nocy ciemnej nieprzyjaciela. W tym celu wyrzucono w różnych kierunkach tak nazwane Leichtkugel. Były to kule, obciążone w płachty, maczane w palnej materii, a szczególnie w siarce. A zatem strzelano takimi kulami, które, gdy jedne gasły, drugie niecono, aż nareszcie i dostrzeżono nas. Wtedy, obok palących się kul, rozpoczęto kanonadę granatami w kierunku naszym i dolnej reduty po drugiej stronie Wisły. Dzięki Opatrzności nikt, nie tylko zabitym, ale nawet rannym nie został. Uprzykrzywszy sobie bezskuteczne strzelanie, zaprzestano strzelać około 1-szej godziny z północy, a my już wkopaliśmy się tak, że w samej fosie można się było schować. Około godziny trzeciej przybył do nas cały pułk

trzeci, czyli jedenasty i zmienił nas, a my udaliśmy się zaraz nad morze do lasku, dla odpoczynku. Każdy padł na ziemię pracą strudzony.

Za zbliżeniem się dnia — przebudził nas mocny ogień artylerii pruskiej, która usiłowała, albo rozbić rozpoczęte reduty, albo wyprzeć pracujących, ale próżne były usiłowania, gdyż reduty były prawie na ukończeniu ¹⁾. W krótkim

¹⁾ Autor nie przedstawił całej sprawy dokładnie. W nocy nie strzelano do reduty, ale rano — ogień z twierdzy Weichselmünde „zrobił wielką szkodę w żołnierzach i oficerach. Równocześnie silna wycieczka z Gdańska rzuciła się na wojsko w reducie; odparto ją i utrzymano się na stanowisku”.

„Jenerałowie Gardanne i Schramm byli niewypowiedzianie zadowoleni z wytrzymałości naszego żołnierza”.

Najwidoczniej Białkowski — nad ranem — odszedł ze swym oddziałem do lasku i w dalszej akcji udziału nie brał, jak się to zresztą dobrze zgadza ze zdaniem przedostatnim, z którym ostatnie jest w widocznej sprzeczności.

Dodajemy tutaj, że następnych dni wziętą została wyspa Holm. Cała jej załoga (2 batal. rosyjskie) wzięta została do niewoli.

— 42 —

czasie pod ich zasłoną, rzucono most przez Wisłę na pontonach; bojąc się zaś, aby nieprzyjaciół takowego nie zniszczył, puszczając statki naładowane ciężarami, albo spuściwszy drzewa, opatrzone wspomniany most łańcuchami, co, jak się później okaże, bardzo się przydatne stało. — Gdy to wszystko, co zmierzało do przerwania komunikacji, ukończonem było, Francuzi przewidywali, że

trzeba się spodziewać posiłków dla oblężonych, na morzu bowiem stało na kotwicach 6 okrętów wojennych. Przeto w tym celu kompanię, w której byłem, odkomenderowano w tył, znowu do Firstenwerden, a to dla asekuracji magazynów, które w tej wsi złożono. Ponieważ było nas młodszych oficerów w kompanii dwóch, przeto codzień jeden z nas udawał się do Malborka, biorąc z sobą 60 fur czterokonnych, na których przewoziliśmy żywność i takową zaraz składali na berlinki, a te prowadziły ją dla wojska pod Gdańsk. Gdy to się kontynuowało przez dwa tygodnie, jednego poranku przysłała po mnie komendant placu, nazwiskiem Raffi, kapitan karabinierów francuskich, który mi oznajmiał, że mam pójść na bardzo ważną ekspedycję. Zaczawszy od tej wsi aż o mil trzy w przestrzeni, polecano mi ponad Wisłą wszystkie statki, berlinki, galary, zgoła wszystkie statki aż do małych pudeł i członów, zebrać i do Firstenwerden odprowadzić, a takie, któreby za niezdolne uznał, podpalić i nie zostawić żadnego. Obok tego udzielił mi komendant placu ustnie, pod sekretem, wiadomości, że cel zabrania statku jest ten: odebrano wiadomość, że nieprzyjaciół w znacznej sile zbliża się, chcąc nam wziąć tył. Mógłby więc postawić most ze statków na Wiśle i uwolnić Gdańsk od oblężenia. Opatrzono mnie stosownym rozkazem i obok tego poleceniem do Obersultzwów

— 43 —

wszystkich, aby w razie potrzeby pomoc mi dodali, a to pod karą śmierci.

Wziąwszy 30 żołnierzy i 5 podoficerów udałem się w stronę tę, jak mi polecono, a przejęty będąc ważnością mej czynności, najskrupulatniej zbierałem wszystkie statki po drodze. Uszedłszy już przeszło milę, spotkałem pięciu ludzi na statku przewozowym, który środkiem Wisły płynął, a na widok mego oddziału zaczął się brać ku brzegom przeciwnym. Kiedy po nadaremne wołaniu nie zwrócili się ku mnie, rozkazałem kilku żołnierzom wystrzelić. Gdy usłyszeli strzały, natychmiast ten, co stał u rufy, spuściwszy żagle, zaczął chustką machać na znak uległości. Gdy przybili do brzegu, tłumaczyli się, że nie słyszeli wołania. W końcu, rozkazawszy im ładunek zabrać sobie, kazałem kartę, przygotowaną od komendanta placu, przybić na statek, zostawiwszy żołnierza na warcie. Właścicielowi powiedziałem, że ten statek pójdzie tylko do Firstenwerden, co on usłyszawszy, załamał ręce i odpowiada, że już więcej ze swoim statkiem się nie zobaczy i dodał, że, jeżeli nam potrzeba statków, to niedaleko stąd, w Tigenert jest ich może paręset i z tamtych można sobie wybrać ile się podoba.

Będąc uwiadomionym o powyższych statkach, udałem się do wskazanego miejsca. Zbliżywszy się do tej wsi, spostrzegłem między zaroślami żołnierza, który natychmiast w nich się ukrył. Ten, jak się zdawało, był Prusakiem. Wydało mi się to być rzeczą wielkiej wagi, wystawiałem sobie, że może Prusacy już zbliżają się dla dopięcia swoich zamiarów. Pośpieszywszy do wsi Tigenert, zastałem na kanale najmniej 200 statków. Jedne stały zamrożnięte, inne wyciągnięte na lód do reperacji, a na ostatek było ich kilkanaście nowych na warsztatach. Zapytałem człowieka, gdzie był szultz, czyli wójt, a skoro mi wskazano jego mieszkanie, kazałem go do siebie przywołać. Skoro do mnie przybył, powiedziałem mu, że te wszystkie statki muszą zabrać do Fürstenwerden, na co mi wójt odpowiada,

— 44 —

że trzebaby zawezwać ludzi jeszcze z przyległych wiosek, a to inaczej być nie może, tylko należy posłać rozkaz obersultzowi, który to najspieszniej wykona. Udałem się tedy do mieszkania wójty dla wydania polecenia do nadwójciego i kazałem przygotować furmankę dla posłania podoficera z rozkazem. Wójt, postawiwszy nasamprzód butel winą garncową, prosił, abym się posilał. Odpowiedziałem mu, że, jak zrobimy co się należy, to się później napijemy. Wtem wchodzi tamtejszy pastor, nazwiskiem Klousel,

którego poznałem był poprzednio, a po przywitaniu się wzajemnem pyta mnie, co mnie sprowadza w te strony. Gdy mu opowiedziałem całą sprawę, zaprosił mnie do swego mieszkania, dodawszy, że sam mi ułatwi sprowadzenie nadwójciego i zrobi wyrachowanie, ile do tej czynności potrzeba będzie koni, ludzi, lewarów, bo, jak mi mówił, te statki muszą być przeciągane przez wały, czyli groble, najmniej sześć sążni wysokie. Kiedym się temu dziwił, odpowiedział, że to siłą i sposobami wszystko da się zrobić, a na przekonanie dodał, — wskazując mi na stojące na lądzie statki: „Oto te statki musiały tu przyjść tą samą drogą, a zatem pójda i napowrót”. Udałem się potem do mieszkania pastora, wzięwszy z sobą starszego podoficera, a, że już było około godziny 4. z południa, podoficer radził mi, abym rozkwaterował żołnierzy dla posilenia się po marszu. Zezwoliwszy na to, przykazałem żołnierzom, aby, gdy podjedzą, natychmiast zebrali się do austerii i tam wszyscy nocowali, wystawiając wartę potrzebną. Nie wyszło godziny, co tylko obiad zjadłem z pastorem, przybywa nadwójci i oświadcza, że przybył porozumieć się ze mną i obliczyć ilość potrzebnych do wykonania pracy robotników. Liczył, że potrzeba będzie najmniej 200 koni z zaprzęgiem, 500 ludzi z siekierami dla zrąbania lodu na kanale, najmniej 2 wiorsty długim, 200 ludzi z rozmaitemi narzędziami, jako to linami, wałkami, lewarami i t. p.

To rozliczenie mnie oddał i zapewnił, że równo ze

— 45 —

dniem mogę sprowadzić wszystko podług tego wyrachowania, że wszystko, co do joty, na mój rozkaz oczekiwać będzie. Zrobiwszy sobie podział na wioski, natychmiast przez posłańców już przysposobionych rozkazy swe rozesłał. Nakoniec zbliżył się i wieczór. Ja udałem się do moich żołnierzy, aby się przekonać, czy są w austeryi wszyscy i czy warty porozstawiane. Wszystko zastałem w należytym porządku. Przybył też wkrótce i pastor, nalegając, aby powrócić do niego, oświadczając, że już kolacja na nas czeka. Poleciwszy podoficerowi czujność i ostrożność, udałem się z pastorem, a po kolacyi zdecydowałem się zanoć u niego. Po kolacyi — pastor, chcąc mnie zabawić, usiadł do pantalionu i zaczął różne śpiewy nucić. Pomiędzy innymi nucił także śpiew o przyszłości i przeznaczeniu człowieka, twierdząc, że nie można się spodziewać, kiedy śmierć człowieka spotka i przytoczył jako przykład, że jego wielki przyjaciel, oficer pruski, na godzinę przed atakiem w Tczewie tę piosnkę nucił, przygrywając sobie, tak jak on to obecnie robił, i został zabity podczas ataku. Obróciwszy się do mnie, w oczy mi seryo patrzył, prawie tak, jakby mi chciał coś złego wróżyć. Przyszedł mi wtedy na myśl ów żołnierz widziany w zaroślach; zdawało mi się, że pastor chce mnie nieznacznie ostrzedz o zbliżającym się jakimś wypadku. Lubo wskroś mnie przejął obawą, przecie niedawałem tego poznać, ale niezwłocznie, wzięwszy pałasz i kaszkiet, udałem się do oddziału, obiecując wrócić na noc. Z austeryi posłałem podoficera do niego z doniesieniem, że odebrałem rozkaz, aby być w pogotowiu do marszu i dlatego nocować muszę przy moim oddziale. Pocziwy pastor kazał przynieść za sobą pościel dla mnie i mówił, że podobno ostatni raz ze sobą się widzimy. Ja, roześmiewszy się, odpowiedziałem, że przed rankiem może ostatni. Po rozłączeniu się z nim, kazałem warty w innych stanowiskach rozstawić i sztyldwachów liczbę powiększyć. Zaniepokoiła mnie ostatecznie przepowiednia pastora, ale w końcu ta uwaga przysłała mi na myśl, że może chciał on

— 46 —

mnie zastraszyć, abym opuścił Tigenert, a z nim i statki. Postanowiłem przeto użyć wszelkiej ostrożności, nie zmrużyć oka przez całą noc, ale też tego miejsca nie opuścić. Noc przepędziłem bez snu, na ustawicznym patrolowaniu. Wreszcie rozwidniać się zaczęło.

Ze wszystkich stron zaczęły się ściągać oddziały koni i ludzi, wieziono liny, lewary, walce i t. p.

Przybył też nakoniec i nadwójci, a, gdy już dzień dobrze się rozwidnił, kazałem nasamprzód rąbać lód na kanale, rozstawivszy podoficerów i żołnierzy w punktach takich, aby dozorowali pośpiechu w robocie. Tymczasem pastor zaprosił mnie do siebie na kawę, na którą dość długo musieliśmy czekać. Po wypiciu zerwałem się, aby pospieszyć do swojej czynności. Ledwie tylko obszedł i obejrzał robotę, znowu zaprasza mnie nadwójci na śniadanie; podziękowałem mu za zaproszenie, mówiąc, że dopiero jestem po kawie. Znowu, po pauzie półgodzinnej, zaprasza mnie tenże do oberży, aby przynajmniej się czegoś napić; odpowiedziałem, że żadnych trunków nie piję, uwolniłem się znowu od straty czasu.

Przybył znowu pastor i zaprasza mnie znowu do apteki (bo ta wieś była tak porządną, że była w niej apteka), mówiąc, że doskonale cukry sprowadził aptekarz (domyślić się należy, że chciano mnie z początku podpoić, a że trunków nie piłem, przeto wypytawali się moich podoficerów, co ja lubię, a dowiedziawszy się, że lubię słodyczne, chcieli mnie niemi sobie ująć i na czasie zyskać). Przyjąłem ofiarowane mi przysmaki i udałem się do apteki, gdzie aptekarz, będąc już przez nich uprzedzonym, zastawił sute śniadanie. Kiedy odpowiedziałem, że tylko miały być cukry, odpowiedział, że będą i cukry jako deser. Zauważyłem, że śniadanie umyślnie przeciągano i domyśliłem się odrazu, że mają jak is interes w zwłoce czasu, postanowiłem sobie tedy natychmiast z wszelką sprężystością wziąć się do wyprowadzenia statków na Wisłę. Gdy wyszedłem z apteki, widzę, że nic jeszcze nie jest zrobione, żołnierze i podoficerowie

— 47 —

tylko dla pozoru chodzą i krzyczą, a robota nie idzie. Wziąwszy tedy na bok pastora, mówię mu, że, jeżeli ta robota ma iść dla pozoru, to ja nie chcę nawet fatygować ludzi, a każę statki podpalić, a tem samem uwolnię i siebie i was od odpowiedzialności. To mówiąc, biorę głównię z ogniska i podkładam pod statek w złym stanie będący. Skoro ten się zapalił i zobaczono płomień, jak się ruszą ludzie do roboty i konie, w pół godziny więcej zrobiono jak przez pół dnia. W momencie kanał zrabano, a 7 statków nowych końmi doprowadzono do Wisły. Żołnierze zepchnęli 20 — z warsztatów w wodę. Widząc, że robota idzie z pośpiechem, pochwiliłem takową. Pastor, widząc mnie w lepszym humorze, proponuje mi, abym się udał w to miejsce, gdzie przeciągają na wałkach ogromne statki przez wał i spuszczaają do Wisły. Prawda, że mozolna i trudna praca, ale czegoż siła i sposób nie dokażą, bo wspomniane statki końmi, lewarami i ludźmi przeciągali. Miałem już wówczas na Wiśle 11 statków, a po inne wracały się konie.

Odprowadziwszy mnie pastor na bok, zrobił mi tę propozycję, że, lubo wchodzi w to, że, będąc sam na mojem miejscu, inaczej by nie postąpił sobie, uważa, że można te rzeczy załatwić zgodnie. Proponuje mi następnie, że lepsze statki pospuszczaają na kanał i takowe zatopią, a gorsze dla pozoru popalą. Kiedy ja tę propozycję bez namysłu odrzuciłem, różnymi sposobami wabili mnie do austeryi.

Gdy tam wszedłem, zastałem cały stół założony pieniędzmi, których było do 20000 gdańskich złotych, to jest na naszą monetę 48000 złotych; pokazawszy mi te pieniądze, Niemcy odeszli. Ja, tak jakbym nie zrozumiał niczego, wyszedłem za nimi, a widząc to, pastor otwarcie mi powiedział, że pieniądze te przeznaczone są dla mnie, i że podoficerowie i żołnierze są już nagrodzeni. Wtedy ja z oburzeniem powiedziałem pastrowi, że mnie źle poznał, kiedy mi tak krzywdzące robi propozycję, a w duszy

— 48 —

pomyślałem sobie, ile wziąłbym na swoje sumienie. A gdy nie mogli nic ze mną zrobić, posłali jak najprędzej po mego kapitana i z nim załatwili wszystko. Kapitan kazał udać się z tymi 11. statkami do Firstenwerden, dając przyczynę, że już nie potrzeba wspomnianych statków. Mnie zaś na boku powiedział, niby w sekrecie, że nieprzyjaciel, odpędzony daleko, nie pokusi się odpędzać nas więcej od oblężenia Gdańska, co było fałszywem, jak się niżej okaże. Jak już mówiłem, kapitan rozkazał mi wsiąść na owe statki i zabrać ze sobą oddział żołnierzy, pozaprzęgać po parze koni do każdego statku. Udaliśmy się na całą noc ku swemu stanowisku. Ja przybyłem do Firstenwerden nadejściem, a kapitan rano około godziny dziesiątej. Wtem przychodzi rozkaz, aby jak najprędzej udać się pod Gdańsk; już wszystko wojsko z Malborga przy naszej wsi tego dnia przez Wisłę przeprawiało się ku Gdańskowi. Skorośmy przybyli pod Gdańsk, nasza kompania zajęła znowu tę samą redutę pod liczbą 6, co i dawniej. Podwojono ostrożność, tak, że całą noc staliśmy pod bronią.

W tym czasie żołnierz, będący na ordynansie u mego kapitana zbiegł, zabrawszy temuż rzeczy i pieniądze. Czwartego dnia po naszym powrocie, w samym świtaniu słyszymy nagle huk dział od strony Mindy, później rozpoczyna się ogień ręcznej broni niezmiernie gęsty i posuwający się za naszą linię ¹⁾). Garnizon gdański występuje przeciwko nam i atakuje nasze reduty. Skutek tej wycieczki był następujący: Już wyżej wspomniałem o 6 okrętach wojennych, które konwojowały statki przewozowe, na których mieściło się Rosyanów 8000 piechoty, który to korpus

¹⁾ Nasz autor mówi w dalszym ciągu o wycieczce, której dokonał z twierdzy Weichselmünde jen. Kamiński w dniu 15. maja, chcąc przerwać linię oblężniczą. Polacy ponieśli dość znaczne straty, ale w końcu wycieczka została odpartą.

Załoga gdańska nie wzięła udziału w tej walce, nie mogąc się przeprawić przez Wisłę.

— 49 —

wysadzonym był na ląd pod Mindą. Równy ze dniem zaczął on natarczywy atak, najpierw uderzając na ową redutę, którąśmy w nocy zaczęli sypać. Bronił jej batalion pułku 2-go (później 10-go), dowodzony przez szefa batalionu Paris, który w obronie tej reduty został zabitym. Nieprzyjaciel, zdobywszy redutę, byłby w pień wykłut żołnierz, gdyby nie wzięli się na dobry sposób, że wszyscy, rzuciwszy się na ziemię, udawali zabitych. Ponieważ nieprzyjaciel miał ludzi mocno podpojonych, przeto takowi, wpadłszy do reduty, poprzewracali działa, a potem spieszenie dążyli za drugimi, którzy najszybciej posuwali się w tył poza fortyfikacje nasze, usypane w Heuboden, a tak byliśmy wkoło otoczeni. Ale Francuzi, jak się należy domyślać, musieli być w jakiś sposób uwiadomieni o wspomnianej wycieczce.

Jak wspomniałem od 3 dni pościągano wojska i wzmocniono rezerwy, które codziennie podchodziły na noc pod Heuboden. Tej nocy, kiedy się rozwidniło, rezerwy, spodziewając się, że już ataku nie będzie, troszkę wcześniej udały się w tył na dzienne leże. Kiedy usłyszały ogień, już nieprzyjaciel w koło nas otoczył i ogień na wszystkich punktach się rozpoczął. Nagle posłyszeliśmy ogień z ręcznej broni na tyłach linii nieprzyjacielskiej, która, chociaż zagnała się, wkońcu, zwinawszy się w kolumny, cofać się zaczynała. Wtem z boku nadszedł korpus opodal stojący, składający się z gwardyi paryskiej, a wtedy, jeżeli szybko posuwał się nieprzyjaciel przy ataku tym, tem spieszniej cofał się do swych statków; został jednak przez inny korpus rezerwowo odcietym, tak, że tylko mała część, zostawiona dla ostrzeżenia statków, zdołała ująć na statki, reszta zaś w małej części tylko wzięta w niewolę, a w większej — wyciętą i wykłutą została ¹⁾).

¹⁾ Jen. Kamiński atakował linie oblężnicze w dniu 15 maja, ale odparto go z łatwością. Straty polskie, wbrew Białkowskiemu, były dość znaczne.

— 50 —

W parę tygodni potem, — pamiętam, było to w pierwszych dniach maja, był dzień słotny, i wiatr mocny wiał od morza ku Wiśle. Korzystając nieprzyjaciel z kierunku wiatru, przedsięwziął przebić się Wisłą do Gdańska i, impetem uderzywszy, most zrobiony na Wiśle zerwać. Ale inaczej się stało. — Jedna fregata angielska, rozpuściwszy żagle, za pomocą wiatru z morza do Wisły wpadła jak można najszybciej; pędzona wiatrem, płynęła ku Gdańskowi. Spozregłszy ją, baterie nadbrzeżne sypały ogień z dział do niej. Przypłynawszy fregata do mostu, pewną była, że go zerwie i do celu dojedzie, kiedy wskutek ognia strzaskanym został maszt główny. Tymczasem most, opatrzony łańcuchami, nie tylko że nie został zerwany, ale stał się główną zaporą. Widząc kapitan fregaty niemożność przebicia się, spuścił żagle i dał znak poddania się.

Pierwszy raz widziałem wojsko angielskie, którego było około 100 ludzi. Na tej fregacie wieziono pieniądze, amunicję i lekarstwa; domyślaliśmy się, że tych artykułów brakuje oblężonym ¹⁾).

W ostatni czwartek przed Zielonemi świętami ²⁾ marszałek Lefebvre kazał rozpocząć ogólny atak do Gdańska, a artyleria forteczna, to jest moździerz, wysypała tysiące bomb i granatów, że widzieliśmy w Gdańsku niezmierny pożar stąd powstały. Wstrzymał bombardowanie, marszałek posłał parlamentarza, proponując poddanie twierdzy.

Z tego powodu nastąpiło zawieszenie broni ³⁾), wskutek

¹⁾ Działo się to 19. maja. Na korwecie było 300 centnarów prochu i 500 szufli owsa. Znajdował się na niej adjutant Kamińskiego Łopuchin i 40 pruskich wolnych strzelców. Korweta nazywała się Dountless (Höpfner 3. 503). Kapitulowała ona dzięki temu, że osiadła na mieliźnie przy brzegu. Komendant jej zapewnia, że gdyby miał majtków Anglików, nie Prusaków, byłby „mosty pogruchotał... i stanął w Gdańsku”.

²⁾ Wielkanoc w 1807 była 29. marca. Zielone Święta 17-go maja a ostatni czwartek przed Zielonemi Świętami był 14. maja. Pomylił się nasz pamiętnikarz co do porządku faktów.

³⁾ Höpfner (3. 517) pisze, że Lefebvre 21-go maja posłał swego adjutanta pułkownika Lacoste do Kalkreutha z propozycją poddania się. Kalkreuth, mając tylko w twierdzy 825 centnarów prochu, oświadczył, że jeżeli do 27. maja nie odbierze zasiłków, to wówczas podda się na kapitulację.

— 51 —

czego marszałek rozkazał, aby druga linia zajęła baterie, a pierwsza aby się udała na spoczynek. Przeto nas ablezowało wojsko heskie ¹⁾ a my, udawszy się z pół mili w W przeszliśmy most na Wiśle i udaliśmy się na lewy brzeg tejże, na Żuławy.

Kiedy zajmowaliśmy domy na kwatery, braliśmy jeden dom na kompanię; prawda kompanie wówczas nie bardzo już były mocne, bo najwięcej po 80 ludzi liczyły. Lubo gbury żuławskie przez oblężenie w części podniszczeni byli, przecież mieliśmy lepszą wygodę jak w redutach. Gdy zajmowaliśmy te nowe miejsca, oficer z powstania mazowieckiego, nazwiskiem Suski, dawał mi rady — z powodu zawieszenia broni. „Jak to zwyczajnie w oblężeniu, żywność w Gdańsku musi dobrze popłacać, przeto mieszkańcy tutejsi przemkają się wodą, dowożąc takową do forticy. Uważaj przeto, mówił mi, jakby taki do Gdańska płynął, to daj mu pokój, a stamtąd chwytaj, a dobrze ci się opłaci. Ja, mówił, pokazując znaczny trzosik, nie mało sobie zebrałem”.

Nasza kompania wysuniętą była za wieś i trzeba było do kwatery iść przez grobelkę, której było może około 300 kroków. Kiedyśmy postali parę dni, jednego poranku idzie kompania do apelu do wsi, aż tu widzimy grobla przerwana wodą. Kapitan kazał się wrócić kilku żołnierzom i poszukać jednej kładki. Niedługo bawili się ci żołnierze i przynieśli dwie sztuki drzewa, widać na krokwie przysposobione i takowe pokładli na wspomnianą przerwę. Przechodząc przez tę kładkę na dzień kilka razy, tak ją wgnietli, że zrównała się z powierzchnią

¹⁾ Do oblężenia Gdańska należeli Francuzi, Polacy, Sasi i Badeńczycy, a więcej żadnych wojsk nie było. Tak przynajmniej widać z 77 bullet. wielkiej armii i dzieła Höpfnera (3. 383.)

— 52 —

wody ¹⁾. Tego samego dnia, gdy stanęliśmy u apelu, ogłaszają nam rozkaz, że spodziewają się jakieś korespondency z Gdańska przez linie oblężnicze ku Memlowi, przeto każdy, który taką korespondencję by przejął, otrzyma w nagrodę krzyż legii honorowej albo 300 dukatów gratyfikacji. W tym celu został urządzony wodny patrol codziennie, na który dnia tego zostałem odkomenderowany.

Skoro tylko się zmierzchno, mając już urządzone czółno i przewoźników, udałem się do przewozu, wzięwszy ze sobą dwóch żołnierzy z bronią. Puściłem się ku Gdańskowi, a że cała okolica była zalana, przeto tylko drzewa oznaczały drogę albo kanały. Domy do połowy stały w wodzie. Wypytawszy się przewoźników, którzy by można pod płynąć jak najbliżej fortyfikacji, otrzymałem odpowiedź, że bym się spuścił na nich, że oni wiedzą wszystkie manowce wodne, że w każdym razie zapytają się później, którzy i jak daleko popłynąć mają. Zgodziłem się, dodając, że za najmniejsze uchybienie czeka ich kara śmierci. Na krótko przeto zaleciłem im pośpiech w robieniu wiosłem, a szczególnie cichość, aby ile możliwości unikali pluskania.

Udaliśmy się tak właśnie jak szeroką aleją (był to kanał główny prowadzący aż pod sam Gdańsk). Ja niezważałem, gdzie jest czoło łodzi; wyruszając z miejsca zdawało mi się, że siedzę twarzą naprzód, ale po krążeniu między zaroślami, nim wyjechaliśmy na kanał, siedziałem ostatecznie tyłem do czołałodzi. Tak płynęliśmy z pół godziny, gdy jeden z przewoźników po cichu mnie się zapytuje, czy jeszcze daleko mamy płynąć, a gdy się obejrzałem, spostrzegam, że byliśmy bardzo blisko miasta, a że

¹⁾ Höpfner mówi (3.510), że w sam dzień owego zawieszenia broni to jest 21. maja w okolicy Heuboden, gdzie był nasz autor, miały miejsce małe utarczki z kozakami z Weichselmünde. Wzięty był do niewoli jakiś polski sztabsoficier. Lepiej by było, gdyby autor nam to opowiedział, aniżeli o trzosaх i kładkach.

— 53 —

sztyldwachy, którzy po wałach chodzili byli bliscy ogniska, przeto nas w cieniu i to między zaroślami nie dostrzegli. Ale jednakowoż, czy przez pluśnięcie wiosłem, czy też obcierając się o gałęzie drzewa, zwróciliśmy ich uwagę; jak gdyby przesłuchiwali się i pod ręką patrzyli w naszym kierunku. Ja dałem tylko znak ręką przewoźnikom, aby płynęli w tył zachowując cichość, co też i wykonali. Jednakowoż warta, pod którą przepłynęliśmy coś pomiarkowała, bo kilkunastu ich się zeszło w jeden punkt i tak jakby jaką sprzeczkę między sobą wiedli; znać to było po ich poruszeniach, a że my płynęliśmy ciągle tym samym kanałem, przeto nie spuszczaaliśmy ich z oczu. Ja, spostrzegłszy, że się rozeszli i jakby około działa się uwijali, rozkazałem przewoźnikom, aby w bok się udali między zarośla. Gdy to uczynili, wypłynęliśmy na małą niby drożynę i tą dostaliśmy się do jednego zabudowania, osobno w wodzie stojącego. Ponieważ tam mogliśmy być widzianymi, a szczególnie że mnóstwo czajek zaczęło nad nami krążyć i krzyzczeć, przeto radziłem, aby między szpalery przy tem zabudowaniu będące wpłynąć i tamże się schronić. Postaliliśmy tam więcej może jak godzinę; można stąd było dobrze uważać, czy kto do lub z Gdańska popłynie. Doczekawszy się już tej pory, że dzień zaczęło, obawialiśmy się, aby nas z baterii nie spostrzeżono, kazałem więc przewoźnikom płynąć ku swoim. Za zbliżeniem się, na zapytanie kto jedzie, oddawszy hasło, przybiłem do lądu. Wsiadłszy, kazałem łódź na ląd wyciągnąć, polecając jednemu z sztyldwachów na grobli stojących, aby strzegł tejże, by jej woda nie wzięła.

Już też i dzień poczynało lepiej, gdy przyszedłszy do warty, którą oficer komenderował, będąc przytem zziębniętym, jak to na wodzie i rosie, usiadłem przy ognisku i przysłuchiwałem się bajeczkom przez żołnierzy opowiadanych.

W tem jeden z sztyldwachów na grobli stojących (których było 3.) mocnym głosem zakrzyczał trzy razy: „Kto

— 54 —

idzie”! a za nim toż samo i drudzy uczynili. W takim krótkim czasie się to stało, że nim warta podniosła się od ognia na nogi, już wołania i strzały były wykonane. Ja, nie bawiąc się braniem broni, bo pałasz miałem przy boku, zerwawszy się szybko, pobiegłem ku sztyldwachom. Jakież było moje zdziwienie, gdy widzę, że tym samym kanałem jedzie w największym pędzie łódź, na której kilka osób siedzi i, zamiast od strzałów uciekać, ku nam płyną. Przepłynawszy w prostopadłym kierunku do grobli, ponad tąż, obróciwszy się na prawo i tuż przy grobli rowem płynąc, skierowali się nagle na lewo na tęż przerwę (o której wyżej wspomniałem), chcąc nią się dostać na drugą stronę grobli. Aż tu, kiedy łódź uderzy się o kładkę w wodzie będącą, przewróciła się z nimi.

Wyskoczył z niej jeden człowiek, ubrany w granatowy płaszcz, mając safianową czapkę na głowie, i zaczął uciekać groblą, a potem skierował się w lewo w zarośla. Szybko rzuciłem się za uciekającym, który już był za wodą, na której kładka leżała. Chciałem szybko przebieść przez kładkę, kiedy obsunęła mi się noga i w wodę wpadłem. Przebrnąwszy wodę, której głębokość w pas była, jak się kopnę za uciekającym, w mgnieniu oka dobiegam go w zaroślach, a będąc pewnym, że chwytam jakiegoś gburę, który przewoził żywność do Gdańska, mając pałasz wydobyty, nie ciąłem go ostrzem, ale uderzyłem gefesem w plecy, a ten upadł na ziemię. Ja będąc uniesiony, że na wołanie „halt” nie stanął, ale tem więcej w zarośla uciekał, kiedy go upadłego na ziemi uchwyciłem za łeb, już się wymierzyłem, aby mu dać parę płażów, — w tem on się odzywa: „O verzeihen sie mir! ich bin ein Offizier”. Wstrzymałem się z uderzeniem. Dałem mu wstać z ziemi, trzymając go tylko za płaszcz (ponieważ był odemnie wzrostu wyższego i przytem sam na sam w zaroślach). Tymczasem podoficer Szembowski przybiega do mnie, mówiąc: „Musi tu być między nim i oficer, ponieważ w łodzi znalazłem kapelusze oficerski”. Spostrzegłszy on to, mówi: „Das ist

— 55 —

mein Hut“, a wtem odpina szpadę i oddaje mi ją. Ja mu każę iść naprzód do warty, trzymając w prawej ręce mój pałasz dobyty z pochwy, a w lewej jego szpadę. Widząc, że podoficer się oddalił, posunął się ku mnie i zdawał się chwytać mi szpadę, kiedy ja wyrzuciwszy mu takową z ręki, zmierzylem się pałaszem i już o mało go nie płażnąłem. On, widząc, że ja się tem nie zastraszyłem, mówi, że chciał mi pokazać, jak ta szpada sztucznie się dobywa. Zaprowadziłem go do swego kapitana, który spytał, coby tu robił, na co Prusak odpowiedział, że jedzie za urlopem do rodziny, że gotów jest swój urlop ukazać. Kapitan polecił mi, abym jeńca do sztabu odstawił, aby tam się wytłumaczył. Wyszedszy z nim ze stancyi, nasamprzód szpadę u kapitana zostawiłem, a wzięwszy dwóch żołnierzy z bronią w rękę udałem się do sztabu. Prusak zwracał mi uwagę, że nie należy się go pod bronią prowadzić, że jest oficerem. Ja mu odparłem, że jest tylko jeńcem wojennym, a zatem ma pójść pod eskortą — i pomyślałem sobie, jakbym ja takiego olbrzyma prowadził sam przez zarośla. Gdy przyprowadziłem go do sztabu, zastałem tylko adjutanta

batalionowego Szelarskiego, który już nie spał, i pisarza podoficera. Dowódzca batalionu, podpułkownik Chlebowski, jeszcze spał. Gdy jeńca zostawiłem w pierwszym pokoju z adjutantem, sam udałem się do dowódcy, którego gdy przebudziłem, oświadczyłem, że schwyciłem oficera pruskiego. Dowódzca, złożywszy, ręce krzyknął: „O szczęśliwy człowieku!” Porwawszy się, dowódzca wychodzi i zapytuje się jeńca, kto jest i jakiej rangi, na co mu tenże odpowiada nie w języku niemieckim lecz francuskim, że jedzie za urlopem i, takowego z pugilarasu dobywszy, okazuje. Dowódzca odpowiada, że to jest fałsz: w czasie wojny, a zwłaszcza z oblężenia za urlopem się nie wyjeżdża, a, gdyby to miało nastąpić, to się dziać powinno przez parlamentarza, a „pan, rzekł do Prusaka, sam przez forpoczty przemocą chciałeś się przedrzeć; oświadczam panu, abys oddał papiery, jakie wiesz, inaczej każę pana zrewidować“. Na to odpowiada jeniec, że „wolno jest mnie

— 56 —

rewidować. Zaręczam, że nie mam innych papierów oprócz urlopu, który okazałem“. Istotnie miał dla pozorów urlop drukowany, opatrzone pieczęciami i przez jenerała Kalkreutha podpisany. Dowódzca odpowiedział: „Kiedy pan nie chcesz dobrowolnie tego uczynić, a zatem pana rewiduję“. „Wolno jest prosić aby żołnierze stąd ustąpili?“ Dowódzca rozkazał wyjść żołnierzom, niemniej podoficerom. Obróciwszy się do jeńca oświadczył: „Tu jesteśmy tylko oficerowie, to jest adjutant, a to jest, wskazując na mnie, podporucznik“. Jeniec zdjął płaszcz, który pilnie obejrzelśmy (był to płaszcz cywilny), później poodpinał surdut wojskowy i, takowy zdjawszy, okazał się w mundurze granatowym z czerwonym kołnierzem i takimiż mankietami, na lewym boku miał order orła czarnego w armaturze, a na szyi order „pour le merite“. Gdy dowódzca spostrzegł takowe na nim orderzy z największą grzecznością spytał go o stopień. „Jestem majorem z regimentu jenerała Kalkreutha“ odrzekł i zaczął się dalej rozbierać. Szarfa na nim była nowiutka, jak i cały ubiór. Gdy odpasał szarfę, miał na sobie reithosy szaraczkowe, na guziki z boku zapinane, a na przodzie dwie kieszenie, z których wyjął podzieloną na dwie połowy sakiewkę, w której najmniej 500 dukatów było. Po zdjęciu owych reithosów miał na sobie lessi białe spodnie i buty palone z ostrogami srebrnymi. Wszystko to zabraliśmy do innego pokoju, a on został tylko w koszuli. Dowódzca odezwał się z największą grzecznością, prosząc go, aby przyjął jego łaskę i udał się na spoczynek. Ośmielony postępowaniem grzecznym ze strony dowódcy, Prusak spojrział na mnie surowo i zdawał się zęby zaciąć. Później odezwał się do dowódcy: „Ale ja mam się też uskarżyć pułkownikowi na tego (pokazując na mnie) pana, który poważył się mnie prowadzić pod eskortą“. Dowódzca odrzekł łagodnie: „Proszę przebaczyć, jesteśmy jeszcze młodymi żołnierzami“ — i znowu zaprosił go na spoczynek. Skoro się położył, dowódzca polecił adjutantowi mundury jego zrewidować, a jeżeliby było coś do powątpiewania,

— 57 —

aby kazał popruć, a szczególnie kołnierze, w których była dość sztywna klejanka. Obróciwszy się do mnie, powiedział: „Pójdź mój kochany, pokażesz mi gdzieś go dogonił i schwytał; może tam papiery wyrzucił, wszak to była noc!“ Gdy się rozwidniło, zbliżyliśmy się do warty. Zastaliśmy powiązanych trzech ludzi, którzy na łodzi, jako przewoźnicy, byli. Dowódzca, chcąc tych ludzi nastraszyć, mówi do nich: „Zaprowadźcie nas po dobremu tam, gdzie major papiery wyrzucił“.

Kiedy oni utrzymywali, że nie wiedzą o niczem i nie wiedzieli, rozkazał stanąć warcie, a jeńcom pokłęknać, strasząc, że każe ich za karę rozstrzelać. Mrugnawszy na wartę, każe udawać, że strzelają do nich. — Wtem podoficer od warty odzywa się, że już ich egzaminował, z powodu, że znalazł u nich w kieszeniach guziki żołnierskie, a zatem muszą być żołnierzami. Przyznali się do tego, mówiąc, że są z piechoty i rodem z tej okolicy. Zaraz po capstrzyku rozkazano im udać się do tegoż majora, który zapytał się ich, czyli dobrze znają tę okolicę. Gdy mówili, że są rodem z tych wiosek, mówił im, aby się przedzierali przez ten punkt. Gdy jeden z nich powiedział, że najtrudniej będzie przebywać te groble, odpowiedział, że na tej grobli już jest wszystko ułatwione, że jest przekopana i woda przepuszczona.

Potem był już ubiór cywilny dla nich przygotowany, na koniec i łódź, przy której kazano im czekać. Major przybył i rozkazał płynąć. Pokazuje się stąd, że mieszkańcy tej okolicy ułatwili ten przekop przez groblę, a że dnia tego położona była kładka, przeto nie miał kto uwiadomić majora o tej przeszkodzie, a tymczasem ci co przekopali groblę nie mogli następnej nocy zrzucić owych kładek, gdyż trzech sztyldwachów na wale postawionych było. Gdy po zastraszeniu owych żołnierzy, mniemanych przewoźników, niczego nasz dowódzca dowiedzieć się nie mógł i poszukiwania nasze w zaroślach i wodzie były nadaremne,

— 58 —

cieszyliśmy się tem przynajmniej, że ten major nie przemknął się dalej. Gdym wrócił do stancyi, powiedział mi dowódzca, abym po bezsennej nocy udał się na spoczynek. Gdym przespał się parę godzin, przysła dowódzca po mnie, abym przyszedł do niego na śniadanie. Od przysłanego żołnierza dowiedziałem się, że już wszyscy oficerowie tam są, tylko na mnie czekają. Skoro przybyłem, wyszedł do mnie adjutant i mówił mi, abym się nie wydawał, czy też major mnie pozna.

Wszedłszy do pokoju, stanąłem między drugimi oficerami. Po niejkiej pauzie, odzywa się dowódzca: „No teraz tu jest, niechaj go pan major pozna!“ Major pruski, przeszedłszy między nami, zaraz mnie pominął i wziął za mnie któregoś oficera młodego ale wysokiego. Gdy powiedziano, że nie, znowu kogoś innego za mnie wziął. Wtedy dowódzca wziął mnie za rękę i wskazał mu, że to ja jestem. Spojrzawszy mi w oczy, mówił, że nigdy by mnie nie poznał, że ja mu się wyższy zdawałem, ale zapomnąć tego nie mógł, że ja go z bronią prowadzić kazałem. Później dano śniadanie, a po skończonem śniadaniu jeniec kazał dać warcie po dwa dukaty, a podoficerowi 10 ifajkę piankową, w srebro oprawną. Mnie kazano szpadę oddać, którą razem z jeńcem odesłano przez kapitana Rakowskiego do sztabu głównego, marszałka Lefebvre. Powróciwszy, Rakowski oświadczył, że wspomniany major, skoro się tylko dostał do sztabu, gdy go wzięli między siebie Francuzi, od razu przyznał się, że był wysłany do Memla do króla z oświadczeniem, że po tylu próbach, jako to po wycieczce z Mindy i uderzeniu fregaty na most, gdy to było nadaremne, gubernator umyślił ostatecznie przesłać go z zawiadomieniem, że jeszcze tylko tydzień trzymać się będą, a to z przyczyny, że brak w Gdańsku 1-szy amunicyi, 2-gi lazaretu, 3-ci pieniędzy, 4-ty drzewa na opał, gdyż już z domów zmuszeni są zdejmować krokwie. Zamiar majora był taki, że, aby się tylko przemknął był przez punkt, w którym został ujęty, miał się dostać do Wisły, a po przebyciu

— 59 —

takowej miał już miejsce, przez które ułatwionoby mu przejście do Memla. Naturalnie, że nie miał żadnych korespondencyi, bo udał się do Memla z ustnem zawiadomieniem. I tak ominęła mnie owa zasłużona nadzieja; dostałem tylko obietnicę...

Wskutek wiadomości, jakie odebrał marszałek Lefebvre od ujętego majora, natychmiast wysłał parlamentarza do Gdańska z oświadczeniem, że, jeżeli generał Kalkreuth ociąga się z kapitulacją, oczekując na wspomnianego majora, to ten już jest w ręku Francuzów, w dowód czego okazano mniemany urlop jego. Major sam wyznał, w jakiej misji był wysłany, więc marszałek wie dostatecznie, na jakich artykułach Gdańskowi zbywa.

Wskutek tego generał Kalkreuth, zebrawszy radę wojenną, zdecydował podpisanie kapitulacji, która nastąpiła pod takimi warunkami: Załoga wyjdzie z bronią i działami polowymi i będzie uważaną za korpus neutralny, dopóki nie złączy się ze swoją armią; natenczas wolno jej będzie rozpocząć kroki nieprzyjacielskie ¹⁾, wszystkich jeńców wojennych zostawi w Gdańsku. Wskutek tego pułkownik Umiński wraz z towarzyszami swymi dostał się do swoich ²⁾. Przy wyjściu załogi z Gdańska cały korpus blokujący wystąpił, gdzie i my Polacy mieliśmy udział. W tym wystąpieniu sformowany był szpaler we dwie obrócone do siebie linie, pomiędzy którymi wychodziła załoga z Gdańska. Za zbliżeniem

¹⁾ Kapitulacja Gdańska była podpisana 20. maja, lecz w 18. paragrafie jej powiedziano, że ona będzie wykonaną, jeżeli do południa 26. maja garnizon nie odbierze posiłków. Na zasadzie tej kapitulacji garnizon wychodził ze wszystkimi wojskowymi honorami z warunkiem nie walczenia przeciw Francji i jej sprzymierzeńcom w przeciągu jednego roku. Dział może wziąć garnizon dwa, sześciofuntowe. Jeńcy wojenni znajdujący się w Gdańsku, byli wydani bez rozmiany (77 buletyn).

²⁾ Część jednak jeńców już przed tem wywieziono morzem do Rewla. Między nimi znajdował się porucznik 1-go pułku Dezydery Chłapowski.

— 60 —

się generała Kalkreutha, wojsko nasze broń prezentowało, a muzyka i dobosze marsz bębni. Z największą grzecznością przyjmował honory wspomniany generał ¹⁾, poczem wojsko francuskie zajęło miasto i baterie. Myśmy wrócili w okolice Żuław na kwatery, pozwolono tylko każdemu udać się na urlop do Gdańska dla zwiedzenia tego starożytnego miasta, które smutny widok przedstawiało. Bruki wszystkie wyłamane, wiele domów popalonych i okopconych od ognisk i dymów.

W kilka dni potem odebraliśmy rozkaz wyruszenia przez przedmieście Szotlam, traktem ku Tczewu ponad Wisłę do Kwidzyny ²⁾.

¹⁾ „Le 27. le garnison défilait, le General Kalkreuth à sa tête“ pisze 77 buletyn.

Skarbek w „Dziejach X. Warszawskiego“ tom 1. str. 158 pisze: „Chlubnem między innem było i to dla wojska polskiego, iż gdy po kapitulacji Gdańska dowodzący w tej twierdzy generał pruski Kalkreuth z załogą swoją przechodził około szeregów polskich, oświadczył im publicznie, iż patrząc jako nieprzyjacieli na ich postępowanie podczas oblężenia musi oddać chlubną zaletę ich męstwu i zasłużone pochwały dowodzącym im oficerom”. Zdanie jen. Kalkreuth o prędkim wyrobieniu się wojska polskiego tem ważniejszym było, że wspomniany generał — ongi w dobie przymierza polsko-pruskiego — w r. 1790 z ramienia Prus wysłany został na inspekcję armii polskiej, a nawet była mowa — o jego wstąpieniu w szeregi tej armii; znał więc obrońca Gdańska dobrze przeszłość tego wojska.

Z pamiętnika jen. Weyssenhofa — dowiadujemy się o zajściach, jakie powstały w czasie wymarszu załogi Gdańskiej z powodu tego, że kilkuset żołnierzy pruskich Polaków — uciekło w szeregi polskie; o mało nie doszło do rozlewu krwi, Prusacy jednak w końcu ustąpić musieli.

Dodajemy tutaj, że za zdobycie Gdańska — armia oblężnicza otrzymała gratyfikację; na żołnierza wypadło po 12 fr.

²⁾ Höpfner (3. 524) pisze, że po kapitulacji Gdańska były wydane różne rozporządzenia Napoleona względem Gdańska i wojsk, składających korpus Lefebvra. Píše on między innymi, że dywizja Dąbrowskiego była przydzielona do korpusu Morthier, Rapp był przeznaczony na gubernatora Gdańska. Lecz daty tych rozporządzeń nie oznacza. Buletyn zaś 77-my, datowany w Finkensteen 29. maja, podaje: Le général Rapp est nommé gouverneur de Dantzig“.

— 61 —

Po przejściu tego miasta rozkazano nam odebrać z magazynów tam przysposobionych żywność kompletną na dni 10, z tem zastrzeżeniem, żeby każdy ją ze sobą niósł, gdyż wojsko przejdzie w takie okolice, że będzie brak takowej. Ale nikt nie chciał przypuścić, aby w okolicach niemieckich na żywności zbywało. Z tego powodu — wielu żywność albo zużyło, albo porzuciło, a później w głodzie największym korpus nasz iść musiał. I tak postępowaliśmy marszem forsownym idąc na miasteczko Merung, pod którym zastaliśmy obóz nieprzyjacielski ze sztucznie robionych baraków z brzeziny. Dalej szliśmy na Gutstadt (gdzie już była bitwa stoczona przez awangardę francuską i trupami zasłane pole). Miasta i wsie okoliczne spalone były i bezludne. Później przez Heilsberg, pod którym były baterie nieprzyjacielskie, toż samo zniszczone. Dalej szliśmy przez Preusisch Eylau. Po przejściu tego miasta, gdyśmy sforsowani marszem stanęli dla odpoczynku, nakazano, aby korpus ruszył dalej. Żołnierzy niepodobna było ruszyć do marszu tak dalece, że przypominam sobie, że jako oficer wołałem sam na naszych podkomendnych, żeby wstawali, a ja sam, głodny, już bez sił, ruszyć się nie mogłem. Zostawiono nas tak do rana ¹⁾. Gdy nadszedł dzień ów pamiętny 14. czerwca 1807, gdy znowu naczelnicy wzywali do marszu, żołnierze prawie ze łzami błagali, mówiąc, że są tak zgłodzeni i bezsilni, że nie mają tyle siły, aby się podnieść. Ale wówczas major pułku naszego Weyssenhoff przychodzi do starego grenadyera Jabłońskiego, o którym niżej wspomniałem, i przemawia do tegoż, aby on swych kamratów poruszył. Ten, zebrawszy

¹⁾ Przemarsz dywizji jen. Dąbrowskiego do głównej armii jest jedną z najładniejszych czynności wojska polskiego. Jen. Hauke w swym raporcie stwierdza, że dywizja była bez żywności podczas 48. godzin, a maszerowano dzień i noc. Młodzi oficerowie z arystokracji maszerowali na czele swych plutonów. U młodego żołnierza, z jakiego składała się dywizja, było to wynikiem ożywiającego wszystkich zapału i poświęcenia.

— 62 —

wszystkie swe siły, i podniósłszy się, woła na swoich kolegów: „No, bracia, cóżto czy już nie pójdziemy dalej? Nieprzyjacieli za lasem!”

Kiedy na to wezwanie jeszcze się nikt nie podnosi, Jabłoński, wzięwszy małego chłopca, dobosza za kark, wsadził go sobie na tornister i mówi: „Do stu katów, chyba ja was wszystkich będę przenosił, chociażem stary”. Na głos starego żołnierza, tak jakby się wstydził tego, że stary ich ojciec pierwszy gotów jest do marszu, w mgnieniu oka wszyscy się podnieśli i udali w marsz bez szemrania ¹⁾.

W wigilię dnia tego wysłaną została brygada kirassyerów francuskich w awangardzie w kierunku ku Friedland. Przybywszy dnia tego blisko wspomnianego miasta, stanęła obozem pod Heinrichsdorf. Zaufani kirassyerzy w swojej odwadze i szczęściu, będąc w awangardzie, nie zachowali zwyczajnej ostrożności i tak oprócz wedet i pikiet cała brygada założyła koniom torby na

głowy i odmunsztukowała. Kozacy, podjeżdżając często aż pod przednie straże, dostrzegli wspomnianą nieostrożność i dali znać swoim naczelnikom, którzy rzucili tak nagle na kirasyerów dywizję ułanów, że ci nie mogli pomunsztukować koni. Kirassyerzy nie mogli ani wsiąść na koń, a tembardziej kierować końmi. Nie pozostało nio więcej, jak bronić się pieszo. Zostali odcięci od koni i napędzeni na płoty bardzo wysokie, gdzie ich ułani wyrąbali. Sam naocznym byłem świadkiem, jak wspomnianych kirassyerów prawie w połowie na płotach rozerwano i mała część tylko schroniła się do wspomnianej wsi, do stajni przy karczmie.

Ponieważ kirassyerzy mieli broń piechotną z bagnetami, przeto, zamknawszy się w stajni, bronili się strzałami ręcznej broni. Kiedy doprowadził nieprzyjaciel działą,

¹⁾ Jen. Weyssenhoff w swym pamiętniku cokolwiek inaczej opisuje scenę z Jabłońskim.

— 63 —

a ci poddać się nie chcieli, przeto karczma w gruzu rozsypana, a Francuzi wszyscy w niej polegli. Sam widziałem ślady tej morderczej utarczki, bo, stojąc w tej wsi po batalii, widziałem pomieszanych trupów obydwu narodów. Po wyruszeniu z noclegu z pod Preussisch Eylau, dążyliśmy w to miejsce, skąd odgłos dział i ręcznej broni było słychać. Dochodząc do owego miejsca, gdzie miała się odbyć owa mordercza bitwa pod Friedland, gdyśmy zbliżyli się o dwie wiorstwy od Friedland, które jeszcze przed nami dzielił mały laszek, za którym już dymy strażów armatnich widzieć się dały, spotykamy kirassyerów piechotą idących, jednych rannych ciężko, drugich niosących rannych. Między jednymi prowadzili konia, który miał całe chrapy od armatniej kuli ustrzelone. Na nim siedział pułkownik od kirassyerów, tak ciężko ranny, że zdawał się już konającym. W miarę zbliżania się napotykalśmy coraz więcej leżących przy drodze, jednych konających, drugich jeszcze cokolwiek żyjących. Każdy tak zrąbany, że nie tylko głowy, ale nawet ręce i palce poobcinane mieli. W końcu, gdy przebyliśmy ów laszek, w którym mnóstwo trupów leżało, wyszliśmy na pole, gdzie przedstawiał nam się ów plac boju. Po lewej stronie widać było wśród rozległych błoni kurzące się dymy wsi Heinrichsdorf, a na prawo, na małym wzgórku, miasteczko Friedland; dalej w znaczniejszej odległości widać było miasteczko Domnau ¹⁾.

Wyszedszy na pole, generał Dąbrowski rozkazał sformować kolumny ściśnięte, takowemi dywizya nasza postępowała w dyrekcyi między wspomnianą wsią a miasteczkiem. Skoro zbliżyliśmy się na strzał armatni, artylerya nieprzyjacielska, zebrawszy działą, obsypała nas strzałami.

¹⁾ Autor nasz bardzo błędzi: Domnau pozostało u nich z tyłu, na lewo było rzeczywiście Heinrichsdorf, na prawo Postthenen, a dalej w znacznej odległości Friedland. Cały opis bitwy pod Friedland u naszego autora jest taki, że widocznie pamięć nie dopisała mu tutaj.

— 64 —

Wówczas znoje marszowe i głód gdzieś ustąpił, każdy prawie zapomniał o wszystkim, gdy dużo naszych poległo. Gdy już zaczęli się nasi mieszać, będąc pod tak gęstym ogniem, wtem generał, może dla wzmocnienia energii albo dla zagłuszenia strażów, rozkazał uderzyć w bębny. Tak, szybkim krokiem doszliśmy w dolinę przy jakimś trakcie, tam zatrzymaliśmy się znowu, odebraliśmy powtórzenie strażów armatnich. Generał, jako doświadczony żołnierz, uznał potrzebę posunąć się naprzód, a przez to zbliżenie się nie tyle już zaszkodziły działą, gdyż kule przenosiły nas. Rozkazano kolumnom naszym rozwinąć się, i w tej pozycyi zostaliśmy kilka godzin, odpowiadając strzałami z naszych dział na nieprzyjacielskie. Skoro nieprzyjaciel spostrzegł, żeśmy kolumny rozwijali, toż samo wystąpiły daleko mocniejsze kolumny, rozwinały się naprzeciwko naszej linii. Wtem generał, spostrzegłszy, że nieprzyjacielska linia nic stanowczego nie przedsięwzięła, rozkazał swojej linii broń w koźły złożyć i ludziom spocząć; jedynie tylko artyleryi kazai nieprzestawać strzelać. Nieprzyjaciel, widząc śmiało nasze postępowanie, cofnął się najmniej 500 kroków w tył i po niejakej pauzie znowu awansował przeciwko nam. Generał nie kazał wstawać, aż nieprzyjaciel zbliży się w połowie dystansu, jaki zajmował. N atenczas rozkazał powstać i stanąć za bronią, nie rozbierając takowej, a nieprzyjaciel znowu zaczął się cofać i tak po kilka razy te poruszenia powtarzał. Znać chciał nas poruszyć z naszego miejsca, lecz nie rozumieliśmy dlaczego. Na lewym skrzydle naszym stał pułk piąty konnych strzelców naszych pod dowództwem pułkownika Turna. Pułk ten został zaczepiony przez lekkie kawalerye nieprzyjacielskie, które po zaczepce zaczęły się spieszenie cofać. Wspomniany pułk uderzył na cofających się, ale nieprzyjaciel, cofając się, wprowadził naszych na baterję usypaną w życie, która kartaczami ubiła naszym dużo ludzi i koni. Wstrzymali się nasi nieco, będąc niespodzianie porażeni, ale jeden ze sztabsoficerów naszych krzyknął: „Pułkowniku

— 65 —

naprzód!” co pułkownik powtórzył i pułk tak uderzył, że wspomniane baterje w momencie zdobył. Kanonierów wyciąwszy, sześć dział zabrał. Kiedy cesarzowi doniesiono o wspomnianym wypadku, powiedział, że kawalerya polska zrobiła więcej jak swoją powinność, bo nie było dotąd wypadku, powiedział, aby kawalerya baterje brała ¹⁾.

Po wyż wymienionym wypadku — cesarz zbliżył się około południa na wzgórek za naszą linią i, popatrzwszy przez lornetę, dał rozkaz generałowi, aby z każdego pułku piechoty najmniej stu ludzi wyszło na tyraliery i opanowało wzgórze żytem okryte, leżące po prawej stronie naszej linii. Gdy się to zrobiło, nasze tyraliery zostali w życie. Wzgórze owo, obsadzone było jęgrami i po uporczywym się starciu, gdy rozkazano jeszcze posiłkować naszych drugim takim oddziałem, nie bez straty naszych, zdobytem zostało. Skoro cesarz zobaczył naszych tyralierów na wzgórku, w tym momencie kazał je kilkoma baterjami artyleryi obsadzić. Ale ta artylerya nie okazała się nieprzyjacielowi, ani się też z dział nie odezwała i, nie odprzodkowszy dział, w spoczynku pozostała. Wszystko znowu w takim położeniu zostało aż do godziny czwartej z południa. Cesarz tylko przenosił się z miejsca jednego na drugie. Rekognoskując nieprzyjaciela, zdawał się oczekiwać jakiejś dla siebie przyjaznej pory. Około godziny siódmej przed wieczorem usłyszeliśmy w oddaleniu poza Friedlandem ogień armatni. Był on skutkiem pojawienia się jednego korpusu, który cesarz posłał dla zrobienia nieprzyjacielowi dywersyi. Natenczas z owego lasku, z któregośmy, rano wyszedszy, taką kanonadę wytrzymali, z tego znowu lasku pod zasłoną naszej dywizyi i owej artyleryi, poza wzgórzem ukrytej, wysuwa się mnóstwo kolumn, tak francuskich, jak też sprzymierzonych, biorąc się poza naszym frontem na prawo, tak, że mnóstwo bagnetów zdawało się

¹⁾ Zwykła przechwałka naszego autora.

wystawiać pole zbożem okryte. Nieprzyjaciel ściągnął swoją piechotę, która przeciwko nam wystawioną była. Na jej miejsce wystąpiło kilka tysięcy kawalerii nieprzyjacielskiej, tworząc prawe skrzydło swej linii i zagrażając wzgórz, artylerią naszą okrytemu. Wskutek tego przysłał cesarz kilka pułków kirasyerów i dragonów w asekurację artylerii, ale za wzgórzem też kawalerię ukrywa.

Przy zachodzie słońca rozpoczyna się ogień armatni na naszym prawym skrzydle, na które nieprzyjacielski środek naciera. W naszej dywizji naówczas kazano się pościagać na prawo, to jest przed wzgórek artylerią okryty. Razem zaszliśmy w oczy masie nieprzyjacielskiej kawalerii. Nieprzyjaciel, uderzywszy na środek nasz, złamał go. Ale teraz, nasze wojska, będąc wsparte przez drugą linię, a na koniec przez rezerwę, nietylko że wyparły nieprzyjaciela, lecz przebiły się przez linie nieprzyjacielskie i dotarły aż do rzeki, będącej z tyłu nieprzyjaciela, a tak przecięto komunikację linii wspomnianej. Naszej dywizji poleconem zostało obserwowanie kawalerii nieprzyjacielskiej. Gdy ta uderzyła z wielką natarczywością na nas, zdawało się, że nas samymi końmi roztrąca. Kiedy zbliżyła się na sto kroków, daliśmy ognia batalionem i nadstawili bagnatów. Jeszcze wspomniana jazda nie doszła do nas na 50 kroków, gdy z za wzgórza za nami będącego odezwała się artyleria.

Kartaczami sypnęła na wspomnianą jazdę, która, poniosłszy straty od strzałów, cofać się w nieładzie poczęła. Wtedy jazda francuska, będąca w asekuracji dział, przez otwór naszej linii natarła na jazdę nieprzyjacielską, która, rozbita, zmuszoną była swoją piechotę do rzeki wepchnąć.

To samo zaszło na prawym skrzydle, a tak linia nieprzyjacielska, w trzech punktach przecięta, wparta została do rzeki. O godzinie 11-tej w nocy ogień ustał. Kto z armii nieprzyjacielskiej przebył rzekę, ten przebył ją bez broni, którą rzeka Ala, jak i działa, pochłonęła. Piechota nasza została na miejscu tak, jak koniec batalii ją zastał.

Kawaleria tylko, przeprawivszy się, poszła w pogoń za szczątkami nieprzyjaciela ¹⁾.

Dnia 15. czerwca, to jest nazajutrz rano, cesarz oglądał pobojuwisko. Myśmy także wystąpili. Po przejechaniu przed naszą linią, gdy dojechał do naszego generała Dąbrowskiego, po powitaniu go, wziął go za szyję i oświadczył swoje ukontentowanie, tak jemu, jak i całej dywizji, winszując wytrwałości w dniu zeszłym. Generał przymówił się, że niema żadnych zapasów żywności. Cesarz przeznaczył ze swoich zapasów sto sztuk bydła tymczasem i paręset korcy grochu, a przytem polecił posłać w okolice niedotknięte

pożarem wojny, aby sprowadzić żywności. W nagrodę zasłaniania całej armii przed rozpoczęciem bitwy, przeznaczył cesarz dywizję naszą, jako korpus rezerwowy, aby tydzień dać odpoczynku ludziom. Gdy rozdano nam żywność i zaczęto takową gotować, zdawało się, że człowiek chciał ją oczyma pożerać. Gdy się rosół ugotował, nikt nie był w stanie trzech łyżek przełknąć, tak się już żołądek skurczył po trzechdniowym głodzie. Drugiego dnia zaczęto zwozić rannych, których nie tylko domy, stodoły, ale nawet miasteczko objąć nie mogło.

Rannych śmiertelnie, albo takich, którzy byli już nie do wykurowania, zostawiano na polu. To okropny widok przedstawiało, gdy ci nieszczęśliwi, nie mając znikąd żadnego wsparcia ani pomocy, leżeli pod skwarem dopiekającego słońca.

Trzeciego dnia powstał deszcz obfity i dla tej przyczyny udaliśmy się do wsi Heinrichsdorf, gdzie się po stodołach mieściliśmy. Tam to byłem świadkiem, jak w zburzonej karczmie, po domach, stodołach opodal wszędzie,

¹⁾ Cały ten opis bitwy pod Friedland jest wyjątkowo bałamutny.

Dodajemy tutaj, że piechota dywizji Dąbrowskiego, a więc i pułk 4-ty, stała bezczynnie podczas całej bitwy — i pod słabym ogniem nieprzyjacielskim poniosła zaledwo stratę kilkunastu ludzi. Rannym był tu po raz drugi jen. Dąbrowski.

pełno pomieszanych trupów obu narodowości leżało. Gdy armia nasza ruszyła dalej naprzód, my zostaliśmy sami wśród trupów i koni, zaczawszy od Heinrichsdorf, Friedland aż do Dumnau, przynajmniej na mili przestrzeni. Cóż dopiero powiedzieć o rzece Ali, gdzie armia francuska, przechodząc ją około Friedlandu, nie rzucała pontonów, ale pozbierano wrota od stodół, które położono na zatłkanej przez trupy i konie rzece, i te posłużyły za most. Generał Dąbrowski, widząc dużo armat potopionych w rzece, (koryto rzeki Ali niezbyt było szerokie, ale dosyć głębokie i nurt bystry) rozkazał z wody wydobywać działa, które były łatwiejsze do wyciągnięcia ¹⁾.

Kilka wydobyto, ale nieprzeliczona liczba takowych pozostała jeszcze w wodzie, nie można ich było z powodu trupów ludzi i koni dostać. Ja, zwiedzając pobojuwisko, przebiegłem całą jego przestrzeń. Najgęściej trupa leżało w miasteczku Friedland. Nad rzeką, gdzie Francuzi linię nieprzyjacielską złamali, na lewym skrzydle naszym, gdzie miała miejsce szarża nieprzyjacielskiej jazdy na nas i naszą artylerię, leżały masy ciał. W samym mieście, gdzie znoszono rannych i tych zaraz amputowano, widziałem trzy kupy rąk, nóg i kawałków ciała na bruku leżących. To tylko z rannych naszych, a coś dopiero z nieprzyjacielskich, których później znoszono z pola. A z takim ogromem rannych i leżących nie można było sobie dać rady, szczególnie, że tylko wojsko takowych znosiło, bo cała okolica była bezludną. Po wystaniu na placu bitwy dni sześć, nie mogąc już dłużej wytrzymać zepsutego powietrza, przeszliśmy na drugą stronę Ali. Tam stanąwszy jeszcze dni kilka, posyłaliśmy oddziały do lazaretu i zbierania żyjących po polu jeszcze ²⁾. Później ruszyliśmy dalej

¹⁾ Dział tych wydobyto 6, stały się one własnością dywizji Dąbrowskiego.

²⁾ Przy ogólnym ruchu armii naprzód ku rzece Regel, Dąbrowski pozostał z swoją dywizją nie dlatego, aby oczyszczać pole bitwy od trupów, ale, jak pisze Höpfner (3. 669), aby, połączywszy się w Schippenbeil z Zajączkiem, okrywać tyły armii.

za armią, kierując marsz do Rastenburg, gdzie połączyliśmy się z dywizją generała Zajączka.

Ta dywizja miała także mieć udział w tej bitwie. Ale niewiadomo z jakich powodów, stojąc tylko od placu bitwy niespełna o milę, na miejscu pozostała. Jak daleko szczęśliwszą ta dywizja była, bo ani wytrzymała tak trudnego oblężenia Gdańska, ani miała w innych bitwach udziału. A, co główna, nie ucierpiała tego nieznośnego głodu, przechodząc wszędzie przez kraj niezniszczony. Można też było widzieć różnicę w powierzchowności, bo oni wyglądali jak lalki z pudełka rozwinięte, my zaś okopceni, obdarci, bosy i goli ¹⁾. Tak połączone, obiedwie dywizje posuwały się Staremi Prusami, idąc od Rastenburga do

Goldapem. Dywizja Zajęcza poszła dalej, my zaś pozostali w Gołdapi parę tygodni, a to z tego powodu, że, mając udział w oblężeniu Gdańska, otrzymaliśmy gratyfikację z kontrybucji wziętej. Oficerowie bez różnicy stopnia odebraliśmy po złp. 180. Zaś niższym stopniom za tę gratyfikację sprawiono bieliznę i obuwie ²⁾. Stamtąd udaliśmy się do Lyck i tam staliśmy aż do zawarcia traktatu pokoju pod Tylżą (Tilsit). Potem udaliśmy się ku

¹⁾ Autor się bardzo myli. Legia Zajęcza, wzmocniona 1-szym i 3-cim pułkiem piechoty legii księcia Józefa Poniatowskiego, stanowiła korpus obserwacyjny przy Neidenburgu, dla utrzymywania związku głównej armii z korpusem Masseny i połączeniu Osterode z Warszawą (Höpfner 3. 321). Korpus ten w przeciągu marca, kwietnia i maja miał codziennie prawie utarczki z kozakami Płatowa i gorące rozprawy pod Rudą, Wałami, Waplic i Wallenberg.

Pod względem dostawy prowiantu z dywizją Zajęczą było gorzej jeszcze, niż z dywizją Dąbrowskiego. Żywność dostawiano jej z Warszawy i żołnierze musieli znosić niejednokrotnie głód.

²⁾ Höpfner (3. 183) pisze: Jenerał Zajęczek odebrał rozkaz powrócenia na prawy brzeg Ali w Schippenbeil i działania wspólnie z Dąbrowskim na komunikację Rosyan z Grodnem. Gratyfikacje, jak widzieliśmy, rozdzielono dywizji wcześniej.

— 70 —

granicom Księstwa Warszawskiego, kierując się na Pułtusk pod Błonie, gdzie skoncentrowała się cała armia wojsk Księstwa Warszawskiego ¹⁾.

W Łowiczu książe Poniatowski odbył przegląd wojska, a my udaliśmy się traktem do Poznania ²⁾. Stamtąd każdy pułk dywizję jenerała Dąbrowskiego składający, dostał przeznaczenie na garnizon zimowy. Nasz pułk udał się do Rawicza nad śląską granicę, gdzie konsystował od września 1807 do końca sierpnia 1808 ³⁾. Zaraz po przyjeździe na wspomniany garnizon rozpuszczono dużo wojska za urlopem. Wojsko nasze zostawało w stanie opłakanym, niepłatne, gołe, bose, tak że po kilka miesięcy nie widzieliśmy grosza; jedynie żywność, którą codziennie odbieraliśmy, była całem naszym utrzymaniem. Żywność składała się z (racyi) pół funta mięsa, z dodatkiem albo pół kwatery kaszy, albo grochu pół kwarty, albo kwarty kartofli; do tego chleba funt, trochę słoniny i kieliszek wódki. Takową rację odbierały niższe stopnie. Zaś oficerowie naszych stopni po półtorej racyi takiej, a sztabsoficery po dwie racye takie odbierali. Co się tyczy ubioru, to te pułki, które konsystowały w Warszawie, a szczególnie pułk drugi piechoty, wówczas pułkownika Stasia Potockiego, i pułk drugi ułanów, wówczas pułkownika Tyszkiewicza, jako faworytalne, co moment odbierały nowe mundury i płaszcze, a przenoszone odsyłano dla pułków stojących na prowincjach. Z tych dopiero udzielono mundurów kompaniom wyborczym, a tyralierskim dostawał się ubiór zupełnie

¹⁾ Z Lyck ruszyła dywizja Dąbrowskiego, każdy pułk inną drogą, ze względu na trudność dostawy żywności, do kraju. Wszystkie pułki złączyły się w Zakroczymiu, skąd ruszono już razem w Poznańskie, gdzie wyznaczono garnizon dla dywizji Dąbrowskiego.

²⁾ Wtedy po raz pierwszy dowiedziała się dywizja, że naczelnym wodzem będzie nie Dąbrowski, ale ks. Józef. Wkrótce po tej lustracji zmieniono numer pułku z 4-go na 12-ty.

³⁾ Sztab z jednym batalionem stanął w Rawiczu, a drugi batalion w Bojanowie.

— 71 —

znoszony ¹⁾. Co się tyczy trzewików, to gdy przyszło wykomenderować żołnierza na wartę, pierwsze było zapytanie, czyli ma ten żołnierz trzewiki. Skoro nie miał, bez ceremonii zdejmowano takowe innemu, albo też zostawiano mu je z tem, że za pierwszego musiał iść na wartę. Co się tyczy innej służby albo musztry, to i te boso się odbywało i sam nieraz prowadziłem na musztrę cały pluton bosych. Razu pewnego, gdy po kilkumiesięcznym niewypłacaniu żołdu żołnierze porozumieli się z sobą, przyszli na plac zbioru kompaniami, postawili broń w kozłach bez rozkazu starszych, pozdejmowali z siebie lederwerki i, takowe na broni porozwieszawszy, sami się po mieście rozeszli. Gdy przyszedł czas wyjścia za miasto na musztrę, oficerowie wołają, aby się żołnierze udali do broni i takową rozbierali, wtedy reszta żołnierzy będących w pobliżu, zaczęła się rozbiegać. Wtem nadchodzi szef batalionu Grotowski i zapytuje o przyczynę takowego nieposłuszeństwa, na to pozostali żołnierze odpowiadają, że, ponieważ tak długo nie odbierali żołdu, służby pełnić nie myślą.

Na tę odpowiedź dobył Grotowski pałasza, chcąc skaleczyć albo przebić wspomnianego żołnierza, który tylko ucieczką się uratował. W końcu my, oficerowie, nie mogąc nic środkami surowymi uczynić, wzięliśmy się łagodnego wystawienia żołnierzom, że z takiej okoliczności skutki okropne ich czekają, że albo pułk rozbiorą, albo co dziesiątego rozstrzelać każą, że i my oficerowie nie jesteśmy płatni, a służbę pełnić musimy. Dopiero po długich przedłożeniach ledwośmy ich zebrali i wyszli za miasto na musztrę.

Tam, będąc od publiczności odosobnieni, dopiero im sztabsoficery zaczęli wyrzuty czynić, że, będąc we włoskiej armii (legionach) albo w San Domingo, daleko większe trudy i niedostatek znosić musieli, a przytem głodni i bosi po spieczonej w Egipcie ziemi aż do kalectwa chodzić

¹⁾ Jest to zarzut niesłuszny, wywołany panującym wówczas w dywizji Dąbrowskiego rozgorączkaniem.

— 72 —

musieli, a przecież nie pomyślał żaden Polak o podobnem nieposłuszeństwie. Przydali przytem, że nie pozostanie im nic więcej, jak tylko takich niesfornych, nie jako żołnierzy, ale jako hordę arabską, porzucić. Wyrzekli to z taką energią i przejęciem, że wszystkich żołnierzy do rozczulenia zmusili.

Będąc wskroś przejęci nierozumnym swym postępkiem, żołnierze nagle się rzucili do nóg swoim przełożonym i ze łzami, żałując, przepraszały nas wszystkich, prosząc, abyśmy co się nam podoba z nimi uczynili, abyśmy im tylko winę darowali i zapomnieli. Chociażby największy niedostatek lub nędza dokuczyć im miała, więcej o tem ani pomyśla. Podobny wypadek miał także miejsce w Gdańsku. Gdy podobnie żołnierze parę miesięcy (pułki 10 i 11 piechoty polskiej, konsystujące wówczas w Gdańsku) żołdu nie otrzymali, podobnym sposobem jak u nas sobie postąpili. Gdy zaraportowano to wyższej komendzie, jenerał Michał Grabowski, dowódca tejże brygady, przybywszy na plac, przedstawił łagodnie żołnierzom, aby wstydu wobec wojsk sprzymierzonych imieniu polskiemu nie czynili. Gdy zdołał cokolwiek wzburzone umysły uspokoić, zabrawszy brygadę, zaprowa-dził ją sam między baterie zewnętrzne Gdańska, starając się o takie miejsca, aby był z brygadą ukryty i nie widziany od nikogo.

Zamknawszy pierwiej za sobą wszystkie wejścia, kazał sformować czworościan tak, aby linia frontowa była wewnątrz. Dopiero przywołał do siebie, to jest do środka, wszystkich oficerów. Skoro się koło niego zbrali, odzywa się do żołnierzy, że, kiedy oficerów okryli hańbą takowego nieposłuszeństwa, oficerowie są niegodni, aby im dowodzili. Zakomenderował, mówiąc: Baczość! (na moją komendę). „Nabijanie dowolne z ładunkami, nabij broń!” Żołnierze bez namysłu nabili broń ostrymi ładunkami, poczem jenerał zakomenderował „Bataliony — Tuy”, co też brygada wykonała, a dopiero odzywa się do nich: „Teraz dacie ognia do nas wszystkich, a po wystrzeleniu

— 73 —

nas, możecie się rozejść, a nas uwolnicie od dowodzenia takimi, jak wy, hardymi, nieposłusznymi i nie wytrwałymi”. Dopiero komenderuje: „Bataliony, cel!” Żołnierze się przyłożyli naturalnie do środka w kierunku ku swoim oficerom, a naostatku komenderuje: „Pal!” Ani jeden żołnierz nie wystrzelił. Jenerał powtarza po raz drugi, trzeci raz, a gdy nie wystrzelono, w największym gniewie wpada do kompanii grenadyerskiej a, stanawszy przed wymierzoną bronią, woła: „Dlaczego jeszcze okazujecie nieposłuszeństwo?” W końcu dodał, że, jeżeli nie będą posłuszni, użyje środków najostrzejszych, a gdy i to nie pomogło, zaczął szpadać biec żołnierzy, zaczawszy od prawego do lewego skrzydła. Na to żołnierze odzywają się z płaczem, że proszą, aby najpierw była komenda wykonana: „odstaw”.

Gdy to nastąpiło, rzucili się hurmem do nóg, nie tylko jenerała, ale i wszystkich oficerów, przyrzekając największą wytrwałość i posłuszeństwo.

Powracam do Rawicza. — Po jesieni, bardzo przyjemnej w tym roku, szczególnie dla tych, którzy są amatorami myślistwa (okolice Rawicza, położonego nad śląską granicą, napelnione były zwierzyną wszelkiego rodzaju, jak sarnami, jeleniami, zającami, a szczególnie mnóstwem kuropatw. Zatem wszystko, co tylko miało wyobrażenie o strzelaniu, wyległo na polowanie, a, lubo i niewprawni do strzelania, nigdy bez korzyści do domu nie wracali. Cóż dopiero o myśliwych doskonałych mówić, którzy nie byli w stanie donieść swych łupów) nastąpiła zima, nadszedł też i karnawał. Lubo początek jego był bardzo przyjemny i wesoły, koniec przecie zachmurzył nasze karnawałowe zabawy. Wśród karnawału nastąpiło w Rawiczu poświęcenie kościoła ewangelickiego. Lubo Polacy, mieszkańcy Rawicza po większej części są ewangelikami, a szczególnie klasa wyższa, kupcy, a naostatek sukiennicy, których jest niezliczona masa. Do tego obrzędu mnóstwo przybyło ludzi ze Śląska. W tym celu

— 74 —

dowódzca nasz ówczesny, Ignacy Zieliński (później radca stanu¹⁾, chcąc dać dowody przychylności i przyjaźni dla mieszkańców i sąsiadów, rozkazał wystąpić pułkowi do asystencyi powyższego obrzędu. Odwdzięczając tę przychylność, mieszkańcy po skończonej ceremonii dali obiad wspaniały, a później bał, na który, nie wiem dlaczego, zaproszono tylko cały sztab i kapitanów, co uraziło nas poruczników i podporuczników; nie mogliśmy odgadnąć przyczyny takiej dystynkcji. Kiedy zbraliśmy się w jedno koło, zaczęto deliberować, jakim by sposobem można odwetować tę pogardę (jak mówiono). Wtem odzywa się podporucznik Thil, jako w wieku z pomiędzy nas najstarszy. „Słuchajcie mnie. Da Bóg doczekać przyszłej niedzieli (to jest reduty), ułożyłem sobie plan, a wiem, że wam się będzie podobał”. Gdy nadszedł moment pożądany, gdy już zaczęto taniec, Thil, zebrawszy nas w bufecie, tak do nas przemawia: „Ponieważ tutejsi obywatele znaczniejsi dawali obiad i nim dyrygowali, a zatem i podług ich planu zaprosiny na obiad były poczynione, trzeba się zatem pomścić na ich córkach, a kiedy oni uznali nas za niegodnych zaprosin na obiad, przez to samo rozumie się, że ich córki nie godne są mieścić się między nami. Ponieważ ja jestem na czele waszem, przeto ja wezmę do poloneza pannę Helwicht, prezydentównę, wy zaś (przeznaczając każdemu jedną z córek obywatelskich) weźmiecie każdy swoją.

Mnie z przeznaczenia dostała się panna Braun. Ostrzegłszy resztę naszych, nie należących do tego planu, aby nie tańczyli, stanęliśmy do poloneza. Po przejściu sali, gdy pierwsza para zbliżyła się ku podwojom, już przy nich stał podporucznik Danielewicz, jako przeznaczony do otwarcia takowych.

¹⁾ Zieliński został mianowany dowódcą pułku 12-go, w miejsce Ponińskiego, w maju roku 1808, ale tylko prowizorycznie, gdyż równocześnie zawiadomiono Weyssenhoffa, że on ten pułk dostanie. Nominacyę otrzymał Weyssenhoff w dniu 29. lipca 1808 roku.

— 75 —

Wyszliśmy parami aż do sieni. Panny, nie domyślając się niczego, spokojnie z nami wyszły, sądząc że, jak to często bywa, polonez przez uboczne pokoje przeciąga. Ale jakież było ich zdziwienie, kiedy każdy z nas, swoją pannę opuściwszy, udał się do sali, zamknawszy podwoje za sobą, a one zostały w sieni.

Matki ich z początku sądziły, że to jest jakiś niewiadomy zwyczaj tańca i nie od razu domyśliły się podstępu. Po niejakej pauzie, widząc, że córki ich prawie na dworze, dopiero pośpieszyły, niosąc im w pomoc chustki, szale i salopy. My, tryumfując z dobranego planu, naturalnie mając na czele dowódcę Thila, zalegliśmy bufet, a, pocieszając się ponczem, o resztę nie dbaliśmy. Nie wiedzieliśmy, że cała reduta się rozjechała, gdy wszedł, wówczas gros-major pułku naszego, Weyssenhoff, aby przekonać się, wielu nas jest i którzy sprawcy wspomnianej awantury; potem wyszedł spokojnie z reduty. My, kontynuując naszą hulatykę aż do późnej nocy, udaliśmy się wkońcu na spoczynek do swych kwater. Ze zbliżeniem się dnia przybiega do mnie podoficer służbowy z doniesieniem, że o godzinie 8-mej z rana musztra kompaniczna za miastem. Zastanowiło mnie niezmiernie, skąd w zimie i po śniegu musztra być może, ale za powtórny rozkaz przekonałem się, że tak jest.

W oznaczonym czasie, ze zwieszoną głową, niewyspany, a co najgorsza jeszcze w szumem w głowie, poszedłem na musztrę. Gdy stanęliśmy na placu, adjutant, zamiast kontynuowania musztry, obszedł kompanie i polecił w imieniu dowódcy pułku, aby podoficerowie musztrowali, oficerowie zaś bez wyjątku mają się udać do dowódcy, który w znacznem oddaleniu oczekiwał.

Skoro wszyscy się zbrali, pułkownik odezwał się do nas w te mniej więcej słowa: że, lubo z wielką boleścią, przychodzi mu się podać do dymisyi i opuścić pułk, po którym tyle sobie obiecywał, ponieważ dotyka go mocno awantura, jakiej dopuściła się pewna liczba oficerów w dniu

— 76 —

zeszłym przez wyprowadzenie panien z grona bawiących się.

Po usilnych prośbach kapitanów, zwłaszcza starych, którzy na owym obiedzie byli, a teraz prosili pułkownika, przedkładając mu, że nie powinien tego tak brać do serca, że to pochodzi z wieku jeszcze niedoświadczonego, a przytem i zmiana humoru się

przyczyniła, po długim opieraniu się, pułkownik dał się przebłagać i wkońcu odezwał się w te słowa: że tym razem ostatnim jeszcze przebacza występny, robiąc sobie nadzieję, że się nie dopuścimy podobnych występków.

Zapytał się wkońcu dowódzca, co za powód był takiej niegrzeczności. Na to Thil bez ogródki powiedział, że mieliśmy urazę za to, że nas na obiad nie proszono. Na co pułkownik powiedział: „Kowal zawinił, a ślusarza obwieszono; co te panny były temu winne, że ich ojcowie zawinili?” Po krótkiej reprimendzie, każdemu z nas oświadczył, że, jeżeliby ktokolwiek poważał się upić, takowy bez zwłoki podać się musi do dymisyi, gdyż takich oficerów korpus się rzeka. Po przyrzeczeniu sobie wzajemnem dotrzymania wspomnianego warunku, rozkazał pułkownik, aby korpus na kwatery wrócił. Błogi to był powrót dla nas, zwłaszcza dla tych, którzy byli niewyspani po zaszłej awanturze. Każdy śpiesznie udał się na spoczynek, ale krótki on był, bo wkrótce przybywają podoficerowie, zawiadamiając nas, że mamy stawieć się do kwatery pułkownika. Skorośmy się zebrali, pułkownik odezwał się: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem. Oto za wczorajsze niegrzeczności proszeni jesteście panowie przez obywateli miasta dzisiaj wieczorem na bal w Sali redutowej. Przeto będziemy w małych mundurach, spodniach białych i butach ze sztylpami; zbierzemy się punkt ósma wieczór u mnie, skąd udamy się razem na bal”.

Gdy nadszedł ów moment, gdy wszyscy się zeszli, pułkownik znowu odezwał się (wywołując nas, którzyśmy do awantury należeli): „Puściliśmy w niepamięć wszystko,

— 77 —

ja cofnąłem podanie się do dymisyi, spodziewam się więc, że i panowie także ze swojej strony to dla mnie uczynią, o co was prosić będę. Gdy przyjdziemy do sali i rozpocznie się taniec, wy nie tańczcie, a po kilku polonezach ja wam dam znak, na który każdy z was poprosi do poloneza tę pannę, którą za drzwi wyprowadził. Naturalnie pan Thil pannę prezydentównę w pierwszą parę poprosi i tak dalej, w porządku takim, jak się to działo wczoraj. Po przetańczeniu, ja, mówi pułkownik, wystąpię przed pierwszą parę i w imieniu waszem głośno panny przeproszę. Z was zaś, każdy, na jaki komplement się zdobędzie, osobiście przeprosi”.

Gdy już wszystkie przygotowania poczyniono, nastąpił ów przebłagalny polonez.

Każdy z nas udał się na swoje miejsce i wziął pannę, a gdy ruszyły pary i zawróciły około drzwi, stał już tam Danielewicz, sądząc, że i on przy drzwiach jest potrzebny, a trzymając ciągle za klamkę. Gdyśmy się więc zbliżali ku drzwiom, nie mogliśmy pojąć, dlaczego panny z rąk naszych ręce wydzierają. Sądziły one widocznie, że może będzie podobna historia jak wczoraj. Dopiero któraś z matron szepnęła pułkownikowi, że ten oficer chce drzwi znowu otwierać tak jak wczoraj. Pułkownik udał się do niego i odwołał go. W końcu zbliżył się pułkownik, i, zatrzymawszy parę pierwszą, najgrzeczniej przemówił do panien, przepraszając w ogóle wszystkie. Każdy z nas wysilił się na perorę, dokonawszy takowej — pocałowaniem w rękę swojej danserki. Zakończył się ten akt przez oklask rzęsiście całej kompanii. Po tańcach nastąpiła suta kolacja, a rzęsiście kielichy zalały wszystkie nieporozumienia i odtąd najwyższa harmonia aż do końca panowała. Kiedy w końcu tej biesiady przez rozliczne toasty każdy ujrzał się w zmienionym humorze, zbieraliśmy się do pułkownika, mówiąc: „Już to podobno jutro ze sobą służby czynić nie będziemy podług warunków

— 78 —

wczorajszych”, co więcej w dniu tym wesołości dodawało ¹⁾).

Z rokiem 1808 nowe zmiany następowały. Lubo my dotąd cieszyliśmy się pokojem, w ościennych narodach oręż francuski znowu zapalał wojenną pochodnię. Z początkiem wiosny Hiszpania dotknięta została wojną ²⁾, a jak to zwyczajnie w takim razie, zachodziła potrzeba posiłków. Marszałek Davout był naówczas jenerałnym zarządcą Księstwa Warszawskiego. Ten odebrał polecenie od Napoleona, aby zaproponował Księstwu Warszawskiemu, aby też w miarę swej możliwości dało kontyngens do Hiszpanii ³⁾.

Trzeba wiedzieć, że jenerał Dąbrowski sądził, że w nagrodę swych za granicą zasług, ile że też i w szeregach polskich je położył, otrzyma pierwszeństwo w nowej armii Księstwa Warszawskiego. Ale inaczej chciało przeznaczenie. Książę Poniatowski otrzymał takowe, raz że dowodził dywizją pierwszą, a po wtóre że nosił tytuł naczelnego wodza.

Z tego tytułu było nieporozumienie między tymi jenerałami, a wskutek tego, gdy przyszły polecenia cesarza, odebrał rozkaz taa jenerał Zajączek, dowódzca drugiej

¹⁾ Szkoda, że Białkowski — oprócz tych paru szczegółów nie podał nic więcej o pobycie 12-go pułku w Rawiczu, nie nadmienił słowem o pracy pułk. Weyssenhoffa nad wykształceniem oficerów i podoficerów nad wprowadzeniem regulaminu i administracji francuskiej do pułku, o podróży inspekcyjnej jen. Fiszerą, a przedewszystkiem o tem, że zaci fabrykanci Rawicza na kredyt oporządzili cały pułk przed jego wymarszem do Torunia.

2) Powstanie w Madrycie 2. maja 1808 roku jest początkiem wojny.

3) Do dostarczenia kontyngensu 8 tys. ludzi do Hiszpanii — zobowiązał Księstwo traktat zawarty z królem Saskim w czerwcu r. 1808; Davouta tylko zawiadomiono o tem. Tutaj dodamy, że w Księstwie naówczas przyjęto tę konwencję dość dobrze: ponieważ Napoleon brał te pułki na swój żołd, uważano to za ulgę dla wycieńczonego skarbu krajowego.

— 79 —

dywizyi, jako też i jenerał Dąbrowski, dowódzca trzeciej dywizyi, aby się stawili do Warszawy do rady wojennej. Skoro się zebrali, marszałek Davout ogłosił wolę cesarza względem posiłków do armii hiszpańskiej. Na to książę Józef odezwał się, że, gdyby różne okoliczności nie przeszkadzały, należałoby całej armii Księstwa Warszawskiego udać się do Hiszpanii, ale że to być nie może, przeto przeznacza jedną dywizję, to jest dywizję trzecią, na co z oburzeniem jenerał Dąbrowski odparł, mówiąc, że nie na niego kolej, ani na jenerała Zajączka. Na to odezwał się obecny marszałek:

„Jak to, kiedy panu jenerałowi starszy rozkazuje, powinienes go słuchać”. Na to Dąbrowski:

„Otóż nie pójde, bo nie na mnie kolej, ale na tego (tu wskazał na księcia Józefa), który, kiedym ja się we Włoszech wysługiwał i za granicą, ten panicz, w pudelkę, w bawelnę, owinięty, spoczywał, a dziś przed nami starszeństwo i komendę otrzymał”. Tem więcej marszałek rozgniewany: „Otóż ja panu rozkazuję”. Na to Dąbrowski odrzekł: „Niech mnie największa kara spotka, ja tego nie uczynię”. Marszałek dał Dąbrowskiemu areszt ¹⁾, Dąbrowski z największą uległością go przyjął. W końcu marszałek dodał: „Czy wie jenerał, że za takie nieposłuszeństwo jest kara śmierci?” Na to Dąbrowski odpowiedział: „Wszystko od pana marszałka przyjmuję, byle nie od tego”, — wskazując na księcia Józefa. Kiedy Dąbrowski udał się do aresztu, po jego

odejściu Davout powiedział do obecnych: „Prawda, że ten stary jenerał wszędzie najgorsze kąty wycierał za granicą, sam jestem tego świadkiem; dajmy jemu

¹⁾ Cała ta scena, nieprawdziwa faktycznie, świadczy tylko o tem, jakie pogłoski obiegały po dywizji Dąbrowskiego.

Tu dodajemy tylko, że marszałek Davout odrazu wyznaczył do Hiszpanii dywizję zbiorową (pułk 4-ty Feliksa Potockiego. 7-my pułk Sobolewskiego i 9-ty ks. Sułkowskiego), nie było mowy o wysłaniu całego legionu Dąbrowskiego.

— 80 —

pokój, trzeba to inaczej zmoderować”. A zatem wskutek woli marszałka postanowiono jak następuje: Ponieważ ma pójść jedna dywizja piechoty do Hiszpanii, przeto pójdzie dywizja składana. I tak, z pierwszej dywizji pójdzie pułk czwarty, z drugiej siódmy, z trzeciej dziewiąty. Księżę Józef kierował tak, aby Dąbrowski prawie nieczynnym był i niejako jakby na reformie, przeto pozornie starał się jemu komendę odebrać. Tak, gdy potrzeba było wzmocnić załogę Kistrzynia, przeznaczono z dywizji trzeciej pułki 10 i 11 piechoty tamże, pod dowództwo jenerała francuskiego, komenderującego tam ¹⁾).

Ostatni nasz pułk, 12-ty, w którym służyłem, przeznaczono do Torunia, pod komendę jenerała Woyczyńskiego, gubernatora Torunia. Dąbrowski został pozbawiony komendy, dał mu Davout urlop nieograniczony, aby używał pokoju i dobrodziejstwa cesarza w darowanych mu dobrach Winnogórskich w Poznańskim, gdzie się też niebawem udał. Ożeniwszy się z Barbarą Chłapowską, spokojnie używał błęgiego pokoju ²⁾).

Zostawmy rzeczy w takim stanie. Przy wyjściu wyżej wspomnianych pułków do Hiszpanii, pułki, pozostałe w kraju, dodały im ludzi ze swego składu.

Gdy zbliżyła się wiosna, spodziewano się przybycia króla saskiego do Księstwa Warszawskiego. W tym celu,

¹⁾ Pułki 10-ty i 11-ty a z nimi i 5-ty były posłane na garnizon nie do Kistrzynia, lecz do Gdańska. Kiedy nastąpił ich wymarsz nie jest mi wiadomo, lecz z książki Sołtyka „Relation des Operations” str. 108. widać, że 1-go stycznia 1809 r. te pułki już były w Gdańsku.

²⁾ Jest faktem charakterystycznym — to odsunięcie jen. Dąbrowskiego od wszelkiego wpływu w Księstwie. W dobie układów Tylżyckich myślnie o powierzeniu mu ministerium wojny, co wywołało żywe niezadowolenie ze strony ks. Józefa, a radość w wojsku, wśród którego Dąbrowski był bardzo popularnym. Później zostawiono mu godność bez faktycznej komendy. Ślub Dąbrowskiego z Chłapowską odbył się dnia 10. listopada 1807.

— 81 —

dwie kompanie pułku 12, cokolwiek oporządzone i ubrane, udały się do Kargowej, jako do miasta pierwszego pogranicznego w Księstwie. Po przejeździe tegoż króla do Warszawy, kompanie nazad do Rawicza wróciły ¹⁾).

Zbliżył się koniec sierpnia, jako termin do wymarszu do Torunia. Przed zbliżeniem się tego terminu, komisya ubiorcza w Poznaniu, odebrawszy fundusze, tak na oporządzenie, jako też i ubranie pułku, dostarczyła wszelkich potrzeb dla naszego pułku. Po ubraniu pułku, dostaliśmy rozkaz wymaszerowania z Rawicza do Torunia, gdzie stanęliśmy 8. grudnia 1808.

W Toruniu zastaliśmy 18-ty pułk lekkiej piechoty francuskiej, regiment piechoty saskiej i pułk szósty ułanów polskich. Zaraz po przybyciu do Torunia — my oficerowie oddaliśmy wizytę jenerałowi Woyczyńskiemu. Tenże nam zapowiedział, że, ponieważ konsystujemy z wojskiem francuskim, mamy się ściśle do jego przepisów służby, jako też zwyczajów, stosować. Nadszedł też karnawał 1809. Utworzonem zostało kasyno, od którego abonamentu nikt wyjętym nie był, kto składał tylko garnizon Torunia. Na kasynie oprócz zachowania się przyzwoitego, każdy oficer winien być ubrany tak, jak rozkaz tego dnia przepisywał. Kto siedł tańczyć, winien mieć rękawiczki na ręku i stosować się do ustanowionego porządku tańców, przepisanych na tablicy, zawieszanej w sali. Po kilku kasynach jużśmy się oswoili po części z urządzeniami. Razu jednego oficer, kapitan z pułku 8-go piechoty francuskiej (trzeba wiedzieć, że był synowcem jenerała dowódcy brygady), absolut w najwyższym stopniu, zaufany w swem zręcznem strzelaniu, a, co większa, szczęśliwy w odbytych kilkunastu poprzednich pojedynkach, tak, że wszyscy bali się go zaczepić, razu jednego przyczepił się do naszego

¹⁾ Król na wiosnę r. 1808 nie przyjeżdżał do Księstwa, jest tu mowa o przyjeździe październ. 1807. Pułk 12-ty poszedł do Torunia we wrześniu r. 1808.

— 82 —

kolegi, kapitana z pułku szóstego ułanów polskich, Janowskiego. Wspomniany oficer był bardzo przystojny, przytem ubierał się ślicznie, a zwłaszcza że mundur ułański galowy był bardzo gustowny. (Składał się z fraka granatowego z kołnierzem i mankietami koloru przeznaczonego dla pułku, z przodu po francusku wyciętego; spodnie do tego białe, kamizelka pąsowa, buty węgierskie pąsowe ze złotymi sznurkami i kutasami, ostrogi pozłacane, z których do tańca wykręcała się część z kółkiem; do tego kapelusze stosowane i szpada). Będąc tak przystrojony, Janowski, do tego przystojny niezmiernie, podobał się wielu kobietom, co widać wyżej wspomnianego kapitana obchodziło. Ten razu jednego znacznie zaczął zaczepiać Janowskiego, to podstawiając temu nogę, to znowu następując mu na nogę, stawając przed nim w ten sposób, że go zasłaniał sobą, to wkońcu potrącając go łokciem, tak że zaczepka była widoczną. Przytem odgrażał się głośno, że chciałby i tego posłać do wieczności, o czem ostrzeżono Janowskiego, dodając, aby się wystrzegał, gdyż Francuz ostro strzela, a przytem jest synowcem jenerała. Janowski, mniej zważając na przestrogi, nie ulegał wspomnianemu Francuzowi. Ten na reducie wychodzi z bufetu, widać na fantazyę wypiuwszy szampana, zbliża się wprost do Janowskiego i niemiłosiernie na nogę następuje. Obrażony Janowski, obruszywszy się na niego, odzywa się po polsku. „Czy oczów nie masz, żebyś deptał po ludziach?”

Francuz nie zrozumiał ani słowa, ale samo oburzenie bierze za urazę i natychmiast w swoim języku wyzywa go, prosząc na godzinę ósmą z rana za bramę chełmińską. Janowski, dawszy spokojnie znak głową, w dowód że zezwala, podał Francuzowi rękę, który poruszony był do żywego tem, że Polak jego się nie lęka, tyle reputowanego z pojedynków odbytych. Uduje się Francuz do bufetu, a przy szampanie liczy już Janowskiego w poczet nieboszczyków. Gdy się doniosło do jenerała, stryja Francuza, ten natychmiast arestuje swego synowca, polecając

— 83 —

(aby przerwać wypowiedziany pojedynek) przydać mu do stancyi szyldwach.

Gdy się zbliżyła godzina pojedynku, ja wraz z innymi oczekiwaliśmy ciekawej sceny.

Nadszedł tymczasem jeden z Francuzów i oświadczył, że zapewne kapitan nie przyjdzie, z powodu że aresztowany. Ale wkrótce nadszedł jego sekundant z zawiadomieniem, aby zaczekano moment na niego, że na czas oznaczony przybędzie. Sądził bowiem, że będzie uwolnionym. Wkrótce nadbiega Francuz, uwolniwszy się w ten sposób, że, gdy żołnierz stał przed drzwiami w sieni, on, powiązawszy prześcieradła, oknem się spuścił i na pole pojedynku przybył. Przybywszy, nalega, aby jak najspieszej pojedynek wykonać. Gdy sekundanci podług zwyczaju chcieli sprawdzić urazę między nimi, odezwał się porywczo: „Co tam sprawdzać, zaczępiłem, skrzywdziłem go i chcę, aby ginął”. Teraz przystąpiono do umowy o strzały, Francuz, niecierpliwy, chwyta za pistolet i oświadcza, że, jeżeli dłużej wytrzymywać będą, prosto przeciwnikowi w łeb wystrzeli.

Nasi sekundanci, obruszeni, oświadczenia Francuzom, że nie mają do czynienia z rozbójnikami, ale z ludźmi honoru, że powinien być jakiś porządek. Francuz cokolwiek sfołgował, a po krótkim naradzeniu się sekundantów zdecydowano, że rzucą talar, z którego Francuz obrał sobie orła, a Janowski głowę. Skoro rzucono do góry, talar padł na głowę, to jest pierwszy strzał dostał się Janowskiemu. Francuz był tem nie zrażony, żądał jedynie przyspieszenia strzału. Wystąpiwszy Janowski do wystrzału, proponuje jeszcze zgodę, na co Francuz wpada prawie we wściekłość, odgrzając strzałem. Kiedy już wszystkie środki pojednawcze nie miały miejsca, Janowski wypalił i przeszył kulą na wylot Francuza. Ten, odebrawszy śmiertelny postrzał, obrócił się jeszcze na miejscu w koło, ale wtem wystrzela i omal Janowskiego w głowę nie ugodził. Janowski, dopadłszy konia już przygotowanego,

— 84 —

szybko udał się za granicę do Prus. Było bowiem zarządzenie króla saskiego, zabraniające pojedynków. Skoro jeden drugiego w pojedynku zabił, jeżeli za granicę nie umknął, był wzięty pod sąd wojenny; skoro umknął, miał prawo z zagranicy prosić o przebaczenie, a za takowem łatwo było wrócić do kraju. Tak też Janowski uczynił. Nie śmiał powrócić do Torunia, gdyż Francuz miał w pułku braci i przyjaciół, którzy poprzysięgli zemstę. A zatem przyjaciele Janowskiego radzili mu, aby prosił o translokację do innego pułku, co też uczynił. Wkrótce pułk francuski razem z innymi opuścił kraj polski, udając się do Francji¹⁾. Za tym wyruszył i regiment saski, udając się do Stralsundu. W końcu i pułk szósty ułanów opuścił Toruń. Sam tylko nasz pułk dwunasty pozostał i artylerya.

Przy początku kwietnia 1809 odebraliśmy rozkaz, aby jeden batalion pułku naszego udał się do Warszawy pod pozorem przyniesienia sztandarów dla pułku. Przeznaczenie padło na batalion drugi, w którym ja byłem. Skoro wszystkie przygotowania poczynione zostały, wyruszyliśmy przez most po lewym brzegu Wisły i ciągnąc tym brzegiem ku Warszawie, dostaliśmy się pod Łowicz. Nie wiedząc o niczem, rozkwaterowaliśmy się na pół mili przed Łowiczem. Zajęliśmy kwatery, a czas był wiosenny, bardzo ciepły, tak, że żołnierze porozbierali się do koszul, chodząc po wsi. Wtem przyjeżdża obywatel z Płocka, jadący od Łowicza, a, widząc wojsko nasze bez najmniejszej ostrożności stojące, zatrzymał się na wsi, zawołał naszego jednego żołnierza i zapytał, dlaczego są tak nieubrani i nieostrożni. Widząc, że żołnierz o niczem nie wie, zapytuje

¹⁾ Pułki należące do korpusu marszałka Davout opuściły Księstwo w sierpniu 1808 r. Pułk 8-my lekkiej piechoty francuskiej wyszedł z Torunia w parę dni po wkroczeniu pułku 12-go Weyssenhoffa. Nasz autor nie trzyma się żadnego układu chronologicznego, zaraz potem można poznać, że notatki jego spisywane były późno na starość.

— 85 —

się powtórnie, czy tu stoi w tej wsi jaki oficer. Gdy odebrał odpowiedź, że we dworze stoi major, zajechał tam i pyta się gospodarza, czyby nie mógł się widzieć z majorem. Odebrawszy odpowiedź, że chyba później, bo major dopiero co udał się po marszu na spoczynek, odpowiedział, że sprawa zwłoki mieć nie może, że on ma polecenie od księcia Józefa. Na to gospodarz: „Jeżeli tak, to obudzę majora”, co też i uczynił. Skoro major Oskierko do podróznego wyszedł, ten zapytał się: „Czy pan pułkownik wie o poruszeniach nieprzyjaciela?” Na wspomnienie nieprzyjaciela (o czem się nikomu nie śniło) Oskierko oczy przetrął i odpowiedział: „Ja pana nie rozumiem”. Na to znowu ten się zapytał: „Czy pan wiesz o poruszeniach Austryaków, którzy już do kraju wkroczyli?”

Znowu taką jak pierwszej odebrał wiadomość. Widząc podróznego, że o niczem nie wiadziło, mówił tak dalej: „Kiedy tak, to ja oddaję się panu w zakład; jeżeli to, co ja powiem, nie będzie prawdą, może mnie pan powiesić, rozstrzelać, co się panu żywnie podoba”.

„A teraz pan major rób swoje rozporządzenia potrzebne do obrony, bo ja dopiero co ujechałem z Łowicza przed wchodzącą awangardą austriacką, której było najmniej 500 koni huzarów”. Po odebraniu takiego zawiadomienia Oskierko struchlał, bo już kwatery swoich od godziny za kwaterami wysłał do Łowicza. Sądził, że już ich nieprzyjacieli zabrał i od nich się dowie, w jakiej sile jesteśmy i że nie mamy ładunków. Kompanie były rozlokowane po wsiach obszernie, jak zwyczajnie w czasie pokoju. Nadewszystko, co tu robić! Cofać się ku Toruniowi przed kawalerją — nie ujdzie. Ale zbawienna myśl mu przychodzi.

Wzywa nasamprzód gospodarza, aby, ile możności, dostarczył konnych posłańców, celem zawiadomienia kompanii o zaszłych wypadkach.

Gdy to rozporządza, powraca oficer Szadkowski, wysłany z kwatermistrzami, potwierdzając to doniesienie

— 86 —

podróznego, dodając, że sam widział mocny oddział kawalerii nieprzyjacielskiej po tej stronie Łowicza, przed którym ledwo zdołał umknąć.

Ja, wówczas będąc porucznikiem, miałem zaszczyt być komendantem kompanii. Tak jak inne kompanie dostałem dyzlokację obszerne, sam dostałem kwaterę u jakiegoś poczciwego obywatela, który, chcąc uprzyjemnić chwile wypoczynku, zaproponował mi, że ponieważ kwiecień jest tak ciepły, że go można za maj przyjąć, przeto będziemy jedli śniadanie w ogrodzie, w szpalerze. Skoro tylko kończymy owo śniadanie, przybiega konny posłaniec ze sztabu. Ja sądziłem, że to są rzeczy zwyczajne, że może na następny marsz jakie urządzenie, nie bardzo się więc spieszę z otwieraniem wspomnianego rozkazu. Ale posłaniec, widząc nauczonego, powiada: „Niech pan porucznik czyta jak najspieszej, bo tam u nas wej bieda, już nasi dawno naszą wieś opuścili”, otworzyłem odrazu rozkaz. Jakie moje było zdziwienie, gdy przeczytałem następny rozkaz: „Za odebraniem niniejszego rozkazu — polecam panu porucznikowi, pod własną odpowiedzialnością, pod destytucją, utratą służby, a wkońcu karą śmierci, aby, zebrawszy jak najspieszej kompanię swoją, zebrawszy również ze wsi, którą zajmujesz, wszystkie fury, na które każesz włożyć

wszystkie tornistry, tak aby ludziom było lżej maszerować, wzięwszy pewnego przewodnika, udasz się najśpieszniejszym marszem bez spoczynku pod Płock, gdzie czekać już będą promy, a która z kompanii prędzej przybędzie, takowa ma się najśpieszniej przeprowadzić i promy odesłać. W marszu polecam jak największy porządek i ostrożność, tak jak bywa wobec nieprzyjaciela”.

Po odebraniu tak surowego rozkazu zabrałem nasamprzód wszystkie fury i udałem się śpiesznym marszem, mając przestrzeń pięciomilową do przebycia. Zbliżywszy się do punktu oznaczonego, zastałem promy a, przeprawiwszy się już ostatni za Wisłę, zastałem Płock w największym poruszeniu. Gwardya narodowa już była pod

— 87 —

bronią. Proch, ołów i skałki wzięte zostały od kupców w rekwizycje. Nasi żołnierze odlewali kule a, ponieważ mieli broń potsdamską pruską, której kaliber był mały, przeto kule kalibrowane przelewać musiano i inne ładunki robić trzeba było.

Ponieważ ja ostatni przeprowiłem się przez Wisłę, zostałem przez noc w obserwacji nad rzeką. Skoro tylko się ściemniło, dostrzegłem po drugiej stronie Wisły, jak już nieprzyjaciół z nami przybył. Widać kawalerya, dowiedziawszy się o śpiesznym naszym odwróceniu, ruszyła odrazu za nami, chcąc nas w drodze dopędzić.

Nieprzyjaciół za Wisłą ogromne porozpalała ogniska, a my, dostawszy ładunki, natychmiast poczęliśmy do nich przez Wisłę strzelać, wskutek czego odmienili stanowisko, cofnąwszy ogniska dalej.

Oskierka, wskutek zrobionego raportu o zmianie marszu na Płock, został obsypany pochwałami za to, że przez ten manewr nie tylko ocalał batalion, ale go postawił w mocnym stanowisku. W nagrodę odebrał nominację na grosmajora (czyli jak teraz podpułkownika).

Po dwudniowym odpoczynku udaliśmy się ku Radzimierzowi, a stamtąd ku Pradze ¹⁾, gdzie, przybywszy, zastaliśmy już wszystko wojsko nasze. Po opuszczeniu Warszawy umysły wojska naszego były mocno oburzone przeciw księciu Poniatowskiemu: twierdzono, jakoby on się miał porozumieć z nieprzyjacielem, a najbardziej posądzano go o niedbalstwo w polityce ²⁾. Nic nie wiadano o skoncentrowaniu się nieprzyjaciół pod Nowem Miastem nad

¹⁾ Sołtyk w „Rèlation des Operations” (155) pisze:... le général Sokolnicki se replia dans la matinée du 20 (kwietnia) sur les lignes de Varsovie, où l’armée polonaise avait déjà pris position..... L’armée était renforcé dans la journée par le 12-me régiment, qui arrivait de Thorn.

²⁾ Jest to odgłos tej niechęci, jaką wówczas podwładni Dąbrowskiego żywili do księcia Józefa. Fakta niesłuszne.

— 88 —

Pilicą, aż sam nieprzyjaciół słynną proklamacją dał znać o sobie.

Mając garstkę wojska, dziwnem wydawać się mogło, aby nie wiedzieć, w jakim który oddział zostaje położeniu, np. nasz batalion. Powinien był wódz naczelny wiedzieć, którędy nam przepisał kartę drożną, a domyślić się mógł, że w drodze spotkamy się z nieprzyjacielem, nie będąc zaopatrzeni w ładunki i skałki.

Takie i tym podobne zdarzenia dawały złe wyobrażenie o naszym sztabie.

Czytelnicy sobie przypominają, żeśmy zostawili generała Dąbrowskiego (przez intrygę księcia Poniatowskiego), jako nieczynnego, używającego błędnego spokoju w dobrach swoich w Winnogórze. Kiedy teraz wojsko nasze było skupione w okopach Pragi bez energii, prawie w rozpacz, natenczas (jak to mówią: „Kiedy trwoga to do Boga”), i Poniatowskiemu nie pozostało innego remedium, jak zrzucić pychę z serca i udać się po radę do doświadczonego wojownika ¹⁾. Zebrana rada wojenna wezwała w pomoc dotąd zapomnianego Dąbrowskiego, który na odgłos niebezpieczeństwa, zapomniawszy osobistej urazy, pospiesza podać dzielną dłoń współrodakom. Kiedy wojsko ujrzało znowu wśród siebie tego bohatera, zdawało się, że nowego życia nabyło. Pośród radosnych okrzyków wprowadzono go w okopy Pragi, a po powitaniu zrobił on uwagę, aby mu powierzono najdokładniejszą sprawę, tak siły zbrojnej, jako też wszystkich

¹⁾ Cały ten opis — zasięganie rady u Dąbrowskiego i przesadnej pompy jej udzielenia przez zasłużonego twórcę legionów jest nieprawdziwy, ale charakterystyczny i ciekawy, jako pogłoska. To natomiast jest prawdą, że Dąbrowskiemu zawdzięczano plan marszu na Galicję, jak i to, że w tej sytuacji, jak i w innych, niepomny niechęci do ks. Józefa, pomagał mu on gorąco w imię ocalenia publicznego, tak bardzo w tem różny od jen. Zajączka.

— 89 —

potrzeb wojennych i stanowiska. Potem żądał, aby mu dano osobne mieszkanie, sztyldwachów, którzyby nikogo nie wpuszczali do niego, by mu nikt nie robił żadnej przeszkody. Pracował tam przez cztery godziny, a po skończonym planie, którego wszyscy z upragnieniem czekali, w te odezwał się słowa: „Zrobiłem plan, ale od tego trzeba nam zacząć, żeby pierwsze spotkanie się z nieprzyjacielem było przeważnem, aby przez to wojsko nasze nabyło energii i życia”. Zapytał się, które jeszcze pułki w tej kampanii nie były w ogniu. Odpowiedziano, że pułk dwunasty. „To dobrze, to są jeszcze dzieci”, a, zbliżywszy się do nas, skoro nas powitał, zdawało się, że nas, osierociałe dzieci, ojciec przyjmuje w objęcia. Po najczulszych i wzajemnych powitaniach — rzekł do nas: „No, dzieci moje, na was dzisiaj kolej, abyście się w oczach Warszawy i wodza nieprzyjacielskiego popisali. Nie w liczbę ale w bagnety i męstwo ufać macie, mam nadzieję, że znowu was tak, jak pod Friedland zobaczę — okrytych sławą”. Potem zbliżył generał Sokolnicki i po krótkich i pochlebnych wyrazach odebrał nas w swoją komendę. Do nas przyłączono pułk drugi ułanów i dwie kompanie wołyżerskie, pułk ósmy piechoty, sześć dział lekkich i około 500 ludzi ochotników warszawskich. Cała ta wyprawa wyruszyła za okopy i stanęła w tym punkcie, gdzie dziś stoi słup żelazny ¹⁾. Porządek był następujący: Bataliony nasze dwa, w odstepie batalionowym między sobą, w kolumnach ściśniętych; między batalionami, w drugiej linii, pułk Tyszkiewicza, czyli drugi ułanów, w linii rozwiniętej, kompanie zaś wołyżerskie pułku osmego okrywały oba flanki tyralierami; reszta ochotników zajęła nadbrzeża i wzgórze nad Wisłą.

Generał Sokolnicki, dyrygujący artylerią, musiał się

¹⁾ Sokolnicki miał ze sobą w tej wyprawie 12-ty p. piechoty i 2-gi jazdy, później wziął z załogi Pragi kompanię wołyżerów. Dział artylerii konnej było 2. Białkowski myli się tu widocznie.

— 90 —

posuwać, gdzie dogodniejsze miejsca dla dział widział. W takim tedy szyku postępowaliśmy ku nieprzyjacielowi, który stał za okopami, stanowiącymi granicę między Austrią a Księstwem Warszawskim. Blisko pałacyku była komora celna a przy niej wjazd. Przed wspomnianą komorą stała rozstawiona artyleria austriacka. Za zbliżeniem się naszym, skoro tylko działa razić nas mogły, rozpoczęli Austriacy ogień armatni. Jak się domyślić należy, z bojaźni, aby ich działa nie miały asekuracji, cała piechota wystąpiła przed okopy, sformowawszy front. Tak, jak gdyby przewidując przyszłość, chcieli swą granicę zakryć przed atakiem naszym. Skoro zbliżyliśmy się na strzał armatni, artyleria ich, skierowawszy działa na piechotne bataliony, trafiła kilku doboszy, którzy maszerowali około kolumny, bijąc w bębny do ataku; kilku nogi oberwały kule, a kilku, częścią zabity, częścią raniły, uszkodziwszy

także ludzi i w kolumnach batalionowych. Im więcej zbliżaliśmy się do nich, tem krok był żywszy. W końcu piechota rozpoczęła do nas ogień ręcznej broni i kule sięgały nas (Austriacy w tej kampanii mieli broń i proch angielski). Dowódca nasz, wówczas pułkownik, Weyssenhoff, kazawszy przyspieszyć marsz, zbliżył się na pół wystrzału karabinowego, a, zatrzymawszy bataliony pod ogniem karabinowym i kartaczowym, w oczach nieprzyjaciela pułk rozwinął. Wziąwszy broń do ataku, ruszył pułk, mając przed frontem swym, tak pułkownika, jako też i swych szefów batalionu, którzy prowadzili pułk z najeżonym bagnetem przeciw rozciągniętej nieprzyjacielskiej linii. Kazano nam bez strzału dotrzeć do linii nieprzyjacielskiej. Między linią austriacką a naszą była duża przestrzeń wody wylanej na błoniach i może tą przeszkodą chciał się nieprzyjaciel zasłonić, ale nie wstrzymała nas takowa. Z szumem największym przeszliśmy ją, mając na swem czele sztabsoficera.

Kiedy zbliżyliśmy się na 30 kroków, spostrzegliśmy w ich szeregach znaczne zachwianie i zdało się, że ich

— 91 —

linia zaczęła bujać; to niby posuwała się naprzód, to znowu w tył się cofała. Kiedy wtem, niewiadomo jakim sposobem z frontu naszego dał się słyszeć strzał jeden. Nim oficerowie zawołali: „Nie strzelaj!” już nasi żołnierze, trzymając broń do ataku, wystrzelili. Na ten wystrzał rozsypała się linia nieprzyjacielska, a mając z tyłu okopy, po lewej błota, nie pozostało im jak przed okopami uciekać na prawo do traktu, prowadzącego przez ich rogatki, które, szczęściem dla nas, były zamknięte jeszcze i tamowały nieprzyjacielowi odwrót. Wtem generał Sokolnicki, zbliżywszy się z artylerią, strychował kartaczami tłoczącą się do rogatki piechotę. Generał rozkazał pułkowi Tyszkiewicza szarżować na będącą jeszcze artylerię przed rogatkami i bez ładu cisnącą się piechotę. Tyszkiewicz posunął się wprawdzie ale, będąc odstraszoną przez kilka strzałów piechotnych, cofnął się. Wskutek tego wymknęło się nam około 2000 piechoty; reszta zaś, t. j. regimenta Dawidowicza, Baillet’a i inne, tudzież artyleria, dostały się nam w niewolę i tak dnia tego odebraliśmy klucz do Galicji¹⁾. Najwięcej nas cieszyło, że świadkiem naszego zwycięstwa był arcyksiążę Ferdynand i cała Warszawa²⁾. Ferdynand, — jak mówią, gdy

¹⁾ Opis bitwy pod Grochowem jest u naszego autora również niedokładnym, jak i inne jego opisy. Uzupełnić i sprostować go należy następującymi szczegółami: 1) Bitwa Grochowska była tylko jednym z fragmentów ogólnego działania 14-to tys. korpusu polskiego, zmierzającego do zniszczenia, niebacznie rzuconego za Wisłę, 7-mio tys. oddziału Mohra. 2) Zwycięstwo pod Grochowem było nieznacznym, ostatecznie bowiem Sokolnicki miał 2 tys. ludzi przeciw 4, dzięki zbytniej komplikacji planu ks. Józefa. 3) Austriacy stracili 216 ludzi w niewolnikach i zabitych, a Sokolnicki koło stu ludzi. Wzięte przez pułk 12-ty działa odbiła później piechota austriacka. Dopuszcza się więc pułkownik Białkowski przesady widocznej. Sam opis terenu utarczki jest nieściśły, pochodzący z uogólnienia jednego fragmentu bitwy. Pułk 12-ty odznaczył się wybitnie w tej bitwie.

²⁾ Antoni Ostrowski, będący naówczas w Warszawie, pisze o bitwie grochowskiej: „Widziano cuda męstwa, dokonane przez naszych walecznych garstkę, mianowicie popisał się regiment 12-ty piechoty, pod dowództwem Weyssenhoffa.

— 92 —

nas ścigał z zamku lunetą i zobaczył przeważające zwycięstwo na stronę naszą, nietylko że rzucił lunetę, ale i czapkę z głowy.

Przy świetnem zwycięstwie nieobyło się bez straty. W samem rozpoczęciu ataku straciliśmy doboszy, później podoficera i znaczną liczbę żołnierzy. W końcu, bo już po kończącej się bitwie, skoro przeszliśmy za okopy, od ostatnich strzałów ścierającej się piechoty odebrał strzał kapitan Murzynowski, wskutek czego odwieziony został do lazaretu w Płocku i tam życie z odniesionych ran zakończył. Postawiono mu skromny nagrobek. — Po przejściu za okopy posłano oddziały w lasy przyległe dla przekonania się, czyli niema w bliskości nieprzyjaciela. Wkrótce donieśli wieśniacy, że najspieszniej bez żadnego odpoczynku uciekał.

Po rozłożeniu obozu już prawie w Galicji — wspominaliśmy z żalem, dlaczego w tym dniu pamiętnym nie mieliśmy przy sobie pułku Dziewanowskiego (t. j. pułku 6-go ułanów). Z nim dalekoby było świetniejsze zwycięstwo. Dały się słyszeć prośby do generała Sokolnickiego, aby przedstawił to, aby sobie wzięli tych faworytów, a nam oddali Dziewanowczyków.

Po rozłożeniu obozu przywieziono nam z Pragi żywność i tę rozdano, zalecając gotowość, gdyż wieczorem mamy dalej ruszyć.

Jakoż, za nadejściem nocy, za połączeniem się z nami pułku szóstego piechoty, udaliśmy się przez całą noc przez Okuniew pod Górę, a w nocy rozdzielono nas, jak następuje: ¹⁾

¹⁾ Sokolnicki, któremu powierzono zdobycie szanca przedmostowego pod Górą, wyruszył z Radzymina dnia 29. czerwca z 12-ym pułkiem piechoty i dwoma działami. Później złączył się z nim 6-ty pułk piechoty i 5-ty jazdy. W opisie bitwy pod Górą (noc z 2-go na 3-ci maja) Białkowski popełnia następujące niedokładności: 1) nie podaje, że jego pułk 12-ty siedł w drugiej linii atakujących i 2) że atak głośny Blumera był tylko fortelem, a szaniec zdobyły skrzydła — Bogusławskiego i Suchodolskiego; 3) pułkownik Czerwinek został wzięty do niewoli wraz z tą częścią załogi, która się ratowała na statkach.

— 93 —

Podpułkownik Blumer miał pod komendę 4 kompanie grenadyerów, ppłk. Bogusławski wziął 4 kompanie wołyżerów. Reszta środkowych kompanii formowała rezerwę, a w końcu zamykał całą tę wyprawę pułk piąty konnych strzelców, którzy byli w obserwacji po prawej stronie nad Wisłą.

Gdyśmy byli już tak rozdzieleni, nie pamiętam w jakiej wsi, zatrzymano nas na noc i wzięto przewodnika, który nam w tym względzie bardzo usłużył. Ten, wziąwszy czoło kolumny, prowadził je między zaroślami nadwiślańskimi. Podprowadził Blumera tak blisko, że w nocy zdawał się szaniec przedmostowy jakoby gęsta chmura, ale chłop wyprowadził z błędu, pokazując, że to jest okop tak bliski. Gdy Blumer się rozpatrzył, zatrzymał czoło kolumny i rozkazał sformować się w plutonową kolumnę, a

zblżywszy się w największej cichości pod szańce, nagle uderza z największym krzykiem i zdobywa. Toż samo w jednej prawie sekundzie i Bogusławski dokazał, a po krótkiej obronie składa broń nieprzyjacieli. Nieprzyjacieli sam swój most zapala i niszczy, bojąc się, aby nasza garstka ze szczytnego stanowiska za Wisłę go nie wyrzuciła. Dowódca wspomnianego szanca, pułkownik austriacki Czerwinek, ratuje się na łodzi ucieczką. Wpadło w ręce nasze w dniu 3-im maja do 5000 niewolnika ¹⁾, dwadzieścia kilka dział i sztandar.

Nie mogę zamilczeć zdarzenia, które dowodzi poświęcenia się bez granic. Był w pułku naszym dobośz Markowski, nie liczący wówczas więcej nad lat dwanaście. Po zbliżeniu się naszym pod ów szaniec, robiono rozporządzenia całego ataku. Markowski, zrozumiawszy

¹⁾ Książę Józef w rozkazie dziennym mówi, że tylko 1800 żołnierzy i 38 oficerów (Sołtyk 197). Dział zdobyto trzy (tamże 195) i jeden sztandar.

— 94 —

na jakie punkta atak był wymierzonym, wymyka się w bok i przebiega wkoło szanca.

Skoro usłyszał odgłos ataku, wskakuje sam jeden na szaniec i bębni co siły do ataku. Naturalnie nieprzyjacieli z rezerwą pośpiesza na odgłos bębna, gdy tymczasem jeden dobośz tam całą siłę stanowi. Że czyn tak śmiały i pełen dobrego planu — otrzymał Markowski natychmiast krzyż srebrny polski (zgon jego i waleczność opisane będą w kampanii r. 1812). Po zabranii niewolnika i ściągnięciu dział zabranych — wkrótce się rozwidniło. Znalazłszy mnóstwo szpadli, łopat i różnych narzędzi do sypania szanów potrzebnych, natychmiast nam je rozdano aby szańce przedmostowe austriackie zniszczyć. Gdy rozpoczęto rozrzucanie wspomnianego szanca, ogień swej artylerii, z wyższej daleko pozycyi, rozpoczęli Austriacy. Rozkazano nam, aby sobie wśród okopu porobić wilcze doły, a to dla zasłonięcia się ziemią od tak gęstych pocisków artylerii. Dzień ten był dla nas okropnym, bo nie tylko ogień armatni coraz więcej się poprawiał, ale słońce dnia tego tak było dokuczliwe, ile że położenie nasze było na działanie jego ciągle wystawione, a co najgorzej nam dokuczało, to to, że, kiedy nam żywność przywieziono, składała się ona z mięsa solonego (przeznaczonego do składu okopów pragskich), co nam zwiększało pragnienie dokuczające, a tu dzień cały ani ruszyć się nie można było z miejsca.

Wspomnieć tu muszę o zdarzeniu, które do przytomności i zimnej krwi w boju należy.

Był w pułku 12-tym piechoty grenadyer Jabłoński, zwany patriarchą pułku; ten sam, o którym wspomniałem w r. 1807. Kiedy kolumna, złożona z grenadyerów, w której Jabłoński się znajdował, uderzyła na przedmostowy szaniec, przy wdrapywaniu się naszych na szaniec, stary żołnierz, któremu nie było obcem podobne zdarzenie, skoro dostał się na parapet szanca, przekonał się, że najgęściej kule górą strychują; z tego względu, położywszy się na parapecie,

— 95 —

po takowym toczył się, aby tym sposobem dostać się wewnątrz, a nie być narażonym na gęste strzały. Wtem został ugodzony w plecy, w część tę, którą krzyżem zowią, a nie będąc już w stanie podnieść się, spadł do fosy. Żartując sobie z swego przypadku, powiada do obecnych: „Rozumiałem, że za ten czyn krzyż dostanę, a ja dostałem kulę w krzyż”. Jabłoński dawnoby był ozdobiony krzyżem, gdyby nie nieszczęśliwy nałóg pijaństwa, co mu było przeszkodą.

Gdy tedy, jak powiedziałem wyżej, zabrano z szanca działa i niewolnika, też kolumna odebrała rozkaz powrócenia do Torunia, do batalionu trzeciego nowo formującego się. I tak wsiedliśmy na przygotowane dla nas fury, spiesząc dniem i nocą na przeznaczone miejsca. Przybywszy do Torunia, zastałem już sformowany i ubrany batalion z nowo zaciężnych rekrutów, który został obsadzony starymi podoficerami i oficerami. Po odebraniu w dowództwo jednej z tych kompanii, wziąłem się do wymusztrowania, a później do ostrzelania moich nowych żołnierzy.

Garnizon Torunia składał się z trzech batalionów pułków 10-go 11-go i 12-go, niemniej z rezerwy pułku 5-go piechoty, oddziału jazdy nowo sformowanej i artylerii pozycyjnej i lekkiej, potrzebnych do obsadzenia wszystkich miejsc obronnych. Dowódca twierdzy był wówczas generał Woyczyński. Z każdym dniem rekruci nasi robili większe postępy w mustrze i strzelaniu do tarczy. Dochodziły nas wieści o zbliżaniu się pod Toruń nieprzyjaciela. Dnia pewnego rozkazano nam oficerom, abyśmy się w wielkie mundury ubrali i pośpieszyli do generała, gubernatora, w celu złożenia uszanowania przejeżdżającemu generałowi Dąbrowskiemu, który, zrobiwszy plan na Pradze, pośpieszał do Wielkopolski, w celu zebrania nowych pułków i wspierania nas z tej strony. Mówił on do nas, że nieza długo zobaczymy się znowu wszyscy w Galicji.

Gdy chciał powracać na lewy brzeg Wisły w dyrekcyi ku Poznaniowi, ostrzeżono go, że już tedy nie przejedzie,

— 96 —

gdyż nieprzyjacieli zajęli tę okolicę. Przeto generał udał się do Bydgoszczy i przez Prusy do Poznania. Skoro tam przybył, zrobił proklamacje do departamentów nie zajętych przez nieprzyjaciela, aby kto tylko jest zdolny broń nosić stawał w obronie kraju.

Nie przepominał i o tych, żołnierzach i oficerach z dawnego wojska pruskiego, którzy w czasie, gdy rząd pruski exystował, poženili się w tej okolicy, a po rozpędzeniu armii pruskiej w Poznaniu osiedli.

Takich, wezwawszy do obrony zręcznie, zapewniwszy ich żonom i dzieciom sposób do życia, wciągnął do wojska. Sformowano z tych nowo zaciężnych dwa pułki to jest 14-ty i 15-ty piechoty, jazdy dwa pułki. Jedynie zbywało mu na artylerii, ale czego nie dokaże w garnizonie tak doświadczony generał.

Generał Dąbrowski, widząc w Poznaniu na zamku mnóstwo starych żelaznych dział, które podobno od wojny szwedzkiej leżały, oprócz tego w wielu miejscach w narożnikach ulic takie działa zamiast słupów powkopywane, rozkazał je powydobywać, pococzyszczać, lawety i potrzebne obsady porobić i wkońcu olejnemi farbami spiżowego koloru pomalować. Kilka baterii takiej artylerii sformował. Amunicji potrzebnej dostał z twierdzy Głogowa na Śląsku, którą zajmowali jeszcze Francuzi. Wspomnianą artylerję codziennie egzercował, z czego odgłos rozszedł się aż do nieprzyjaciela.

Nie przypuszczał Dąbrowski, aby nieprzyjacieli ośmielił się uderzyć na Poznań. Mimo to miejsca od strony Swarzędza (od Warszawy) opatrzył bateriami. Zaś przedmieścia rogatekami, barykadami, a wkońcu owemi działami ubezpieczył. W końcu zapewnił księcia Józefa, że na przypadek nieutrzymania się w Poznaniu z resztą załogi cofnie się do Głogowa i tam czekać będzie rozstrzygnięcia kampanii.

z trzech batalionów piechoty, uformowanych ze samych rekrutów. Za zbliżeniem się do nas Austryaków, wzięliśmy się także do środków obrony. P. pułkownik Hurtig zaproponował gubernatorowi, aby wzgórze na lewym brzegu Wisły od strony Podgórze ufortyfikować, czyli zrobić szaniec przedmostowy. Jednocześnie zrobiono baterie między mostami. Ponieważ wspomniane wzgórze były nader piaszczyste, przeto z trudnością przyszło okopy usypać, gdyż, cośmy w dzień usypali, te przez noc rozsypało się. W końcu wzięto się do faszyn i darni, ale że czas był bardzo krótki, a nieprzyjaciel zbliżał się, przeto urządzono służbę następującym sposobem: jeden batalion szedł na wartę, jeden musztrował się, a jeden szedł do szańców. Gdy się Austriacy zbliżyli o trzy mile, to jest do Gniewkowa, wysłaliśmy patrol konny w tej dyrekcyi, z której spodziewaliśmy się go. Spotkawszy się z awangardą nieprzyjacielską, patrol cofnął się do Torunia, przynosząc nam pewną wiadomość o bliskości nieprzyjaciela w kierunku od Gniewkowa. Było to dnia 14. maja.

Wieczorem już kawaleria austriacka zbliżyła się pod nasze zewnętrzne straż. Gdy rozległy się strzały, generał rozkazał zapalić słupy alarmowe, z czego powstała trwoga i zamieszanie. Mieszkańcy Torunia, szczególnie Niemcy, będąc zapewnieni od Austriaków, że niechybnie Toruń wezmą, przygotowali na ten sygnał jedzenie dla przyjęcia Austriaków. Ja, mając kwaterę u obywatela nazwiskiem Tietz, od córki tegoż dowiedziałem się pod sekretem, że Austriacy 15-go maja zajmą Toruń, że pięć mostów postawiono, w celu złączenia się Prusaków z nimi, że Schiel i Bruńswik zebrali liczne rotę dla zrobienia dywersyi. Po rozpoczęciu ataku, natychmiast wysłano znajdujących się w Toruniu jeńców Austriaków z Torunia do Płocka, aby takowi nie rzucili się na nas. Uszedłszy pół mili, a usłyszawszy gęste strzały pod Toruniem, zaczęli do siebie mówić:

„Aha, gut Frühstück zu Thorn!“ Oficer, prowadzący

wspomniany oddział, rozkazał eskorcie, aby, skoro usłyszysz podobną mowę, pierwszemu z nich w łeb wypaliła. Aż tu wkrótce feldfebel austriacki wobec oficera toż samo powtarza. Ten, usłyszawszy, płątnął wspomnianego tak, że rozciął głowę do mózgu. Potem się uspokoił. — Gdy nie było więcej strzałów, garnizon się uspokoił i wróciło wszystko do dawnego porządku. Dnia następnego, to jest 15. maja, w poniedziałek, gdy mieliśmy się luzować, nasz batalion pułku dwunastego, zamiast iść do szańców, złuzowany został przez pułk 11-ty. Z tego powodu byłem naocznym świadkiem przypuszczenia szturm u przez Austriaków, gdy równo ze świtem już byłem w koszarach na 3. piętrze, których front wychodził na Wisłę. Przeto, skoro jeden strzał usłyszeliśmy, ciągle z okna śledziłem poruszenia. Równy ze świtem nieprzyjaciel wyszedł w kolumnach z lasu ¹⁾; każdy żołnierz niósł snop chrustu, przeznaczony dla zarzucenia fosi przy bateriach, a powtórnie dla zasłonięcia się od strzałów. Rozporządzenie kolumn było następujące: Dwie mocne kolumny piechoty wyszły, jak widać, wcześniej, i zbliżyły się w oddaleniu po prawej i lewej stronie nad Wisłę, reszta kolumn przeznaczona została do wzięcia szańcu przedmostowego. W miarę zbliżania się czoła kolumn, boczne skrzydła austriackie zbliżyły się ku mostowi, chcąc odciąć od niego naszych. Skoro czoło zbliżyło się na strzał armatni, nasze działa, których było na szańcu tylko dwa, zaczęły strzelać. Austriacy bez strzału postępowali naprzód, a kolumna boczna ponad Wisłę od strony podgórze szybszym krokiem pośpieszała. Gdy u nas usłyszano strzały, wszystko pośpieszyło na swoje wyznaczone stanowiska, do baterii, przy piekarni zwanej, która była naprzeciwko tej kolumny, która od mostu naszego zachodziła. Nie przybyli zaraz kanonierzy nasi, ale przybiegł

¹⁾ Austriacy uderzyli na szaniec przedmostowy o g. 6. rano. Szańcem dowodził pułkownik Mielżyński. Niefortunna obrona tego szańcu kosztowała załogę — stratę 2 dział i stu ludzi.

młody furyer Turski, nie liczący więcej jak 17 lat, a widząc, że ogniomistrzów przy działach jeszcze niema, a działa były nabite, skierował działo do owej kolumny po drugiej stronie Wisły będącej tak szczęśliwie, że kula trafiła idącego przed kolumną dowódcę i przewodnika chłopca, Niemca z Holendrów. Z tego względu kolumna się zatrzymała, nie wiedząc, jak dalej postąpić i którądy. Gdy wspomniany Turski wystrzelił z drugiego działu, trafił w środek kolumny tak dobrze, że zmusił ją do rozsypki, a, co główna, nie pozwolił jej dojść do oznaczonego celu. Druga kolumna austriacka z lewej strony, nie doznawszy żadnej przeszkody, doszła do boku lewego szańcu, którego miał bronić porucznik Kmita. Ten na widok nieprzyjaciela haniebnie opuścił baterię, przez co nieprzyjaciel, przeszedłszy opuszczone miejsce, zaszedł i odciął naszych od mostu. Reszta naszych, która broniła czoła szańcu, wytrzymała natarczywość nieprzyjaciela. Widząc się odciętymi, zmuszeni byli cofać się do mostu, albo broń złożyć. Wtem nieustraszone, wówczas kapitan, Szembek, mając kompanie grenadyerską z samych Francuzów złożoną, uderza z bagnetem na całą kolumnę, którą rozbija i otwiera drogę dla swoich do mostu. Lubo most, zwany polski, był już wcześniej przygotowany do spalania, mając pale owinięte słomą i cały pomost smołą obłany, przecież nie przyszło nikomu w czasie cofania na myśl, aby go zapalić, przez co nieprzyjaciel mógł wejść razem z naszymi do Torunia. Widząc to, Szembek zatrzymał swoich walecznych grenadierów, przepuścił wszystkich naszych rejterujących, a sam ich znowu zasłonił. Odparłszy z mostu nieprzyjaciela, zdołał kilka dylów zrzucić, przez co uczynił przerwę do dalszego przejścia przez resztę mostu. W tej morderczej walce, kiedy nasi zdołali wejść do szańcu, przy zamykaniu w tymże rogatek, porucznik Antoszewicz z pułku 11-go piechoty, ugodzony kartaczem w nogę, chwalebnie życie zakończył. Zostawmy Szembeka w tem położeniu, a udajmy się do Torunia.

Przy rozpoczęciu ataku — wspomniałem, że z koszar widziałem tę tragiczną scenę. Gdyśmy widzieli już rejterujących naszych z szańcu i przebijających się przez kolumny, nie czekając na rozkaz, zebrałem swoich i wyszliśmy na rynek.

Wtem przybiega gubernator, powracający z nad mostu w największej rozpacz ¹⁾. Zerwał kapelusz z głowy, rzucił o ziemię i woła: „Zginęliśmy! Niema ratunku! „Wtem nasz dowódca Rutkowski, kapitan, odzywa się: „Ależ do stu piorunów, generał tak rozpacza, przecie jeszcześmy nie byli w ogniu, niech generał daje nam rozkazy“. Gubernator, jak z letargu obudzony, woła: „Pułku dwunasty ratuj!“ Znowu Rutkowski nalega o polecenia. Wtem gubernator odzywa się: „Dawajcie mi oficera, na którym bym mógł polegać zupełnie, że wypełni co do joty moje rozkazy“.

Rutkowski przedstawia mnie, mówiąc: „Niech generał zupełnie jemu zaufa“. Ten spojrzał na mnie jakby z niedowierzaniem i mówi: „Bierz pan dwie kompanie najlepsze i pójdz jak najspieszniej na drugą stronę mostu; tam doszedłszy — most zapalisz w oczach nieprzyjaciela, a jeżeli tego nie uczynisz, to wiesz co cię czeka”.

Ja, uśmiechnąwszy się nieco, odpowiedziałem: „Wiem, kula w łeb”. Na to generał powiedział: „Kiedy tak, to mu ufam, bo sobie igraszkę ze śmierci robi”. — Ja wówczas komenderowałem kompanią 2. fizylierów. Ale wskutek polecenia generała, aby wziąć dwie najlepsze kompanie z batalionu, Rutkowski przeznaczył dwie inne kompanie, to jest czwartą, która złożona była z samych ochotników Toruniaków i piątą — z samych rybaków toruńskich. Wziąłem jedną kompanię pod swoje dowództwo. Żaden z oficerów do tych kompanii należących nie poszedł ze mną,

¹⁾ Cała następna scena wydaje się mocno podejrzaną. Zachowanie się jen. Woyczyńskiego w czasie obrony twierdzy uważano wówczas powszechnie za nienaganne.

— 101 —

biorąc sobie za uchybienie ze strony generała, że im nie ufał. Później, kiedy mnie umieszczono w rozkazie dziennym i oddawano należące pochwały, robili zarzuty, że to ich kompanie przyczyniły się do tego zwycięstwa. — Wtem wysuwa się oficer z pułku piątego, Dzięgowski, oficer starej daty, uzbrojony parą długich pistoletów i pałaszem kirasyerskimi z ostrogami, chociaż od piechoty. Tak uzbrojonego woła generał znowu; spojrzawszy raz na niego, drugi raz na mnie, sam nie wie, komu komendę powierzyć. Prawda, że Dzięgowski z samej rycerskiej powierzchowności więcej odemnie wróżył, ale to szczęściem mojem, że byłem wówczas porucznikiem a tamten, lubo liczył wieku życia około lat 60, był tylko podporucznikiem. Ale znowu mój dowódzca odezwie się: „Do stu piorunów, cóż generał robi? Potrzeba pomocy, a generał próżno czas traci” ¹⁾).

W koncu oddano mi komendę, a skoro wyszedłem za bramę, nieprzyjaciół, mając na daleko wyższej, jak nasza, pozycyi działa, skierował ku mnie gęsty ogień armatni.

Lubo legło odrazu kilkunastu ludzi, przebiegłem jak błyskawica długi most na Wiśle. Doszedłszy do baterii między mostami, takową obsadziłem po obu stronach. Złączywszy się z Szembekiem, który jeszcze miał najwięcej swych ludzi, odparłem atakującą kolumnę, a, korzystając z odstąpienia nieprzyjaciela, zachęciłem ochotników do połączenia się ze mną. Rozpaliwszy tak nazwane smolne wieńce, udaliśmy się na most i pomimo najgęstszego ognia, takowy zapaliłem, mając do pomocy kaprała Mickiewicza i żołnierza Boruszewskiego. Skoro most zaczął ogarniać ogień, kolumna świeża pod dowództwem pułkownika Bruscha, szefa sztabu generała austriackiego Mohra,

¹⁾ Scena zupełnie nienaturalna, choćby ze względu na niezwykły, nawet w stosunkach dyscypliny wojskowej Księstwa, sposób przemawiania do zwierzchnika.

— 102 —

w największym zapale uderza, chcąc ocalić most od spalenia. Ja ufałem, raz w zapalony most, drugie, że kilka dylów z mostu rozrzuconych było. Ludziom rozkazałem wstrzymać ogień, a, przypuściwszy nieprzyjaciela na 50 kroków, dopiero ogień rozpocząłem. Do odparcia nieprzyjaciela potrzeba było energicznej obrony. Lubo żołnierze nasi, choć nowo zaciężni, dzielnie i celnie strzelali, wszelako oszczędziwszy, że potrzeba było wsparcia od artylerii w szanцу na kępie między mostami, który był jedynem

ocaleniem Torunia. Było umieszczonych siedm armat dla obrony takowego, ale na nieszczęście nie opatrzone go amunicją i dopiero w czasie najgęstszego ognia przywieziono jej dwa wozy. Ponieważ wspomniany szaniec nie był jeszcze zupełnie ukończony, zatem był parapet bardzo niski, że wałów zakryć od nieprzyjaciela nie mógł. Przeto, tak zwoszczyk, jak i kanonierzy od worków pouciekali, a nie było komu zdejmować amunicyi, narażonej ciągle na niebezpieczeństwo wybuchu od strzałów nieprzyjaciela. Wówczas pułkownik Mielżyński, dowódzca 11-go pułku piechoty, wzywa ochotników, aby się rzucili do zdejmowania amunicyi. Skoro groźby i wezwania nic nie skutkowały, ja, widząc, że niema co liczyć na naszych żołnierzach, wskoczyłem na wóz, a otworzywszy worki, zacząłem wydobywać ładunki i, ponieważ nikt ich nie odbierał, wyrzucałem takowe na ziemię. Udawszy się na drugi wóz, chciałem podobnym sposobem ładunki pozrzucać, w tem wspomniany pułkownik uchwyciwszy mnie z tyłu zatrzymał, mówiąc:

„Dosyć tego, nie pozwolę abyś się tyle ryzykował, a, wskazując na wóz, z którego już pozrzucałem ładunki, patrzaj ile przez wieko kul przeszło, a ciebie los szanował”. Po skończonej bitwie liczyłem strzały w owym wieku; było karabinowych 18 i jedna armatnia. Wspomniany pułkownik rozkazał wóz przewrócić i powymyłowano z niego bez obawy ładunki. Mnie się zaś zapytał,

— 103 —

jak się nazywam, dodawszy wiele pochwał na stronę moją. W końcu powiedział:

„Będziesz miał ten sam znak” — pokazując na swój krzyż polski. Wskutek tego raportu otrzymałem dnia 15. sierpnia t. r. krzyż złoty polski.

Tymczasem, trzema kulami ugodzony, pułkownik austriacki Brusch pada na moście, żołnierze go unoszą, a cała kolumna pierzcha. Most, palący się do połowy, smutny widok przedstawiał, pozostali na nim bowiem ranni żywcem się pieką. Ratunku, tak z naszej strony, jako i z tamtej, dać nie można było. Ostateczność nieszczęśliwych zmusiła do tego że, doczołgawszy się do brzegu mostu (który był bez baryery), rzucali się w Wisłę, przekładając raczej śmierć w wodzie nad upieczenie się w ogniu.

Jeszcze po dwakroć rzucały się kolumny złożone z ochotników, raz, aby rannych z płomieni ratować, drugi, aby ogień na moście gasić. Za każdym razem musieli z mostu uciekać, rażeni naszymi strzałami, tem więcej, żeśmy mieli siedm dział w pomoc ręcznej broni. Po ostatnim usiłowaniu nieprzyjaciela, wyszedł na most sztabsoficer austriacki, mając przy sobie trębacz. Po otrąbieniu zrozumieliśmy, że to był parlamentararz. Ponieważ przy całej stronie szanцу było nas tylko 3 oficerów, to jest pułkownik Mielżyński, kapitan Szembek i ja, przeto wysłanym został sierżant starszy Niczowski z kompanii dowództwa mego, ponieważ posiadał języki francuski i niemiecki. Most do tej pory już do połowy, po opaleniu się palów, opadł, przeto wspomnianego Niczowskiego posłano na łódce dla zapytania się parlamentarza o żądania. Ten oddał ekspedycję do gubernatora Torunia, która była następującej treści:

Propozycja kapitulacyi Torunia.

Odebrałem rozkaz od Arcyksięcia Ferdynanda, abym w dniu dzisiejszym odebrał Toruń; przeto wzywam Pana

Jenerała, aby po odebraniu niniejszej propozycji opuścił twierdzę i miasto, zezwalając mu na zabranie ze sobą swego garnizonu, jak niemniej wzięcia kilku armat polowych. Nieprędzej to jednak wykonasz, aż pierwszej obsadzę wojskiem wszystkie prochownie, baterie, szanice, składy i magazyny. Inaczej Toruń rozsypię w gruzy, nie zostawiając kamienia na kamieniu.

Podpisano: jenerał Mohr ¹⁾.

Lubo jenerał Woyczyński był gubernatorem Torunia, ale wypadek zdarzył, że, kiedy nieprzyjaciół rozpoczął atak, do miasta przyniesiono jenerała Fiszera, jako rannego z pod Raszyna, a że wspomniany jenerał był starszym w służbie od Woyczyńskiego, przeto, posławszy po niego, oświadczył, że, lubo nie może być wszędzie obecnym w obronie twierdzy, jednakowoż, jako starszy, obejmuje komendę, polecając sobie raportować najmniejsze szczegóły i bez niego żadnych nie czynić nowych dyspozycji. Propozycję Mohra musiano więc oddać Fiszrowi i on na nią odpowiedział ²⁾ w sposób odmowny. Wkrótce bowiem zawiadomiono nas, że nie przyjmujemy kapitulacji, że bronić się będziemy i zarazem dodano, że Austryakom wysłać się odpowiedź, a to w tym celu, abyśmy mieli więcej czasu do naprawienia szanów i przysposobienia się do obrony. Do szanów przyniesiono nam broni dla zastąpienia zepsutej w czasie szturmów. Dostarczono wódki i żywności, niemniej amunicji, tak dla armat, jak też i dla ręcznej broni. Dla amunicji tej zrobiliśmy w miejscu bezpiecznym skład w ziemi wykopany. Trupów pochowano. Działa kanonierami obsadzono, a wtenczas wzięliśmy się do naprawy baterii, — w której, lubo przez czas krótki szedł ogień przy

¹⁾ Wezwania tego nie podaje Sołtyk, ale — streszczenia u Sołtyka i Ostrowskiego czynią prawdopodobnym tekst Białkowskiego.

²⁾ Na wezwanie Mohra — odpowiedział Woyczyński. O obecności Fiszera w Toruniu nic nie wiemy.

szturmie, jednakowoż w strzelnicach dla armat przez płomienie z tychże faszyn zupełnie się wypaliła, a parapeta, będąc jeszcze nie wykończona, od kul armatnich nieprzyjacielskich o mało co do szczytu nie została rozsypana.

To wszystko zdołaliśmy naprawić, nim dano odpowiedź nieprzyjacielowi, a gdy już wszystko było gotowe i ukończonym, kapitan Lux, adjutant placu, przywozi odpowiedź, którą sztabsoficierowi austriackiemu, na szczytku mostu czekającemu, doręczył.

Odpowiedź ta była następującej treści:

Do jenerała wojsk austriackich Mohra.

Wziąłeś WPan szaniec przedmostowy, którego nawet bronić nie kazałem, — gdyż był on wynalazkiem oficera niedoświadczonego. — Gdybyś WPan wziął nawet i szaniec na kępie, gdybyś i sam Toruń zdobył, znajdę jeszcze miejsce, z którego Ci z 100 armatami odpowiem. — Torunia niepoddam, dopóki tylko jedna cegła na miejscu pozostanie. — Damy wam poznać, że jesteście Polacy.

Toruń, dnia 15. maja 1809.

Podpisano: Fiszler ¹⁾.

Ponieważ myśmy zrobili wszelkie przygotowania do dalszej obrony, nieprzyjaciół, widząc to, nie opuszczał także sposobności do przygotowania się do szturmów.

¹⁾ Odpowiedź Woyczyńskiego, rzeczywista, streszczona u Sołtyka jest znacznie prostszą: „Lorsque la ville sera réduite en cendres; lorsqu’une brèche sera pratiquée; lorsque le dernier mur de defense sera renversé; lorsque la garnison de la place sera refoulée dans le dernier réduit, j’entrerai en arrangement: en attendant, l’artillerie polonaise qui est en batterie, répondra à la sommation“.

Jego pozycja daleko była od naszej wyższa, bo my prawie z wysokością Wisły, a oni nie tylko nad naszą, ale nawet — samego Torunia pozycją górowali. Przeto całą swoją artylerię w przerobionym naszym szanów przedmostowym ustawili, zaś przedmieście Majdany obsadzili piechotą — (szczególnie Kroatami i Wołochami, jako najcelniej strzelającymi), porobiwszy różne zakrycia i barykady. Skoro, jak wyżej powiedziałem, odpowiedź odebrali odmowną, za danym wystrzałem z dział, który był ogólnym sygnałem, — rozpoczęli na wszystkich swych punktach ogień, skierowany w jeden punkt, t. j. w nasz szaniec na kępie między mostami, znajdujący się w połowie Wisły.

Skutek tego był taki, że pomimo naprawy szanów, gdyby ogień jeszcze był potrwał pół godziny, szaniec byłby zupełnie rozsypany od kul armatnich. Naszym planem było, po rozpoczęciu na nowo ognia, spalić przedmieście Majdany, które w takiej bliskości bardzo nam było szkodliwym.

Ustawiono przeto na przodzie szanów granatniki, które miały polecenie, aby najkorzystniejsze obiekty opuszczać, a jedynie rzucać granaty na przedmieście, które też wkrótce zapalonem zostało, a nieprzyjaciół musiał opuścić ukryte pozycje. Kiedy najokropniejszy ogień wywierają Austriacy, widzimy od strony naszej, to jest od bramy Torunia, ukazujące się wojsko polskie, któregośmy się znikąd nie spodziewali. Przybyli tu, prawie cudem, z Gdańska oficerowie, podoficerowie i kaprale do obsadzenia 3-cich batalionów pułków 5-go 10-go i 11-go piechoty.

Ci, przybywszy od strony Chełmna do Torunia, a słysząc ogień, prosili gubernatora, aby im dozwolił mieć udział w obronie i w tym celu przybyli do naszego szanów, mając doboszy zebranych na czele, także do trzech batalionów przeznaczonych, którzy, bijąc do ataku, w mgnieniu oka, pomimo najgęściejszego ognia, przybyli do szanów.

Jeśli my zdumieli się nad niespodziewanym pojawieniem się naszych, tem więcej nieprzyjaciół nie mógł pojąć, skądby był ten posiłek, gdyż, kiedy miał podstąpić pod Toruń, dzień wprzód przysłano na Podgórze szpiega, aby powziął wiadomość od mieszkańców o sile naszej. Ów szpieg, natrafił przypadkiem na szynkarza z Podgórza — Kwiatkowskiego, któremu się przyznał, w jakiej misji jest przysłany. Kwiatkowski, nie wiele myśląc, udał się z nim do obozu austriackiego, a stawiając się przed jenerałem Mohrem, doniósł, że zna najdokładniej całą siłę garnizonu Torunia, że ten składa się z samych rekrutów, jeszcze nie ubranych i nie musztrowanych. Robił zarazem nieprzyjacielowi nadzieję, że bez oporu wejdzie do Torunia nazajutrz na śniadanie. Uprowadzonym będąc, nieprzyjaciół śmiało postępował, a tu go taki opór spotkał: nasamprzód ja, wyszedłszy z bramy, szedłem

przez most pomimo największego ognia, mając ludzi nie umundurowanych z pułku 11-go i 10-go (jeszcze nie byli umundurowani — mieli tylko patrontasze i broń), następnie zobaczył nieprzyjaciela, że przybył oddział z Gdańska, składający się ze starego żołnierza.

Wskutek takiego zawodu — Mohr poczytał Kwiatkowskiego za zdrajcę i kazał go powiesić.

Oprócz Kwiatkowskiego mieliśmy jeszcze szkodliwszego wroga. Był to dymisyonowany kapitan pruski, którego nazwiska nie pamiętam. Ponieważ był on poprzednio w niedostatku, a miał żonę Polkę, zrobiliśmy w całym garnizonie znaczną składkę dla niego. Później, kiedy zbliżali się Austriacy ku Toruniowi, wyjechał on do nich do Gniewkowa, a przybywszy z nimi, wskazywał, gdzie są w Toruniu składki, prochownie i magazyny.

Wróćmy jednak do opisu szturmów. Nieprzyjaciel, jak wspominałem wyżej, po rozpoczęciu natarczywego ognia, nie mógł sobie już robić nadziei zdobycia Torunia, o ile że Wisła stawała się nieprzebytą zaporą po spaleniu mostu. Przeto, po półgodzinnym ogniu i spaleniu Majdanu,

— 108 —

widząc bezskuteczność owych usiłowań, zdecydował się Mohr cofnąć swą piechotę poza góry, a artylerię skierować na Toruń. Będąc informowanym przez wyżej wzmiankowanego kapitana pruskiego, rozpoczął nieprzyjaciel kanonadę, kierując ją nasamprzód na prochownię, która była przed Chełmińską bramą. Tak dobrze na nią celowano, że, gdyby nie kamienica ze starożytną facyatą, która się znalazła na linii strzałów i uszkodzoną została, byłiby nasz skład prochu w powietrzu wysadzili. Widząc bezskuteczność, skierowali działa na magazyny, w których skład słomy i siana zapalili, ale ten przy dzielnej obronie został uratowanym.

Później wywarli ogień na dom stojący nad Wisłą (zwany Szyperhaus); nie wiadomo jaki ich był cel, bo i ten spalili. Wkońcu, po tem mało skutecznym usiłowaniu, ustał zupełnie ogień ¹⁾. My, tryumfując z odparcia nieprzyjaciela, sprowadziliśmy do sztańcu muzykę, która odegrywała różne sztuki. Za nadejściem wieczora, gdy się zbliżył czas capstrzyka, zebrano w Toruniu muzykę wszystkich pułków i doboszy. Gdy uderzono razem w bębny, niezmierny odgłos rozlegał i odbijał się w starożytnych murach Torunia, co jeszcze więcej przekonywało nieprzyjaciela, że garnizon musi być liczny.

Nocy następnej staliśmy ciągle pod bronią. Około północy dostrzegliśmy, że na końcu mostu spalonego coś nieprzyjaciel przedsięwziął; widząc skupienie w tym punkcie, podsunęliśmy dwa granatniki i z takowych wypalili do Austryaków kartaczami; zaraz poszli w rozsypkę, straciwszy kilkunastu ludzi w zabitych i rannych. Sądziliśmy, że sypali oni baterie naprzeciw mostu. Tymczasem, jak się później okazało, bojąc się przeprawy ze strony naszej przez pozostały kawałek mostu, przekopywali Austriacy rów dosyć głęboki, aby nam służył do przeszkody przy przeprawie, o czem nam się nie śniło.

¹⁾ Strzelano do Torunia przez dnie 16-go, 17-go i 18-go maja.

— 109 —

Następnego dnia ¹⁾ nieprzyjaciel stał spokojnie. Dostrzegliśmy tylko po wyrzucanej w górę ziemi, że jakieś sypie sztańce poza sztańcem przedmostowym. Natychmiast działa nasze skierowane zostały na ten punkt wskutek czego nieprzyjaciel zaniechał kopania. Ilekroć zaczęliśmy Austryaków, nie odpowiadali nam oni na nasze strzały, ale obracali ogień na miasto, tak że przez dni sześć oblężenia codziennie po parę godzin miasto było pod ogniem. Bombardowanie to, oprócz wyżej wspomnianego zapalenia magazynu, nie wyrządziło żadnej innej szkody, skończyło się na potłuczeniu po domach i kościołach dachówek i poodbijaniu gzymsów.

W końcu nadszedł też i dzień 21. maja. Skoro dzień nadszedł, zbliża się jeden z wieśniaków na brzeg Wisły ze strony Majdanu i woła donośnym głosem: „Hej Polacy! Austriacy uciekły, niema żadnego”. Z początku nie dowierzaliśmy, sądząc, że to był fortel austriacki dla złowienia jakiegoś oddziału naszego, ale, kiedy lepiej się rozwidniło, posłano łódkę po owego wieśniaka. Skoro go przywieziono do nas, opowiedział, że zaraz z wieczora tej nocy wszystka piechota austriacka opuściła obóz, zostawiwszy tylko około ognisk huzarów, którzy napędzili z pobliskich wiosek wieśniaków dla przykładania na ogniska drzewa. Sami pozostali przez całą noc na koniach, a skoro dzień zaczęło, śpiesznie i oni obóz opuścili. Zawiadomiony gubernator o odstąpieniu od oblężenia nieprzyjaciela, przybył śpiesznie do naszego sztańca. Po długim namyśle pozwolił mi, abym się przeprawił za Wisłę. Wziąłem ze sobą 40 ochotników i przeprawiłem się na drugą stronę. Znalazłem naprzd pełną karcznię na Majdanach (która była murowana, więc spalić jej nie mogliśmy) rannych Austryaków, niemniej dużo ciał niepochoowanych, śnać z ran odniesionych pomarłych. Udał się do miejsca owego, które

¹⁾ 19-go maja.

— 110 —

mieliśmy poprzednio za rozpoczęty szaniec, znalazłem nagrobek, wyniesiony najmniej na stóp dziesięć, zrobiony w kształcie leżącej na katafalku trumny, opatrzone krzyżem drewnianym. Był on umieszczony pod wierzbą dosyć cienistą, na której zaciesaniu wryte były następujące słowa: „Unserem unvergesslichen Oberst Brusch — Stürmer von Thorn; 15. Mai 1809. — Po przeczytaniu owego napisu, dostrzegłem na darni nagrobka ćwiartkę papieru, przyszpiloną do ziemi gałązką, na której był napis: „Tu leży świnia, co w cudzy ogród wlała”. Wtem i gubernator do nas przybył, a, widząc w ręku moim papier, śpiesznie go odebrał, a przeczytawszy na nim wspomniane wyrazy, wpadł w największą pasję, mówiąc: „Co to za dzieciństwo was się trzymają? Powinnością naszą jest chlubić się z podobnych wypadków, nie nazywać z urąganiem ludzi walecznych”. Ja odpowiedziałem, że nie jest to mojem dziełem; ani wiedziałem o nagrobku, ani też tego nie pisałem, bo skądbym wziął atramentu do napisania tego pisma.

Znowu się jeszcze więcej oburzył mówiąc: „Jest to złe, żeś pan to wziął do ręki, trzeba było zaraz zniszczyć!” Później w takim poszanowaniu był u generała ten nagrobek, że zaraz swoim kosztem kazał zrobić sztachety około tegoż i zamówił jednego człowieka z pobliskiego domku, który strzegł, aby go kto nie popsuł. Oprócz tego wspomniany człowiek był obowiązany darnie przy nagrobku polewać, aby też nie powysychała.

Po powrocie ze wspomnianej wyprawy, zostałem już na kępie zmienioną załogę; korzystając z tego, udałem się po sześciogodniowym niewyuczajnie na spoczynek. Już po czterech godzinach przybiega do mnie mój sierżant starszy z oświadczeniem, abym się udał do generała, gdzie, przybywszy, zastałem kapitana 11-go pułku Jonemana i kilku innych oficerów, którzy byliśmy

przeznaczeni pod komendę pierwszego na nową wyprawę. Po przybyciu mojem, gdyż tylko na mnie czekano, generał wziął jakiś papier i tak się

— 111 —

odezwał: „Panowie wymagam od was pewnego poświęcenia się. Generał Dąbrowski wzywa mnie, aby jak najspieszniej wykomende-rować patrol z kilkuset ludzi, złożony z wyborowych ludzi, do Brześcia Kujawskiego, a to z następującego powodu. Dąbrowski pisze, że nieprzyjaciel, zmuszony do szybkiego wycofania się, zostawił tam znaczne magazyny, a szczególnie dużo koni, zabranych obywatelom; niemniej znajduje się tam kilkaset sztuk wołów, co nam może być bardzo przydatnem”. — Po odczytaniu wspomnianego zawiadomienia wzięto się do mapy, dla zbadania, którędy najbliżej udać się mieliśmy. Po długich sprzeczkach nastąpiła decyzja, że nie po lewym, ale po prawym brzegu Wisły miano nas wysłać.

Po odebraniu wspomnianego rozkazu — udaliśmy się jak najspieszniej do koszar, zajęliśmy się wyborem ośmiuset ludzi z pułków 10-go, 11-go i 12 go. Tego samego dnia wyruszyliśmy na całą noc. Przejście Wisły poleconem było pod Bobrownikami, jako punktem najbliższym Brześcia od Wisły. Przybywszy do wspomnianego miasteczka, nie mając przewozów gotowych, musieliśmy po trzy statki do kupy zbijać i tak się przeprawiać, co nam spóźniło marsz o cztery godziny. Przybywszy do Brześcia, nietylko żeśmy nie zastali żadnych opuszczonych magazynów, ale, skoro tamtejszy burmistrz nazwiskiem Wyszpolski z nami się zobaczył, nie mógł się wydziwić, jak się mógł dać oszukać generał Woyczyński w tem, że uwierzył wezwaniu niby generała Dąbrowskiego, które w Brześciu przez Austryaków skomponowane było po to, aby coś urwać Polaków. W tym celu ukryli Austriacy w parowach trzy bataliony, a w Brześciu kilka szwadronów jazdy austriackiej oczekiwało ukrytej na przybycie nasze, którego się na godzinę ósmą z rana podług polecenia spodziewano.

Myśmy zaś przez żmudny przewóz w Bobrownikach dopiero na 12. w południe przybyli do Brześcia. Austriacy blisko do godz. 11. nas oczekiwali. Ponieważ przyszło im polecenie, aby natychmiast opuścić Brześć, przeto zostaliśmy

— 112 —

ocaleni z przygotowanej na nas zasadzki. Kapitan Joneman kazał nam zająć cmentarz, opasany murem wysokim, aby się postawić w stanie obrony, w przypadku gdyby się Austriacy wrócili, gdyż nie byli od nas dalej jak o pół mili. Po odebraniu wiadomości, że nieprzyjaciel ciągle uchodzi, rozstawiliśmy warty i rozkwaterowaliśmy się po mieście.

Na skutek naszego raportu, wyjaśniającego rzecz całą, odebraliśmy polecenie, aby zostać w Brześciu do dalszego rozkazu i czekać zbliżenia się korpusu generała Dąbrowskiego, który za uchodzącymi Austryakami od Poznania ciągnął. Oddziałom pułków 10-go i 11-go polecono się połączyć z powyższym korpusem, ja zaś, jako należący do pułku 12-go, odebrałem rozkaz powrotu do Torunia. W trakcie tygodnia naszego pobytu w Brześciu, pewnego razu, wyszedłszy za miasto, zbliżyłem się do tak zwanego za czasów pruskich „Tromfestu” (czyli kryminału), w bliskości którego był dół, gdzie śmieci i słomę od więźniów wyrzucano. Prawie jak za jakimś natchnieniem do owego dołu spojrzę i widzę człowieka, zagrzebującego się w śmieciach.

Nie mogąc odgadnąć przyczyny tego, zawołałem na wspomnianego człowieka, aby natychmiast z dołu wyszedł. Gdy go egzaminuję, coby tu robił, zbliżył się jakiś obywatel z miasta, a, spostrzegłszy owego człowieka, mówi do mnie: „Niech pan każe tego człowieka pilnować, jest to szpieg austriacki”. Gdy go w miasto wprowadziłem, potwierdzało się coraz więcej, że jest szpiegiem. Zoczywszy go wkońcu burmistrz, to samo potwierdził, dowodząc, że owe ekspedycje, zmyślane niby od generała Dąbrowskiego, ten sam człowiek poniósł. Dla lepszego wykrycia komunikacji przez jakie się owa ekspedycja do Torunia dostała, wzięto owego szpiega pod indagację, a, ponieważ nie chciał się do niczego przyznać, zaczęto go bić, co prawie zniósł bez czucia. Postraszonego szubienicą do tego stopnia, że go

— 113 —

aż już za stryczek ciągniono, ale i to wszystko nic nie pomogło.

Wtedy jeden żołnierz z kompanii Szembeka, Francuz, powiada: „Pozwólcie mi go, on mi się zaraz przyzna”. Skoro mu go oddano, kazał go położyć i bić w podeszwy. Musi to być ból wielki, kiedy wspomniany szpieg przyznał się do wszystkiego.

Na zapytanie, gdzie podział owe ekspedycje, które miał odnieść do Torunia, odpowiedział, że razem z byłym landreiterem z czasów pruskich, Sulterem, takową pod Toruń zawieźli i tam ją na Podgórzu oddali, skąd doszła do rąk generała.

Udano się do Sultera, który na przedmieściu w karczmie mieszkał. Ale ten, skoro usłyszał, że ów szpieg został złapany, natychmiast uciekł.

Za zbliżeniem się korpusu generała Dąbrowskiego oddziały pułków 10-go i 11-go udały się Brześcia dla połączenia się z tymże. Ja zaś, zebrawszy swoich i do tego szpiega, udałem się do Torunia lewym brzegiem Wisły. Zbliżaliśmy się traktem do Gniewkowa, a, ponieważ byliśmy biało ubrani (w leibikach letnich), sądzono w Toruniu, że to jakiś oddział austriacki znowu zamyśla niepokoić miasto. Z tego względu cała załoga wystąpiła pod broń.

Gdy bliżej nas poznano, cała prawie ludność Torunia wyległa dla dowiedzenia się o nowinach wojennych i obejrzenia szpiega przyprowadzonego. Batalionu swego, niemniej innych, już nie zastałem, wyszły bowiem naprzód. Przenocowawszy tedy tylko w Toruniu, a dublując marsze, doszedłem swoich w Lipnie.

Kontynuując marsz przez Płock, Modlin, stanęliśmy w Warszawie dnia 3. czerwca, we dwa dni po wyjściu Austryaków ¹⁾. Dalej udaliśmy się na Piszczany pod Warkę, gdzie, zbliżywszy się, (szedłem zawsze

¹⁾ Mondet opuścił Warszawę w nocy z 1-go na 2-go czerwca (Sołtyk 262).

— 114 —

w awangardzie), dostrzegłem pod miastem obóz nieprzyjacielski, o czym zaraportowałem swemu dowódcy gros-majorowi Darewskiemu ¹⁾, który, przybywszy do mnie, rozkazał, aby się w pozycji zatrzymać, nim więcej naszego wojska nadciągnie, co też i wkrótce nastąpiło. Przybył наконец i generał Hauke i po rozpoznaniu nieprzyjaciela rozwinął swój korpus ²⁾ i rozkazał, aby wojsko zajęło się gotowaniem jedzenia. Po krótkiej pauzie — przybiega mieszczanin z Warki z doniesieniem, że nieprzyjaciel, zostawiwszy posterunki w mieście, w części przeprawił się przez Pilicę i nakazał ludziom z siekierami, aby most zniszczyli. Z tego powodu major Darewski proponuje generałowi Hauke, aby posłać wojsko dla przeszkodzenia zniszczeniu mostu. Ja odezwałem się, że proszę, aby mi dozwolono tej honorowej pocztą. Generał Hauke przystał na moją propozycję, ale major Darewski oparł się i, odprowadziwszy generała na bok, cośmu do ucha długo szeptał. W końcu zdecydowano się na to. Major

Darewski przybył do mnie i rzekł mi: „Pozwalamy ci tej poczty, ale pamiętaj, abyś mniej ludzi nie brał jak 200 i to ci zalecam, abyś się sam nie exponował”. Ja z największym ukontentowaniem udałem się przed batalion i zapytałem się, kto chce na ochotnika udać się ze mną dla wypędzenia Austryaków z Warki. Prawie cały batalion chwycił za broń, ale dowódca z wystąpionych ochotników sam oddzielił 200 ludzi. Z takowymi udałem się do miasta, mając przy sobie owego mieszczanina, który mnie o tem zawiadomił. Ostrzegł mnie, abym

¹⁾ Gros-major Darewski w Toruniu został przydzielony do pułku 12-go. Weyssenhoff chwali go, jako niezrównanego administratora.

²⁾ Sołtyk pisze (259), że Woyczyński posłał trzeci batalion 12-go pułku do Plocka, pod dowództwo Haukego, który miał w ten sposób dwa bataliony: batalion 3-ci 12-go pułku i strzelców płockich. Na str. 271 Sołtyk pisze, że Hauke 7-go czerwca połączył się z Zajączkiem w Warce i stanowią jego awangardę.

— 115 —

ominał stodoły miejskie, gdyż między temi nieprzyjacieli całą siłę obsadził. Przeto udałem się ogrodami nad Pilicą do miasta, co gdy nieprzyjacieli zoczył, opuścił stodoły jak najspieszniej i dążył do miasta. Ponieważ ja miałem krótszą drogę przez ogrody i przebywanie płotów w kilku miejscach, przeto najmniej 600 ludzi Austryaków nie zdążyło do mostu. Nie mogli się przez takowy razem przeprawić, ponieważ już zaczęło go psuć, przeto ja przyparłem ich do rzeki i paliłem z bliska do nich. Nieład wielki zrobił się między Austryakami i połowa rzuciła się w wodę, a starano się, pomimo gęstych moich strzałów, most zniszczyć. Ponieważ w odległości 200 kroków za mostem był las dosyć gęsty, przeto Austriacy po przeprawie ucieczką w ten las się ratowali, nie strzelając już ani razu, z powodu, że broń mieli zamoczoną. Nakazawszy mieszczanom chwycić tratwy, sam przepравиłem się przez Pilicę. Pogoniwszy nieprzyjaciela w las, odebrałem w tym momencie rozkaz, aby się wstrzymać i cofnąć się do mostu. Tak zatrzymany formowałem za mostem raz przednie czaty, a powtórę awangardę. Cały następny dzień dano nam wypoczynek i zajęto się postawieniem mostu. Do mnie przysłano moją kompanię i jeszcze jedną, a ochotników, którzy nie należeli do tych kompanii, cofnięto do obozu. Do tego dodano mi 100 koni strzelców konnych łomżyńskich czyli Kurpiów i w takim składzie zostałem aż do dnia 3-go. W czasie mojego dwudniowego spoczynku uważałem, że Kurpie często wsiadają na konia i próbują się tak, jakby na pałasze, rękami, dojeżdżają do siebie i składają się. Pomiędzy nimi był jakiś już niemłody strzelec, który składał się najzręczniejszy, tak, że nawet i sam porucznik Radoszowski nie mógł mu nic uczynić, często nawet od niego klapsa w twarz otrzymał. Będąc obecnym na tem szermierstwie, chwaliłem zręczność wspomnianego strzelca. Ten dodawał ze swej strony, że, aby Bóg tylko dał spotkać się z Austryakami, to się lepiej popisze. Wkrótce most był zupełnie

— 116 —

wykończony. Gdy się zbliżył czas marszu przybyła do mnie jeszcze jedna kompania z pułku 10-go piechoty, tak, że nas już było trzy kompanie piechoty i 100 konnych strzelców pod komendą kapitana Korsaka. Piechotą dowodził zasłużony kapitan Kurnatowski, a całą awangardą dowodził major Świderski. Gdy tak zebrała się nasza przednia straż, udaliśmy się traktem ku Jedlińskowi. Po marszu całodziennym stanęliśmy nad wieczorem pod jakąś wioską.

Rozłożyliśmy się obozem w polu, a warty i wedety posunięto aż po sam las ¹⁾. Uprzejmy gospodarz czyli dziedzic wyszedł do nas i zaprosił nas do dworu na obiad, na co ogólny dowódca Świderski chętnie się zgodził, zaś dowódca piechoty, Kurnatowski oparł się temu, utrzymując, że wszyscy oficerowie obozu opuszczać nie mogą. „Może więc, mówił, naprzód P. major udać się z oficerami kawalerii, a potem, gdy Pan powróci do obozu, drudzy udadzą się na posiłek”.

Po długich sprzeczkach zgodzono się na to, a tak nam z piechoty nie bardzo do smaku przypadło, że kawaleria pierwszej co najlepsze przysmaki pozjada, a dopiero się dla nas ochłapy pozostaną. Ale nasz dowódca ciągle nas konsolował, że obywatel musiał się przygotować dla nas wszystkich, że jeszcze się i dla nas zostanie.

Kiedy pierwsza partya podjadła, ujrzelśmy adjutanta. majora Świderskiego, który nam tę przyjemną wiadomość zwiastował, prosząc w imię gospodarza na obiad. Znowu nowe sprzeciżki. Nasz dowódca nie chciał się z nami udać dopóki tamci do obozu nie przyjdą. Na to adjutant odpowiedział: „Żebyś ich kapitan kijem wypędzał, tego nie dokażesz, aby te bigosy i kielichy opuszcili”. W końcu sam Kurnatowski, poszedłszy do dworu, tamtych wyforował, a do nas przysłał, abyśmy przyszli. Co tylko usiedliśmy do stołu i w najlepsze zajadamy, wpada jeden z naszych

¹⁾ Poradziwszy się mapy powinno się przypuścić, że to zatrzymanie się na noc awangardy miało miejsce około wsi Bierwce.

— 117 —

feldfeblów zadyszany i woła: „Panowie! nieprzyjacieli atakuje!” Rzućwszy talerze, przybiegamy do obozu. Już tam stał pod bronią, nasz dowódca i pyta, skąd nieprzyjacieli się pokazuje. Mówią nam, że tylko od strony Jedlińska strzał był słyszany i w dowód tego pokazano konia, na którym stał na wedecie strzelec, twierdząc, że musiał on od tego strzału zostać zabitym. Po naradzeniu się, co z tem robić, w końcu zdecydowano, aby posłać patrol dla rozpoznania. Ponieważ las był wokoło, przeto po owym wystrzale wszystkie wedety konne miejsca opuściły i zbiegły się do obozu, dając za racyę, że tam powinna stać piechota, bo oni w lesie stać nie mogą.

Naczelnym wódz był tego co i oni zdania. Skończyło się więc na tem, że patrol pieszy udał się dla rozpoznania, a, doszedłszy do punktu, skąd wystrzał dochodził, znaleziono owego Kurpia, śpiącego na ziemi. Sądzone, że był rannym, lecz nie był. Przyznał się, że się zdrzymnął i za poruszeniem się konia spadł z niego; pistolet odwiedziony — przy upadku wystrzelił, a koń uciekł do obozu. Skończyło się na tem, że piechota musiała nie tylko pikietować ale i wedety odbywać i patrole odległe robić.

Wieczorem odebraliśmy rozkaz, że następnej nocy mamy wyruszyć tak wcześnie, aby stanąć pod Jedlonką (blisko Jedlińska) dnia 9-go czerwca 1809 przed świtem ¹⁾; dodano razem, aby była wydana duża racya wódki dla każdego żołnierza. Gdy to poczyniono, wyruszyliśmy z obozu.

W końcu zbliżyliśmy się już pod Jedliński stanęliśmy małych zaroślach, skąd widzieliśmy dobrze nieprzyjaciela, nie będąc sami widzianymi. Gdy się też i lepiej

¹⁾ Autor w całym swoim opisie bitwy pod Jankowicami jest nader szczegółowym, ale tylko w opisie tego, co się działo około niego i dlatego nie można w żaden sposób powiązać opowiadania Sołtyka z opowiadaniem Białkowskiego.

— 118 —

rozwidniło, dostrzeżono, że huzar austriacki, który stał na wedecie najbliżej nas, oparłszy się na koniu, drzymał. Była to dla nas dobra sposobność zabrać takową wedetę i o świtanu napaść nieprzyjaciela.

Nasz dowódzca rozkazał, aby na ochotnika wybrać kilku Kurpiów dla schwytania śpiącego huzara, ale nie znaleźli między Kurpiami ani jednego, któryby z ochoty lub rozkazu chciał wyjechać. Po długiej sprzeczce i wymawianiu się nie było skutku, a tu się coraz bardziej rozwidnia i czas ucieka. Zbliżyłem się tedy do owej jazdy, a spostrzegłszy owego junaka, co to nad Warką tak zręcznie się potykał na ręce, mówię do kapitana ich Korsaka: „Kapitanie, tego poślij, bo zręczny jest do korda“ i wskazawszy innych, których wówczas próbujących się widziałem, dodałem, że tego się w pałasze biją. Na to junak nietylko, że się zaparł swojej zręczności, ale wymawiał się, że koń odsejdnięty, że nie wyużdzony. Najlepiej jeden z nich się tłumaczył, że ma konia narownego. — „Szczególny koń”, mówił, jak naprzód, to pomimo ostróg upędzić go nie można, a w reiteradzie przed wszystkimi pierwszy ucieka“¹⁾. Po tych i innych wymówkach, dzień coraz lepszy, czas ucieka. Przeto skończyło się na tem, żeśmy posłali kilku z piechoty, aby konnego huzara schwycić. Omal tego nie dokazali, gdyby nie owczarz z Jodłówki, co wypędziwszy owce w pole, a widząc śpiącego huzara, którego obchodzą nasi żołnierze, zaczął krzyżeć na huzara co gardła. Huzar, przebudziwszy się, wystrzelił i umknął do swoich dla ostrzeżenia ich o zbliżeniu się naszym. Ochotnicy nasi, którym przez ostrzeżenie owczarza huzar się wymknął, owczarza dognawszy, tęgie mu lanie sprawili.

¹⁾ We wszystkich, współczesnych wzmiankach o Kurpikach w oddziale Haukego — spotykamy się z sądem dodatnim o odwadze i zapale tego żołnierza. Pod Jankowicami według raportu jen. Zajączka Kurpiki odbili nieprzyjacielowi 2 armaty zdobyte. Białkowski dał tutaj upust swej niechęci do jazdy, która zresztą pod Jankowicami spisała się jak najgorzej.

— 119 —

Myśmy zaś hurmem uderzyli na piechotę w Jedlonce stojącą, z której kilku rozespanych wzięto, a reszta poszła w rozsypkę. Odwróciwszy się śpiesznie, udaliśmy się do Jedlińska.

Razem z naszym oddziałem wpadł tam oddział 2-giego pułku ułanów¹⁾ i razem uderzyliśmy w Jedlińsku na oddział huzarów, który stał w asekuracji dwóch armat, postawionych na moście za miastem przy zaczynaniu się grobli. Ponieważ przyszlismy z dwóch stron od Jedlińska, przeto artylerya austriacka czekała na nasz oddział, abyśmy w ulicę weszli, chcąc nas porazić kartaczami. Ale oddział jazdy wspomnianej przebiegł poza stodołami i tak szybko uderzył na armaty, że nie zdążyły do nas wystrzelić.

Już byli kanonierzy skłuci, nim asekuracja zdążyła przybyć do obrony. Asekuracja musiała się cofnąć, a nowo sformowana nasza artylerya, odwróciwszy owe działa, wystrzeliła tymi samymi kartaczami za uchodzącym nieprzyjacielem.

Skutkiem tego ataku wpadło w nasze ręce 2 armaty, wozy prochowe i jeden wóz z kasą, który był napelniony banknotami. My, nie znając jeszcze tej monety, sądziliśmy, że to jakieś inne papiery, przeto powrzucałismy je w błoto, szukając czegoś lepszego. Po tych stratach huzarzy uciekali, roznosząc pomiędzy uciekającą piechotą postrach. Mnie major Darewski posłał, abym jak najśpieszniej za uciekającą piechotą ruszał i popłoch powiększał. Pośpieszyłem groblą, na której mnóstwo leżało broni, bębnow i porozrzucanej amunicji. Mając broń dawną pruską, ciężką i bez przykładu, natychmiast pozbieraliśmy broń austriacką, która była z fabryk angielskich. Niemniej ładunkami angielskimi z niezmierną radością moi ludzie się uzbroili. Przebiegłszy całą groblę, zatrzymałem się za błotami, gdzie

¹⁾ Sołtyk podaje (263) nam szczegółowy wykaz wojsk, składających korpus Zajączka i 2-go pułku ułanów tam niemasz.

— 120 —

się trakty na trzy części rozchodziły. Miałem pozycję bardzo korzystną i stanowisko zakryte ze strony nieprzyjaciela, który, zdawało się, ratował się ucieczką do bliskich lasów.

Po odpoczynku niejaki, posunąłem się naprzód pod las, ale wkrótce od swego dowódcy otrzymałem rozkaz, abym się cofnął na pierwszą pozycję. Gdy zająłem tę pozycję, mnóstwo ludzi, wieśniaków z okolicy, wszystkimi drogami do mnie się zbliżyło. Ja sądziłem, że strzały armatnie z domów ich wypędziły, więc do nich przemawiam, żeby się nas nie bali, że my też katolicy i Polacy. Na to oni odpowiadają: „My się was nie boimy, przyszlismy was Polaczków zobaczyć”. Ja, korzystając z tej okoliczności, znowu do nich przemawiam: „Przypatrzcie nam się, jacy my głodni, gonimy za cesarskimi wojakami jak charty”. Po tem większa część chłopów udała się śpiesznie przez pola do wsi, a wkrótce przynieśli jedzenia, wódki i piwa tyle, że nie byłem w stanie z moim oddziałem skonsumować wszystkiego.

Uważam za rzecz potrzebną zrobić wzmiankę o wypadku, jaki miałem przy ataku Jedlińska. Gdy od Jedlonki ku Jedlińsku śpieszyłem, biegnąc kłusem, jeden z moich podoficerów woła na mnie, że podoficer, nazwiskiem Siedlak, wskoczył do rowu i tam się ukrył. Dobiegłem do niego, a chcąc go zagnąć do opuszczenia rowu, zacząłem go płazować, mówiąc: „To ty podoficer, zamiast żołnierza pilnować, sam się chowasz?” Na to on, złożywszy ręce, prosi mnie o wysłuchanie, mówiąc mi, że on jest rodowitym Węgrzynem, że nie może przeciw swojemu narodowi walczyć. Ponieważ czas był drogi dla mnie, opuściłem go w tem miejscu, mając zamiar rzecz tę przedstawić mojej władzy do rozstrzygnięcia. Gdy się bitwa skończyła, kazałem go odprowadzić do sztabu z dołączonym raportem. Sztab uznał go za człowieka, pełnego uczuć szlachetnych względem swego narodu i wskutek tego odkomenderowano go do furgonów sztabowych, a mnie innego

— 121 —

podoficera na jego miejsce przysłano. W r. 1812 będzie także podobny wypadek. — Gdy z południa przyszedł batalion pułku trzeciego pod dowództwem majora Krukowieckiego dla ablezowania mnie, to jeszcze zostawiłem mu podostatkiem żywności. a cofnąłem się ku Jedlińskowi. Kazano mi obsadzić drogę, wychodzącą na groblę. Gdy zacząłem forpocztę rozstawiać, naszedłem w zaroślach ukrytych około 40. piechoty austriackiej, którzy, zerwawszy się, sami broń na ziemi, rzucili. Ja krzyknąłem na nich: „Poddaj się!” Jednogłośnie odezwali się: „Pardon”. Potem kazałem ich otoczyć.

Mędzy nimi byli Polacy, którzy oświadczyli, że aby tylko po korczach poszukać, to mnóstwo ich się schroniło i bez strzału się poddają. Rozesławszy patrole na wszystkie strony, zebrałem owych rozproszonych najmniej 600. Potem przybył do mnie major Krukowiecki (jako sztabsoficer służbowy), który zawiadomił mnie, że mam opuścić dotychczasowe stanowisko i udać się do Jankowic dla złączenia się ze swoim oddziałem. Kiedy zobaczył, że nie tylko swoją komendę uzbroiłem bronią nieprzyjacielską

ale nawet zabrałem na wozy broń zdobytą, zaproponował mi, abym mu odstąpił połowę takowej. Ja odpowiedziałem, że każdy stara się dla siebie. „Jeżeli pan major sobie życzy, to odstąpię mej, którą na wozy składałam dla odwiezienia jej do Jedlińska”. Na to natychmiast przystał.

Odebrawszy parol od wspomnianego majora, udałem się przez Jedlińsk do Jankowic, gdzie, przybywszy nadedniem, zastałem swój oddział, z którym się złączyłem¹⁾. Udawszy się później do dworu, zastałem tam cały nasz sztab. Po krótkim odpoczynku dają nam znać, że nasze forpoczty atakuje nieprzyjaciel. Wystąpiwszy pod broń, udała się nasza kolumna w kierunku, skąd nieprzyjaciel

¹⁾ Cały ten dzień 9. czerwca 1809, pełny wypadków korzystnych dla oręża polskiego, u Sołtyka jakby opuszczony. On jedynie (272) pisze: „Zajączek nierozsądnie zbliżył się na płaszczyzny Jedlińska i 9-go zajął groble, które prowadziły z tego miasta do Radomia.

— 122 —

się pokazał. Zajęliśmy nową pozycję i rozpoczęła się utarczka od strony błotnej, gdzie przez cały dzień 10. czerwca, nieprzyjaciel starał się nas zatrudniać mało znaczącą bitwą¹⁾.

Około południa udała się nasza kolumna do miasta Przytyka²⁾, gdzie w czasie półgodzinnego spoczynku dostawiono nam żywność z tegoż miasta. Przybył do nas dziedzic zameczku, leżącego pod Przytykiem, z propozycją, abyśmy przyjęli już przygotowany obiad. Pan major Świdorski zezwolił, a kapitan Kurnatowski znowu nie zgodził się, abyśmy się od piechoty oddalali. Skoro oficerowie kawalerii udali się do dworu, przybywa ułan z rozkazem, aby jak najspieszniej opuścić Przytyk i udać się pod wieś Berenki. Natychmiast kolumna nasza ruszyła na przeznaczone miejsce, a ponieważ trzeba było przechodzić koło dworu, przeto pani Działtowa, zabrawszy z sobą wszystkie kobiety, dwór jej składające, przebiegła nam z nimi drogę, ofiarując każdemu z nas kapłona tuczonego, bułkę pszenną i wino butelkę. Sam też gospodarz, żegnając nas, oświadczył, że kiedy niezbyt daleko stać będziemy, nieomieszka wkrótce przybyć do nas i dostarczyć potrzebnych wiktuałów. Potem przybyliśmy na przeznaczone miejsce i rozłożyli obóz, — tak, żeśmy mieli przed sobą miasto Przytyk a z tyłu Jankowice, gdzie była kwatera generała Zajączka³⁾. Przeszliśmy spokojnie do wieczora, a dnia następnego to jest 11-go czerwca około godziny 1-szej przybył znowu do nas pan Działtowa,

¹⁾ O tem Sołtyk nie pisze ani słowa.

²⁾ O całym tym dniu 10. czerwca Sołtyk (272) pisze: Le 10 Zayonczek porta son avangarde jusqu'a Jankowice, sur la route de Przytyk.

³⁾ Autor powiedział, że z Przytyka poszli do wsi Berenki. Takiej wsi na mapie niema.

— 123 —

zasiliwszy nas przywiezionymi przysmakami. Kiedy w najlepsze używamy tegoż zasiłku, przybiega posłaniec konny od pani Działtowa do męża z prośbą, aby spiesznie wracał do domu, z powodu, że jakieś wojsko przeprawia się olszyną ku Przytykowi, że rąbią olszynę i z tej groble układają. Na tę wiadomość natychmiast nas pan Działtowa opuścił, przyrzekając znowu powrócić. Około godziny 1-szej nasze wedety dostrzegły po wzgórkach od strony Przytyka flankierów, ale nie były pewne, czy to byli nasi lub nie. Nasz dowódca proponuje, aby wysłać patrol konny dla przekonania się o tem zbliżeniu. Oficerom z kawalerii nie bardzo to przypadło do smaku i wymawiali się, twierdząc, że dosyć będzie posłać w tym celu podoficera. Dowódca odparł, że sprawa jest zbyt ważną. Na to odzywa się podporucznik z naszego pułku Buliński, aby mu dano konia, to uda się z konnym patrolem. „Najchętniej”, — odpowiada oficer kawalerii, na którego była kolej na tę wyprawę, „bierz mego konia”. Tak się też stało. Kiedy wysłano ów patrol, byliśmy spokojniejsi, tembardziej, że nasz barak był postawiony tyłem do nieprzyjaciela.

Nie mogę tu przemilczeć zdarzenia, stwierdzającego, jakie ma czasem znaczenie przeczucie. W kolumnie naszej, jak wyżej wspomniałem, były dwie kompanie z pułku 12-go piechoty. W jednej z nich był podporucznikiem Antoni Podczaski, z którym żyłem w najściślejszej przyjaźni, tak, że jeden bez drugiego nic do ust nie włożył. Wspomniany Podczaski w przejeździe przez Warszawę zaopatrył się w zapas karmelków, a w owym czasie, jakby przewidując swoją śmierć, osądził, że cukierki trzeba skosztować; więc posłał do wsi po mleko, a nalawszy takowego na pokrywą od kociołka, nakładł do tegoż karmelków. Potem przysłał po mnie i powiedział: „Wystaw sobie, jakbyś był teraz w Warszawie, bo będziemy jedli mleko z karmelkami”. Zasiadłszy sobie na ziemi, zjadaliśmy ów przysmak z największą

— 124 —

przyjemnością. Potem, siedząc w tej samej pozycji, spojrzał Podczaski na mnie i, głęboko westchnąwszy, odzywa się w te słowa: „Jestem pewny, że dzisiaj bić się będziemy, a tem więcej jestem pewniejszy, gdyż tak jakbym na Tobie krew widział. — I ja będę dzisiaj rannym, dodał, w rękę lub w nogę, ale na Tobie będę niezawodnie krew widział”. Ja w żart obróciłem, śmiejąc się: „No i cóż z tego, wszak na to poświęciliśmy się”. Wtem powrócił z patrolu Buliński, donosząc, że to są nasi ułani, którzy powracają z furazowania. Ja z Podczaskim zbliżyliśmy się do baraku, gdzie nasi dowódcy spoczywali, dla dowiedzenia się wyżej wspomnianej nowiny. Potem usiedliśmy wszyscy około baraku i przysłuchiwalismy się jakiejś relacji naszego dowódcy. Trwało to może z kwadrans. Później zaniepokoiła mnie owa przepowiednia Podczaskiego. Podniósłszy się z ziemi, rozkazałem swemu sierżantowi starszemu, aby zebrał kompanię i kazał żołnierzom broń rozebrać, dla przejrzania takowej, w jakim stanie czystości się znajduje. Przez resztę nocy mały deszczyk padał.

Gdy widzieli moi dowódcy, że ja broń rewiduję i nakazuję świeże podsypki odmienić, toż samo polecieli i innym kompaniom uczynić. Zaledwie skończyłem wspomnianą rewizję, kazałem znowu broń ustawić na miejscu. Wtem dały się słyszeć wystrzały od strony Przytyka. Spojrzę się w tę stronę i widzę flankierów austriackich, postępujących ku nam linią, a na wzgórzach artylerię, która odprzodkowała działa. Krzyknąłem jak mogłem najmocniej: „Do broni!” Sztab nasz wysuwa się z baraku, pytając o przyczynę. W tym momencie nieprzyjaciel odpowiada za mnie, przysyłając do obozu kilka kul armatnich. Dowódca nasz zawołał: „Panie Buliński, bodaj Cię Bóg skarał z Twoim patrolem; doniosłeś, że to byli nasi, a widzisz jak nasi strzelają”. Buliński przyznał się dopiero, że nie dotarł zupełnie, polegając na zapewnieniu chłopów z przyległej wioski. Owe strzały coraz więcej

— 125 —

się powtarzają. Gdy rozbierano broń, trzech moich żołnierzy zabiło, a kilku nogi poobrywało. Od pierwszych strzałów nasze sto koni, zwróciwszy się, opuściło nas, zostawiając tylko majora Świderskiego i kapitana Korsaka przy nas. Widzimy, że nasi dowódcy trudnią się rozpoznawaniem nieprzyjaciela, mówiąc do siebie, że który jest najstarszy niech komenderuje, nie czekając na dowódcę,

któremu już komenda zwietrzała. Ponieważ porucznik Zbrożek z pułku 10. piechoty był najstarszy, przeto widząc obecnego nieprzyjaciela, złożonego z kawalerii, osądził, że potrzeba kolumnę sformować dla bezpiecznego bronięcia się w czasie napadu jazdy. Tak się też stało. Spostrzegłszy sformowaną kolumnę, Kurnatowski obraził się, że bez jego wiedzy to uskuteczcono, dając za przyczynę, że, ponieważ nieprzyjaciel ogień armatni rozpoczyna, nietylko będzie szkodził rotom we froncie stojącym, jak kolumnie.

Natychmiast rozkazuje rozwinięcie kolumny. My mu perswadujemy, że naprzeciw nas stoi jazda, że przy napadzie nie czas będzie się formować. Ale major, zauważywszy wysunięte poza górą kolumny nieprzyjaciela, rozkazuje tylko, aby jak najprędzej odwrót uskutecznić ku Jankowicom, jako głównej naszej sile. Tymczasem wysłał kapitana Korsaka do generała Zajączka z doniesieniem o zaszłym ataku. Przeto, podług rozkazu naszych dowódców, cofamy się frontem, rażeni kulami armatnimi. Gdy się zbliżamy ku Jankowicom, powraca Korsak z doniesieniem, że cała nasza siła, jako też i sztab, wyruszyły jeszcze w nocy niewiadomo w jakim kierunku. Ponieważ przewodnika, który tę kolumnę poprowadził, zatrzymano przy sobie, tem bardziej przerażała nas wiadomość, że nas pozostawiono w zupełnej nieświadomości tego stanu rzeczy.

Domyślił się, żeśmy formowali straconą pocztę dla zasłonięcia korpusu, co też i potem się sprawdziło. Nie pozostało nam, jak cofać się dalej przez Jankowice

— 126 —

do Jedlińska. Skoro weszliśmy do Jankowic, kawaleria z największą natarczywością uderzyła na nas. Jak się zdaje, nie chciała nas do wsi wpuszczać, ale my jak można najprędzej weszliśmy do niej.

Wieś była okopana rowami, obsadzonymi wierzbnymi; posłużyły nam więc te rowy za obronę, zajęliśmy je odrazu. Gdy kawaleria przybiegła na 20 kroków, przyjęliśmy ją ręcznym ogniem, poczyniwszy wielką szkodę tak w koniach, jako i ludziach.

Z naszej strony strata była mała z powodu wspomnianej zasłony. Jazda austriacka złożona była z pułku kaizerhuzarów, jako jądra najlepszej jazdy. Żołnierze mieli karabinki większe, a pałasze na tem blakach wiszące. Zbliżywszy się do nas, dali ognia z karabinków, a potem, puściwszy takowe na kruczki, za pałasze wiszące się wzięli. Ale, jak wyżej wspomniałem, po znacznej stracie, śpiesznie cofnęli się do swoich. My, korzystając z owego odparcia, poprawiliśmy wewnętrzny porządek, a nie bawiąc się, śpiesznie

opuściliśmy wieś, kierując nasz odwrót ku Jedlińskowi. Gdybyśmy byli zawiadomieni o cofnięciu się innych ku Warce, byłibyśmy, wyszedłszy z Jankowic, udali się na lewo w tym samym kierunku ¹⁾, a mając las blisko, byliśmy ocaleni, jak sam nieprzyjaciel później przyznał. Wiedząc jednak, że Jedlińsk jest zajęty przez wojsko nasze, cofaliśmy się do owego miasta. Lecz inaczej się stało. Już od rana Austriacy zajęli Jedlińsk i, przeprawivszy się pod Przytykiem naprzeciw zameczka przez błota, jak już powiedziałem wyżej (wtedy właśnie gdy posłaniec przybył po pana Działyńskiego, Austriacy się przeprawiali), zaszli nam tyły. Zostawiona była tylko luka od Warki, gdzie generał Zajązek z całym korpusem się cofnął, zostawiając naszą kolumnę na pastwę nieprzyjaciela.

¹⁾ Mila drogi była do lasu, a nimby oddział tę milę przeszedł jazda i artyleria zniszczyłyby go doszczętnie.

— 127 —

Po odparciu (jak wyżej) huzarów od Jankowic, cofaliśmy się ku Jedlińskowi, dokąd zastąpił nam drogę pułk Palatyna huzarów. W ten sposób znowu zostaliśmy wzięci we dwa ognie. Nie było innego remedium, jak udać się na prawo, nad pasmo błot leżących po prawej stronie ¹⁾ z tej przyczyny, że w tem położeniu mieliśmy już jedną stronę zapewnioną, z której nieprzyjaciel nie mógł nas atakować.

Wówczas połączyły się owe dwa pułki huzarów austriackich, mając przy sobie artylerję; sformowali się oni w jedną linię, zastępując nam drogę ku Warce i tą ku nam postępowali. Gdyśmy szybciej ku błotom zmierzali, zatrąbiono po stronie austriackiej nagle do ataku. Gdybyśmy byli sformowani w kolumnę, moglibyśmy się tą wykręcać w jaką bądź stronę, ale że podług uprzedzenia kapitana Kurnatowskiego zostawialiśmy ciągle w rozwiniętej linii, przeto teraz pod ogniem nieprzyjaciela dopiero formowaliśmy czworobok. Sformowaliśmy go już nad samem błotem. Nieprzyjaciel bał się widocznie, abyśmy mu nie uszli przez błota.

Rozsunąwszy swoją jazdę, pod której zasłoną ukryta była artylerja, z 12. dział sypnął do nas kartaczami, a następnie, gdzie rotę od owych kartaczy padły, w takowe luki uderzali huzarzy, nie pozwalając się zeszlusować. Ja formowałem ścianę lewą, Zbrożek prawą, a Podczaski środek czworoboku.

Austriacy zwrócili cały swój impet na środek. Nie widziałem, co się obok dzieje, gdyż zajęty byłem własną obroną, ponieważ na moje skrzydło nacierał sam pułkownik Szyller, dowódca pułku kaizerhuzarów, który w tym ataku, dwoma kulami ugodzony, poległ (to już drugi

¹⁾ W których płynie rzeczka Radomierz.

Sołtyk pisze: Le 3-e bataillon du 12-e se distingua particulièrement dans cette occasion; il accueillit la cavalerie ennemie par un feu de file à bout portant et lui fit essayer de grandes pertes.

— 128 —

pułkownik przed moim frontem pada). Po odparciu jazdy ze swego skrzydła — oczekuję na powtórny atak, aż tu niespodzianie zostałem ugodzony w głowę. Sądziłem, że coś na mnie spadło. Miałem wówczas, w tej ostatniej chwili którą pamiętam, przed sobą we froncie strzelającą kompanię, którą zachęcałem do spiesznych strzelania.

Po owym uderzeniu w głowę, doznałem ucucia, jakbym ukropem został obłany. Po zawrocie niejakim głową, sam nie wiem co się ze mną stało, tem więcej co się stało z naszą kolumną. Upadłszy na ziemię, nie wiem jak długo leżałem. Później, przyszedłszy do siebie, poczułem, że leżałem na twarzy na ziemi. Podnoszę się, będąc opartym o ziemię ręką prawą, na którą krew mi się ciurkiem

z góry leje. Zdawało mi się, że jakiś człowiek ranny nademną stoi i z niego ta krew się leje, ale, kiedy obejrzę się na stronę, widzę, że niema nikogo. Jeszcze nie mogłem pojąć, co się stało; ale dopiero kiedy spostrzegłem mój kapelusz, leżący przy mnie z wierzchem rozplatany, domyśliłem się, że to jest moja własna krew, w której się prawie cały kąpałem¹⁾).

Kiedy więcej przyszedłem do siebie, wstając, chcąc sobie obmyć krew, która się poziadała nad oczyma; zbliżam się do kałuży dla obmycia się, wtem z drugiej strony kałuży podjeżdża huzar i coś na mnie woła po węgiersku, czego nie rozumiałem. Gdy, nie zważając na to, schylam

¹⁾ W celu wyjaśnienia ogólnego przebiegu bitwy pod Jankowicami, dodajemy następujące szczegóły: 1) Gdy Austriacy o świcie zaatakowali Haukego w Jankowicach, brygada jego cofnęła się ku Jedlińskowi, gdzie przybył na pomoc z całą swą dywizją Zajączek, poczem zajęto znowu Jankowice. 2) Porażka nastąpiła dzięki ucieczce jazdy, przez co nieprzyjaciół otoczył piechotę i niektóre czworoboki rozbił. 3) Strata Zajączka w zabitych i wziętych w niewolę wynosiła przeszło 1000 ludzi. Zajączek w swym raporcie do gubernatora Warszawy zmniejszył rozmiary klęski. Epizod, podany przez Białkowskiego, mimo niedokładności (np. pozostawienie 3-go batalionu 12-go pułku na stracenie przez Zajączka), ma pewną wartość źródłową.

— 129 —

się do wody dla obmycia się, huzar z karabinku do mnie wystrzela, lecz chybił: kula padła przedemną w błoto, aż mi oczy zabryznęło.

Po obmyciu się przyszedłem do przytomności. Ów huzar, dobywszy pistoletu, znowu coś woła, ale dopiero na wyraz „pardon”, domyśliłem się, że mam takowego żądać. Obejrawszy się wkoło, widzę ciała naszych wraz z huzarami i końmi porozciągane, już nikogo z naszych żyjących niema. Powtórzyłem „pardon” i wychodzę z kałuży, zbliżając się do owego huzara. On znowu woła na mnie (ale po niemiecku) „Säbel weg!”, to jest, abym szablę rzucił. Miałem pałasz na felcechu założony na rękę, nie uważałem więc, że takowy mam jeszcze przy sobie. Zdjąwszy go, porzuciłem. Zbliżył się do mnie huzar i odprowadził mnie kilkadziesiąt kroków, a, siadłszy z konia, zaczął mnie rewidować, mówiąc: „Gib Geld!” Wyjąłem z kamizelki kilkanaście złotych monetą zdawkową. Zabrawszy je, huzar zdawał się być nieco powolniejszym. Gdy domagał się zegarka, sam się porozpinałem i pokazałem, że go nie mam, w co też i uwierzył. Więcej koło mnie nie szukał; siadłszy na koń i trzymając pistolet odwiedziony, prowadził mnie ku Jankowicom.

Wtem z boku przybyło czterech kaizerhuzarów, (rozróżnić ich można było łatwo, bo kaizerhuzarzy mieli huzarki granatowe z żółtymi sznurkami, a palatynowcy z białymi). Ci pogadali po węgiersku z tym, który mnie prowadził i ten widocznie się zgodził mnie opuścić, a ostatni niby mnie dalej mieli eskortować. Już mnie nie prowadzili w tej samej dyrekcyi, ale na prawo pomiędzy zarośla. Gdy wprowadzili mnie w brzegi zarośli, przybył jakiś podoficer, stary i już dobrze pijany. Roztrzącał on swych huzarów koniem, wdzierał się ku mnie, i zrzucając huzarkę z prawej swej ręki, takową z pałaszem do góry potrząsał, chcąc jeszcze raz mnie w głowę rąbnąć. Powtarzał wciąż wyrazy po polsku: „A strzelaj, a strzelaj!”. Przyczyna była taka, że, kiedy

— 130 —

jazda ich wpadła w środek, ja jeszcze wołałem na moich „strzelaj”. — Trzymałem wtedy mój kapelusz w rękę dlatego, że mnie w odniesioną w głowie ranę urażał. Gdy widzę owego podoficera, usiłującego mnie rąbać, włożyłem kapelusz na głowę, chcąc się niejako od cięcia zasłonić. Wtem słyszę jakiś głos z zarośli, na który ów podoficer wstrzymał się z swoim zapędem. Zbliża się oficer

od kaizerhuzarów, a pogadawszy z podoficerem, pyta mnie, skąd pochodzę. Na odpowiedź, że jestem Polak, mówił do mnie po niemiecku: „Trzymaj się pan mego strzemienia!” Uchwyciłem się ręką prawą, trzymając w lewej kapelusz. Odjechawszy cokolwiek od żołnierzy, mówi ów oficer półgłosem do mnie: „Pośpieszaj pan ze mną!” On konia puścił klusem, a ja klusem przy nim; owi huzarzy pośpieszyli za nami, przebiegali mimo mnie w galopie, i, mijając, każdy mnie uderzył płazem w plecy. Oficer ten wspaniałomyślny, jak się domyślałem, za każdym uderzeniem mnie łąjał owych huzarów, a ze mną uchodził.

Trwało to może blisko ćwierć mili. Dopiero, gdy dogoniliśmy oddział jeńców naszych, których eskortował oddział kaizerhuzarów, oddał mnie mój zbawca jakiemuś kapralowi staremu. Ten zawołał w bliskości jadącego huzara, który prowadził obok siebie konia siwego. Konia tego dali mi, mówiąc, abym usiadł na niego; zdaje się, że się ulitowali nademną, że byłem ranny i prawie kąpałem się we krwi własnej; gdy bowiem ze mną ów oficer umykał przed zemstą swych żołnierzy, kłusując blisko ćwierć mili, miałem otwartą ranę, z której przez silne rozgrzanie tak mocno krew płynęła za kołnierz, obmywając moje ciało, że spływała aż do butów i, te napelniwszy, górą wychodziła. Gdy dali mi wspomnianego konia, na którego usiadłem, odetchnąłem cokolwiek. Jechałem obok wspomnianego kaprała, który znowu mnie pyta, skąd jestem. Na odpowiedź moją, że jestem Polakiem, w te słowa się do mnie odezwał: „Dla Polaków my mamy respekt, ale tych psów Sasów będziemy

— 131 —

najgorzej traktowali¹⁾. Dlaczego się oni wdawali w tę wojnę?” Moje nowe położenie krótko trwało, bo, wyszedłszy na wzgórek, ujrzelśmy wychodzącą piechotę z lasu od strony Warki.

Domyśliliśmy się z poruszeń Austriaków, że to zapewne nasi. Niedługo widzimy poza wzgórkami pokazujących się naszych tyralierów, jak się zdawało, chcących nas odbić. Bojąc się Austriacy, aby nas nie odebrano, ponieważ mieliśmy z lewej strony błoto, a nasi pokazali się prawej, poczęli uchodzić naprzód, aby ich nie odcięto. Ale kiedy nasze flankiery konne i tyraliery zaczęły eskorcje szybko zachodzić bok, przybiega jakiś oficer ze sztabu konno i nakazuje eskorcje, aby z nami uciekała. Huzary nakazują nam śpieszny marsz, a pozostających płazami okładają, a później rąbią, i strzelają do pozostających. Ja, dzięki Bogu będąc na owym koniku, pośpieszałem klusem za drugimi. Nakoniec z tyłu przypada znaczny oddział huzarów, więcej jak szwadron, i z jego szeregów krzyczą coś do naszej eskorty, która nas szybko opuściła. Gdy mijał nas i ten szwadron, z tyłu w przelocie któryś uderzył mnie kark tak, że z konia spadł, a huzary, konia mego ujawszy za cugle, z sobą go wzięli. Gdy ujrzałem, że nas opuszczono, zawołałem jak mogłem najmocniej na żołnierzy: „Stój, prawo w tył zwrot!” Żołnierze chętnie wykonali moją komendę i zawołałem znowu: „Naprzód marsz!” (to jest w przeciwną stronę). Zamiarem moim było wrócić się i pozabierać broń naszą, pozostałą na placu boju. Nie uszedłszy wiorsty, widzę, że owe nasze trzy bataliony, rozwinąwszy się w linię postępującą ku Jankowicom. Już flankiery pod wieś docierały, kiedy Austriacy z 12 dział (pod stodołami dworskiemi ustawionych) sygną kartaczami

¹⁾ Pod Raszynem było wojsk saskich piechoty trzy bataliony (1619), jazdy dwa szwadrony 178 dział 12 (358). Razem 2155 ludzi. Dowodził gen. Polenz - Zalewie ogień raszynskiej bitwy ustał Sasi poszli do ojczyzny, wskutek jeszcze wprzód odebranego rozkazu (Sołtyk 154).

— 132 —

do naszych. Z naszej strony nacierał pułk nowo zformowany 14. piechoty, pod dowództwem pułkownika Siemianowskiego ¹⁾. Za poprawieniem kilkakrotnem kartaczami, pułków zupełnie się rozsypał i poszedł do lasu. Wtem pod Jankowicami, stojąca w rezerwie, kawaleria austriacka, złożona z huzarów, szwoleżerów i kirassyerów, uderzy na cofających się naszych. Ci, którzy byli bliscy lasu, tym się zasłonili. Ale flankierzy i dwie kompanie wołyżerów pułku 14-go dostały się w niewolę, niemniej 2 armaty artylerii pieszej pod dowództwem porucznika Świderskiego, z których to armat jedna już była uszkodzona, mając oś utraconą. Armaty te były zdobyte pod Friedlandem. Dopiero co byliśmy oswobodzeni z niewoli, a tu już znowu wszystko się zmieniło. Zatrzymaliśmy się niby dla wypoczynku, aż znowu powróciła do nas ta sama eskorta, obeszła się z nami jak najlepiej i poprowadziła nas do korpusu, którym dowodził feldmarszałek Mondet ²⁾. Gdy zbliżyliśmy się do wspomnianego korpusu, prowadzono nas około świąty marszałka, gdzie oddzielono niższe stopnie, a mnie do oficerów w niewoli już będących dołączono. Lubo marszałek był zajęty obserwacją przez perspektywę, jednakowoż na mnie zwrócił uwagę. Jakiś doktor zbliżył się do mnie, obdzierając mi szlifę i wydzierając z ręki kapelusz. Ja się odezwałem do mego kaprała: „Czy to tak u was traktują oficerów?” Wtem przyskoczył jakiś oficer ze sztabu i, o mało co nie roztrąciwszy owego doktora, mówi: „Czy nie dosyć on (wskazując na mnie) jest nieszczęśliwy, — a potem, jakby się poprawił — czy nie wiecie, że cały mundur przy oficerze powinien pozostać nietykany, nie czytano nam rozkazu?” Doktor kapelusz mi

¹⁾ Drugi pułk armii francusko-galicyskiej później przyjął Nr. 14 (Sołtyk 389). Dowodził nim pułkownik Euzebi Siemianowski. Pułk ten był sformowany przez jen. Zajączka, kosztem departamentów łomżyńskiego i płockiego (Sołtyk 306). Pułku tego pod Jankowicami nie było.

²⁾ Mondet był tylko generał-lejtnantem (Sołtyk 382).

— 133 —

oddał, a szlifę rzucił na bok. Ja, podniósłszy takową, założyłem ją znowu na miejsce. Gdy wszedłem między linię piechoty, marszałek przysłał mi przez adjutanta likworu, którego jego służący podał mi flaszkę opłatną.

Po napiciu się, jakby dzięki lekarstwu, siły cokolwiek odzyskałem; później przysłano chirurga dla opatrzenia mi ran. Ten mi włosy obciął i około ran włosy ogolił, ale nie miał bandaży. Wtem jeden żołnierz z naszych, widząc to, wyciąga ostatnią koszulę z poza leibika i tę rozdiera dla zrobienia z niej dla mnie bandaży. Widok ten był rozczulający, tak dla nas, jak i dla nieprzyjaciela. Po ukończeniu opatrunku zbliża się do mnie młoda bazarka austriacka i pyta mnie po słowiańsku: „Panie wojak budete pit sem palanku?” Ja jej odpowiedziałem, że u mnie teraz niema pieniędzy. Ona znowu: „Ne pytajte wy se o penądze, pij te sem!” Nałala mi miarkę blaszaną, a, lubo wówczas wódki jeszcze nie pijałem, po takim nieszczęściu i biedzie ową miarkę duszkiem wychyliłem. Po niejkiej pauzie zbliżyło się do mnie kilku oficerów od piechoty węgierskiej, Polaków. Z pomiędzy nich, pamiętam, było dwóch

braci Łosiów z Galicji. Zaczęli się wypytwać o różne wiadomości i litować się zaczęli nademną. W tem zbliża się do mnie jakiś oficer ze świąty, na koniu, w mundurze szwoleżerskim, mając szarfę przez ramię przepasaną i zapytuje się mnie w imieniu marszałka, abym prawdę powiedział, primo: „Kto jest naszym jenerałem komenderującym?” Odpowiedziałem, że jenerał Zajączek. Secundo: „Ilu żołnierzy liczy nasz korpus?” Na to odpowiedziałem, że 20000. Pokręciwszy głową, jakby z niedowierzaniem, odjechał z tem do marszałka. Powróciwszy znowu do mnie, pyta: „Czy pan liczyłeś ten korpus palcem, że z pewnością mówisz 20000?” Ja już cokolwiek przez tę pauzę przygotowałem się i odpowiedziałem, że, lubo każdego żołnierza palcem nie liczyłem, nie będąc już jednak rekrutem, mogę śmiało na rzut oka liczyć, uważając to po pułkach i oddziałach, jakie składały nasz korpus

— 134 —

przy odbytej lustracji podczas wymarszu z Warszawy. Na to on znowu pyta: „Jakie pułki składają wasz korpus?” Ja wymieniam mu nasamprzód tak, jak jest w ich armii, pułki podług imienia dowódców, i majorów, którzy dowodzili batalionami trzema, wymieniam jako pułkowników, mówiąc: jest to pułk Krukowieckiego, pułk Darewskiego, pułk Oskierki i t. d.“ Później miarkuję, że mi brakuje do wyliczania się; liczę bataliony trzecie, jako pułki po numerach. Gdy zaczynam wymienić, że jest pułk 3-ci, pułk 8-y, pułk 12-y, na to jakby piorunem rażony posuwa się do mnie na koniu, mówiąc z zapalem: „Pan łżesz, pułk 12-ty jest w Sandomierzu, czyli myślisz, że my nie wiemy o waszej sile? Z pewnością wiemy, gdzie każdy wasz żołnierz”. Jak gdyby kto proch zapalił, tak mnie rozniewał ów zniemczały Polak i pieczeniarsz sztabowy swoją gadaniną gburowską. Zrywam się z ziemi, zapomniawszy o poniesionych ranach, a przybliżywszy się do niego, mówię: „Umiesz pan czytać?”

On: „Cóż to za zapytanie?” Ja znowu z większym zapalem to powtarzam. On, widząc mnie mocno wzruszonego, zapytał mnie znowu łagodnie: „Proszę pana, cóż stąd pan chcesz wnosić na takie zapytanie?”

„Oto to, — mówię, — że, jeżeli pan umiesz czytać więc musisz znać i liczbę. Przeto przekonaj się pan, jaki ja numer na guzikach noszę”. Lubo cały mundur, ryngraf i guziki były krwią zbroczone, przecież on się schylił z konia i dostrzegł u mnie na guzikach Nr. 12.

Później odezwał się: „Jak to być może, kiedy wiemy z pewnością, że pułk 12-ty jest w Sandomierzu?” Ja dopiero niby tłumacząc mu, mówię: „W Sandomierzu jest stary pułk 12-ty a my, wskazując na siebie i pozostałych żołnierzy jesteśmy nowym pułkiem 12-ty galicyjskim; rozumiesz mnie Pan teraz?” „Nie” odpowiedział, zwrócił konia i udał się do świąty. Po jego oddaleniu zbliżyli się znowu oficerowie i pochwalili mi moją śmiałość, mówiąc: „Co ten gałgan by Panu zrobił; jest polecenie cesarskie, aby z więźniami jak

— 135 —

najłagodniej się obchodzić”. Wtem zbliża się znowu jakiś huzar z dobytym pałaszem, mocno zakrwawionym, a potrząsając nim tak, jakby chciał mnie znów urąbać, powtarza często: „A strzelaj”, — dodając dużo wyrazów po węgiersku. Ponieważ byłem otoczony oficerami od piechoty węgierskiej, przeto któryś z nich odezwał się, jakby go za to łajał. On znowu więcej się do mnie zbliża, zajeżdżając z drugiej strony, gdzie oficerów nie było. Ja się pytam oficerów, czego ten huzar chce odemnie. Tłumaczą mi:

on się chwali, jakoby pana porąbał za to, że kiedy większa część waszej kolumny była rozbita, Pan jeszcze, na to nie zważając, kazałeś strzelać. Dlatego on to powtarza „strzelaj” i daje przyczynę, że z tego powodu jego pułkownik Szyller został od pańskich żołnierzy zabitym. Kiedy ów huzar mnie nie opuszczał, ale raczej zaczął mnie dalej po węgiersku lżyć, przytrzymał konia jego jeden oficer za cugle, kazał żołnierzom ściągnąć go i wyliczyć 25 płazów, poczem ów huzar mnie opuścił. Później znowu zbliżył się ów sztabowy i chciał mi jeszcze robić jakieś zapytanie, ale ja, usiadłszy sobie na kamieniu, nic mu nie odpowiadałem. Gdy zaczął nalegać, powiedziałem mu: „Proszę mię od tego uwolnić. Jak Pan nawet możesz wierzyć mi, jako nieprzyjacielowi? Lepiej pan zrobisz, jak szpiega wyślesz, który cię daleko lepiej upewni“. Mruknąwszy coś pod nosem, opuścił mnie. Nad wieczorem, gdy już zupełnie ogień liniowy ustał, 3. linie piechoty postąpiły naprzód aż pod las, a przy nas dla eskorty został jeden batalion, który podzielono w następujący sposób:

Dwa plutony, uszykowane frontem, zaczynały kolumnę, za nimi postawiono nas więźniów oficerów (dopiero się wtedy ze swoimi zobaczyłem); za nami znowu dwa plutony frontem, które nas od niższych stopni oddzialały; cały transport dwa plutony zamykały, a dopiero całą kolumnę po obu stronach otaczała piechota we dwa szeregi. Ruszyliśmy przez Jedlińsk do Radomia. Gdy minęliśmy Jedlińsk, weszliśmy na groblę, która była pełna

— 136 —

blota, a przytem deszcz począł padać. Wtedy zbliżył się do mnie jeden oficer z eskorty, a zsiadłszy z konia, prosił, aby przyjąć takowego. Podziękowałem mu za jego grzeczność, ale on ustąpić nie chciał, dodając, że jestem mocno ranny. W końcu przyjąłem konia, ale pozostałem między wojskiem. Ów oficer prosił, żeby sobie na bok wyjechać dla wygody. Kiedy opierałem się temu, nadjechał dowódca batalionu i potwierdził to, abym z kolumny wyjechał. Gdy wyjechałem, przyniesiono mi płaszcz, prawda po huzarze zabitym, przestrelony kartaczem i zakrwawiony.

Przyjąłem ten dar z wdzięcznością, ponieważ deszcz padał i chłodno się ku wieczorowi robiło. Za przykładem tegoż oficera poszli i inni jego koledzy tak, że wszyscy nasi oficerowie jechali konno, a Austriacy szli piechotą.

Ów dowódca batalionu prosił mnie, abym z nim na czoło batalionu wyjechał, co też uczyniłem. Wszczęła się między nami rozmowa następująca. Nasamprzód, niby litując się nad Polakami, że wiele poświęceń robią dla człowieka, który nie umie być wdzięcznym i dotąd nic nam jeszcze dobrego nie zrobił, dodał że, gdybyśmy byli pod berłem cesarza Franciszka, daleko lepiej bylibyśmy wynagrodzeni. Po tych uwagach — zapytał mnie, czy dawno służę i czy to dopiero pierwsza moja kampania. Kiedy powiedziałem mu, że już kampanie 1806 i 1807 odbyłem, dziwił się, że tak młodo zawód wojskowy zacząłem. Dalej przeszliśmy do nowin; zapytał się mnie, co też u nas o armii francuskiej słychać. Spytałem, czy mi wolno, jako jeńcowi, wszystko mówić. Odpowiedział, że nas tu nikt nie usłyszy, a przytem prosił, aby mu udzielić naszych nowin, a on nawzajem udzieli mi swoich.

Ja mu mówiłem, że do nas przysła wiadomość przez Prusy, że Francuzi są już we Wiedniu ¹⁾, na co z zadziwieniem

¹⁾ Francuzi zajęli Wiedeń dnia 12-go maja, nie musiał się więc zdziwić oficer austriacki wiadomością Białkowskiego.

— 137 —

zapytał, czy byłem kiedy we Wiedniu. Na odpowiedź, że nie byłem, w te słowa się odezwał:

„Trzeba wam wiedzieć, że Wiedeń leży na tamtej stronie Dunaju, przeto z łatwością mogli Francuzi tenże opanować. Ale, gdy się chcieli na tę stronę przez Dunaj przepłynąć i zajęli wyspę na Dunaju, nasi puściwszy statki palne, most im spalili, przez co zmusili Francuzów, że ani do Wiednia, ani na drugą stronę Dunaju się niedostaną. Do tego czasu musieli zapewne broń z głodu złożyć i zdać się na naszą łaskę” ¹⁾. Po wytłumaczeniu mi niby, jako zwycięstwo przechyliło się na ich stronę, zapytał znowu: „No i cóż u was dalej słychać?” Ja znowu, kontynuując wiadomości, powiedziałem, że odebraliśmy w rozkazie dziennym wiadomość, że pod Ratyboną, nakoniec pod Essling i Wagram Francuzi otrzymali zwycięstwo. Na wspomnienie wymienionych wieści, jakby mu kto usta zamknął ²⁾, a, po niejakej pauzie, ja znowu zacząłem już nieco śmielej mówić: „Co my wam winni, żeście nasze granice naszli? Wszakże, gdybyście byli nas nie zaczepiali, bylibyśmy sobie siedzieli spokojnie, chociaż nasi sprzymierzeńcy się bili, bo nie poważilibyśmy się na waszą przeważną siłę targnąć. Czy może zatoście nas najechali, że nasz król Sobieski uwolnił Wiedeń od zemsty Turków?”

„I to za to nas wnuków tak traktujecie?” Kiedy on znowu chciał coś mówić, żeby się z nimi łączyć, powiedziałem znowu, że może by nas spotkała taka nagroda, jak Sobieskiego, któremu Wiedeń pomnik wystawił, a cesarz, ten sam, który doznał pomocy i oswobodzenia, kazał tenże pomnik zniszczyć. Spojrzał na mnie zdziwiony

¹⁾ Mowa tu o Aspern i Essling (21 i 22 maja) i o niefortunnym położeniu, w jakim znalazła się armia francuska na wyspie Lobau.

²⁾ Bitwa pod Wagram miała miejsce dopiero 5-6 lipca. Myli się więc nasz autor widocznie. Bitwy pod Aspern i Essling nie bardzo nadawały się do „zamknięcia ust” Austriakowi.

— 138 —

i rzekł: „Skąd wy to wiecie takie rzeczy?” — a później dodał, że prawda, że oni między sobą też samą uwagę robili przy wkroczeniu w granicę Księstwa Warszawskiego, że niedobrze ich cesarz zrobił, że nas spokojnych naszedł, dodając, że ich też Pan Bóg karze. Po skończonej owej rozmowie, zbliżyliśmy się do Radomia, gdzie połączone korpusa Mohra i Mondeta około miasta stały. Chcąc pokazać tryumf z odniesionego zwycięstwa, rozkazali owym korpusom stanąć pod bronią, a nas poprzód ich frontem przeprowadzić dla okazania, że tyle niewolników wzięli, jakoto z naszej awangardy wzięli niedobitków 83 głów z oficerami, reszta zaś z korpusu tego, który przyszedł nam w pomoc. Było nas wówczas wszystkich wogóle 342 niższych stopni i 11 oficerów, całego owego zwycięstwa ¹⁾. Po przedefilowaniu naszym, zaprowadzono na cmentarz bernardyński w Radomiu; później odłączono nas oficerów,

oświadczaając, że spotyka nas wielkie szczęście, gdyż feldmarszałek Mondet chce z nami mówić. Udaliśmy się przeto do niego. Marszałek przyjął nas grzecznie, wystawiając nam, że los wojny jest zmienny, życzy nam więc, abyśmy byli dobrej myśli, a zarazem dodał przysłówie niemieckie: „Heute dir, morgen mir“.

Oświadczył, że podług konwencji, zawartej między naszymi wojskami, zaraz robi raport do arcyksięcia Ferdynanda, przedstawiając nas do wymiany. Następnie prosił nas, abyśmy przyjęli w oberży kolację jak można najlepszą. Dodał nam swego adjutanta i z tym udaliśmy się do traktyerni. Była to już godzina 10. wieczór. Gdy wchodziliśmy do owej traktyerni przez pokój

bilardowy, zastaliśmy oficerów austriackich grających w bilard. Wejście nasze tak ich przeraziło, że kije popuszczali z rąk, stanęli jak wryci; dopiero wyszli z owego pomieszczenia,

¹⁾ Sołtyk (274) pisze: „600 Polonais couvraient champ de bataille et 400 étaient prisonniers; la perte des Autrichiens fut beaucoup moindre elle ne dépassa 500 hommes“.

— 139 —

gdy zobaczyli za nami wchodzącego adjutanta, który, zaordynowawszy kolację, wyszedł.

Oberżysta zaprosił nas do drugiego pokoju, krzątając się około nakrycia do stołu. Gdy zebrano się do wydania kolacyi, dano nam mięso na pół surowe, tak że pomimo głodu ciężko było je ugryźć.

Wtem zbliża się do nas major Gutenberg ¹⁾, który objął komendę pułku kaizerhuzarów po poległym pod Jankowicami pułkowniku Szyllerze.

Zbliżywszy się przy stole do mnie, przysiadł się i powiada, że po takich trudach zapewne nam smakuje ta kolacja, chociaż nie jest szczególna. Widząc, że owego mięsa gryźć nie możemy, wziął z mojego talerza kawałek i skosztowawszy, poznał, że nie jest dogotowane.

Podniósł się i zawołał: „Wirt!” (gospodarz). Skoro ten przybył, major wziął z talerzem mięso pozostałe i powiada do niego: „Miałeś zapowiedziane, że masz dać kolację dla oficerów polskich, na jaką najlepszą możesz się zdobyć. Policz sobie po dukacie od osoby, a daj wszystko jak najlepsze — to są oficerowie”.

Wtem, gdy utnie w pysk owego oberżystę, ten po odebraniu takowego napomnienia w mgnieniu oka zupełnie inne potrawy zastawia, z których myśmy byli zupełnie kontenci. Później bierze ów major butelkę z winem, którego gdy spróbował, znowu woła oberżystę i chlusta mu owem winem w oczy, mówiąc: „To wino schowaj sobie do sałaty, a nam daj innego”. Oberżysta przyniósł niebawem zupełnie dobrego wina.

Konsumowaliśmy z największym apetytem i popijali dobre wino. Major Gutenberg zastępował gospodarza i na jego skinienie wszystko w cwał biegło. Gdy owe butelki zostały opróżnione, major kazał postawić powtórnie, na każdą osobę znowu po butelce. Gdy zaczęto powtarzać kielichy, zapomniano, że jesteśmy ostatecznie w niewoli.

¹⁾ Sołtyk (272) nazywa go Gartenburg.

— 140 —

Ja tylko, nie pijąc ani kieliszka, patrzyłem spokojnie na moich kolegów biesiadujących. Ów major powtarzał z naszymi rozmaite zdrowia i humor zmieniał. Opowiadał nam o zgonie Szyllera. Naprzód, mówił, kiedy huzarzy zbliżyli się pod Przytyk, uprzejmy gospodarz prosił, aby wstąpić do jego domu. Szyller, zsiadłszy z konia, poszedł, a podciawszy węgrzyna, wyniósł jeszcze dwie butelki wina, które do olstrów wsadził.

Kiedy artyleria austriacka zaczęła strzelać do nas, zbliżył się Szyller do marszałka Mondeta, prosząc go najmocniej, aby mu pozwolił wziąć do niewoli tę garstkę piechoty. Marszałek dał mu odmowną odpowiedź. Kiedy my zbliżyliśmy się do wsi Jankowic, Szyller znowu nalegał na marszałka, mówiąc, że piechota ta, jak się do błot dostanie, ujdzie. W końcu, nie mogąc mu się opierać, marszałek zezwolił. Gdyśmy się we wsi oparli i tyle im ubili ludzi i koni, marszałek skrzywił się na to, żałując niejako, że na ten atak Szyllerowi zezwolił. W końcu jednak dostrzeżono, że aktualnie zbliżyliśmy się ku błotom, i wówczas marszałek dał rozkaz do atakowania nas.

Rozkazał, aby jazda uderzyła na nas, wyjąwszy pułkownika Szyllera, któremu nakazano, aby się nie ryzykował.

Wspomniany pułkownik, wypiwszy owe butelki, które miał w olstrach, nie zważając na rozkaz marszałka, rzuca się na czele pułku swego i tam śmierć znajduje.

W końcu major dodał, że, gdyby byli wiedzieli, iż taką stratę poniosą, woleliby byli nas puścić spokojnie, nawet nam coś dać w dodatku. Ja sobie przypominam, że, kiedy mnie prowadzono do wyż wspomnianych zarośli, widziałem, jak ciało jakiegoś oficera wieźli na bryczce słomą wysłanej ku Jankowicom. Był to Szyller, którego pochowano w Jankowicach, jak niemniej Antoniego Podczaskiego, podporucznika pułku naszego, tego samego, który przed dwiema godzinami przepowiedział, że na mnie krew zobaczy. Ziściła się jego przepowiednia,

— 141 —

z tą tylko różnicą, że on, jak mówił, miał być w nogę lub rękę raniony, a nieborak w samą pierś dostał i na mnie nie widział krwi, bo byliśmy rozdzieleni w owym okropnym napadzie. — Major Gutenberg zakończył tem, że, gdybyśmy mieli taką jazdę, jaką mamy piechotę, nie by nam nie zdołali poradzić. Wziąwszy tedy kielich, wypił za zdrowie polskiej piechoty, my nawzajem odpowiedzieli za zdrowie węgierskiej jazdy. Gdy się to działo, zbliżyli się oficerowie różnej broni. Każdy zapomniawszy, gdzie w owej bitwie stał i kto przeciwko komu się bił. Tak przy kielichach nastąpiły oświadczenia i uściski wzajemne. Ja tylko patrzyłem się spokojnie na ową scenę, nie pijąc nic.

Gdy już się ściemniało, udaliśmy się po pożegnaniu do klasztoru bernardyńskiego, gdzie w refektarzu zastaliśmy zasłaną słomę, która była dla nas puchową pościelą. Ja, ponieważ nie byłem rozgrzany winem, zatem, mając więcej rozważliwych od innych, obawiałem się, aby jeden drugiemu czego z ubioru nie zabrał, zwłaszcza widząc pomiędzy nami porucznika Radoszkowskiego, którego ubiór składał się z jednej grubej koszuli i płaszcza. Przeto, kładąc się na słomie, zdjąłem z siebie skrwawiony mundur i takowy pod głowę położyłem; równie, zdjawszy buty, położyłem je pod mundur, płaszczem na głowę się nakryłem i spokojnie zasnąłem. Zdawało mi się, że bardzo krótko spaliśmy, chociaż to już była godzina 8-ma z rana. Jakiś gwar i szmer obudził mnie, uniósłszy więc swego płaszcza, spoglądałem z pod niego. Ale jakież było moje podziwienie, kiedy widzę moich kolegów zdrowych, a choć w niewoli, pijących, jedzących i już w dobrych humorach. Stół refektarski został zastawiony różnego rodzaju trunkami, niemniej jedzeniem. Co mnie najwięcej oburzało, to ów Radoszkowski, jak wspomniałem, w jednej tylko koszuli siedzący, obstawiony butelkami, a ława, na której siedział, założona była ubiorem i bielizną dla niego ofiarowaną. Sam był zajęty tylko kielichem. Kiedy się z pod płaszcza przypatruję temu zgromadzeniu, widzę, że go składają

— 142 —

różnego rodzaju płci i stanu goście Polacy, odwiedzający nas. Byłbym sobie w kątku leżał jeszcze dłużej, gdyby nie zapytanie jednej z dam odwiedzających, która pyta naszego kapitana Kurnatowskiego, kto tam jeszcze leży i dodała, że możeby trzeba mnie opatrzyć. Kapitan przybliżył się do mnie i mówi, niby żartując: „Wstawaj jeno” — i wtem ściągnął ze mnie płaszcz. Na widok mojej kobiety krzyk wydały, widząc mnie całego we krwi. Jedne zaczęły wołać doktora, inne wyrzuty robiły naszym starszym, jak mogą być obojętnymi na widok i nieszczęśliwy stan mój. W końcu sprowadziły chirurga miejskiego, otoczyły mnie i usługiwały chirurgowi przy opatrunku. Skoro ten ukończył, przynosi mi którąś z pań w koszyczku bieliznę świeżą, składającą się z sześciu koszul, skarpetek, chustek, bandażu i szarpi. Kiedy ją, odbierając, oświadczam wdzięczność, Kurnatowski wydzierając mi ową bieliznę, mówiąc, że jest potrzebniejsza Radoszkowskiemu, który dotąd nie ma się w co przewlec i ubrać. Do ostatniej pasy doprowadzony, mówię, „że lepiejby kapitan mniej pił, a zobaczył, co się dzieje”.

„Proszę zobaczyć, co Radoszkowski ma bielizny i ubioru, które pod ławę pochował, robi tylko nam wstyd, nie ubierając się, a zajęty będąc jedynie butelką.” Wtem zajął kapitan pod ławę, aż tam trzech by się ubrać mogło w ten ubiór, który nabrał Radoszkowski. Po opatrzeniu ran udałem się do przyległej celi i, umywszy się i odświeżywszy bieliznę, powróciłem znowu do refektarza. Po krótkiej chwili wchodzi dwóch oficerów austriackich od szwoleżerów, z których jeden był Polak. Ten zbliżył się do naszego kapitana i z politowaniem nad nami mówi: „A co, dobrze wam tu Polaki?” Na to kapitan odpowiada, że dotąd bardzo dobrze, wymieniając, jak byliśmy przyjęci przez marszałka, jak był troskliwy o naszą wygodę. W końcu dodał, ile nam nasz los osładza, że znaleźliśmy przychylnych dla nas obywateli, którzy raczyli nas odwiedzić. Na to ów zniemczały Polak, wsparł się

— 143 —

na długim dragonim pałaszu, tak się do kapitana naszego odzywa: „Nie wygodę, nie opiekę, nie odwiedzanie, lecz każdego z was na innej gałęzi obwiesić, wy szelmy! Co to, króla nie macie, Boga nie znacie, przeciwko naszemu cesarzowi wojujecie, nam Polakom wstyd robicie!” Lubo pierwsze jego gniewne wyrazy nie mogły nas zobowiązywać, to ostatnie, jakobyśmy jakimś Polakom wstyd robili, do żywego mnie przejęło. Zbliżyłem się do niego i zapytuję z flegmą: „Jakim to Polakom wstyd robimy, kiedy jesteśmy sami Polacy?” On z oburzeniem oczy na mnie wytrzeszczył, mówiąc: „Oto nam, którzy zostajemy w służbie cesarskiej”. Na to ja: „My takich Polaków, jak Pan, znać nie chcemy i owszem zaprzeczamy temu, żebyś Pan był Polakiem, bo żadnego śladu w Panu nie widać, a razem życzę Panu, abyś się do nas nie przyznawał i abyś sobie nadał jakieś niemieckie nazwisko dla zasłonięcia się od podobnego wstydu, a nam go lepiej nie robić”. Na to ów mieszaniec dobywa szablę i odgraża się, że, jeżeli jedno słowo powiem, zarąbie mnie na śmierć, nie zważając, że jestem ranny. Ja mu znowu odpowiadam:

„Sam uznajesz, że jestem ranny, a zatem dałem tego dowody, że byłem w bliskości nieprzyjaciela, ale ty piecuchu może nie wahałeś prochu, a chciałbyś rąbać bezbronnych. Daj mi tylko pałasza, a zobaczysz, co ja umiem”.

Drugi oficer, który z nim był, mitygował go nieco. On znowu mówi: „Warto by mu sprawić płazy, aby wiedział, że jest w niewoli”. Gdy mi tem więcej dogryzł, wpadam prawie we wściekłość. Zrzucam mundur, i rozrywam na sobie koszulę, a obróciwszy się do niego gołymi plecami, mówię: „Patrzaj, to jest piętno waszego nikczemnego zwycięstwa; odebrałem to od podobnego tobie tchórza, który wymierzał swoje męstwo nademną bezbronnym, a przed nami uciekał najhaniebniej”.

Wtem ów junak, nie mogąc się na mnie zemścić, woła podoficera od warty, która przy nas stała i, coś

— 144 —

do niego po cichu powiedziawszy, śpiesznie wyszedł. Na to mój kapitan, załamawszy ręce, rzecze: „Patrzaj coś narobił; zobaczysz, że nas gdzieś do więzienia zaprowadzą przez twoje śmiałe postępowanie”. Ja odrzekłem: „Kapitan w porównaniu ze mną nie czujesz skutków niewoli, już od dawna najadłeś się i napiłeś, a ja nietylko, że w ustach nic nie miałem, ale jestem ranny; niedola, jaką dopiero co widziałeś, doprowadza mnie do rozpacz i ręczę, że, gdybym był jakimkolwiek sposobem dopadł pałasza, to bym tego stąd żywego nie wypuścił. A potem niechby zrobili ze mną, co zechcą, wszak do życia i tak mało mi się należy”. Wskutek owych wspomnianych przepowiedni, wcale inaczej się stało.

Ów junak, wychodząc, polecił podoficerowi, aby natychmiast osoby odwiedzające nas, powypędzał i więcej nikogo nie wpuszczał, co też i zaraz wykonano. Nie upłynęło kilka minut — przychodzi jakiś pułkownik z piechoty, który był komendantem placu. Na zapytanie, co tu słychać, Kurnatowski na mnie mruga i palcem grozi, jakby przewidywał, że nas coś nieprzyjemnego spotka. A gdy widzę, że niema wzmianki o tem, co się dopiero stało, odzywam się: „Panie pułkowniku, mam tutaj zażalenie”. Opowiadam, co się stało: że oficer chciał mnie rąbać, lżył nas i nasz naród. Pułkownik wysłał adjutanta, aby wspomnianych oficerów aresztować, dodając, że jest polecenie najsurowsze od arcyksięcia Ferdynanda, aby się z jeńcami najłagodniej obchodzić. Gdy powiedziałem, że ów oficer rozkazał publiczność wypędzić, zawołał pułkownik natychmiast podoficera, aby najśpieszniej poszedł i prosił aby się wszyscy zeszli, co też i nastąpiło. Przepędziliśmy kilka godzin przyjemnie, naśmiaawszy się z tchórzostwa kapitana. Około południa przybył ów komendant placu z propozycją, chcąc nam zrobić większą dogodność i wygodę. Proponuje, aby, jeżeli się na to zgodzimy i damy, każdy na piśmie słowo honoru, że nie wydalimy się po za obręb miasta, to dostaniemy w mieście kwatery i wszystkie do

— 145 —

tego wygodę. Wolno nam także będzie chodzić po mieście. Wszyscy zgodzili się jednogłośnie. Potem pułkownik przyniósł tyle egzemplarzy deklaracji, ilu nas było.

Po odczytaniu każdy z nas podpisał. Zaraz rozdano nam bilety kwaternicze i do tego dodane, niby do posługi, każdemu jednego żołnierza węgierskiego. Potem udaliśmy się na kwatery. Mój anioł-stróż, to jest przydany mi żołnierz, zaproponował mi, abym, będąc już na własnej kwaterze, pozwolił oczyścić mój mundur ze krwi, na co chętnie zezwoliłem. Gospodarz mój dał mi swój szlafrok, w którym w stancyi chodziłem, aż ów żołnierz mundur nasamprzód uprał, wysuszył, jakoś wyprasował, że się w nim nie

poznałem. Wynagrodziłem go za to pięcioma reńskimi, które odebrał, padł mi do nóg za taki dar obfity. Wspomnieć też należy, że, kiedyśmy się mieli rozchodzić na kwatery, każdemu włożono w rękę pewną sumę pieniędzy papierami. Dnia następnego przybył do mnie adjutant placu i, wypisawszy według mego zeznania moje nazwisko, niemniej rodziców, miejsce urodzenia, korpus, w którym służę, datę wejścia do służby, kampanie odbyte i t. d. po potwierdzeniu tego moim podpisem, oświadczył, że dla zrobienia nowego porządku kwater, mam odmienić swoją, przenosząc się do nowej w domu pana Czarneckiego.

Znalazłem dla siebie w tem większą dogodność, bo, lubo poprzedni mój gospodarz bardzo grzecznie się ze mną obchodził, nie zasługiwał on na moje zaufanie.

Pan Czarniecki, obywatel już w wieku, z wszelką otwartością ze mną postępował, co też mnie do niego przywiązało. Sam mi wskazał pokój na kwaterę, dodając, że robi mi przyjemność, gdyż wkrótce sprowadzi kilku oficerów austriackich Polaków, którzy sobie życzą, aby się mogli ze mną sam na sam nagadać. Zaręcza swym wiekiem, że to są ludzie najuczciwsi. Po upływie pół godziny zastawiono śniadanie i niezwłocznie wpuszczono czterech oficerów, z których pamiętam tylko

— 146 —

dwóch, braci Łosiów. Zamknawszy się z nami, mówił wobec nich: „No Panowie nie macie się czego obawiać, jesteśmy wszyscy Polacy”. Gdyśmy się tylko rozgadali ze sobą, zaręczyli mi, że, byle tylko kampania się skończyła, wszyscy Polacy porzucą służbę austriacką, a przeniosą się w szeregi narodowe, co też się później stało. Kiedy wspomniałem im o awanturze z oficerem Polakiem, zapewnili mnie, że to jeden z tych ludzi, którzy do przewyższającej strony przywiązują się, dodając, — że, skoro Polacy zwyciężą, oni znowu nam czołem bić będą, tak jak się to później okazało na Meciszewskim ¹⁾. Kwatera u pana Czarnieckiego tylko 24 godzin była. Przeniesiono mnie znowu do pani Kłosińskiej, wdowy.

Ta czcigodna obywatelka zaprosiła wszystkich naszych oficerów do siebie po obiedzie na kawę. Mieszkała na dole frontu. Nasi oficerowie pokładli na oknach kaszkiety i kapelusze, co dostrzegłszy, oficerowie austriaccy udali się do komendanta placu z doniesieniem że schadzka nasza może złe skutki przynieść. Przeto kilku owych oficerów przyszło także do pani Kłosińskiej nieproszonych. Wywoławszy ją do oddzielnego pokoju, zapytali się o przyczynę naszej schadzki. Ona odpowiedziała, że innego nie miała celu, tylko prosiła nas na kawę, dodając: „Niech panowie będą łaskawi zostać na kawie“, — co też bez namysłu przyjęli. Po krótkim zabawieniu się wyszli. Wtem przywożą rannych dwóch oficerów swoich i tamże mieszczą. Nie dosyć jeszcze na tem. Wkrótce przybywa 12 huzarów z biletem na kwaterę do niej i po rozgoszczeniu się, domagają się kawy. Gdy pani Kłosińska udała

¹⁾ Mowa o Filipie Meciszewskim, który przed kampanią roku 1809 fortyfikował Sandomierz, a następnie, przy zdobyciu tej twierdzy przez Austriaków, prowadził kolumny szturmujące. Już w lipcu r. 1810 Kołaczkowski spotkał go na służbie polskiej, fortyfikującego Zamość. Jeden z najzdolniejszych oficerów inżynierii za Księstwa. Zginął w d. 29. listopada z ręki podchorążych.

— 147 —

się do komendanta ze skargą, że huzarzy wymagają kawy major placu bez namysłu odpowiedział: „Możesz Pani traktować Polaków kawą, to i nasi huzarzy kawę pić umieją“. Ta, widząc dokuczenie oczywiste za przychyłność okazaną Polakom, udała się do domu, kazawszy zrobić kawy, którą hojnie huzarów uczęstowała, a ci natychmiast dom jej opuścili.

Wieczorem, gdyśmy się spać pokładli, weszła do nas nasza gospodyni, donosząc nam, że pewna osoba, dobrze jej znana, chce się z nami widzieć, ale żąda, aby to widzenie się było uskutecznione bez światła, zaręczając nam że w tem zachodzi osobisty nasz interes. Gdy zezwoliliśmy na to, wchodzi jakiś mężczyzna, wzrostu dobrego, niemłody, a po uprzejmem powitaniu nas, przysiadła się przy moim łóżku i oświadcza, że doszła go wiadomość, jakoby złożona dla nas dobrowolna składka przez tutejszych obywateli,

którą nasi dowódcy odebrali, dotąd nam nie została doręczoną, a wynosi ona najmniej po 300 reńskich na osobę, bez różnicy stopnia. „Nim ten podział nastąpi, mówił dalej, racz Pan przyjąć ten zasiłek (tu wręczył mi paczkę), a później, ile jeszcze będzie można zbierać, to nieomieszkać doręczyć“. Chciałem mu podziękować za owo wsparcie, mówiąc: „Niech mam tę przyjemność wiedzieć, z jakich rąk dobroczynnych pieniądze odbieram“. — On na to odpowiedział, że pani Kłosińska później mnie o tem objaśni, a, pożegnawszy się, szybko nas opuścił.

Dnia następnego zrana przybyła gospodyni sama, przynosząc kawę, i mówi do mnie: „No cóż, jesteś Pan zadowolony z wczorajszej nocnej wizyty?“

Opowiedziałem jej o celu tej wizyty i zapytałem, ktoby to był ten anioł dobroci. Na to odrzekła, pierwaj się obejrzawszy, czy jej kto nie słyży: „Zapewne Pan nie uwierzy, że to uczynił człowiek, którego położenie wyklucza coś podobnego. Jest to prezydent naszego miasta, nazwiskiem Pusztynika, a, co większa, rodowity Węgier.

— 148 —

Obawiając się prześladowania ze strony swoich, tę ostrożność zachował“.

W kwocie owego zasiłku znalazłem po 250 reńskich na osobę. Ubrawszy się, prosiłem gospodynię, aby mi kilkadziesiąt reńskich rozmieniła na monetę zdawkową. Wziąwszy swego żołnierza, który razem mnie pilnował, udałem się za jego przewodnictwem na cmentarz bernardyński, gdzie nasi żołnierze, jako jeńcy wojenni, zamknięci byli. Gdy zameldowano komendantowi warty, że chcę się z moimi żołnierzami pożegnać (ile że słyszałem, że ich mieli gdzieś dalej transportować), wspomniany komendant oświadczył, że nie może na to pozwolić bez zezwolenia komendanta placu. Gdy posłał żołnierza z zapytaniem do tegoż, wkrótce odebrał na piśmie zawiadomienie, aby mi oświadczył, że będzie mi wolno się z żołnierzami widzieć, z tem jednak zastrzeżeniem, aby wszystko mówić głośno i w obecności warty. Chętnie na wspomniane kondycje zezwoliłem. Gdy mnie wpuszczono, hurmem rzucili się do mnie moi żołnierze, okrywając mnie pocałunkami i cieszyli się, że mnie widzą jeszcze żywego, po odniesieniu tak niebezpiecznych ran. Po skończonych powitaniach, dobywszy pieniędzy, podzieliłem je ile możność pozwalala. Z początku nie chcieli przyjąć, mówiąc, że i ja potrzebuję pieniędzy w moim dzisiejszym położeniu, wreszcie po usilnem mojem naleganiu przyjęli. Oświadczyli mi, jak są niegodziwie traktowani przez Austriaków, że tylko dobroczynność mieszkańców słodzi ich los, dostarczając im żywności. Co się tyczy samych nieprzyjaciół, ci, pod pozorem niby zasiłku, przynieśli zaraz w nocy śledzi i chleba, niby to, co dostarczyć naprędce mogli. Następnego dnia nie dali wody, aby tem więcej pragnieniem dokuczyć. Gdy się to więcej wznagało, dopiero przybyli werbownicy z muzyką, a zastawiwszy stoły piwem, zachęcali ochotników, aby się zbliżyli i odebrali tak nazwaną nagrodę „Handgeld“ i przystali do Hułanów, korpusu Freikurów z czterech pułków składającego się. Wymieniono mi tych żołnierzy naszych,

— 149 —

którzy, zmuszeni pragnieniem, do freikurów przystali. Z wymienionych nazwisk, przekonałem się, że to byli wyłącznie Niemcy z Holendrów nadwiślańskich z pod Torunia. Zaraz też odpowiedziałem żołnierzom: „Widzicie bracia, że to są Niemcy, a z was

żaden, spodziewam się, pomimo niegodziwego podstępu nieprzyjaciela, nie da się ułudzie żadnymi obietnicami, a tamtych, jak my ich dostaniemy w nasze ręce. kara śmierci nie minie za złamanie przysięgi”. Żołnierze powtórzyli jednogłośnie, że się podobnym ułudzeniom zwieść nie dadzą, chociażby ich największa ostateczność spotkać miała ¹⁾).

Usłyszawszy to, komendant warty powiedział: „Panie lejtnant, to sem się negodzi tak mówić”. Obróciwszy się, powiedziałem mu: „Wszakże ja mówię głośno, tak jak była umowa; a gdybyście wy się dostali do niewoli naszej i mybyśmy chcieli was namówić do naszej służby, to powiedzielibyście, żeście przysięgali cesarzowi i tego nie uczynicie”.

Na to Słowak: „Wy prawdu mówicie”. Włożyłem w rękę owemu komendantowi warty reński i półgłosem szepnąłem: „Pamiętajcie o tem, że to są chrześcijanie, tacy jak wy, nie dokuczajcie im”. Kiwnięciem głowy dał poznać, że to przyznaje.

Pożegnawszy się, udałem się do siebie, gdzie przybywszy, dowiedziałem się, że kwatera moja została zmieniona, że przeznaczono mnie do domu wyż wspomnianego pana Pusztyniki, co mnie wewnętrznie ucieszyło. Lubo on sam nie pokazał się nam, bojąc się prześladowania ze strony Austryaków, ale tak wszystko urządzał, aby nam na niczem nie zbywało. Stańło nas tam pięciu oficerów.

Gdy nadszedł wieczór, słyszę po schodach idących wojskowych, brzęk pałaszami robiących. Gdy się drzwi

¹⁾ O formowaniu tych „frejkurów“ wspomina w swych pamiętnikach Niemcewicz. Werbowano ich rzeczywiście gwałtem.

— 150 —

otworzyły, widzę na czele majora Gutenberga i kilku innych oficerów z pułku kaiserhuzarów. Za nimi przyniesiono kilka koszków wina. Po oddaleniu się służących major się odzywa. „No kamraci, wiecie poco my do was przyszli? Oto pożegnać się z wami. Idziemy traktem ku Kozienicom gdyż wasz jenerał Dąbrowski ¹⁾ to miasto zajmuje.

Pamiętajcie jak Niemiec mówi „Heute dir, morgen mir.” „Co tobie dziś, to mnie jutro”. Pamiętajcie kamraci, jak się który z nas do was dostanie do niewoli, abyście o nas nie zapomnieli. Wtem zbliża się do mego łóżka młody oficer, siada przy mnie i dowiadyuje się o stanie mego zdrowia. Po krótkiej naszej rozmowie, jakież było moje podziwienie, gdy w nim poznał obrońcę, tego, który mnie z rąk owych rozjuszonych huzarów pod Jankowicami wydobył i, do korpusu odprowadziwszy, pod opiekę podoficerowi oddał.

Wspomniany mój wybawiciel nazywał się Janson. Kiedyśmy z sobą więcej rozmawiali, dodał tenże, że aktualnie owi huzarzy zamierzali mnie rozsiekać i aby ktoś więcej nie widział tej zbrodni, przedsięwzięli to w zaroślach wykonać. Kiedy ów oficer po węgiersku ich zato strofował, odrzekli, że ja się głównie przyczyniłem do zabicia pułkownika Szyllera, dodając, że już dwie większe części naszej kolumny broń złożyły, a ja jeszcze, nie poprzestając na tem, kazałem się dłużej bronić, powtarzając do swoich: „Strzelaj, strzelaj, nic nie uważaj!” — Koledzy moi, których wcale nie obchodziła moja z Jansonem rozmowa, powtarzali częste zdrowia. Ja tylko, rozczulony do łez, przejęty będąc uczuciem wdzięczności dla swego wybawiciela, najczulej mu wdzięczność oświadczałem, na co on odpowiedział, że nic więcej nie zrobił, jak tylko swoją powinność. Po dwugodzinnem

¹⁾ 14 czerwca 1809 Dąbrowski stał w Lubochni (Sołtyk 275), a Zajączek w Górze naprzeciwko Puław. Mondet zaś odebrał rozkaz iść czemprędzej do Sandomierza, by go obledz od strony północnej (Sołtyk 275.)

— 151 —

naszem zabawieniu się usłyszeliśmy trąbkę kawalerii, która przyzywała naszych gości do wsiadania na koń.

Po najczulszem naszym pożegnaniu, jakby na śmierć, opuścili nas. Mój zbawca szepnął mi do ucha, że jeżeli go Bóg zachowa, to przy powrocie nie zaniedba mnie odwiedzić i donieść o zaszytych wypadkach. W czasie tych odwiedzin ja nic nie piłem z powodu moich ran w głowę odniesionych. — Po oddaleniu się wspomnianych oficerów huzarskich, widząc moich kolegów dobrze napitych, z których każdy udał się do swego łóżka i smacznie spoczywał, poszedłem drzwi na klucz zamknąć, świece zagasić, a następnie sam się położyłem. Ponieważ to było 15. czerwca, kiedy noce są najkrótsze, przeto, przespawszy się krótko, obudziłem się, gdy już dzień był. Słyszę turkot okropny po bruku i jakieś wielkie poruszenie wojska. Zbliżywszy się do okna pod zasłonę firanki, widzę, że piechota austriacka bez ładu, śpiesznie w przeciwną stronę maszeruje, a bocznymi ulicami tabory i bagaże uchodzą.

Bojąc się, żebym nie był od kogo dostrzeżonym, że się ich odwrotowi przypatruję, udałem się napowrót do łóżka i wspólnie z moimi kolegami spoczywałem. Po upływie niejakiego czasu słyszę kogoś idącego po schodach; po brzęku pałasza domyśliłem się, że to będzie jakiś wojskowy gość i nie omyliło mnie moje przeczucie, bo za zbliżeniem się do drzwi słyszę głos mego wybawcy, który na mnie po imieniu woła, aby mu otworzyć. Gdy go wpuściłem, usiadł przy mnie. Kiedy moi koledzy w najlepsze chrapią, on mnie taką czyni relację:

„Nasamprzód, jakeśmy stąd wyszli, pułk nasz szedł w awangardzie, postępując lasem z największą ostrożnością, a gdy zbliżyliśmy się do wsi Jedlnej ¹⁾, leżącej o pół drogi do Kozienic, nasza spica spotyka idącego do Radomia chłopą, a na zapytanie, skąd idzie, odpowiedział, że

¹⁾ Jedlna, duża wieś leżąca o 16 wiorst na północny-wschód od Radomia na drodze do Kozienic.

— 152 —

z Kozienic. Gdy go zapytam, co tam słyhać, na to chłop odpowiada, że w Kozienicach Polaków jak mrowia, a harmat moc nieprzeli-czona i wszystkie obrócone są ku Radomowi, linia polska rozciągnięta więcej jak na pół mili. Gdy chłop pomiarkował, że im więcej opowiada, tem więcej nieprzyjaciela trwoży, zaczął pleść dodatki niesłychane. Z powodu tego zatrzymano awangardę i posłano z uwiadomieniem do jenerała komenderującego, który się na tyłach znajdował. Gdy ten przyjechał, kazał sobie chłopą przedstawić; ten znowu, naprzykładawszy wiadomości, powtórzył to wszystko, czemby mógł nieprzyjaciela zastraszyć.

Jenerał, chcąc chłopą nastraszyć, powiedział, że jak to nie będzie prawda, to go każe obwiesić. Na to chłop, udając największą pewność i prawdę, oświadczył, że gotów ich sam poprowadzić, aby się o tem naocznie przekonali. Potem jenerał dał rozkaz do odwrotu, wzięwszy z sobą chłopą do Radomia. Chłop znowu w drodze coś w sekrecie powiedział tak, że jenerał kazał marsz podwoić wskutek czego tak szybko piechota i artyleria umykała. Wtem przybyli też z majorem i wczorajsi nasi goście, a, nie

mówiąc nic o wypadkach wyprawy kozienieckiej, pobudzili moich kolegów. Znowu zaczęli powtarzać pijatykę. Lecz później przybył jakiś oficer i szepnął coś do ucha majorowi, poczem wszyscy śpiesznie nas opuścili. Żegnając się powtarzali; „Heute dir, morgen mir“. Wkrótce potem Radom został oczyszczony z wojsk, a w południe przybył adjutant placu z doniesieniem nam, abyśmy byli w pogotowiu do drogi. Kiedyśmy się dowiadywali, dokąd się udać mamy, powiedział nam w sekrecie, że słyszał, że do Ołomuńca. Ta wiadomość wskroś nas przejęła. Po godzinie zaszły podwozy, przeznaczone po czterech na jedną furę, a dla mnie i porucznika Grębickiego z pułku 14-go, który był w sztygarnym, po jednej przeznaczono i takowe były słomą wysłane. Kiedy co tylko już wsiadać mamy, komendant placu przychodzi i najgrzeczniej życzy

— 153 —

nam dobrej drogi, tę radosną nowinę zwiastując, że nie do Ołomuńca, ale do Warszawy jedziemy. Mieniano nas za swoich oficerów i w tym celu dodano nam oficera od węgierskiej piechoty, któremu polecono, aby podoficer także z tego pułku jechał na pierwszej furze, zaś on sam na ostatniej, a to, jak mówił komendant, nie dla eskortowania, ale raczej dla uniknięcia nieprzyjemności w przypadku, gdyby nas jakiś oddział nieprzyjacielski w drodze spotkał. Trudno opisać naszą radość i ukontentowanie po odebraniu wspomnianej wiadomości. Ruszyliśmy przeto przy towarzyszeniu życzeń i błogosławieństw, udzielanych nam przez mieszkańców Radomia. Udaliśmy się na Kozienice do Białobrzegu na noc. Gdyśmy się do tego miasta zbliżali, spotkaliśmy oddział jazdy austriackiej, nie dalej od wspomnianego miasta jak dwie wiorsty. Za zbliżeniem się oddziału, podoficer, będący na pierwszej furze, opowiedział komendantowi oddziału, że wracamy do Warszawy. Ten najgrzeczniej nas pożegnał, życząc wszelkiej pomyślności w dostaniu się do swoich. Kiedyśmy się zbliżyli do miasta, widzimy żołnierzy naszej kawalerii zupełnie porozbieranych, bez wedet i wart. Pomnąc, żeśmy oddział nieprzyjacielski spotkali, major Świdorski, jako między nami oficer najstarszy, a do tego od kawalerii, posyła po oficera w mieście komenderującego, aby do niego natychmiast przybył, chcąc mu dać napomnienie, że go zastał w takiej nieostrożności. Na to doniesiono, że wspomniany oficer śpi pijany, że go dobudzić nikt się nie może; przeto major rozkazał wachmistrzowi natychmiast zatrąbić na koń. Zebrawszy oddział, uporządkował go. Nasamprzód wysłał patrol ku stronie nieprzyjacielskiej, a później, postawiwszy wedety, kazał stać w pogotowiu. Po rozkwaterowaniu dostałem kwatery u jakiegoś poczciwego obywatela, który się zajął tem naprzód, aby mnie opatrzyć. Ponieważ w tem mieście był tylko jeden cyrulik żyd, przeto wezwano go do mnie. Zaczął mnie opatrywać: pozdejmował bandaż, odkrył i obmył rany. Wówczas były

— 154 —

okna otwarte. Wtem ktoś wpadł do izby, powstał przeciąg, a ja zemdlałem tak, że zostałem nieprzytomnym aż do dnia następnego. Nazajutrz oddział naszej jazdy dostał przeznaczenie, tak, że żadnego polskiego żołnierza w mieście nie było, przeto i ja, będąc mocno osłabionym, przecież wolałem ku Warszawie uciekać, aniżeli być wystawionym na napad nieprzyjaciela. Dano mi wygodną bryczkę, którą udałem się na noc do Piaseczna, a stamtąd do Warszawy. Gdyśmy do Warszawy przybyli, koledzy zdrowi udali się do komendantury placu dla odebrania biletów kwaternicznych, mnie zaś i Grębickiemu, jako rannym, kazano się udać z furami przed Zygmunta, a to dla tem łatwiejszego znalezienia nas i odwiezienia do lazaretu. Skoro na owo miejsce przybyliśmy, ktoś ze znajomych Grębickiego, spotkawszy go, zaprowadził go na miejsce. Ja, nie mając nikogo znajomego, oczekiwałem, aż który z naszych kolegów przybędzie po mnie. Po upływie paru godzin widzę, że fura jakaś znowu przywozi kogoś rannego, obok którego spostrzegłem podoficera Grabowskiego z naszego pułku. Przywoławszy go do siebie, pytam go, ktoby ów ranny był. Na odpowiedź, że oficer od huzarów węgierskich, wychylam się z wozu, patrząc, czy nie który ze znajomych. Ten mnie poznaje, i z pewnem akcentowaniem powtarza przysłowie niemieckie: „A co, nie mówiłem. Heute dir, morgen mir“. Był to oficer, jeden z tych, którzy nas odwiedzili przed wyprawą pod Kozienice, ale nie ten, który mnie wybawił od śmierci. Opowiedziałem sierżantowi Grabowskiemu, jak się z nami w niewoli obeszli oficerowie po przyjacielsku, do których liczby i ten oficer należał, poleciłem, aby się udał do przybyłych ze mną oficerów, aby ci, jako zdrowi i mogący się jemu odwdziżyć, to wykonali. Niedługo przybył jeden z naszych, chcąc Grębickiego gdzieś umieścić. Gdy zobaczył owego oficera, natychmiast zajął się jego umieszczeniem i wygodą.

W końcu sam koło Zygmunta na furze zostałem. Skwar

— 155 —

słoneczny niezmiernie mi dokuczał, a rozpalenie ran w głowie powiększało cierpienia. Nie mogłem się nikogo doczekać, ktoby się moim losem zajął: każdy bowiem z kolegów, dostawszy się między swoich, swobodnie używał błęgiego spoczynku, zostawiając na później umieszczenie mnie w lazarecie. — Po upływie jeszcze paru godzin tej spiekoty, człowiek, który mnie przywiózł, nie mogąc mi żadnej innej ulgi przynieść w cierpieniach, a chcąc mnie zasłonić od promieni słońca, rozłożył nademną słomę. Tym sposobem ostudził mi głowę. Nakoniec widzę jakiegoś mężczyznę, zbliżającego się ku mnie i odzywającego się w te słowa: „Niech Pan każe zawrócić furmanowi i do pobliskiego domu się zawieźć“. Ja odpowiadam, że nie przyniesiono jeszcze wiadomości, gdzie mnie złożyć, czy w lazarecie, czyli też w jakim domu. Na to ów odpowiada. „Pani Wilson, obywatelka, tu blisko na Podwału mieszkająca, tknięta tem smutnem położeniem Pana, poleciła mi, aby, nie zważając na Pańskie uwagi, do jej domu Pana złożyć, a to mu mogę zaręczyć, że znajdziesz w jej domu taką wygodę, że na łonie rodziny lepszej byś nie znalazł.“ To powiedziawszy, zawołał na chłopca, aby za nim mnie powiózł. Skoro mnie przywieziono przed wspomniany dom, już ludzie czekali i zanieśli mnie na rękach do pokoju chłodnego i położyli na przygotowane łóżko. Wnet byłem otoczony przez domowników, ubiegających się w niesieniu mi pomocy i wygody. Po krótkim wypoczynku wchodzi do mnie obywatel, już w wieku, oświadczając, że przyszedł opatrzyć moje rany. Z wdzięcznością przyjąłem ową pomoc, ile że nie byłem opatrzonym jak w Białobrzegach. Usiadłszy na przygotowane krzesło, ustawione między dwoma oknami naprzeciw lustra, uważałem, jak moje opatrywanie pójdzie. Gdy ów wspomniany obywatel (był to Wójcicki, przyjaciel i sąsiad p. Wilson, znany z swej przychylności i poświęcenia się narodowego, z niesienia pomocy rannym w czasie tej kampanii, a później teść mój), odejmując z ran okrycie, zaczął głową kręcić, szczególnie nad raną

— 156 —

odniesioną przez czaszkę i niby okazując jakieś powątpiewanie o mojem życiu, zauważyłem to wyraźnie w lustrze. Po opatrzeniu zaordynował, co mam dostawać do jedzenia i napoju i powiedział do mnie: „Bądź Pan spokojny, będziemy się starali, aby było dobrze, a potem — dodał — proszę nic więcej nie jeść, ani pić, tylko co ja przeznaczyłem, będę Pana często odwiedzał, mieszkam stąd niedaleko”. Powtórzyłem słowa owego obywatela pani Wilson, która mi zaręczyła wszelkie wygody, co się też i stało. Nasamprzód dano mi wśród upału stancję na dole od tyłu, chłodną, spokojną, pościel wygodną i do tego chłopaka na moje usługi. Oprócz tego kuzyn mojej opiekunki raz wraz mnie odwiedzał, pytając się, czy czego nie potrzebuję. Kilka dni tak pozostałem, będąc codziennie parę razy odwiedzanym przez opiekuna mego zdrowia.

Razu pewnego, mój doktor, przypatrując się materii na kompresie będącej, odezwał się do mnie: „No, bądź wasindziej (takie miał przysłowie) spokojny, zaręczam, że będziesz zdrów, winszuję ci, że masz krew dobrą, nie zepsutą — dodał — bo ta rana poza uchem nie jest tak niebezpieczna, ale ta przez czaszkę jest groźna, cała kość przecięta, tak że przez otwór całą operację mózgu widać. Teraz tylko trzeba wyprowadzić dzikie mięso, które przez niedołężne opatrywanie się wdało. Ale to rzecz mała, trzeba, powtórzył, abys wasindziej nigdzie nie wychodził, dopóki ja nie powiem”. Ja sambym był nigdzie nie wyszedł, gdyż rany w głowie zdawały mi się tak ciężać, jakbym miał kilka funtów ołowiu w ranę włożonego, tak, że nie mogłem przez pokój przejść.

Gdy po upływie dwóch tygodni już się rany zagajać zaczęły, nie podobało się to szybkie gojenie memu doktorowi. Przeto jednego dnia pyta się mnie: „Czyli wasindziej nie będzie się bał, bo muszę zrobić jedną operację”. Ja odpowiedziałem, że jestem gotów wszystko znieść, kiedy to jest dla mego zdrowia. Wyjął więc Wójcicki nóż krzywy, a włożywszy go w część niezagojoną ranę, takowym

— 157 —

pociągnął, aby go otworzyć na nowo, poczem znowu mnie krew oblała. Zdziwiła go moja wytrwałość, powiedział mi więc: „Wasindziej na żołnierza stworzony”. Później znowu, gdy materya obficie płynęła, włożył mi drut srebrny w ranę i takowym szukał odłamków z kości. Tego nie mogłem długo wytrzymać, albowiem, gdy mi dał pręt do błony mózgowej, szczególniejsze uczucie mnie przejmowało, z czego dostawałem mocnego bicia serca. Po kilku takich operacjach wydobył z ran siedm odłamków kości, mówiąc, że gdyby te nie zostały wyjęte, niezawodnie ranyby się wkrótce odnowiły. Gdy już było lepiej, sam polecił mi, abym się przechodził codziennie, wzięwszy do ręki laskę. Jeżeli człowiek w życiu swoim wystawionym jest na różne cierpienia i dolegliwości, są także chwile, które pasmo dni naszych przeplatają przyjemnościami i tak, lubo wycierpiałem wiele, przyszedł nakoniec i ten moment, gdzie z kolei zacząłem używać przyjemności. Publiczność warszawska, widząc mnie na przechadzkach ranami okrytego, starała się w każdym względzie uprzyjemnić mi te chwile. Nasamprzód, nietylko młodzież, ale i starzy starali się ustępować mi z drogi, czyniąc mi niejako uszanowanie. Przytem nawet nieznajomi chcieliby jakimś sposobem robić mi przysługę, jedni proponując lampkę dobrego wina, inni lodów, cukrów, fruktów; zdawało się, że jeden drugiego w tym względzie chciał wyprzedzić z przysługą jakowąś,

lubo tego nie potrzebowałem, gdyż w domu p. Wilson byłem otoczony macierzyńską opieką; przecież mnie to wskroś przejmowało.

Pewnego razu, gdy szedłem ulicą Długą, jakaś dama, jadąca kareta, kazała stanąć, dając mi znaki, że chce ze mną mówić. Gdy się do niej zbliżyłem, zapytała się, w której bitwie zostałem ranny i domagając się rzetelnego wyznania, czy mi na czem nie zbywa. Lubo miałem wszelką wygodę, ale na ubiorze mi zbywało, bo dostawszy się w niewolę, rzeczy wszystkie straciłem, oprócz tego, co na mnie zostało, a i to już było kruche, bo, jak zaczęto czyścić

— 158 —

i wywabiać krew, tak szlify, jako też cały ubiór wytarto. Przeto owej damie otwarcie wyznałem, że, lubo mam nad sobą macierzyńską opiekę, ale, dostawszy się w niewolę, utraciłem bagaż, na których mi zbywa. Prosiła mnie i zaklinała, aby być u niej przy ulicy Królewskiej, w domu narożnym naprzeciw ogrodu saskiego, w dniu następnym. Później dodała, pytając się, gdzie mieszkam, że przysze pojazd po mnie, umniejszając mi fatygi, co się też i stało. Dnia następnego około godziny trzeciej z południa, zajechał pojazd z jakimś mężczyzną, który zabrał mnie do wspomnianej damy, dodając mi w drodze, że dama, do której jadę, żąda tego, aby jej imię było przedemną ukryte. Przybywszy, zastałem tę samą damę, czekającą na mnie. Wymogła na mnie, że dnia następnego przybędę znowu o tej samej godzinie i przyprowadzę kolegów, towarzyszy niedoli, którymby, tak jak mnie, na zastąpienie rzeczy straconych przez niewolę zasiłku udzieliła, prosząc zarazem, aby to uważać jako bezimienne i sekretne. Po tejże konferencji kazała mnie znowu do domu odwiedzić. Porozumiałem się z kilku kolegami niższych stopni, nie mówiąc o tem naszym starszym, od których owej składki w Radomiu, na ich ręce dla nas przeznaczonej, odebrać nie mogliśmy. Przeto dnia następnego udaliśmy się do wyżej wspomnianego miejsca, gdzie owa dama doręczyła każdemu z nas jak następuje: Dla mnie i Grębieckiego po 50 dukatów, jako dla rannych, a dla innych po 25 dukatów. Prosiła, aby nie wymagać od niej wymienienia osób dobroczynnych, aby uniknąć oświadczeń wdzięczności albo podziękowań. Lubo nie otrzymaliśmy owej składki radomskiej, przecie ostatni zasiłek nas wynagrodził sownie, bo był dostateczny do umundurowania się przyzwoitego.

Po upływie dwóch tygodni wyszedł rozkaz od komendanta placu, wydany do wszystkich mieszkańców m. Warszawy, aby wojskowych, znajdujących się bez biletów kwaternicznych po domach, do placu meldowano, z powodu, że się znaczna liczba oficerów ukrywała w mieście,

— 159 —

unikając tak boju, jakoteż służby. Wskutek tego i mnie wymeldowano z wyszczególnieniem, że, będąc rannym, dobrowolnie zostałem przyjęty na kwaterę, z wymieniem, kto mnie ma w kuracyi. Wówczas był komendantem placu pułkownik Kamiński, który, gdy odebrał zawiadomienie o mojej bytności w Warszawie, znając dobrze moją familię, przysłał do mnie swego adjutanta z żądaniem, abym, skoro tylko do zdrowia powrócę, osobiście się jemu zameldował. Gdy to po kilku dniach skuteczniłem, przyjął mnie z największą grzecznością, a zostawiwszy mnie u siebie na obiedzie, zapytał mnie, czyli nie potrzebuję jakiego zasiłku, dodając, że mam prawo odebrania z kasy dwumiesięcznego żołdu, jako taki, który powraca z niewoli wojennej, co też mi w kasie wyjednał¹⁾. Obok tego wymógł na mnie, żem mu dał słowo, że będę codziennie do niego na obiad przychodzić.

Pewnego razu, gdyśmy w jego gabinecie po obiedzie siedzieli, zapytał mnie, czy też mój ojciec wie o moim przypadku. Gdy odpowiedziałem, że nie wie, zgał mi to, mówiąc, że w każdym przypadku powinienem być ojcu donieść o wszystkim, gdyż mój ojciec z boku się dowiedział, a jak to bywa, z dodatkami, co tem więcej musi go martwić. A zatem, ponieważ ojcu listownie nie doniósł, przeto nakazuje mi, abym osobiście to doniesienie wykonał, mówiąc: „Już jesteś zdrowszym, przeto możesz

wygodnie sobie do domu pojechać, a ja ci dam jakiś pozorny rozkaz, że furmankę i żołd mieć będziesz”. Na wspomnienie pułkownikowi, że jadę do domu, zdawało mi się, że jestem zupełnie wykurowanym. Przyjawszy z wdzięcznością rozkaz i kartę drożną, udałem się dnia następnego w drogę ku Poznaniowi. Przybywszy do domu, zrobiłem ojcu niespodziankę, która z początku była przyjemną. Po rozpatrzeniu się ojciec zapytał, czy jestem słaby, że mam głowę owiazaną. Gdy się dowiedział, że owa słabość

¹⁾ Żołd roczny porucznika X. W. wynosił 2000 złp.

— 160 —

pochodzi z odniesienia dwóch ciężkich ran na głowie, z największym ubolewaniem zostałem od całej rodziny łzami oblany.

W czasie dwutygodniowego pobytu w domu rany mi się pogoły znacznie. Powróciwszy do Warszawy, zameldowałem się znowu pułkownikowi, który mi powiedział, że wszyscy moi koledzy, którzy ze mną powrócili z niewoli, już udali się na swoje przeznaczenie do Białej w Podlaskie, gdzie się znowu trzeci batalion pułku 12-go piechoty formuje, i że ja także mam tam przeznaczenie, że więc mogę wyjechać z Warszawy, kiedy mi się będzie podobało. Po moim powrocie z Poznańskiego, musiałem według danej obietnicy p. Wilson, udać się do mojej dobrodziejki dla złożenia jej najczulszych podziękowań za macierzyńską opiekę, wyświadczoną mi przez czas mego pobytu w jej domu. Później, również jak pierwszej, tak i drugiemu dobroczyńcy — p. Wójcickiemu — złożyłem podziękowanie za gorliwe staranie się w przyprowadzeniu mnie do zdrowia. W końcu udałem się do Białej, gdzie, przybywszy, zastałem już paruset rekrutów, niemniej podoficerów, kaprali i oficerów trzeciego batalionu składających. Zameldowałem się swemu dowódcy, podpułkownikowi Hipolitowi Stokowskiemu, który najuprzejmiej mnie przyjął. Widząc, że niezupełnie byłem jeszcze wygojonym, przywołał burmistrza miasta i oświadczył mu w mojej obecności: „Jest to oficer, który tej kampanii przysłużył się dużo swej ojczyźnie, a do tego odniósł chwalebne blizny. Przeto proszę Pana, abyś mu dał przyzwoitą kwaterę”. Na to burmistrz, skłoniwszy się mi, odrzekł, że starać się będzie odpowiednią zasługom moim dać kwaterę. Wskutek tego dał mi taką kwaterę, która była dla jakiegoś sztabsoficera zostawiona. Mój dowódca dodał, że lubo przeznaczony byłem poprzednio do kompanii, jednakowoż uwalnia mnie od wszelkich obowiązków służbowych do dalszego czasu, abym sobie dowolnie wypoczął.

W dwa tygodnie po obchodzie uroczystym imienin

— 161 —

cesarskich w Białej zjechał do nas Tysson, major naszego pułku, celem rozdania dekoracji osobom w tymże batalionie znajdującym się. Rozkazano wystąpić batalionowi na dziedziniec zamkowy przy towarzyszeniu władz i cechów z chorągwiami. Tysson odczytał listę wszystkich oficerów naszego pułku, którzy zostali zaszczytzeni krzyżami, a w kontynuacji, gdy odczytał kapitana Rutkowskiego, kazał, aby tenże przed środek wystąpił. Następnie, gdy przyszła i na mnie kolej, tożsamo wystąpiłem. Po skończonym odczytaniu, po zwykłym przemówieniu do obecnych wojskowych, że dekoracje przeznaczone dla nas, są tylko zadatkami na przyszłość dla nas, a powinny się stać czynnikiem emulacji dla innych, przyniesiono na tacy, makatą okrytej, krzyż kawalerski dla Rutkowskiego, złoty zaś dla mnie. Potem major Tysson, przypinając każdemu z nas krzyż, trzykrotnie ucałował.

Obecni trzykrotnie wykrzyknęli: „Niech żyje cesarz! Niech żyje król!” a na koniec: „Niech żyje waleczne wojsko nasze!” Po predefiniowaniu wojsko rozeszło się, a oficerowie wszyscy zostali zaproszeni na obiad, dany przez JW. Aleksandrowicza, podprefekta w powiecie Białskim. Po skończonych ceremoniach zapowiedziano nam przez wspomnianego majora Tyssona, aby być w pogotowiu do wyruszenia ku Krakowu, jeśli traktat pokoju we Wiedniu między Austrią a Francją podpisanym nie będzie ¹⁾. Odtąd zajęciem naszym było wymusztrowanie i ubranie batalionu. Oddać trzeba sprawiedliwość obywatelom Białskiego powiatu, że niczego nie szczędzili, aby nie tylko potrzebom koniecznym, ale nawet i ozdobieniu wojska narodowego zadość uczynić. Dostarczono nam nie tylko obuwia, bielizny i mundurów, ale miasto dało jeszcze patrolontasze,

¹⁾ Zawieszenie broni zawarto d. 12-go lipca, a pokój w Schönbrunnie 14-go października. W tym okresie czasu zdawało się, że nie przyjdzie do pacyfikacji, dzięki stanowisku Rossyi. Z tej racji ściągnięto wojsko Księstwa do Krakowa. Ale 3-ci batalion pułku 12-go wyruszył tam już po zawarciu pokoju.

— 162 —

bandolierzy, flintpasy i tornistry z najlepszych materiałów zrobione, niemniej kaszkiety, bermiery z ozdobami, z dodatkiem bermiery oficerskich z kordonami wybranymi. W ogóle, co tylko nawet zdawało się być przesadzonym, wszystkiego dostarczyli. W końcu jeszcze na sprawienie orła, czyli sztandaru srebrnego, dodano 100 dukatów. Niemniej na nieprzewidziane jeszcze potrzeby wyliczyli 100 dukatów, tak, że ten batalion, gdyby wychodził z łona oficerskiego, nie mógłby być lepiej uposażonym. Później dostaliśmy rozkaz, aby w dniu 16 października wyruszyć do Krakowa. Najczulszy widok przedstawiało pożegnanie wojska przez ludność. Pomijam klasy wyższe, ale zwracam się do naszych żołnierzy, którzy, zaciągnięci z tego powiatu, żegnani byli przez rodziny, zebrane w Białej. Byłito prawie sami Rusini. Kiedy dano rozkaz do zebrania się batalionu do marszu, prawie jakby jednogłośnie dały się słyszeć żałosne pienia ruskie: „O mój sokołku, o mój poboczniku, szcze ja teraz budę robyty; ony sia wże do nas ne wernut”. Pomimo tych żałosnych pożegnań i rozczułań przecie żaden z owych żołnierzy nie pozostał, a tem więcej nie popełnił dezercyi, tak na miejscu, jako też i w marszu. Słowem, kochany lud, stworzony do znoszenia trudów i niewygód wojennych, ale z kondycją, aby go w karności przyzwoitej utrzymać, do czego tu przytoczę później zdarzenie. Po wyjściu z Białej udaliśmy się przez Międzyrzec, Budzyń, Kock, Lubartów, Lublin do Krakowa, gdzie stanęliśmy dnia 2 listopada. Zastaliśmy tu w Krakowie, jako i w okolicach, stojące, połączone w najściślejszej harmonii, wojska rosyjskie i nasze ¹⁾. Odbywano często wspólne rewie, od których został nasz batalion wyłączonym z powodu, żeśmy jeszcze z bronią nie byli obeznani, gdyż dopiero w Krakowie takową nam wydano. Przeto szczególniejszem zajęciem naszym było, aby robienie bronią doprowadzić do takiej doskonałości, jaką posiadały bataliony

¹⁾ Rosyan już nasz autor nie zastał chyba w Krakowie.

— 163 —

z wojska starego złożone. Po przyłożeniu się usilnem doprowadziliśmy do tego z tym ludem posłusznym że zrównał się ze starym żołnierzem w akuratom i energicznem robieniu bronią. Jak wyżej mówiłem, używaliśmy środków ostrych, to jest kijów. Pewnego razu jedna z naszych kompanii maszerowała przez przedmieście Kazimierz. Przypadkiem przejeżdżał tamtędy książę

Poniatowski, a posłyszawszy komendę i robienie bronią, zbliżył się na koniu do owej kompanii. Za zbliżeniem się księcia, kapitan się pyta, co każe robić. Na to książę: „Każ kapitan robić bronią, chcę widzieć, jak ten batalion daleko postąpił”. Po przerobieniu wszystkich poruszeń książę nie posiadał się z radości, dodając, że w tak krótkim czasie z taką pewnością i zręcznością ci ludzie obroty wykonują, iż przeszli poprostu wszystkie oczekiwania. Obsypał pochwałami ową kompanię, a gdy konia zawraca i przejeżdża poza kompanię, spostrzega leżące na ziemi kije. Woła więc kapitana i zapytuje się, co te kije mają oznaczać w tem miejscu. Na odpowiedź kapitana, że z tymi ludźmi inaczej by nic nie zrobili, książę wpadł w największy gniew i krzyknie: „Jak to! w wolnym narodzie używać tak haniebnego narzędzia! Precz z tem ohydne narzędzie! W tym momencie mi połamać i zniszczyć!” Obróciwszy się do kapitana i oficerów, groźnym głosem zawołał: „Jeżeli jeszcze raz kto kij przyniesie, pod sąd wojenny oddanym będzie”. Opuściwszy śpiesznie ową kompanię, powrócił do siebie i natychmiast posłał po pułkownika Weyssenhoff dowódcę naszego pułku. Oświadcza mu, że znalazł kompanię do największej doskonałości doprowadzoną w robieniu bronią, ale obok tego ze zgorszeniem zauważył, jak postępują z wolnym żołnierzem. Poleciał następnie pułkownikowi, aby najściślej tego zakazał i dopilnował, aby więcej wznowionem nie było. Pułkownik, nie wiedząc o niczem, natychmiast nas zebrał i żądał, aby go w tym względzie objaśnić. Jednogłośnie wszyscy powołali się na stare przysłowie: „uparty jak Rusin”, dodając, że gdyby nie takowe

— 164 —

środki, to naród ten jest tak uprzedzonym, że chciałby wszystkim takty dawać. Jednakowoż pułkownik, wskutek odebranych poleceń, bezwarunkowo kary cielesnej zabronił. Lubo tylko w sekrecie było to objawione podoficerom i oficerom, jednakowoż żołnierze to pojęli, zwłaszcza że w obecności wspomnianej kompanii książę Józef kijów zakazał. Skutek był ten, że, jeżeli dawniej dobrze bronią robili, później tak się opuścili, że, gdyby był zebrał chłopów, możeby byli lepiej się mustrowali. Przeto żaliliśmy się przed naszym pułkownikiem, jakoby ojcem, że zupełnie inaczej teraz naszych żołnierzy znajdujemy. Na to pułkownik taki wniosek

uczynił: On sam ukryje się w przyległym domu, nie będąc widzianym, aby się osobiście o tem przekonać. Gdy widział zupełną różnicę, udał się do księcia Poniatowskiego, któremu ten fortel objawił — dodając, że nie można sobie wyobrazić, aby to było to samo wojsko. — Książę odpowiedział, że sam chce się tym sposobem naocznie przekonać. Po naocznem przekonaniu się przyznał, że jest to faktem nie do uwierzenia, iżby to byli ci sami ludzie. A zatem — powiedział do pułkownika — że z tego wypadku ma dopiero wyobrażenie o tym narodzie. W końcu dodał, że zostawia nam do woli używanie kar, ale z tą kondycją, aby to nie było tak jawnem. Przeto postanowiono, aby kaprale i podoficerowie mieli kije w lufach, aby te w razie potrzeby tylko wyjąć i zaraz schować. W ten sposób, tak pułkownik, jakoteż i książę, znowu się jak pierwiej przekonali, że bez tego lekarstwa choroba była nieuleczalną.

Kreśliłem wypadki, których byłem naocznym świadkiem, niech mi będzie wolno zrobić wzmiankę o zdarzeniach wojennych tej kampanii, które mam z relacji wiarygodnych świadków, tak moich towarzyszy broni tegoż pułku, jakoteż i braci moich, których miałem w tym pułku, a los wojny nas dzielił ¹⁾). Wracam więc do owego czasu, w którym

¹⁾ Zestawienie z pamiętnikiem Weyssenhofa przekonywa, że cały następny opis opartym jest na relacji brata autora, podpułkownika 12-go pułku.

— 165 —

byłem z pułkiem rozdzielony, to jest od zdobycia owego przedmostowego szanca w Górze, gdy udałem się do Torunia, nie mogąc towarzyszyć pułkowi pod Sandomierz. Jenerał Sokolnicki zbliżył się pod Sandomierz przed wieczorem 18 maja 1809, a zajmwszy korzystną pozycję, rozkazał dać ognia ku bateriom. Ten ogień był przedłużony do późnego wieczora. Równocześnie był atakowany i szaniec przedmostowy z drugiej strony Wisły, zakrywający most. Później korpus oblężniczy, uspokoiwszy się, oczekiwał rana. Za zbliżeniem dnia znowu rozpoczęto krótką blokadę, a później jenerał Sokolnicki objawił chęć posłania parlamentarza do Sandomierza. Marceł książę Lubomirski dowódzca batalionu 2-go pułku 12-go piechoty sam się z tem oświadcza, że jest gotów tę usługę zrobić. Gdy został do Sandomierza wpuszczonym, przybył do kwatery generała komenderującego. Nim dano odpowiedź, został książę Lubomirski na śniadaniu, w czasie którego zbliżyli się do niego adjutanci, oświadczając ze swej strony przychyłność dla Polaków. Odebrał w końcu od generała odpowiedź odmowną i wyprowadzono go, zawiązując mu według zwyczaju oczy chustką.

Komendant twierdzy odpisywał, że miasto podda wtedy, jak mu się chustka w kieszeni palić będzie. Oficer, który Lubomirskiemu oczy zawiązywał, tak chustkę wysoko zawiązał, że wspomniany szef batalionu dostatecznie wszystko mógł widzieć, gdy, wsadziwszy go na konia, wyprowadzono go. Prowadzono go przez bramę Opatowską, która była najmniej ufortyfikowana; snać dlatego, aby główny atak w ten punkt przypuszczono. Lubomirski z tą wiadomością powrócił do jenerała. Dowiedziawszy się, że atak do wieczora odłożony, prosił jenerała, aby powierzył jego batalionowi atakowanie bramy Opatowskiej, dlatego, że tę pozycję dobrze rozpoznał. Dodał: „niezawodnie będziemy jutro na śniadaniu w Sandomierzu”.

Za zbliżeniem się nocy, gdy już wszystko było gotowe

— 166 —

do szturm, Lubomirski prosił, aby do jego batalionu przyłączono kilku saperów dla wyjęcia palisad w fosie będących, które główną zapórę w tym punkcie tworzą. Gdy się zbliżył pod samą bramę, udał się naprzód z saperami i kompanią grenadyerów swego batalionu, komenderowaną przez kapitana Ptaczyńskiego. Reszta batalionu została w rezerwie. Spuścił się Lubomirski po prawej stronie bramy do fosy. Po wycięciu palisad wpada sam na lichy okop i, stanąwszy z pałaszem w rękę, zawołał na oddział, który tego punktu miał bronić: „Podдай się! złożь broń!” Cały oddział broń rzucił, ale Lubomirski, nie będąc asekurowany przez grenadyerów swojej kompanii, stał sam na okopie. Wtem dobosz austriacki, podniósłszy broń z ziemi, przyskoczył do Lubomirskiego, którego w pierś ugodził razem bagnetem i wystrzałem. Gdy ten z okopu wpadł w fosę, Ptaczyński nie dość, że nie asekurował swego dowódcy, ale nadto po jego spadnięciu do fosy opuścił to stanowisko. Oświadczone na drugi dzień przez parlamentarza, że jakiś oficer polski znaleziony przy Opatowskiej bramie jest zabity, co mylnie przed jenerałem powiedziano, że się dostał w niewolę. Tenże parlamentarz doniósł Sokolnickiemu, że jenerał Egermann przychyła się do kapitulacji Sandomierza, która nastąpiła w dniu 18-go maja ¹⁾). Po zajęciu Sandomierza pierwszym zatrudnieniem naszych było, aby przerobić i wzmocnić

niedołączne fortyfikacje. Przeto, na sposób francuski przerobiwszy stare a wzmocniwszy nowe baterie, bramę Opatowską najmocniej ufortyfikowano. Kościół św. Pawła, lubo wysunięty, obwarowano, a gdy to wszystko przysposobiono, wzięło się wojsko do musztry, a szczególnie do

¹⁾ Sołtyk powiada, że razem z Lubomirskim Polacy stracili do 100 ludzi. Białkowski w opisie zdobycia Sandomierza pomija działanie Różnieckiego i Sierawskiego, które spowodowały prędkie poddanie się twierdzy.

— 167 —

zrównania Galicyanów, jako ochotników, z wojskiem dawnym.

Gdy arcyksiążę Ferdynand opuścił Warszawę, zbliżył się pod Sandomierz w celu oblężenia. Był to czas upałów i wojsko potrzebowało kąpieli wiślanej, więc szef batalionu pułku 3-go, Kurcysz, chcąc dogodzić potrzebie swoich żołnierzy, a zarazem być w stanie obrony na wszelki wypadek, zaprowadziwszy swój batalion do tak zwanej Wiselki, czyli odnogi, upatrzył miejsce zakryte od strony nieprzyjaciela, nim rozpuścił batalion do wody. Postawiono bron w kozłach, na której kazał rozwiesić lederwerki,

z tem zastrzeżeniem, że skoro tylko uderzony będzie apel, czyli zbiór, aby wojsko jak najspieszniej wodę opuszczało. W tym razie polecił, aby nie zajmować się ubieraniem, ale jak najspieszniej brać na siebie patrontasze i broń w rękę. Po odebraniu takiego polecenia, żołnierze udali się do wody, sam tylko dowódca stanął w miejscu, z którego wszystko można było widzieć. Po upływie dobrej godziny widzi unoszący się tuman kurzawy od strony nieprzyjaciela, który w największym pędzie śpieszy w ów punkt nad Wisłę, tak, że ledwie wojsko zdążyło wziąć lederwerki i broń, już pięć szwadronów huzarów napadło. Kiedy spostrzegli, że znaleźli onych sankiulotów gotowych do obrony, zmieszawszy się, jednak szarżę przypuścili. Zostali przyjęci raptownym ogniem od wspomnianego batalionu, a do tego skierowano na nich ogień armatni z fortyfikacji sandomierskich, tak, że po znacznej stracie w rannych i zabitych, spieszenie odwrót zrobili. Nie można było odgadnąć, skąd nieprzyjaciel mógł widzieć w tak ukrytem miejscu kąpiący się ów batalion. Po zebraniu z placu rannych huzarów dowiedziano się, że ksiądz, tamtejszy proboszcz, kazawszy wywieźć swojemu parobkowi furę gnoju w dyrekcji ku nieprzyjacielowi, dał znać Austryakom, że jest pora zabrać ów kąpiący się batalion. Wskutek tego wzięto owego parobka, który się zaraz przyznał do winy, nic nie zamilczał, wskutek czego został rozstrzelany. Przed

— 168 —

śmiercią tylko, na placu egzekucyi wspomniął: „Schodzę ja z tego świata nie z własnej winy, ale stało się. Niech się spełni kara na mnie. Ksiądz, tamtejszy proboszcz był tego przyczyną”. Później ksiądz wydał się z Austryakami.

Przy rozpoczęciu ataku na Sandomierz arcyksiążę Ferdynand zapytał się otaczającego go sztabu, kto fortyfikował przed rozpoczęciem kampanii Sandomierz, a gdy odpowiedziano, że kapitan inżynierii Meciszewski (wówczas w służbie austriackiej będący), rozkazał przywołać do siebie tegoż i oświadczył, że, ponieważ zna położenie fortyfikacji, przeto oddaje mu do dyspozycji kolumny przeznaczone do szturm. Ostrzegł go zarazem, aby, gdzie są słabe fortyfikacje, użył w te punkta większej siły.

Po odebraniu wspomnianego polecenia Meciszewski przeznacza najmocniejszą siłę do bramy Opatowskiej, sądząc, że Polacy w takim stanie okopy zostawili. Ale przeciwnie się rzecz dzieje, bo nasi wszystko inaczej urządzili a tem bardziej wzmocnili, a szczególnie bramę Opatowską. Wieczorem, za daniem sygnału przez wystrzał armatni, działa nieprzyjacielskie, ustawione wcześniej w korzystnych punktach, wyrzuciły mnóstwo granatów na miasto, a to dla zapalenia różnych budowli i oświecenia przez to położenia Polaków. Tak się też i stało. Gdy zapalono w kilku miejscach domy, nieprzyjaciel podpojonny ruszył z największą zaciętością do ataku na wszystkie punkta, ale wszędzie został odparty. Przy ponowieniu częstych ataków, około godziny 12-tej zdobył nieprzyjaciel niektóre wysunięte szanse, jakoto baterie przy kościele pańien i inne. Po wdarciu się na tę linię łatwiej mu było z boku i przodu zdobywać pozostałe baterie jeszcze się broniące. Gdy po daremnem usiłowaniu nic już więcej zdobyć nie mógł, przedsięwziął przeważną siłą uderzyć na baterię przy kościele św. Pawła ¹⁾. Bateria ta była sama przez się silną, bo

¹⁾ Pozycyi tej, najbardziej wysuniętej, broniły 2 kompanie grenadyerów 12-go pułku pod dowództwem brata autora.

— 169 —

ją otaczał mur, który został wzmocniony okopaniem ziemi i w fosach palisadami opatrzone, tak, że ani z boku, ani z frontu zdobyć go nieprzyjaciel nie mógł. Usiłując go koniecznie zdobyć, przedsięwziął uderzyć od strony miasta, a po zbliżeniu się do owego wniścia (które było opatrzone mocnemi i z belów zrobionemi wrotami), przyparł z mocną kolumną do samych wrót. Oparłszy się o wspomniane wrota, wyłamać je usiłował. Przeto załoga, zebrawszy się w jeden punkt, dała ognia do szturmującej kolumny i zdołała ją odeprzeć. Chcąc przeszkodzić następny atakom, otworzyli Polacy wrota, a ustawivszy dwa oddziały po bokach wspomnianego wejścia, aby krzyżowym ogniem razić cisnącego się nieprzyjaciela, przy powtórny napadzie wiele mu trupa położono. Gdy nie zdołali Austriacy nic zrobić, wzięli się jeszcze na następujący sposób: Oficer austriacki (Polak w ich służbie będący) wchodzi z znacznym oddziałem do wejścia baterii, a zasłoniwszy sobie lewą ręką twarz, prawą podniósłszy z pałaszem do góry, odzywa się głosem donośnym: „Stój, nie strzelaj! jesteśmy wołyżerzy pułku 6-go“. Dowódca baterii poznawszy udanie fałszywe, zawołał: „A palże do tych wołyżerów!“ Gdy dano ognia krzyżowym sposobem, kładą Polacy trupem tegoż oficera i znaczną część oddziału, reszta ocala się ucieczką ¹⁾. Wtem odzywa się waleczny porucznik Sendek: „Żołnierze! dalej ze mną na ochotnika!“ Wybiegło za nim 30-tu żołnierzy. Sendek, zapuściwszy się za nieprzyjacielem za daleko, nie spostrzegł, że jego oddział pozostał w tyle, a nieprzyjaciel obokoczył wspomnianego oficera, proponując temuż poddanie się. Lecz on za odpowiedź daje odpór swoją augustynówką i otwiera sobie drogę, pokaleczywszy kilku. Odzywa się do swoich ochotników: „To wy tak za mną pospieszyli, że o mało co nie dostał się do niewoli? Otóż teraz wy pójdziecie naprzód, a ja zapewne za wami tak

¹⁾ W ten sam sposób opisuje fakt ten Weyssenhof.

— 170 —

daleko nie pozostanę". Ów oddział uderzył na kolumnę nowo zbliżającą się, która, przestraszona tym napadem, rozsypuje się, a Sendek bierze kilkunastu Austryaków do niewoli. Podobnie działo się i po innych bateriach. Najwięcej ucierpiała też załoga w baterii św. Pawła, która jedna tylko z pierwszej linii szanów utrzymała się. Atak był powtarzany kilkakrotnie. Wzmocniony siłę, bo była w końcu użyta cała siła piechoty, połączona pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda, zachęcona przez niego i Meciszewskiego, wywarło ogień na wszystkie punkta. Meciszewski, wyrodek Polaków, miał zaufanie u arcyksięcia Ferdynanda, a nie mógł dopiąć wzięcia szturmem Sandomierza. Gdy naszych jeńców widział zebranych pod Zawichostem, zbliżywszy się, najniegodziwsze miotał na Polaków obelgi, a w końcu pluł na nich, mówiąc, że warto wszystkich powiesić i t. p. Nie wyszło pół roku, wszedł w służbę polską i okrył się mundurem, który przed niedawnym czasem splamił.

Ogień ten przerzedził i nasze szeregi: kanonierów prawie wystrzelano, których później zastępowali oficerowie i żołnierze z piechoty, a na ich znowu miejsce używano w rezerwie będących ułanów, którzy lancami spychali włączającego na parapety nieprzyjaciela. Po tak zaciętej walce wypotrzebowano już ładunki armatnie. Przeto rozrywano z papierów ładunki karabinowe i nabijano działa tym prochem, kule zaś z ładunków służyły za kartacze i tym sposobem przedłużano obronę. Dzień położył koniec zaciętemu atakowi. Cała przestrzeń przed bateriami okryta została trupami nieprzyjaciela, który, skoro dzień nadszedł, ustąpił na znaczną odległość. Później przysłano parlamentarza ze strony Austryaków, proponując honorową kapitulację. Jenerał Sokolnicki, zatrzymawszy parlamentarza, starał się przekonać, czy można dalej się bronić, ale brak był amunicji armatniej, a i ładunków karabinowych, gdyż był zapas ładunków do broni ręcznej austriackiej znaczny, ale piechota polska miała wówczas broń pruską, której kaliber był daleko mniejszy od austriackiej,

— 171 —

przeto trzeba kule przelewać i stosowne ładunki robić.

Arcyksiążę Ferdynand krótki tylko czas zostawił do namysłu, przeto jenerał Sokolnicki, zebrawszy radę wojenną dnia 17 czerwca 1809, postanowił zawrzeć kapitulację pod tymi warunkami, że załoga sandomierska wyjdzie z bronią i armatami, jeńcy wojenni natychmiast zostaną wymienieni, nieprzyjaciel dostarczy potrzebnych podwód pod rannych i koni pod działa i wozy amunicyjne, że załoga wypuszczona pozostanie korpusem neutralnym aż do przejścia Pilicy, że w ciągu marszu ma być dostarczona

żywność, w końcu, że Austriacy wezmą w opiekę pozostałych ciężiej rannych wojowników w Sandomierzu. Wszystkie powyższe punkta warunkowe zostały przyjęte i podpisano kapitulację. Po podpisaniu też otworzono bramy. Weszło tylko do Sandomierza trzy kompanie piechoty austriackiej, która udała się wprost do zamku i takowy otoczyła, nie wchodząc w żadne odbiory baterii, ani dział ciężkich fortecznych. Załoga polska, wyszedłszy z Sandomierza, udała się ku Pilicy do Konar, wioski za tą rzeką leżącej ¹⁾. Przez ciąg wspomnianego marszu Austriacy dostarczali wszystkiego, podług warunków kapitulacji, otoczywszy tylko oddział Sokolnickiego w znacznej odległości flankierami z huzarów ²⁾. Po przejściu Pilicy i przemarszerowaniu pod Konary, wyruszyli Polacy dnia następnego znowu naprzód i połączyli się wkrótce pod Puławami z korpusem księcia Poniatowskiego ³⁾.

Nie będę opisywał dalszego przebiegu kampanii i przystępuję wprost do historii zajęcia Krakowa. Nastąpiło

¹⁾ Konary, wieś leżąca na lewym brzegu Wisły, trzy wiorsty poniżej wejścia do niej Pilicy.

²⁾ Polskie wojsko było konwojowane przez jeden szwadron austriacki na mocy trzeciego artykułu kapitulacji.

³⁾ Wojsko Sokolnickiego połączyło się z księciem Poniatowskim w Zwoleniu 3-go lipca.

— 172 —

ono na skutek kapitulacji, zawartej przez jen. Mohr i Mondet z Różnieckim w dniu 14-go lipca.

Wskutek tej kapitulacji wyruszyło wojsko polskie, stojące pod Prądnikiem, w tym dniu o godz. 8-mej z rana dla zajęcia starej stolicy królów polskich. Na czele kolumny, wchodzącej bramą Floryańską, wchodził jenerał Różniecki, a na czele kolumny, wchodzącej bramą Sławkowską, pułkownik Kurnatowski. Gdy wojsko polskie wchodziło w bramę Floryańską, zastało już w tejże bramie oddział kozaków rosyjskich, których oficer oświadczył, że bez pozwolenia swego jenerała, Siewersa, do miasta nikogo puścić nie może ¹⁾. Po krótkiej sprzeczce jenerał Różniecki uważał to za niezrozumienie rozkazów jenerała Siewersa, Zniecierpliwieni żołnierze pułku 2-go ułanów, natłoczywszy swymi końmi wspomnianych kozaków, otwór w bramie zrobili. Spóźniwszy się, jenerał Siewers widział, że Polacy już ulicę Floryańską napełnili. Wziąwszy kozaków, udał się z nimi śpiesznie do bramy Sławkowskiej, chcąc tamtej kompanii przeszkodzić wejście, ale było już zapóźno, bo jednocześnie Polacy bramę przechodzili. Nie pozostawało mu nic więcej, tylko zająć bramę Grodzką, którą jazda polska na Kazimierz przechodzić miała. Tam, zatarasowawszy bramę, jazdy przepuścić nie chciał. Jednakowoż obecność jenerała rosyjskiego dała powód wojsku polskiemu, że gwałtownie przez szeregi rosyjskie przedrzeć się nie chciało. Gdy się zapytali mieszkańców tamecznych, którądy by można przejść na Stradom, a następnie na Kazimierz, wskazano im uboczne ulice, które, obszedłszy bramę Grodzką, udali się na przeznaczone miejsce do mostu na Wiśle ²⁾. Przy wejściu tryumfalnym

¹⁾ Przednia straż polska pod dowództwem Różnieckiego weszła przemocą o godzinie 6-tej przez bramę Floryańską. Brygadzie Sokolnickiego, idącej później o g. 7-mej przez bramę Sławkowską, nie stawiano oporu.

²⁾ Jazda Różnieckiego przeszła w ten sposób, ale książę Józef musiał sobie przemocą zdobyć przejście w ulicę Grodzką, gdyż zastąpili mu drogę huzarzy rosyjscy. Podobnie piechota Blumera przejść musiała z nastawionymi bagnietami.

— 173 —

do stolicy królów swoich, ulice, przez które wojsko przechodziło były przybrane, w oknach domów było wiele dam, które laury i wieńce na wojsko przechodzące rzucały przy radosnych okrzykach: „Niech żyje Napoleon, zbawca narodu polskiego i t. d.“ Wojsko, wszedłszy w Rynek, sformowało się w ściśnione kolumny, a gdy wszystko było już na swoim miejscu, książę Poniatowski w krótkiej przemowie powiedział, jak jest chlubą dla nas wstępować w ślady przodków naszych w odzyskaniu stolicy, którą zdobą groby naszych królów. Potem nastąpiły okrzyki, jak wyżej. — Rozkazał książę, aby wojsko przeciągało w paradzie. Potem sformowało się wojsko znowu w kolumny ściśnięte naprzeciw odwachu, który zajęty był przez oddział strzelców rosyjskich. Przeto książę rozkazał uderzyć doboszem wszystkich pułków sygnał, poczem zgromadzili się wszyscy oficerowie przed środek, dla odebrania rozkazów, które książę w następujący sposób ogłosił: Na garnizon w Krakowie zostanie pułk 8-my piechoty, w nagrodę bitwy Raszyńskiej; pułk 1-szy piechoty zajmie w mieście warty, reszta wojsk uda się do obozu pod Prądnik.

Gdy już warta pułku 1-go piechoty gotowa była do zajęcia miejsc, rozkazał książę oddziałowi przeznaczonemu na główny odwach, zaciągnąć się przy towarzyszeniu muzyki. Gdy oddział grenadyerów naszych, którymi kierował porucznik od grenadyerów, zbliżył się do oficera rosyjskiego, ten oświadczył, że nie ustąpi z miejsca, bo takie ma polecenie od swego generała Sieversa. Książę Józef staje na koniu przed odwachem, otoczony licznym sztabem, zbliża się sam do tegoż oficera i niby przedstawiając temuż mowi: „Dlaczego Pan nie chcesz ustąpić, wszakże ja chcę dla was dobrze zrobić, abyście sobie odpoczęli, bo wiem, żeście tej nocy około 10 mil drogi zrobili.” Kiedy ta perswazyja skutku nie odniosła, książę,

— 174 —

obróciwszy się do swoich grenadyerów, daje znak łokciem, aby podobnie i oni uczynili, dodając: „No, grenadyerzy, posuńcie się trochę ku odwachowi!” Żołnierze zrozumieli księcia i wyparli, posuwając się naprzód, Rosyan tak, że ich warta zobaczyła się za baryerami odwachu ¹⁾. Gdy się to dzieje, zawiadamiają księcia, że generał Sievers idzie od ulicy Grodzkiej, zmierzając ku księciu. Książę spiąwszy konia ostrogami, poskoczył ku niemu, a przy starciu się prawie z nim, odzywa się: „Czy Wpan jesteś pod moją komendą, czyli ja pod Wpana?” Sievers, salutując księciu pałaszem i schyliwszy głowę, odpowiada z wszelką uległością: „Ja pod W. X. M. komendą. Słucham rozkazów W. X. M.” „Co to Wpan dokazujesz z kozakami? Będzie o tem wkrótce wiedział Najjaśniejszy cesarz Aleksander”. Sievers znowu powtórzył: „Słucham rozkazów W. X. M.” Książę znowu zapytuje się: „Dlaczego Wpan zajął Kraków przed czasem oznaczonym kapitulacją?” Na to Sievers odpowiada: „Uczyniłem to dla porządku”. Wkońcu książę odzywa się: „Natychmiast wojsko rosyjskie, które zajmuje warty, niech uda się na kwatery i odpocznie po tak wielkiej drodze” (mówiono, że każdy żołnierz rosyjski który tej nocy podążył do Krakowa, otrzymał po rublu srebrnym ²⁾). Kołowali oni poza Wisłą prawie 10 mil jednej nocy, aby uprzedzić Polaków). „Dzisiaj wojsko polskie zajmie warty, od jutra zaś dawać będziemy warty wspólne”. Sievers nieledwie za każdym słowem powtarza: „Słucham W. X. M.” — nachylając głowę. — A tak od tego czasu

¹⁾ Weyssenhoff inaczej opisuje ten wypadek. Według niego na rozkaz Wł. Potockiego i Krukowieckiego, grenadyerzy 2-go pułku wcisnęli się między odwach i wartę rosyjską, dzięki czemu ta ostatnia odwach opuściła. Zajęcie odwachu głównego oznacza zajęcie miasta.

²⁾ Oddziały rosyjskie sprowadzano na gwałt furmankami z Tarnowa i Radomyśla. Autor nasz podał opis sceny z Sieversem podług kursujących pogłosek. W rzeczywistości jen. Sievers nie był tylko w stanie odeprzeć czynionych mu przez ks. Józefa zarzutów.

— 175 —

warty były składane z obu wojsk, z tą różnicą, że jednego wojska warta była w jednym a drugiego w drugim miejscu ¹⁾.

Po ogłoszeniu zawieszenia broni, książę Poniatowski postanowił posłać raport o całej kampanii do cesarza Napoleona, do przewiezienia którego posłany był pułkownik Kamiński, adjutant księcia Poniatowskiego ²⁾. W raporcie tym wyłuszczone zostało, ile zdobyto armat, twierdz, ilu wzięto jeńców wojennych (przeszło 17,000) i do tego dołączony był plan wszystkich czynności.

Gdy Kamiński przybył do Schönbrunn, kwatery wówczas cesarskiej, zameldowano cesarzowi, że przybył kurier polski. Był wtedy obecnym Berthier, nieprzyjaciół główny Polaków. Tenże odzywa się do cesarza: „Najjaśniejszy Pan zna dobrze Polaków; są to zawsze awanturnicy. Chcieli o mierzyć się zapewne z korpusem austriackim, który, jak mam wiadomości, składał się z 60.000 wojska; zapewne ich zgnetli. Im trzeba się było pochować po fortcach i czekać okazji zwycięstwa naszego. Teraz zapewne piszczeć będą, aby im dać broni, amunicji i pieniędzy. Ale ktoż im winien? Sami sobie tego narobili”. Cesarz po odebraniu takowego przedstawienia powiedział: „Trudno, trzeba im dopomódz, wszakże oni są moi sprzymierzeńcy. Niech ten kurier przyjdzie!” Gdy Kamiński wszedł, pyta cesarz niecierpliwie: „W jakim jesteście położeniu?” Kamiński odpowiedział, że w dobrem. „Mamy zdobyte twierdze,

¹⁾ W opowiadaniu Białkowskiego zmniejsza się do rozmiaru awantury wojkowej sprawa zatargu o Kraków. Był to jednak jeden z poważnych wyników dwuznacznej polityki Rosyi, w r. 1809, pozostającej faktycznie, mimo przymierze z Francją, w porozumieniu z Austrią. Zatarg krakowski, jak stwierdza dzisiejszy historyk rosyjski, o mało nie doprowadził do przelewu krwi.

²⁾ Książę Józef nie wysyłał w tym czasie raportu o całej kampanii, bo poprzednio wysyłał szczegółowe. Relacja o misji Kamińskiego, w szczegółach może mylna, zawiera dość trafną charakterystykę ogólną: zdziwienie Napoleona i niechęć Berthiera.

— 176 —

działa, jeńców wojennych 17.000, forpoczty pod Krakowem”. Gdy cesarz otworzył raport i z niego się o rzeczywistości dowiedział, wziął za rękę Kamińskiego, obrócił go ku Berthierowi i powiedział: „Powtórz Wpan marszałkowi to, coś do mnie mówił”. Kamiński z początku sądził, że to jest tylko powiedziane żartem. Wtedy cesarz silnie odezwał się: „Ja Wpanu rozkazuję, abyś do joty wszystko powtórzył”. Gdy Kamiński to uczynił, uważał, że Berthiera mocno to zastanowiło i razem zawstydziło. Cesarz odezwał się w głos: „To są moje dzieci kochane, to są moi najwierniejsi sprzymierzeńcy”. Wskutek tego ozdobił zaraz krzyżem legii honorowej Kamińskiego, przez którego posłał dla księcia Poniatowskiego order wielki wstęgi legii honorowej. Niemniej znaczną liczbę tychże krzyżów do rozdania zasłużonym w tej kampanii. Po przyjrzeniu się mapie jak daleko forpoczty polskie zajmowały, cesarz powiedział: „Jaka szkoda, że ja o tem prędzej nie wiedziałem. Byłyby wojska polskie z francuskimi ręce sobie podały w Morawii; wszakże nie było przedziału większego nad 10 mil”. Relację tą słyszałem z ust samego pułkownika Kamińskiego, adjutanta księcia.

Wskutek zejść przy zajęciu Krakowa, między obu wojskami okupacyjnymi zawiązała się największa nienawiść i niezgoda. Żaden prawie dzień nie przeszedł bez rozlewu krwi przez pojedynki, które się stały prawie powszechnymi ¹⁾. Jednego pojedynku byłem naocznym świadkiem. Przy obiedzie w oberży poróżnili się z sobą major od dragonów rosyjskich z porucznikiem pułku 1-go

¹⁾ Już na trzeci dzień pobytu sprzymierzonych w Krakowie to jest 17 (5) lipca książę Galicyn, głównodowodzący rosyjskimi siłami, pisał do cara: „Bezczelność warszawskich wojsk przechodzi granice... Wspólna nienawiść panuje nie tylko między oficerami, ale nawet między żołnierzami obydwóch armii”. Weyssenhoff pisze: „Wojsko nasze, obrażone podstępem, wrzało całe, ale konsyderacje polityczne kazały stłumić ten zapal”. —

Przykład pojedynkom dał jen. Fiszer, wyzywając Sieversą.

— 177 —

piechoty Dłuskim, sławnym rębaczem. Miejsce pojedynku zostało oznaczone za klasztorem Kapucyńskim w Krakowie. Ponieważ była nierówność sił fizycznych i broni, gdyż major był wzrostu wysokiego i do tego miał pałasz ciężkiej kawalerii, zaś Dłuski wzrostu niskiego i do tego augustynoweczka, jakby jaki nożyk (inną szablą pojedynkować się nie chciał), sprowadziło to wielu ciekawych na tę rozprawę. Gdy przyszło do sprawdzenia obrazy, o którą odbywać się miał pojedynek, major w żaden sposób nie chciał pozwolić na pojednanie, ile że widział swoją przewagę widoczną. Na propozycję wyboru broni obydwaj jednogłośnie zezwolili na pałasze. Każdy z osobna liczył na własne korzyści. Gdy już przystąpiono do rozprawy, major urągał prawie ze swego przeciwnika; uśmiechał się szyderczo, sądząc, że jak kapustę głowę Dłuskiemu rozpląta. Dłuski zaś, ufając w swoją zręczność, także uśmiecha się, zniecierpliwiony, chcąc się jak najprędzej spotkać. Gdy się do siebie zbliżyli, major, jak kat, dominujący nad Dłuskim, ten zaś, lubo mały, jeszcze się przechyla do ziemi, aby zręcznie tamtego uwięzić. Rozpoczyna bój. Major chciał z góry rąbnąć przeciwnika, Dłuski podsunął prawie swój pałasz pod brodę tamtemu. Gdy major sądził, że Dłuski zastawieniem się pałasza nie wstrzyma jego cięcia i ciął, Dłuski umknął swego pałasza, a majora pałasz poszedł do ziemi. Wtedy Dłuski na odlew pomknął

swoim nożykiem i sięgnął po dłoni majora, tak, że krew zaraz chlusnęła. Major, zawstydzony, nie bardzo chciał nawet przyjąć opatrzenia, ale sekundanci, chcąc korzystać z tego, że może im się uda pogodzić ich, starali się, aby ranę majorowi opatrzone. Gdy się to dzieje, Dłuski utkwiał swój pałasz w ziemię, oznaczając metę na dowód, że pojedynek zawieszony, co niemniej i major uczynił. Gdy skończyli opatrzenie rany majora, Dłuski obrócił się do swoich i rozmawiał zapewne o nowym zwycięstwie, którego był pewnym. Major zaś, korzystając po opatrzeniu rany z obrócenia się przeciwnika, porywa z ziemi swój

— 178 —

pałasz i chciał bezbronnego w głowę z tyłu płątnąć, co sekundanci spostrzegłszy, wstrzymali zdradziecki cios, zasłaniając głowę Dłuskiego. Ten, spostrzegłszy takową zdradę, dosięga swojej augustynoweczki i za pierwszym spotkaniem sięga majorowi w czoło. Major, odebrawszy cios, gdy mu krew oczy zalewa, nie śmie już prosić o pardon, ale, zwróciwszy się, z placu ucieka. Dłuski, jak był małego wzrostu, przytem zwinny, lekki i zręczny, podskoczywszy do góry, sięga majora uciekającego w głowę. Lubo dragoniński hełm majora zasłaniał, przecież cios, jaki augustynoweczką odebrał, był nie do wyleczenia, bo w kilka dni życie zakończył. Nienawiść między wojskami istniała nie tylko między oficerami, ale rozciągała się i do niższych stopni. Gdy bowiem warty były wspólne, przeto i pojedyncze sztydłwuchy wówczas były podwójne. Gdy zbliżył się oficer, któremu należało oddać przynależne jego stopniowi honory, żołnierz, z którego wojska był oficer, wypełniał ten obowiązek, żołnierz zaś z drugiego wojska udawał, że oficera obcego nie widział, odwracał się, aby nie oddać honorów. Ten stan rzeczy trwał czas niejaki. Gdy powołano księcia Galicya do Petersburga i oddano komendę Suwarowowi, człowiekowi utalentowanemu, pełnemu słodczy i grzeczności, tenże chciał położyć koniec nienawiści między obu wojskami sprzymierzonymi. Poleciał najsurowiej, aby wszelkie nieporozumienia ustały. Od tego sam zaczął, że przeniósł swoje mieszkanie do domu „Krzysztoforami” zwanego, w którym już mieszkał książę Poniatowski. Tak obaj wodzowie składali jedno nierozdzielne mieszkanie¹⁾. Powtóre, gdy pewnego razu książę Poniatowski wyjeżdżał do Wieliczki konno, otoczony licznym sztabem i przejeżdżał koło warty rosyjskiej, która była koło kościoła Panny Maryi i ta wcale nie wystąpiła dla oddania należnych honorów księciu, dostrzegłszy to

¹⁾ Książę Józef mieszkał w Krzysztoforach, a ks. Suwarow w pałacu Spiskim.

— 179 —

z okna książę Suwarow, wybiega w tym momencie do owej warty, a sprawdziwszy przyczynę tego uchybienia, publicznie i to natychmiast ukarał oficera przykładnie. W końcu porozumieli się wodzowie między sobą i postanowili odbywać rewie przez połączenie obu wojsk.

Gdy doszła wiadomość o zawieszeniu broni między wojskami francuskimi a austriackimi, pozostawszy książę Poniatowski w Krakowie, prowadził ton monarchiczny prawie. Sformował oddział tak zwanych Gidów czyli gwardii przybocznej, która składała się z pierwszej młodzieży Galicyi. Każdy z nich, lubo w tym składzie formował żołnierza szeregowego, zapewniony miał sobie na później stopień oficerski. Oprócz warty honorowej przez oficera komenderowanej z każdego pułku, tak piechoty, jako też i jazdy komenderowany był oficer ordynansowy, tak, że liczna służba wyżej wspomniana, niemniej sztabsoficery służby garnizonowej, wszyscy raz na zawsze siadali do stołu. — Liczba takowych wraz z zapraszany przejeżdżającymi za różnymi interesami do księcia składała stół najmniej ze stu osób codziennie. W dni galowe i inne uroczystości progresy była daleko większa. Wspomniany obiad był o godzinie czwartej i trwał najmniej do godziny szóstej. Po skończonym obiedzie rozdawano wszystkim służbowym bilety bezpłatne do teatru na parter. Po scenie powracało wszystko znowu do salonu i tam roznoszono poncz i ciasta. Obowiązkiem każdego służbowego było nocować w mieszkaniu księcia, w pokojach na ten cel przeznaczonych. Z rana znowu dla wspomnianych służbowych roznoszono kawę, a przed samym obiadem dawano śniadanie z kilku potraw i potrzebnych trunków złożone.

Gdy nadszedł dzień 15. sierpnia, jako rocznica urodzin zbawcy Polaków, ogłoszonym był programat tej uroczystości. Ogłuszający przed wschodem słońca dnia tego huk dział i dzwonów zwiastował zaczęcie dnia pamiętnego. Około południa wojsko wystąpiło na paradę, w czasie której rozdano zasłużonym w tej kampanii orderzy krzyża

— 180 —

wojskowego polskiego i legii honorowej. Później udano się do świątyni pańskiej dla połączenia i wzniesienia modłów do Przedwiecznego za pomyślność wskrzesiciela Polaków. Po skończonym nabożeństwie przedelfilowało wojsko; każdy oddział powtarzał: „Niech żyje cesarz Napoleon!” Po parady był wielki obiad u księcia Poniatowskiego.

Przy zachodzie słońca była znowu ogłoszona salwa z dział i dzwonów, jako zakończenie dnia pamiętnego. Teatr był bezpłatny¹⁾, na którym przy zakończeniu sceny ukazała się przezrocza cyfra Napoleona i stosowna do tego przez artystów wykonana kantata, która, ile pamiętam, była następująca:

I. „Święto wielkiego imienia dzisiaj obchodzi pół świata; sto ludów głosi uwielbienie, lecz najzyczliwiej Sarmata. Od tego związku zawisło całe przyszłości życie, ażeby ludu nad Wisłą powstało uszczęśliwienie”. — II. Bóg spojrzal na nas łaskawie, droga nadzieja wdrożona: gdyśmy konali prawie, żyjem przez Napoleona. — III. Święte królów naszych groby, drogie Krakowa

klejnoty, w nowe przybrane ozdoby, bo je zdobi orzeł złoty. Piorunem niebieskim włada, a ta potężna opieka z tryumfem nam zapowiada: Chwila szczęścia niedaleka”.

Wieczorem było miasto oświetlone. Gęsto jaśniały światła po wielu domach, tak rządowych, jako też i prywatnych. Bal w Sukiennicach, trwający do późna w nocy, zakończył dnia tego uroczystość.

W takim składzie zostały rzeczy do dnia 20-go września, to jest do zawartego zawieszenia broni między wojskami francuzkami a austriackimi. Traktat pokoju między Austrią i Francją nastąpił 14-go października 1809 roku.

¹⁾ Dowodzący wojskami rosyjskimi książę Galicyn był bardzo niekontent z kurtyny w teatrze „z wyobrażeniem wschodzącego słońca, przyczem z mogiły oświeconej jego promieniami wstawał król Polski, a narysowane z podpisami rzeki Dniepr i Dźwina oznaczały granice Polski”.

— 181 —

Wskutek tego wojsko polskie rozeszło się po przeznaczonych dla siebie miejscach.

W pierwszych dniach grudnia wyruszyło wojsko dotąd stojące w Krakowie. Zostawiono tylko na garnizon zimowy pułk 12-ty piechoty, 15-ty piechoty i 3-ci ułanów. Reszta zaś udała się do Warszawy. W dniu 18-go grudnia wchodziło toż wojsko przez bramę tryumfalną, na ten cel wystawioną przez miasto Warszawę ¹⁾. Ofiary, jakie złożyły Galicje do Księstwa Warszawskiego przydzielone wynosiły przeszło 90 milionów złotych, które książę Poniatowski do rąk swoich przyjął. Gdy później przez Radę Stanu był zapytany, gdzie takowe fundusze wydano, książę Poniatowski dał odpowiedź, że pobyt jego w Krakowie i wystawa odpowiednia wówczas te fundusze pochłonęły. W koncu dodał, że część zaprzęgów dla artylerii nowo fundowanej z tego funduszu została sprawioną ²⁾. Nadszedł rok 1810-ty, w którym w dniu 7-go maja przybył Najjaśniejszy Fryderyk August, król saski i wielki

książę warszawski do Krakowa, a to raz dla zwiedzenia starożytnej stolicy przodków swoich, jakoteż dla odkrycia kopalni w okolicach Krakowa. Gdy nadszedł ów dzień dla Krakowian drogi, że mogli oglądać w swych murach ukochanego ojca narodu, władze cywilne i wojskowe oczekiwały pod Prądnikiem na monarchę, a cechy z chorągwiami czekały pod miastem. Wojsko zaś, zaczawszy od mieszkania przygotowanego dla monarchy w pałacu „pod Baranami” przez Rynek, ulicę Floryańską, przedmieście zwane

¹⁾ Tryumfalne wejście wojska polskiego do Warszawy odbyło się dnia 18-go listopada 1809 r. Istnieje sztych współczesny, przedstawiający tę bramę.

²⁾ Pułkownik Białkowski jest tu wyraźnie niesprawiedliwym. Istnieją po dziś dzień w papierach Rządu Centralnego Galicyjskiego szczegółowe wykazy kwot wydanych na wojsko. Rachunek z nich musiał zdać książę Józef. Tem nie mniej ten ustęp pamiątnika jest charakterystycznym przykładem tego, co mówiono wówczas o księciu Józefie w kołach jego przeciwników.

— 182 —

Kleparz, aż daleko przed miastem formowało szpaler, którym Najjaśniejszy Pan w sześciokonnej otwartej karecie z dostojną małżonką, jak niemniej infantką, wjeżdżał, w asystencji naczelnego wodza, księcia Poniatowskiego, władz wojskowych i cywilnych, jak niemniej liczego sztabu. Tego wieczora miasto było iluminowane. Dnia 8-go maja, jako w uroczystość św. Stanisława, biskupa krakowskiego, wojsko uformowało szpaler od mieszkania Naj. Pana aż do wejścia kościoła katedralnego na zamku i przez ten szpaler Naj. Pan z rodziną na nabożeństwo solenne do zamku przejeżdżał sześciokonną otwartą kareta. Karete poprzedzali laufry w ubiorach paradnych. Po nabożeństwie były pokoje, a wieczorem iluminacja i bal w Sukiennicach.

Dodać należy, że na wierzchołku ratuszowej wieży w Krakowie był umieszczony orzeł polski biały, na nim obszerna korona polska, która go otaczała wokoło. Gdy ta część Polski została zajęta przez Austriaków, rząd ówczesny, nie mogąc znieść widoku orla polskiego, ogłosił, że ten, który tegoż orla zaciągał, lub kto inny, za zdjęcie orla otrzyma znaczną nagrodę. Żył wprawdzie jeszcze ów, który, będąc w wieku młodym, tego orla zaciągał, ale później przed rządem austriackim się tłumaczył, że, pochyłony wiekiem, podjąć się zdjęcia orla nie może, tem bardziej, że kto inny tego się nie podjął. Było mniemanie, że tam już nigdy żaden człowiek nie postoi. Tymczasem w czasie rozpalonej iluminacji dnia tego z wielkiem zadziwieniem spostrzeżono, że cała obfitość korony, jak również i sam orzeł rzęśisto oświetloni byli, co sprawiło narodowi wielkie podziwienie i radość. Sprawcą owego oświetlenia zapewne był ów starzec, który na usilne propozycje Austriaków nie zgodził się, ale tym razem podziękowań nie przyjmował, wymawiając się przez skromność, że on tego nie uczynił. Do iluminacji dnia tego należy wielki transparent na facyatach domów naprzeciwległych królewskiego mieszkania. Wyobrażał wizerunki NN. Familii królewskiej, rzęśisto oświetlone. Niemniej

— 183 —

prawie po wszystkich domach, tak rządowych, jako też i prywatnych, widać można było stosowne do tego przezrocza. Starozakonni nawet urządzili na Kaźmierzu bramą tryumfalną, na której umieszczoną była muzyka wokalna i instrumentalna w ubiorach tureckich, która wykonywała hymny w języku hebrajskim na cześć przybycia N. Pana. Niemniej na tejże bramie były napisy i hieroglify w tymże języku. N. Pan objeżdżał tego wieczora całe miasto i w każdym zakątku był witany radosnymi okrzykami, co miało miejsce i w żydowskim mieście.

Dnia następnego t. j. 9-go maja N. Pan zwiedził saliny wielickie. Nasz rząd nie szczędził wydatków na uprzyjemnienie dla swego monarchy. Jednakowoż rząd austriacki (do którego należał w połowie dochód z salin i w połowie też administracja była urządzona, jak nie mniej w połowie składała garnizon załoga obu narodów), dowiedziawszy się o tych odwiedzinach salin przez tak dostojnych gości, przeznaczył 20000 reńskich na potrzebne upiększenie i ozdobę salin. Dla większej okazałości i porządku posłano część wojska naszego do salin. Gdy N. Pan przybył przed saliny, pokazano nasamprzód królowi szyb, przez który się wszystko zapomocą windy spuszcza i wyciąga. W obecności króla spuszczonego konia do szybu, a stamtąd innego wyciągnięto; później sól w bałwanach i beczkach windowano. Wkońcu udał się N. Pan schodami w soli wykutymi w głąb salin, które ozdobione były lampami i gałęziami, (woda, będąca w salinach ma tę własność, że włożona w nią gałąź, chociaż i z liśćmi, przez dobę przybierze nasienie soli kryształowej na pół cala grubości i formuje ta krystalizacja jakby omarzoną powłokę drzewa, a przy oświetleniu, wśród ciemności, czarujący widok przedstawia) które, ustawione w osadzonych wazonach, formowały szpaler

oświetlony. Później wyłamywano z ścian solnych, na ten cel przeznaczonych, bałwany i te małymi workami do szybu odwożono; później pokazano podpory z szychtów drzewa ułożone, które już w części w sól zamienione zostały.

— 184 —

Następnie zaprowadzono króla do strumienia wody i stawu, gdzie urządzonym był ozdobnie bat, na którym N. rodzina usiadła i wzięną była po owej wodzie przy towarzyszeniu muzyki z samych tręb i waltorni złożonej, a tysięcznym odbiciem echo odpowiadało. — Później z soli skalistej, która jeszcze nie była używaną, sformowane były piętrzenia solne w kształcie skał i urwisk wystających, po których chłopcy, ubrane po tyrolsku, z pochodniami w ręku przebiegali i wśród ciemności różne skoki, wolty i śpiewy na sposób tyrolski wykonywali. Następnie udał się N. Pan do kaplicy w soli wykutej, która była rześisto oświetlona, w której ołtarz, a w tym Pan Jezus ukrzyżowany, z soli najdoskonalej, niemniej jak ambona, wykute były. W tejże kaplicy umieszczony stał posąg króla Jana Sobieskiego naturalnej wielkości, z soli kryształowej. Mówiono, że ta statua była w Warszawie, ale na różne zmiany powietrza wystawiona, topnieć zaczęła. Przeto dla uniknięcia zepsucia postanowiono ją do salin odesłać. Nakoniec udał się N. Pan do sali w soli wykutej, która była dość obszerna i w niej balkon czyli chór na kolumnie wsparty, na którym muzyka wojskowa wykonywała różne sztuki. N. Pan przyjął przygotowane śniadanie. Tak N. Pan, jakoteż wszyscy generałowie, mieli na sobie domina czyli bluzy materyalne dla osłonięcia niemi orderów i ozdób, gdyż wszystkie metale w salinach czernieją. Po obejrzeniu wspomnianych salin znowu udał się N. Pan na powierzchnię ziemi schodami, a przy wyjściu ofiarowano różne wyroby z soli kryształowej N. Państwu, za które wyrobnicy hojnie przez Monarchę wynagrodzeni zostali.

Następnego dnia, t. j. 10-go maja po nabożeństwie opuścił N. Pan Kraków, udając się do Olkusza¹⁾ dla otwarcia tam zalanego dotąd wodą szybu. Olkuszanie mają od dawnych królów przywileje, że ktokolwiek z królów chciałby odkryć kopalnię srebra, winien jest czystym zyskiem dzielić

¹⁾ Król wyjechał z Krakowa dnia 12-go maja.

— 185 —

się z nimi przez połowę. Król saski proponował wspomnianym pół czystego zysku, a gdy nie chcieli na to zezwolić, obliczono wydatki, jakieby trzeba było ponieść dla wyciągnięcia wody i robienia kanałów wody. Pokazało się, że rządowi tylko stratę by przyniosło, przeto zaniechano wspomnianego projektu.

Rok 1810 kończył się spokojnie, nadszedł też i rok 1811. W dzień Nowego Roku udaliśmy się korpusami dla złożenia życzeń, tak naszym dowódczom, jak niemniej wyższym władcom krajowym. Gdy z kolei szliśmy z wizytą do generała artylerii Pelletier, spostrzegliśmy idącego naprzeciw nas człowieka we fraku szaraczkowym i takich pantalionach, mającego w dziurce przy guziku zaciągniętą wstążkę od krzyża legii honorowej. Przy niej, zamiast krzyża albo stosownej sprzążki, zaciągniętą była sprzążka stalowa, jakiej zwyczajnie używano wówczas do spodni krótkich. Ta niestosowność uderzyła w oczy naszego pułkownika Weyssenhoffa, który, wspomnianego człowieka zatrzymawszy, zapytuje, kto on jest. Ten odpowiada obcym językiem, mówiąc, że jest oficerem francuskim, powracającym z niewoli austriackiej. Po rozmowie z tym uważał pułkownik niejaki wahanie się jego i do tego spostrzegł, że źle mówi po francusku. Zapytuje się go o nazwisko. Odpowiedział: „Nazywam się Durant, jestem porucznikiem artylerii konnej francuskiej”. Pułkownik znowu robi mu uwagę, że może jest rodem z jakiej prowincji nadreńskiej niemieckiej i może lepiej mówi po niemiecku. Ten znowu odpowiada, że mówi po niemiecku, ale jest rodowitym Francuzem. I w niemieckim języku nie był doskonałym, jak pułkownik zauważył. Obraca się więc Weyssenhoff do generała z nami idącego i proponuje, aby mniemanego oficera francuskiego wziąć z sobą do generała Pelletier, jako Francuza, aby tę rzecz rozstrzygnął. Przyszliśmy do wspomnianego generała. Po zwykłym złożeniu życzeń Nowego Roku odzywa się wkońcu pułkownik: „Spotkaliśmy oto tego człowieka, który mieni się być oficerem francuskim

— 186 —

a podług mnie źle mówi tym językiem, mam więc o nim złą opinię, czyli podejrzenie”. Usłyszawszy to Durant, z największym oburzeniem odzywa się, że za takie podejrzenie żąda od pułkownika satysfakcji honorowej. Pułkownik prosi generała Pelletier, aby, dopóki się rzecz nie wyjaśni, Durant był przytrzymany w areszcie i aby krzyż legii honorowej mu zdjąć aż do udowodnienia, że jest oficerem francuskim, a wówczas on da mu żadaną satysfakcję. Generał Pelletier odpowiedział, że, ponieważ sam jest Francuzem, przeto wypada mu protegować rodaka swego, ale obok tego, widząc rzeczy zawikłane, zmuszonym jest oddać pod straż Duranta, a jako oficera umieszcza go na głównym odwachu w stancyi oficerskiej, przyrzekając mu wszelkie wygody życia ze strony swojej. Po ścisłym zbadaniu Duranta, który zeznał, że w czasie ostatniej kampanii służył w korpusie marszałka Davouta i dostał się w niewolę pod Wiedniem, robi Pelletier wezwanie do wspomnianego korpusu, aby w odpowiedzi wyjaśnienie tej rzeczy nadesłano. — Durant, osadzony na odwachu, zamówione miał przez generała w pierwszej oberży wszystko, czego tylko zażąda na piśmie. Niczego wspomniany generał nie szczędził, co służyło do wygody życia, tak, że oficer na warcie będący przy Durancie miał wszystko.

Z kolei przyszła i warta na mnie. Nie wiem z jakich powodów Durant tak mnie polubił, że zdawało się, iż większy dla mnie jak dla innych miał szacunek. W czasie swego aresztu był bardzo dogodnym dla oficera na warcie będącego, bo wyręczał oficera w pisaniu raportów, jak niemniej w zapisywaniu imiennem żołnierzy, jakie poczty czyli miejsca zajmowali. Dodać trzeba, że pisząc to w języku polskim, zachował ortografię, lubo się widać z tem ukrywał, że po polsku mówić umiał. Kiedy go się pytałem, dlaczego dobrze pisze, a nie mówi po polsku, odpowiedział, że na początku kampanii 1807 był przeznaczony do ufortyfikowania Częstochowy i tam długi czas przebywał, gdzie

— 187 —

się z językiem polskim oswoił. Ile razy miałem sposobność z nim mówić o przeszłych kampaniach i różnych miejscach obronnych, nieledwie każde z nich znał. Wziąwszy nieraz papier, miejsce to ze wszelkimi szczegółami odrysowywał. Po upływie kilku tygodni jego aresztu uskarżał się, że był słabym, jak mówił, na kamień i zrobił wezwanie do placu, że potrzebuje agitacji. Wskutek tego przybył (w czasie mojej warty) adjutant placu, kapitan Olechowski, który mi oświadczył, że z polecenia komendanta placu, wówczas pułkownika Żulińskiego (później radcy stanu), Durantowi wolno jest przejść się po mieście pod strażą sztyldwach, a to z przyczyny jego słabości. Na mocy owego zezwolenia Durant obiegał codziennie prawie cały Kraków. W końcu z kolei trzecia warta na mnie przypadła. Dawniej, gdy zaciągałem na tęż, Durant, zobaczywszy mnie zaciągającego, wybiegał przed odwach, klaszcząc w ręce, okazywał swoje z tego ukontentowanie. — Tym razem, lubo mnie widział dobrze,

żadnych znaków radości nie robił. Ja podług zwyczaju po odebraniu warty, przychodząc do stancyi, znajduję Duranta pomieszanego i smutnego. Na zapytanie, jak się ma, zimno odpowiedział, że jest trochę słabym, ale zarazem dodał, że jutro 25-ty dzień upływa, od czasu, jak ekspedycya od jenerała Pelletier do Davout'a poszła, przeto jutro odpowiedź na to będzie. „Ja natenczas poproszę pułkownika Weyssenhoffa o satysfakcyę, ale nie inaczej, jakże rozciągniemy płaszcze na ziemi. Ja na jednym, on na drugim rogu stanie i natenczas ja, jako skrzywdzony, mam pierwszy strzał, a przytem dobrze strzelam, mam więc nadzieję, że waszego pułkownika odrazu położy”. Nie zajmował się tego dnia Durant jak dawniej, wyręczaniem w zapisywaniu, ciągle tylko przechadzał się i wdychał, jak by zniecierpliwiony chęcią odebrania pomyślniej wieści z poczty.

Około południa przyprowadzono oficera z 3-go pułku ułanów polskich pod areszt. W awizacyi było wyłuszczone, że wspomniany oficer dopuszczał się rąbania granicznych

— 188 —

słupów pruskich i jako taki ma być strzeżonym. Zrobiłem wezwanie do placu, aby polecono, iżby warta została wzmocnioną o trzech ludzi z powodu przybyłego pod areszt oficera od ułanów. Na to odebrałem odpowiedź, że sztyldwach, który Duranta pilnuje, może strzedz i wspomnianego oficera.

Po południu zdawał się być Durant spokojniejszym, ale spostrzegłem, że przypiął sobie do butów ostrogi. Roześmiał się, zapytałem go: „O tej godzinie konno pojedziesz? Na to odrzekł: „No jakto, ja jestem oficerem konnej artyleryi, przeto nie mam innych ozdób tej broni, jak ostrogi i mój krzyż”. Znowu wywodził swoje żale na pułkownika. Przed wieczorem mówi do mnie: „No, trzeba pójść na spacer”. Podług zwyczaju przeznaczylem żołnierza dla strzeżenia Duranta w czasie przechadzki; sam zaś zajęty byłem pisaniem służbowem. Nie spostrzegłem nawet, że już było wieczór późno dosyć, aż tu wchodzi żołnierz, który strzegł Duranta, i przynosi w koszu kolacyę. Ja się zapytuję: „Wszak byłeś przeznaczonym do strzeżenia Duranta?” — „Tak jest” — odpowiada żołnierz, ja za nim chodziłem, ale on mnie posłał po kolacyę, sam zaś został w tem miejscu, gdzie mu piorą bieliznę. Mówił, aby podoficer Jeleniak (Durant tak się ze wszystkimi obeznał, że prawie każdego podoficera i grenadyera znał z nazwiska, zapisując ich często) po niego tam przyszedł. Wskutek tego wołam owego podoficera Jeleniaka i polecam mu jak najsurowiej, aby Duranta natychmiast przyprowadził. „Niech się pan porucznik nie boi, ot jakim był na przeszłej warcie, to on całą noc tam bawił, a przecież przyszedł. Zaraz pójde po niego i przyprowadzę”. Po upływie dobrej pół godziny wraca wspomniany podoficer zadyszany: „Oj panie poruczniku, źle! Durant odebrał wszystką bieliznę, pożegnał się ze wszystkimi, mówiąc, że jutro ma pojedynek, że może się już z nimi nie zobaczy”. Ja, spuszczać się na to, rozsyłam natychmiast do bram, aby warty pilnie uważały, czyli gdzie Durant nie będzie się

— 189 —

chciał wymknąć. Rozesłałem patrole po mieście, złożone z ludzi takich, którzy go dobrze znali i wiedzieli, gdzie on przebywał. Ale nadaremne były moje poszukiwania, już go nigdzie nie znaleziono.

Po powrocie owych patroli cała warta uczuła to nieszczęście, domyślając się nieprzewidzianej odpowiedzialności. Posłałem raport do placu, uwiadamiając o tym wypadku. Wskutek tego zostałem aresztowanym i osadzonym w miejscu Duranta. Niezwłocznie przybył audytor do zrobienia protokołu ze mnie i z całej warty. Ja tłumaczyłem się, że Durant miał pozwolenie chodzenia po mieście i z tej okazji porobił sobie po mieście różne ułatwienia. Plac zaparł się tego zezwolenia, mówiąc, że nie było na piśmie, a całą winę na mnie zwałono.

Tymczasem otrzymał jenerał z poczty tego dnia odpowiedź ze sztabu marszałka Davouta, że w ostatniej kampanii służył Durant, porucznik konnej artyleryi, ale posadzony został o porozumienie się z nieprzyjacielem, wskutek czego zbiegł. Marszałek ma pewne dowody, że wspomniany Durant używanym był przez nieprzyjaciela jako szpieg wojenny. Poleca razem tenże marszałek, aby książę Poniatowski rozkazał złożyć sąd wojenny i wspomnianego Duranta rozstrzelać. Tu dopiero doszedłem przyczyny, dlaczego Durant był smutny, bo wyrachował czas, który się zbliżał do wykrycia jego podłych czynów i przeczuwał bliskość kary. W dzień jego ucieczki widziano go, idącego traktem ku granicy pruskiej w oddaleniu o cztery mile od Krakowa. Później w kilka miesięcy, gdy niejaki p. Orliński, obywatel krakowski, będąc za swym interesem w Rosyi koło Brześcia, a przejeżdżając granicę, okazał paszport, że jest z Krakowa, zbliżył się do niego jeden z urzędników celnych i zapytał go, czyli zna w Krakowie oficerów wojska polskiego. Między innymi pyta o moje nazwisko, a kiedy odpowiedział p. Orliński, że mnie zna dobrze, zapytał z największą ciekawością, co się ze mną stało po ucieczce Duranta. Pan Orliński odpowiedział, że nic nie

— 190 —

wie, bo nie interesowało go to wcale. Na to tenże celnik odpowiedział, że on jest owym wspomnianym Durantem; uprasza więc najmocniej p. Orlińskiego, aby mi oświadczył, że czuje z całej mocy boleść tego wypadku, że to trafiło na mnie, że on Durant, wyrachował czas nieomyślny, w którym przyjść miała niepomyślna dla niego odpowiedź i musiał dnia tego uciekać, i dlatego był taki smutny, że wypadła ta warta na mnie, którego on był wielkim przyjacielem. Dodał jeszcze, że mnie najmocniej przeprasza, i ma nadzieję, że będzie jaki przypadek i może mnie się za to odsłuży. Wspomniany Durant mówił po polsku. Wracam do mego smutnego położenia. Lubo byłem natychmiast aresztowanym, ale z początku nie było wielkiego obostrzenia. Tymczasem przychodzi odpowiedź od marszałka Davouta, że podług artykułów wojskowych każdy, kto by wypuścił więźnia z pod swego dozoru, podlega karze sądu, a jeżeliby dopomógł temuż do ucieczki, podpada karze, na jaką obwiniony zasłużył. Wskutek tej odpowiedzi odbiera gubernator Krakowa od jenerała Pelletier zastrzeżenie, aby względem mnie przedsięwziąć wszelką ostrożność do dalszego rozkazu.

Nie wiedziałem o tem i zdziwiło mnie mocno, dlaczego dodano do mnie sztyldwacha, a później przecięto wszelką komunikacyę pomiędzy mną a moimi kolegami. — Nawet bratu memu rodzonemu, który służył w tym samym pułku, nie wolno było ze mną się widzieć. W końcu dostrzegłem wszelkie ostrożności. Pasując się z domysłami, przedsięwziąłem napisać do mego pułkownika, u którego byłem bardzo dobrze położonym, oświadczać mu, że, nie widząc innego sposobu, proszę, aby na mnie złożono sąd wojenny, przed którym chciałem się uniewinnić. Pułkownik na moją prośbę dał tylko ustną odpowiedź, że sam się osobiście ze mną w tym względzie porozumie. Jakoż dnia następnego przybywa do mnie, a poprosiwszy oficera będącego na warcie, aby nas samych zostawił, spojrzał na mnie. Widocznie nędzą się na mej twarzy malowała, bo ze łzami

— 191 —

w oczach tak się do mnie odzywa: „Jakaż nierozsądna Twoja prośba względem sądu wojennego! Czy sądzisz, że o Tobie już zapomnieliśmy? — Ja pierwszy się zajmuję Tobą tak jak własnym synem i czekam pomyślniej do tego pory. Ale co zrobić z

jenerałem Pelletier, który tyle nam zrobił zarzutów, jako to jest opieszałość naszego wojska, aby tak ważnego więźnia wypuścić”. Dodał, że musiał przedłożyć stan mojej służby i zarazem zaręczyć pod słowem honoru, że stan ten jest rzetelnym i że niema w nim żadnej parcjalności, gdyż Pelletier żądał na mnie sądu wojennego. A zatem, uściskawszy mnie najczulej, dodał. „Ja broniłem sądu wojennego ile możliwości, mając na względzie, że gdyby to nastąpiło, zdjęłoby z Ciebie krzyż wojskowy, który tak drogo krwią własną okupiłeś”. Po tych uwagach, które nas obu do czułych łez poruszyły, uścisknął mię, mówiąc: „Bądź spokojny i cierpliwy”, poczem mnie opuścił. Po odejściu pułkownika byłem nieco spokojniejszym. Przedłużył się jeszcze parę tygodni stan mój opłakany.

Pewnego poranku wchodzi niespodzianie pułkownik w płaszczu, pod którym sam przyniósł mi szpadę, dodając: „Mam się za szczęśliwego, że mogę sam ci zwiastować tę dobrą nowinę; ruszaj do kwatery i wypocznij po tej nieszczęśliwej katastrofie”.

W kilka dni potem dowiedziałem się dopiero przyczyny mego uwolnienia. Gdy nastąpił dzień imienin jenerała Pelletier, zaproszono wiele osób do jenerała. Gdy go ujrano w chwili najlepszego humoru, damy zebrane na tym wieczorze obstały go, proponując mu, że w dniu tym powinien dla nich zrobić coś ważnego, a przynajmniej dla cierpiącej ludzkości. Jenerał sądząc, że potrzeba jakiegoś wsparcia, odrzekł, że niema nic takiego, czego by dla dam mógł odmówić. Kiedy odezwały się, że mają jenerała słowo, jenerał potwierdził to z największą uroczystością. „Oto jenerale, uwolnij tego oficera, który tak dawno siedzi za tego łotra Duranta”. Jenerał zaciął

— 192 —

się w swojej decyzji, dodając, że się nigdy nie spodziewał takiej propozycji, a później dodał, że to nie jest w jego mocy. Dopiero ponownym został atak przez drugą linię, złożoną z jenerałów, sztabsoficerów, którzy przedstawili, że przecież ten oficer nie ucieknie, że na każdy moment może być dostawionym. Chodziło tylko o to, aby jenerał ze swej strony nie popierał tego zdarzenia: „Prosimy jenerała o słowo”. Zostali wsparci przez damy, które dodały, że ten oficer jest niewinnym, że tylko tyle uchybił, że nie wymagał rozkazu z placu na piśmie, który był, aby tego łotra po mieście wolno było puszczać. Nie mogąc się już oprzeć naleganiom, dam zwłaszcza, jenerał zezwolił na uwolnienie mnie z tem zastrzeżeniem, aby pułk. Weyssenhoff zaręczył, że każdego czasu mnie dostawi i dodał: „Bo może każą dostawić za tamtego, aby wobec całego korpusu Davouta go rozstrzelać”. Wskutek tego zdarzenia wziął pułkownik z sobą od jenerała moją szpadę do siebie. Nazajutrz rano, porwawszy się śpiesznie, uwolnił mnie, jak wyżej.

Po burzy i nawałnicy powszechnie najpiękniejsze słońce zajaśnia, to też i moje słońce blaskiem swym rozjaśniło moje położenie. Lubo nominacja moja na stopień kapitana już od 31-go grudnia 1810 roku podpisaną była przez księcia Poniatowskiego, przecież dla wyż wspomnianych powodów ogłoszoną nie była. Pułkownik miał to na celu, że w nowym stopniu, gdyby mi krzyż był odjęty, mogłem się znowu krzyża dosługiwać. Przeto z ogłoszeniem się wstrzymywał. — Kiedy już minęła owa burza, w kilka dni ogłoszonym został awans mój na stopień kapitana. Porządek garnizonowy w Krakowie był tak urządzony, że kapitan od służby miał razem obowiązek pełnienia służby dyżurnego czyli mającego inspekcję. Tenże kapitan zebraną wartę na placu Szczepańskim przejrząwszy i przekonawszy się, że jest zupełnie w porządku, zabierał takową i prowadził z muzyką w paradzie przed główny odwach. Sformowawszy front, rozdawał parol dla wart i rozkazy lub ogłoszenia.

— 193 —

Nadeszła i na mnie, jako na kapitana, kolej odbycia służby wyż wspomnianej pierwszy raz po owym nieszczęśliwym zdarzeniu. Przyprowadziwszy wartę przed główny odwach, oczekuję, jakie będą ogłoszone rozkazy. Zamiast rozkazów przyprowadzają mi delikwenta na śmierć skazanego, żołnierza z pułku 3-go ułanów, dla odczytania temuż wyroku śmierci i razem osadzenia go na odwachu.

Dnia następnego miał być rozstrzelanym. Gdyby grot w piersi moje uderzył, nie byłby więcej mnie poraził, jak widok delikwenta pod dozór wart pod moimi rozkazami będących oddanego. Po świeżym wypadku z Durantem zdawało mi się, że znowu nieszczęście mnie spotka. Byłem uprzedzony, że ów delikwent z pod straży ująć potrafi. Nie dałem jednak poznać mojej obawy moim podwładnym. Nakazałem warcie, (która, jakby naumyślnie, składała się z tych samych ludzi, którzy byli wówczas, kiedy Durant uciekł), aby była ostrożną, przypominając wypadek z Durantem.

Od południa zaraz wspomniany delikwent, rozkuty z kajdan, przybrany w koszulę śmiertelną, w obecności księdza spowiednika osadzony został w izbie żołnierskiej przy otwartych drzwiach i siedział za stołem, na którym paliły się lampy. Lud krakowski zbiegał się tłumnie, odwiedzając tego, który miał się rozstać z tym światem dnia następnego. Przynosili mu różne trunki i jedzenia. Delikwent ciągle mówił ze swym spowiednikiem psalmy i modlitwy, jakich używają przy konających. Nie chciał przyjąć ofiarowanych mu napojów ani jedzenia. Jedynie płakał, wspominając żonę i dzieci, z którymi miał się rozstać na zawsze.

Moje przeczucie zawsze mi to powtarzało, że koniecznie ów delikwent tej nocy uciec musi. Lubo moja służba wymagała tego, abym był obecnym w wielu miejscach, ja jednak prawie lotem ptaka przybiegałem co moment na odwach dla zalecania ostrożności warcie. Dnia tego (było to we czwartek karnawałowy) było

— 194 —

widowisko teatralne. Nim się rozpoczęło, komendant placu, pułkownik Morawski (później jenerał), przywołał mnie do siebie, powiedział mi: „Pan masz pierwszy raz tę służbę, trzeba wiedzieć, że powinieneś być obecnym w każdym miejscu publicznym i uspakając nieporozumienia, jakieby się zdarzyć mogły. Trzeba być w teatrze”. Gdym wspomniał, że delikwent na śmierć skazany siedzi na odwachu, pułkownik odezwał się do mnie seryo: „Czyż Pan będziesz delikwenta pilnował? od czegoż warta?” Po każdym akcie wybiegałem śpiesznie, biegnąc zobaczyć delikwenta i znowu powracałem do teatru. Gdy się kończyło widowisko, pułkownik

przychodzi na parter, przypominając mi znowu: „Dzisiaj jest reduta u Parysota, pamiętaj Pan tam być nieodstępny, bo za to jest się odpowiedzialnym”. Przeklinałem w duszy te wszystkie zabawy karnawałowe, które mnie odciągały od delikwenta. Gdy rozpoczęła się owa reduta, przybył znowu komendant placu i zalecił mi, abym się nie oddalał, mówiąc: „Ja teraz muszę wyjść i nie przyjdę jak za dobrą godzinę, później możesz sobie Pan odejść”.

Czekałem niecierpliwie powrotu komendanta, który nie pokazał się wcale. Już było około godziny czwartej po północy, mego wyręczyciela ani widać. Uprosiłem wreszcie jednego z mych kolegów, aby na wszelki przypadek, miejsce moje zastąpił, sam zaś wybiegam, chcąc delikwenta zobaczyć.

Tymczasem na schodach spostrzegam podoficera z warty, idącego ku mnie. Na ten widok, osłupiały cały już, nie śmiem się zapytać o przyczynę posyłki, kiedy tenże podoficer odzywa się: „Panie kapitanie, delikwent uciekł!” Na to doniesienie oddech w piersiach się moich zamknął, sam nie wiem, co począć. Zdaje mi się, że nic więcej mi nie pozostaje, jak tylko życie sobie odebrać, wystawiając sobie opinię publiczną, że już jestem tak niedołężnym, że wszystko, co tylko mojej straży powierzono, bezpiecznie sobie ująć może. Chcąc wybadać, jakim sposobem z pod

— 195 —

tak mocnej warty ów delikwent uszedł, przybywam na odwach.

Tam mi oświadczają, że kiedy ów delikwent wyszedł na dwór (pod strażą), wziął garść błota i pilnującym go oczy zarzucił i w tym momencie uciekł. Podług dawnego zwyczaju rozesłałem patrole i rozkazy do bram, aby wspomnianego uważali, czyli którą bramą przechodzić nie będzie, aby go schwytali. Przychodzi mi myśl do głowy, aby udać się do komendanta placu, raz dla zameldowania mu o zaszłym wypadku, a powtórę, aby rozjazd konny, który był każdej nocy dla robienia patroli, rozesłać na wszystkie trakty. Przeto wpadam do stancyi komendanta (choć mnie lokaj zatrzymywał, aby pana nie budzić, bo niedawno się położył), budzę go, oświadczając mu moje nieszczęśliwe położenie, a zarazem proponując ściganie delikwenta przez rozjazd. Po odebraniu odemnie owej propozycji, komendant, nie mówiąc ani słowa, spokojnie odwraca się na łóżku do ściany i zasypia. Ja znowu moje nalegania powtarzam. Ten, nakrywszy się kołdrą na głowę, odpowiada mi z pod niej: „Cóż robić, trudno, tak się stało”. Kiedy jeszcze raz nalegam, znowu odpowiada: „To się już nie wróci, aresztuj Pan tego, kto tego delikwenta wyprowadzał; zresztą rób sobie Pan co chcesz a daj mi pokój”. — Nie odebrawszy żadnego polecenia względem poszukiwania dalszego, wracam w największym umartwieniu do warty, kiedy oficer na warcie będący wychodzi naprzeciw mnie i w te odzywa się słowa: „Czego kapitan się martwi?” Ja znowu z największym oburzeniem krzyczę na niego: „Jakto, czy Pan nie wiesz, czeka nas znowu taki ścisły areszt, jaki mnie spotkał za tego Duranta.” — Oficer dopiero odzywa się: „Nie mogę już dłużej tej tajemnicy zachować, bo widzę kapitana w takim zmartwieniu. Rzecz się ma tak: Około godziny 12-tej przybyli na odwach generał-gubernator Biegański, pułkownik Leszczyński, pułkownik Weyssenhoff i pułkownik Morawski, wszyscy byli ubrani po cywilnemu.

— 196 —

Jenerał Biegański odzywa się do mnie, mówiąc: „Wszakże nas Pan zna, przeto proponujemy Panu, abyś tego delikwenta, który tu jest osadzony, na wolność wypuścił. Dajemy Panu słowo honoru, że Pana żadna odpowiedzialność nie spotka”. Ja odpowiedziałem, że tego bez zezwolenia kapitana dyżurnego uczynić nie mogę. W tem odzywa się pułkownik Morawski: „Broń Boże! on niedawno miał wypadek z Durantem, a będąc dziś przerażonym, pewnie na to nie zezwoli i nie będziemy mogli z nim dojść do niczego”. Znowu powtórzyli wszyscy zaręczenie, a komendant dodał, że teraz najlepsza pora, bo ja kapitana zostawiłem na reducie i poleciłem ściśle, aby się nie oddalał. Zawołali zatem do izby oficerskiej podoficera, polecając mu, aby podszeptał delikwentowi, aby żądał wyjścia na dwór, a, wyprowadziwszy go, aby mu powiedział, żeby dobrze uciekał, wskazawszy mu drogę przez zamrzniętą Wisłę; sam zaś, wróciwszy do warty, ma udać, że niby delikwent błotem mu oczy zarzucił, a, korzystając z tego, uciekł. Po takim wytłumaczeniu uspokoiłem się nieco, ale miałem do wyrzucenia oficerowi, jak mógł to uczynić bez pozwolenia jenerała na piśmie, a zwłaszcza, że jenerałowie nie byli w mundurach i przy znakach, a zatem nie działo się po służbie. Oficer odpowiedział, że to zrobili dlatego, aby warty nie wprawiać w podejrzenie.

Gdy nadszedł dzień, zaczęły się zbierać oddziały, komenderowane na exekucję, a dowiedziawszy się o ucieczce delikwenta, wszyscy koledzy moi ubolewali nademną, jak jestem nieszczęśliwym i jak do mnie przywiązani są podobne zdarzenia, bo wiedzieli dobrze, że to nie pochodzi z oświeżoności ani niedozoru.

Ja jednakowoż miałem pewne przeczucie, jak powiedziałem wyżej, gdy delikwenta pod straż moją oddano, które się spełniło, chociaż nie z mojej przyczyny.

Gdy nadeszła wiosna, zebrał się na rewie znaczny korpus wojska rosyjskiego, nad granicą Księstwa Warszawskiego. Książę Poniatowski sądził, że to poruszenie

— 197 —

wojska zagraża naszemu Księstwu, postanowił twierdze postawić w stanie obrony ¹⁾. Ponieważ tymże jeszcze wiele do ukończenia brakowało, przeto postanowił wojskiem fortyfikacje uzupełnić. W tym celu przychodzi rozkaz, aby jak najspieszniej udać się z Krakowa pod Modlin.

Wyruszywszy 3-go maja, przyszliśmy do Warszawy 19-go maja ²⁾. Następnie udaliśmy się pod Nowy Dwór, gdzie postawiwszy sobie baraki ze słomy, dostarczaliśmy żołnierzy do sypania okopów około Modlina. Praca ta odbywała się codziennie; w każdą niedzielę odbywaliśmy musztry, nasamprzód batalionowe, później pułkowe, brygadowe, dyżurne, a w końcu ogólne całego wojska pod Modlinem będącego. Okopy około Modlina podzielone były pomiędzy pułki, z których dla pułku naszego dostały się okopy nad Narwią pod Nowym Dworem. Ponieważ dostał się nam grunt piaszczysty i lekki, dlatego najprędzej po wyrobieniu wydziałów do obozu powracaliśmy, czego inne pułki nam zazdrościły. Przeciwnie pułkowi 2-mu liniowemu dostał się grunt gliniasty i opoczysty pod Kazuniem, tak że nie byli w stanie przez cały dzień wydziału, choćby mniejszego wyrobić; przeto po wielu narzekaniach tego pułku, a przytem i staraniach się, zdecydowano, aby między naszymi pułkami zrobić zamianę. Gdy tedy pierwszy raz udał się nasz pułk pod Kazuń, trafiła się i dla mnie służba czyli inspekcja z robotnikami. Po zwykłym odebraniu narzędzi szanrowych i po pomiarze wydziałowym, obowiązkiem było służbowego kapitana, mając w pomoc

¹⁾ Autor nasz nie mógł sobie zdawać sprawy z całej wagi owoczesnego położenia, nie zrozumiał go też zupełnie. W początkach kwietnia 1811. dzięki rewelacyom ks. Józefa, rezydent francuski Bignon zawiadomił Napoleona o szerokim planie zaczepnym Rosyi. Stąd nagle koncentracja i przyspieszenie prac fortyfikacyjnych w Księstwie z nakazu Napoleona.

²⁾ Jenerał Zajączek w swoich „Notach z roku 1811” zapisuje: „Dnia 28-go kwietnia rozkazy wydane zostały ażeby 12-ty pułk piechoty, a 3-ci i 4-ty jazdy zbliżyły się ku Wiśle”.

— 198 —

oficerów niższych, przestrzegać spokoju i porządku w oddziałach. Co do kontroli nad robotą, to od tego byli saperzy, którzy sprawdzali wyrobienie wydziałów. Po rozpoczęciu roboty, gdy upłynęło, dobrych dwie godziny, spostrzegam, że żołnierze moi, rzuciwszy taczki i szpadle, biegną najspieszniej w jeden punkt, tłocząc się na kupę bez najmniejszego krzyku. Zbiegają się do owej kupy i znowu odbiegają spiesźnie w pole. Sądziłem, że to rodzaj jakiejś swawoli. Po opuszczeniu owego miejsca znajduję kilku żołnierzy prawie bez duszy, tak pogniecionych, że aż trzeźwić ich kazałem. Dowiaduję się, że za podniesieniem z ziemi kamienia znaleziono kociołek z pieniędzmi, który próżny już zastałem, a żołnierze pognieceni, byli tymi, którzy te pieniądze znaleźli. Przygnieciono ich od razu tak, że nie zdołali dla siebie niczego wziąć; jedynie ci, którzy później przybywali, zabierali pieniądze i z nimi w pole uciekali, i tam zapewne je pochowali. Z tego nie można było dojść do niczego, bo prawie wszyscy do tego należeli. Po rozgłoszeniu się tej wiadomości żalowali żołnierze z 2-go pułku piechoty, że się pomieniali na wspomniane miejsce.

Tak czas upływał przy owej robocie, aż też zbliżyła się jesień, która nie przerwała tej roboty. W ciągu tej przybył Najjaśniejszy król saski dla obejrzenia robót fortyfikacyjnych i zagajenia sejmu w Warszawie. Wskutek tego odbyliśmy pod Modlinem rewie i próbę atakowania i bronięcia twierdzy Modlina, na której był obecnym N. Pan, niemniej jak wyższa publiczność Warszawy¹⁾. Po odjeździe N. Pana kontynuowaliśmy dalsze roboty aż do połowy grudnia r. 1811. Gdy już mrozy nie pozwoliły dalszych robót kończyć, udaliśmy się do Warszawy i stanęliśmy w koszarach, gwardyackimi zwanych.

¹⁾ Król przyjechał do Warszawy w dniu 21-go września 1811, wyjechał na oglądanie prac fortyfikacyjnych Modlina w dniu 13-go października.

— 199 —

W ciągu tej zimy miałem następujące zdarzenie. Razu jednego, było to zimą, będąc komenderowany dla odbywania rontu w Warszawie, miałem 7 wart do obejścia w czasie nocy. Obchodząc takowe, szedłem do warty będącej przy ratuszu Starego miasta. Gdy się zbliżałem ku bramie Krakowskiej, żołnierze moi pozostali za mną może o 50 kroków. W chodząc pod cień owej bramy (gdyż noc była jasna i księżyc świecił) i zastaję tam stojące sanki, około których kilku ludzi zgromadzonych, czegoś jakby po sankach szukają. Sankarz zastał na boku i konia trzymał. Nadszedłszy na to, pytam się: „Co tu robicie?” — Nie odebrałem żadnej odpowiedzi, ale, zdaje mi się, jeszcze większy ruch około sanek się robi, gdy tym czasem nadchodzą moi żołnierze. Wtem nagle otaczający opuszczają sanki, a siedzący w nich obywatel krzyczy: „Złodzieje! łapaj!” Kiedy kopnęliśmy się za uciekającymi, zauważyliśmy, że byli to ludzie ubrani bardzo porządnie. Ten, za którym ja gonilem, gdy wybiegał z cieniu bramy, biegł ku zamkowi, gdzie tę część księżyc oświecał, pamiętam więc, że był we fraku, spodniach krótkich ze sprzążkami, pończochach w pasy i miał buty ze sztylkami (taka była wówczas moda). Chociaż ja byłem młody i tego gonilem, dogonić go nie mogłem. Było ich czterech. Jeden uciekł do bramy zamkowej pod zegarem, drugi w uliczkę małą, a dwóch uciekło ulicą św. Jana. Gdy nie mogłem dogonić, powróciłem do owego w sankach będącego. Dowiedziałem się od niego, że to był obywatel z prowincyi, który zabawił się nieco na ponczu u Lessla na Miodowej ulicy. Uważał, że te łotry siedziały u drugiego stolika. Kiedy on płacił za poncz, dobywszy trzosa, ci, zabrawszy się, ci wyszli śpiesznie. Kazał sobie ów obywatel sprowadzić sanki, którymi jadąc ulicą Miodową ku Senatorskiej, spotkał tych czterech w ulicy i pominął ich. Pokazało się, że sankarz był z nimi w zмовie, bo, zajechawszy na Senatorską ulicę, stanął i coś koło sanek poprawiał. Ci, znowu idąc, pominęli, a sankarz, ruszywszy dalej, podjechał pod bramę

— 200 —

Krakowską i w cieniu znowu stanął i koło konia poprawiał. Obywatel siedział w sankach, a złodzieje dopadli go odrazu, jeden z nich zatkał mu chustką głowę, a przechyliwszy mu głowę w tył, począł go dusić. Inni zaś, chcąc się dostać do owego trzosa, porozrywali na nim płaszcz, surdut i kamizelkę, podrapali go na piersiach, usiłując go obrać, szukając przytem może zegarka. Szlachcic, nie mogąc się inaczej bronić, starał się tylko trzymać trzos rękami, ale jak mówił, robił już ostatnie wysilenia, gdyby moment jeszcze, byłiby go przemogli. Za nadejściem mojem widać nie bardzo na mnie uważali i uciekli dopiero wtedy, gdy żołnierzy z bronią ujrzeli.

Po opowiedzeniu przez szlachcica osądziłem, że sankarz był z łotrami w zмовie. Wskutek tego kazałem jednemu żołnierzowi odprowadzić obywatela do stancyi, a drugiemu sankarza do placu, który wówczas był w domu obok odwachu na Krakowskim przedmieściu. Ja zaś z resztą udałem się dalej dla odbycia po innych wartach rontu. Dnia następnego przybył ów obywatel do placu i wspólnie ze mną opowiedział komendantowi placu, wówczas Stasiowi Potockiemu, owe zdarzenie. Potocki kazał przykładowie sankarza ukarać, a w celu wykrycia tych łotrów, odesłał go do sądu. Szlachcic nie znajdował dla mnie wyrazów uznania wobec komendanta, składając podziękowanie za uratowanie go od napaści, a może i śmierci.

Drugie zdarzenie miałem tej samej zimy w Warszawie. Przyszła na mnie z kolei znowu służba, podobna powyższej, a ukończywszy obejście z rontem po wszystkich wartach, udałem się wreszcie do koszar. Po drodze spotkałem dorożkę, która mi się trafiła bardzo w porę, bo też i błoto było. Jadąc ulicą Zakroczymską, wyjechałem za Zdroje. Gdy wyjechałem na ulicę mniej ludną, słyszę poza parkanami jakieś poświstywanie. Udawałem, że drzemię; słyszę, że ktoś wskoczył z tyłu, a niebawem widzę, że już jest jeden na stopniu i drugi na drugim stopniu dorożki. Tak zostawszy obłożonym, dorożkarz wstrzymał

— 201 —

konia nieco, a obejrzawszy się na mnie, sądził, że naprawdę zasnąłem i odzywa się półgłosem do owych łotrów: „Nie rusz, bo to biały!”. Po odebraniu takowego hasła, rzezimieszki wnet opuścili moją dorożkę. Gdy przybyłem do koszar, udając śpiącego, zapytany zostałem od dorożkarza, gdzie miał zajechać, a gdy mu wskazałem miejsce, gdzie się w oknie świeciło (był to odwach warty policyjnej), stanął przed nim. Rozkazałem podoficerowi, aby sprowadził do izby dorożkarza. Zapytałem go, coby znaczył ów sygnał do tych łotrów mówiony, „że to biały”. Po groźbie i naleganiach wyznał, że „biały” jest wojskowym, a „czarny” jest cywilnym¹⁾. Zapytałem go tedy: „To cóż z tego, żeś im wyjaśnił, że ja wojskowy?” Odpowiedział mi na to: „Gdybym był powiedział, że „czarny”, niezawodnie byłiby Pana obdarli.” Jednakowoż dla wyjaśnienia rzeczy odesłałem go do ratusza, aby zdał sprawę ze znajomości tych sygnałów.

Razu pewnego jeden z naszych oficerów jechał dorożką w nocy do koszar. Aż tu dorożkarz, zamiast ku koszarom, zwrócił się w Zieloną ulicę, zmierzając na bezludne ulice ku okopom. Zapytuje się go oficer, dokąd jedzie. Ten, nie zważając na to, popędza

konie i umyka w przeciwną stronę. Snać chciał go w ustronie zawieźć i obedrzyć (choć, jak tamten mówił, „białych” nie ruszano). Ale grubo się tym razem pomylił dorożkarz, bo oficer był tak silnym, że ująwszy go za kark, wpakował go pod siebie, a wzięwszy lejce, zawrócił i zawiózł dorożkarza do ratusza, gdzie zaraz w obecności oficera winowajca został przykładnie ukaranym, do więzienia wsadzonym i bilet na dorożkę mu odebrano.

Po wszystkich nieledwie stolicach ta klasa ludzi jest mniej więcej zepsuta. Spekulują oni bowiem na tem, że

¹⁾ W dniu 3-go września 1810 r. całej piechocie naszej nadano ubiór jednostajny: mundur granatowy, wyłogi, kamizelka, spodnie białe. Białą kolor przeważał, stąd praw dopodobnie nazwa „biały”.

— 202 —

jeżeli kto potrzebuje jechać pilno, temu się opierają, aby tem więcej z niego wyciągnąć.

Za czasów Księstwa Warszawskiego policja była w najgorszym stanie ¹⁾. Latarni nie znano i stąd nieraz trafiały się rozmaite przypadki i nadużycia. Po ubocznych ulicach nie tylko obdzierano, ale nawet zabijano. Byli wówczas żydzi w Warszawie, którzy śpiewali i przygrywali na skrzypcach wszystkie teatralne najnowsze śpiewy, a chodząc po miejscach publicznych, bawili obecnych, co nie było dla nich bez znacznych zysków. — Pewnego razu, w czasie karnawału znaleziono tychże żydów zamordowanych; znać, że mieli znaczne przy sobie pieniądze.

Razu pewnego (było to w czasie obozowania wojska pod Warszawą) zabawiłem się z drugimi kolegami w Warszawie późno w noc. Gdy trzeba było powracać do obozu, wyszedłem na ulicę i zawołałem dorożki. Na mój głos zjechało się dwie czy więcej dorożek. Siadamy na najbliższą. Dorożkarz nasz, rozpatrzywszy się po nas i widząc, że jesteśmy oficerowie do obozu należący, zapytuje się nas, gdzie życzymy sobie jechać. Odpowiadamy, że do obozu. On odpowiada, że tak późno nie pojedzie. „Kiedy tak, to jedź na Senatorską ulicę” — odezwałem się. „A tam do kogo?” — zapytał. „Do ratusza”. Gdyśmy przed ratusz zajechali, zostawiłem Pawłowskiego w dorożce, sam udałem się do ratusza. Zbudziwszy dyżurnego, proszę go o nakazanie wspomnianemu dorożkarzowi zawiezienia nas do obozu. Dyżurny rozkazał przywołać dorożkarza i zapytał, dlaczego nie chce nas odwieźć do obozu. Dorożkarz odrzekł, że tak późno nie pojedzie. Wtedy się odezwałem,

¹⁾ Policja owoczesna warszawska nieświeższej istocie używała opinii. Francuzi mówili, że „w Warszawie można słonia zgubić, a policja polska go nie znajdzie.” Zaprowadzili też, za czasu rządów marszałka Davout, swoją osobną policję. Davout również zaprowadził po raz pierwszy obowiązek meldowania przybywających do stolicy. Pewne zmiany na korzyść zaszły od czasu zastąpienia Aleksandra Potockiego przez Sobolewskiego na stanowisku ministra policji.

— 203 —

że mu nawet więcej zapłacę nad przepis; ten znowu odpowiedział, że jak bądź nie pojedzie. Dyżurny namawiał już nas, że on poszle po inną dorożkę, a ta nas bez żadnej kwestii odwiezie. Oburzony tą perswazją dyżurnego, odpowiadam: „Jeżeli Pan tu na to jesteś zostawiony, abyś spory rozstrzygał, to proszę albo o satysfakcję, albo o zezwolenie, abym ja jego sam zmusił do jechania ze mną”. Widząc dyżurny, że trzeba stanowczo przemówić, powtórzył swą groźbę dorożkarzowi, polecił żołnierzowi z milicji, aby wziął dorożkarza i do dorożki zaprowadził. Kiedy milicyant bierze go za ramię i chce prowadzić, dorożkarz, odwinąwszy się, uderza go w twarz, aż mu kaszkiet zrzucił z głowy. „Patrzaj pan, jaka absolutność!” — odezwałem się do dyżurnego, a do milicyanta mówię: „Jakiem prawem dasz się krzywdzić temu łotrowi, jeszcze jako żołnierz w służbie będący? Ja, będąc na twojem miejscu, to bym mu kilkanaście płazów w sypał w plecy.” Usłuchawszy mnie milicyant, dobył pałasza, wyliczył dorożkarzowi niemiłosiernie płazy i zaprowadził go do dorożki. Wsiadając niby na koziołek, dorożkarz przeskoczył na drugą stronę i uciekać zaczął. Będący około ratusza żołnierze z milicji poskoczyli za nimi sprowadzili go z powrotem, krzyczącego ciągle, że nie pojedzie. Na ów hałas wychodzi dowódzca milicji i zapytuje się, co takiego się dzieje. Po dowiedzeniu się przyczyny uporu tegoż, zawołał: „No, to ja tu lepiej z nim postąpię.” Kazał go milicyantom wprowadzić do ratusza i 30 batów mu wyliczył, mówiąc, że to dopiero próba. Dorożkarz, nie czekając powtórzenia, sam się deklaruje, że na koniec świata nas odwiezie. Wtedy dowódzca milicji rozkazał wziąć jednemu ze swych żołnierzy z nami, robiąc nam tę propozycję: „Panowie pewnie zapłacicie temu łotrowi 2 złp., a zatem dajcie mu tylko jeden złp. a żołnierzowi, za to że pojedzie z Panami, dacie drugi złoty”. Polecił w każdym przypadku żołnierzowi przyprowadzić dorożkę do ratusza, a nas zapraszał najuprzejmiej, abyśmy nazajutrz chcieli

— 204 —

się pofatygować i być obecnymi, jak ów dorożkarz odbierze zasłużoną karę, dodając: „Gdybyśmy ich tak surowo nie karali, to by oni Bóg wie jak ich zdrożności się dopuszczali”.

Po wyjeździe z ratusza dorożkarz nie tylko, że nas nie opuścił, ale będąc najłagodniejszym, opowiadać nam dopiero zaczął przyczynę, dla której nas nie chciał odwieźć. Mówił, że i on był kilka lat w wojsku, ale gdzie tylko mu się zdarzyło kogo oszukać albo urwać, to sposobności tej nie opuścił. Przeto sądził, że niby każdy wojskowy tym sposobem postępuje, a zatem i mybyśmy mu nie zapłacili. Na to odezwał się ów żołnierz z nami jadący: „Ty byłeś w wojsku łajdakiem, to też i teraz nie lepszym jesteś; ja zaś mogę wyznać, że nikogo będąc w służbie nie ukrzywdziłem.” — Tymczasem dorożka dotoczyła się do obozu, a żołnierz ów sownie od nas został wynagrodzonym. Dorożkarz zaś, mając wzgląd na poniesioną karę, złp. 1 odebrał.

Skończył się rok 1811. Przy zaczęciu nowo następującego roku nieszczęśliwego 1812, w pierwszych jego miesiącach nic szczególnego nie nastąpiło.

Dopiero w miesiącu marcu zaczęto już przewidywać jakieś poruszenia. Z tego względu zaczęto z nami rozpoczynać nasamprzód lustracje pułkowe, następnie brygadowe, dywizyjne, a nakoniec jeneralne, pod kierunkiem generała Fiszer, jako inspektora całej piechoty. Dała nam się ta rewia generalna ze wszystkich najbardziej we znaki, bo, nie tylko trzeba się było wyrachować z żołdu odebranego dla wojska, żywności, sprzętów koszarowych i pościeli, ale nadto z tak nazwanej masy bielizny i obuwia, która była urządzona w ten sposób, że żołnierz pobierał oprócz żywności, żołdu 15 groszy dziennie, z których odciągano mu na wspomnianą masę 8 grosze, a 12 dawano do ręki.

Dla obrachunku tych pieniędzy były sporządzone w kompaniach książki, t. z. szczegółowe. W tej książce

— 205 —

każdy podoficer i żołnierz zajmował dla siebie 2 stronice, których każdomiesięcznie wpisywano mu w rubryce przychodu kwotę, jaka mu wpłynęła do masy i co sprawionem zostało, (trzeba wiedzieć, że każdy żołnierz tylko przy wstąpieniu do wojska odbierał dwie koszule, dwie pary trzewików i dwa halsztuki z białymi sztyflikami, czyli wypustkami około halsztuka, zaś reszta podobnych artykułów przez całą służbę, sprawianą mu była z jego masy). Co kwartał obowiązkiem było kapitana każdemu podoficerowi i żołnierzowi bilans zakreslić i podpisem swoim zatwierdzić. Gdy żołnierz otrzymał dymisyę, wypłacano mu wówczas całą składkę.

Gdy nastąpiła owa, prawie jak z całego życia spowiedź, lustracya, z powodu wielkich śniegów i mrozów wówczas, odbywała się ona codziennie w jednej sali, na ten cel przeznaczonej w koszarach. Po zwykłym obejrzeniu kompanii, generał rozkazywał ustąpić z sali oficerom i podoficerom, a zamknawszy się z samymi żołnierzami, zapytywał się o wypłatę żołdu, odciąganie i wydatki. Niemniej badał ich, czyli nie są krzywdzeni przez oficerów albo podoficerów, a w końcu pytał, jakie kto miał żądania. Później następowało to z podoficerami. Jeśli który żołnierz miał jakie zażalenie na swoich przełożonych, Fiszer najsurowiej to karał, a nawet nie dał się tłumaczyć, mówiąc: „Trzeba się starać, aby żołnierza do siebie przywiązać; w takim razie w czasie boju żołnierz potrafi się za to swemu oficerowi wywdziżyć.”

Po tych ceremoniach rozkazał generał Fiszer zdjąć tornistry, otworzyć takowe i najściślej oglądał, tak bieliznę, obuwie, ubiór, a nawet rzeczy do wygody i oczyszczenia służące, a, później osobno każdy rodzaj ubioru przeglądał. Gdy włożyli na siebie żołnierze płaszcze, kazał takowe na dobrą stronę, a później podszewką do góry włożyć, a za każdym razem ręce do góry podnosić, dla przekonania się, czyli nie są płaszcze podarte; podobnie z każdą częścią ubrania postępował. Każdą rzecz z książeczką

— 206 —

żołnierską kontrolował. W końcu zapytywał się nas o nazwisko każdego żołnierza, a później kazał się w tył obrócić żołnierzom i znowu się zapytywał, jak się który żołnierz nazywa. Dodawał, że kapitan tak dobrze powinien znać swoich żołnierzy, że nawet w nocy po głosie powinien ich poznać.

Po skończonej tej lustracyi ze wszystkimi pułkami piechoty, ogłoszone nam zostało, że cesarz Napoleon, mając wzgląd na małe dochody Księstwa Warszawskiego, postanowił skompletować kompanię do 160 żołnierzy, z których 100 na żołdzie krajowym, a 60 na żołdzie francuskim odtąd pozostawiał¹⁾. Wskutek tego niezwłocznie braliśmy rekrutów z Krakowskiego, do wspomnianego kompletu. Od tej pory ruch wojska coraz bardziej dał się postrzegać. Przewidywano bowiem, że zbliża się znowu jakaś nowa kampania. W miesiącu maju zaczęły się już przechody wojsk obcych, a nasamprzód westfalskich. Niebawem przybył do Warszawy i król westfalski Hieronim, który wziął pod swoją komendę część wojska polskiego

Wskutek tego rozpoczął z wojskiem polskim musztry z ogniem, a nasamprzód z tymi oddziałami, które

¹⁾ Generał Zajęczek w swych notach pisze, że tylko do 3 pułków dodano czwarte bataliony, a do jedenastu pozostałych przydzielono nową kompanię zakładową z 200 ludzi złożoną. Co się tyczy kosztów, to jest to zgodnem z prawdą. Bignon (Souvenirs d'un diplomate. str. 192) pisze: „L'Empereur ayant désiré une augmentation dans les cadres du duché, il fut convenu que les frais en seraient supports per la France“. Z pamiętników Weyssenhoffa wiemy, że do pułku 12-go dodano wówczas 800 ludzi.

²⁾ Hieronim Westfalski przybył do Warszawy dnia 2-go maja 1812 r. Znanem jest jego zachowanie się owoczesne w Kaliszu i Warszawie. Tu dodamy, że był on jednym z pretendentów do korony polskiej. W Tylży w r. 1807 była mowa o oddaniu mu Księstwa. Wówczas, jak świadczy korespondencya Małachowskiego, starał on się gwałtownie pozyskać sympatye Polaków. W obecnej kampanji obejmował dowództwo nad korpusami 5-tym, 7-ym i 8-ym, a więc pod jego komendą znajdował się książę Józef.

— 207 —

warszawski garnizon składały. Gdy przyszła kolej na nasz pułk 12-ty, wystąpiliśmy za rogatkami powązkowskimi, jak niemniej pułk 3-ci i 8-my piechoty. Po zwykłym objechaniu całej linii i obejrzeniu Hieronim wyjechał przed środek pułku 3-go piechoty i z tym rozpoczął manewra. Reszcie wojska rozkazano, aby broń wzięła do nogi i spoczęła w miejscu, aż póki na nią nie przyjdzie kolej. Gdy się to zrobiło, rozkazał król pułkowi 3-mu zejść w prawo kompaniami, później zamknąć na pół odstepu a nakoniec rozkazał sformować czworościan pułkowy. Zdaje się, że ten manewr był dosyć łatwy, ale, niewiadomo dla jakiej przyczyny, tak się cały pułk pomieszał, że z owego czworościanu sformowała się masa do żadnego manewru nie podobna. Gdy chciano znowu powrócić do linii, musieli oficerowie prawie pojedynczo żołnierzy wyprowadzać i w linii stawiać. Król oświadczył swoje nieukontentowanie ale mniejsza o króla. Kiedy obecna publiczność zobaczyła pułk 3-ci w takim stanie, zaczęła miotać największe obelgi: „Wy próżniaki! darmożady! czego się może ojczyzna po was spodziewać, kiedy nie macie jeszcze nieprzyjaciela przed sobą, a takeście się pomiesziali! Cóż dopiero, kiedy wam przyjdzie pod ogniem nieprzyjacielskim działać! To my wszystkołożymy na was, robimy największe wysilenia i ofiary, a wy nam taki wstyd i zawód robicie i t. d.“ Reszta pułków, oczekując swojej kolei drżała z obawy, aby nie zasłużyć sobie od publiczności podobnych wyrzutów, jakie spotkały pułk 3-ci piechoty zarzutów tych więcej baliśmy się, niż nieukontentowania króla. Ale inaczej się stało. Pułk 8-my powtórzył poprzedni manewr, źle wykonany przez pułk 3-ci i udało mu się to wybornie. Zrobiwszy jeszcze kilka innych, zasłużył na pochwałę królewską i publiczności¹⁾. Teraz przyszedł

¹⁾ Z pamiętników Niemcewicza widać, że Hieronim na ogół był zadowolony ze sprawności armii Księstwa. Miał podobno napisać do cesarza: „Que l'armée polonaise est non seulement bien disposée, bien exercée, mais qu'elle avait l'aplomb de l'armée française“. Fakt, podany przez Białkowskiego jest prawdziwym. Niemcewicz (Pamiętniki Tom II. str. 313) pisze: „Kazał (Hieronim) robić obroty kompozycyi swojej; te, jak wnosić można, nie bardzo się udały“. Miał to miejsce na mustrze na Woli w dniu 5-go maja 1812.

— 208 —

moment popisywania i na nasz pułk 12-ty, któremu król rozkazał maszerować frontem linią z 8 batalionów złożoną, z nastawionymi bagnetami, krokiem podwójnym. Przyspieszając takowy marsz, znaleźliśmy się w biegu. Po zatrzymaniu linii, tak pułk cały stanął, że go nie było potrzeby równać. Za to odebraliśmy od króla podziękowanie a od publiczności rzęsiste oklaski. Po odwróceniu pułku na stronę trzeciego szeregu znowu powtórzyliśmy te same poruszenia z równą doskonałością. Później rozkazał król sformować się w kolumny do ataku i takowemi w różnych kierunkach nas rozwijał z ogniem rotowym.

Po skończonych manewrach i oświadczeniu swego ukontentowania, przywołał Hieronim dowódcę naszego pułku Weysenhoffa i w dowód tego czule go uściśnął. Dopiero publiczność warszawska, otoczywszy nas, dziękowała nam imieniem całego narodu, dodając, że po takim pułku, jak był 12-ty, można się wielkich rzeczy spodziewać. Przeciwnie pułk 3-ci nie tylko na placu musztry, ale nawet, gdy publiczność spotykała pojedynczo oficerów tego pułku po mieście — był przedmiotem krytyki.

Nareszcie zbliżył się i dzień 21-go maja 1812 r. ¹⁾ w którym wszystkie pułki piechoty, stojące tak garnizonem w Warszawie, jak i okolicach, zebrały się na placu saskim wobec całego sztabu jeneralnego, jakoteż i senatu. Po poświęceniu orłów, czyli sztandarów, po mianej przemowie

¹⁾ Autor myli się tutaj częściowo. W dniu 21-go maja wyszły już tylko trzy ostatnie pułki piechoty naszej. Między nimi znajdował się i pułk 12-ty, o którym pisze Niemcewicz (I. c. 323). „Sam pułk 12-ty Weysenhoffa 800 ludzi ma chorych na szkorbut”. Prawdopodobnie przy pożegnaniu wręczono pułkom orły i książę Poniatowski wygłosił przemowę, podobną do tej, jaką odprowadzał dywizję Kniaziewiczza.

— 209 —

stosownej do wojska, odebraliśmy wspomniane sztandary, wyobrażające orła polskiego bez berła i jabłka srebrnego, umieszonego na podstawie czyli tablicy, na której było wyrażone z jednej strony wojsko polskie, na drugiej pułk N. piechoty.

Po wspomnianej przemowie i przedefilowaniu wyszliśmy przez most i Pragę w okolice Modlina, gdzie staliśmy dni kilka po wsiach. Później udaliśmy się w stronę Pułtusa i rozłożyliśmy obóz, do którego wojsko nasze codziennie przybywało z różnych okolic, aż w końcu zebrało się wszystko.

Po ściągnięciu się wojsk, ruszyliśmy przez Pułtusk, w dystrykcie ku Grodnemu.

Następnie zbliżaliśmy się w dystrykcie, jak wyżej wspomniano, traktem na Rajgród, Augustów, w którym to mieście przybył do nas Hieronim, król Westfalski. Po zrobieniu lustracji, szczególnie z dywizją generała Dąbrowskiego, maszerowaliśmy dalej, zachowując wszelką ostrożność wojenną. Byliśmy przygotowani do odparcia z prawej strony napadu, jeżeliby takowy miał nastąpić. Oprócz tego wszędzie, tak na spoczynek chwilowy, jakoteż i nocleg, stawaliśmy obozem z wszelką ostrożnością. Tak postępując, zbliżyliśmy się w końcu pod Grodno, gdzie stał korpus rosyjski, liczący 80.000 wojska, pod dystryktem generała Bagrationa ¹⁾. Wspomniany generał miał polecenie, że dopóty swego stanowiska nie opuści, dopóki ze strony nieprzyjaciela nie będzie choć jednego strzału, a następnie śpiesznym marszem ma cofać się na Mohilew nad Dnieprem. Cesarz Napoleon, przewidując to, chciał korpus nieprzyjacielski jak najdłużej w tej pozycji pod Grodnem

¹⁾ W Grodnie naprzeciw korpusu Hieronima stał nie Bagration, ale Płatow z Kozakami (7.000 ludzi). Sam plan otoczenia Bagrationa jest w dalszym ciągu przedstawiony zupełnie chaotycznie. Tu dodajemy, że korpus Hieronima przeprowił się przez Niemen pod Grodnem w dniu 30-go czerwca. Płatow próbował bronić przeprawy ale korpus ks. Józefa zmusił go do szybkiego odwrotu.

— 210 —

zatrzymać. Wskutek tego miał Hieronim polecenie, aby nieprędzej zacząć nieprzyjaciela jak w dniu 3-go lipca i, po poruszeniu tegoż, przeprowiwszy się przez Niemen, szybkim marszem dognać nieprzyjaciela, starając się, aby w przestrzeni od Grodna do Mohilewa zmusić ten korpus do stoczenia najmniej trzech bitw, a to dla zyskania na czasie. Napoleon bowiem, po przeprowieniu się sam pod Kownem i udaniu się w jednym dniu do Wilna, wyprawiał stamtąd jak najprędzej korpus marszałka Davouta z poleceniem, aby jak najspieszniejszym marszem udał się pod Mohilew, iżby tam uprzedził cofający się korpus nieprzyjaciela i w tym punkcie go odciął, licząc, że Hieronim wypełni co do joty rozkazy. Ale jakże przeciwnie się stało. Hieronim po przebyciu Niemna, zamiast, jak miał polecenie, dopiero 3-go lipca, zaczął nieprzyjaciela 1-go lipca i, wszedłszy do Grodna, zamiast ścigać cofającego się nieprzyjaciela, zatrzymał się tam i został bezczynny przez kilka dni z tego powodu, jak mówią, że był zajęty kuracją

swego zdrowia ¹⁾. Jazdę tylko, pod rozkazami generała Różnieckiego, posłał, aby ścigać nieprzyjaciela ²⁾. Ale cóż się dzieje? Jazda nasza dościga awangardy nieprzyjacielskiej pod Mirem w pozycji bardzo nieszczęśliwej. Był to młyn wodny, przy którym staw dosyć obszerny, opatrzone groblą niezbyt dawno usypaną, błotnistą; za groblą otwierała się przestrzeń dosyć obszerna pola, otoczona opodal na przeciwnej stronie lasem, tak, że tylko trakt przechodzący przez ten las mały otwór w nim formował. Las ten był otoczony mnóstwem kozaków. Jazda nasza zbliżyła się do owego młyna; naturalnie przeszła nasza awangarda

¹⁾ Hieronim wyruszył z Grodna dopiero w dniu 4-go lipca, czem rzeczywiście uniemożliwił wykonanie planu osaczenia Bagrationa. Przyczyną, zdaniem Thiersa, miały być bale, wyprawiane na cześć króla przez obywatelstwo miejscowe.

²⁾ Różniecki stanowił przednią, straż korpusu Hieronima od d. 7-go lipca i miał pod sobą dywizję jazdy, czyli mniej więcej 3.000 ludzi.

— 211 —

ową groblę, następnie pole, a, gdy weszła do lasu, wysypuje się niezliczone mnóstwo kozaków w owej zasadzce będących i otaczają Polaków. Gdyby się generał Różniecki był przeprowił z całą swoją siłą przez owe groble, albo też zaniechał dalszych operacji, możnaby było wyjść szczęśliwie z tej przeprawy, ale na nieszczęście posłał on szwadron z pułku 3-go ułanów dla wspierania wspomnianej awangardy. Gdy ten przybył w ów punkt, ten sam go los spotkał, co i awangardę, a następnie, gdy wciąż z naszej strony powtarzano ataki małymi oddziałami, które zostawały z kolei otaczane, jen. Różniecki znaczną część jazdy utracił. Dopiero wysłani konni strzelcy, uzbrojeni karabinkami, nie wdając się z kozakami w żadne utarczki inne jak tylko strzałowe (czego kozacy bardzo unikali), odbili część jeńców i śpiesznie się cofnęli. Jazda nasza, bez piechoty i artylerii konnej, obawiając się, aby w podobną zasadzkę wprowadzaną nie była, zatrzymała się w tem miejscu ¹⁾.

Generał, zdając raport Hieronimowi o zaszłych wypadkach, żądał, aby mu przysłano piechoty i artylerii, nim rozpocznie dalsze posuwanie się. W tej chwili zbliżyło się nasze wojsko pod Nowogródek. Stąd na całą noc wysłano 8 kompanii wołyżerów i 2 baterie artylerii. Generał

¹⁾ Bitwa pod Mirem jest przedstawioną przez naszego autora zupełnie nieściśle: 1) Miały miejsce właściwie dwie bitwy w dniu 9-go i 10-go lipca, jedna w mieście Mirze, druga w Siennikowie o milę od Mira. 2) A ułani ma na myśli teren pierwszej bitwy, a działacze (3 pułk ułanów) drugiej. 3) Nie było wcale w bitwie strzelców konnych, tylko sami ułani.

Natomiast charakterystyczną jest przesada strat Różnieckiego. De facto dywizja straciła 500—650 ludzi, a w Księstwie mówiono powszechnie o stracie całych pułków. „Mocno pamiętam — pisze Antoni Ostrowski — jak krytykowano wtedy jen. Różnieckiego za dopuszczenie tyle nieszczęśliwego wypadku w samym początku tej kampanii i za wystawienie korpusu polskiego na stratę kilku najlepszych pułków kawalerii”. (A. Ostrowski: Żywot Tomasza Ostrowskiego T. II, str. 211).

— 212 —

Różniecki, odebrawszy wspomniany posiłek, rozpoczął dalsze posuwanie ¹⁾).

Wskutek tego uchybienia, popełnionego przez Hieronima przy przejściu Niemna pod Grodnem, cesarz rozkazał temu, aby zebrawszy swoją gwardyę, powrócił do Kassel, stolicy swego państwa, jako niegodny dowodzić tak świetnym korpusem ²⁾).

Książę Józef Poniatowski, odebrawszy naczelne dowództwo nad 5-tym korpusem, usiłował poprawić błąd zdziałany przez Hieronima. Wskutek tego, dowiedziawszy się o poprzednim stanie rzeczy, starał się wynagrodzić marszami przyspieszającymi, aby doścignąć nieprzyjaciela i zmusić go do przyjęcia bitwy, przez co zyskiwało się nad nim na czasie.

Bagrations, korzystając z błędu Hieronima, śpiesznie się cofał w punkt naznaczony. Gdy przybył nad Dniepr, widział się odciętym przez Davouta. Po rozpoznaniu dostatecznym przekonał się, że niezbyt silnym był Davout do przeszkodzenia mu przeprawy w każdym punkcie nad Dnieprem. Przedsięwziął tedy Bagration plan inny, który mu się wybornie udał. Poniżej tego miejsca gdzie stał Davout, wysłano dwie brygady piechoty z potrzebną artylerią, dając rozkaz dowódcy tego oddziału, aby w tym punkcie, nie zważając na obecność nieprzyjaciela, rzucił most pontonowy na Dnieprze i tam się przeprawił. Gdy się to dzieje, Davout wzmacnia ów punkt, sądząc, że tam cały korpus Bagrationa chce się przeprawić. Tymczasem ten ostatni, pozwoliwszy Francuzom wziąć wspomniane dwie brygady na przeprawie, w tym czasie w innym punkcie z całym korpusem się przeprawił. I tak, wskutek błędu

¹⁾ Różnieckiemu nie wysłano posiłków w piechocie, połączył się on tylko z jazdą Latour-Maubourga, z pomocą której wyparto Rosyan z Miru.

²⁾ Hieronima oddano pod komendę Davout'a i z tej racji wrócił on do Kassel. Gwardye niemieckie zostały. (Niemcewicz I. c. 359). Książę Józef był od samego początku dowódcą 5-go korpusu.

— 213 —

Hieronima, jak wyżej powiedziano, korpus 80000 nieprzyjacielski, prawie jak z ręki, Napoleon utracił ¹⁾).

Wracam się do naszego korpusu. Książę Poniatowski, chcąc powetować opóźnienie, śpieszył dniem i nocą ku Mohilewu. Nie dościgniono nieprzyjaciela aż pod Romanowem, gdzie po małej utarczce kawalerii nieprzyjacielskiej z naszą awangardą, Rosjanie cofnęli się ²⁾). Przybywszy pod Mohilew, książę nie zastał już nikogo, bo i Francuzi, widząc się omyleni w swych zamiarach, opuścili Dniepr, zabrawszy z sobą niewolnika ³⁾). Przybywszy do Mohilewa, byliśmy strasznie znużeni i osłabieni przez odłączanie się maruderów, których z powodu forsownych marszów dużo w drodze pozostało ⁴⁾). Ponieważ byliśmy na przedzie, przeto dla zrównania się z armią i ściągnięcia maruderów pozostaliśmy pod Mohilewem przez dwa tygodnie ⁵⁾). W przeciagu

¹⁾ Książę Józef nie ścigał Bagrationa, za Bagrationem szła tylko przednia straż Hieronima, w której był Różniecki. Jestto błąd często spotykany w naszych pamiętnikach, popełnia go nawet Roman Sołtyk. Szczegóły przeprawy Bagrationa fałszywe zupełnie. Davout sam był poważnie zagrożony przez Bagrationa pod Sołtanówką, bez Westfalczyków i Polaków mowy być nie mogło o wstrzymaniu Bagrationa, Davout uniemożliwił mu tylko na razie połączenie się z główną armią, przeprawy zaś przez Dniepr pod Starym Bychowem dokonał Bagration bez bitwy.

²⁾ Pod Romanowem bił się nie ks. Józef, ale Różniecki (14-go lipca). Pierwszy pułk strzelców konnych, odcięty przez nieprzyjacielską jazdę, stracił tam połowę swego składu.

³⁾ Jestto nieprawdą. Na drugi dzień po przybyciu korpusu 5-go do Mohilewa — przyszedł tam korpus Davouta po stoczonym bitwie pod Sołtanówką.

⁴⁾ Forsowne marsze, desynterya i głód — zrujnowały po prostu naszą piechotę. Ubytek w szeregach wynosił do 300 ludzi na batalion. Winną tu była także, jak stwierdza jen. Kołaczkowski, zła organizacja przemarszu, z której robiono zarzuty ks. Józefowi i Fiszerowi, oraz brak karności, dzięki któremu wojsko polskie więcej miało maruderów jak francuskie. Dopiero w Mohilewie zaczęli się ściągać maruderzy, a jednak strata wynosiła po 200 ludzi na batalion. (Skład owoczesny batalionu wynosił 800 ludzi).

⁵⁾ Korpus stał w Mohilewie od d. 28-go lipca do 11-go sierpnia.

— 214 —

tego czasu, wystawiwszy most na Dnieprze pod miastem, wyprawiono pułk huzarów naszych do miasteczka za Dnieprem, (którego nazwy nie pamiętam). Dosyć tego, że tam byli Jezuici. Dla strzeżenia mostu i utrzymania komunikacji z owym pułkiem na przodzie będącym, posłano mnie z kompanią piechoty za most do miasteczka zaraz za Dnieprem będącego, (tak jak Praga od Warszawy) i polecono mi, abym się postawił na wszelki wypadek w stanie obrony ¹⁾). Przybywszy, znalazłem tuż przy moście dom murowany. Przedsięwziąłem zaraz okopanie wałem owego zabudowania. W fosie umieściłem palisady, a otwór zabezpieczyłem ruchomą rogatką z drzewa grubego, do zamykania służącą. Gdy tak się zabezpieczyłem, dla wszelkiej ostrożności dozwoliłem żołnierzom spoczywać w dzień, a całą noc staliśmy pod bronią.

Gdy doczekaliśmy poranku, zbliża się do nas pewnego razu człowiek, mający na sobie jakiś podłużny tłumok, z pod którego para czyli dym się unosił. Anonsował głosem donośnym swój towar, czego nie rozumiałem. Mając w kompanii porucznika Tarnawskiego, będącego rodem z gubernii podolskiej a do tego dawniej urzędnika rosyjskiego, który ten język posiadał, zapytałem go, coby ten człowiek zapowiadał. Na to Tarnawski nasamprzód dał znak temuż, a gdy się zbliżył, rzekł do mnie: „Właśnie w porę do nas przychodzi, bośmy też trochę zziębli”. Przemówił z owym człowiekiem po rusku, a ten zastawił na straganik mały, który ze sobą przyniósł ów samowar kipiący, pod którym była fajerka z węglami żarzącymi się. Dobył szklanek i zrobiwszy nam po jednej szklance czaju, którego wówczas u nas nietylko że nie używano, ale nawet nie znano, dostał z kosza butelkę z arakiem

¹⁾ Na Dnieprze zbudowano most, broniony przez szaniec przedmostowy. Awangardy stały po drugiej stronie Dniepru na drodze Mściławskiej. Zapewne jeden z takich wysuniętych posterunków zajmował Biłkowski.

— 215 —

w czym wszystkim Tarnawski mu przewodniczył. Wówczas wszyscy przyznaliśmy, że to jest wyborny trunek, zwłaszcza na rozgrzanie się po chłodnej nocy, a za bardzo tanie pieniądze. Zamówiliśmy sobie owego człowieka na cały czas tam naszej konsystencji, który też punktualnie przed wschodem słońca codziennie nas odwiedzał. W przeciągu tego czasu, gdy nadeszła niedziela i nie mieliśmy nic do czynienia, Tarnawski zaproponował, aby pójść na nabożeństwo do cerkwi w tem miasteczku będącej. Gdyśmy przyszli, oddawszy po swojemu adorację Bogu, zbliżyliśmy się za przewodnictwem Tarnawskiego do ołtarza. Uważaliśmy, jak lud gminny oddawał pokłony Najwyższemu, za każdym razem padając na kolana, dotykając ziemi czołem i znowu podnosząc się z żegnaniem się. Klasa zaś wyższa, czyniąc niby toż samo, tylko dotykała się palcami ręki ziemi i prostując się, żegnali. Wszystkie te obrządki były wówczas nam obce. Jeden tylko Tarnawski był z nimi obeznany i nam też wszystko tłumaczył. Gdy z kolei obrządku rozpoczął ksiądz ruski suplikacje za zdrowie cesarskiej rodziny, Tarnawski zbliżył się do mnie, mówiąc: „Czy słyszysz kapitanie, że ksiądz odbywa suplikacje za zdrowie cesarza Aleksandra?” Ja odpowiedziałem: „Co mi tam do suplikacji”. Tarnawski, namyśliwszy się cokolwiek, uśmiechnął się i udał się do księdza, coś mu podszeptnął, a ten widać zmieszał się i zaczerwienił, a wtedy powiedział nam Tarnawski, że mocno księdza nastraszył za to, że się poważył w naszej obecności modlić za rodzinę cesarza Aleksandra. Potem znowu zbliżył się do księdza Tarnawski, tak jakby mu znowu coś do ucha chciał mówić i w tem położeniu pozostał, ciągle coś poszeptując. Domyśliłem się wkońcu, że księdzu dyktował imiona rodziny cesarskiej, bo zaraz ksiądz zaczął śpiewać: „Hospody pomyśl Jch o Imperatorskoje Wieliczestwo Napoleona so wsiej jch o familiej i so wsiem jeho mocarstwom”. Nim djaki odpowiedziały, znowu ksiądz zapytał Tarnawskiego

— 216 —

o imię cesarzowej, a następnie wymienił jej imię, potem syna, następnie braci; наконец usłyszeliśmy imiona cesarskiej rodziny, których na świecie nie było. Po skończonej zbyt długiej ceremonii, gdyśmy wyszli z cerkwi, przybiegł zadyszany poddajca za nami, oświadczając, że ksiądz prosi nas do siebie. Tarnawski głośno się roześmiał mówiąc: „Naciągnąłem rzeczy dobrze, zabaczycie...” Gdyśmy przybyli do plebanii, ksiądz jeszcze okazywał na twarzy pomieszenie, czegośmy przyczyny nie doszli, aż dopiero sam się przyznał, że w suplikacjach się przez częste używanie zapomniął. Mało nas to obchodziło, czy on tego, czy owego wymieniał. Ale Tarnawski naciągnął, aby ksiądz z tego powodu przeprosił, przyrzekając niby, że o tem zapomnieniu nikt się nie dowie.

Wspominałem na początku tej powieści, że pułk naszych huzarów posłano do jakiegoś miasteczka za Dniepr, gdzie się znajdowali Jezuici. Pierwszej nocy, gdyśmy według zwyczaju stali pod bronią, noc była cicha, a przytem rosa — nagle dało się słyszeć naprzód kilka strzałów, później gęściej i coraz gęściej. Trwało to może więcej jak godzinę. Za usłyszeniem strzałów podwoilem ostrożność, wysławszy śpiesznie konnego do obozu z uwiadomieniem o zaszyłych w tej stronie strzałach. — Ale, ledwo posyłka mogła być na połowie drogi do obozu, usłyszałem tętent kilku koni przez most i głosy wołających do patroli, aby jak najśpieszniej rogatkę otworzyć. Za tymi kłusem śpieszyła brygada konnych strzelców naszych i artyleria konna. Skoro tylko, jak się domyśliłem, doszła brygada do wspomnianego miejsca, nagle dały się słyszeć gęściejsze strzały, ale te w krótkim czasie zupełnie ustały. Gdy dzień zaczęło, powracała owa brygada z wyprawy. Od oficerów dowiedziałem się, że Jezuici pozornie zaprzyjaźnili się z oficerami od huzarów i dniem przedtem zaproponowali dowódcy, czyliby nie pozwolił na to, iżby oni posłali swego człowieka dla kupienia w pobliskim miasteczku wina, mówiąc, że im takowego brakło. Żądali przytem, aby tego

— 217 —

człowieka opatrzyć świadectwem, podpisaniem przez dowódcę.

Gdy posłaniec wyjechał, te samej nocy zostali nasi napadnięci tak dalece, że już wszystkie konie naszych huzarów były zabrane i znaczna część oddziału. Reszta naszych schroniła się do klasztoru i kościoła, broniąc się strzałami przez okna. Szturmujący w najlepsze wybijali belkami drzwi i ściskali obłożonych, gdy nagle zostali obkoczeni przez przybywającą odsiecz. Po odebraniu napowrót koni i zabranu oblegających, dowiedziano się od jeńców, że ów człowiek, który był posłany niby po wino, doniósł imieniem Jezuitów, że Polacy stoją w klasztorze, wskazał, gdzie mają konie, w jakim położeniu, zgola, że ten sam człowiek od Jezuitów posłany doprowadził nieprzyjaciela.

Po przekonaniu się o wszystkim, gdy chciano badać Jezuitów, sądząc, że po swych celach spokojnie spoczywają, gdy się do nich udano, nie zastano już żadnego w klasztorze. Domyślać się należy, że wówczas, gdy spostrzegli, że nadeszła silna pomoc skorzystali z zamieszania i zbiegli dalej ¹⁾).

Gdy piechota cała stała w obozie pod Mohilewem, a część kawalerii po przyległych wsiach, nasi żołnierze zaczęli wyklądać tamtejszym chłopom źle zrozumianą wolność. Wystawiali im, że zasady wolności w Księstwie Warszawskim zaprowadzone polegają na tem, że chłop jest równy swemu dziedzicowi. Chłopy, korzystając z obecności wojsk naszych, napadają na dwór swego dziedzica (mszcząc się za osobiste urazy) i całą rodzinę wyrzynają. Naturalnie, takie morderstwo nie mogło ująć zasłużonej kary. Wspomnianych chłopów połapano, pod sąd oddano, i w Mohilewie rozstrzelano ²⁾).

¹⁾ O fakcie tym żadnej innej wzmianki niema.

²⁾ Był to objaw znacznie ogólniejszy. O rozruchach w Mińskiem wspomina Ostrowski (I. c. str. 205). W wielu miejscach zaprzestano wychodzić na pańszczyznę. Że to było skutkiem wpływu żołnierzy, znaleźliśmy na to dowody w papierach Rządu tymczasowego litewskiego.

— 218 —

Po ściągnięciu się do obozu maruderów, ruszyliśmy dalej ku Orszy, maszerując najprzyjemniejszym traktem, który urządzony jest od lat 40-tu przeszło. Trakt wspomniany wysadzany jest brzezina, po dwa rzędy z każdej strony. Między tymi rzędami są dla idących piechotą wygodne ścieżki, zaś dla przejeżdżających miejsce i bardzo szerokie. Taki trakt ciągnie się aż ku Moskwie.

Tym traktem doszliśmy do Orszy i poszliśmy dalej pod miasto Krasne ¹⁾, gdzie zastaliśmy kilka tysięcy nieprzyjaciela. Było to 15 go sierpnia. Gdy pod Krasnem usłyszeliśmy strzały armatnie, zatrzymaliśmy się cokolwiek dla dojścia pozostałych żołnierzy.

Marszałek Davout, chcąc upamiętnić rocznicę cesarza Napoleona, uderzył na Rossyan, a lubo spieszyliśmy, chcąc być uczestnikami tego zwycięstwa, przecie, nim dobiegliśmy, już zastaliśmy dragonów francuskich, prowadzących zdobyte działa i niewolnika 6000 ²⁾).

Dnia następnego udaliśmy się ku Smoleńskowi. Gdy traktem ubocznym ponad Dnieprem doszliśmy pod Smoleńsk, oznajmił cesarz, że życzy sobie nas widzieć. Przeto zatrzymano nas nad Dnieprem, dla łatwiejszego oczyszczenia się, a około godziny 4-tej z południa w największej paradzie, w wielkich mundurach, ruszyliśmy ku

¹⁾ Korpus 5-ty między Sołami i Krasnem w dniu 14-go sierpnia złączył się na chwilę z wielką armią, a od Orszy stanowił jej prawe skrzydło.

²⁾ Mowa tu o potyczce pod Krasnem w dniu 14-go sierpnia t. j. w przeddzień imienin Napoleona. Jazdą francuską dowodził nie Davout, jak mówi Białkowski, ale Murat. Nieprzyjacielskiej kolumny Newerowskiego nie rozbito, gdyż mimo kilkakrotnych ataków jazdy francuskiej zdołała ona, sformowawszy się w czworoboki, ująć do Smoleńska. Wzięto tylko 1500 niewolnika, 8 dział i 14 jaszczków. Działa wziął 9-ty pułk ułanów polskich, który się najbardziej odznaczył w szarżach na kolumny Newerowskiego.

— 219 —

Smoleńskowi ¹⁾ pod którym słyhać już było silny huk armat. Gdy bliżej postąpiliśmy, spotkał nas Napoleon. Ujrzelśmy go pierwszy raz od czasu, kiedy oglądał poboju pod Friedland w Starych Prusiech. Zakomenderowano defiladą i już zaczęliśmy formować się w kolumny, gdy cesarz rozkazał, aby w składzie marszowym przeciągnąć przed nim. Ponieważ korpus nasz liczył do 7000 z Westfalami, przeto cesarz dla wygodniejszego przypatrywania się nam zsiadł z konia, co też i jego sztab uczynił, jak niemniej i sztab księcia Poniatowskiego. Cesarz położył się na małym pagórku i, podparłszy się na prawej ręce, leżał, gdyśmy przed nim defilowali przy odgłosie muzyki i bębnow. Ponieważ nasz pułk zamykał lewe skrzydło naszej piechoty, przeto po przeciągnięciu zatrzymałem się nieco i uważałem, jakie będzie rozstawanie się cesarza z Poniatowskim. Jak wyżej mówiłem, cesarz leżał na trawniku, a niezbyt daleko stał Poniatowski. Zaś sztab liczny, złożony z kilku marszałków, generałów i mnóstwa oficerów, stał opodal, najmniej o sto kroków. Gdy się skończyła nasza defilada, cesarz, podniósłszy się z ziemi, zbliżył się do Poniatowskiego i w dowód swego ukontentowania podniósł prawą rękę i z góry położył ją na ramieniu Poniatowskiego, który ciągle prawą rękę trzymał przy kaszkiecie na znak salutowania. Mówił coś ciągle do Poniatowskiego, a widać było, że mówi coś pochlebnego, bo Poniatowski często powtarzał ukłony, a cesarz powtarzał częste po ramieniu uderzenia. Gdy te wzajemne grzeczności się skończyły, Poniatowski cofnął się tyłem, kilkakrotnie znowu salutował, a wkońcu, zwróciwszy się zgrabnie, jak gdyby w kadrylu, podskoczył.

¹⁾ Korpus 5-ty połączył się z wielką armią pod murami Smoleńska d. 16-go sierpnia i zaraz zajął stanowisko na prawym skrzydle armii, oddalony o pół mili od miasta. Napoleona zobaczono po raz pierwszy d. 14-go sierpnia na trakcie prowadzącym do Krasnego, defilował zaś przed nim cały korpus dnia 16-go t. m. przed zajęciem stanowiska pod Smoleńskiem.

— 220 —

Gdy mu podano jego ulubioną klacz karą, dosiadł jej lekko i dał kilka szczupaków, tak, że klacz zadniemi nogami wyrzuciła piasek, który padł nieopodal od cesarza. Napoleon patrzył za Poniatowskim, a uśmiechnąwszy się, coś powiedział do swojej świty, która, jak wyżej zaznaczyłem, opodal z odkrytymi głowami stała. Na odezwanie się jego, kilku marszałków, starców już osiwiatych ¹⁾ rzuciło się najprędzszym pędem, prawie młodzieńczym, dla odbrania może jakiego polecenia. Od czasu, gdy ostatni raz widziałem cesarza, znalazłem go znacznie otylszym. — Był ubrany w mundur strzelców konnych gwardyi, w spodniach białych i butach długich. Zdawał się być bardzo dumny. Mówiono wówczas, że Poniatowski podczas opisanej przezemnie rozmowy miał proponować cesarzowi, aby dalej się nie zapuszczał, ale rozpostarł wojsko po prowincjach już zajętych, ale to było fałszywem, bo, jakśmy to zauważyli, cesarz zdawał się być prawie bożkiem, do którego nikt nie miał przystępu, chyba jeden Berthier ²⁾.

¹⁾ Autor przesadza tu bardzo co do tego zwyczaju odkrywania głów przed cesarzem. Marszałkowie zdejmowali kapelusze tylko w czasie rozmowy z cesarzem. Nie było następnie starców między marszałkami. W roku 1812 Davout liczył lat 42, Ney 32 (w *rzeczywistości* 43), sam Napoleon 43.

²⁾ Niema tu stanowczo słuszności nasz autor. Książę Józef, prawda nie w czasie przeglądu, ale poprzednio z Mohilewa i później na radzie wojennej w Smoleńsku d. 21-go sierpnia czynił cesarzowi przełożenia co do zgubnego dla sprawy polskiej, a nawet dla przebiegu całej kampanii, ściągnięcia 5-go korpusu z południa i zastąpienia go przez niepewny sprzymierzeńczy korpus Schwarzenberga. O ile Napoleon w czasie kampanii w r. 1812 mało się liczył ze zdaniem swych marszałków, wyrażonem na wymienionej powyżej radzie wojennej w Smoleńsku, o tyle stwierdzić należy, że zdanie swoje, przeciwne szybkiemu posuwaniu się w głąb Rosyi, wypowiadali wówczas marszałkowie dość stanowczo. Nawet Berthier, skądinąd nigdy nie mający swego zdania, osobistość, która stanowisko szefa sztabu wielkiej armii zawdzięczała li tylko zdolności wiernego zręcznego uskuteczniania rozkazów Napoleona, w Wiaźmie przyłączył się do zdania marszałków, narażając się na chwilową niełaskę cesarza.

— 221 —

Miasto Smoleńsk od miejsca, gdzieśmy defilowali, przedzielał wzgórek, okryty małym laskiem; gdy więc przebyliśmy takowy, ujrzelśmy w całej groźnej postawie Smoleńsk, do którego nie było dalej jak dwie wiorsty. Rozwinąwszy nasz front na trzy linie, stanęliśmy obozem. Wkrótce też i słońce zaszło. Jakieś strzały dały się słyszeć z drugiej strony, a z nocą całkiem ustały ¹⁾. Noc była

spokojna. Przy większym zmroku widzieć się dały wyraźniej linie nieprzyjacielskie za Dnieprem, uszykowane naprzeciw nas i mające prawe skrzydło swoje oparte o Smoleńsk, co można było rozpoznać po ogniskach. Ciągłe rozlegały się głosy: „Kto idzie?” w rozmaitych językach różnych narodów.

Skoro tylko dzień zaczęło, odezwały się najróżnorodniejsze odgłosy i pobudki, tak nieprzyjacielskie, jakoteż i nasze ²⁾. — Cesarz już był, z lornetą w rękę, na koniu, przebiegając po wyższych wzgórkach, na których zatrzymywał się i robił rozpoznania.

Ks. Poniatowski, powróciwszy od cesarza, oznajmił, że dnia tego, tj. 17-go sierpnia, cesarz sam ma odbyć z nami lustracyę, polecił więc książę odpowiednio się przygotować. W przeciągu godziny już byliśmy gotowi do odbycia nakazanej lustracyi, ale czekała nas inna lustracya ³⁾.

O godzinie 11-tej przed południem odebrano z ust

¹⁾ Strzały te pochodziły z lewego skrzydła armii oblężniczej, gdzie piechota francuska ucierała się z przednimi posterunkami nieprzyjaciela.

²⁾ Dzień 17-ty sierpnia.

³⁾ Korpus 5-ty wyruszył z miejsca o godz. 9-tej rano. Premaszerowano przed cesarzem, który nakazał zmianę frontu, aby prawem skrzydłem zbliżyć się ku Dnieprowi. Ruch ten uczyniono w zamieszaniu. Napoleon — pisze Kołaczkowski, roześmiał się na widok pomyłek i rzekł: „To są młode wojska!”

— 222 —

cesarza rozkaz „do broni”, podawany z ust do ust w dialekcie dwunastu narodów. Gdy stanęliśmy pod bronią, cesarz, jak błyskawica, na swym siwym, długonogim wierzchowcu, przebiegł nasze linie, polecając sformować się w rozmaite kolumny. W tym momencie ziemia zatętniała pod kopytami francuskich kirasyerów, którzy, uszykowawszy się przed naszymi kolumnami, zasłonili nas przed nieprzyjacielem.

Wtem nasz generał brygady, Michał Grabowski ¹⁾ poleca nam, żeby nie zabawiać się strzałami, wpadając na okopy, albo mury, ale, aby...²⁾

.
.
.

Gdy nieprzyjaciel zajął Wilno, generał Zajączek oddał swój oręż generałowi dowodzącemu. Kiedy ten dowiedział się, że szpadę oddaje generał Zajączek i do tego tak ciężko ranny, pośpieszył do niego w odwiedzin, przyrzekając mu wszelkie bezpieczeństwo i pomoc ³⁾. Zaś generał

¹⁾ Zginął tego dnia. Miał on pojedynkować się poprzednio z powodu jakiegoś zajścia z pułkownikiem Krukowieckim, słynnym naówczas pojedynkowiczem i awanturnikiem. Sekundanci zdecydowali, aby zamiast pojedynku obaj przeciwnicy ruszyli na czele swych kolumn. Grabowski zginął, Krukowiecki został rannym. „Był to oficer pełen talentu i odwagi” — pisze o Grabowskim Kołaczkowski. — W skład jego kolumny w dniu ataku wchodziły pułki: 2-gi, 8-my i 12-ty.

²⁾ W tem miejscu w rękopisie pamiętnika Białkowskiego istnieje znaczna przerwa. Dodajemy tutaj tylko, że kolumna M. Grabowskiego zdobyła przedmieście Raczyńskie, ale później, poniosłszy znaczne straty, a między innymi utraciłszy swego generała, cofnęła się do parowów naddnieprzańskich.

³⁾ Jen. Zajączkowi pod Berezyną odłamek granatu zgruchotał nogę. Po amputacji, dokonanej przez słynnego Larey’a, generał został odwieziony w saniami cesarskich do Wilna. Zmuszony tam zostać, dostał się do niewoli. Po nim objął dowództwo nad Polakami (książę Józef, już od Smoleńska chory, jechał za armią) generał Dąbrowski. I temu z kolei odłamek kartaczu zgruchotał dwa palce. Oddał dowództwo Kniaziewiczowi, który również niedługo cieszył się komendą: kula działowa uszkodziła mu nogę. Wkońcu dowodził jen. Izidor Krasieński.

— 223 —

Dąbrowski, ugodzony w rękę kartaczem, został kaleką na dwa środkowe palce, które kartacz zgruchotał. Opatrzono go odrazu na śniegu i nadal był on ciągle obecnym przy wojsku, a następnie udał się za armią francuską.

Dodać tu należy wypadek, jaki się w tej bitwie zdarzył z kapitanem pułku naszego, Nepomucynem Płaczyńskim. Przy rozpoczęciu bitwy zebrane resztki naszego pułku składały się tylko z trzydziestu kilku rot, a ponieważ już nie mieliśmy żadnego sztaboficera, przeto wspomniany kapitan, jako z nas najstarszy, wziął nad nami komendę, i naturalnie stanął przed frontem. Ledwie tylko podeszliśmy ku nieprzyjacielowi, który nas przyjął mocnym ogniem, tenże kapitan pada na ziemię, nie dając żadnego znaku życia. Gdy się to stało, ponieważ nie było to dla nas nowością wielką, że komendant zabity, inny kapitan wziął po nim komendę. Postępując naprzód ku nieprzyjacielowi, przeszliśmy przez rozciągniętego na ziemi Płaczyńskiego. Ale feldwebel Spiechowski, zobaczywszy swego kapitana zabitego, odzywa się: „Ja nie mogę swego kapitana zostawić, aby go nie pochować”. Złapał więc jakiegoś konia, przyprowadził go i, przewiesiwszy kapitana przez niego, uprowadził go w głąb lasu w celu pochowania.

Gdy się bitwa skończyła i w nocy ognie porozpalano, Spiechowski udawał w rozmowie niby żał po stracie swego dowódcy, ale razem pokazywał zdobycz, jaką po nim zabrał. Było nasamprzód kilka sznurków pereł różnej wielkości, które nieboszczyk nosił pod chustką na szyi i tabakierka duża, napełniona brylantami, powymyłowanymi z różnych sztuk i do tego duży trzos pieniędzy, a na koniec odzież, zdjęta z nieboszczyka. Spiechowski mówił, że

— 224 —

nie mógł kapitana inaczej pochować jak tylko w jednej koszuli, gdyż ziemia była zmarznięta, musiał więc, rozgarnąwszy zasneżony śnieg, w takowym go pochować. Prawdziwego przebiegu tej sprawy dowiemy się w r. 1814.

Jak jest dobrą rzeczą nie uwodzić się chciwością zysku, następujący przykład dowiedzie. Pod Berezyną my staliśmy w drugiej linii, a dywizja generała Dąbrowskiego była w pierwszej, w takim więc szyku uderzyliśmy na korpus Czyczagowa. Doszedłszy pod usypane baterie nieprzyjacielskie, zaczęliśmy się pod usilnym ogniem cofać. Gdy pierwsza linia przechodziła przez naszą drugą, oficer z pułku 7-go piechoty polskiej, ranny w rękę, pośpieszył w tył dla opatrzenia rany. Gdy blisko mnie przechodził, zauważyłem, że, zaczepiwszy torebką safianową o karcz dębowy, oberwał ją i zgubił. Gdy mu zwróciłem uwagę, na to, machnął ręką, mówiąc, że mu już torebka nie potrzebna. Po odebraniu owej odpowiedzi skoczyłem do owej torebki, chcąc ją podnieść, ale z drugiej strony przyskoczył sierżant starszy, Glasiński, chcąc mnie uprzedzić w podniesieniu i razem uchwyciliśmy za nią. Przeto ja do niego mówię: „No weź tę torebkę, ale sobie zamawiam, że, jeżeli w niej jest co do pożywienia, to połowa dla mnie.” Skoro się bitwa skończyła i cofnęliśmy się o parę wiorst w tył ku Berezynie, po rozpaleniu ognia przychodzi do mnie Glasiński, mówiąc, że, lubo ową torebkę przez czas bitwy nosił, daje słowo honoru, że nawet do niej nie zajrzał, obecnie zaś przychodzi, aby podział zrobić. Naturalnie domyśliłem się zaraz, że może w torebce znajdzie się co do zjedzenia, a ja po bitwie nie miałem nic w ustach. Otwieramy naszą zdobycz i odrazu na wstępie trafiamy na najważniejszą rzecz, bo na pół bochenka chleba pyłowego i dwa funty gotowanej słoniny, z czego mieliśmy znaczny posiłek. Następnie znaleźliśmy w trąbkę zawinięte nauszniki, bardzo porządnie zrobione z jakie-goś futerka popielatego, skórą safianową czarną pokryte. Gdy włożyłem je na próbę, zauważyłem, że nie tylko zasłaniały uszy, ale

— 225 —

nawet i kark z tyłu. Mówię więc do współnika: „Ja to biorę a ty sobie bierz resztę”. Na spodzie torebki był jeszcze sztuciec srebrny i sześć łyżek. Glasiński, widząc to, mówi: „Tak być nie może. Pan byś miał krzywdę, za bagatelne nauszniki jabym miał wziąć tyle srebra?” Ja znowu powtórzyłem, że słowa mego nie cofnę.

Nazajutrz tej samej nocy wypogodziło się, a nad ranem mróz ogromny chwycił ¹⁾. Gdy wiatr mroźny pociągnie, tak że nosa ciężko pokazać, dobyłem z kieszeni owych zauszników. Gdy je na uszy założyłem, zdawało mi się, że zyskał miliony, tak były mi dogodne. Żołnierze nasi rozbiegli się, aby się rozgrzać, trzepiąc ręce, zacierając uszy. Przypadkiem zetknęliśmy się z Glasińskim. Ten, spojrzawszy na mnie, a zobaczywszy nauszniki, stanął jak wryty, a potem dodał: „Czyś pan przewidział ten mróz, żeś wziął nauszniki? Niech Pan weźmie wszystko i torebkę za nauszniki”. Ja, śmiejąc się, powiedziałem; „Nie trzeba być nigdy chciwym, masz przykład na mnie. Wszak wczoraj, kiedy nie było mrozu, wszystkiego ci odstąpiłem, ale dziś słowa cofać nie będziemy”. Ile razy potem Glasiński spotkał się ze mną w marszu, potrząsał głową, nie mogąc zapomnieć naszego podziału.

Jeszcze jedno zdarzenie w tej bitwie. Gdy podeszliśmy, jak wyżej powiedziano, pod baterie nieprzyjacielskie i byliśmy rażeni ogniem karabinowym, szef batalionu, Rutkowski, bardzo waleczny oficer, został ugodzony w piersi kulą karabinową, która, jak sądził, szła już bardzo słabo, gdyż tylko go w piersi stłukła. On spokojnie uchwycił się za miejsce, gdzie kula trafiła i namacał ją natychmiast; uwięzła mu ona w płaszczu. Spokojnie

¹⁾ Termometr Reaumur’a spadał wówczas do 28° niżej zera. Podobne, jak armia francuska, straty wskutek mrozu ponieśli i Rosyanie. Dość wskazać na to, że armia Kutuzowa, która wyszła z obozu pod Tarutino w składzie 97112 ludzi, przyszła do Wilna w składzie 27464 ludzi.

— 226 —

wydłubawszy ją z płaszcza, pokazywał nam takową, mówiąc: „Patrzcie, i ona mnie nie minęła”. Po obejrzeniu rzucił kulę na ziemię.

Po skończonej bitwie, gdyśmy siedzieli przy ognisku, jeden z kolegów przyniósł na pokrywcę od kociołka kaszy gotowanej, mówiąc: „No, do broni!” (tj. aby każdy wziął łyżkę). Sięgnął i Rutkowski do kieszeni płaszcza po łyżkę, ale jakże się zdziwił, kiedy zobaczył w owej łyżce wytłoczony dołek, który owa kula zrobiła. Ta łyżka ocalała mu życie.

Gdy stanęliśmy nad Berezyną na wyniosłym wzgórzu, z którego brzeg przeciwny doskonale widzieć było można, zauważyliśmy, że most, po którym nasza armia przeszła, stał jeszcze, a za mostem, na przestrzeni około dwóch wiorst, dały się widzieć rozbitki z bagażów cesarskich, marszałkowskich, jeneralskich i pułkowych. W pewnym oddaleniu od mostu rozłożony był mały oddziałek Francuzów, którzy bronili nieprzyjacielowi przystępu do mostu.

Nareszcie, po zebraniu się naszym nad rzeką, stanęliśmy pod bronią. Cesarz dał rozkaz, aby most zapalono ¹⁾.

Smutny widok się przedstawił, gdy wojsko będące za mostem spostrzegło, że je już na zatracenie zostawiono. W mgnieniu oka — już nie rejterowało się ono do mostu, ale nagle rozsypało się, chcąc jeszcze choć przez palący się most dostać się na brzeg przeciwny. Usiłowania ich nie zdały się na nic, bo słoma, którą most był wysłany, zajęła się odrazu i ogień pochłonął wiązania. Nieprzyjaciel, zobaczywszy pożar mostu, uderzył najspieszniej, ale, jak się pokazało, nie dla wzięcia w niewolę wojska będącego przed mostem, lecz dla zabrania bagaży. Lecz i ci doznali zawodu, bo bagaże już były przez swoich rozbite i zrabowane.

¹⁾ Most spalono dopiero o godzinie 9-tej dnia następnego, po przeprawieniu się przez Berezynę w dniu 29-go listopada. Po drugiej stronie została rzeczywiście massa ludzi, ale przeważnie maruderów, których do przeprawy trudno było spędzić.

— 227 —

Gdy nadzieja łupu zawiodła, nieprzyjaciel mścił się na jeńcach: obdzierano ich w oczach naszych, nie przepuszczając nawet rannym oficerom, którzy się po wózkach znajdowali, a których poobdzierano do koszul i tych, co jeszcze mogli iść, pędzono boso i w koszulach, a do tego jeszcze kozactwo okładało ich batami. Już cesarz kazał oprządkować działa, chcąc ich razić kartaczami przez Berezynę, ale później widać rozważył to, żeby musiał i swoich między nimi będących razić, kazał więc znowu działa zaprzodkować.

Gdy się to działo, rozkazano nam Polakom udać się w las ponad brzeg Berezyny ¹⁾. Następnie zwróciliśmy się na lewo w las drożyną małą, wąską i krętą, która nas wyprowadziła nad błota. Tam wyszliśmy na grobelkę nowo usypaną, która pod działami trzęsała się jak galareta; pomimo tak mocnego mrozu owe błota, czyli trzęsawiska, nie były zamarznięte. Następnie zbliżyliśmy się do mostu dosyć porządnego, za którym zastaliśmy rotę jegierską piechoty i oddział kozaków, którzy ten most obsadzili. Zobaczywszy ich, spodziewaliśmy się, że ów most przed nami zapala, bo nawet był przygotowany do spalenia. Rozkazano przeto, aby piechota najspieszniej uderzyła w celu przeszkodzenia spaleni mostu, gdyż to było ostatnie nasze remedium wyjścia z owej niebezpiecznej i zgubnej klatki. Ale jakież było nasze podziwienie, gdy ów nieprzyjaciel bez najmniejszego oporu opuścił wspomniany most i spokojnie ustąpił.

Bez oporu również opanowaliśmy inne mosty na owych bagnach. Sądziliśmy po rozległości błota, że

¹⁾ Korpus polski cały (prawda bardzo stopniały, bo Kołaczkowski liczy go na 1200 ludzi) wraz z korpusem marszałka Oudinot wysłany został na wykonanie demonstracyi na trakcie Wileńskim który jenerał Czaplic umocnił bateriami. Główne siły francuskie pociągnęły tymczasem długą groblą, prowadzącą od Studzianki do Kamienia.

— 228 —

zapewne cofający się nieprzyjaciel umyślnie nas przepuszczał, chcąc nas dalej wciągnąć, a ostatni most przed wyjściem z błota zapalił i tym sposobem zrobił nam zaporę. Ale przeciwnie się stało, bo nie tylko wszystkie mosty nam w całości zostawił, ale nadto gdzieś przed nami umknął ¹⁾.

Wyszedłszy z bagien, dostaliśmy się na trakt wileński, którym postępowaliśmy dalej, a francuska aryergarda, która za nami wraz z armią owe mosty przebyła, spaliła takowe.

Odtąd przez dni kilka nie widzieliśmy już nieprzyjaciela, gdyż, jak nam mówiono, tenże, chcąc się za nami na trakt wileński dostać, musiał najmniej 10 dni kołować. Jawnie się pokazuje, że musiano się w tym względzie z nieprzyjacielem porozumieć ²⁾.

Później w roku 1813, w Saksonii, widziałem karykaturę, wyobrażającą dwóch kozaków, którzy wsadzili Napoleona, obróconego do góry nogami, do worka tak że mu tylko na wierzchu worka nogi widać było i tenże worek sznurami zawiązywali;

pod workiem siedział jakiś generał rosyjski, który nożem rozpruwał ów worek, zapomocą czego Napoleon nie tylko głowę ale nawet ręce wysunął z worka, wychodząc na rękę niby z niego. Podpis był na owej

¹⁾ Bardzo niewyraźnie przedstawia się działanie korpusu polskiego u naszego autora w zestawieniu n. p. z pięknym pamiętnikiem Józefa Krasieńskiego. Dodamy tutaj, że wspólnie z francuzami Polacy wzięli do niewoli batalion jegierski i ponieśli następnie znaczne straty od baterii nieprzyjacielskich, usypanych na wzgórzu na trakcie do Wilna. Wkońcu, gdy zmrok zapadł, odprowadził generał Krasieński resztki korpusu na trakt prowadzący do Kamienia.

²⁾ Autor bardzo naiwnie to przedstawia. O zdradzie nie było mowy. „Wyjątkowa nieudolność Czyczagowa dała możność Napoleonowi wykazania jeszcze raz, mówi generał Szildier, jego geniuszu wojennego”. Pojawiły się potem rozliczne karykatury, ośmieszające Czyczagowa, który też, mimo łaski cesarza, w r. 1813 usunął się od czynnej służby.

— 229 —

karykaturze w języku niemieckim: „Schlacht bei Berezina“, to jest „Bitwa pod Berezyną“.

Każdy to osądzie potrafi, że wyjście z owej klatki łatwym nie było. Byliśmy z tyłu parci od całej armii nieprzyjacielskiej, a z przodu zaparci bateriami mocno ufortyfikowanymi; z boku z jednej strony mieliśmy Berezynę, a z drugiej owe błota. Cała nasza armia ściśnięta była w lesie w obrębie najwięcej trzech wiorst, w którym ani jednej chatki nie było. Owa przeprawa trwała około dni trzech, a już głód dał się mocno czuć między nami, tak że konie zabijano, aby głód opędzić. (Mnie samemu ukradziono w tem miejscu konia, którego w innych warunkach łatwoby było znaleźć i odebrać, ale nie wtedy, gdy ten po zabiciu został zjedzonym). A zatem łatwo można było przewidzieć, że jeszcze dwa dni czasu potrzeba było, aby konie wyjść, a natenczas nasza armia musiałaby broń złożyć.

Następnie postępowaliśmy dalej, jak wyżej powiedziano, traktem wileńskim, który już był zniszczonym i ogłodzonym przez armię francuską, idącą do Moskwy. Tem bardziej w owej porze roku, to jest w grudniu, wystawieni byliśmy na głód i niedostatek, a co najgorsza, zaczawszy od dnia tego, w którym opuściliśmy Berezynę, mrozy coraz większe następowały. Ludzie, będąc zgłodniałymi, idąc, padali na trakcie i marzli, a co dopiero gdy się na noc stanęło. Po przybyciu na nocleg każdy się starał przynieść drzewa i ogień rozpalic, a skoro się później pokładli koło ogniska, ludzie koło niego wymarзли; widać żaden później nie chciał przynieść więcej drzewa. Gdy zrana wyruszaliśmy, można było widzieć przy drodze owe okropne widowiska: we środku ognia wygaszony, a wokoło ogniska trupy pomarszczone.

Niektórzy znowu, chcąc się zabezpieczyć od mrozu, powchodzili do furgonów, ale tak się ułożyli jak śledzie w beczce, a to dlatego zapewne, aby się grzał jeden od drugiego. Ale gdy ci, co byli z brzegu zmarzli, następnie

— 230 —

spotykało to tych, którzy leżeli w środku. Gdy przyszło w marsz ruszać, wywożono owe furgony i wysypywano trupy, które, skostniałe, przedstawiały się w różnych pozycjach. Widziałem bardzo często trupy ludzi, którzy zmarzli na trakcie, pogniecione i spłaszczone przez koła armat: wydawało się wtedy, jakby człowieka z deski wykroił. Cała prawie armia przyodziana była w cudaczne i rozmaite ubiory, jakoto rozmaitego rodzaju futra, szuby, tak męskie, jako kobiece, w żydowskie żupany, czapki różnego

rodzaju, kozuchy, sukmany, siermięgi, można było nawet widzieć ślady ornatów i kap; na nogach łapcie i gałgany, obwiązane sznurkami. Ale, co najgorsza było, oprócz Polaków i części gwardii francuskiej, nigdzie nie zobaczył więcej broni ¹⁾. Niektórzy tylko byli uzbrojeni w kije do podpierania się. Do naszego nieszczęścia dodać należy, że takie wkradło się zobojętnienie na niedolę

ludzką, że, gdy ktoś ranny, nie mogąc podążyć za armią staje, płacze, prosi, zaklina, aby mu pomoc jaką dano, każdy pomija go, nie zwracając nawet najmniejszej uwagi. Do tego jeszcze poformowały się bandy rozbójnicze wewnątrz armii, najwięcej ze starych żołnierzy francuskich, z tych zwłaszcza, którzy w Moskwie zdobyli różne kosztowności.

Maruderzy przebrani byli tak, jak wyżej, z tą tylko różnicą, że mieli na sobie ogromne tornistry wypakowane i kije ogromne w rękę. Zebrało się tej bandy około stu ludzi i wśród armii czynili rozboje. Naprzykład, jeżeli się wypadek zdarzył, że z furgonu albo z jakiego wózka koło spadło, to banda już nie pozwalała koła włożyć, ale przewracała furgon i rabowała wszystko. Nie dosyć tego, sami nawet starali się koło z osi ściągnąć, aby mogli wóz zrabować. Jeżeli się zdarzyło, że ktoś usiadł osłabiony, albo po prostu dla opatrzenia sobie obuwia (czy to był oficer

¹⁾ Jedyny ze wszystkich korpusów armii wielkiej, korpus polski doprowadził do Warszawy swe działa.

— 231 —

lub niższy) takowego rabusie chwyтали, najsamprzód ściągali mu obuwie, a następnie i odzież, zostawiając go odartego na śniegu na tak okropnym mrozie.

Widziałem często takie rabunki, raz np. oficera westfalskiego, który, przez rabusiów obdarty, szedł boso i w podartym mundurze bez czapki. Nie uszedł pół wiorsty, zaczął się pienić i chwiać na nogach. W końcu upadł na trakcie i natychmiast został rozjechany przez furgony i armaty.

Ową bandę rozbójników spotkała raz konfuzya. Był w naszym pułku kapitanem Sendek, bardzo waleczny oficer. Gdyśmy z nim szli w nocy, znaleźliśmy na drodze leżący worek, w którym, jak to po nocy, nie mogliśmy widzieć, co się znajduje. Pomacawszy, przypuszczaliśmy, że był tam chleb, kasza i coś brzęczącego. Postanowiliśmy przeto, aby dopiero rano podzielić się zawartością worka a szczególnie żywnością, która w tym czasie i miejscu była dla nas droga. Gdy już dzień zaczynało, a pułk stanął na spoczynek przy trakcie, Sendek usiadł sobie na pieńku i chciał dokonać podziału zawartości worka. Wtem nadciąga owa banda rozbójników. Spostrzegłszy siedzącego oficera, a nie widząc pułku, który po drugiej stronie traktu obozował, sądzili, że oficer zasłabł. Obskoczywszy, go pytają się go po francusku, czyli jest słabym. On im tylko odpowiada, kiwając ręką: „Marsz dalej!” Dodać mi tu wypada, że wspomniany Sendek służył dawniej w gwardii pruskiej, był wzrostu wysokiego, silny i dobrze zbudowany.

Po jego odpowiedzi owi rozbójnicy pochwycili go z tyłu, chcąc go w tył powalić, a z przodu zaraz go za nogę jeden chwycił, chcąc mu naprzód buty ściągnąć. Sendek w takiej pozycji nie mógł się bronić, szczególnie, że był owym workiem zajęty i

obawiał się, aby mu go nie wydarli. Zaczął się wreszcie mocno opierać tym, którzy go za ramiona ciągnęli. Tymczasem worek pod siebie kładzie i przysiadł go. Mając ręce wolne, chwytając za łeb jedną ręką tego, co był z przodu, i usiłował mu but ściągnąć,

— 232 —

a drugą ręką sięga za siebie, jednego z napastników za łeb dostaje i tego przeciąga naprzód, a nareszcie łbami jednego o drugiego tłucze. Nareszcie, gdy obu odepchnie od siebie, wyrzucił resztę stojących przed nim maruderów, a dopiero, powstawszy z miejsca, dobywa rapiera kirasyerskiego; trzymając potem w jednej ręce worek, w drugiej rapier, całą bandę bez wyjątku okładał płazami i tak przez trakt pędził.

Widząc owa banda nadzwyczajną siłę w przerzuceniu ogromnego chłopca przez siebie i tłuczenie ludzi łbami, jak gdyby dzieciaków, ratowała się ucieczką.

Co do worka, znajdowało się w nim parę bułek chleba, kaszy około trzech garncy i kilka łyżek srebrnych. Żywnością podzielił się, a łyżki znowu odstąpił innym. Następnie po spoczynku ruszyliśmy dalej, a uszedłszy jakie półtorej mili, przechodzimy przez jakieś miasteczko, w którym owa banda pozapalała drewniane stragany, w rynku będące, około których się ogrzewała. W przechodzie naszym, skoro zobaczyli Sendka, wypychali z pomiędzy siebie tych, co się poważali go obdzierać. Żartując ze swoich, wołali na nich: „No, ruszajcie obdzierać, wszakże to ten słaby oficer!” Śmiali się do rozpuku, tak oni, jako też i nasi żołnierze. Sendek tylko im rapierem groził, dodając często używany wyraz wielkopolski: „Poczekaj hycłu!” Nietylko wspomniana banda grabiła i obdzierała bezbronnych maruderów, tłumnie idących, ale nawet chłopcy litewscy, udając kozaków, napadali po drodze.

Pamiętam, było to na trakcie tak zwanym Czarnym, na Litwie. Z przyległego lasu wypadło około 60 koni chłopów najwiedoczniej, bo żaden nie był ani w mundurze, ani po kozacku; uzbrojeni byli w drągi nawet żelazem nieopatrzane, jedynie tylko na końcu zaciosane. Gdy napadli na wojsko ciągnące, jak powiedziałem, bez broni, wpadłszy w środek, zajęli najmniej 800 ludzi i tych, odpędziwszy pod las, zsiadli z koni i poobdzierawszy, puścili, a sami się w las oddalili. Dowiedzieliśmy się potem, że to byli sami

— 233 —

chłopi. Gdy wpadli oni w środek oddziału, powstało zamieszanie. Na trakcie zrobiła się duża przerwa. Ci, co byli w przedniej części, nie czekając dalej, uchodzili i to spiesźnie, aby ich ten sam los nie spotkał. Ci, co byli z tyłu, bali się ruszyć dalej, aby ich nie zagarnięto. Aż dopiero myśmy przyszli, tworząc awangardę, a dowiedziawszy się o tym wypadku, posłaliśmy tyralierów w ów las dla schwytania owych rozbójników, ale ci byli już może o milę umknęli. Trzeba wiedzieć, że tylko my Polacy byliśmy z bronią w rękę, bo staraliśmy się o to, aby nasz żołnierz broni nie rzucił.

Gdy się n. p. zdarzyło napotkać swego wśród maruderów, a był ranny, tośmy go puścili, ale, jeżeli był zdrow, a bez broni, natychmiast go położono, wliczano mu kilkanaście stępłów i broń, jaka się trafiła, chociażby była bez kurka, dano mu i wstawiano do szeregu. Dlatego to, jeżeli było niebezpieczeństwo z tyłu, tworzyliśmy arryergardę, jeżeli z przodu — awangardę, wskutek czego często się zdarzało, że, gdy nas potrzeba było na przodzie, to w takim razie armia spoczywała, a my musieliśmy przejść całą szerokość armii, aby się naprzód dostać; przeciwnie zaś, jeżeli nas potrzeba w tyle, to znowu staniemy z boku i czekamy, aż cała armia się przewali. Działo się to z piechotą tylko, bo, jak wiadomo, prawie cała jazda konie już w marszu do Smoleńska utraciła. Po stracie koni — jazda francuska uformowała bataliony piesze ze swych ludzi. Każdy kawalerzysta, idący pieszo i to w szeregu, miał swój mantelsak, pałasz i karabinek. O naszej jeździe ani wspomnieć. Ta bowiem, skoro konie utraciła, rozsypała się po powózkach i pozostały te tylko oddziały, które były na eskortach przy sztabach, wyjąwszy jednak z tego jazdę z pod komendy generała Dąbrowskiego, która do ostatniego momentu zachowała karność i porządek.

Tak dalej ciągnął się nasz odwrót nieszczęśliwy, a prawie z każdym dniem ubywały tysiące przez głód, słabości, zabranie w niewolę, a najwięcej mrozy, śniegi coraz

— 234 —

większe spadały, co przeszkadzało rozkładaniu się obozem na nocleg po bokach traktu i z tego powodu wszystko się na trakt cisnęło. Dał się czuć znaczny niedostatek drzewa, o które prawie się zabijano.

Zbliżyliśmy się na koniec do Oszmiany. Przy rozkwaterowaniu się, cesarz zajął jakiś dom nad polem z tamtej strony miasta i miał przy sobie batalion gwardyi starej, pieszej. Jak się zdaje, musieli się żydzi dowiedzieć, że cesarz w tym domu nocuje i dali znać nieprzyjacielowi, a ataman Płatow zapragnął z tego skorzystać.

Nazajutrz, ledwie tylko dzień robić się począł, mnóstwo kozaków otoczyło dom, w którym się cesarz znajdował. Ale, gdy ów batalion, który był na straży, porwie za broń i da ognia, mnóstwo kozactwa trupem położył, a reszta uciekła. Natychmiast ponowiono atak na wszystkie strony naszego obozu, a szczególnie na główną kwaterę. Gdyśmy ruszyli w dalszą drogę, największa siła kozactwa pilnowała tego oddziału, który wówczas był na straży przy cesarzu. Cesarz spostrzegł, że go nieprzyjaciół z oka nie spuszcza, zsiadł z konia i wstąpił do wspomnianej kolumny, na którą najwięcej kierowano strzały armatnie; to trwało przez cały dzień. W końcu zbliżyliśmy się do Smorgoni, skąd cesarz opuścił armię, udając się do Francji¹⁾.

Pomimo mocnych mrozów codziennie trwały utarczki naszej arryergardy z nieprzyjacielską awangardą. Reszta armii uchodziła spokojnie.

Gdyśmy dnia jednego stanęli na nocleg za Smorgoniami, ja, będąc w awangardzie, natrafiłem na dostatek drzewa. Rozłożyłem dwa ogniska, a ogrzewszy się, zasnąłem tak mocno, że przebudziłem się bardzo późno. Na moje nieszczęście nie zastałem już nikogo przy ogniskach i nawet w całym obozie. To dopiero kłopot, w którą udać się stronę, zwłaszcza że w nocy trudno się było zmiarkować, gdzie są nasi, a gdzie nieprzyjaciół. Oglądałem się naokoło

¹⁾ 5/XI 1812 r. (powinno być: 5/XII)

— 235 —

i widzę zdala łuny od ognisk, ale trudno było odgadnąć, gdzie iść, aby nie wejść na nieprzyjaciela. Po rozpatrzeniu się lepszym widzę, że z jednej strony poza górą widać łunę bliższą. Naturalnie domyśliłem się, że to musi pochodzić z ognisk naszych, a w końcu zwracam się w tę stronę. Skoro przebyłem górę, przez którą trakt przechodził, widzę mocną łunę na samym trakcie. Za zbliżeniem się do owego ognia widzę palący się młyn, a przy młynie most. Wskutek pożaru młyna i lód obok na stawie roztopniał. Co tu robić? Ale puszczam się na lód, okrążając zdala miejsce roztopione. Im dalej na staw się puszczam, tem większe

na lodzie trzciny i szuwały, a lód słabszy, bo to były zapewne oparzeliska albo źródła, które nie zamarzają nawet wśród najcięższych mrozów. Pomimo tego, że lód podemną trzeszczy i pruje się, ja jednak, przeżegnawszy się puszczam się na wolę Bożą. Potem niebezpieczeństwie przybywam na tamtą stronę, a uszedłszy z pół mili, gdy już dzień zaczął się robić, przychodzę w środek armii,

która ruszała się do marszu. Zmieszawszy się z nimi, idę cały dzień, nie spotkawszy nikogo znajomego, nawet żadnego Polaka. W dzień było jako tako, chociaż byłem głodnym, ale nastająca noc pamiętną będzie dla mnie. Gdziekolwiek tylko zbliżę się do ogniska, nikt mnie nie chce przyjąć ani przypuścić, zwłaszcza że wszystko obce narody. Musiałem tylko przez całą noc chodzić, gdy drudzy spoczywali. Takie to były wówczas stosunki w naszej armii, że chociaż się było z jednego narodu, a niechże był kto z innego pułku, chociażby to był oficer, niedopuszczano go do ogniska. Były bowiem takie wypadki, że gdy jedni rozpalili sobie ogień, a przyszedł potem który obcy prosząc, ażeby się mógł ogrzać, zwykle po nim przybywali inni jego towarzysze po jednym, i w końcu ci nowo przybyli pierwszych od ognia przez nich rozpalonego i drzewa przyniesionego poodpędzali. Do tego dodać należy, że ci tylko żołnierze swoich oficerów szanowali i słuchali, którzy szli w porządku i z bronią w rękę, ale inaczej nietylko

— 236 —

znać ich nie chcieli, ale nawet często zdarzało się, że wybili. Szczególniej robili to Francuzi.

Przeto, po owej nocy nieszczęśliwej, gdy dzień się zrobił, ruszyłem znowu z armią dla mnie obcą, jak gdyby w odmęcie wody. Mijająców tłum różnego narodu, przecież widzę oficera polskiego, z boku traktu, już nie idącego, ale wlokącego swe kroki.

Gdy spojrzę mu w oczy, poznaję w nim kapitana Dąbrowskiego z pułku 15-go piech. Lubo sam byłem zgłodniały i prawie bez sił, ale zawsze byłem młodszy. Zawołałem tedy: „Jak się masz Wosiu (Wojciech)?” Ten, zobaczywszy mnie, uradował się niezmiernie, bo także był w podobnym położeniu, nie mając nikogo koło siebie swego w pośród obcych. Po wzajemnych przywitaniach postanowiliśmy iść z sobą, aż osiągniemy przecie naszych. Ponieważ byliśmy obydwoje głodni, przeto, gdzie tylko spostrzegliśmy ognisko, a przy nim ludzi, natychmiast zbaczaliśmy, chcąc coś kupić do pożywienia. Mój towarzysz był bez grosza,

u mnie płaćtało się kilka cwancygierów austriackich. Razu jednego natrafiiliśmy na ognisko, przy którym słyszemy ludzi rozmawiających ze sobą po polsku, ubranych w kozuchy i czapki chłopskie. Byli to żołnierze z naszej jazdy, którzy pomimo tego, że byli zdrowi i silni, mieli tę wymówkę, że nie mogą z drugimi iść pod bronią, bo są bez koni i nie znają musztry i służby piechotnej. Po zbliżeniu się i przywitaniu ich grzeczne, poprosiliśmy o pozwolenie umieszczenia się przy ognisku. Następnie wdałem się z nimi w pogawędkę, pytając, z którego są pułku. Gdy mi odpowiedzieli na pytanie, wymieniałem nazwisko ich dowódcy i innych znajomych mi z tego pułku oficerów i w końcu zapytałem najstarszego z nich, czyliby nie sprzedali nam czego do pożywienia. Pytanie to było tembardziej na miejscu, że za ogniskiem widziałem bryczkę nieźle wypakowaną. Odpowiedziano mi, że lubo sami nie wiele mają, ale dla swoich odstąpią kawałek baraniny, poczem żołnierz wyjął z bryczki przednią łopatkę z jagnięcia, a po targowaniu

— 237 —

się odstąpił mi ją za dwa cwancygiery. Odstąpiono nam również ogniska, bo oni, jak mówili, już podjedli i dalej ruszyć postanowili.

Niebawem wziąłem się do kucharstwa. Baranina nie była osolona, a nie mieliśmy soli, przeto wsadziliśmy ją po prostu na szpadę i podgarniając węgli, osmalali raczej, niż piekli. Po zjedzeniu tak przyrządzonej zakąski, lubo nie było jej czem zająć, bo ów kawalerzysta zaklinał się na honor, że nie miał kawałka chleba do zbycia, posililiśmy się trochę.

Nareszcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Idąc, znowu upatrywaliśmy ogniska, a tem więcej ludzi podobnych do tych, którzy nam sprzedali baraninę. Życzliwa dla nas Opatrzność dała nam znowu usłyszeć nasz język. Przy trakcie spotkaliśmy ludzi, podobnie ubranych do tamtych, z tą różnicą, że nic nie piekli ani gotowali i do tego byli bez bryczki. W podobny jak poprzednio sposób zbliżam się do nich i dostrzegam na dwóch z nich wiszące duże blaszane manierki. Znowu jak dawniej zapytuję się jednego: „Czy nie macie koledzy (tak wówczas wypadało każdego żołnierza nazywać) czego do sprzedania nam z żywności?” Jeden odrzekł, że nie mają, gdyż sami zjedli co mieli, a wódki mogą odstąpić, ale nie więcej tylko na jedno wypicie, bo sami jej mają nie wiele (było, jak uważałem, blisko garniec w jednej manierce). Przystaliśmy na to, a po napiciu się dałem znowu dwa cwancygiery. Widząc żołnierz, że mi się jeszcze kilka takich sztuk w woreczku zostało, zaproponował, że za cwancygię pozwoli nam się jeszcze raz napić. Mój kolega bez namysłu powiedział, że dobrze. Po skutecznieniu propozycji i zapłaceniu, ruszyli dalej, a my za nimi, aby, trzymając ich się, mieć przy nich chociaż ognisko. Ale nadaremnie! Ja byłbym wprawdzie za nimi podążył, ale mój Woś, już przeszło 40 lat liczący i przytem słaby, zostawał się ciągle, a na mnie wołał, aby go nie opuszczać, cóż było wobec tego robić, musiałem z nim zostać.

— 238 —

Już też było i z południa kawał, a my jak leżymy tak leżymy, a z naszych nie widać nikogo. Nadszedł nareszcie i wieczór. Ciągące za wojskiem partye, czyli po prostu gromady, schodzą z traktu na ubocza; wszędzie ogniska obstąpili, jak pszczoły ule, a my nie mamy się gdzie przytulić. Leżym dalej, aż ściemniło się zupełnie, mróz się wzmacza, gwiazdy jedna drugą wysadza, śnieg pod nogami skrzypi. Co tu robić? Trzebaby się ogrzać — niema nigdzie przystępu. Pójdźmy dalej!

Już dwie wsie mineliśmy, a nigdzie ani swoich, ani obcych, więc przyczepić się nie można. Idziemy dalej. — W odległości może dwóch wiorst, widać było las, przez który trakt przechodził, ale tam nie było żadnego ogniska. Woś do mnie mówi: „Po cóż tam do lasu pójdziemy?” „Wszakże w lesie jest drzewo” — odpowiedziałem. „Ale czemże zapalimy, skąd ognia dostaniemy?” „Ja jemu znowu na to, że aby drzewo było, to łatwiej ktoś pozwoli wziąć samego ognia. Tymczasem przy owej pogawędce przywlekliśmy się do lasu. Spostrzegamy tam gdzieś daleko światło. „No widzisz rzekłem, — już tam ogień widać, a drzewo jest wszędzie”. Postępujemy więc w owej nadziei i widzimy wreszcie opuszczone ognisko i ledwo trochę jeszcze węgli tlejących. Uradowani będąc, jak gdyby jakiś skarb się znalazł, zwracamy się ku owemu ognisku, brnąc po kolana w śniegu. Gdy dopadłem owego żaru, rozgarniam, widzę, że jeszcze dosyć węgli, że można jeszcze ogień rozpaść, skąd tu jednak wziąć drzewa suchego? Mój kolega już drży i nieledwie płacze, narzekając na zimno. Przychodzi mi wreszcie na myśl, że na drzewie gęsto rosnącym gałęzie od dołu usychają. Dalejże ja odłamywać gałązki od dołu, a nałamawszy ich brzemię, zaniósłem do ogniska. Gałęzie suche natychmiast się zajęły, na co Wosia mego twarz rozjaśniła się, a mnie jasność pozwoliła lepiej gałęzie łamać i takowe zanosić do

ogniska, a gdy już dostatecznie ogień buzował, wówczas naobcinałem grubszych choć świeżych gałęzi i tyle ich naznosiłem, że nietylko

— 239 —

zrobiłem zapas znaczny, ale nadto przygotowałem z nich posłanie na śniegu dla Wosia i siebie. Sfatygowałem się w końcu tak, że już nie dbałem o ogień, gdyż ze mnie prawie pot spływał. Topiąc się po kolana w śniegu, na reszcie położyłem się na zielonych gałęziach z choiny.

Marząc przy rozpalonym dobrze ogniu o swojej biedzie, słyszę brnących po śniegu i zbliżających się kilku ludzi. Byliśmy przygotowani na to, że może nas znowu od ognia odepchną, bo było ich więcej; tymczasem słyszymy, że rozmawiają po polsku. Nowoprzybyli proszą nas grzecznie o pozwolenie ogrzania się. Następnie oświadczają, że mają trochę mąki, z której by chcieli upiec placek w popiele i że się z nami nim podzielią. Na wspomnienie chleba, którego już od dni kilkunastu nie kosztowaliśmy, zrobiło nam się przyjemnie i odrazu pozwalamy im placek upiec. Niebawem udało się dwóm z nich w las, a dobywszy swych długich pałaszy, (gdyż to byli żołnierze z jazdy naszej) zaczęli obcinać grubsze gałęzie i przykładać na ogień. Tymczasem jeden z pozostałych dobył z sakwy mąki, a nie mając na czym zagnieść ciasta, wyjął brudną koszulę, na którą nasypał mąki, zaprawiając w miejsce wody śniegiem, w ten sposób gniótł owo ciasto.

Słodka nadzieja wstąpiła w nas na widok przyrządzanego, choć tak nieporządnie (bo nawet żołnierz rąk nie umył), ciasta, a dumając o przyszłości, nie spostrzegliśmy, jak sen skleił nasze powieki.

Jak długo spaliśmy, trudno opowiedzieć, prawdopodobnie długo, bo byliśmy znużeni, a przytem spaliśmy przy rozpalonym ogniu. Zdaje się, że już było blisko dnia, gdy mój Woś, którego zimno przebudziło, zaczął przeraźliwie krzyczeć: „Ach ja nieszczęśliwy, nogi poodmrażałem, już ich nie czuję!” Rozbudziło mnie to zupełnie, i jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem, że ów ogień nie tylko wygasł, ale nawet węgle były porozrzucane. — Widocznie owi żołnierze, widząc nas mocno śpiących, wzięli placek, aby się z nami nie podzielić, a następnie rozrzuciwszy

— 240 —

ognisko i zabrawszy się, dalej poszli. Na krzyk mego towarzysza chciałem na nowo ogień rozpaścić, ale ani jednej iskiarki nie pozostało. Co tu robić? Biorę ja mego kolegę pod rękę i staram się go przez ów wielki śnieg wyprowadzić na trakt, a gdyśmy się do traktu dostali, radzę mu, aby wraz ze mną biegł, mocno tupiąc nogami dla ich rozgrzania. Ale napróżno! Woś był już w średnim wieku, biedz nie mógł, bo mu brakowało tchu, siadł więc na śniegu, tuląc nogi pod siebie. Gdyby był odziany choć w jaki długi kożuch, to byłby miał czem nogi okryć, ale na nieszczęście miał tylko na mundurze węgierkę z barankami. Usiłuję więc podnieść go z ziemi i prawie go unoszę, aby biegł szybko. W ten sposób przebyliśmy ów las.

Przy wyjściu z lasu widzimy światło. Nad traktem stał dom jeszcze nieukończony, same ściany tylko, a w pośrodku nich, przy rozpalonym ognisku, leżał wygodnie kanonier z konnej artylerii francuskiej. Za zbliżeniem się naszym zerwał się, wołając: „Kto tam?” Gdyśmy go poprosili o pozwolenie zbliżenia się do ognia, porwał za karabinek, grożąc, że strzeli, jeżeli poważymy się zbliżyć. Musiałem więc nabierać suchych kawałków drzewa, pozostałych od budowy tego domu, a ułożywszy je, chciałem nowe ognisko rozpaścić, ale ten niegodziwiec nie pozwolił nawet wziąć ognia do zapalenia. W końcu, gdy już nic nie pomogło, wziąłem szczapę dość dużą i zbliżyłem się do okna. Artylerzysta odwrócił się od swego ognia, sądząc, żeśmy już poszli. Podeszedłem do okna i rzuciłem ową szczapę prosto w jego głowę. Śnać dobrze go trafiłem, bo zaczął przeraźliwie krzyczeć, a my w dalszą drogę udaliśmy się.

Już też dzień zaczynało. Obozy według zwyczaju zaczęły się poruszać do drogi, a my, zamieszawszy się w ów odmęt, szliśmy z nimi. Uszedłszy może milę drogi, usłyszeliśmy jakiś głos. Gdyśmy się obejrzel, ujrzeliśmy żołnierza jadącego bryczką, który wołał na mego kolegę,

— 241 —

proponując mu miejsce w bryczce i wszelką wygodę. Gdy Dąbrowski żądał, aby i mnie zabrał, odpowiedział ów żołnierz, iż tego uczynić nie może, bo i tak bryczka wypakowana. Ów żołnierz był także z pułku 15-go, tj. z pułku Wosia.

Znowu zostałem sam między tłumem obcym, bo bryczka spiesźnie ruszyła. Szedłem zatem dzień cały, nie znalazłszy nikogo ze swoich, a co najgorsza, nie mając w owym dniu nic w ustach. Włókłem swoje kroki, chwiejąc się, bo mnie już siły zupełnie opuszczały. Gdy już zmierzchać zaczynało, znalazłem się (lubo na trakcie) wśród dużego lasu. Sądziłem, że już nie dojdę za drugimi

do wsi, a choćbym i doszedł, to już przeszły nocleg w towarzystwie dał mi się we znaki. Odrętwiałem prawie i postanowiłem puścić się na los przeznaczenia. Myślałem sobie: tyle razy w bitwach los mnie szanował, broniąc od śmierci i kalectwa, a dziś przychodzi mi bez kuli śmierci oczekiwać. Najwięcej obawiałem się owych band rozbójniczych, aby mnie nie zabiły lub nie zostawiły na mrozie i śniegu obdartego.

Gdy tłum maruderów zaczął się przeredzać, upatrzywszy chwilę, że nie było blisko nikogo, zwróciłem się w las dosyć gęsty. Przekopawszy się przez ogromny śnieg, znalazłem się w gęstwinie. Już nie położyłem, ale powaliłem się na śniegu, bo też i sił mi dalej nie starczyło. Tu dopiero zacząłem na nowo rozmyślać. Oto jest kryzys! tu zapewne przeznaczenie wybrało grób dla mnie. Poleżawszy z pół godziny, słyszę kroki idących koło mnie w pewnym oddaleniu ludzi, którzy, przedzierając się przez gąszcz, łamią gałęzie. Oddech mi w piersi zaparło, sądziłem, że to część owej bandy rozbójniczej się zbliża. Tymczasem słyszę głosy mówiące po polsku. Jakież było moje zdziwienie, gdy po głosie poznałem mojego starszego sierżanta Glasińskiego. Ledwo mogłem swoim uszom wierzyć, ale, zrobiwszy wysiłek, zawołałem na niego. Ten zatrzymuje

— 242 —

się i pyta: „Kto mię woła?” Ja odpowiadam: „Ja, kapitan twój!” Ten przybiega do mnie, a z nim trzech moich podoficerów.

Gdy mię zobaczyli w takim smutnem położeniu, prawie ze łzami podnieśli mnie ze śniegu, mówiąc, abym z nimi udał się w bok traktu. Odpowiedziałem im, że jestem już bez sił prawie. Wzięli mię tedy pod ręce i, prawie unosząc, prowadzili.

Zaciągnęli mię w końcu do jakiejś wioski, umieścili w pierwszej pustej chatce, gdzie rozłożyli ogień i posłanie dla mnie i siebie zrobili. Dwóch z moich towarzyszy poszło na wieś dla zaopatrzenia się w zapas żywności, inni zabrali się do zgotowania jedzenia, którego nigdy nie zapomnę: była to lemieszka (mąki razowej zasypano na gorącą wodę i rozmiészano bez soli nawet) i

do tego kawałek chleba. Żaden najwspanialszy obiad nie smakował mi tak, jak owa z grubej mąki lemieszka. Podjadłszy sobie, zakopaliśmy się w słomę; ja usnąłem, nie wiedząc, co moi dobroczyńcy dalej robili. Gdy mnie przebudzono i oznajmiono mi, że śniadanie gotowe, otrząsałem się z barłogu, w którym spałem. Zbliżywszy się do pokrywy od kociołka, znalazłem na niej, podobnie jak dnia poprzedniego, ów przysmak, to jest lemieszkę, ale gotowaną już na kwasie burakowym, który we wsi znaleźli moi karmiciele.

Gdy podjadł sobie do woli, dał się niedaleko słyszeć strzał armatni; był to zwiastun dnia zaczynającego się, który pochodził albo od naszej arryergardy, albo od nieprzyjacielskiej awangardy. Na strzał, zaczęliśmy się zbierać do drogi, a nie wracając już do traktu, szliśmy ponad nim — od wioski do wioski. Pominąwszy jedną wioskę, weszliśmy w młody las, w karcze. Tu były dwie drogi, jedna, prowadząca na lewo, do traktu, a druga na prawo do wsi. Zrobiłem wówczas propozycję moim karmicielom, aby się udać na trakt, bo tam będzie bezpieczniej. Oni odmówili, dodając, że na trakcie żadnej żywności nie dostaniemy, a przeciwnie, po wioskach z boku leżących zawsze

— 243 —

można czegoś dostać. Proponuję im znowu, że można iść traktem, a wieczorem zwrócić się znowu w bok do wioski. Gdy widzieli, że ja uparłem się na swoim, taką dali mi odpowiedź, żebym ja sobie, kiedy chcę, udał się ową drożyną do traktu, a oni pójdą przez wioski; skoro tylko zaopatrzą się w żywność, zaraz wyjdą na trakt i rozłożą ognisko po prawej stronie traktu, na które ja mam zwracać uwagę. Postanowiliśmy się przeto rozłączyć chwilowo. Ja udałem się swoją drogą do traktu, a oni poszli na prawo.

Uszedłszy najwyżej 50 kroków, spotykam na owej krętej drożynie podoficera z naszej artylerii pułkowej, Jakubowskiego. (Mieliśmy artylerię pułkową, składającą się z dwóch dział sześciofuntowych. Wyż wspomniana artyleria nosiła mundur pułkowy i z takim samym numerem, tylko że rabaty nosiła czarne, jak wszystka artyleria). Na moje pytanie, gdzieby w tę stronę jechał (sankami), odpowiedział, że posyła go porucznik w bok dla dostania żywności. Minąwszy go, wyszedłem z owego lasu, który leżał

na wzgórku, a droga spuszczała się na dół do traktu. Gdy się oddaliłem więcej, słyszę działa nieprzyjacielskie na trakcie. Gdy spojrzę w bok, widzę mnóstwo kozaków rozsypanych, dążących na dół ku olszynie, która trakt zakrywała, a ku której ja zdążyłem. Położenia moje stawało się tego rodzaju, że ani do lasu z powrotem, ani do olszyny dostać się nie mogłem. Postanowiłem skierować się w dół, aby się dostać na zamrożnięte bagnisko, które się tam znajdowało. Kozaków kilku odłączyło się i skierowali się ku mnie, chcąc mnie wziąć. Ale lód, będący pod śniegiem na błotach, począł się łamać pod kopytami ich koni, a ja spokojnie po wierzchu uchodziłem. Kozacy, nie mogąc mnie doścignąć konno, posiadali z koni i próbowali mnie dopędzić pieszo. Ponieważ ja byłem młody i dnia tego nie głodny, nie pozwoliłem się dogonić. Widząc, że próżne są ich usiłowania, wrócili do koni i z janczarek poczęli do

— 244 —

mnie strzelać, żaden jednak z ich strażów nie dosięgnął mnie.

Ja uchodząc lodem, dostałem się do olszyny. Za olszyną wznosił się wzgórek, pod którym stało dwanaście dział pozycyjnych francuskich. W asekuracji tych dział stał szwadron kirasyerów francuskich, zakrytych również, jak i działa, wzgórkami, przed oczyma nieprzyjaciela, który więc mógł przypuszczać, że w olszynie nikogo niema. Wysłani przez nieprzyjaciela na zwiady kozacy, zbliżyli się może na sto kroków do olszyny, i widać nie chciało im się dalej posuwać, bo pozostali na miejscu, aż do przybycia całej awangardy nieprzyjacielskiej. Awangarda ta, złożona w części z dragonów, a w części z piechoty, zupełnie bezpieczna, śpiewając, zbliżyła się do olszyny. Gdy weszła na groble, artyleria francuska ustawiła swoje działa tak, że ledwie ich wyłoty z za wzgórka widać było, dzięki czemu nieprzyjaciel nie dostrzegł dział wcale.

Naraz rozległa się salwa z dwunastu dział, nabitych kartaczami, a równocześnie kirasyerzy i inna jazda francuska rzuciła się na nieprzyjaciela. Zaskoczony z nienacka nieprzyjaciel, nie mógł się ratować odwrotem. Piechota zamknęła drogę jeździe, jazda, zwracając się w tył, rozbijała piechotę. Kirasyerzy francuzcy wyrąbali dragonów, a następnie znieśli całą awangardę, zdobywszy liczne niewolniki i sześć dział.

Po tem zwycięstwie, Francuzi, zaprzodkowawszy swe armaty, ruszyli dalej, a ja trzymałem się owej awangardy, zwłaszcza, że ją składała część legii nadwiślańskiej. Tego samego dnia doszedłem do swego pułku, z którym się już odtąd nie rozłączyłem.

W całej tej wędrówce najwidoczniej czuwała nademną Opatrzność, ledwie bowiem rozstałem się z moimi karmicielami, gdy ich kozactwo napadło i, obdarłszy, wzięło w niewolę; podobnie i Jakubowski (jak mi to sam później po powrocie z niewoli powiedział) po rozstaniu się ze mną

— 245 —

nie ujechał trzydziestu kroków, jak wzięty został przez kozaków.

Maszerując dalej z pułkiem, przybyłem do jednego miasteczka litewskiego. Tam pułkownik nasz zebrał wszystkich oficerów i zaproponował nam rozebranie pomiędzy siebie reszty kasy pułkowej à conto żołdu, obawiając się, aby kasa nie została zabraną. Wskutek tego na mnie, jako na kapitana trzeciej klasy wówczas, przypadła kwota siedemdziesięciu cwancygierów austriackich. Po wypłacie pułkownik dodał, że, ponieważ nie spodziewamy się większej bitwy, a świeże wojska w okolicach Wilna mają nas zastąpić, my mamy dążyć do kraju dla najprędzej nowej organizacji wojska. W kraju już przysposobiono rekrutów, a zachodzi potrzeba oficerów. Tyle liczne wypadki — mówił — dowiodły tego, że niepotrzebnie traciliśmy dobrych oficerów przez częste narażanie się przy garstce pozostałych żołnierzy, przeto obecnie każdy oficer, który w tej kampanii był ranionym, może do kraju naprzód pojechać, inni zaś poprowadzą resztki pułku.

Ja, będąc dwa razy rannym w tej kampanii, nabyłem prawa do odłączenia się; pozwolono również na to porucznikowi Tarnawskiemu przez wzgląd na wiek jego, lubo nie był rannym. Ponieważ służyliśmy ze sobą w jednej kompanii, przeto on postanowił się obecnie mnie trzymać. Tarnawski nabył sobie zaraz konia, udało się to i mnie nadspodziewanie.

Raz, gdy rozłączyłem się przypadkowo z Tarnawskim, ujrzałem młodego Francuza, idącego pieszo i prowadzącego konia dobrej tuszy, świeżo ostro okutego. Zdziwiło mnie to, że Francuz nie siedział na koniu, ale go prowadził. Zapytuję się go, coby żądał za konia i, targ w targ, nabyłem go za siedm cwancygierów. Koń był dobrze okuty i tłusty i tak dobrze podemną szedł, że gdyby mi kto i dwadzieścia cwancygierów odstępnego dawał, nie przyjąłbym. Już ku wieczorowi, gdy się zaczęło przerzedzać, widzę Tarnawskiego, stojącego na trakcie i upatrującego

mnie. Gdy się do niego zbliżyłem, nie poznał mnie, bo szukał mnie pomiędzy idącymi piechotą. Uradował się z mego nabytku i oznajmił mi, że zwerbował sobie żołnierza do posługi, w którym, gdy mi go pokazał, poznałem żołnierza ze swojej kompanii, nazwiskiem Kosińskiego. Mieliśmy już tedy konie i człowieka.

Tarnawski zaproponował mi, abyśmy zjechali z traktu w bok, gdyż tam łatwiej było wyżywić i siebie i konie, a kozaków mniej się już należy obawiać, bo świeże wojska nas zasłaniają i kozacy nie będą tak śmieli. Przyjąłem jego radę i udaliśmy się w tę stronę, gdzie się większa część ludności okolicznej, uchodząc przed wojskiem, ściągnęła. Wyprzedziwszy pieszych, przybyliśmy do jakiejś wioski, leżącej nad stawem, przy którym był młyn, a koło młyna karczma, a w niej arendarz żyd.

Tarnawski, jako mający więcej doświadczenia, pogadał z żydami a po tej rozmowie konie nasze zostały umieszczone w młynicy. Nam przyniesiono do izby słomy i zrobiono w kątku posłanie, na które ja rzuciłem się od razu. Po przespaniu się należytem, pierwszy raz pod dachem, zostałem przez Tarnawskiego przebudzonym, bo jedzenie było gotowe. Postawiono przed nami miskę z barszczem,

a w miejsce świecy kawałek łuczywa, rozpalonego na garnku. Gdyśmy sobie trochę podjedli, Tarnawski woła: „Żydówka, dawaj wody!” Gdy żydówka podała w kwarcie, Tarnawski podał mi, abym się pierwszy napił. Niemiałem pragnienia, ale mój towarzysz koniecznie nalegał. Czyniąc zadość jego woli, zbliżam kwartę do ust, aż tu wódka. Patrzę, a mój Tarnawski mruga na mnie, dając znak, aby nic nie mówić. Napiwszy się owej wody wódczanej i dojadłszy resztę barszczu, położyłem się spać na nowo.

Gdy już dzień zaczynało, przebudził mnie Tarnawski i zwiastował mi bardzo pomyślną nowinę. Nasamprzód opowiedział mi fortel, jakiego użył w celu zdobycia wódki. Żydówka zrazu nie chciała mu sprzedać wcale, mówiąc, że Francuzi wypili wszystko. „A jak znajdę — odpowiedział

na to Tarnawski — to nie tylko że zabiorę i rozdram oto tym, co tu wkoło ognie palą, ale na ostatek i karczmę spalę”.

Na to żydówka z wielkim strachem: „Na co tego? nu, jak ja panu dam wódki, to będą wszystkie chcieli”. Uspokoił ją tedy, obiecując dotrzymania sekretu i umówili się, że gdy Tarnawski zażąda wody, żydówka poda wódki. Ale nie dosyć na tem. Tarnawski, widząc, że żydy bardzo się boją, aby im karczmy nie spalić, postanowił to wyzyskać gruntownie. „Widzisz, że mamy konie — powiedział do żyda — ale potrzeba nam sanek i zaprzęgu. Daj ty mi swoje sanki, a ja ci za nie zapłacę”. Żyd zaklina się, że swoich sanek nie ma, ale mówi, że na drugiej wsi jakiś chłop ma sanki bardzo dobre. Tarnawski, podchwyciwszy to, mówi: „Nie pytam się o nic więcej. Jak tylko pokładziemy się, pojedziesz oto z naszym żołnierzem i te sanki przyprowadzisz, a nie zapomnij o uprzęży. Inaczej karczma pójdzie z dymem”. Jak nakazał, tak się też i stało. Pojechał żyd w nocy i przyprowadził doskonale litewskie sanki z uprzężą na konie. Ale nie mógł dostać szlej do drugiego konia na przyprządkę. Gdy się Tarnawski zaczął odgrażać, żyd powiedział: „Nu, nu, niech się Wpan nie turbuje, będzie wszystko”. Jakoż rano była już zrobiona szleja z płachty grubej i przyprząka.

Gdy dzień zaczęło, podjedliśmy i napiliśmy się „wody” z kwarty. Przy wyjeździe dał nam żyd owej wody kilka butelek na drogę. Wyjechawszy dobrymi końmi i sankami, wymijaliśmy tłumy wlokących się na okropnym mrozie rozbitków.

Nieprzyjacieli nie parł nas tak, jak dawniej, bo też świeże nasze wojsko po drodze spotykaliśmy, które nas zasłaniało. Wskutek tego śmielej jechaliśmy.

Dostaliśmy się nareszcie do Wilna. Jak wiadomo, przedmieście, które prowadzi do Ostrej bramy, jest dosyć szerokie, ponieważ jednak był to już drugi dzień, jak armia francuska tłoczyła się do Wilna, przeto, gdyśmy

przybyli, przedmieście było już zapchane armatami, furgonami, jakoteż i różnego rodzaju wozami, sankami i ludźmi, że było niepodobieństwem wyminąć ten natłok. Musieliśmy czekać kolei.

W samej bramie która była tak ciasną, że ledwo wóz pojedynczo mógł się przecisnąć, leżało kilka koni nieżywych, prawie pogniecionych, a drugie na nich leżące, jeszcze żywe, które nogami tak mocno wierzgały, że ludzie nawet przez ten ciasny otwór, bojąc się, aby kopytami nie oberwać razu, przechodzić nie śmieli. Konie zaś, bojąc się trupów końskich, przystąpić do bramy nie chciały.

Widząc niemożność dostania się do miasta sankami, powróciłem do swego kolegi i oznajmiłem mu o tem. Na nasze nieszczęście byliśmy pierwszy raz w Wilnie i nie znaliśmy miasta zupełnie, a zapytać się nie było kogo, bo lud tamtejszy unikał wojska, bojąc się jakiejś nieprzyjemności.

W Wilnie jest zwyczaj umieszczania na domach tabliczki z nazwiskiem właściciela. Otóż pomiędzy tabliczkami domów, przy których staliśmy, znajduję jedną z nazwiskiem bardzo mi dobrze znajomem. Idę do wspomnianego domu i dopytuję się o mieszkającego gospodarza, a gdy mi je wskazano, wchodzę tam śmiało. Zastaję kilku porządných obywateli, jedzących śniadanie. Gospodarz odwrócił się do mnie i pyta, czegobym żądał. „Nazwisko pańskie — odrzekłem znane w naszych stronach, ośmieliło mnie do zwrócenia się tutaj z prośbą o objaśnienie, czyliby nie można stąd Wilna objechać, przez Ostrobramę bowiem trudno jest przecisnąć się, a tu mróz okropny”. Na to gospodarz akcentem litewskim: „Wasan nigdzie do Wilna ani w bok nie dostaniesz się, trzeba koniecznie przez bramę”. Spojrzawszy na obecnych, jak śniadanie zajądają i wódkę piją, słinkę tylko połykałem. Sądziłem, że choć przecie rozgrzać się pozwolą, ale inaczej się stało.

Po owej odpowiedzi zwrócił się gospodarz do swoich, prowadząc dalej rozmowę ¹⁾.

Powróciłem do swych sanek i znowu musiałem zawiadomić kolegę o niepomysłnej nowinie. Przez cały czas mojej nieobecności sanki nasze ani kroku naprzód nie postąpiły. Gdy tak rozmyślały, jakim sposobem dostać się do miasta, dał się słyszeć ogromny krzyk w stronie bramy. Pobieglem dowiedzieć się. Gdy się zbliżyłem do owego miejsca, widzę rozbity furgon, który był kasą wojskową i baryłki z niego wytoczone ²⁾. Jedne z baryłek były już rozbite, a na innych dopiero rozcinali pałaszami obrączki. Gdy porozdzierano woreczki, które były w baryłkach, wysypało się złoto francuskie na śnieg.

Smutny widok łakomstwa i chciwości! Gdy tam przybiegłem, zastałem na kupie ogromnej ludzi jeden na drugim leżących, a każdy sięgał rękami do ziemi, śnać chcąc z ziemi dosięgnąć woreczka. Ci, co byli na spodzie, lubo najbliżsi woreczków, nie mogli

się wydostać z pod tych, którzy na nich leżeli i straszliwy krzyk wydawali. Ci znów, którzy dostawszy woreczki, chcieli z niemi uciekać, otrzymywali najczęściej cios bagnetem albo pałasem, a puszczone woreczki dostawał się w ręce maruderów, których ten sam los spotykał, co i ich ofiary. Tak z rąk do rąk woreczek przechodził, zostawiając po sobie śmierć albo kalectwo. Zwinniejsi wymykali się z tłumu ze złotem, gdy ich nie mogli inni dogonić, strzelano za nimi. Pozostali, nie wiedząc, u których są pieniądze, strzelali do goniących, a tak wkrótce strzały się stały powszechnymi, bo w zamieszaniu strzelano nie wiadomo do kogo.

Ja i mój kolega, dalecy od podobnej chciwości, ukryliśmy

¹⁾ Fakt dość wyjątkowy, gdyż wszystkie źródła dobrze mówią o gościnności Wilna w tym smutnym czasie, ale ostatecznie jest możliwy.

²⁾ Zrabowanie kasy cesarskiej miało miejsce nie w Wilnie, ale pod górą Ponarską, za Wilnem.

— 250 —

się w przyległym domu przed strzałami. Gdy już wszystko uspokoiło się, i jedynie porozbijane baryłki świadczyły o pobjawisku, zeszliśmy zobaczyć owo miejsce. Oprócz baryłek kilka trupów leżało rozgniecionych, a kilkunastu żołnierzy siedziało pod domami, opatrując rany. W owym zgiełku znalazł się i kapitan Sendek, który przypatrując się rozbitym baryłkom, dostrzegł, że w jednej z nich na spodzie pozostał woreczek. Sendek, nie mogąc wyciągnąć woreczka z baryłki, bo by oberwał podobnie jak inni, bierze się na sposób: podniósłszy baryłkę nogą, stawia ją dnem do góry i usiadłszy na niej, chce nieznacznie z pod takowej wyciągnąć woreczek. Lecz znaleźli się przezorniejsi od niego. Widząc, iż Sendek ciągle na owej beczie siedzi i ciągle się ogląda, odgadli, że w baryłce coś znajdować się musi. Paru żołnierzy porozumiało się ze sobą i jeden z nich z boku pchnął Sendka, a gdy ten powalił się na ziemię, inny porwał baryłkę i umknął w tłum.

Tymczasem świeżo przybywający na przedmieście, oznajmili, że nieprzyjaciół już blisko, co też wkrótce potwierdziły strzały. Cały nasz tłum zaczął się cisnąć ku bramie. Przechodził właśnie oddział dragonów francuskich zmierzając ku bramie i rozpychając zebrany na ulicy tłum. Przyszła mi wtedy do głowy myśl zbawienna. Kazałem koledze swemu zawiązać chustką głowę i rękę, położyć się na sankach i ruszyliśmy tuż za dragonami. Gdy oficer żandarmeryi francuskiej, stojący przy bramie, zapytał, kto to jest na sankach, odpowiedziałem śmiało, że oficer ranny, co jeden z dragonów, na ostatku jadący, potwierdził. Oficer żandarmeryi, sądząc zapewne, że ten ranny należy do owych dragonów, kazał sanki puścić, a ja, uchwyciwszy się takowych, po owych koniach w bramie leżących, z wielkiem niebezpieczeństwem przemknąłem się.

Dostawszy się za bramę, odetchnęliśmy. Przejechawszy ulicę od Ostrej bramy wiodącą, wjechaliśmy w rynek, czyli też w jakiś plac przed ratuszem, obaryerowany. Na

— 251 —

nim ujrzeliśmy kilka kolumn broni w kozłach, a w ulicy kilka dział odprzodkowanych i skierowanych ku bramie. Do tego mnóstwo żołnierzy bawarskich, którym przyznać trzeba, że z Niemców są najwaleczniejszymi. Gdyśmy spojrzeli na ich wojenną postawę, duch w nas wstąpił; mówiliśmy do siebie, że ten korpus świeży, a do tego złożony z wojska bitnego i wytrwałego, potrafi nas zasłonić od nieprzyjaciela ¹⁾.

Kolega mój proponował, aby gdzieś wstąpić do szynku i rozgrzać się. Weszliśmy tedy i kazaliśmy sobie podać piwa grzanego. Gdy sobie rozprawiamy przy piwie, powstał straszny krzyk i ruch na ulicy. Wybiegliśmy natychmiast. Widzimy, że piechota za broń chwyta, artyleria za armaty i lonty, a wszędzie słychać krzyki: „Kozaki w mieście!”.

Jakoż w istocie sami widzimy kozaków wpadających z jednej ulicy bocznej, tak że prawie blisko dział byli. Gdyby na rynku nie stało wojsko świeże, ale owo znużone francuskie, a jeszcze to, dla którego był postrachem sam wyraz „kozak”, to byłoby niezawodnie od broni i armat uciekło. Ale tu przeciwnie się stało. Kozacy, zaprawieni na Francuzach, śmiało dotarli do armat i broni stojącej w kozłach, ale gorzko opłacili swą zuchwałość. Bawarczykowie, schwyciwszy za broń i lonty, sygnęli gradem kul i kartaczy, a kozactwo trupem zasłało ulicę i uciekło w popłochu ²⁾.

Gdyśmy po owej scenie wrócili do ciepłego piwa, zapytuję się obecnych w szynkowni: „Moi panowie,

¹⁾ Do Wilna nadeszła świeża dywizja francuska jen. Loison z korpusu mar. Augerau, nie Bawarowie.

²⁾ Dywizja Loisona biła się z nieprzyjacielem nie w Wilnie samem, ale za miastem rano dnia 10-go grudnia. Przerzedzona strasznie przez mróz, opuściła miasto, które zaraz zajęli kozacy Płatowa. Fakt podany przez Białkowskiego niepewny, choć o czemś podobnem mówi i Ostrowski.

— 252 —

powiedźcie mi, którądy owi kozacy dostali się do miasta, gdy całe przedmieście przed bramą jest zavalone, a Francuzi zajmują przestrzeń na milę przed Wilnem?” Na to odpowiedziało mi kilka głosów, że do Wilna którądy kto chce, czy bokiem, czy około samej bramy wjechać można, tak jak ci kozacy wpadli. Opowiedziałem wtedy obecnym, owo zdarzenie moje na przedmieściu, jak wyżej była mowa. Wyjaśniono mi, że musiałem mieć do czynienia z nikczemnikiem, bo jeszcze Wilno nie jest opasane murem oprócz bramy. Może to być dla następnych pokoleń nauką, że, kiedy komu szczęście sprzyja, pełno ma przyjaciół i przychylnych, ale niech tylko fortuna bokiem się odwróci z nią wszystko się zmienia.

Posiliwszy się w Wilnie, udaliśmy się w dalszą drogę.

Wyjechawszy za miasto, mój kolega znowu proponował, aby się za rzekę Wilię udać, a nie jechać traktem, gdyż żadnych zapasów żywności tak dla nas, jak i koni nie mieliśmy.

Poszliśmy za jego radą. Pomimo mocnego mrozu rzeka nie była wszędzie zamrożoną, jednakowoż, wybierając miejsca, gdzie znać już było ślady przejazdu sań, przejechaliśmy szczęśliwie i dostaliśmy się do wioski porządnej. Zajechaliśmy na dziedziniec jednego z porządnějších domów. Mieszkał w nim jakiś szlachcic, któremu oświadczyliśmy, że nam potrzeba żywności, za którą chętnie należytość zapłacimy. Za odpowiedź gospodarz prosił, aby się rozgościć, a o reszcie się pomyśli. Przyjęto nas, choć skromnie, ale z dobrego serca. Gospodarz dał rozkaz czeladzi, aby jak najspieszniej wieprza biła i oprawowała, a zarazem, aby coś na prędko zgotowano, a równocześnie posłał konno chłopaka, aby powziął wiadomość, czy kozacy jeszcze się nie przeprawili przez Wilię. Tymczasem my obiad zjedliśmy, połowę oprawionego wieprza włożono nam w sanki, dodano kaszy, mąki, owsa i co mogli rzeczy potrzebnych do życia.

Wrócił wreszcie wysłany na zwiady chłopak i doniósł,

że wojsko francuskie stojące w Wilnie, wyruszyło za miasto i odparło nieprzyjaciela, ale dodał, że widział sam, jak mnóstwo kozactwa poszło bokami, a nawet przeprawiało się przez Wilię. Na to doniesienie ów pocziwy szlachcic rzekł: „No, moi panowie, postanowiłem sobie, aby was na noc zatrzymać, ale kiedy tak, to was nie zatrzymuję, ale nawet życzę, abyście się jeszcze za dnia przez Wilię przeprawili, bo to jest, dodał, rzeka bardzo niebezpieczna, każdego roku dużo ludzi w tej porze się utopi; ale ja wam wszystko dobrze urządzę”.

Posłano na wieś po jakiegoś rybaka, który znał dobrze rzekę, aby nas przeprowadził. Nim przewodnik przyszedł, już też i dzień schylał się ku końcowi, ile że to było w grudniu, gdy wyruszyliśmy po czułem podziękowaniu naszemu dobroczyńcy, który w żaden sposób wynagrodzenia nie chciał przyjąć, mówiąc, iż jest to już dostateczną dla niego nagrodą, że swoim rodakom mógł przyjść z pomocą.

Już też wieczór się zrobił i dobrze się ściemniło, gdy przybyliśmy do rzeki, przez którą, dzięki ostrożności naszego przewodnika, przeprawiliśmy się szczęśliwie.

Teraz porównajmy postępek wileńskich bogaczy z uczynkiem biednego szlachcica: od tamtych nie żądałem, jak tylko wskazania mi drogi, a oni odmówili bez względu na moje nieszczęśliwe położenie, widząc mnie zgłodniałym i przemarzniętym; ten zaś podzielił się ze mną kawałkiem chleba, a co więcej, przejęty naszym położeniem, strzegł tak starannie naszego bezpieczeństwa. Jest to dowiedzione, że klasa wyższa sprzyja tylko przewadze losu, podobna ona jest w tym względzie do owych wileńskich żydów, o których opowiadano następujące zdarzenie.

Gdy armia francuska opuściła Wilno, zostały lazarety przepełnione chorymi i rannymi, a na ulicach mnóstwo trupów żołnierzy przemarzłych i zgłodniałych ¹⁾). Z tego

¹⁾ W Wilnie w samym szpitalu w klasztorze Bazylikańskim na korytarzach leżało 7500 trupów. Trupy leżały wszędzie, zarażając powietrze.

powodu policja miejscowa, nie mając innego sposobu pochowania owych trupów, ogłosiła, aby się kto podjął tego za wynagrodzeniem. Naturalnie, któżby inny, jak nie żydy. Ponieważ owo wynagrodzenie było umówione od liczby trupów, którą przy wywożeniu kontrolowano, przeto ten naród chytry i niegodziwy, przyczepiający się zawsze do przewagi, gdy już pozabierano trupy z ulic, nie mając już takowych do wywożenia, wpadali do francuskich lazaretów i wyrzucali żywych oknami przez bruk. Takowych, pod formą sprzątanym z ulic, wywozili i od nich opłaty pobierali ¹⁾).

Ale nie tylko obywatele wileńscy i zapamiętali żydzi, ale nawet chłopci litewscy, a nakoniec i niektórzy gubernatorowie i znaczniejsi urzędnicy niemiłosiernie i nie po ludzku obchodzili się z jeńcami francuskimi. Były takie wypadki, że jeńców do jakiegoś budynku wpędzono, pozabijano okna i drzwi i tenże z jeńcami podpalano. Taką śmierć znalazł mój kolega, porucznik Politoski. Będąc rannym, a nie mogąc podążyć za armią, dostał się do niewoli.

Z opowieści żołnierza z pułku naszego, nazwiskiem Belza, dowiedziałem się także o jednym smutnym zdarzeniu. Gdy duży oddział jeńców przypędzono do miasta, w którym był gubernator, ów nieludzki człowiek, dla pozbycia się łatwiejszego swych jeńców, kazał całą partię wypędzić na pole i to jeszcze na wyniosły wzgórek (mróz był okropny), obstawił ich żołdatami i nie dał im żadnej żywności. Wskutek tego zaraz pierwszej nocy dużo jeńców

¹⁾ Antoni Ostrowski pisze: „Żydostwo wileńskie dość powszechnie obwinione jest, że w tej okropnej chwili wywierało ohydny zemstę, wydając na rzeź pozostałych Francuzów i dzieląc się łupem”.

namarzło, a pozostali przy życiu wzięli się do trupów, obrzynając z nich ciało, które palili przy ogniu i tem się żywili. Resztę zaś trupów i szkieletów poustawiali, zasłaniając się w ten sposób od mroźnego wiatru.

W owym czasie wiekopomnej pamięci Naj. Cesarz Aleksander, przejeżdżając, spotrzął w oddaleniu na polu owe zjawisko. Nie mogąc zdala rozpoznać, co by to znaczyło, że ludzie w różnych grupach jedni na drugich stoją, postanowił zbliżyć się do nieszczęśliwych. Spostrzegłszy szkielety bez ciała, zapytuje się będącego tam oficera, co by to wszystko znaczyć miało. Ten odpowiedział, że gubernator przykazał, aby „nechristów” wszystkich wymrozić. Cesarz kazał posłać po owego gubernatora. Ponieważ cesarza nie poznano i powiedziano gubernatorowi tylko, że to był jakiś wyższy oficer, przeto gubernator nie chciał się na mróz narażać. Powiedział, że ten, co go przyzywał, może do niego przyjechać. Cesarz drugi raz posłał i kazał powiedzieć, że ten, co go potrzebuje, jest starszym od niego. Na takie zawiadomienie gubernator przybywa. Na zapytanie cesarza, co to są za ludzie, których kazał pomrozić, gubernator odpowiedział, że to „nechrisci”. Cesarz znowu powiedział, że to są ludzie, że nikt mu tej władzy nie dał, a do tego wspominał o rozkazach, wydanych przez feldmarszałka księcia Kutuzowa, aby się z jeńcami jak z ludźmi obchodzono. Na odpowiedź cierpką, bo widać gubernator cesarza albo nie poznał, albo wcale nie znał, cesarz kazał mu oberwać oznaki rangi i w Sybir go odesłał. Pozostałych przy życiu natychmiast do miasta odprowadzić i rozkwatować rozkazał, a następnie ponowił rozkazy, aby się z jeńcami po ludzku obchodzono. Wskutek tego (jak ów Belza zeznał) nie tylko owa partja jeńców, ale wszyscy inni wzięci w niewolę doznawali błogosławionej opieki. Była to polityka bardzo wyrachowana (jak mówiono) księcia Kutuzowa, który obchodzenie się łagodne z jeńcami i z mieszkańcami zajętych prowincji

popierał, uważając, że tym sposobem wytrąci się oręż nieprzyjacielowi z ręki ¹⁾).

Przez Wilię dostaliśmy się na drugi brzeg, a następnie na trakt prowadzący od Wilna do Kowna. Ujechawszy około dwóch wiorst, napotkaliśmy po lewej stronie traktu figurę murowaną. Od niej drogi dzieliły się na dwie strony: jedna prowadziła ku Kownu, a druga ku Grodnu. Pod figurą stało kilku oficerów polskich, którzy nieustannie wołali po polsku, aby Polacy udawali się na lewo, to jest na drogę do Grodna ²⁾). Wskutek tego i my udaliśmy się wspomnianą drogą. Lubo noc już zapadła więcej jak od półtorej godziny, przecie ogień armatni nie ustawał pod Wilnem, gdzie się bił korpus bawarski. Ruszywszy grodzieńskim traktem, w odległości pół mili od owej figury spotkaliśmy nasz korpusik pod jedną górą. Chociaż korpusik był nieliczny, ale miał dużo armat, które nasza piechota zmuszoną była wypychać pod górę. Nie należeliśmy już prawie do armii czynnej, przeto z wielką

trudnością, z boku po górach i to jeszcze karczami zarosłych, przeciągnąwszy nasze sanki, staraliśmy się korpus nasz pominąć. Trwało to może do północy. Gdyśmy się już dostali na trakt otwarty, ruszyliśmy dalej. Ujechawszy ze dwie mile, zajęliśmy do jednej karczmy, chcąc konie popaść. Ale zdziwiło nas niemało, gdy szynkarka sama się zapytała, czyby nie mogła nam czym z jedzenia lub picia służyć. Ucieszeni tem, kazaliśmy sobie coś na prędce ugotować. Karczma owa była opatrzona we wszystkie potrzeby.

¹⁾ Jestto nieścisle. Łagodność postępowania była wynikiem rozkazów cesarza Aleksandra. Kutuzow był przeciwny zupełnej amnestii i żądał konfiskaty majątków osób, należących do składu tymczasowego litewskiego.

²⁾ Korpus polski poszedł do Kowna. Zaledwo 6000 ludzi wróciło do Warszawy z 32000 korpusu 5-go. Pierwszy oddział, złożony z kilkuset ludzi, dnia 28-go grudnia wkroczył do Warszawy.

— 257 —

Gdy dzień się zrobił, ruszyliśmy dalej, mając konie dobrze podpasione i do tego sannę wyborną. W krótkim czasie ujechaliśmy cztery mile. Podjeżdżając pod las, spotkaliśmy żandarma francuskiego, który oznajmił nam, że Grodno już jest zajęte przez nieprzyjaciela i korpus polski zapewne inną pójdzie drogą. Dodał w końcu, że jego obowiązkiem jest nikogo do Grodna z armii nie

puszczać. Przeto zawróciliśmy znowu nazad traktem, starając się dostać na drogą, którą poszedł nasz korpus. Przyszło nam to z łatwością. Wypytaliśmy się mieszkańców, dokądby ów trakt prowadził, którym nasi poszli. Odpowiedzieli, że do Olity. Jadąc dalej nocą, ponieważ zapewne też i nasz furman zdrzemnął się, dosyć że ujechawszy ze cztery mile, spostrzegliśmy, że znajdujemy się na innym trakcie. Karczmarz, u którego nocowaliśmy, zapewnił nas, że tym traktem będzie nam nawet bliżej do Księżstwa.

Jechaliśmy dalej powoli, często popasając, gdyż był to kraj niedotknięty klęską wojny, jako leżący z boku teatru wojny.

Wkońcu przybyliśmy około godziny ósmej zrana do pamiętnego dla mnie miasteczka Butrymańców. Zajechałem do austeryi dosyć z powierzchowności obiecującej, gdyż była murowana i stała na środku miasteczka, które się składało z jednej długiej ulicy. Przed karczmą zastaliśmy dość duży tabor sanek, które należały do naszych żołnierzy z jazdy, także naprzód jadących. Gdy koniom zasypano obrok w stajni, myśmy się udali do izby gościnnej w alkierzu u żyda. Obsiedli tam stół nasi bohaterowie z jazdy, jedząc jajecznicę, pierniki, ryby, bułki, zapijając miód, piwo, wódkę, wiszniak, zgoła wszystko w co tylko była austerya zaopatrzona.

Gdy się owa hulanka w alkierzu dzieje, my odbywamy popas skromnie, kazawszy sobie piwa zagrzać. W karczmie panował taki ruch, że drzwi się prawie nie zamykały. Wchodzi jakiś stary żebrak, prosząc o wsparcie. Wszedłszy, drzwi za sobą zamyka, przeciąga je mocno.

— 258 —

W tym momencie za żebrakiem idzie mój kolega. Gdy pierwszy drzwi ciągnie do izby, drugi ciągnie je w przeciwną stronę do siebie. A tak ten sądzi, że się drzwi ciasno zamykają, tamten że się ciasno otwierają, bo każdy w przeciwną stronę ciągnie. Po niejakej chwili mój kolega silnie szarpnął, a otworzywszy widzi, że ów żebrak trzyma za klamkę. Sądził przeto, że on go niechce wpuścić do izby. Ponieważ kolega mój był żywego temperamentu, jak utnie tego żebraka w kark i doda. „To ty jeszcze nie puszczasz mnie do izby!” Gdy znowu wyszedł do stajni, mnie się żal zrobiło, że ów żebrak niewinnie w kark dostał. Dobywszy kilka groszy, dałem mu je, dodając: „Wybacz bracie, bo ci trzeba wiedzieć, żeśmy sześć miesięcy strzechy nie widzieli, to każdy się teraz pod nią ciśnie”. Żebrak, uspokoiwszy się nieco, daje mi nieznacznie znak, abym za nim na dwór wyszedł, bojąc się, aby żydy się tego nie domyślili.

Gdy mnie od karczmy na bok wyprowadził, półgłosem do mnie odzywa się w te słowa: „Pana mnie tylko żal, widząc, że jesteś miłosierny i dlatego ostrzegam Pana, abyś jak najprędzej to miasteczko opuścił. Wojskowi, co tam w alkierzu hulają, pokazali żydom różne zdobycze, jako to perły, srebro, różne materye, chcąc im to sprzedawać. Żydy obejrzeni, targując się, nie kupili, a natychmiast posłali do pobliskiego miasteczka o milę stąd, w którym się znajdują dwie sotnie kozaków, wzywając ich, aby pospieszyli owych wojskowych polskich zabrać, a z nim i zdobycz”. Do tego jeszcze dodał, wskazując na rogatkę, którą w ulicy widać było: „Niech Pan patrzy, co to żydowstwa przy rogatkach. Dlatego zalegli rogatki, aby nie wypuszczać wojskowych, niby pod pozorem meldowania się burmistrzowi, który o tem nic nie wie, a w istocie aby wstrzymać ich wyjazd, aż kozaki przybędą”. Pożegnał mnie ów pocziwy staruszek, radząc mi: „Jakem katolik, niech Pan śpiesznie wyjeżdża”.

Gdy spojrzałem jeszcze raz na rogatki, widzę żydów

— 259 —

uzbrojonych w drągi, koły, a nawet dyszle od wozów. Pospieszyłem do mego kolegi i wyprowadziwszy go na dwór, pokazałem mu ów tłum uzbrojonego żydowstwa przy rogatkach, opowiedziawszy mu w krótkości przestrogi staruszka.

Nie tracąc czasu, wszyscy trzej wzięliśmy się do zaprzęgania koni. Nie czekając na śniadanie, gdy już wszystko było gotowe do wyjazdu, udałem się do alkierza, a przymknąwszy drzwi za sobą, aby się żydy nie dowiedziały, odzywam się do owych żołnierzy z jazdy: „Słuchajcie koledzy! mam wiadomość, że wkrótce kozacy to miasteczko odwiedzą, aby nas zabrać, a to tem bardziej, że żydy po nich posłali, spodziewając się u was kosztowności”. Wskazałem przytem na zastęp żydowstwa przy rogatkach. Odezwało się kilka z nich, poprawiając sobie czapki na bakier: „Kto się boi, to niech sobie jedzie, a my pijmy! Żydówka miodu!”

Opuściłem izbę, zrobiwszy następujący plan wyjazdu: Koledzy swemu, jako uzbrojonemu w pałasz kawalerski, poleciłem, aby, gdy przyjedziemy do rogatki, zsiadł z sanek i rozpędzał pałaszem ów tłum żydów, usiłując się dostać do szlabana i takowy otworzyć. Zaś żołnierzowi naszemu (Kosińskiemu) poleciłem, aby bicz rozwinął dla popędzenia koni i odpędzał nim żydów. Ja zaś wziąłem na siebie obowiązek składania tylnej straży, i w tym celu wziąłem karabin naszego żołnierza, świeżo nabity, i bagnetem opatrzony, a do tego kilka ładunków koło siebie natykałem dla prędszego nabicia.

Tak przygotowani dojeżdżamy do rogatki. Mój kolega, który liczył lat około pięćdziesiąt życia, do tego mocny brunet z wąsami i faworytami ogromnie czarnymi, piorunującym głosem krzyknął: Hej żydy! Na bok! Otwieraj!” Nie tylko nie otwierano, ale żydzi nadstawiając kije i urągi, krzycząc podniesionymi głosami: „Nu, niewolno, trzeba się meldować!” Jeden starszy żyd wysunął się naprzód, chcąc przemówić, a to dlatego, aby nas dłużej

— 260 —

bawić. Wtem mój kolega skoczy z sanek i błysnie dobytym pałaszem. Na taki widok żydowstwo a z nimi i ów orator rozpierzcha się, gubiąc pantofle po śniegu. Wcisnęliśmy się w ów tłum żydowstwa, którego było przeszło dwieście ludzi. Nim mój kolega zdołał szlaban otworzyć, do czego trzeba było poobcinać sznurki, druty i żelazka, którymi był przymocowany, żydowstwo broniło nam przystępu do rogatek, bijąc konie drągami po łbach. Lubo Kosiński tego szastał batem po łbach, z trudnością przychodziło mu za Tarnawskim się przedostawać. Porwałem za przygotowany przy sobie karabin z bagnetami w oczach ich odwiodłem kurek, a to dla większego postrachu. Ukłękawszy na sankach, a rozparłszy się wygodnie o drabiny, broniłem tyłu. Żydowstwo z początku na widok karabina, a tem bardziej szczęknięcia kurka, zaczęło się usuwać. Ale w miarę postępu sanek, gdyśmy się więcej w tłum zagłębiali, widać że jakiś starszy zagrzał ich odwagą, bo rzucili się na nas ze wszystkich stron. Do tego mieli broń przeważną, bo drągi długie. Zaczęli nas ze wszystkich stron nimi okładać. Gdy się obróć z bronią i przyłożyć się niby do strzału (nie miałem zamiaru tylko w ostatecznym wypadku wystrzelić), żydowstwo z tej strony ucieka, a z przeciwnej rzuca się znowu na mnie i nie tylko drągami okłada po głowie i rękę, ale nad to szturka mnie to w plecy, to po głowie, usiłując mnie zepchnąć ze sanek. Gdy się znowu obróć do tamtych, ci uciekają, bojąc się strzału, a tamci znowu to samo robią, co i pierwsi. Było tego może jaki kwadrans, aż wreszcie kolega poobcinał przeszkody u szlabana. Kiedy się rogatka podniosła, ja, wytrzymawszy najnatarczywsze wysilenia ze strony żydowstwa i odebrawszy najmocniejsze razy, widziałem, że nam już nie przeszkodzą w wyjeździe, gdyż Tarnawski wskoczył już na sanki, broniąc się pałaszem od natarczywości żydowstwa. Ale ostatnie razy tak mi dokuczyły, że, wpadłszy w największą złość, wypaliłem w skupione żydowstwo. Piorun nie sprawiłby tyle zamieszania, co mój strzał (bo zapewne

— 261 —

sądzi, że karabin nie był nabity). Ów ogromny tłum rozleciał się na dwie strony, zostawiając po sobie tylko pogubione pantofle, pasy, jarmułki i t. p. Do tego niektórych widziałem grzebiących się po drodze. Zdawało się, że, jak gdyby chroniąc się od strzałów, nastąpić mających, schylali się do ziemi.

Wydobyszy się z owej okazji, dopiero każdy z nas opowiada, ile odebrał razów i szturchańców. Byliśmy pokaleczeni wszyscy mniej lub więcej.

Jechaliśmy czystem polem, w oddali widać było jakąś wioseczkę. Zdawało nam się, że leży ona o milę najdalej, w istocie zaś była ona oddaloną o trzy mile, a owo pole było jeziorem zamrożniętem i zasypałem śniegiem, po którym sanna najdoskonalsza. Gdyśmy nasze rumaki rozpuścili, niebawem przebyliśmy całą przestrzeń. Spieszyliśmy z obawy nie tak żydowstwa, ale nadciągnąć mających kozaków.

Przybyliśmy nareszcie do owej wioski i postanowiliśmy do pierwszej chaty zajechać. Nie potrzebowaliśmy nic od chłopów, bo mieliśmy z sobą siano, owies i żywność dla siebie. Chcieliśmy tylko, aby nam baba rozpałała ogień i coś zgotowała. Kiedyśmy na dziedziniec do chłopów wjechali i bierzemy się do wyprzęgania koni, wchodzi jakiś nasz oficer od ułanów. Widzi nas wyprzęgających konie, odzywa się grzecznie: „Jak widzę, panowie zamyślacie popasać. Zróbcie tę grzeczność dla brata mego, który jest dziedzicem tej wioski i nie odmawiajcie odwiedzenia go we dworze, a wszystko tam na wasze rozkazy się znajdzie“. Ja bez namysłu powiedziałem, że nie będziemy robić żadnej ceremonii, zwłaszcza z bratem kolegi. Zawróciwszy, wsiedliśmy do sanek, zabrawszy z sobą owego kolegę i zajechaliśmy przed porządną dwór.

Gospodarz przyjął nas z największą serdecznością. Gdy zaproponował, aby konie zaszły do stajni, odmówiłem prosząc tylko o trochę siana, którego nam już zbywało. Poczciwy gospodarz kazał przynieść natychmiast

— 262 —

owsa i siana, a nas zaprosił do pokoju. Ponieważ było południe, prosił, aby zostać na obiedzie. Gdy widziałem, że się krzątano koło obiadu, chcąc, jak się domyślałem, z naszej racji co przyczynić do niego, otwarcie prosiłem gospodarza, aby nie podejmował niepotrzebnej subiekty, gdyż my się spieszymy; czekamy tylko, aby konie popaść i dalej jechać.

Miałem wciąż na myśli nasz ostatni wypadek i obawiałem się, że pogoń pójdzie za nami. Nietylko sam pan ale i brat jego, ale nadto pani domu, która była jeszcze młoda i przystojna, oraz jej siostra, za przybyciem naszym odmienili ubiór. Następnie dano obiad do stołu; siadając, posadziła mnie gospodyni około siebie. Ponieważ ja się coraz bardziej od niej odsuwałem, zdziwiło ją to widać, bo była kobietą młodą i przystojną, a ja się odsuwałem. W końcu zapytała mnie wprost: „Czy Pan się mnie boisz, że się tak odsuwasz?“ Ja, nie tając, odpowiedziałem, że czynię to dlatego, abym jej nie sprawił nieprzyjemności, będąc pokryty nędzą obozową. W czasie obiadu gospodarstwo byli ciekawi dowiedzieć się od nas szczegółów wypadków obecnej kampanii. Robili częste zapytania, ja zaś, ile mogłem unikałem szczegółów, aby prędzej ów obiad ukończyć i jak najprędzej wyjeżdżać, bo mi zawsze obecną była awantura przy rogatkach w Butrymańcach. Gdy się to dzieje, drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju jakiś obcy człowiek, który podał list gospodarzowi. Ten, odczytawszy go, odprawił posłańca i zapytał się nas, czyśmy przez Butrymańce jechali. Zapytanie to uderzyło mnie od razu, domyśliłem się, że zaszło coś nadzwyczajnego, a przynajmniej ostrzeżenie starszka się ziściło. Na odpowiedź moją, że popasaliśmy w tem miasteczku, gospodarz kazał przyspieszyć podawanie potraw dla porządnego ukończenia obiadu. Po obiedzie porwali się najspieszniej od stołu. Podziękowawszy za gościnne przyjęcie, zabieraliśmy się od razu do drogi. Oświadczone nam jednak, że zaraz będzie kawa. Nim tę podano, gospodarz w te

— 263 —

odzywa się słowa: „Lubo bardzo nam jest przyjemnem, że mieliśmy tyle sposobności dowiedzenia się bliżej o wypadkach wojennych z ust tych, którzy składali wielką armię i byli naocznymi świadkami, ale wiadomość, jaką w tej chwili odebrałem, wzbrania mi zatrzymywania panów dłużej. Dobyszy listu, następnie odczytał nam go w całości. Burmistrz miasta Butrymańców odesłał swoją żonę do nadleśnego przyległych lasów, który był jej bratem, i z tego powodu uprasza naszego gospodarza, aby, jeżeli

tęgo zajdzie potrzeba, nie odmówił pomocy jego żonie, co będzie się starał w każdym razie odsłużyć. Do tego dodaje, że wypadek, jaki się zdarzył w tym momencie, w miasteczku, zmusił go do tego kroku. Dnia jednego — pisał dalej — z rana przy było dużo polskich wojskowych, pojedynczo wracających, którzy pokazali żydom różne kosztowności zdobyte w czasie tej wojny, chcąc takowe sprzedawać. Żydzi na pozór targowali się, chcąc się dowiedzieć tym sposobem, wiele żołnierze i jakie mają kosztowności. Tymczasem dali znać do pobliskiego miasteczka, w którym dzisiejszej nocy dwie sotnie kozackie stanęły, aby

kozacy przybyli do zabrania owych wojskowych wraz ze zdobyczą. Niebawem przybyli kozacy, otoczyli karczmę i wielu owych wojskowych, broniących się, zabili, resztę zabrali i obdarli. Żydów, jak słyhać, miało kilku być zabitych w tem zamieszaniu. Nie wspomniałem nic gospodarzowi o naszym wypadku. Po przyjęciu kawą, którą najspieszniej wypiliśmy, pożegnaliśmy gospodarstwo, podziękowawszy za gościnne przyjęcie. Gdy się zapytałem brata gospodarza, a naszego kolegę, czy się nie wybiera do swojej komendy, odpowiedział nam: „Ja niedaleko mam do swej komendy. Właśnie Panowie przejeżdżać będziecie przez bliskie stąd miasteczko Merecz, tam stoi nasz szwadron i bylebyście się tam dostali, możecie być bezpiecznymi“.

Mnie zawsze jakieś przeczu cie przepowiadało w tej chwili smutną przyszłość. Przy pożegnaniu z gospodarzem,

— 264 —

gdyśmy już wsiadali na dziedzińcu, prosiłem o jedną i ostatnią łaskę, aby nam dał przewodnika do Merecza. Odpowiedział mi na to, że nie potrzebujemy przewodnika, gdyż pojedziemy traktem do samego Merecza. Słońce wskazywało nam najmniej drugą godzinę z południa, a do Merecza było ze dwie mile. Byliśmy niegłodni, mieliśmy i konie nakarmione, przytem sanna doskonała. Ruszyliśmy w dobrym humorze i nadziei, że prędko zobaczymy Merecz, ów Merecz, o którym marzyliśmy teraz, że z niego pod zasłoną szwadronu jazdy, spokojnie i wesoło dalej ruszymy.

Wjechawszy na ów równy i szeroki gościniec, siedzieliśmy na naszych sankach, każdy bokiem, a to z przyczyny wążkości prostych litewskich sanek. Kolega mój w brylantowym humorze zaczął jakąś dumkę ukraińską nucić, ja znowu spoglądałem po obszernej przestrzeni pól śniegiem zaspanych. Bawiły mnie obiekta wyniesione nad przestrzenią śniegu, jakoto drzewa, karczce, kamienie większe. Przez szybkie posuwanie się naszych sanek owe obiekta z sobą się mijały. Tak ujechaliśmy około półtóry mili, aż raz spojrzałem, sięgając wzrokiem dalej. W odległości ćwierci mili ujrzałem olszynę i zdawało mi się, że dostrzegłem kilku kozaków, wyjeżdżających z niej. Nie dowierzając swemu wzrokowi, skłonny w tej chwili raczej do jasnego patrzenia w przyszłość, myślałem sobie, że to złudzenie pochodzące stąd, że już wszędzie widzieliśmy kozaków. Ale wzrok mnie nie zawodził, bo po upływie chwili, z olszyny wysunęło się czoło kozackiego oddziału. Zobaczywszy to, pomyślałem sobie, że może kozaków jest tylko kilku i jadą w przeciwnym od nas kierunku. Gdy wysunęli się z olszyny, przekonałem się, że ich było około sześćdziesięciu. Obracam się do mego kolegi, i odzywam się po cichu, aby go nie przerażać: „Patrzaj, mamy gości”. (Wyrazem „gość” zastąpiliśmy w czasie kampanii 1812 r. wyraz „kozak”, który zbyt przerażał Francuzów). Gdy Tarnawski obrócił się i spojrzał — brzezinka mała na

— 265 —

wzgórku zasłoniła mu kozaków. Sądził więc, że wszystko polegało na złudzeniu. Nasz furman, spojrzawszy w tę stronę, zobaczył stado jakichś ptaków i również zaprzeczył zjawieniu się kozaków. „To są podobno kuropatwy — mówił — czy coś podobnego”. Mój kolega, chwyciwszy to, powtarzał: „Tak, to kuropatwy”. Ja, widząc, że kozactwo po wyjściu z olszyny zwróciło się nagle ku traktowi i rozsypało się po polu, chcąc prędzej dosięgnąć gościńca i kierując się w prostej dyrekcyi ku nam, oburzyłem się mocno tem zaprzeczeniem rzeczy widocznej. Zawolałem na furmana: „Kuropatwy, czy nie — puszczaj konie, niech prędzej idą!”

Za chwilę zobaczyli i moi towarzysze kozaków, furman puścił konie w galop. Zajęci owym oddziałem, nie zauważyliśmy, że z za góry pokazało się pięciu kozaków, nie dalej od nas, jak o wiorstę, którzy starali się przeciąć nam drogę. Tu dopiero rozpuściliśmy nasze konie, usiłując umknąć. Przebywamy w pędzie mały wzgórek i mamy następnie przejeżdżać dołek, przez który prowadziła grobelka, a na niej mostek. Widzimy dojeżdżające do mostu jakieś sanki, na których siedziało czterech oficerów niemieckich. Zastępowali oni nam drogę przed mostkiem, postanowiliśmy więc wyminąć ich, mając konie daleko lepsze. Furman zacina konie i mijamy w pędzie. Mijając ich ostrzegamy Niemców, że kozacy blisko. Gdy się potem obejrzałem, Niemcy poganiali na gwałt konie, ale napróżno, bo mieli jakieś szkapięta liche. Nim się pod górę dostali, trzech kozaków z liczby tych, którzy z za góry wypadli odłączyło się i, zastąpiwszy wspomnianym Niemcom drogę, zabrali ich.

My widzimy tuż przy trakcie dwóch pozostałych Dońców. Cała nadzieja w naszych biegunach, bo tuż za górką widać wieżę Merecza, a tam już szwadron naszej jazdy. Gdy Dońcy zbliżyli się do nas na jakie sto kroków, porwałem za mój karabin i, przykłąknąwszy na sankach, zmierzyłem, mając zamiar w najgorszym razie

— 266 —

dopiero wystrzelić. Zbliżyliśmy się coraz bardziej do Merecza, gdy Dońcy przypadają do traktu. Wziąłem na cel najbliższego, ten natychmiast konia zwrócił; podjechał drugi, ja znowu skierowałem karabin na niego, a ci, to podjeżdżają, to się cofają, a wciąż krzyczą: „Postoj! nie ujdiesz, kriczi pardon!”

Ja śmiało im w oczy patrzę, do bliższego zawsze zmierzam i tego się tylko lękam, aby koń który z naszych nie padł z tego szalonego biegu.

Nareszcie dosięgliśmy w zgorza pod Mereczem, co widząc Dońcy, zawiedzeni w nadziei dopędzenia nas, wypalili z janczarek jeden po drugim, ale Pan Bóg poniósł kule bokiem. Wpadamy do Merecza, pytając ludzi, gdzie kwatera komendanta, chcąc go ostrzedz, aby zachował ostrożność przy wystawianiu wedet. Pokazują mi dom obok kościoła, w którym — mówią — jeszcze tej nocy stał komendant, ale rano z całym szwadronem opuścił miasto. Co tu robić? „Zginęliśmy” zawołał mój kolega. Tu konie pianą okryte, tu kozacy o wiorstę przed miastem, a, co gorsza, oddział ich większy, widząc, że tych pięciu Dońców przecinało nam drogę, zwrócił się na lewo, właśnie jak gdyby nam chciał przecinać drogę za Mereczem.

Po krótkim namyśle pytam obecnych, którędy droga do Niemna. Wskazują mi ją obok kościoła, ale tak zwróconą na lewo, że niezawodnego spotkania spodziewać się można było. Pytam znowu, czy daleko do Niemna. Odpowiedziało kilka głosów, że więcej jak mila. Znowu odezwał się kolega: „Zginęliśmy!”, furman: „Zginęliśmy!”. Ja tylko jeden opieram się, mówiąc: „W imię Boże ruszajmy!” Zwróciliśmy we wskazaną ulicę na dół, a następnie wjechaliśmy w jakieś doliny, okryte drzewami, jak to zwyczajnie bywa w nadbrzeżach Niemna. Konie nasze, jakby przewidując jakieś nieszczęście, biegły szybko, a ja ciągle nie zmieniałem mojej pozycyi, klęcząc na saniach i karabin trzymając w pogotowiu. Patrzałem na lewo, gdzie wciąż spodziewałem się z pomiędzy zarośli ujrzeć hordę

— 267 —

kozacką. Ale dzięki Opatrzności ujechaliśmy dobrą milę bez wypadku.

Już niedaleko widać było wysokie brzegi Niemna. Mijamy wieś bardzo porządną, gdy koło bramy dworu jakiś sędziwy obywatel, słysząc nas mówiących po polsku, wybiega na drogę i chwytając konie za cugle: „Rodacy! — woła — uszczęśliwcie na

moment swego rodaka a dawnego rycerza! Darujcie chwilę czasu, odwiedźcie mój dom!“ Gdy mu objawiliśmy nasze obawy, odrzekł, że to coś nadzwyczajnego, bo po wszystkich wioskach stoi jakieś niemieckie wojsko, a nawet kilku stoi i we dworze.

Postanowiliśmy wstąpić na moment. Posiliwszy się nieco i popasłszy konie bez wyprzęgania, ruszyliśmy dalej. Już księżyc świecił, gdy zbliżyliśmy się do Niemna. Przebywając jego powierzchnię po lodzie, porównywaliśmy w myśli naszą przeprawę obecną, z lipcową. Wtedy szliśmy w pełnym blasku i tryumfie niezwyciężonej armii, w nadziei wielkich spełnić się mających zdarzeń politycznych, tem pewniejszych, że szliśmy pod wodzą Wielkiego Bohatera. Teraz wracaliśmy jako rozbitki, pojedynczo i w tak smutnem położeniu.

Byliśmy w Księstwie. Zaraz nad Niemnem leżała duża wioska, a przy drodze dosyć okazała austerya murowana. Gdyśmy do niej zajechali, kolega mój zajął się końmi, aby je po tak nagłej podróży umieścić wygodnie. Ja zaś udałem się do izby po latarnię, bo już było porządnie ciemno. Wszedłszy do izby, przy słabem świetle z komina, spostrzegłem kilku ludzi, jednych siedzących za stołem i pijących wódkę, innych stojących. Zapytałem o szynkarę i poprosiłem jej, aby dała świecy i latarni do stajni. Nim mi podała latarnię, słyszę, że ktoś do mnie mówi. Spojrzę w bok i osłupiałem: przedemną stoi kozak, ubrany w szerokie szarawary, szpencer, przy pałaszu, w ładownicy i z pistoletem za pasem.

Tyle przeżyć prób i niebezpieczeństw, wywijać się tylokrotnie ze szponów kozaków i teraz w Księstwie wpaść

— 268 —

im w ręce! Gdy odrętwiały stoję, prawie jak wryty, ów kozak zapytuje się mnie grzecznie: „Za pozwoleniem Pana, czy Pan z wielkiej armii, czy też od Warszawy przybywa?” Ja nic nie odpowiadam, bo głos mi w piersiach zamarł. Ten znowu zapytuje się, czy będę nocować, bo jeżeli tak, to on prosi mnie do swojej stajni. „Jestem Grabowski — dodaje w końcu — nadgraniczny strażnik”. Na te ostatnie słowa duch we mnie wstąpił. Przyglądam mu się bacznie, a on brody niema (co to strach może). Przyjawszy uprzejmą propozycję, zapytuje się, dlaczego taki ubiór nosi, ostrzegając zarazem p. Grabowskiego, aby go zmienił, bo, gdy korpus nasz się zbliży, to pierwszy lepszy żołnierz do niego wypali. „A i ja — dodałem — przyznać się muszę, że, gdym Pana ujrzał za sobą, duszy już prawie we mnie nie było”. „Prawda — przyznał Grabowski — widziałem Pana jakoś pomieszanego, ale trudno było odgadnąć przyczynę”.

Naśmiewszy się do rozpuku, oświadczyłem mu, że mam ze sobą jeszcze kolegę. Grabowski proponuje, że pójdzie go także zaprosić do siebie. Ale ja powiadam: „Nie. Kiedyś mnie Pan takiego strachu nabawił, niechże i Tarnawski tego doświadczy”.

Poszliśmy do stajni. Tarnawski był zajęty wydobywaniem żywności z sanek, chcąc dać szynkarce do ugotowania. Zbliżyłem się do niego, mówiąc: „No, tośmy tutaj już bezpieczni za Niemnem”. Zajęty wydobywaniem odpowiada półgębkiem. Tymczasem świeca rzuciła blask na Grabowskiego, który stał dotąd w cieniu. Mój kolega, wydawszy krzyk przeraźliwy: „Pa - Pa - pardon” odskoczył w tył, o mało co się nie przewróciwszy. Skoczyłem do niego, śmiejąc się do rozpuku i wołając: „Nie bój się, to Pan Grabowski i mnie on tak przestraszył”. Nie od razu uspokoił się Tarnawski, dopiero gdy ów Grabowski odezwał się ze śmiechem: „No, proszę panów do siebie”.

Gdyśmy weszli do stajni, nasz gospodarz kazał się zająć swej służącej gotowaniem wieczerzy. Napiwszy się

— 269 —

ciepłego, rozebraliśmy się do koszuli. Ten moment będzie dla mnie pamiętnym, bo wtedy będąc rozebrany, dowolnie mogłem po raz pierwszy podrapać się, gdyż w obozach, nie rozbierając się nigdy, ciężko się było dosięgnąć.

Opowiadaliśmy następnie w krótkości gospodarzowi bieg całej kampanii i nasze ostatnie przygody. Zaręczał nam, że jeżeli kozacy dotarli do Merecza, to niezawodnie już się cofnęli, opuszczając nawet Butrymańce, bo za Niemnem jeszcze stoją wojska posiłkowe niemieckie, a tu — dodał w każdej wsi macie Panowie rekrutów naszych już uzbrojonych. A zatem nie poważy się tu żaden kozak tak prędko pokazać. Dodaliśmy: „Oprócz pana Grabowskiego”. Tu znowu powstał śmiech.

Ale w cieplej izbie sen nas coraz bardziej rozmarzał. Po zjedzeniu wieczerzy nasłano nam słomy i do tego dano wygodną pościel, odmieniwszy nam bieliznę, a naszą kazano nie tylko wyprać, ale i wygotować z robactwa. Taka była ta noc — błogosławiona, że tak powiem, po długich, niewygodnych nocach żołnierskich. Zasnęliśmy słodko w owej pościeli. Gdyśmy się zbudzili, wszedł nasz gospodarz i oświadczył, że spaliśmy blisko dwadzieścia godzin. Dopiero na trzeci dzień pożegnaliśmy naszego pocziwego gospodarza, udając się traktem ku Warszawie.

W podróży tej nie spotkało nas żadne szczególne zdarzenie, oprócz jednego w Augustowskiem.

Jak chłopci na Litwie, tak i nasi już po tej stronie Niemna, gdy widzieli żołnierzy różnych narodów, a przytem i naszych pojedynczo wracających, a do tego bez broni, dopuszczali się na nich różnych gwałtów i morderstw. — Razu jednego przybyliśmy do wsi jakiejś dużej (była to niedziela) i, ponieważ konie nasze potrzebowały kwatery, zapytaliśmy, gdzieby sołtys mieszkał. Odpowiedziano, że niema go w domu, bo jest z innymi chłopami w karczmie. Zajechawszy przed karczmę, weszliśmy do izby przepelnionej chłopstwem. Ledwie dopytaliśmy się o sołtysa, który w alkierzu z lepszymi gośćmi pił wódkę.

— 270 —

Gdy tam wszedłem, prosząc o kwaterę, nie odebrałem żadnej odpowiedzi. Prawie jakby na nas nie zważano. Widząc, że idzie twardo, powtarzam do sołtysa: „Czy ty pójdziesz wyznaczać kwatery, czy nie? Jak pułk przyjdzie, to dopiero wtedy będziesz chciał wyznaczać! Usłyszawszy sołtys, „pułk przyjdzie” podniósł się z ławy. „Jak to pułk przyjdzie?” „A jużci — odpowiedziałem — wszak ci to odrazu mówiłem”. Uniósłszy czapki, sołtys ręką po głowie zaczął się drapać. Wtem siedzący koło stołu chłop, obrócony

dotychczas tyłem do mnie, tęgi, barczysty i jeszcze młody, podnosi się i obraca do mnie, ale tak, że stanął przedemną oko w oko. Zawołał na mnie: „Czego tu chcesz?” „Ja cię tu zaraz uspokoję!” a podniósłszy rękę, chciał mnie odrazu za gardło uchwycić. Nie czekając tej ostateczności utnę go z całej siły pod gardło, aż padł na stół za nim stojący, na wznak. Chwytałem go tedy obiema rękami zakułtuny i tłukę jego łbem o stół. Gdy się to dzieje, kobieta jakaś, wszedłszy na ławę, uchwyciła mnie za włosy. Ja, przytrzymawszy chłopca jedną ręką, drugą utnę babę w pysk, aż przez ławę się przewróciła i znowu chłopca o stół, aż ten zaczyna się już prosić. Gdym już owego chłopca natłukł, aż krew na stole pozostała, puściłem go. Obejrząc się — już karczma pustą była; wszystko, jak wymiół, pouciekało, jeden tylko mój kolega pozostał. Ten mi powiada: „Jakie szczęście, żeś go kapitan zaraz tak uczył, gdyż ja byłem w wielkim strachu — dodał — bo gdy ów chłop na kapitana się podniósł, w tym momencie i inni

chłopi się porwali“. Radził jednak w końcu, abyśmy tę wieś opuścili jak najspieszniej, bo karczmarz mówił, że tu już niejednego powracającego z wojny chłopci sprzątnęli. Nie było czego czekać, bo widziałem po wsi gromadzących się już chłopów. Nie chcąc jednak dać poznać, że uciekamy, kazałem przywołać sołtysa, zalecając mu przygotowanie kwater dla wkrótce nadciągając mającego pułku. Udawaliśmy, że się ku swoim wracamy i wyjechaliśmy ze

— 271 —

wsi w przeciwną stronę, aż potem dopiero, objechawszy ją zdala, udaliśmy się traktem dalej.

Czem więcej zbliżaliśmy się ku Łomży, Ostrołęce, Pułtuskowi, tem więcej chłopci byli ulegli, tak, że później, chociaż sami przyjechaliśmy do wsi i sami tylko nocowali, nie mieliśmy już żadnego wypadku.

W Wilię Bożego Narodzenia wjechaliśmy na Pragę. Zostawiwszy Tarnawskiego i sanki na Pradze, udałem się do komendantury placu. Gdym przechodził ulicami, każdy prawie o mnie powtarzał: „Widać, że to oficer powracający z Moskwy”. Łatwo to można było poznać po moim wyglądzie.

Gdy zjawiłem się w komendanturze, witano mnie jak z tamtego świata przybyłego, a wszyscy byli wyświeżeni i czysti. Gdy mnie ścisnąć zaczęto, ostrzegłem tylko, aby się do mnie nie przysuwano. Doręczono mi bilet kwaterniczny, i oświadczono, że wszyscy oficerowie, podoficerowie i żołnierze powracający z Moskwy, odbiorą oprócz żołdu gratyfikację.

Po owej pomyślnej wiadomości wracałem w lepszym humorze do mego kolegi na Pragę. Po udzieleniu mu pomyślnej wiadomości, wsiedliśmy na sanki, zmierzając do przeznaczonej kwatery przy Świętokrzyskiej ulicy, w domu „Jaśnie Wielmożnego szambelana dworu Jego Królewskiej Mości Króla Stanisława Poniatowskiego, Niewieścińskiego”. Odczytując tytuły naszego przyszłego gospodarza, marzyliśmy, jak to będziemy dobrze przyjęci.

Stało się jednak inaczej. Gdy zajechaliśmy w dziedziniec domu, burgrabia pałacu oświadczył, że niema nas gdzie pomieścić, gdyż wszystkie pokoje zajęte. W końcu, litując się nad naszym smutnym położeniem, zaprowadził nas do przedpokoju JW. szambelana, w którym wszystkiego było jedno maleńkie okienko kwadratowe, a co gorsza, że palono tu w trzech piecach, ogrzewających przyległe pokoje. W pierwszej chwili byliśmy kontenci nawet z tego poddasza.

— 272 —

Było to już pod wieczór. Będąc głodni, udaliśmy się do oberży, znajdującej się w sąsiedztwie na rogu ulicy świętokrzyskiej i Krakowskiego Przedmieścia. Poczciwy oberżysta, widząc nas w tak smutnym stanie, żądających jedzenia, odezwał się odrazu: „Trzeba Panom wiedzieć, że dziś u nas w Warszawie obchodzimy Wilię Bożego Narodzenia. Panowie zapewne w obozach stracili datę. A zatem proszę Panów — oto jest wódka, strucle, śledzie i t. p. Niech Panowie raczą się tymczasem posilić, a kiedy Panów do nas szczęście sprowadza, raczcie nie odmówić proszącemu i przyjąć z nami i stołownikami naszymi wieczerzę, która wkrótce nastąpi”. Wyrazy te, wypowiedziane szczerze i ze wzruszeniem, zobowiązały nas do przyjęcia gościnności, zwłaszcza z dodatkiem gospodarza, że w dniu tym nie tylko swoim stołownikom ale i obcym zwykł służyć (gratis).

Coraz więcej przybywało gości, którzy w miarę przybywania obsypywali nas zapytaniem o przebieg obecnej kampanii. Na rozmowie o tem czas przed wieczerzą minął szybko. Po zwykłych ceremoniach dzielenia się opłatkiem zasiedliśmy do wieczerzy, która nie tylko była porządna, ale nawet zbyt kłowna; było suto jedzenia i dostatek wina. Pod koniec wieczerzy obecni goście, zadowoleni z naszej obecności, postanowili nas uczęstować. Zażądali od gospodarza różnych trunków, dodając, że tylko wieczerzę przyjęli gratis, a teraz wolno im jest za pieniądze coś wypić. Nie przyjął propozycji gospodarz, powtarzając: „U mnie nie ma dziś nic za pieniądze. I tak szczęśliwy jestem z tak szanownych gości, a szczególnie (zwracając się do nas) z łaskawych naszych obrońców, którzy nam wszystkim tyle przyjemności zrobili”. Humor wesoły malował się na twarzach obecnych. Każdy coś dodał do wesołości ogólnej a szczególnie nas bawił starej daty wojskowy, Wodzyński, który nie śmiał się przy nas popisywać swemi przygodami, ale za to różnemi anegdotami i śpiewkami bardzo dowcipnemi całe towarzystwo bawił.

— 273 —

Było już po dwunastej w nocy, gdyśmy się rozeszli. Noc pierwsza w przedpokoju szambelana była jaka taka, bo powróciliśmy późno, znużeni drogą, w dobrych humorach po wili, do naszego ubogiego posłania (bo i posłania szambelana odmówił).

Nad ranem obudził nas dym, wydobywający się z paleniska pieców i przepełniający całą naszą izdebkę. Gdy dzień nadszedł, Tarnawski, który był więcej wytrawnym odemnie, postanowił udać się do gospodarza domu JW. szambelana w celu upomnienia się o lepsze pomieszczenie. Zastał jednak mieszkanie zamknięte, a rzadca odpowiedział, że tylko on (rzadca), widząc nas zziębniętych, taką kwaterę dać się odważył. „Inaczej — mówił — musielibyscie w stajni nocować”. Dodał, że pan jego, gdy jest kwaterunek, zwykł bardzo późno w noc przychodzić do domu, a bardzo do dnia wychodzić, aby uniknąć nieprzyjemności. Nie mając innego sposobu, udaliśmy się do komendantury placu, użalając się, że w marszu nawet nigdzie nie spotkała nas podobna niedogodność, jakiej doświadczać musimy w miejscu, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć wszelką przychylność ze strony rodaków. „Rodak” — powtórzył jeden z placowych kolegów z szyderczym uśmiechem — to jest gorszy od żyda, bo niema dnia, aby nie robiono do nas podobnych reklamacy. Ale ja wam poradzę — dodał obracając się do mego kolegi, widząc go w wieku daleko starszym odemnie i marsowej postaci. Kolega niech mu tak zrobi, jak to pewien oficer z nim zrobił, gdy tenże szambelan, nie dawszy mu kwatery, ani pościeli, ukrywał się przed nim. Oficer postanowił koniecznie dostać się do niego i stanął przed drzwiami pokoju szambelana na szyldwachu. Niewieściński postanowił nie pokazać się wcale, a tak jeden drugiego chcieli przetrzymać przez całą dobę. Jednakowoż potrzeby nieodbyte zmusiły szambelana do otworzenia swego pokoju. Skoro tylko drzwi się otworzyły, oficer wpadał szturmem do pokoju i pakuje się w ubranie a nawet z butami na łóżko Niewieścińskiego i okrywa się

— 274 —

jego kołdrą, nie zważając na groźby. Niewieściński, widząc, że nic nie poradzi, udał się do władzy o wymiar sprawiedliwości. Ta, będąc już uprzedzoną o niegodnym postępowaniu szambelana, podała mu projekt, aby wynajął w domu zajezdnym lokal z potrzebną wygodą dla owego oficera, a on z domu jego i pościeli ustąpi. Szambelan, rad nie rad, niezwłocznie tak uczynił. Tak i wy sobie postąpicie”. Chociaż dobre, lubo nieprzyjemne, adjutant placu podawał środki, przecież w pierwszy dzień Bożego Narodzenia trudno to było uczynić, zwłaszcza że szambelan miał tysiączne sposoby bawienia się za domem.

Zatem na razie udaliśmy się do kościoła św. Krzyża dla podziękowania Bogu za szczęśliwe ocalenie. Następnie, jak to w Warszawie, dzień ten upłynął swobodnie, a późno w noc udaliśmy się znowu do naszej kurnej ciemnicy. Następnego dnia, podobnie jak i poprzedniego, mój kolega zrobił wycieczkę do Niewieścińskiego, ale napróżno; szambelan był parę godzin za domem. Na drugi dzień świąt rano rozłączyliśmy się z moim kolegą. Udałem się do kościoła Augustynów, a to z powodu mniejszego tam natłoku publiczności, jak u św. Krzyża, gdyż mnie oczami wszędzie przeprowadzano, gdzie się tylko ruszył, a to zapewne litując się nad moim położeniem, chociaż nie było nic występnego w tem, że w sprawie narodowej w takowe popadł. Idąc Krakowskim Przedmieściem, miałem oczy spuszczone przed siebie, wtem spojrzę na mężczyznę prawie przedemną stojącego, który z rozportartymi rękami na szyję mi się rzuca. Był to młody urzędnik, Wyzłański, który tylko w takich stosunkach ze mną zostawał przed wojną, żeśmy często widywali się po bilardach albo kaffenhauzach. Zawsze objawiał się dla mnie z jakimś szacunkiem, lubo mu nie nie wyświadczyłem dobrego, jedynie tylko tworząc przyjemne towarzystwo. Po czułem uściskaniu, więcej prawie jak braterskiem, gdy mnie zobaczył w tak ubogim stanie, pomimo mego oporu wziął mnie zaraz po nabożeństwie do swej stancyi przy Mostowej ulicy.

— 275 —

Kazał mnie rozebrać w ciepłej swej stancyi swemu chłopakowi, a gdy zobaczył na mojem ciele, podartem od brudu, blizny, kazał przynieść okowity do obmycia całego ciała, bo — dodał — że który tylko przybyły z wojny udał się do łaźni i wziął ciepłą kąpiel, wpadał zaraz w zgniłą gorączkę i umierał. Obmyłem się tedy spirytusem, a następnie włożyłem, zaczawszy od bielizny aż do kapelusza, całe ubranie gospodarza. Tak wyświeżony, we fracku cywilnym (bo nam wówczas wolno było używać ubioru cywilnego) udałem się z Wyzłańskim do restauracyi i tam bawiliśmy się wśród młodzieży i naszych wojskowych, którzy mi pozazdrościli, że się tak prędko oporządziłem. Ubiór mój, pozostały z kampanii, rzucono gdzieś na mieście, bo spodziewano się, że nikt nie poważyłby się wziąć go na siebie. Nie dosyć na tem. Poczciwy Wyzłański, słysząc moje narzekania z powodu niewygodnej kwatery, nie puścił mnie ze swej stancyi. Tak przez czas mego pobytu w Warszawie nietylko w jego ubiorze, ale pościeli i stancyi zostawałem.

Gdy święta minęły, udałem się do kasy, gdzie mi oprócz żołdu wyliczono gratyfikację dwumiesięczną; odebrałem przeto blisko tysiąc złotych i natychmiast zająłem się oporządzeniem wojskowem. Tak czas szybko upływał, aż w dniu 3 go maja 1813 roku wyruszył pułk nasz do Krakowa¹⁾.

Ze łzami w oczach pożegnałem mego dobroczyńcę, Wyzłańskiego, zwróciwszy mu z podziękowaniem ubiór cywilny. Pułk nasz przeznaczony był do Krakowa, gdzie przed kampanią staliśmy garnizonem. Wyruszając z owego miasta, pozostawiliśmy w nim rezerwę, komorę i kasę pułkową, a połowę tylko z sobą wzięliśmy. Gdy przyszła do kraju wiadomość o klęsce armii naszej, polecono zaraz

¹⁾ Data mylna. 3/V. 1813 już całe wojsko ks. Józefa opuściło Podgórze. Resztki pułku 12-go musiały się udać do Krakowa zapewne odrazu po Bożem Narodzeniu.

— 276 —

wszystkim rezerwom pułkowym, aby odebrały rekrutów we właściwym departamencie. Zebrawszy tedy naszych niedobitków pozostałych z kampanii, udaliśmy się spiesźnie do Krakowa.

Naszym pułkiem dowodził wówczas kapitan Sroczyński, najstarszy oficer w pułku, bo pułkownik Wierzbński udał się w Poznańskie, dla załatwienia interesów familijnych, a oprócz niego jeden tylko sztabsoficer pozostał przy życiu, a i ten dla leczenia ran pozostał w Warszawie. W marszu przechodziliśmy przez miasteczko Książę, w którym właścicielka zaprosiła nas do pałacu na obiad. Przy obiedzie, jak zwykle, zaczęto rozmawiać o ostatnich wypadkach wojennych. Siedziało z nami dużo kobiet, które naszego dowódcę wzięły między siebie. Sroczyński, siedząc w tem towarzystwie, szeroko rozwodził się nad przyczynami klęski.

„Od samego początku — mówił — nie szło tak, jak być powinno, wszyscy popełniali błędy, zaczawszy od króla westfalskiego. Jenerał Różniecki n. p. przyczynił się do zniszczenia naszej jazdy pod Mirem”. Tu chciał dalej wymieniać uchybienia tego jenerała, gdy wtem jedna z dam obecnych odzywa się: „Niech pan kapitan raczy darować dalsze błędy jenerałowi Różnieckiemu...” Była to jenerałowa Różniecka, która już wówczas nie żyła z mężem, przecież obeszła ją żywo krytyka. Zmieszała ta uwaga naszego dowódcę, który spiesźnie opuścił materyę owego jenerała.

Gdyśmy się zbliżali do Krakowa, na Prądniku zastaliśmy wiele publiczności, jakoteż władze departamentalne, które czekały na nas z śniadaniami. Zdała już usłyszeliśmy muzykę. Gdy nadeszliśmy, obito się o nasze uszy niejedno smutne zapytanie o przyjaciół, synów, krewnych, którzy przed nami pułk nasz składali. Już oni wówczas nie powiększali naszego orszaku, niby na pozór przyjemnego dla Krakowian, ale w istocie bardzo dotkliwie smutnego. Każdemu stanęło przed oczyma szczęście lat dawnych. Nakoniec zbliżamy się do bramy Floryańskiej. Dawne

— 277 —

wspomnienia tak owładnęły żołnierzem, że jak gdyby na komendę wszystko na kolana upadło i ukochaną ziemię całowało. Widok podobny rozczulił obecnych. Wracaliśmy nie z przepowiadany tryumfem, ale zwyciężonymi, choć niepokitymi.

Szczupła nasza garstka została rozkwaterowaną po mieście, gdzie, spodziewam się, nie spotkał nikogo podobny wypadek, jak nas u szambelana Niewieścińskiego. My oficerowie, których przy wyjściu z miasta tego pułk liczył więcej jak 60, obecnie w liczbie dziewięciu tylko, zostaliśmy zaproszeni na obiad „pod Barany” do JW. Wielogłowskiego, gdzie zastaliśmy licznie zgromadzonych gości znaczniejszych.

Wspomniałem wyżej, że z pułku naszego dwóch tylko sztabsoficerów pozostało, to jest pułkownik Wierzbński i szef batalionu Szczawiński. Ponieważ zachodziła potrzeba szybkiej reorganizacyi wojska, bo już za nami postępujący nieprzyjaciół był w granicach Księstwa, więc odebrał i pułk nasz w Krakowie polecenie od ministerym wojny, aby najspieszej podano listy oficerów, nadających się do awansu na wyższe stopnie. W zastępstwie dowódcy pułku, dowodził nami kapitan Sroczyński, waleczny oficer, zasłużony w czasie ostatniej wojny. Gdyśmy jednak przyszli do Krakowa, zastaliśmy tam kapitana z pułku naszego, Pogorzelskiego, starszego w służbie od Sroczyńskiego. Pogorzelski powierzchownością przechodził Sroczyńskiego, bo wzrostu był dużego, tuszy dobrej, węs i faworyty ogromne, ale na nieszczęście nie był usposobiony na żołnierza, bo w poprzednich kampaniach, skoro tylko z działa wystrzelono, i to bez wyjątku, czy z naszego, czy z nieprzyjacielskiego, Pogorzelski już był na ziemi, jak się to jeszcze okaże później w r. 1814. Z tej to właśnie przyczyny zostawiono go w rezerwie, wychodząc na kampanię 1812 r. Gdy kazano

pułkowi podać oficerów do awansu za waleczność, Sroczyński nie mógł owego przedstawienia zrobić, bo w Krakowie odebrał komendę Pogorzelski. Nowy szef, nie

— 278 —

mogąc sam liczyć na awans, nie śpieszył się z podawaniem listy.

Gdy komisya wojny po kilku dniach nie odbiera propozycji, jakiś niedołężny zastępca, który w danej chwili urzędował w biurze komisji wojny, zajrawszy do rodowodu pułkowego, w którym Pogorzelskiego znalazł jako najstarszego w pułku, takowemu nominację za waleczność na wyższy stopień przesyła.

Sprawdziło się owo przysłowie, że nie zasłużony ale szczęśliwy bierze, bo Pogorzelski, siedząc sobie spokojnie w garnizonie, za waleczność nagrodzonym został. Jeżeli w jakimkolwiek kraju i instytucji mają miejsce intrygi, to w wojsku polskim przede-wszystkiem. Dość było umieć szczebiotać po francusku, a do tego posiadać zdolność do bezczelnego kłamstwa, być zausznikiem i pieczeniarem (adjutantem) już się dostawawało awanse, dekoracje i t. p. Zgoła kto lepiej umiał (po prostu mówiąc) łgać, ten był lepszym.

Czas od 15-go stycznia 1813 roku do 7-go lutego t. r. upłynął nam na umundurowaniu powracających z wojny żołnierzy i odebraniu rekrutów, których zastaliśmy już ubranych i przemusztrowanych w Krakowie. Zorganizowawszy wreszcie jeden batalion w dniu 7-go lutego, ruszyliśmy znowu naprzód ku nieprzyjacielowi. I mnie przydzielono do wyruszającego batalionu, bo, lubo byłem dwukrotnie rannym, przecież łatwiej mnie było wypchnąć w pole, jak wielu innych młodych i zdrowszych, którzy się wieszali przy sztabie.

Mieliśmy się udać przez Skalę i Częstochowę ku Kaliszowi w celu połączenia się z korpusem generała Kosińskiego, z którym się także część korpusu generała Dąbrowskiego z Wielkopolski połączyła ¹⁾.

Gdyśmy przechodzili mimo fortecy Jasnogórskiej nasz dowódzca, mając do twierdzy asygnację naczelnego

¹⁾ Nic nie wiemy o całym tym marszu pułku 12-go.

— 279 —

wodza ładunki karabinowe, zażądał takowych. Komendant odmówił tego, mówiąc, że spodziewa się wkrótce oblężenia twierdzy, a jak się później okazało, ten nikiemnik, gdy nieprzyjaciel obiegił twierdzę, nie wytrzymał nietylko krótkiego oblężenia, ale nawet i jednego ataku i twierdzę bez warunków poddał ¹⁾.

Ruszywszy dalej, doszliśmy do małego miasteczka Działoszyc i tam rozkwaterowaliśmy się, sądząc, że się niebawem z korpusem jen. Reynier połączymy. Wieczorem zebrał się batalion do apelu. Jeszcze się apel nie skończył, gdy z pobliskiego lasu nadjeżdża jakiś obywatel bryką we trzy konie, pianą okryte, oświadczając, że tylko zręczności swych koni zawdzięcza ucieczkę przed kozakami, którzy — jak mówił — w tym lesie się już znajdują. Na takie ostrzeżenia dowódzca rozpuścił żołnierzy, aby wzięli bagaże i broń i najspieszej na plac powrócili. Tymczasem mieszczanie dostarczyli koni i wysłano na nich kilku żołnierzy z oficerem w kierunku wskazanego przez obywatela lasu. W mgnieniu oka batalion stanął pod bronią, ale na nieszczęście nie mieliśmy ładunków. Co tu robić? W Działoszycach nie dostać ani prochu, ani kul. Niebawem powrócił nasz patrol z oznajmieniem, że mnóstwo kozaków okryło pole za lasem będące, a opodal widać i wojska regularne. Dano nam znać, że i od strony Kalisza komunikacja przecięta. Nieprzyjaciel zagroził nam wszędzie drogę.

Gdy się ściemniło, wyprawiono znowu oficera do Częstochowy z zawiadomieniem o obecności nieprzyjaciela i żądaniem, aby komendant twierdzy miał wzgląd na nasze smutne położenie i przysłał ładunków. Komendant Górski

¹⁾ Z Bignona wiemy, że Jasna-Góra była tak umocniona, że do wzięcia jej trzeba było prawidłowego oblężenia. Tymczasem jen. Saken podstał pod twierdzę d. 15/III, a już 5/IV kapitulowała ona. Cały garnizon w ilości 1000 żołnierza poszedł w niewolę. Wszystkie nasze źródła (prócz niepewnego w tym względzie Antoniego Ostrowskiego, który podaje mylną datę kapitulacji) zgadzają się na to, że komendant, pułkownik artylerji Górski, nie odpowiedział położonemu w nim zaufaniu.

— 280 —

nietylko ową wiadomość zimno przyjął, ale i ładunków powtórnie odmówił. Niespodziewanie jednak znalazły się ładunki. Żołnierze nasi, którzy powrócili z Moskwy, lubo ubiór swój odmienili w Krakowie, nie odmienili przecież swych ładownic, w których mieli po 60 ładunków. Teraz ofiarowali je, oświadczając, że żołnierz dobry powinien się starać, aby mu na ładunkach, chlebie i obuwiu nie zbywało. Żądali jednak, aby ładunków nie wydawać młodym żołnierzom, którzyby w czasie potrzeby użyć ich nie umieli. Duch wstąpił w nas na tę wiadomość, bośmy już byli pewni na wypadek napadu samych kozaków.

Wybrawszy starych żołnierzy, rozstawiliśmy gęste straże, ognie pozapalali, otoczywszy nimi całe miasto. I znowu starzy żołnierze i ja z nimi przepędziliśmy noc ową na polu, topiąc się w śniegu przy odbywaniu rontów i patroli. Nim dzień nadszedł, oficer z Częstochowy wrócił, nie przyniósłszy ładunków, jedynie od Górskiego radę, aby jak można najspieszej, cofnąć się ku Krakowowi. Donosił zarazem, że nieprzyjaciel w znacznej sile postępuje za Reynierem ku Kaliszowi, a przez to mógłby nas łatwo odciać. Nad ranem ruszyliśmy nazad, kierując się bliższą drogą ku Krakowu, zostawiwszy na boku Częstochowę. W drodze otrzymaliśmy polecenie, aby udać się nad granicę pruską do Dąbrowej, naprzeciw miasteczka Mysłowic i tam się rozlokować aż do dalszych rozkazów.

Tymczasem Częstochowa kapitulowała ¹⁾. Reynier ze swym korpusem udał się do Prus. Generał Dąbrowski wraz z armią przez Poznań i Prusy przechodzącą, toż samo uczynił.

Winniśmy tutaj zamieścić wiadomość o tych wypadkach wojny, których, lubo nie byłem świadkiem ale mam je z opowiadań moich towarzyszy i znajomych.

Nasamprzód o korpusie marszałka Macdonalda, w którym z wojska polskiego były pułki: piąty, dziesiąty i jedenasty

¹⁾ Dnia 5/IV.

— 281 —

piechoty, niemniej część jazdy, a oprócz tego korpus posiłkowy pruski pod komendą generała Yorka ¹⁾. Wspomniany korpus był wyznaczony do obserwacji Rygi. Stał prawie ciągle w Kurlandji. Długi czas pułki polskie stały pod Dynaburgiem i tak się już tam przyzwyczaili Polacy, że przyjęli niektórzy mowę, a nawet i obyczaje Kurlandji. Jedynie nie mogli się przyzwyczaić do chałup kurnych, a szczególnie oficerowie nasi. Kazali oni pobudować kominy i pobielić ściany w tych chatach, w których się

zbierali na swoje schadzki. Pewnego razu otrzymano rozkaz, aby najspieszniej udać się ku Rydze, a stamtąd odesłano ich niezadługo z powrotem na dawne miejsca. Znaleźli owe chaty znowu zakopcone, a kominy pozrzucone. Gdy mieszkańcom tłumaczono, że z tymi kominami jest czyściej, a nawet zdrowiej, odpowiadali, że Bóg nie błogosławi w świetlicach (w izbach widnych).

W miarę cofania się armii francuskiej od Moskwy, cofał się także i korpus Macdonalda, kierując się na Stare Prusy ²⁾. Panowały te mrozy, które nam tylu ludzi wyrwały z szeregów. Raz pułk 11 ty piechoty polskiej stanął na nocleg w jakichś zabudowaniach dworskich, pomiędzy którymi była ogromna suszarnia. Batalion pierwszy tegoż pułku, dowództwa szefa batalionu Szembeka, zajął przed innymi tę suszarnię. Gdy w niej na ceglanej posadzce porożpalano ognie, wreszcie przez wyziewy ludzkie w mgnieniu oka owa suszarnia stała się najwygodniejszym ciepłem

¹⁾ Skład korpusu mar. Macdonald (26 tysięcy) był następujący: 1) dywizja francuska Grandjean, 2) korpus pruski jen. York, 3) polskie pułki 5-ty, 10-ty i 11-ty, oraz dwie baterie artylerii, pod ogólnym dowództwem księcia Michała Radziwiłła.

²⁾ Mar. Macdonald dowiedział się o katastrofie wielkiej armii stojąc między Mitawą i Fridrichstadt. D. 19/XII zaczął się cofać ku Tylży. Z pruskiego korpusu tylko dywizja jen. Massenbach była przy boku marszałka. Jenerał York pozostawał w tyle, w odległości jednego dnia marszu.

— 282 —

mieszkaniami, tak że nie chciało się tego miejsca opuszczać. Wszyscy zazdrościli będącym w niej wygodnego noclegu. Tymczasem pomimo największej ostrożności, którą zachowano, nadejściem niewiadomo z jakiej przyczyny stała owa suszarnia w ogniu, ale to tak nagle, że trudno było wyratować znajdujących się w niej żołnierzy. Widok to był okropny. Wrota w suszarni były dość obszerne,

ale nieszczęśliwi gdy się ściśnęli w nich, zatarasowali i sobie i innym wyjście. Batalion ten wszedł był do suszarni z bronią nabitą, którą w kozłach poustawiano. Gdy się zapaliło, a ogień dostał się do broni, ta zaczęła strzelać i uniemożliwiła nawet pomoc i przez to tyle ofiar stało się pastwą płomieni.

Nareszcie korpus ów zbliżył się do Tylży, owego miejsca tyle pamiętnego z r. 1807. Gdy się przeprawiano, korpus pruski, będący wówczas w aryergardzie, pozostał przed Niemnem. Gdy wojsko zaczęło stawać pod bronią, szykując się do dalszego marszu, nagle dano ognia z dział z za mostu do Polaków. Sądzone z początku, że ten ogień pochodził od nieprzyjaciela, ale spostrzeżono wnet, że Prusacy most na Niemnie zapalają, nie przestając z dział strzelać. Dowiedziawszy się o tem, Macdonald wstrzymał maszerujący już swój korpus, a rozstawiwszy ponad Niemnem działa, rozpoczął silny ogień na Prusaków, którzy, spędzeni, cofnęli się i natychmiast połączyli się z nieprzyjacielem ¹⁾.

Gdy doniesiono o tem królowi pruskiemu (czytałem sam tę gazetę) natychmiast jenerał York odsądził przez sąd wojenny od stopnia, szlachectwa i dekoracyi, jako takiego, który bez rozkazu odważył się przejść na stronę

¹⁾ Konwencja w Taurogach między jen. York i rosyjskim jenerałem Wittgensteinem zawartą została d. 30/XII, a więc wtedy, gdy korpus Macdonalda był w Tylży. Dywizja Massenbacha opuściła odrazu wskazane jej przez marszałka stanowisko i połączyła się z Yorkiem. Do Francuzów nie strzelano, przeciwnie jen. Massenbach w liście pełnym szacunku doniósł marszałkowi o fakcie dokonanym.

— 283 —

nieprzyjaciela ¹⁾. Jednakowoż ten jenerał w późniejszej kampanii 1818 i 1814 r. służył i był czynnym w dawnym swym stopniu. Skoro wspominałem o korpusie Macdonalda, tworzącym lewe skrzydło wielkiej armii francuskiej, nie od rzeczy będzie udzielić wiadomości o tworzącym prawe skrzydło korpusie księcia Szwarzenberga, c. k. feldmarszałka, któremu cesarz Franciszek II. powierzył w tej wyprawie dowództwo korpusu t. zw. „nieśmiertelnego”, dlatego, że na wypadek strat miał być natychmiast dokompletowany. Feldmarszałek nie tylko swój korpus, ale i korpus Sasów jenerała Reynier oraz dywizję jenerała Kosińskiego miał pod swoją komendą i tworzył prawe skrzydło armii, operujące na Wołyniu ²⁾. I austriackie wojsko biło się z początku wybornie, ale tylko do czasu. Mówiono zresztą, że korpus ten był w stanie zrobienia dywersyi armii Czyczagowa, przecież nie tylko nie przeszkodził jej poruszeniom, ale nadto stał ciągle nieczynnie ³⁾.

¹⁾ Król praski wprawdzie z początku odebrał jen. York komendę i obiecał oddać go pod sąd wojenny, ale skończyło się tylko na obietnicy.

²⁾ Korpus posiłkowy austriacki liczył 30 tysięcy ludzi. Dywizja jen. Kosińskiego 8000, ale żołnierza świeżo zwerbowanego i niepewnego, korpus jen. Reynier 7000.

Korpus austriacki został przesunięty na prawe skrzydło dopiero rozkazem Napoleona z d. 3/VIII 1812 r. po porażce Sasów pod Kobryniem.

Rola korpusu tego w czasie kampanii roku 1812 odpowiedzieć miała całkowicie roli korpusu posiłkowego rosyjskiego w kampanii r. 1809. Historyk austriacki Luckwaldt ogłosił niedawno list cesarza austriackiego do Aleksandra I. z góry zapowiadający takie stanowisko korpusu. To powierzenie obu skrzydeł wielkiej armii korpusom posiłkowym, austriackiemu i pruskiemu, jest faktem charakteryzującym całą kampanię 1812 r. stwierdza bowiem charakter czysto manifestacyjny kampanii r. 1812, którą dotychczas przedstawiano jako walkę à outrance.

Napoleon miał zamiar pierwotnie na lewym skrzydle utrzymać korpus księcia Józefa.

³⁾ Działanie korpusu austriackiego przedstawił nasz autor

— 284 —

Podczas odwrotu wielkiej armii, korpus Szwarzenberga cofał się na Brześć litewski ku Warszawie ¹⁾. Być może, że przesadzono trochę w opowiadaniu o działaniach tego korpusu, naoczne moje spostrzeżenie przekonało mnie jednak, w jaki to sposób ów korpus odbywał operacje wojenne wobec mniemanego nieprzyjaciela ²⁾.) Gdy korpus

zbyt pochlebnie. Księciu Szwarzenbergowi czyniono w tym czasie znacznie poważniejsze zarzuty. Wygraną pod Horodeczną (12/VIII 1812) przypisano wyłącznie jenerałowi Reynier, którego Austriacy dostatecznie nie poparli. Gdy korpus Czyczagowa pojawił się na tyłach armii francuskiej, ks. Szwarzenberg, lubo tylko o 15 tys. żołnierza słabszy (40 przeciw 55) cofnął się do Brześcia, a następnie do Włodawy (22 -29/ IX), odsłonił granice Księstwa, a co ważniejsza, wydał w ręce nieprzyjaciela magazyny nagromadzone w Mińsku. Następnie, gdy Czyczagow cofnął się na Litwę, w celu połączenia się z Witgensteinem i przecięcia drogi Napoleonowi na Berezynie, Szwarzenberg, wbrew wyraźnym instrukcyom cesarza, bawił się nieznacznymi bitwami ze słabym korpusem Sakena, który Czyczagow, jak gdyby pewny roli Austriaków, naprzeciw niego postawił, a nie ruszył za Czyczagowem.

Wszystkie bitwy Schwarzenberga, pod Horodeczną, Wołkowyszkami etc. robiły tylko wrażenie, jak mówi świadek współczesny, że „Austriacy chcieli ocalić stricte zasady honoru wojennego”, a Rosyanie „nie mieli zamiaru ani ochoty zmuszać Austriaków do przyjęcia lub wydania bitwy” (Antoni Ostrowski).

¹⁾ 10/XII był korpus austriacki w Nowogródku, d. 31/XII zajmował stanowisko w Ostrołęce i Nurze. Wysłany do obserwowania korpusu austriackiego, generał Tomansow „zatrzymał swój pochód i spokojnie rozłożył się, jakby w czasie pokoju...”

²⁾ Koroną wskazanej powyżej taktyki ks. Szwarcenberga jest jego zachowanie się w styczniu r. 1813. Razem z korpusem generała Reynier, Kosińskiego i resztami wojsk Księstwa siły jego liczyły do 50 tysięcy. Księstwu zagrażał wtedy „tylko 30-tysięczny rozprzężony korpus rosyjski”. Zachowanie Warszawy miało pierwszorzędne znaczenie, gdyż z jednej strony umożliwiało organizację sił Księstwa, z drugiej zabezpieczało stanowisko Eugeniusza w Poznaniu, który zbierał i organizował rozbitków wielkiej armii. Rosya była w danej chwili niepomniernie osłabioną i na razie mało zdolną do szybkiej akcji zaczepnej, stanowisko Prus, przedzielonych Księstwem i korpusem

— 285 —

Szwarcenberga później zbliżył się ku nam, miał niby to powierzonym zasłonić nas od nieprzyjaciela, co wykonywał w sposób kuglarski. Cofanie się linii naszej oraz posuwanie się naprzód nieprzyjaciela zależało wyłącznie od Austriaków, którzy najzupełniej w świecie o tem decydowali. Rozciągali oni zwykle swoją linię czyli kordon nawprost nieprzyjaciela. Skoro Austriacy się rozwinęli, natychmiast nieprzyjaciel, choćby stał na niekorzystnej pozycji wojennej, także swą linię rozwija. Następnie wojska obydwóch armii niby to nieprzyjacielskich, po rozstawieniu tylko wart takich, aby chłopci okoliczni broni nie porozbierali, udawały się do pobliskich wiosek, niby dla opatrzenia obozu w słomę, drzewo i żywność. Zaszedłszy tam, nie wracali do obozów, i we wsiach pozostawali na noc, a nawet i dłużej, póki nie rozpoczęło się cofanie. Czasami trafiało się tak, że w jakiejś wiosce lub miasteczku zeszły się oddziały tych wojsk nieprzyjacielskich pod pozorem zaopatrzenia się w żywność; wtedy w najlepszej zgodzie pozostawały razem. Byłem tego naocznym świadkiem w miasteczku Chrzanowie w Krakowskim, leżącym nawet już w tyle linii austriackiej. Tak owe nieprzyjacielskie linie zostawały w spokoju i najlepszej harmonii, dopóki wojsko polskie okolicy z żywności i furażu nie opustoszyło. Następował wtedy odwrót, o którym nieprzyjaciel był uwiadomionym.

Gdyśmy stali w okolicy Mysłowic, był to czas karnawałowy, mieliśmy więc sposobność uczęszczania na redutę do tego miasteczka. Władze pruskie w niem składały się z burmistrza, z którym zaprzyjaźniliśmy się i z kilku żandarmów. Garnizonu nie było żadnego. Za pośrednictwem urzędników naszych, którzy w okolicy Dąbrowy służyli

Eugeniusza, Gdańskiem i fortcami od Rosyi, jeszcze niezdecydowanym. Każda chwila status quo przynosiła korzyści Francji. Tymczasem ks. Szwarcenberg wszedł w porozumienie z jen. Sakenem, który go wcale nie zaczepiał i cofał się wciąż, wydając w końcu w d. 5 /II Warszawę.

— 286 —

w kopalniach, uzyskaliśmy pozwolenie od władz myśłowickich bywania na zabawach. Zaprzyjaźniwszy się z mieszczanami, urzędnikami oraz obywatelstwem okolicznym, bawiliśmy się wesoło aż do ukończenia karnawału. Gdy nadszedł ostatni wtorek karnawałowy, w czasie zabawy zbliżył się do mnie burmistrz, a wzięwszy mnie na bok, oznajmił mi pod sekretem, że zejść musiało coś ważnego w polityce, gdyż nie tylko rząd polecił śledzenie naszych zabaw w Mysłowicach, ale nadto on, burmistrz, odebrał polecenie, aby przygotować kwatery dla znacznego oddziału wojska, oraz że powiększają żandarmeryę nad granicą. Jakoż już w dniu tym widzieliśmy w mieście kilku oficerów nowo przybyłych. Gdy go się zapytał, aby mi pod słowem honoru powiedział, czy jesteśmy dziś bezpieczni tutaj, po zacięciu się chwilowem odpowiedział, że lubo sam nie ma w tym względzie żadnego polecenia, ale być może, że nowo przybyli oficerowie mają jakie tajemne instrukcje, radził więc, aby po skończonej zabawie natychmiast opuścić Mysłowice. Jednakowoż, gdy po zabawie, która trwała aż do dnia samego, po rozejściu się kobiet, pozostali mężczyźni, jak zwykle zabawiali się kieliszkiem, zebrawszy się w jedno koło, bawili się z nami wspólnie i oficerowie pruscy nowo przybyli. Przy kieliszkach zawsze się szczerzej przemawia. Po wspólnych oświadczeniach jeden z oficerów pruskich, ściskając mnie czule, szepnął mi do ucha, abym nie bawił się długo, gdyż, jak zdaje się, coś ważnego zejść musiało.

Po pożegnaniu koła przyjacielskiego z oświadczeniem, że się znowu niedługo zobaczymy, śpiesznie opuściliśmy Mysłowice i podążyliśmy do naszych kwater. Zastałem już rozkaz polecający mi opuszczenie naszego stanowiska i udanie się niezwłocznie do Alwernii. Stanęliśmy tam w okolicach Lipowca, gdzie jest stare zamczysko na dość wyniosłej górze o dość dobrze zachowanych murach. Doczekaliśmy się tutaj topnienia śniegów.

Przybył wtedy w naszą okolicę pułk 6-ty piechoty

— 287 —

polskiej, z którym składaliśmy odtąd brygadę pod dowództwem wiecznego generała Sierawskiego.

Gdy ziemia obeschła i kwiecień się zbliżył, rozpoczęliśmy musztry, tak szczegółowe, jakoteż i ewolucje całą brygadą. Lubo nieprzyjaciel był niedaleko, wszelako ponieważ nas korpus austriacki zasłaniał, spokojnie sobie staliśmy. Razu jednego po odbytej musztrze w bliskości wsi którą generał zajmował, a do której z naszej wsi było około półtorej mili, gdy dość późno wróciliśmy do kwater i udali się na spoczynek, około godziny 10-tej wieczór przybiegł do mnie konny posłaniec ze sztabu z poleceniem najsurowszem, aby nie tracąc czasu, najśpieszniej, najkrótszą drogą przybywać do Alwernii, a to z powodu niebezpieczeństwa, jakie nam groziło. Zalecano mi przy tem, tak w zebraniu kompanii, jakoteż i w marszu największą ostrożność i cichość. W przeciągu kwadransa już kompania moja była w marszu.

Gdy przybyłem do Alwernii, zastałem już prawie całą naszą brygadę stojącą pod bronią. Posterunki były porozstawiane. Odebrano, jak się okazało, tajemne doniesienie, że nieprzyjaciel miał napaść tej nocy na nas, przesuwać się lukami przez linie austriackie z ich wiedzą. Gdy dnia następnego posłałem do wsi, w której poprzednio staliśmy na kwaterze, posłańca po jakieś zapomniane rzeczy kompanii, mieszkańcy opowiadali nam, że około północy wpadli do wsi kozacy, ale, dowiedziawszy się, żeśmy ją opuścili, śpiesznie się cofnęli. A zatem doniesienie to nie było fałszywem.

Wskutek tego alarmu zajęliśmy pozycję militarną, rozłożywszy wojsko po wsiach, ściśnięte w kwaterach i do tego poustawiawszy słupy alarmowe, które nie od rzeczy będzie tutaj opisać. Są to sztuki drzewa, całkowicie z kory obrane, słomą smołowane od samej ziemi aż do końca grubo okręcone, a na wierzchołku umieszczona jest maźnica albo barylka ze smołą. Słupy te, powinny być ile możności widoczne, dlatego zakopuje się je w miejscach

wynioślejszych. Przy słupach tych stawia się warty. Gdy tak wszystko zostało urządzone, nie ufając już Austryakom, stawaliśmy już z wieczora pod bronią i staliśmy aż do rana. Ale to męczyło niepomiernie ludzi i uniemożliwiało w dzień odbywanie musztry, a mieliśmy wielką liczbę rekrutów, których domusztrować potrzeba było. Urządził więc nasz generał inaczej. Skoro się ściemniło, zbierano żołnierzy do chałup obszerniejszych, przed którymi broń składano w kozły i stawiano wartę. Ludziom rozbierać się zabroniono. Rekrutów uwolniono od służby posterunkowej, którą odbywali starsi żołnierze, nie potrzebujący musztry. Sztabsoficerowie i starsi kapitanowie odbywali ronty w obozowisku całej brygady, do czego kapitanom dostarczano furgonowych koni. Gdy nieprzyjaciel powziął wiadomość o naszej ostrożności, zaprzestał podobnych, jak wyżej, napadów. W końcu, gdy objedliśmy porządnie całą okolicę, postanowiono żywność ściągnąć z okolic wojskiem niezajętych. W tym celu rozesłano oficerów, opatrzonych w potrzebne instrukcje, mających ze sobą pewną liczbę ludzi i furgonów. Oficerowie ci mieli polecenie, aby co znajdując

w spichrzu zapasu zboża, z takowego zostawili właścicielowi tyle, ile mu potrzeba było do siewu i na własne potrzeby, resztę zaś zabierali, dając na to stosowne bony czyli kwity. I mnie taka misja nie ominęła. Nie bardzo się nadawałem do tego rodzaju służby. Gdy przybyłem do którego z obywateli, to, znalazłszy jaki zapas, słysząc prośby właściciela, nie byłem w stanie go zabrać. Gdy zaś przybyłem do sztabu z próżnymi rękoma, podczas gdy inni znaczne zapasy przywozili, dowódca rzekł: „Panu być kapucynem a nie żołnierzem”. Ja na to odrzekłem, że wolę pójść na baterie bronią najeżone, jak wyciskać ostatni zasiłek mieszkańcom.

Ponieważ brak żywności dawał się coraz mocniej odczuwać, naczelny nasz wódz, książę Poniatowski, nie mając pomysłu na wiadomości o armii francuskiej, a będąc partym przez nieprzyjaciela (korpus Sakena) daleko od nas

liczniejszego, postanowił opuścić Krakowskie, udając się przez Austryę do Wielkiej armii. W tym celu rozpoczął pertraktacje za pośrednictwem cesarza Napoleona z dworem austriackim ¹⁾, w którym, podobnie jak i w korpusie Szwarcenberga, objawiła się już jakaś nieprzychylność ku Francji i nam.

My coraz dalej posuwaliśmy się ku Krakowu. Gdy przeszliśmy to miasto, rozłożyliśmy się w tak zwanem rejonie, to jest w terytorium Wieliczki za Wisłą ²⁾. Sprzymierzeńcy nasi przyparli do samego Krakowa, który nibyto zasłaniali. Zawartą została w końcu umowa między dworem austriackim a księciem Poniatowskim, który zobowiązał się wszystko płacić w czasie przemarszu przez ziemię austriacką gotowymi pieniędzmi, na co odstąpił w imieniu Księstwa dochodów z salin wielickich za umówioną sumę 14 milionów złotych na rok jeden, które sobie austriacki skarb z góry zaliczył ³⁾. Zezwolono na przejście nasze przez Austryę z warunkiem, aby szeregowi przechodzili bez broni. Postanowiono przeto, aby ile możliwości podzielić oddziały, aby tym sposobem powiększyć liczbę podoficerów i kaprales, którym dozwolono przechodzić z bronią w ręku. Zaś broń

¹⁾ Całkiem mylnie. Właściwie zasługą ks. Józefa jest — to energiczne i długie utrzymywanie się w Krakowie.

²⁾ Korpus księcia Józefa po wyjściu z Krakowa rozłożył się w Podgórzu i okolicach.

³⁾ Układ zawarty między królem Saskim a Austrią w sprawie przemarszu korpusu księcia Józefa warował że rząd austriacki dostarczy korpusowi potrzebnej żywności, a wzamian za to sprzeda na licytacji część soli z Wieliczki, należnej Księstwu Warszawskiemu. Ponieważ sprzedaży dokonać mieli urzędnicy austriaccy, przeto „cette enchère était absolument à la merci du gouvernement autrichien”. Cyfra 14 milionów jest najwidoczniej przesadzoną. Gdy później, w czasie przemarszu przez Czechy, chciano skierować korpus księcia Józefa ku granicom Bawarii, oddalając go od wielkiej armii, a książę Józef oparł się temu, komisarze austriaccy wbrew konwencji odmówili dostarczania żywności i musiano za nią płacić ze szczupłej gotówki pozostałej w kasie korpusu.

szeregowych pozwolono wieźć za pułkiem na podwodach, które płacone być winny na każdej stacyi. Wskutek tego z każdego batalionu zrobiono trzy bataliony, poprzyszywawszy znaki mniemanym kaprales, aby raz mieć w ręku broni więcej, a powtórnie mniej potrzebować podwód płatnych.

Wojsko nasze podzielonem zostało na siedm kolumn ¹⁾. Pierwsza wyszła dnia 9-go maja. Ja byłem w kolumnie drugiej ²⁾. Gdyśmy zbliżyli się do granicy, to jest do Wadowic, oddział wojska austriackiego, stojący na granicy, w przechodzie naszym robił honory nie tylko naszym sztandarom, ale nawet i stopniom, przyjmując nasz muzykę ³⁾. Doszedłszy do Kalwarii, stanęliśmy przy gościńcu na spoczynek i spostrzegliśmy karete, zaprzężoną pocztowymi końmi, śpieszącą ku Krakowu. Kareta zatrzymała się następnie w pośród naszego biwaku. Gdy drzwi się otwarły, ujrzeliśmy w niej generała Sokolnickiego, dobrze tam znanego z kampanii r. 1809 ⁴⁾.

Dał nam znak, abyśmy się przybliżyli do niego i w te odezwał się słowa: „Koledzy! dobrą zwiastuję wam nowinę. Wiozę rozkazy od cesarza Napoleona: jeden do księcia Poniatowskiego, aby natychmiast wrócił się do Krakowa, drugi do księcia Szwarcenberga, aby połączywszy się z wami, uderzył na korpus nieprzyjacielski Sakena, i wyparłszy go, starał się przeciąć odwrót nieprzyjacielowi,

¹⁾ Zdaje się, że nasz pamiętnikarz ma słuszość: pierwsza kolumna wyszła z Podgórza d. 7-go maja, ostatnia, przy której znajdował się ks. Józef d. 13-go t. m. Z Bignona wiemy, że codziennie wychodziła jedna kolumna.

²⁾ Kolumna druga wyszła d. 8-go maja.

³⁾ Niema o tem żadnej wzmianki w innych źródłach. W źródłach tych natomiast jest mowa o przypuszczeniach, które wtedy żywił książę Józef, że Austriacy otoczą korpus przeważnemi siłami i wezmą go w niewolę wojenną.

⁴⁾ Generała Sokolnickiego spotkał Kołaczkowski na drodze do Bielska.

uciekającemu przed napierającym go wojskiem francuskim. Bitwa stoczna pod Lützen, jak niemniej pod Bautzen, zwycięstwo na stronę francuską przechyliła, a nieprzyjaciel rozbity całkiem ¹⁾. Z tego powodu mam nadzieję; że zaraz się zwrócicie do Krakowa, a następnie pójdziemy naprzód.

Do karety Sokolnickiego zbliżyli się i żołnierze. Usłyszawszy tak pomyślne nowiny, żegnali generała okrzykami radości. Każdy z nas marzył o nowych zwycięstwach, gdy tymczasem po spoczynku udaliśmy się w dalszą drogę na stację przeznaczoną. Następnego dnia wstrzymano nasz marsz dalszy, widąc wskutek odebranych rozkazów, co nam dało powód do namysłów, że

naprzód pójdziemy. Ale jakże zdziwiliśmy się, gdy dnia trzeciego polecono kontynuację dalszego marszu ²⁾. Ze sztabu jeneralnego dowiedzieliśmy się, jakiego wybiegu użył Szwarcenberg, aby wykręcić się od wykonania rozkazu. Widząc, że książę Poniatowski gotów jest wykonać rozkaz, Szwarcenberg rozkazuje swemu korpusowi tej samej nocy opuścić Kraków i wejść w granicę swego kraju. Nazajutrz daje odpowiedź generałowi Sokolnickiemu, że, dopóki był za granicą państwa swego, dopóty uważał swój korpus za posiłkowy, należący do wielkiej armii. Ale teraz, gdy korpus

¹⁾ Sokolnicki przywiózł wiadomość tylko o wygranej pod Lützen (2-go maja). Bitwa pod Bautzen miała miejsce dnia 20-go t. m. a Sokolnickiego mogła spotkać kolumna Białkowskiego dnia 9-go maja.

Generał Sokolnicki wiozł rzeczywiście rozkazy do księcia Józefa i generała Frimont, polecające wyruszenie przeciw generałowi Sakenowi, ale wydaje się mocno wątpliwym, aby przed udzieleniem ich ks. Józefowi mówił o nich głośno wobec oficerów, a nawet żołnierzy, jak chce Białkowski. Mógł on, co najwyżej, powiedzieć o Lützen.

²⁾ Rzeczywiście książe Józef, zaraz po otrzymaniu rozkazów cesarskich, polecił zatrzymać kolumny będące już w marszu; wykonanie jednak rozkazów cesarskich wobec stanowiska Austryaków było stanowczo niemożliwym.

— 292 —

jego wszedł w granicę austriackie, przestaje być korpusem posiłkowym i odbiera rozkazy tylko od swego monarchy, musi więc teraz czekać na nie ¹⁾.

Wskutek tego gdy obliczono, że siły polskie nie wynosiły więcej nad 25.000 głów, a nieprzyjacielskie, lubo złożone po większej części z wojska nieregularnego, znacznie nasze przewyższały, bo dochodziły do przeszło 60.000 ²⁾. Wobec nieprzychylnego stanowiska Austryaków, którzy prędzej czy później mogli broń przeciw nam obrócić, generał Sokolnicki, będąc od dawna członkiem sztabu cesarza Napoleona ³⁾, łatwo mógł pojąć to, co się później ziszcilo i odradzał Poniatowskiemu, aby sam nie rzucał się na niebezpieczeństwo, mając jednego nieprzyjaciela z przodu a może i drugiego z tyłu. Postanowiono przeto zostawić rzecz do rozstrzygnięcia cesarza Napoleona.

My nie mogliśmy się utrzymać dłużej w Krakowskim z powodu braku żywności. Gdy korpus austriacki przeszedł Wisłę a następnie naszych odsłonił, nieprzyjaciel zaraz zajął Kraków, rozłożywszy się nad Wisłą ⁴⁾. Wchodziła

¹⁾ Korpusem austriackim od połowy lutego dowodził generał Frimont. Odpowiedział on Sokolnickiemu inaczej, choć niemniej sofistycznie, niż podaje Białkowski. Twierdził, że zaatakowanie Sakena jest niemożliwym, gdyż jemu, Frimontowi, nie wolno narażać granic austriackich, a przy tem jest on tylko prowizorycznym dowódcą korpusu, i, jako taki, w tej sprawie decydować nie może.

²⁾ Korpus księcia Józefa liczył wówczas najwyżej 18 tysięcy żołnierzy, w czem najmniej 14 — 15 tysięcy rekrutów. Siły jen. Sakena oblicza Kołaczkowski na 6 tysięcy ludzi, jest to jednak cyfra stanowczo za niska. Ze wskazówek innych wnosićby można, że w każdy m razie nie przewyższała ona 15 tysięcy. Z pamiętników Broglie'go wiemy, że Saken brał rekruta w Księstwie.

³⁾ Generał Sokolnicki został przy komenderowanym do sztabu cesarskiego przed kampanią 1812 r.

⁴⁾ Decydował tu nie brak żywności, ale stanowisko Austryaków. Krakowskie nie było ogłodzone, skoro generał Frimont mógł w ostatnich dniach swego pobytu wysłać stąd transporta żywności do Galicji.

Generał Saken zajął Kraków d. 13-go maja.

— 293 —

więc i reszta naszych kolumn w granicę austriackie. My maszerowaliśmy dalej traktem przepisany przez władze austriackie na Białą, Bielski t. d. do Freiburga ¹⁾. Tam znowu zatrzymano nas, a w czasie tego spoczynku odebrał książe Poniatowski odezwę od cesarza austriackiego, w której objawiono wielkie ukontentowanie i podziękowanie tak wodzowi, jako też wojsku polskiemu za spokojne zachowanie się i karność wojskową w czasie marszu przez część monarchii, i dodawano, że, pomimo odwiecznie istniejących ustaw krajowych, aby wojsko obce przez kraj cudzy bez broni przechodziło, w tym wypadku monarcha pomija tę ustawę i dozwala, aby wojsko szło dalej z bronią. Braliśmy to z początku za jakąś przychylność ku nam cesarza, jako teścia ku zięciowi, ale w istocie inna decydowała przyczyna. Był to skutek świeżo odniesionych zwycięstw w Saksonii i rozbicia armii sprzymierzonych. Austria pragnęła teraz dalej odgrywać rolę państwa neutralnego ²⁾.

Kierunek naszego marszu odpowiadał wybornie temu początkowemu niezdecydowaniu się Austrii i wyczekiwaniu wypadków wojny. Przeszliśmy część Galicji, potem skierowano nas ku granicy węgierskiej, dalej ku Wiedniowi, następnie przez Brünn, Ołomuniec a w końcu dopiero przez Morawy, Czechy, zbliżono nas ku granicy saskiej przez Gabel do Zittau, miasteczka nad granicą czeską leżącego, do którego przybyliśmy d. 17-go czerwca 1813 ³⁾.

Tu dowiedzieliśmy się, że cesarz Napoleon po porażeniu

¹⁾ Korpus księcia Józefa maszerował na Kalwaryę, Wadowice, Białą do Cieszyna. Doszedłszy następnie do Preszowa, porzucił gościniec wiedeński i, omijając Ołomuniec, poszedł na Wischau do Berna, a stąd na Kolin, Gabel — do Zittau.

²⁾ Ze strony Austrii neutralność równała się zerwaniu przymierza, a więc wyraz „dalej“ jest tu źle użytym.

³⁾ Przypatrując się na mapie drodze korpusu polskiego z Podgórze do Zittau, nie widzimy zamiaru zbliżenia go do granic Węgier. Zauważyć się natomiast daje, że dopiero od Berna zwrócono

— 294 —

nieprzyjaciela i spędzeniu go na wszystkich punktach, przyjął proponowane mu przez nieprzyjaciela zawieszenie broni do dnia 16-go sierpnia 1813 r. ¹⁾. Przed tem zawieszeniem broni forpocztą francuskie marszałka Macdonalda dosięgnęły już były miasta Rawicza w Księstwie Warszawskim, a korpus Ney'a zbliżył się do Berlina ²⁾. Dopiero później, wskutek zawieszenia broni, forpocztą z obu stron się cofnęły dla oznaczenia linii demarkacyjnej; zatrzymali jednak Francuzi na Szląsku, Wrocław ³⁾. Główna kwatera cesarza Napoleona była w Dreźnie, które po podpisaniu „armistycium“ zaczęto fortyfikować, równie jak Torgau, Wittenberg i t. p. nad Elbą. Dziwiliśmy się między sobą, dlaczego owe punkta fortyfikowano, skoro leżały z tyłu za Elbą. Później, gdy plan następny wojny się rozwinął, przekonano się, że Napoleon albo plan nieprzyjacielski przewidział, albo też został uwiadomionym ⁴⁾.

korpus na drogę do Saksonii, podczas gdy poprzednio kierowano go ku granicom Bawarii, oddalając go od wielkiej armii.

Białkowski nie wspomina tu o fakcie, że w czasie przemarszu przez Czechy emissaryusze austriaccy nakłaniali naszych żołnierzy do dezercji, która też wkrótce przybrała dość znaczne rozmiary. Dopiero rozstrzelanie paru dezertów zapobiegło jej gruntownie. Do Zittau przybył korpus d. 10-go czerwca.

¹⁾ Zawieszenie broni podpisaniem zostało w Pleiswitz d. 4-go czerwca. Miało ono trwać do d. 26-go lipca, ale następnie przedłużono je do d. 17-go sierpnia.

²⁾ Przed zawieszeniem broni armia francuska zajęła linię Odry. Forpocząty marszałka Ney'a zajmowały Wrocław. Przesadził więc nasz autor, mówiąc o Rawiczu. W kierunku ku Berlinowi po bitwie pod Bautzen wysłany został marszałek Oudinot, ale bynajmniej nie „zbliżył się do niego” w dniu zawieszenia broni.

³⁾ Autor myli się tutaj. Wrocław został włączony do terytorium neutralnego.

⁴⁾ Miasto Wittenberg leży na prawym brzegu Elby. Przy fortyfikowaniu tych wszystkich punktów chodziło o stworzenie silnej podstawy operacyjnej na linii Elby, co niekoniecznie świadczyć miało o myśli odwrotu.

— 295 —

Podczas zawieszenia broni zajęliśmy się reorganizacją naszego korpusu, skład bowiem jego w czasie przemarszu przez Austrię był dość luźny: obok zorganizowanych oddziałów mieliśmy inne, stanowiące dopiero kadry ¹⁾). Poformowano pułki, tak piechoty, jak jazdy i utworzono nowy pułk krakusów, który otrzymał zupełnie inne umundurowanie.

Krakusy była to zupełna nowość w naszym wojsku ²⁾). Nie mieli trębaczy, ale buńczucznych ze znakami buńczuków, którymi dawano wszelkie sygnały. Ubiór krakusów zupełnie się różnił od innej jazdy. Ubrani byli w czapki koloru amarantowego z czarnym barankiem w kształcie

¹⁾ Po reorganizacji w Zittau korpus księcia Józefa, obecnie 8-my korpus wielkiej armii, przedstawiał następujący skład: 1) 5 pułków piechoty po 1400 ludzi (2 batal. 700). 2) 2 dywizje jazdy, 3500 ludzi. 3) 490 artylerzystów z 42 działami. Razem 10.990 ludzi. Poza tem utworzono oddział partyzancki jen. Umińskiego, złożony z 3520 krakusów i 180 kirasyerów. Nie wliczono tu batalionu Kurcyusza, który został przyłączony do starej gwardii cesarskiej, oraz pułku legii nadwiślańskiej, który w Stolpen przyłączony został do korpusu. Wliczono natomiast 2 baterie artylerii konnej francuskiej (300 ludzi), które Napoleon przyłączył do korpusu księcia Poniatowskiego.

Oprócz korpusu księcia Józefa istniała w wielkiej armii osobna dywizja generała Dąbrowskiego, organizowana już w czasie pobytu księcia Józefa w Krakowie — nad Renem, na przypadek, gdyby ks. Józef zerwał ze sprawą Napoleońską. Liczyła ona 5500 ludzi, w czem 2800 piechoty i 6 dział.

W Modlinie, Zamościu, Gdańsku i Hamburgu było jeszcze 10 tysięcy wojska polskiego. Ogółem więc w r. 1813 po stronie Napoleońskiej walczyło około 37 tysięcy żołnierza polskiego.

2) Krakusów zorganizowano z poboru jednego jeźdźcy na 50 dymów, dokonanego na mocy dekretu Rady ministrów Księstwa z d. 29-go grudnia 1812 r. Gminy dostawiały jeźdźców już umundurowanych i uzbrojonych, na koniach chłopskich, płacąc im zarazem jednorazowy żołd w kwocie 15 złp. W dniu 23-go lutego 1812 roku (*powinno być chyba: 1813*) generał Wielhorski obliczał wynik tego poboru na 2500 ludzi.

Lekka ta jazda zyskała specjalne uznanie wojskowych francuskich w r. 1813.

— 296 —

melona, w karchach czapki mieli sznury białe, na wierzchu kutas z białej włóczki rozrzucony po czerkiesku, a z boku kokarda z małym wystającym piórkiem białym; następnie wołoszka krótka po kolana z kołnierzem i mankietami amarantowymi, ozdobione po wszystkich szwach i od dołu białymi sznurkami. W miejscu ładownic mieli po obu stronach na piersiach kartusze czerkieskie, złożone z kilku ładunków blaszanych, z których każdy był opatrzony przykryciem i łańcuszkiem metalowym. Całe owe kartusze obwiedzione były po czerkiesku taśmami i sznurkami. Pasy amarantowe, rajtuzy z wązkim lampasem, skórą podszyte. W miejsce płaszcza mieli tak zwane opończe z krótką na ramionach karazyjką, z tyłu której wisiał kaptur tak głęboki, że w czasie deszczu okrywał całą czapkę i kark wygodnie. Uzbrojeni byli lancą bez chorągiewki, pałasem i pistoletami. Szczególnie oficerowie wyglądali bardzo ładnie, a nawet bogato.

Po dokonaniu reorganizacji, zajęto się wymusztrowaniem nowo zaciężnych. Ćwiczono ludzi w strzelaniu do tarczy, udzielając nagród najlepiej strzelającym z kasy cesarskiej. Najcelniejszy strzał był płaconym po dwadzieścia franków. Wojsko nasze było rozłożone tuż przy granicy czeskiej w Saksonii, główna kwatera była w Zittau. Około fortec nad Elbą pracowało kilka tysięcy chłopów saskich.

Nareszcie zbliżył się dzień imienin cesarskich 15-go sierpnia. Aby ów dzień uświetnić, a razę zachęcić wojsko do dalszych działań wojennych, które niechybnie po upływie zawieszenia broni rozpocząć się miały, postanowiono ów dzień imienin obchodzić jak najuroczyściej. Na urządzenie bankietów przeznaczono po dziesięć franków na każdego oficera, a po dwa franki na niższe stopnie. Bankiety postanowiono odbywać w miejscach, gdzie zajmowali kwatery dowódcy brygad. Polecono przytem, aby mieszkańcy, u których na kwaterach stali żołnierze, przywieźli na ten dzień każdy swemu żołnierzowi stosownej żywności do owego bankietu. Przytem zapraszano tych gospodarzy

— 297 —

wraz z ich całymi rodzinami na bankiet. Wojskowi zaś za ową gratyfikację złożoną dostarczyli trunków.

W owym dniu, to jest 15-go sierpnia, wojsko zebrane udało się do wsi Heiniwalden, w której był prześliczny pałac na wyniosłej skale zbudowany, a u stóp jego ogród. Ponieważ w tem miejscu są obfite źródła, przeto ów ogród jest tak urządzony, że za naciśnięciem ukrytej sprężyny na tarasie — fontanny przed pałacem wytryski wody wydają. Oprócz tego pomiędzy kwatarami ogrodu urządzone są liczne ale małe fontanny, a to śnać dlatego, aby ów ogród w czasie posuchy skrapiać.

Gdy w owym dniu zebrała się brygada nasza i stanęła w owym miejscu, wszystko w największej parady, oficerowie w galowych mundurach, nasamprzód odbył się przegląd brygady i manewra, jak to miało zwykle miejsce przy podobnych uroczystościach. Po skończonej parady postawiono broń w kozły na wynioślejszem miejscu, zaś pomiędzy zaroślami, które wcześniej wybrano, rozstawiono liczne stoły. Do stołów zbliżyli się teraz mieszkańcy okoliczni z całymi swymi rodzinami, niosąc i wioząc na taczkach przysposobioną żywność, którą na stołach złożono. Czas bankietu był tak wyrachowany, aby go rozpocząć przy samym zmroku dnia tego. Za oświeceniem lamp, gustownie w owych zaroślach porożrzucanych, wojsko, pomieszczone z mieszkańcami, zasiadło przygotowane ławy, muzyki wojskowe, porożrzucane w miejscach właściwych, przygrywały biesiadującym.

Po zjedzeniu wszystkiego rozpoczęły się tany, które trwały aż do rana dnia następnego. Tu dopiero można było widzieć różne sceny. Jedni, dobrze podochoćceni, rozwodzili z Saksonkami wesołe tańce, inni pomiędzy zaroślami używali słodkiego snu, pomieszczeni z ludnością saską, a wiele stąd namnożyło się romansów, które długo potem zapomnianymi nie były.

Dnia następnego, gdy oficerowie chcieli swe kompanie do miejsc konsystencji odprowadzić, nie byli w stanie

— 298 —

zebrać żołnierzy, tak byli rozsypani po zaroślach. Musiano ich tam pozostawić aż do dnia trzeciego i dopiero pojedynczo pościgali się do kwater. Nietylko oficerowie swych żołnierzy, ale nawet rodzice swych córek zebrać z owego miejsca nie mogli.

Równocześnie z rozpoczęciem zabawy w ogrodzie, rozpoczął się bal dla oficerów w pałacu, rzęsisto oświetlonym i ozdobionym na frontonie cyfrą gorejącą Napoleona. Ponieważ do bankietu należeli wszyscy oficerowie z brygady, a do tego zaproszeni byli wszyscy obywatele okoliczni, przeto salony pałacu wszystkich gości pomieścić nie mogły. Postanowiono więc stoły rozstawić na skalistym i wyniosłym tarasie, przy których zasiedli goście zaproszeni i oficerowie wyższych stopni. My zaś, oficerowie niższych stopni pożywialiśmy się przy swych znajomych. Ja wówczas stałem na kwaterze w domu barona Linefeld we wsi Oderwitz, który teraz przybył na bankiet z rodziną i dwoma ślicznymi córkami. Stałem więc teraz przy nich, przy krzesłach.

Przy rozpoczęciu o zmroku obiadu, wobec prześlicznego wieczoru, mieliśmy zachwycający widok. Sklepienie nad nami zaszypane było gwiazdami, przed nami oświetlony ogród, w którym srebro wody puszczonej wodotrysków odbijało się przy zieloności drzew. Na przyległych wzgórzach wszędzie widać było rozstawione stoły oświetlone i obsiadłe od licznej mieszaniny biesiadujących od których po rosie odbijały się liczne głosy pomieszane gwarliwie z muzyką.

Po skończonym naszym obiedzie ruszyliśmy parami do salonów, gdzie rozpoczęły się tańce, trwające również do ranku, jak i owego zaroślnego zebrania. Lubo ów dzień i wieczór pamiętny, był dla mnie bardzo przyjemnym, wszelako przypadek owego wieczora na moment zachmurzył moją wesołość. Gdy przed ukończeniem deseru muzyka w salonie rozpoczęła grać tańce, my, niecierpliwi skończenia obiadu i rozpoczęcia tańców, udaliśmy się

— 299 —

naprzód do salonów. Ponieważ jeszcze nie było tam dam, rozpoczęliśmy sami ze sobą tańce. Przybiega do mnie porucznik z pułku naszego, Grabowski — o którym w ciągu mego opisu w roku 1812 z pod Woronowa wspomniałem. Był on wtedy przydzielonym do sztabu pułku, nie będąc w czasie kampanii nigdy w boju, bo używanym był tylko do pióra, i przepisując listę podanych do krzyża legii honorowej, w której ja byłem za bitwę pod Możajskiem podanym, licząc na niedołęstwo naszego pułkownika Wierzbickiego, w miejsce moje siebie wpisał, a do tego i swego przyjaciela, porucznika Kobylańskiego, który pilnował w czasie kampanii dystrybucji mięsa między żołnierzami. Kobylańskiego wpisał na miejsce walecznego porucznika Szumińskiego, który później poległ na placu bitwy. Krzywdy mojej nie mogłem nigdy zapomnieć. Gdy Grabowski zbliżył się do mnie i chciał ze mną tańczyć, i krzyż rozwieszony na jego piersiach, krzyż legii honorowej w oczach moich zabłysnął, przypomniałem sobie ową intrygę i odwróciłem się od niego, pogardzając tem podłem narzędziem. Wziął to za uchybienie sobie i, będąc podchmielonym, szukał klótni i gwałtem prawie chwytając mnie, chcąc zmusić do owego tańca. Przyprowadzony do ostateczności, chwytam za krzyż, wiszący na jego piersiach, obrywam i daję mu w twarz, dodając: „Oto masz złodzieju mego zasłużonego krzyża, któryśmi ukradł, nie mając do tego żadnego prawa!” Uderzenie moje było tak silne, że aż się Grabowski krwią zalał. Obecni koledzy przyskoczyli do nas i rozdzielili, mówiąc: „Niech oręż między wami rozstrzygnie”. Grabowskiego odprowadzono do przyległych pokoi.

Gdy wróciłem do siebie na kwaterę, trzeciego dnia po zabawie, siedząc z baronostwem u stołu, odbieram list Grabowskiego, który wyzywa mnie na pojedynek za obelgę i donosi, że czeka mnie pod lasem. Lubo ja o zaszłym na balu wypadku w domu nie wspominałem, przecież to jakimś sposobem doszło do wiadomości moich baronów.

— 300 —

Widząc odebrany list i słysząc po polsku dawaną odpowiedź, że zaraz się stawię w umówionem miejscu, zrozumieli wszystko, zwłaszcza, że, będący wówczas na obiedzie porucznik Kotowicz musiał im to wytłumaczyć. A zatem po skończonym obiedzie nie spuszczano mnie z oka, chcąc pojedynekowi przeszkodzić.

Jedna z panien zapytuje się mnie, czy to prawda, że miałem na balu zajęcie, a obecnie pojedynekować się muszę. Gdy zaprzeczyłem temu wszystkiemu, chcąc dochować tajemnicy, odpowiedziała: „My nie pozwolimy na pojedynek, nie puścimy Pana”. Gdy starsza z panien rozmawiała ze mną, młodsza poszła do mojej stancyi i zabrała mój pałasz i kapelusz, który schowała. Po dokonaniu tego przyszła do nas, uśmiechając się i mówiąc: „Możesz sobie teraz Pan pójść, ale bez pałasza i kapelusza”. Wykręcałem się jak mogłem, ale gdy prawie godzina czasu upłynęła, chodziło mi o to, aby nie ostrzelono placu z powodu niestawienia się mego na czas oznaczony. Niewidząc sposobu wymknienia się z domu, bo wyjścia były już obsadzone, wyszedłem do ogrodu, niby dla przejścia się. Przeszedłem szpalerem, który leżał nad murem i, przesadziwszy mur wymknąłem się na pole, śpiesząc na oznaczone miejsce.

Gdy przybyłem, dziwiono się, że bez kapelusza i pałasza przychodzę. Wyjaśniłem tak przyjemny przez pleć piękną areszt, z czego naśmiano się, mówiąc, że te damy muszą być sprzymierzeńcami naszych nieprzyjaciół, gdy przed ukończeniem armistycium Polaków rozbijają. Nie będąc uprzedzonym wcześniej, nie miałem sekundanta, ale pomiędzy obecnymi, chociaż nieprzychylnymi mi, z powodu, że to niby wszystkich obraził, gdyż byli zebrani tu wszyscy ozdobieni krzyżami legii honorowej, wybrałem sobie jednego, najstarszego śnać w wieku. Ten, niby cofając się, odparł, że jest przyjacielem Grabowskiego. Ja odrzekłem: „Mniejsza o to i bez sekundanta bić się będę, wszakże jesteśmy wszyscy ludźmi honorowymi, a zatem

— 301 —

zdrady się żadnej nie obawiam”. Odezwało się wtedy kilka głosów, że bez sekundanta pojedynek odbyć się nie może i wszyscy nalegali na owego starszego oficera, Staniewskiego, aby żądaniu memu zadość uczynił. Zgodził się w końcu Staniewski i wtedy zaczęto rozbierać ważność przyczyn pojedynku. Ja sam, instygując przeciwko sobie, powiedziałem, że uznaję ważność dokonanej obelgi, którą tylko krew potrafi obmyć.

Zaszła następnie sprawa wyboru broni. Pozostawiłem go przeciwnikowi, jako skrzywdzonemu i ten wybrał pistolety. Chętnie przystałem na to, ale niewiedząc z jakich powodów sekundanci, lubo mi nieprzychylni, odszedłszy od nas na bok i naradziwszy się, oświadczyli, że lubo ta sprawa jest poważna, przecież, ponieważ za dni parę mierzyć się będziemy z nieprzyjacielem, życie nasze jest teraz dla nas samych bardzo drogie i lepiej go na nieprzyjaciela zachować. Przeto oni, sekundanci, jednogłośnie odmawiają pistoletów, a proponują pałasze. Gdy na tem stanęło, mój przeciwnik miał już przygotowany w zapasie pałasz: była to

tak zwana augustówka, dość długa i z mocną na rękę obroną. Spodziewał się widać, że ja przybędę ze swoim pałaszem, który pomimo swych zalet, nie odpowiadał augustówce.

Gdy już przyjść miało do rozprawy, mój przeciwnik chwycił za augustówkę. Ja, nie mając żadnej broni, odzywam się do obecnych, prosząc o pożyczenie mi jakiegokolwiek pałasza. Na to jeden z obecnych dał mi pałasz woltyżerski, które to pałasze były cokolwiek krótsze od innych, jako dla ludzi niższego wzrostu. Gdy stanęliśmy do rozprawy, sekundanci przegrodzili nas swymi pałaszami, dodając, że broń jest nierówna. Postanowili zatem, aby przeciwnik odłożył augustówkę, a wziął także woltyżerski pałasz. Lubo nie w smak poszło to Grabowskiemu, przecież na wezwanie sekundantów uczynić to musiał. Gdy stanęliśmy powtórnie w pozycji, zaproponował jeden z obecnych zgodę z kondycją, abym ja, jako krzywdzący,

— 302 —

pierwszy krok do zgody uczynił. Miałem to sobie za uchybienie, a chcąc rozdrażnić przeciwników, dodałem, że gdybym był tak skrzywdzonym, jak mój przeciwnik, proponowałbym daleko ostrzejsze warunki pojedynku. Będąc przy tem pewnym siebie, raz że stawałem za swoją dawną krzywdę, a powtóre, że się nieźle bił na pałasze, sam się teraz posunąłem naprzód, zagrzewając przeciwnika do walki. Gdy jednogłośnie odezwano się: „Niech krew to obmyje”, a sekundanci ze swymi pałaszami odstąpili na bok, starliśmy się ze sobą. W pierwszym złożeniu ugodziłem go w prawą rękę, pomiędzy łokciem a dłonią. Ponieważ mój pałasz był tępy, przeto Grabowski po odebranych razie odskoczył tylko w tył, a sekundanci rozdzielili nas pałaszami.

Gdy odwinęto Grabowskiemu rękaw od munduru zobaczono, że ręka zsiniała tylko przez stłuczenie, znowu odezwał się ktoś z obecnych, proponując zgodę, inny zaś walkę do pierwszej krwi. Ja powtórzyłem „do krwi”. Złożyliśmy się po raz drugi. Będąc od przeciwnika pewniejszym w robieniu pałaszem i mając już prawie swoją satysfakcję, postanowiłem tylko parować cięcia, wystawiając swój pałasz końcem naprzód. Grabowski, widać zawstydzony początkowem niepowodzeniem, mocniej nacierał. Gdy po rąbnięciu w mój pałasz nie mógł mi dosięgnąć ręki, usiłował to powtórzyć. Zbliżyłem mu wtedy swego pałasza, a gdy on odciał, usunąłem na dół, a on, przeciąwszy powietrze, zachwiał się. Mając go odkrytego, chlusnąłem na odlew i trafiłem go z wierzchu przez rękę. Chociaż pałasz mój był tępy, jednakowoż przy cięciu przez rękę i to na kości — krew z rany obficie lunęła. Sekundanci

wstrzymali nas swymi pałaszami i zawołali: „Dość tego, zgoda!” Wszyscy obecni powtórzyli to samo. Gdy Grabowskiego naprędcie opatrzone, nagłono nas do pogodzenia się. Ponieważ wszyscy obecni byli po jego stronie, przeto wymagano odemnie, abym pierwszy krok do zgody uczynił. Odpowiedziałem dumnie, że jeżeli Grabowski nie

— 303 —

ma jeszcze zadośćuczynienia, to czekam jego wyleczenia się, a natenczas pojedynek może być powtórzonym chociażby kilkakrotnie. „Gotów jestem do wszystkiego“ powtórzyłem.

Gdy widziano mnie nieugiętym, zezwolono na wspólne przystąpienie, na co zgodziłem się w końcu.

Dawną drogą przez mur wróciłem do ogrodu, chcąc udać, że z niego wcale nie wychodziłem. Ale wiedzano już u baronostwa, że poszedłem na pojedynek, bo widziano mnie biegnącego przez pole. Stara baronowa dała mi chrześcijańskie napomnienie, że nie należy godzić na życie bliźniego. Tłumaczyłem jej, że byłem wyzwanym, że to nie moja wina w wywołaniu pojedynku. Gdy dowiedziano się, że mój porucznik został ranionym, baronówny zawołały: „Szkoda, żeś Pan nie został ukaranym za oszukanie nas“ i dodały: „prawdziwy mężczyzna, któremu w żadnym względzie wierzyć nie można”. Ja znowu odpowiedziałem, śmiejąc się: „Pięknie by to było lazaret z domu szanownych baronostwa robić? Inni poszliby bić się w pole, a ja musiałbym tu pozostać”. Panienki udawały, że są obrażone na mnie i na drugi dzień nie przemówiły do mnie ani słowa. Ale było to tylko udaniem, bo gdy trzeciego dnia dostałem rozkaz, aby ze swoją kompanią udać się do parku głównego artylerii dla asekuracji dział, gdyż upływał termin zawieszenia broni i kompania moja stanęła gotowa do marszu na dziedzińcu pałacowym, pożegnała mnie cała rodzina.

Nowa teraz odkrywała się kampania, gdyż do koalicji miała przystąpić Austria. Przepowiedziano, że, jeżeli Austria pozostanie neutralną, armia francuska znowu będzie przed zimą w Moskwie. Co prawda, była to armia złożona z nowego żołnierza, ale dała ona już dowody takiej waleczności, że własnym oczom trudno było dać wiarę. Armia rosyjska zaś w dobie odwrotu naszego była tak zniszczoną, że tylko winna była swe zwycięstwa żywiołom. Groźniejszą była połączona z rosyjską armia pruska, ale

— 304 —

Prusacy był to już dobrze znany Francji przeciwnik, którego się bardzo nie lękano. Przytem Francuzi mogli wciąż odbierać posiłki, podczas gdy armia rosyjska była oddaloną od swego kraju. Dopiero, gdyby się przyłączyła Austria, położenie stawało się bardzo groźnem.

Przed upływem terminu zawieszenia broni, Austria rzeczywiście wypowiedziała wojnę ¹⁾. Utrudniała położenie Napoleonowi zdrada. Szef sztabu korpusu marszałka Ney'a, generał Jomini przeszedł haniebnie do nieprzyjaciela, zabierając z sobą wszystkie plany przez cesarza zrobione, klucz tajny do korespondencji, a nakoniec mapy i tajemnice odwrotu, jak niemniej polecenia do wszystkich fortów, aby się do pewnego czasu trzymały. Napoleon w rozkazie dziennym za głowę Jominiego naznaczył 20.000 franków nagrody ²⁾.

Zawiadomiony nieprzyjaciel o planach odwrotu, tem śmieiej popierał swoje plany. Napoleon w swych planach miał dwie drogi, a to z powodu, że nie był pewnym stanowiska Austrii, zaś nieprzyjaciel, będąc oddawna pewnym swego jednego planu, tego się trzymał i rozpoczął działanie odrazu po upływie zawieszenia broni. Tak uderzyło natychmiast, skoro armia francuska zrobiła pozorne poruszenie naprzód, 100.000 piechoty austriackiej na Drezno, następnie 80.000 Austriaków i 40.000 Bawarów pod rozkazami księcia Wrede pod Hanau, a to w celu przecięcia komunikacji Francuzom od Renu ³⁾. Następnie, gdy się

¹⁾ Dnia 12-go sierpnia 1814 r. (powinno być: 1813)

²⁾ Generał Jomini, szef sztabu korpusu marszałka Ney'a, przeszedł do sprzymierzonych w czasie zawieszenia broni. Informował on cesarza Aleksandra i razem z generałem Moreau wpływał na plany sprzymierzonych. Planów szczegółowych nie wydał, bo ich mieć nie mógł. Nie naznaczano ceny za jego głowę.

³⁾ Nasz autor ciągle w niezgodzie z chronologią. Bitwa pod Hanau, ostatnia w kampanii r. 1813, miała miejsce dnia 30-go października 1813 r. Wrede nie był księciem, ale hrabią.

wydarżyły ulewne deszcze, uderzono na korpus Macdonalda jazdą nieprzyjacielską, która w czasie owego deszczu straszną klęskę piechocie zadała ¹⁾). Lubo marszałek Ney stał w obserwacji Berlina, przecież po odebranej wiadomości o porażce Macdonalda cofać się był przymuszonym, a to wskutek ogólnego planu ²⁾). Nasz korpus, to jest ósmy, podług nowej organizacji armii, po armistitium, wyruszywszy ze stanowisk swoich, udał się pod Hirschfeld, miasteczko leżące nad granicą czeską. Lubo to poruszenie było pozornym, przecież przy tej sposobności mieliśmy w obserwacji Czechy ³⁾).

W tym celu wyprawiono generała Umińskiego do Czech, do miasteczka Reichenberg i Friedland. Ten wszedłszy tam, rozbrajał milicję i oddziały freikurów, kasy zabierał i kontrybucje nakładał. Wskutek cofania się korpusów z linii demarkacyjnych i nasz korpus cofał się, aż przybyliśmy znowu pod Zittau, gdzieśmy stanęli obozem, czekając, jak było zapowiedziane, przybycia do nas cesarza dla zrobienia przeglądu naszego korpusu. Ale był to cel inny, bo ku temu punktowi, to jest między Gabel

¹⁾ Macdonald został pobitym pod Katzbach d. 26-go sierpnia.

²⁾ Ku Berlinowi zbliżał się marszałek Oudinot. Odparty dnia 23-go sierpnia pod Grossbeeren przez Bernadotte'a, który następnie 6-go października pobił Ney'a, broniącego lewego skrzydła wielkiej armii. Pomieszał to wszystko nasz autor.

³⁾ Napoleon, mając zamiar uderzyć na armię szlaską Blüchera, obawiał się, aby armia Szwarcenberga, mająca główną kwaterę w Pradze, nie posunęła się wprost na Zittau lub Reichenberg i nie uderzyła na boki, lub nawet tyły wielkiej armii. W tym celu marszałek Victor i książę Józef mieli obsadzić przesmyki, prowadzące z Gabel do Zittau i umocnić je, a Umińskiemu polecono wykonać wyprawę partyzancką do Czech i zająć miasta Friedland i Reichenberg. Książę Poniatowski sforsował gościniec, prowadzący z Gabel do Pragi i obok przesmyków, prowadzących przez Góry Olbrzymie do Zittau, założył obóz warowny. Tymczasem, jak wiadomo, armia Szwarcenberga poszła na Drezno. Ks. Józef miał przed sobą tylko dywizję austriacką jen. Bubna.

i Zittau nad granicę Saksonii zbliżał się 80.000 korpus austriacki. Gdy cesarz przybył pojazdem, kazał sobie podać konia. Korpus stał pod bronią, kazał więc nam Napoleon zająć plutonami, jak gdyby do przeglądu. Ale jakież było nasze zdziwienie, gdy zamiast przeglądu korpus ruszył przez Zittau ku granicy czeskiej, mając samego Napoleona na czele. Pomimo gór wyniosłych, które Czechy

od Saksonii dzielą, przepędziliśmy nieprzyjaciela i dnia tego zajęliśmy miasto Gabel. Forpoczty nasze sięgały jeszcze o milę naprzód.

Gdyśmy już przeszli granicę, cesarz dla rozpoznania nieprzyjaciela kazał moment się zatrzymać, dając zarazem wytchnienie wojsku. Widziałem wtedy, jak przy samej naszej kolumnie cesarz dobył z kieszeni jabłka dużego i jak się zdaje świeżego, tem się jakiś czas bawił, podrzucając je w górę i spadające chwytał, tak jak się dzieci zwykle piłką bawią. Nasi żołnierze wzięli to za szczęście, że kiedy cesarz jabłkiem rzucał, nie wypadło mu ono z ręki. Nakoniec cesarz owo jabłko rozkręcił i z niego wyciągnął perspektywę, za pomocą której śledził ruchy nieprzyjaciela.

Cesarz bawił się, czekając przybycia naszej jazdy, będącej z tyłu, która do przebycia granicy tak skalistej potrzebną na czele nie była. Kiedy rozpatrywał pozycję, nadciągnęła klusem tymczasem jazda nasza, na czele której postępował Weyssenhoff, mając brygadę złożoną z pułku huzarów i ułanów. W spomniana jazda wysunęła się naprzód i cesarz rozkazał jej uderzyć na korpus freikurów austriackich, którzy, ukryci za wzgórzem, prażyli nas ze swych dubeltowych sztuców.

Gdy jazda ich dosięgła, okazało się, że freikury nie mieli rezerw i jazda nasza, wielu zrąbawszy, resztę do niewoli wzięła. Skoro tylko jazda do wzgórza owego się zbliżyła, cała nasza piechota przy odgłosie bębnow z najeżonym bagnetem uderzyła. Zdobyliśmy ową szczytną pozycję, na której się rozwinęliśmy. Widać, że cesarz

chciał nieprzyjacielowi pokazać swe siły, oszukując go tym sposobem, bo po grzbiecie gór całe wojsko rozwinąć kazał, nie zostawiając nic w rezerwach. Nieprzyjaciel po krótkim oporze cofać się na wszystkich punktach zaczął. Tymczasem cesarz, rozpoznawszy pozycję, odezwał się do księcia Poniatowskiego: „Zaraz jutro zebrać chłopów saskich do sypania na tej pozycji baterii”. Skreślił w krótkości plan baterii — dodając, że nieprzyjaciel nie umiał korzystać ze szczęśliwego położenia, bo gdy on teraz owe wzgórza uwieńczy bateriami, nie tylko 80.000, ale 180.000 nie zdoła go z niej wyprzeć.

Po krótkiej pauzie poszliśmy znowu do ataku, a nieprzyjaciel ciągle ustępował, opuściwszy wreszcie miasto Gabel, które zajęliśmy.

Noc nadeszła i położyła koniec walce. Cesarz, stanąwszy w Gabel, wieczorem kazał stawić przed sobą burmistrza miasta tego i zapytał go: „Czy mnie Pan znasz?” Burmistrz odpowiedział ze strachem: „Zdaje mi się, że mam szczęście mówić z N. Napoleonem cesarzem”. „Tak jest, masz tu Wpan armię polską, z którą zapewne jesteś już dobrze obeznanym, znasz ich dobry sposób myślenia;

jeżeli się z nimi tylko dobrze obchodzić będziecie i żywności dostarczycie, możecie już być pewnymi, że nikomu włos z głowy nie spadnie”. Pożegnawszy burmistrza, w kilka minut potem Napoleon wsiadł do karety i wrócił do Saksonii ¹⁾). Dodać tu muszę, że cesarz, gdy przybył do Zittau, sam jeden tylko przyjechał, nie mając przy sobie żadnego Francuza, ani nawet służącego i dlatego to używał perspektywy w kształcie jabłka kieszonkowego. Rozmowa cesarza z burmistrzem miała ten cel, że cesarz spodziewał się, iż burmistrz niezawodnie zawiadomi swoich o bytności cesarza w Gabel, a przez to da poznać, że

¹⁾ Cesarz rzeczywiście dnia 19-go sierpnia pojawił się w Czechach w Gabel i ostentacyjnie pokazywał się ludności, aby sprzymierzeni sądzili, że jest on w Czechach. W d. 20. t. m. był on przy korpusach Victor'a i, ks. Józefa, ale tegoż dnia udał się do Görlitz.

siłą, jaka nieprzyjaciela odparła od granicy, składała się nie z samego korpusu polskiego, który liczył naówczas 25.000 głów, ale z większej masy wojska ¹⁾).

Tymczasem francuskie korpusy, cofające się przed nieprzyjacielem, były jeszcze daleko za nami, a nam wypadło ów punkt zasłaniać, aby nieprzyjaciel nie przeciął z boku odwrotu Francuzom. Jak cesarz przewidział, tak się też i stało. Burmistrz zawiadomił w nocy swoich, i ci wskutek tego cofnęli się zaraz w nocy o milę i, zajmawszy silną pozycję, oszańcowywać się poczęli.

Na drugi dzień wskutek polecenia cesarza spędzono parę tysięcy chłopów i rozpoczęto roboty fortyfikacyjne. Wspomnę tu o jednym moim osobistym zdarzeniu. Po owej dnia poprzedniego porażce nieprzyjaciela, gdy noc zapadła, bataliony nasze — w jakim szyku w boju się znajdowały, w takim pozostały przez noc. Gdy dzień nadszedł, my staliśmy spokojnie, bo doniosły forpocztę, że nieprzyjaciel się cofnął. Rozpatrzywszy się w naszej pozycji, poznałem takową i przypomniałem sobie, że, gdyśmy poprzednio przez Austrię przechodzili, szliśmy tym samym traktem przez Gabel do Saksonii. Wówczas stanęliśmy w okolicy tego miasteczka w wiosce, w której był młynarz Niemiec, u którego stał na kwaterze jeden z moich kolegów. Razu jednego kolega, przyszedłszy do mnie, oświadczył mi, że jego gospodarz, niby to przewidując przyszłość, obsypywał niemożliwymi obelgami cesarza Napoleona. Będąc ciekawym relacji owego młynarza, udałem się z kolegą do niego. Młynarz od razu zaczął się rozwodzić nad przyszłością polityczną, a do tego lżyć obelżywymi słowy nie tylko Napoleona, ale wszystkich, którzy jego zamiary wspierali. Mówił to śmiało, jako obcy poddany, sądząc, że za to nigdy nie odpowie nikomu. Ja mu to tylko wtedy odpowiedziałem, że nie należy prostemu człowiekowi wdawać się w tak

¹⁾ Cyfra fałszywa. Obok korpusu polskiego był jeszcze korpus mar. Victor'a.

— 309 —

głęboką politykę, dodając, że mogą go spotkać z tego powodu nieprzewidziane nieprzyjemności, gdyż może Francuzi przypadkiem odwiedzą jeszcze i Austrię. „Co”, odrzekł stanowczo i, wystawiając dłoń, dodał: „Prędy mi tu włosy wyrosną, jak Francuzi w Austrii będą”. Wówczas, nie przewidując dalszej przyszłości, skończyliśmy na tem naszą rozmowę.

Obecnie dziwnym zbiegiem okoliczności znaleźliśmy się niedaleko od młyna tego i zaraz mi przyszedł na myśl nasz młynarz. Powiedziałem o tem koledze, a ten zaproponował z miejsca, że zaraz należy młynarza przekonać o tem, że armia francuska jest w granicach Austrii i dać mu odpowiednią pamiątkę za jego przepowiednie. Posłał do furgonów, prosząc o pożyczanie bata kozackiego i, zabrawszy kilku ludzi z sobą, pobiegł do młyna. Młynarza na wstępie złapał mocno za rękę, niby dla przekonania się o wyrosniętych włosach na jego dłoni, skoro jego przepowiednia się nie ziściła. Później, wzięwszy kalendarz, w którym Niemiec chował spisane ewangelie satyryczne przeciwko Napoleonowi, kazał młynarza położyć, a na nim owo pismo, które dopóty bił batem, dopóki nie rozleciało się w strzępy.

W dni kilka, gdy zniesiono baterie, nieprzyjaciel znowu zbliżył się ku nam, widać że chciał nam w oszańcowywaniu się przeszkadzać. Po małej utarczce forpoczt zbliżenie się nocy walkę przerwało. Dnia następnego rano, gdyśmy już stali w pogotowiu, zasłaniając syjące się okopy ujrzelśmy z całą swiżą zbliżającego się ku nam od strony Saksonii marszałka Victor, który, dowiedziawszy się o zagrażającym niebezpieczeństwie, nadciągnął ze swym korpusem, z którym pozostał w drugiej naszej linii dni kilka, aż też i fortyfikacje prawie ukończono. Widząc nas w pozycji tak silnej, udał się marszałek w dalszą drogę. Nieprzyjaciel, widząc nas w niezdobytej pozycji, nie powążył się uderzyć w tym punkcie.

Odebraliśmy od szpiegów wiadomość, że nieprzyjaciel

— 310 —

rozpoczął jakiś ruch w stronie wsi Krembach. Trzeba wiedzieć, że ów punkt jest ważnym w historii wojskowej, gdyż w czasie siedmioletniej wojny marszałek Laudon, wódz cesarski, przez Krembach wziął tył Fryderykowi II. A zatem było ważnem ów punkt obsadzić. Po rozłożeniu i zajęciu owych baterii, będąc bezpiecznymi, staliśmy spokojnie dni kilka. Raz, gdyśmy stanęli do wieczornego apelu, nadchodzi od dowódcy rozkaz, aby wysłano z naszego pułku jedną kompanię na tak zwaną straconą pocztę. Wspomniałem już, że byłem prześladowanym ciągle od dawnego dowódcy batalionu za to, że byłem świadkiem jego uchybień i tchórzostwa w czasie ostatniej wojny. Uwziął się on na to, abym się dostał do niewoli albo zginął. Po odebraniu od dowódcy pułku powyższego rozkazu, ponieważ to była poczta niebezpieczna, zbliża się do mojej kompanii dowódca batalionu, odzywając się głośno, że mam kazać kompanii się zbierać i udać się na wskazaną ekspedycję.

Takich ekspedycji nadzwyczajnych od rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich odbyłem już niejedną. Wówczas bowiem, kiedy jeszcze wszyscy na miejscu używali spoczynku, ja udać się musiałem do parku rezerwowego i tam być na służbie przez trzy dni. Następnie powyższą służbę odbyłem pod Hirsfeld, a inne kompanie nie odbyły żadnej. Odebrawszy teraz rozkaz, widzę, że ludzie moi uczuli taką niesprawiedliwość ze strony dowódcy batalionu i powstały stąd użalenia. Zwracam się więc do dowódcy batalionu

i mówię: „Obyłem ja wprawdzie już dwie ekspedycje nadzwyczajne, mniejsza jednak o mnie, ale za cóż ludzie moi mają dla mnie cierpieć. Jeżeli o to chodzi, aby na mojej osobie wyrzucić rodzaj zemsty, to ja nie uchylam się od tego, ale pójdę z inną kompanią, aby nie powiedziano, że się boję”. Obecny przy tem pułkownik, dowiedziawszy się o odbytych przezemnie ekspedycjach, polecił, aby inna kompania, na którą kolej przypadała, poszła teraz. Ale szef batalionu, widząc swą zemstę zawiedzioną,

— 311 —

udał się za pułkownikiem do jego baraku i różnymi sposobami starał się odmienić jego rozporządzenie, upierając się na swoim. Gdy już inna kompania stanęła w pogotowiu do marszu, pułkownik kazał mnie do siebie przywołać i rzekł: „Lubo kazałem innej kompanii udać się na ekspedycję, ale, gdy mi dowódca batalionu przedstawił ważność tej wyprawy, przeto inaczej być nie może, tylko że Pan, a nie inny, udać się tam musi”. Przy tej sposobności wymieniał pułkownikowi powody nienawiści mego dowódcy, na co powiedział mi, że mnie prosi, jako kolega, aby się od tego nie wymawiać, że przyrzeka za to trzy inne służby mi opuścić.

Już noc była ciemna, gdy kompania powierzona mi stanęła do marszu. Polecenie odebrałem następujące: Naprzód dano mi przewodnika, przyprowadzonego ze strony saskiej (nie ufano bowiem Czechom), którego kazano strzedz, aby w drodze nie uciekł; następnie dodano, że ponieważ niewiadomem jest, czy wieś Krembach jest już zajęta przez nieprzyjaciela lub nie, aby więc zbliżać się do niej z największą ostrożnością i, zajmawszy ją, przedsięwziąć wszelkie środki obrony, resztę zostawiając mojej roztropności i znajomości służby. Gdy wyruszyłem wśród nocy i wszedłem w las, już czekali saperzy z chłopami, którzy natychmiast drogę (którąbym się miał cofać) zacinali, waląc drzewo jak zasiekę. Wieś Krembach oddalona była od nas o półtorej mili. Doszedłszy tam około północy, stanąłem w lesie i posłałem nasamprzód patrol, złożony z jednego oficera i 15-tu ludzi, dla dowiedzenia się we wsi o nieprzyjacielu i poleciłem dowódcy, aby sołtysa ze wsi, jak niemniej jednego gospodarza — każdego z

nich osobno, przyprowadzono do lasu. Po powrocie patrolu, każdego z przyprowadzonych osobno badałem, czyli się na jedno zgodzą, a po przekonaniu się o zgodności zeznania, zatrzymałem ich u siebie do rana. Zeznali, że lubo patrole codziennie tę wieś odwiedzają, przecież obecnie nieprzyjaciela

— 312 —

w niej niema. Oddział mój ukryłem w lesie, aby nie widziano szczupłej mojej siły.

Gdy dzień nadszedł, odesłałem sołtysa pod konwojem do wsi, aby nakazał przygotowanie żywności dla przybyć mającego batalionu złożonego z 800 głów. Drugiego gospodarza zostawiłem jako zakładnika, ostrzegając, że za najmniejszym niebezpieczeństwem albo zdradą, nie tylko ten, ale wszyscy mieszkańcy w pień wyciętymi, a wieś spaloną zostanie. Po zarządzeniu przygotowania żywności, przyprowadzono znowu sołtysa do lasu, a następnie przywieziono żywność oraz żywe bydło, służyć mające na rzeź dla wojska. Po zaręczeniu sumiennem owych zakładników, jakoteż i proboszcza tamecznego, który przybył do obozu że żadne niebezpieczeństwo nie grozi, a nawet mieszkańcy zobowiązują się nietylko strzedz, ale nawet ostrzegać nas o wszystkim, wypuściłem zakładników do domu. Za dnia rozpatrzyłem się w położeniu miejsca, które zajmowaliśmy.

Znalazłem mur dość długi, służący dawniej freikurom do strzelania do tarczy. Miałem już w nim punkt oparcia, a boki nad parowami, jakoteż i przystęp z przodu, zabezpieczyłem zasiekami, używając do tej roboty żołnierzy, aby który z robotników nie odkrył tego nieprzyjacielowi. O wygodę moich żołnierzy tak dbali mieszkańcy wsi, że oprócz zbytowej żywności dostarczano wódki i piwa. Zawsze jednak udawałem, że się spodziewam nadejść mającego batalionu. Dnia następnego posłałem raport do sztabu, w którym wyszczególniłem wszystko, com powziął o położeniu nieprzyjaciela. Odebrałem na to polecenie, aby się mieć na baczności, z powodu blisko stojącego nieprzyjaciela, obok tego przysłało mi parol. Tym sposobem przez czas jakem zostawał w Krembach co rano posyłałem raporta, do przesyłania których przysłało mi 15-tu ułanów.

W nocy starałem się powiększać ogniska dla pokazania nieprzyjacielowi wielkiego obozu; luna, jaka się od

— 313 —

moich ognisk unosiła, była równą, a może i większą od tej, jaką widziałem od strony nieprzyjaciela. Patrole co noc posyłałem, używając w tem mieszkańców, aż pod sam obóz nieprzyjacielski.

Razu jednego zaproponował mi sołtys, że byłoby dogodniej dla oficerów, aby w przyległym domu stanęli kwaterą, a przynajmniej aby tam gotowano. W tym celu nawet postarał się o kobietę z Morawii pochodzącą, która służyła dawniej w Galicyi i umiała na sposób polski gotować. Pierwszej propozycji co do kwatery nie przyjąłem, ale na drugą zezwoliłem. Przeto odtąd założono kuchnię w owej chałupie i do tego przygotowano sporą baryłkę wina do naszego użytku. Gdy był czas obiadu, dzieliliśmy się na dwie części i gdy jedna konsumowała, druga tymczasem w obozie była obecna. Razu pewnego około południa posłyszano we wsi jakieś krzyki, a do tego nasi żołnierze spostrzegli jakichś jeźdźców uwijających się po wsi. Sądziłem z początku, że to byli nasi ułani do ekspedycji, ale kiedy podoficer od ułanów wyrachował mi się, że są wszyscy obecni, rozkazałem im wsiąść na koń i dotrzeć w owo miejsce dla przekonania się z bliska, a tymczasem poleciłem stanąć pod bronią mojej kompanii. Ułani moi wrócili wkrótce, donosząc mi, że to jakiś oddział naszej jazdy zajechał do wsi i robi tam różne gwałty i nadużycia.

Wziąwszy ułanów moich, udałem się z nimi do wsi. Gdy przybyłem do sołtysa, zastałem tam jakiegoś młodego oficera, jak się zdawało, od powstania i przedłożyłem mu, że ja tu załogą stoję, jeżeli więc czego potrzebuje, aby mi to oznajmił, a ja polecę sołtysowi dostarczenie tego. Ten młody i niedoświadczony człowiek, obruszywszy się na mnie, nietylko że moich przełożeń nie usłuchał, ale nadto w mojej obecności zachęcał swoich ludzi do gwałtów. Oświadczyłem mu tedy stanowczo, że jeśli nie zechce się spokojnie zachować, musi wieś opuścić. Młodziak porwał się na mnie do pałasza, a wtedy ja krzyknąłem na moich ułanów, aby go związano. Gdy się to stało, jego ludzie

— 314 —

pooddawali rzeczy pozabierane. Rozkazałem dać furmankę, na którą został włożonym oficer i do mego obozu odwiezionym w celu odesłania go pod eskortą do sztabu. Gdy się trochę przetrzeźwił (bo był pijanym), obawiając się skutków swego postępowania, zaczął mnie prosić o przebaczenie. Skończyło się więc na napomnieniu. Po takowem zapytałem go znowu, czegoby potrzebował i kazałem sołtysowi dostarczyć wszystkiego, a oficera poleciłem rozwiązać i puścić. Ten mój czyn tak ujął owych mieszkańców, że hurmem do mnie przybiegli dla złożenia podziękowania za opiekę nad nimi. Oświadczyli mi razem, że co noc będą odbywali patrole w celu zabezpieczenia nas, a sołtys zapytał, czy nie należałoby wysłać zapasu żywności do sztabu. Odrzekłem, że chorego pytają, a zdrowemu dają, dodając, że w sztabie wszyscy zdrowi.

Zatem dnia następnego wyładowano kilkanaście tacek niemieckich drobiem, masłem, serami, jajami, mąką, kaszą, owocami, zgoła wszystkim, co było potrzebnem do kuchni. Ja ze swojej strony dodałem eskortę, aby po drodze nie zagarnięto transportu. Gdy transport dostawiono do sztabu, dostało się z niego zapasów i sztabowi dywizyjnemu, a przytem odpłaciłem memu mścicielowi dobrem za złe. Ten, dowiedziawszy się, że nawet moi żołnierze opływają we wszystko, wody nie piją, tylko piwo, a nawet nie sami, tylko stróże przeznaczeni do tego drzewo rąbią, pałą i jeszcze dla żołnierzy gotują, udał się do pułkownika, przedstawiając mu, że warto mnie już zluźować i proponował na moje miejsce innego kapitana, swego faworyta. Niedołężny nasz pułkownik udał się do sztabu dywizyi z tą propozycją, ale generał Izidor Krasieński nie zgodził się na zmianę, mówiąc, że ja już obeznałem się z miejscowością i ludźmi. Rozkazał tylko wysłać jeszcze jedną kompanię do Krembach, ale i tu nie udało się memu mścicielowi, bo generał zupełnie innego kapitana do tej ekspedycji przeznaczył. Komenda jednak została przy mnie, gdyż byłem starszy w służbie.

— 315 —

Później, gdy się przekonałem o przychylności mieszkańców Krembach, chodziliśmy wszyscy na obiad do przeznaczonej dla nas chałupy, i nawet często dosyć długo tam bawiliśmy. Jedynie w nocy byliśmy zawsze w obozie, gdzie nas często pleban odwiedzał i nawet z nami obiady jadał, jak gdyby nie w czasie wojny, ale pokoju. Trzeba przyznać naszym żołnierzom, że umieli ocenić dobre przyjęcie, bo gdy później jedno skrzydło naszego obozu rozłożonem było w ogrodach, żołnierze nie dotknęli tam niczego, co nieraz z wielkiem uwielbieniem później mieszkańcy wspominali.

Pewnego razu, po upływie już przeszło dwóch tygodni od czasu mego przybycia do Krembach, ułan, wracający z posyłki do sztabu, oddał mi ekspedycję, opieczętowaną staranniej niż zwykle. Gdy ją otworzyłem, wyczytałem polecenie, którem nakazywano mi trzymać w sekrecie nawet przed moimi kolegami, aby się mieć na baczności, gdyż zachodzą wielkie poruszenia armii i korpus nasz dziś zrana opuszcza swoje stanowisko, a ja, pomimo to, mam pozostać w Krembach do godziny ósmej wieczór. Przed wieczorem mam posłać na granicę Saksonii po przewodnika, i następnie udać się z oddziałem najbliższą drogą do wsi granicznej saskiej Grosschenau.

Po odebraniu tego polecenia zacząłem pilnie obserwować za pomocą perspektywy linie nieprzyjacielskie. Gdy w tym celu wyszedłem na wieś, wkrótce wyleciał za mną sołtys i powiedział mi: „Wywiązywaliśmy się zawsze z danego przyrzeczenia, że panów będziemy pilnować od nieprzyjaciela, ale dopiero teraz po raz pierwszy muszę pana ostrzedz. Miej się Pan na baczności, bo wasi, stojący pod Gabel, nie tylko obozy, ale nawet okopy swoje opuścili — a Austriacy są już w Saksonii, postępując za waszymi i byłibyście tu słyszeli strzały, gdyby nie te wysokie skały od strony waszych, które głos tamują”. Lubo miałem polecenie w kieszeni, przecież z udaną spokojnością odpowiedziałem, że nie mam żadnego zawiadomienia o tem

— 316 —

i nie ruszę się, póki nie odbiorę rozkazu. Ostrzegano później nie tylko mnie ale nawet i kolegów moich, w miarę poruszeń za skałami. Koledzy dopytywali się mnie, czym nie odebrał jakiego polecenia, ale zaprzeczyłem temu, mówiąc, że tylko hasło i parol otrzymałem. Dzień ten dłużył mi się bardzo, bo wiedziałem, w jakim jesteśmy smutnym położeniu, a odkryć tego zabroniono nawet przed kolegami.

Po obiedzie zwykle kładliśmy się przespać, bośmy w nocy stali pod bronią. Podług zwyczaju koledzy moi się pokładli, a mnie sen opuścił, bo co moment spodziewałem się napadu. W końcu znowu sołtys przybiegł do mnie, pokazał mi dymy wznoszące się nad drzewami przyległego lasu, mówiąc: „Oto masz Pan freikurów cesarskich. Naumyślnie w ten moment posłałem mego szpiega, który doniósł, że na własne oczy widział ich mnóstwo. Na moje szczęście koledzy moi spali i nie słyszeli owych ostrzeżeń. Tymczasem nadszedł czas, w którym zwykle posyłałem zaufanego podoficera po wiadomość do sztabu. Teraz posłałem go po przewodnika do Saksonii, z poleceniem, aby go w obozie nie pokazywać, aby się nikt niczego nie domyślał. Gdy spojrzałem na zegarek i widzę, że już ósma, nakazałem żołnierzom gotowość do marszu. Posłałem do oficerów, którzy wówczas w chałupie się bawili, aby wrócili od razu do szeregów. Ci, przybywszy, myśleli, że już na noc każe stawać pod bronią. Dopiero wtedy opowiedziałem im o otrzymanem poleceniu, na co odpowiedzieli, że lepiej się stało, iż oni nie wiedzieli o tem, bo byłiby niespokojni. Gdy wojsko stanęło pod bronią w gotowości do marszu, w mgnieniu oka dowiedziano się o tem we wsi. Ksiądz, sołtys i wielu mieszkańców przybiegło zadyszanych, aby nas pożegnać i oświadczyć jednoznacznie, że nasze obchodzenie się z nimi nigdy nie będzie zapomnianem. Prosilili przytem, że w dalszych wypadkach wojennych, jeżeliby kto był rannym albo w niewolę wziętym, a znajdował się w tej okolicy, aby się starał dostać do

— 317 —

Krembach, a oni zaręczają, że znajdzie przytułek i opiekę. Nie mogliśmy brać ze sobą fur, bo trzeba było przechodzić przez wysokie i skaliste góry, dokąd nam bliższą drogę mieszkańcy wskazali, po pożegnaniu więc najczulszem dano mi trzy sztuki bydła i ksiądz imieniem swych owieczek chciał mi wsunąć w rękę jakąś paczkę pieniędzy, czego nie przyjąłem.

Ruszywszy w góry, zbliżyłem się do wąwozu, przez który tylko wązka ścieżka była. Przez strumienie wód prowadziła kładka, przez którą z trudnością przeprowadziłem dane mi bydło. Droga, którą szedłem, zbliżała znacznie do punktu przeznaczonego: gdybym bowiem był szedł zwyczajną drogą, miałbym do przejścia sześć mil, a tędy nie było ani trzech. Gdy po różnych krętych i ciasnych drożynach około godziny pierwszej po północy zeszliśmy z gór na płaszczyznę, ujrzelśmy mnóstwo ognia około wsi leżącej w dolinie, było to Grosschenau. Wszedłszy do niej, rozesłałem podoficerów dla wynalezienia pułku. Oznajmiono mi, że dywizya jeszcze nie przyszła. Wprowadziłem więc tymczasowo oddział mój między stodoły, rozkazawszy ludziom spocząć. Sam poszedłem do austeryi, będącej w środku wsi i kazałem sobie coś dać do zjedzenia. Nakoniec udałem się do jednej z przyległych chat i rzuciłem się na sofę, czekając przybycia sztabu.

Gdy leżę tak z pół godziny, słyszę wchodzących kilka osób do głównej izby i mówiących coś ze sobą. Jeden głos pyta, czy nie przyszła jeszcze dywizya. Na to drugi odpowiada, że nie, ale wkrótce nadciągnie. Znowu pierwszy: „O której godzinie kazaliście ruszyć temu oddziałowi?” „O ósmej wieczór” — odpowiedziano. „Jako to ósmej wieczór, kiedyśmy rano opuścili Czechy”. „Takie było polecenie”. „Jak się nazywa ten kapitan, co był tam posłany?” „Białkowski” — odpowiedziano. „Nie ma wątpliwości, że został zabranym, jeżeli czekał do oznaczonej godziny”.

Gdy usłyszałem moje nazwisko, zbliżyłem się do rozmawiających. Był to generał Izidor Krasieński z szefem

— 318 —

sztabu, pułkownikiem Cedrowskim. Gdy się odezwałem, że to ja jestem, o którym mówiono, zwrócono się do mnie z wielkiem podziwieniem, dodając, że chyba prędkiej opuściłem Czechy niż mi polecał rozkaz. Na moje zapewnienie, że do oznaczonej godziny wiernie tam pozostałem, wykrzyknęli ze zdziwieniem: „To niepodobna”. Myśmy rano już opuścili Czechy, a zrobiliśmy dotąd około sześciu mil, więc jak im sposobem Pan mogłeś, ruszywszy tak późno, tutaj się już znajdować. Odpowiedziałem, że być może, że mój zegarek spieszy. Sprawdziwszy go z zegarkiem generała, przekonałem się, że nie. Po ukontentowaniu, jakie Krasieński okazał, wypytywał mnie o szczegóły mego pobytu w Krembach. Powiedziałem więc, że moje ocalenie winienem li tylko przychyłności mieszkańców. „Jak to? Czechów?” „Tak jest, przez dobre obchodzenie się z nimi oni sami czuwali nad moim bezpieczeństwem”. „To jest rzecz nadzwyczajna, żeby mieszkańcy kraju nieprzyjacielskiego, a zwłaszcza Czesi, okazali taką przychyłność”. „Daję słowo honoru generałowi — odrzekłem na to — że dnia dzisiejszego z rana, nim odebrałem rozkaz, już mnie uprzedzono o poruszeniach, tak naszych, jak i nieprzyjacielskich, bo bym innym sposobem tego wiedzieć niemógł, będąc przedzielonym nieprzebytymi skałami. Następnie przy wymarszu ciż mieszkańcy przez przychyłność wskazali mi o połowę krótszą, chociaż wprawdzie mniej wygodną i dlatego o tej porze już się tu znajduję”. „To fenomen”, powtórzył kilkakrotnie generał. „A zatem zapewne ludzie twoi, kapitanie, są zmęczeni?” Ja znowu odrzekłem, że nagradzając spóźniony rozkaz, starałem się forsowniejszym marszem opóźnienie nagrodzić. Na to Krasieński: „Daj im spocząć do rana”. Pożegnawszy go, udałem się do mego oddziału.

Przededniem przy był do nas jakiś oficer ze sztabu, wołając mnie po nazwisku. Wzywano mnie do jenerała. Gdy przybyłem do sztabu, odbieram polecenie, abym zebrał mój oddział i wyruszył w awangardzie. Polecono mi,

— 319 —

abym zachował wszelką ostrożność i skierował się znowu w granice czeskie do miasta Rumburga— dokąd następnie inne oddziały za mną ruszyć mają. Adjutanci jenerała, kapitan Łaski i porucznik Gawroński, ponieważ to była awangarda, postanowili mi towarzyszyć. Następnie, wzięwszy przewodnika i wzięwszy mój oddział, stosownie do reguł przedniej straży, co mi nie było obcem, gdyż lubo nie byłem szczęśliwym przez czas mojej 26-letniej służby, byłem zawsze w położeniu takim, że za nieprzyjacielem w awangardzie, a przed nim w aryergardzie lub poczie traconej chodziłem.

Ruszyliśmy z miejsca do dnia, szliśmy zatem przez pewien czas w ciemności. Gdy uszedłem parę wiorst zatrzymałem się, i dopiero po przejrzeniu wiosek i przyległych ogrodów przez moich tyralierów, jak się to zwykle robić należało, aby nie wpaść w zasadzkę, postępowalem dalej.

W tem słyszę głos z tyłu: „Stój, stój!”. Był to głos owych adjutantów jenerała Krasieńskiego, jadących jakąś furmanką z tyłu. Sądziłem, że to jakieś nowe polecenie od jenerała, zatrzymawszy więc mój oddział, posyłam dowiedzieć się o przyczynie wołania. Gdy nie odbieram żadnego nowego polecenia, posuwam się naprzód, gdy znowu daje się słyszeć: „Stój!” Zniecierpliwiony tem, udaję się w tył, chcąc się przekonać o istotnej przyczynie. Przokonywam się, że owi adjutanci dowiedziawszy się w pierwszej wsi że to już jest granica czeska, a zatem kraj nieprzyjacielski, postanowili sami od siebie zatrzymać całe wojsko aż do dnia. Obraziło mnie to. Mnie była komenda przedniej straży oddana, zachowywałem wszelką ostrożność w postępowaniu naprzód, nie potrzebowałem więc instruktorów, a zwłaszcza takich, którzy prawie przy sztabach się wylęgli. Powiedziałem stanowczo: „Albo Panowie nie wtrącajcie się do niczego, spokojnie postępując pod moją osłoną, albo, kiedy się boicie, zostańcie przy sztabie, ja biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność co do bezpieczeństwa

— 320 —

korpusu. Każąc oddziałom ruszyć dalej, pozbyłem się niepotrzebnych stróżów.

Około godziny 10-tej z rana stanąłem w Rumburgu. a za mną nadszedł wkrótce i korpus cały ¹⁾). Następnie, gdy już wszystkie zajęto pozycje, wróciłem do swego pułku, stojąc przedtem jednak dni parę pod owem miastem. W tym czasie małą tylko utarczkę stoczyły przednie nasze straże.

Opowiem tu zdarzenie, jakie w tym czasie zaszło, a które doszło do mojej wiadomości z ust wiarygodnych, bo od hrabi Szydłowskiego, adjutanta naówczas przy jenerale brygady Kwaśniewskim ²⁾). Jenerał wspomniany był to oficer ze wszechmiar godny i waleczny, a do tego dobroduszny. Nie posiadał jednak wyższej edukacji i mówił tylko ojczystym językiem. Stał on teraz pod Rumburgiem w przedniej straży. Razu jednego przyprowadzono do niego z forpoczt jakiegoś człowieka, którego wzięto za szpiega. Po ścissem zrewidowaniu go, nie znaleziono przy nim nic więcej, jak tylną kartkę, na której było napisane: „Rumburg“. Jenerał wziął to za rodzaj szpiegostwa i rozkazał natychmiast lepiej go badać. Zniecierpliwiony długiem badaniem, oświadcza, że sam go najlepiej zbada. Zapytał go po niemiecku, którym to językiem nie tego władał: „Sind die Waren dar?“ Niemiec ów tłumacząc sobie owe wyrazy tak, jak były wymienione, tj. że jenerał pyta go o towary, odpowiada: „Was fur Waaren?“ Na niestosowną odpowiedź, podług zdania jenerała, tenże zawołał: „Szpieg! nawet po niemiecku nie umie. Rozstrzelać go!“ — Ktoś z obecnych reflektuje jenerała, mówiąc: „O cóż go się

¹⁾ W Rumburgu stanął 8-my korpus d. 2-go września,

²⁾ Kwaśniewski, był to znany awanturnik, którym się później posługiwał do swych intryg Krukowiecki. Kołaczkowski nazywa go „krzykaczem z czasów Madalińskiego”. Ponieważ pod względem umysłowym był z wielu względów podobnym do naszego pamiętnikarza, przeto pochlebne o nim zdanie Białkowskiego.

— 321 —

jenerał chce pytać?”. Na to jenerał, obruszony, z gniewem zapytał: „Co to Wpan rozumiesz, że ja po niemiecku nie umiem?”. Na to oficer zapytał, o jakie to towary jenerał Niemca pytał. „Ale cóż mi Wpan mówisz, przecie go wyraźnie się pytam, czy on tam był”. Gdy owego Niemca wybadano, pokazało się, że mu ktoś na kartce napisał nazwę miasta, aby jej nie zapomniał. Uznavszy go tedy niewinnym, wypuszczono na wolność. O jenerale Kwaśniewskim opowiadano sobie wówczas różne anegdoty. Pewnego razu spotkał on się z Muratem, królem neapolitańskim. Gdy go tenże, jako dowódzca jazdy, zapytał o coś w języku francuskim, odpowiedział Kwaśniewski: „Latine” — udając, jakoby po łacinie mówił. Gdy Murat przemówił po łacinie, ten, znowu nie rozumiejąc, odpowiada: „Deutsch”. Murat po niemiecku przemawia. Tu już nie pozostało nic biednemu jenerałowi, jak przyznać się: „Ja tylko mówię ojczystym językiem, Najjaśniejszy Panie”. Dopiero ktoś z obecnych posłużył za tłumacza.

Innym razem odbiera jenerał Kwaśniewski ekspedycję, w której po francusku napisany był rozkaz dzienny: „L’Ordre du jour”. Przeczytawszy z góry l’Ordre, jenerał nie chciał dać poznać swoim podkomendnym, że tego nie rozumie. Sądząc z owego l’Ordre, że to przysłany dla niego order jakiś, schował papier do kieszeni. Gdy nic dalej nie mówił, spytał go jeden z adjutantów, coby to była za ekspedycja. „Oto widzisz Wpan — odpowiedział Kwaśniewski — jakiś nowy order mi przysłano, ale o tem potem”. Gdy nadszedł wieczór i jenerał się rozebrał, adjutanci, ciekawi tego orderu, podszeptali służącemu, aby ekspedycję, będącą w kieszeni jeneralskiej, wyciągnął i pokazał im. Jakże się zdziwili, gdy odczytali zawartość rozkazu. Zamiast orderu był rozkaz, aby brygada niezwłocznie udała się na przeznaczoną sobie pozycję, odległą od miejsca zajmowanego o dwie mile.

Ponieważ trzeba było być już dawno na pozycyi, a czas upływał, pobiegli tedy adjutanci jak najspieszniej

— 322 —

i polecili brygadzie na koń siadać. Obudziwszy następnie jenerała, oznajmili mu, że owa ekspedycja polecała śpieszny wymarsz. Jenerał się rozgniewał, mówiąc: „Co mi to Wpanowie mówicie, czy ja czytać nie umiem wyraźnie? Jak byk stało napisane wyraźnie, że to order dla mnie.” Ale wreszcie, wskutek owego orderu, pospieszono na przeznaczone miejsce i szczęściem nie zaszło nic szkodliwego. Mówiono także o owym jenerale, że kiedy później opowiadał o swych wypadkach życiowych, tem zawsze kończył:

„Żebyście wiedzieli, gdzie ja byłem, oto byłem i na końcu świata”. Gdy go wtedy ktoś zagadnął: „Proszę jenerała, jak też to jest na końcu świata?” odrzekł Kwaśniewski pokazując na brzeg stołu: „Oto jakbyś Wpan ten brzeg widział, jak przyjdiesz tam, ta jakby uciał, już dalej nie ma nic.”

Z pod Rumburga udaliśmy się ku Pradze czeskiej. W przeciągu tego marszu zachodziły małe utarczki. Nareszcie doszliśmy do miasta Lobau, pod którym staliśmy kilka dni ¹⁾. Tu złączył się z nami oddział partyzancki — będący pod rozkazami jenerała Umińskiego. Następnie zbliżył się do nas nieprzyjaciół, mający swe siły już połączone z trzech narodów. Lubo staliśmy pod owym miasteczkiem w dobrej pozycji, mając lewe skrzydło oparte o jakiś zamek, przecież przemagająca siła nieprzyjacielska po uporczywym naszym uporze zdołała naszych wyprzeć. Wkońcu, zajmawszy nową pozycję pod miastem, przyjęliśmy bitwę stanowczą, która trwała sześć godzin. Nieprzyjaciół pod koniec zagrażał nam z lewego skrzydła, obchodząc nas. Przeto Poniatowski, odmieniając front, cofnął lewe skrzydło w tył, zostawiwszy całą jazdę ukrytą wraz z korpusem partyzanckim. Gdy nieprzyjaciół usiłował zająć

¹⁾ Z pod Rumburga cofnął się korpus ks. Józefa aż do Schluckenau o 3 dni marszu od Drezna. Dopiero później posunięto się znowu na trakt do Zittau, dla osłonięcia prawego skrzydła wielkiej armii.

— 323 —

opuszczoną przez nas pozycję, wspomniana nasza jazda uderzyła całą masą na jego lewe skrzydło i znaczną mu klęskę zadała.

Nieprzyjaciół cofnął się odrazu, a wtedy rozpoczęła się straszna kanonada. Postanowiono u nas cofnąć się pod las za nami będący i opuścić Lobau. Gdyśmy już opuszczali to miasto, nie wiem z jakiej przyczyny postanowiono, aby go jeszcze utrzymać ¹⁾.

Wskutek tego rozkazano, aby oddział z pułku naszego posłać znowu do miasta. Odebrawszy polecenie, mój mściciel, dowódca batalionu, bez namysłu wysłał mnie z dwiema kompaniami, polecając wyprzeć z miasta nieprzyjaciół i dopóty nie opuszczać stanowiska, aż odwołujący rozkaz odbiorę. Ponieważ widziałem, że rzecz nagła, ruszyłem odrazu w przeznaczone miejsce. Zastawszy tam kozaków i jęgrów, dostałem się do jakiegoś wysoko położonego ogrodu, jak gdyby urządzonego na winnicę, a przytem opatrzonego murem. W takim położeniu mogłem razić nieprzyjaciół strzałami, sam będąc zasłoniętym, tak, że nieprzyjaciół wkrótce miasto opuścić musiał. Niedługo potem przybył do mnie przykomenderowany do naszej dywizji stary sztaboficer Kirkor, przywożący mi polecenie, abym utrzymywał się w mieście, aż nadejdzie oddział

¹⁾ Bitwa pod Loebau miała miejsce dnia 9. września. Co do opisu Białkowskiego — jest on bardzo niedokładnym i, jak wszystkie jego opisy, nie da się zestawzić z innymi, które traktują bitwę z punktu widzenia sztabowego, jako całość. Walczono tutaj z korpusem rosyjskim Langerona, który po uporczywej walce wyparł naszych z Ebersdorf i Loebau. Gdy jednak korpus księcia Józefa rozwinął się poza miastem, nieprzyjaciół bitwy nie przyjął. Ograniczono się na kanonadzie. Przybycie oddziału jen. Lauristona skłoniło nieprzyjaciół do zupełnego przerwania bitwy.

O powtórkiem zajmowaniu Loebau nie było mowy. Nie zarzucamy tu autorowi wymysłu, gdy mówi o swem działaniu przy powtórkiem zajmowaniu miasta, ale, zdaje się, miało ono miejsce przy opuszczeniu miasta.

— 324 —

korpusu partyzanckiego, dopiero z tym połączywszy się, mamy się razem cofnąć. Po upływie pół godziny ani widać partyzantów, gdyż oni poza górę, zamiast przez miasto, się cofnęli.

Widząc nieprzyjaciół, że już bez żadnego wsparcia w owych murach zostawałem, podprowadził działa z przeciwnej strony góry, którą zajmowałem i począł mnie razić morderczym ogniem działowym. Będąc odsłoniętym na strzały armatnie, utraciłem już kilkunastu ludzi, trzymałem się jednakowoż w nadziei przybycia partyzantów, którzy wtedy już w korpusie odpoczywali. Tymczasem dragoni nieprzyjacielscy zaszli mi tył parowem, gotując się mnie rozbić, skoro się z owych murów na pole wysunę. Poniatowski, widząc to, posyła kilkakrotnie do mnie, abym opuścił miasto, ale, gdy który adjutant do mnie przyjedzie i zobaczy dragonów w parowie, nie mogąc się do mnie przedostać, wraca z niczem. Nareszcie ów stary Kirkor bierze się na taki sposób, że, dojechawszy nad parów, uwiązał chustkę na pałaszu i w ten sposób dawał mi znak do odwrotu. Przekonałem się tedy, że mi trzeba miasto opuścić. Widząc za sobą dragonów czekających na mnie, a z boku artylerję, gotową mnie razić przy wyjściu na pole, sformowałem mój oddział w czworobok, udałem się ku miastu i pod zasłoną przeciwnych domów uchodziłem od strzałów armatnich. W ten sposób zawiodłem oczekiwania nieprzyjaciół, ale częściowo tylko, gdyż dragoni doścignęli mnie w końcu i, korzystając z odległości naszego korpusu, uderzyli na mnie. Widząc ciężką jazdę, sądziłem z początku, że to kirasyerzy, przeto, przypuściwszy ich blisko, rozkazałem dać ognia rotami, nakazując strzelać do koni. W ten sposób odparłem pierwszą szarżę i znowu posunąłem się ku swoim. Dragoni uderzyli na mnie powtórnie, ale wtedy przybył mi w pomoc jakiś pułk naszej jazdy, który rozbił nieprzyjaciół i pędził go przed sobą.

Tymczasem zbliżyłem się do korpusu. Podjechał do

— 325 —

mnie sztab z Poniatowskim na czele, który poprzednio patrzył na całą moją walkę z dragonami. Teraz Poniatowski uderzając w dłonie, powtarzał: „Brawo, panie kapitanie!” Mój pułkownik powtórzył za nim to samo i wprowadził mnie jak gdyby w tryumfie do pułku. Widząc mego mściciela nie dobrze mój powrót przyjmującego, odezwałem się do pułkownika: „Czy to taka ulga dla mnie po ekspedycji z pod Krembach, takto mi została darowana czekająca mnie z kolei służba?”. Pułkownik, przepraszając, tłumaczył się, że nie był obecnym, kiedy mnie mój mściciel wypychał na straconą pocztę.

Gdy noc zapadła, ruszyliśmy dalej. Nadejdziem prawie przybyliśmy pod Weisskirch ¹⁾. Stanęliśmy w kolumnach ściśniętych, tworzących razem duży czworobok. Ponieważ pozycja była równa i otwarta, przeto spodziewaliśmy się powszechnie napadu jazdy nieprzyjacielskiej. Pułk nasz składał z pułkiem nadwiślańskim brygadę. Dowódcy batalionów legii nadwiślańskiej, Godlewski i Krasicki mieli konie jukami opatrzone, podług zwyczaju przyjętego przez nich w Hiszpanii. Gdyśmy udali się na spoczynek, każdy, gdzie stał, tam się położył. Juki pozejmowano z koni i konie poprzywiązywano do nich.

Byliśmy znuzeni bitwą dnia poprzedniego, a powtórnie marszem, gdyśmy się więc pokładli, zasnęliśmy mocno. Naraz widzimy konie pomiędzy nami biegnące i włóczące za sobą owe kufrы, do których były przywiązane. Wywracają one broń w kozłach ustawioną, która gęsto strzelać zaczęła. Nie dość na tem: za przykładem tych koni, konie od pułku rezerwowego, furgonów,

pontonów, a na koniec jazdy rozpierzchły się po polu. Gdy się to dzieje, każdy z nas pierwszym snem uspiony i teraz przebudzony tententem koni i strzałami, zrywał się z przeświadczeniem, że to nieprzyjacielska jazda — po bitwie pod Lobau w pogoń za nami poszła i teraz na nas napada. Gdy się zaczęło

¹⁾ Do Bautzen.

— 326 —

zrywać, jedni krzyczeli: „Jazda”, drudzy: „Strzelaj”, inni: „Pardon”. Tymczasem każdy, jaką broń chwycił, odwoził kurek i strzelał, sam nie wiedząc do kogo. Ponieważ staliśmy w czworoboku, a zatem jedne ściany strzelały do drugich i z tego powodu wielu ludzi było rannych i zabitych ¹⁾. Później w żaden sposób nie można było uspokoić żołnierzy. My oficerowie wołamy, że to omyłka, że wszystko spowodowały konie juczne naszych sztabsoficierów. Żołnierze na moment wychodzą z odurzenia, ale gdy przypadkiem gdzieś w pułku broń wystrzeli, pomimo napomnień, wpadają w nie znowu i strzelają, niewiedząc do kogo. Dopiero gdy dzień zaczynało, rozkazano uderzyć w bębny pobudkę i ten odgłos bębnowy wyrwał jak gdyby z letargu żołnierzy. Jeżeli mieliśmy wielu rannych, a nawet zabitych, pocieszałyśmy się tem, że mogło być daleko gorzej, gdyby artyleria, stojąca w drugiej linii, jak postanowiła początkowo, odprzodkowała działa i zaczęła sypać kartaczami do mniemanej jazdy. Ale przecież dzień nadchodzący przekonał każdego o zaszłej omyłce.

Przy rozpoczęciu nowej kampanii, z przyczyny świeżego zejścia się z sobą wojsk narodów koalicję składających, długo nie mogły się one ze sobą porozumieć i obeznać, z czego różne wypadki wynikały. Nasze Krakusy, jako nowo utworzone wojsko, często swoim ubiorem nawet naszych w omyłkę wprowadzali, a tem więcej nieprzyjaciela. Korzystali oni częstokroć z tego. Czasami nasuwali na amarantową czapkę kaptur, który połączony z opończą tworzył niby szpiczastą czapkę kozacką albo baszkirską, wojsku austriackiemu mniej znane. Przy tem jeszcze lance pospuszczali, więc każdy wzięby ich za kozaków. Pewnego razu oddział dragonów austriackich, tworzący eskortę dla jakiegoś generała, stanął na noc w jakimś

¹⁾ Popłoch miał miejsce w nocy z dnia 9-go na 10-go września w obozie pod Bautzen. Nie dotknął on całkowicie jazdy. Strata wynosiła 20 ludzi zabitych i rannych.

— 327 —

miasteczku w Czechach. Pomimo ostrożności, jaką zachowano, bo porozstawiano wedety i warty, oddział krakusów, dowiedziawszy się o tem, podsunął się i zaszedł stanowisko nieprzyjacielowi, używając kapturów do tego. Wedety i warty, biorąc ich za kozaków, przepuściły ich do miasta. Nakoniec krakusy otaczają austeryę i biorą wszystkich w niej znajdujących się w niewolę. Zabrano między innymi i generała austriackiego oraz generała francuskiego. — Ten ostatni, zobaczysz się w ręku Polaków, oświadcza największą z tego radość, mówiąc, jak szczęśliwym się czuje, że zostaje uwolnionym z niewoli austriackiej. Wreszcie rzucał się na szyję oficerowi polskiemu, tańcząc po karczmie z ukontentowania kontredansa. Oficer krakusów, nie mając powodu wątpić o autentyczności generała francuskiego, całą swą bacność zwrócił na generała austriackiego, jako jeńca wojennego. Skorzystał z tego mniemany wyswobodzony z niewoli Francuz i umknął. Ale jakież było zdziwienie oficera krakusów, gdy się dowiedział, że ów generał francuski, niby jeńiec, był owym zdradzieckim Jomini, o którym na początku tej kampanii wspomniano, a za którego głowę cesarz przeznaczył 20000 franków nagrody ¹⁾.

Inny oddział krakusów, płatając się prawie jako partyzancki z tyłu armii nieprzyjacielskiej, spotkał się ze znacznym oddziałem jazdy austriackiej i oszukawszy ją udaniem kozaków, rozbił ją i zabrał jej sztandar, który oddano potem do sztabu księcia Poniatowskiego ²⁾. Książę mając po bitwie pod Lobau otwartą komunikację z Dreznem,

¹⁾ Fakt wątpliwy. Nasi pamiętnikarze notują skwapliwie każdy czyn krakusów, a fakt porwania generała Jomini stałby się bardzo głośnym.

²⁾ Mowa tu o zdobyciu przez sierżanta krakusów, Godlewskiego, sztandaru kozaków pułku Grekowa. — Godlewski otrzymał krzyż legii honorowej i „Virtuti militari”.

O fakcie pochwycenia wiozącego ten sztandar Kamienieckiego wspomina Niemcewicz.

— 328 —

postanowił królowi saskiemu ów sztandar z raportem o bitwie przesłać. Wysłał z tem swego adjutanta Kamienieckiego.

Gdy Kamieniecki jechał ku Dreznu, napadnięty został przez patrol dragonów saskich, którym, nie obawiając się ich, dał się do siebie zbliżyć. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy go rozbrojono, jako jeńca. Lubo to byli Sasi we właściwych mundurach, ale z korpusu generała Tilmana, o którym niżej obszerniej opowiem. Ten oddział, maskując się mundurami saskimi, patrolował z tyłu naszej linii i wielkie czynili psoty, chwytając transporta, kurierów i t. p. Kamieniecki, widząc się wziętym w niewolę, gdy go prowadzono do głównej kwatery nieprzyjacielskiej, po drodze upatrzył sposobność i obdarł z drzewca ów sztandar i ukrył go w swym kaszkiecie, a drzewce porzucił.

Gdy został przyprowadzonym do głównej kwatery, został znowu zrewidowanym, ale w kaszkiecie nie patrzono. Skorzystał następnie Kamieniecki z pozwolenia, któremu udzielono, aby napisał do księcia Poniatowskiego o przysłanie mu rzeczy jego i dodał w tym liście, że prosi, aby który z jego kolegów (adjutantów) odwiózł mu te rzeczy. Posłano z owemi rzeczami adjutanta księcia Kickiego. Gdy ten przybył jako parlamentarzysta do sztabu nieprzyjacielskiego dla doręczenia rzeczy, był strzeżonym w czasie swej bytności przez oficera na ten cel wyznaczonego. Kamieniecki nie mógł sztandaru Kickiemu oddać, zaproponował więc tak Kickiemu, jak i dodanemu oficerowi, aby się trochę przejść. Wychodząc, niby przez omyłkę, wziął kaszkiet Kickiego, zostawiając swój temuż, a to dlatego, aby ów sztandarze sobą zabrał. Gdy Kicki, wzięwszy kaszkiet na głowę, spostrzegł się, że nie jego i chciał pomyłkę naprawić, Kamieniecki dał mu nieznacznie znak, aby kaszkiet zatrzymał. Następnie odprowadzono Kickiego do forpoczt. Gdy widział się już bezpiecznym, zapragnął dowiedzieć się, dla jakiej przyczyny Kamieniecki kaszkiet zamienił,

— 329 —

i zdjawszy kaszkiet z głowy, zajrzał do niego. Jakże się ucieszył, gdy zobaczył tam odzyskany sztandar.

W podobny, jak Kamieniecki, sposób wziętym został do niewoli adjutant generała Sierawskiego, Liniński. Będąc posłany z depeszami, został także z tyłu naszej linii z wielu innymi wzięty przez Sasów.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o wiarołomności generała saskiego, Thielmana ¹⁾). Gdy wojska nieprzyjacielskie zajęły Drezno, przybył do tegoż miasta N. cesarz Aleksander. Generał Thielman, zwróciwszy się do tegoż, takie zrobił oświadczenie: „N. Panie, gdy się przekonałem, o niegodnym postępowaniu Napoleona, pogardzam wszystkimi jego łaskami i dobrodziejstwami”. Aby dać dowód tego, oberwał dekoracje francuskie ze swych piersi i, rzuciwszy je na ziemię, nogami podeptał. Dodał, że odtąd ofiaruje swe usługi koalicji. Thielman nie tylko sam przeszedł na stronę nieprzyjaciela, ale przeciągnął korpus pod swoimi rozkazami będący. Z tego powodu rozliczne trafiały się wypadki. Król saski, jak wiadomo, odsądził Thielmana od wszystkich rang, stopnia szlacheckiego, dekoracji i t. p. Napoleon ogłosił w rozkazie dziennym, że nie tylko nagrodę za głowę jego przeznacza, ale tak wyższym, jak i niższym stopniom z jego korpusu zakazał dawać pardonu. W tym rozkazie załączonem było wyjaśnienie, że, lubo ten korpus nosi mundury saskie, niema na hełmach i sztandarach godła swego monarchy.

Adjutant Lewiński, wzięty w niewolę, został oddany kozakom dla odprowadzenia go do głównej kwatery. Dochodząc do głównej kwatery, spotkali kolumny jazdy nieprzyjacielskiej stojące przy trakcie. Na ich czele stała

¹⁾ Generał Thielman, partyzant myśli przeciągnięcia Saksonii na stronę koalicji, po upadku tych widowisk z powrotem króla do Drezna, przeszedł na stronę sprzymierzonych, ale sam, bez wojska. Dał on się później we znaki naszym, zabierając bagaże oficerów korpusu księcia Józefa.

— 330 —

brygada huzarów, którą dowodził generał Wassilczyków. Ten, widząc, że kozacy prowadzą jakiegoś oficera, sądził z munduru, że to oficer francuski. Zapytawszy kozaków, czy to „nehrist” (jak zwykle Francuzów zwano), otrzymał odpowiedź, że Polak. Zatrzymawszy kozaków, generał chciał dać Lewińskiemu nauczkę. Zbliżył się na koniu do niego i mówi: „Wy Polaki bijecie się za honor, za ojczyznę — i mówiąc to, zdjął z pałasza wiszący bat kozacki i, podniósłszy go nad głowę Lewińskiego, trząsł nim, jak gdyby go chciał bić, dodając: „ot wam wasz honor! ot wam wasza ojczyzna!” Przecie się owa nauka jakoś na sucho skończyła.

Wróćmy do obozu pod Weisskirch. W czasie owego wypadku nocnego jeden z kanonierów polskich, widząc owo zamieszanie nocne, nie czekał końca, lecz wymknął się z obozu i spiesznie udał się traktem do Drezna. Przybywszy tam, doniósł, że był naocznym świadkiem, jak korpus został napadniętym w nocy przez jazdę nieprzyjacielską i zupełnie zniesionym, że on jeden tylko zdołał ująć tego nieszczęścia. Wskutek tego przysłano od nas natychmiast kuryera do głównej kwatery z wyjaśnieniem całego wypadku, a kanonier został rozstrzelany, stosownie do artykułów wojskowych, jako taki, który zrobił trwogę fałszywą wobec nieprzyjaciela ¹⁾).

Następnie nasz korpus udał się do Stolpen ²⁾). Miasteczko to ma dosyć porządną lubo małą cytadelę. W bliskości tej, rozłożywszy się obozem, staliśmy dni kilka. W owym czasie zdarzył się następujący wypadek. Nieprzyjaciel po naszym cofnięciu się z Weisskirchen, ciągle postępował za nami. Gdy się jego przednie straż do nas zbliżyły, mieli nasi częste utarczki z flankierami nieprzyjacielskimi. Pewnego razu oficer od huzarów rosyjskich

¹⁾ Wypadki tego rodzaju popłochu miały miejsce w Hiszpanii. Szerzycieli fałszywych wiadomości i tu karano śmiercią.

²⁾ W Stolpen stanął korpus polski d. 12/IX.

— 331 —

został przez naszego oficera od ułanów ranionym i wziętym w niewolę. Okazało się, że jeniec mówi po polsku. Odezwał się więc nasz ułan do niego: „Kolega mówi po polsku?” Na to huzar: „Jestem z zabranego kraju, z Wołynia”. Ułan znowu: „Z jakich okolic, bo i ja z Wołynia”. Gdy huzar wymienił miejsce i nazwisko, ułan rzucił mu się na szyję, poznając w nim swego rodzonego brata młodszego. Starszy wszedł do wojska polskiego, gdy brat był jeszcze małoletnim. Doszedłszy lat pełnych, młodszy wszedł do huzarów rosyjskich, i teraz dopiero wypadek zbliżył ich do siebie. Stwierdziła się przepowiednia, że brat przeciwko bratu powstanie. Ale w jakimże zakątku świata, albo w jakim wojsku Polacy nie walczą, gdzież się też polska krew nie leje! Można powiedzieć otwarcie, że prawie każdy monarcha Polakami się zastawia. Książę Poniatowski, dowiedziawszy się o zasługach wypadku między dwoma rodzonymi braćmi, kazał ich sobie przedstawić. Po wypytaniu się szczegółów młodszego, kazał go opatrzyć i wziął go pod swoją opiekę.

W czasie pobytu naszego w Stolpen przysłano nam rozkaz cesarski, objawiający wolę tegoż, że lubo w skład gwardyi cesarskiej starej wchodzi już pułk szwoleżerów czyli lekkokonnych, będących pod dowództwem generała Wincentego hrabi Krasieńskiego, jednakowoż, chcąc dać dowód wojsku polskiemu nowego szacunku i łaski, postanowił cesarz utworzyć pułk gwardyi starej pieszej polskiej ¹⁾). Do rozkazu dołączoną była instrukcja, która najściślej i najskrupulatniej zachowaną być miała. Artykuły jej, o ile sobie przypominam, były następujące: Każdy kandydat, tak z wyższych, jak z niższych stopni parę liczyć miał dziesięć lat służby nieskazitelnej i do tego także parę odbytych kampanii, zasługi wojskowe przedewszystkiem miały mieć

¹⁾ Batalion gwardyi stworzono, zdaje się w Stolpen. Widział go już zorganizowanym w d. 26/XI. Niemcewicz w czasie przemarszu korpusu księcia Józefa przez Drezno.

— 332 —

pierwszeństwo i t. p. Wybór ten miał być z samej piechoty. Prerogatywy tego korpusu nowo utworzonego były te same, jakie były dla gwardyi starej francuskiej postanowione. Każdy żołnierz miał pobierać 4 złp. dziennie i t. d. tak, że kapitan gwardyi pobierał żołd, wyrównujący żołdowi pułkownika w linii.

Gdy ów rozkaz doszedł do wojska naszego, wówczas dopiero odkryło się pole do intryg, a zwłaszcza w sztabie Poniatowskiego, który najbardziej był do nich skłonny. Rzucili się hurmem panicze adjutanci (pieczeniarze), familianci, i ci wszyscy, którzy mieli jakikolwiek wpływ w sztabie. Lubo my przedewszystkiem mieliśmy prawo do tego wyboru ze względu na lata służby i rany odniesione, ale, jak to stare przysłowie głosi: „Wielu było wezwanych, ale mało wybranych”. Wybór zaczęto od dowódcy nowego

korpusu. Po stoczeniu boju zasługi z intrygą padł takowy na podpułkownika Kurcyusza. Lubo ten oficer w kampaniach poprzednich dał dowód męstwa i waleczności, jak o tem wspominałem przy opisie zdobycia Sandomierza w 1809 r., ale postępek jego późniejszy, o którym niżej, nie usprawiedliwiał tego wyboru. Adjutantem przy Kurcyuszu mianowano kapitana Łaskiego, będącego adjutantem polowym przy generale Izidorze Krasieńskim. Następnie przystąpiono do wyboru kapitana. Badano ściśle rodowody każdego z nas. Pamiętam, ubiegało się także o ten zaszczyt dwóch kapitanów z pułku 2-go legii nadwiślańskiej. Jednym z nich był jakiś paniczyk, który nie umiał, czy nie chciał mówić po polsku, a drugim kapitan Smett. Gdy każdy z nich

przed Poniatowskim swoje wyliczał zasługi, książę był w kłopotcie, widząc szalę przechylającą się na stronę Smetta. Powiedział zatem: „Obaj macie niezaprzeczone i równe zasługi, proponuję przeto, aby ciągnąć losy”. „Jako? — z oburzeniem zawołał Smett — czy do tego już przychodzi, aby zasługa była stawiana na jednej szali z intrygą? Ja mam dowody autentyczne, mój przeciwnik tylko ustne”. Gdy między obecnymi

— 333 —

rozszedł się szmer, bo widoczną była słuszność Smetta, Poniatowski zmięszał się, bo chciał panicza utrzymać. — Odwraca się do obecnych, chcąc niby zasięgać rady i wtedy rozstrzygnął na korzyść Smetta. Z pułku naszego miano umieścić kapitana Chmielewskiego, ale pomimo jego zasług i odniesionej rany pod Smoleńskiem, z której jeszcze nie był dobrze wyleczonym, tak zręcznie jednak przeprowadzono intrygę, że się utrzymał porucznik Gawroński, synowiec biskupa krakowskiego. Co najdziwniejsza, że porucznik Kobyliński, który w bitwie pod Smoleńskiem opuścił haniebnie swe miejsce, nietylko, jak wyżej wspomniałem, otrzymał krzyż francuski, ale teraz został wybrany do gwardyi.

Ja tylko tyle z tego skorzystałem, że odebrałem po Chmielewskim kompanię grenadyerów, która mi się już dawno należała. Tak owa wybrana gwardya udała się natychmiast do Drezn w celu umundurowania się na nowo. Niebawem pewnej nocy odbieramy nagły rozkaz, aby najspieszniej udać się pod Bautzen — z dodatkiem, że cesarz nas oczekuje.

Lubo kilka mil drogi było, doszliśmy na miejsce przeznaczone marszem forsownym, na godzinę drugą z południa. Zastaliśmy już korpusy zebrane, a najwięcej jazdy francuskiej. Za przybyciem naszym cesarz dziwił się, że Poniatowski niepotrzebnie cały korpus sprowadzał, bo było wyraźnie polecone, aby tylko jeden pułk krakusów przybył, który w początkach kampanii tyle się wślawił. Cesarz po oświadczeniu swego nieukontentowania z niezrozumienia jego rozkazu, korpusowi naszemu kazał się na wzgórkę ustawić i spoczywać, jako niepotrzebnemu. Korpusom zaś jazdy francuskiej kazał się uszykować w trzy ściany równoboczne, pomiędzy które rozkazał wprowadzić pułk krakusów. Zapytał się, jak daleko pułk ten postąpił w obrotach wojskowych, jako nowo sformowany. Gdy się dowiedział, że pułk ten w tak krótkim czasie jest wydoskonalonym w obrotach, wykonywanych bez trąbki, ale na znaki

— 334 —

buńczuków, ciekawy będąc tego nowego sposobu dawania sygnałów, polecił dowódcy pułku, aby rozpoczął zwyczajne obroty. Później dał znak przy sobie będącemu buńczuczemu, od którego buńczuczni kompaniczni i szwadronowi sygnały odbierali. Nasamprzód rozsypali się szwadronami i znowu do frontu zbierali, rozwijali i zwiiali kolumny, odmiany frontu, marsz frontowy naprzód, a to wszystko w galopie; w końcu ruszyli co koń wyskoczy do ataku. Na dokończenie wspomnianej sceny wysuwały się szwadrony i rozspychały się na pojedyncze grupy, odbywając różne wolty, jakoto w biegu czapki z ziemi podnosili, niekiedy piasek, kamienie i t. p. w pełnym biegu chwytały¹⁾.

Cesarz nie posiadał się z radości, zwłaszcza z nowo wynalezionych obrotów. Powiedział, że chyba to są żarty, iżby to mieli być nowo zaciężni. „Chyba wybraliście żołnierzy ze starych pułków”. Gdy go przekonano, że to była sama prawie młodzież, podziękował dowódcy pułku, którym był Rzechowski, waleczny oficer, i pułkowi, dla którego przeznaczono 15-cie krzyżów za poprzednie Odznaczenie się. Potem przywołał przed front tego pułku

¹⁾ Przegląd jazdy Umińskiego miał miejsce d. 26/XI (*błędna data, powinno być. 26/IX*) w Harta. Korpus 8-my nie został powołanym dla obejrzenia krakusów, ale w celu złączenia go z korpusami 2-gim, 3-cim i 11-tym.

O scenie z Krakusami inaczej opowiada Kołaczkowski.

„Na widok Krakusów na małych konikach (cesarz) nie posiadał się od śmiechu... Po zlustrowaniu koni i ludzi, rozkazał konia jednego rozsiodłać, a widząc lichą szkapę pod wołokiem, jeszcze się bardziej śmiać począł i obróciwszy się do Caulaincourt'a, zawołał:

„Oto ludzie, co na takich koniach biją kozaków i zabierają im sztandary; to przecież dzielna jazda i dzielny naród ci Polacy. Do Umińskiego zaś powiedział: „Jenerale, muszę mieć takich 3000 ludzi. (Z tej racji w r. 1814 wszystkich nieomal piechurów polskich zamieniono na lekką jazdę).

Z powodu przeglądu cesarskiego notujemy tutaj słowa cesarza do księcia Józefa, podane przez Niemcewicza: „Vos Polonais me sourient toujour”.

— 335 —

wszystkich dowódców zebranej jazdy i oświadczył im: „Przypatrzcie się tym prawie dzieciom polskim, którzy w tak krótkim czasie się wydoskonalili, jakeście to tu widzieli, do tego okryli chwałą, zdobywszy na dragonach austriackich sztandar, wzięwszy do niewoli wiarołomnego Jominiego i do tego znaczną liczbę kozaków”. W końcu spytał: „Który z dowódców jazdy francuskiej może się pochłubić tem, że tak w tamtej, jak i w tej kampanii choć jednego kozaka mi żywcem przyprowadził?” Lubo dowódcy owi pochwalałi zręczność obrotów, przecież wyrzuty i porównania, jakie im cesarz robił, pewnie im nie były miłe¹⁾.

Po tej scenie rozłożył się obóz na owem wzgórzu, na noc. Gdy dzień się zrobił, jakie było nasze zdziwienie, gdy nie zobaczyliśmy i jednego żołnierza z owych wczoraj zebranych korpusów. Około północy bowiem przyszła wiadomość, że 100.000 piechoty austriackiej pod Drezn przystąpiło, wskutek czego wyruszył tam cesarz z gwardyą pieszą i jazdą zebraną i tej samej nocy zrobiwszy ośm mil, z rana w Dreźnie się zjawił²⁾. Skoro stanął wśród ognia, wrzawy i szturm okropnego, gdy mu zaraportowano, że bateria usypana w ogrodzie królewskim została zdobytą przez nieprzyjaciela, obrócił się do jednego

¹⁾ Uwaga o jeździe francuskiej stanowczo przesadzona. Była to jednak już inna jazda od tej, którą ongi prowadził Murat pod Jena. Kołaczkowski mówi o niej: „Ubiór, uzbrojenie, a nawet konie, choć cięższe od naszych, niewiele zostawiały do życzenia; lecz na tych koniach, pod tą zbroją, nie żołnierze, lecz dzieci siedziały z równą obawą patrząc na swoje konie, jak na nieprzyjaciela”. Stąd bardzo ważne znaczenie jazdy polskiej, Krakusów w szczególności dla armii francuskiej.

2) Autor jest tutaj w zupełnym rozbracie z porządkiem opisywanych faktów. Opowiedziawszy o bitwie pod Loebau (9/XI) (*powinno być: 9/IX*), o przeglądzie pod Harta (25/XI) (*błąd, patrz powyżej*) — z kolei opisuje bitwę pod Dreznem (26 27/VIII). Pochodzi to z pomieszania dwukrotnego widzenia cesarza. Pierwszy raz widział go autor 20/VIII w Zittau i wówczas to cesarz, dowiedziawszy się o niespodziewanym wtargnięciu armii

— 336 —

dowódcy swej pieszej gwardyi: „Polecam Panu, abyś okazując wobec nieprzyjaciela najzimniejszą krew, baterię straconą odzyskał”. Po odebraniu owego rozkazu dowódca przybył przed front swego pułku i powtórzył żołnierzom rozkaz cesarski. Kazano żołnierzom zrzucić proch z panewek i bagnetem bez strzału owe baterie zdobyć. Dowódca następnego pułku, który

odebrał polecenie wyprzeć nieprzyjaciela z innej baterii, naśladując pierwszego dowódcę, nie tylko proch strząsać kazał ale skałki z broni wykręcać i schować. Tak tedy pułki te poszły na przeznaczone miejsca, wzięwszy w ramię broń i bez strzału opanowały baterie. Okrzyk: „Niech żyje cesarz!” zwiastował wzięcie owych baterii ¹⁾.

Dominującą w Dreźnie pozycją było t. zw. Grossgarten, to jest miejsce wyniesione, na którym był ogród publiczny, w którym wycięto drzewa i usypano baterię, obsadzoną 8-ma działami pozycyjnymi, która głównie broniła miasta. Ile razy pokusiła się artyleria nieprzyjacielska podstąpić bliżej, chcąc z faszyn naprędce baterie założyć, z Grossgartenu skierowywano wszystkie działa i palono w ten punkt, nie tylko demontując działa nieprzyjacielskie, ale burząc zupełnie baterie.

W początku dnia tego, to jest 6-go sierpnia, nieprzyjacielowi dość się powodziło, bo załoga Drezna nie liczyła więcej jak 10.000 ludzi, a austriackiej piechoty samej,

Blüchera w terytorium neutralne, nagle opuścił korpus polski, a w 9 dni potem miała miejsce bitwa pod Dreznem.

Napoleon, zdecydowawszy się ruszyć na Drezno, przybył tam w nocy z dnia 25-go na 26/VIII ze Stolpen, t. j. z odległości 7 mil francuskich.

¹⁾ Sprzymierzeni opanowali dwie reduty dnia 26/VIII, a więc już po przybyciu Napoleona. Młoda gwardia odebrała je wieczorem tegoż dnia, ale używając i karabinów, nie tylko bagnatów. Klasyczną walką na bagnety i działa miał być dopiero dzień następny. Prawdziwym natomiast jest entuzjazm, wywołany w wojsku niespodziewanym pojawieniem się cesarza o g. 9-tej z rana.

— 337 —

która szła do szturm, było przeszło 100.000 ¹⁾. Wskutek tego z początku, przy forsownym ataku, pozdobywano już prawie wszystkie zewnętrzne baterie. Jenerał Moreau był naówczas szefem sztabu armii koalicyjnej. Jenerał ten dawniej był konsulem Francji razem z Napoleonem i byli oni sobie ciągle nieprzyjawnymi ²⁾.

Gdy trzech monarchowie w miejscu bezpiecznym, to jest w parowie byli, Moreau, podjechawszy, raportuje im o wzięciu zewnętrznych baterii, dodając, że za 10 minut będą panami Drezna. Wtem kula armatnia, rekuszując, przeszła blisko Moreau. N. cesarz Aleksander, widząc to, rzekł: „Spuść się jenerale bliżej do nas, bo kula tak blisko Ciebie przeszła”. Na to Moreau odpowiedział: „Jenerał, a do tego Francuz, nie zwykł przed kulą umykać”. To wyrzekłszy, pozostał na miejscu. W kilka minut potem druga kula przychodzi i trafia go w nogę, którą mu dość wysoko urywa i konia pod nim zabija. Monarchowie, przerażeni tym wypadkiem, szybko owo miejsce opuścili ³⁾.

¹⁾ Dnia 26-go armia francuska w Dreźnie liczyła już do 120 tysięcy ludzi; sprzymierzeni mieli 200 tysięcy przed przybyciem Napoleona — marszałek Saint-Cyr miał w Dreźnie do 32 tysięcy ludzi.

²⁾ Jenerał Moreau również nie był szefem sztabu armii skoalizowanych, jak i konsulem razem z Napoleonem. Z jego radami, również jak i z Jomini’ego. liczył się bardzo cesarz Aleksander.

³⁾ Śmierć jen. Moreau odbyła się wśród mniej patetycznych, ale niemniej tragicznych warunków. On i cesarz Aleksander stali o godz. 3-ciej

w Rachnitz na wprost rogatki Dobna, gdzie właśnie Napoleon kazał zająć 12- działowej baterii artylerii gwardii, sam poprowadził ją na pozycję i wydawał rozkazy artylerzystom. Cesarz Aleksander, zauważywszy, że koń jego uderza wciat kopytem o kamień, zwrócił go na bok, a jego miejsce zajął jenerał Moreau. Ledwie to zaszło — kula z baterii, kierowanej przez Napoleona, powaliła na ziemię Moreau wraz z koniem. O śmierci Moreau dowiedziano się w Dreźnie wieczorem dnia 27-go, gdy żołnierze złapali psa, mającego na obroży napis: „J’appartiens au général Moreau!”

— 338 —

Jenerał opatrzone i amputowano mu nogę przez medyków najpierwszych, przy boku monarchy się znajdujących. Lubo miano koło niego największe staranie, przecie z powodu niebezpiecznej rany, jakoteż i wieku, w takim się Moreau znajdował stanie, że trudno go było przy życiu utrzymać. Wspomniani monarchowie prawie do jego śmierci nie odstępni przy nim byli. Gdy Moreau widział się być bliskim śmierci, w te się odezwał do monarchów słowa: „Starłem się wam służyć najgorliwiej dla zguby mego największego nieprzyjaciela, ale teraz, kiedy muszę was i ten świat opuścić, tę wam daję przestrożę: starajcie się mu szkodzić i zgubić go, ale we wszystkie bitwy z nim się nie wdawajcie, bo, chociaż z mniejszymi siłami, zawsze was pokona; jest on w tym względzie wyższym odemnie”. To powiedziawszy, wkrótce życie zakończył ¹⁾.

Napoleon, dowiedziawszy się o tem, był w humorze takim, w jakim go jeszcze nigdy otaczający nie widzieli. Ponieważ Moreau śmierć poniósł od kuli armatniej, przeto, chcąc tę broń wynagrodzić, cesarz 300 krzyżów dla samej artylerii przeznaczył ²⁾. Dnia tego żaden inny wypadek nie miał miejsca, bo tylko baterie zewnętrzne odebrano i nieprzyjaciel ze wszystkich punktów spędzonym został. Cofnęli się sprzymierzeni niedaleko, czekając na posiłek, jaki książę Szwarcenberg pod Drezno, w liczbie 150.000 prowadził.

Dnia 28. sierpnia z rana zaczął padać deszcz ulewny, z czego korzystając, Napoleon na wszystkie punkta sam

¹⁾ Proboszcz saski, który był obecnym przy śmierci jen. Moreau (w 2 tygodnie po bitwie) podaje, że umierający jenerał miał powiedzieć: „Comment, moi! moi Moreau, mourir au milieu des ennemis de la France, frappe par un boulet français!” Jest to naturalniejsze od tego, co podaje nasz pamiętnikarz. Rzecznikiem poglądów, wkładanych w usta Moreau, był w armii sprzymierzonych Bernadotte.

²⁾ Fakt nieprawdziwy. Taki rodzaj zemsty nie leżał w charakterze Napoleona.

— 339 —

wyprowadził swoją jazdę, ściągniętą pod Bautzen. Ponieważ nieprzyjaciel nie miał w tym punkcie jazdy, którą uważano jako niepotrzebną do szturm, przeto, gdzie tylko cesarz z jazdą natarł, zabierał kolumny bez strzału, gdyż z powodu ulewnego deszczu broń zamokła. Armaty tylko, i to do pewnego tylko czasu, były czynne. Ale i te zabierano, gdyż były bez asekuracji. Nie tylko to było dla nieprzyjaciela ogromną klęską, że broń palna była nieużyteczną, ale położenie od strony Pilnitz, górzyste i gliniaste, odejmowało możność cofania się. Głina bowiem tak rozmiękła od deszczu, że nawet z armatami ująć nie można było, a Napoleon, przeciąwszy jazdę, brał kolumny bez żadnego oporu. Sam obecny wciąż, dowodząc swej jeździe, tak był przemoczony, że kapelusz jego przemoknięty rogami sięgał jego ramion, a buty były pełne wody; cesarz co moment klepał ręką po swoich zmęczonych udach ¹⁾. Piechota austriacka została wzięta co do nogi z artylerią, muzyką, dobozami, sztandarami, tak, że defilowała przed cesarzem w zupełnym porządku; zabrano nawet sztaby ²⁾. Jeden z wyższych oficerów sztabu, wzięty z innymi w niewolę, nie znając Napoleona, pytał się obecnych, któryby był cesarz; sądził bowiem, że, jako taki monarcha, różni się ubiorem.

Gdy mu go wskazano, z wielkiem podziwieniem odrzekł: „Jakto, cesarz bez żadnych ozdób, na taką ulewę tylko w mundurze, bez płaszcza, od stóp do głów zabрыз-gany błotem i gliną? Jakże taki monarcha nie ma zwyciężać, będąc sam na czele wojska”. Ulewa ta trwała przez dzień 28-my i 29-ty.

Korzystając Napoleon z owej porażki, wyprawił natychmiast marszałka Vandamme w 60.000, aby przeciął

¹⁾ Szczegół ten notuje i Thiers „Il (Napoleon) avait les bords de son chapeau rabattus sur les épaules“.

²⁾ Przesada widoczna. Wzięto jednak do niewoli (wyłącznie nieomal Austriaków) 15-16 tysięcy piechoty, a na polu bitwy zostało 10-11 tysięcy zabitych. Straty francuskie wyniosły 8-9 tys.

— 340 —

odwrot nieprzyjacielowi. Ten umieścił się pod Kulm w pozycji dla siebie korzystnej, bo pomiędzy błotami, i przecinającej odwrot nieprzyjacielowi. Nadciągający posiłek Szwarcenberga w przemagającej sile, bo trzy razy silniejszy, zmusił Vandamme'a do złożenia broni ¹⁾. Wojna jest podobną do gry w szachy; jeżeli się coś bierze, trzeba przytem i coś stracić.

Z wziętych jeńców pod Dreznem wyłączono Polaków, będących w służbie austriackiej i oddano ich do wcielenia do naszego korpusu, tak że wypadło po 32 ludzi na jedną kompanię. Tych zaraz umundurowano w polskie mundury w Dreźnie, uzbrojono i gotowych przysłano do korpusu. W następnych bitwach dobrze się bili ²⁾.

Plan nieprzyjacielski, zrobiony jeszcze przez generała Moreau, był taki, aby z tyłu naszej armii poprzecinać jej odwrot w znaczniejszych pozycjach, jak to się niżej okaże ³⁾. Korpus 8-my, to jest Poniatowskiego, zostawiony był jako aryergarda armii przed Elbą i tak stał dni kilka. Napoleon znajdował się jeszcze wciąż w Dreźnie. Pewnego razu oglądał most na Elbie pod Dreznem, murowany na arkadach, który stosownie do powziętego przez cesarza planu, miał być przy opuszczeniu Drezna wysadzonym w powietrze ⁴⁾.

¹⁾ Jen. (nie marszałek) Vandamme miał w myśl planów Napoleona odciąć odwrot do Czech sprzymierzonym, zajmując stanowisko pod Pirną. Nie wyszukał pierwszych momentów, a następnie zapuściwszy się za daleko, niepoparty przez St-Cyra i Napoleona, przegrał bitwę, gdy dywizja Kleista zaszła mu tyły, a odparta przez nieprzyjaciela jazda francuska rozbiła szereg własnej piechoty i spowodowała ogólny popłoch. 10 tysięcy ludzi i cała artyleria korpusu (82 działa) dostały się w ręce sprzymierzonych.

²⁾ Podług Niemcewicza było ich do 3 tysięcy ludzi. Wbrew naszemu autorowi — Kołaczkowski twierdzi, że nie był to szczególnie nabytek dla korpusu polskiego: nowi żołnierze bili się źle i przechodzili przy pierwszej sposobności do nieprzyjaciela.

³⁾ Właśnie przeciw temu planowi wystąpili jednoznacznie Moreau i Jomini.

⁴⁾ Autor myli się. Most ten miał wysadzić przed opuszczeniem

— 341 —

Napoleon chciał sam to zdecydować i przeznaczyć arkadę do wysadzenia. Zszedł tarasu po schodach do tego przeznaczonych, pod most. W czasie gdy go oglądał, przybył pułkownik Michałowski, jako kurier z twierdzy Spandau, z doniesieniem, że twierdza kapitulowała, a załoga wyszła z bronią, amunicją i prawem wzięcia udziału w kampanii ¹⁾. Wspomniany Michałowski, gdy mu się nastroczała sposobność jechania, jako kurier, z raportem do cesarza, robił sobie z tego wielką nadzieję, sądząc, że będzie wynagrodzonym przez cesarza, jak się też to często zdarzało, że kuryera obdarzano stopniem albo dekoracją. Ale była ta różnica, że gdy kurier przyniósł wiadomość pomyślną, takowego Napoleon hojnie obdarzał. Ale przeciwnie, gdy np. pewnego razu w czasie kampanii hiszpańskiej doniesiono mu, że pułk szaserów jego faworytalny (którego mundur cesarz zawsze nosił) został wycięty przez dragonów hiszpańskich de la Reyna, kazał rozstrzelać kuryera, upatrzawszy coś do niego, niby za spóźnienie ²⁾. Gdy Michałowski wszedł na schodki, cesarz z pod mostu wychodził na górę. Wówczas źle się znalazł Michałowski, co może cesarza oburzyło, bo, widząc Napoleona, nie cofnął się i zatamował mu drogę. Gdy cesarz ekspedycję otworzył i znalazł w niej niepomysłne doniesienie, krzyknął: „Szaserów! rozstrzelać

Dreznę na samym początku kampanii r. 1813 jen. Reynier. Uniemożliwiło mu to pospólstwo drezdeńskie, które rzuciło się na oficerów francuskich. Davout, podobno niepotrzebnie, jak twierdzi nasz Niemcewicz, kazał potem wysadzić parę arkad.

¹⁾ Kapitulacja Spandau miała miejsce w końcu kwietnia 1813 roku. Napoleon przypisywał tej fortecy ważne znaczenie. Gdy go w dniu 2/V doszła wiadomość o kapitulacji (pierwszy szturm do twierdzy odparto, zabijając nieprzyjacielowi 1200 ludzi, (nieprzyjaciel jednak wysadził prochownię), pisał do Berthiera: „S'il est vrai que Spandau se soit rendu, aussitôt que le gouverneur sera dans les lignes francaises vous le ferez arrêter“.

Białkowski pomylił się co do chronologii faktu, samo jednak rozdrażnienie cesarza — jest przedstawione prawdziwie.

²⁾ Fakt nieprawdziwy.

— 342 —

tego kanału!” Zaraz odezwało się kilka głosów ze świąty cesarskiej, powtarzając: „Szasery, szasery!” ¹⁾. Strzelcy konni byli wówczas na eskorcie przy cesarzu. Ale na szczęście Michałowskiego szasery znajdowali się opodal przy koniach świąty cesarskiej. Gdy któryś

z adjutantów pobiegł po szaserów, Michałowski stał, czekając egzekucji. Jak się domyślano, cesarz był niezmiernie rozgniewany i pewnie w tym momencie byłby nakazał egzekucję. Spóźniono się więc naumyślnie z przyprowadzeniem szaserów, chcąc tym sposobem zyskać na czasie, aby cesarz z pasji ochłónął. Nareszcie cesarz się uspokoił, a ile razy cesarz się odwrócił, generałowie dawali znaki z tyłu Michałowskiemu, aby się oddalił, a tymczasem by cesarz może prędzej o tem zapomniał. Ale Michałowski tak już osłupiał, że owego kiwania generałów wcale nie uważał. Nareszcie cesarz obrócił się do świąty i zapytał: „Kto fortyfikował Spandau?” Jeden z obecnych generałów inżynierii odezwał się: „Ja fortyfikowałem”. „Dla jakich powodów może być zdobyta ta twierdza?” „Jeżeli wyschły bagna, które osłaniają twierdzę z jednej strony, w takim razie nieprzyjaciel, korzystając z tego, przybliżyć się może” — odpowiedział generał. Cesarz, zbliżywszy się ku Michałowskiemu, zapytuje: „Czy bagna wyschły?” Michałowski w języku francuskim odpowiada: „Tak, cesarzu Napoleonie”. Przedrzeźniwszy tegoż odpowiedź, cesarz skrzywił twarz, jak gdyby płaczącego udawał, a nakoniec krzyknął: „Precz z oczów gałganie!” chcąc przytem kopnąć nogą Michałowskiego. Tymczasem obecni, widząc, że go już cesarz od siebie odpędzał, zmusili Michałowskiego kiwaniami i gestami, że poskoczył na schodki i został wolny od niebezpieczeństwa.

Napoleon — jak twierdzą ci, co go otaczali — był despotą. Można to było uważać z tego postępowania. Ile

¹⁾ Całe opowiadanie co najmniej mocno wątpliwe, mimo prawdziwości faktu rozdrażnienia cesarza.

razy sam widziałem, że czy to w marszu, czy w obozie, nie wymagał od żołnierzy żadnego uszanowania¹⁾. Przeciwnie od marszałków i wyższych stopni wymagał tego, nieraz przytem miały miejsce smutne zdarzenia. Słyszałem od brata mego, który służył w gwardii szwoleżerów przez cały czas jej istnienia, następujące opowiadanie.

Pewnego razu stał on na szyldwachu wraz z drugim kolegą przy powojach gabinetu cesarskiego. U cesarza był jeden z marszałków, i widać zaszło między nimi jakieś nieporozumienie, bo cesarz marszałka z gabinetu wypchał, i nie tylko, że go w kark uderzył, ale go jeszcze i nogą kopnął po tej scenie. Marszałek spokojnie obrócił się do szyldwachów i powiedział: „Panowie, niech to przy was w sekrecie zostanie, coście tu widzieli; trudno, trzeba uleść humorowi cesarskiemu”.

Pamiętam, po okropnej mojej przeprawie przez rzekę Elster, w czasie opuszczania Lipska, z powodu zmęczenia zmuszony byłem pozostać w tyle. Ponieważ gwardya piesza francuska stanowiła wówczas aryergardę, złączywszy się przeto z nią, szedłem dalej. Byłem wtedy naocznym świadkiem, gdy cesarz przybył do obozującej gwardyi i, zbliżywszy się do ognia, mówi: „Zrobić miejsce!” Odpowiada któryś: „A przynieś drzewa”. Później, niby spostrzegając że to cesarz, wyrazem „pardon” pierwszy zwrot łagodzi. Następnie cesarz wciska się między nich i, albo stoi przy ognisku, albo też podadza mu tornister, na którym siada, otoczony żołnierstwem, które paliło fajki, furażerki mając na głowie. Żołnierze rozmawiają ze sobą, jak gdyby wcale nie było cesarza. Tymczasem generałowie, starcy osiwiali, stoją opodal mając głowy odkryte i kapelusze w rękę trzymają. Nieraz widziałem jakiego

¹⁾ Swoboda stosunku Napoleona do żołnierzy nie wykluczała najgłębszego z ich strony szacunku dla cesarza. Autor nasz sądzi tutaj ten stosunek z punktu widzenia późniejszej subordynacyi Konstantynowskiej.

marszałka osiwiałego, gdy, rozmawiając z cesarzem, nie tylko swoim koniem nie zrówna się z cesarskim, zostając zawsze z tyłu, ale nadto kapelusz, zdjęty z głowy, trzyma za sobą z tyłu¹⁾.

W czasie odbywanych przez cesarza lustracyi często się zdarzało, że żołnierze mieli jakąś prośbę albo zażalenie. Była forma taka, że który żołnierz chciał coś oświadczyć, gdy cesarz front przechodził, winien był na znak tego broń sprezentować. Gdy się to zdarzyło, najczęściej cesarz położył rękę swoją na ramieniu tegoż, niby go wysłuchując i dopiero wtedy kazał sobie tłómaczyć prośbę, jeżeli to był żołnierz z obcego narodu. Jeżeli to było zażalenie lub skarga, cesarz z oburzeniem najwyższem przywoływał dowódców i czasem nie przyjmował żadnego tłómaczenia, polegając na żołnierzu, a często dodawał: „Starajcie się do siebie żołnierzy przywiązywać, aby nie byli zmuszeni robić żadnych reklamacyj”. Otwarcie to można było widzieć, że postępował ze stopniami niższymi z poufałością, a z wyższymi z największą dumą i arystokratyzmem.

Stojąc przed Elbą, posuwaliśmy się w różnych kierunkach, nie oddalając się jednak zbyt od Drezna²⁾. Lubo okolica ta była już teatrem wojny, przecież na żywności nam nie zbywało, mieliśmy jeszcze bowiem za sobą przychylność mieszkańców. Staliśmy swobodnie w obozie. Gdy nadchodziły dłuższe wieczory, bo to już był wrzesień, przy ogniskach biwakowych różne między nami gawędki prowadzono, a zwłaszcza opowiadano o upłynionych czasach i kampaniach. Był w naszym pułku kapitan Lesiński, który w szyku bojowym stawał ze swą kompanią obok

¹⁾ Przesada widoczna.

²⁾ Jak zwracaliśmy wyżej uwagę z powodu przeglądu pod Harta — korpus 8-my otrzymał d. 24/IX rozkaz skoncentrowania się na drodze z Bautzen do Drezna. Dnia 26/IX książę Józef otrzymał rozkaz przeniesienia swej głównej kwatery do Waldstein — i wysłania oddziałów przeciw partyzantom nieprzyjacielskim. Uskuteczniąc ten rozkaz, przeszedł książę Józef dnia 26/IX przez Drezno.

mojej i z którym też z tego tytułu trzymaliśmy też ciągle kompanię w obozie, a czasem i przy jednym ognisku albo w jednym baraku. Co więcej, ile razy byłem wysłany na jakie ekspedycje, przysyłano mi zawsze w pomoc Lesińskiego, z którym też żyliśmy jak bracia od początku organizacyi pułku. Pewnego razu wspominaliśmy sobie o bitwie pod Friedland. Po tej bitwie zwożono z nad rzeki Ali rannych na promie do miasteczka Friedlandu, a w kompanii, która wówczas była przeznaczoną do utrzymania porządku przewozu, był starszym sierżantem Lesiński. Ponieważ dowódca kompanii był wtedy czemś innem zajęty, zdał Lesińskiemu dozór nad przeprawianiem rannych. — Czynność jego polegała na tem, że skoro galar z rannymi podpływał, on rewidował każdego z rannych, decydując od razu, którego odnieść do lazaretu, a którego, jako nie do wykurowania, wrzucić do rzeki. Przypadkowo przyszedłszy wtedy nad rzekę, byłem świadkiem wrzucania ciężej rannych do rzeki. Jak to mówią: „każdemu życie miłe”, przeto i ciężej ranni zostawali jeszcze w nadziei wykurowania się. Przeznaczeni na utopienie ze łzami w oczach chwyтали się bortów galarów, broniąc się tym sposobem od śmierci, ale na rozkaz Lesińskiego odrywano ich i do rzeki wrzucano. Najmniej 300 ten los spotkał; po części byli to ludzie z wojska nieprzyjacielskiego. Gdy teraz przypominałem owo zdarzenie, Lesiński się odezwał: „A po cóż było ten gnój znosić i niepotrzebnie nim lazaret zawałać!” Zamyśliwszy się, głęboko westchnął następnie i dodał: „Prawda, nie należało tego robić, niechajby sobie byli marli w lazarecie. Tak to z wiekiem przychodzi rozważa; wówczas byłem młodym. Ale za to, co się za młodu zbroiło, później trzeba odpokutować”. Wówczas siedziało nas kilku oficerów przy ognisku. Lesiński, obróciwszy się do nas, powiedział: „Pamiętajcie o tem koledzy, że okropna mnie śmierć czeka, podobna jak tamtych, a Ty, dodał, wskazując na mnie, będziesz patrzył na moją śmierć!” — (co się też i tak stało w bitwie pod Lipskiem).

Odebraliśmy wreszcie rozkaz, aby się udać do Drezna¹⁾. Wyruszyliśmy z obozu w największej czystości, w celu zaprezentowania się królowi naszemu Fryderykowi II. Napoleona już wówczas w Dreźnie nie było. Książę Poniatowski wraz z generałami i sztabem został zaproszony do króla na obiad. Czas tak zeszedł na tem, że ledwie przed wieczorem kazano nam przeciągnąć na dziedziniec zamkowy. Po przeglądzie i przedefilowaniu przed królem ruszyliśmy dalej. Gdyśmy opuszczali Drezno, już zmrok zapadł. Weszliśmy potem w ciemne aleje wysadzone drzewami, któremi postępowaliśmy do wsi za Elbą o milę odległych.

Tam byliśmy już bezpieczniejsi, przeto rozkwaterowali nas, jak sobie przypominam, po jednej kompanii do jednego gospodarza. Nas oficerów umieścił gospodarz w alkierzu, żołnierzy w stodole bardzo porządnej, a izbę pierwszą w domu

przeznaczyl na sale jadalna, do czego przysposobil stoły, złożone z poustawianych beczek i desek na nich, które okryto obrusami o jakie w Saksonii nie trudno przy tylu fabrykach. Prawie u każdego chłopca widzieć można było warsztat, na którym się wyrabia bieliznę stołową, perkaliki i t. p. Po rozgoszczeniu się naszym, zastawiono dla nas w alkierzu obiad, a dla żołnierzy w pierwszej izbie. Gospodarz przyszedł do mnie, oświadczając, że trudno mu będzie dać obiad dla całej kompanii, bo nie ma dostatecznej ilości nakryć i naczyń. Wskutek tego kazałem przywołać sierżanta starszego, jako gospodarza kompanicznego i temu poleciłem, aby do jedzenia po jednym tylko sierżantstwie wprowadzał i dopilnował, aby nie było nadużyć i nieporządku. Gdyśmy oficerowie obiad zjedli udałem się do przyległej izby w celu przekonania się o porządku. Zastawem stoły ponakrywane, naczynia porządne, łyżki, noże, talerze i t. p. Bardzo mnie zadziwiło, gdy zobaczyłem zaraz przy zastawieniu obiadu na dużych

¹⁾ Jak wyżej zwrócono uwagę, przejść tylko przez Drezno.

— 347 —

miskach drewnianych piramidy ogromne jabłek, gruszek i śliwek — na deser. Lubo i nasz oficerski stół nie był bez owego przysmaku, ale sądziłem, że to był tylko wyjątek dla nas.

Zapewne każdemu z nas wiadomem jest, że nasi włościanie nie zajmują się starannie utrzymywaniem drzew fruktowych, a zatem frukta są dla nich nowością, jak się też tutaj pokazało. Gdy bowiem na owym stole zastawiono frukta, nasi żołnierze nie zachowywali zwyczaju deserowego, ale jak który siedział bliżej owej piramidy, tak też ją zaraz szarpał, przyjadając przy zupie jabłka. W momencie miski opróżnione zostały. Widząc to, mówię do żołnierzy, że nie należy być tak łakomymi, zwłaszcza wpośród obcego narodu, a przytem pamiętać powinni, że coś musi zostać i dla ich kolegów, gdy na nich przyjdzie kolej jedzenia. Sierżant owego oddziału powiada mi, że to już drugi raz zastawione owe frukta, że pierwszą, ledwo zdołano na stole postawić, już ich nie było. „Tem gorzej — odpowiedziałem — oni zjedzą to, co już dla drugich było przeznaczonem”. Na to odzywa się jeden żołnierz z siedzących u stołu, że sam gospodarz prosił ich, aby bez ceremonii jedli, ile się komu podoba, że wystarczy i dla drugich. Niebawem przybył gospodarz, który to potwierdził. Nie dowierzałem, aby jeden gospodarz był w stanie dostarczyć fruktów dla 160 ludzi, zwłaszcza tak łakomych na nie, jak moi żołnierze. Później przekonałem się, że w tej okolicy rzeczywiście była zadziwiająca obfitość fruktów.

Po przenocowaniu odebraliśmy rozkaz gotowości do dalszego marszu i uderzono w bębny. Gdy moja kompania stanęła do marszu, spojrzałem się na żołnierzy, aż tu oni obładowani torbami, pozszywanymi naprędce z koszul, spodni płóciennych i t. p. Napelnili je owocami. Kiedy zacząłem ich strofować za to, że nietylko swego gospodarza objedli, ale może i resztę jego fruktów zabrali; znowu gospodarz przyszedł w pomoc żołnierzom, twierdząc, że im

— 348 —

sam kazał sobie na drogę nabrać, i dodał, że każdy z włościan ma podostatkiem fruktów. Gdy się obejrzałem po kompaniach innych batalionów, przekonałem się, że żołnierze nierównie więcej byli obładowani fruktami. Nakoniec, gdy spojrzałem po wsi, zobaczyłem domy ze wszystkich stron otoczone drzewami fruktowymi, grubymi i wyniosłymi, tworzącymi jakby las cały.

Gdyśmy wyszli za wieś w pole, widzimy nietylko przy drodze mnóstwo rozmaitych gatunków drzew fruktowych, ale nawet całe pole w szachownicę temiż drzewami zasadzone. Tu widzieć trzeba było naszych żołnierzy, gdy się zobaczyli właścicielami nieprzejrzanego sadu! W porze września wszystkie frukta dojrzewają. Rozsypała się też cała brygada po owym polu. Tu był widok, gdy żołnierze jakby obłąkani, biegają od drzewa do drzewa, wszędzie próbując gatunku; wysypują zabrane poprzednio w torby frukta, a innych nasypują i te znowu z kolei wysypują. To znowu zobaczywszy na drzewie frukta, bronią otrząsają, chcąc niby doświadczyć gatunku; ugryzie, rzuci, biegnie znowu, — zgola, jak ci, co zmysły stracili. Ludzie miejscowi, widząc, że nasi pomimo tego, że frukta leżą pod każdym drzewem, bagnetami je z drzew otrząsają, porzucili robotę w polu i rozbiegli się, naprowadzając naszych do gatunków lepszych, sami dla nich owoce otrząsając. Tak dalece się nasi ludzie przy tem rozbiegli, że z pomocą bębnow i rozesłania oficerów ledwie przed wieczorem zostali sprowadzeni. Tak było tylko dnia pierwszego, następnych dni już widać frukta im się przejadły, a niektórzy z nich chorowali ze zbytku.

Kilkanaście dni szliśmy owym rajem. Pomimo tego, że nietylko na polu, ale nawet na drodze frukta najprzedniejsze leżą w kolejach podeptane, porozrzucane, mało kto zwraca na to uwagę. Słyszałem, że w miejscach, gdzie jest taka obfitość drzew owocowych, jako to w Saksonii, Morawii, części Czech i dalej aż do Renu, jest takie urządzenie, że każdemu przechodzącemu wolno, zatrzymawszy

— 349 —

się, jeść fruktów, ile mu się podoba, z tem jednak zastrzeżeniem, aby do kieszeni nie chował, za to bowiem jest oznaczona kara.

Tak postępując, szliśmy małymi marszami w kierunku ku Altenburgowi, gdzie więcej jest lasów. Widziano tam tuż przy drodze zwierzynę różnego rodzaju, jako to: daniela, jelenie, sarny, a zajęcy bez liku. Zaprowadzony tam jest zwyczaj, że nie wolno nikomu, chociaż na własnym gruncie, zwierzyny strzelać. Dopiero gdy nadejdzie pora polowania, wysyłają na wszystkie strony myśliwstwa rządowe, a po nabiciu mnóstwa zwierzyny publicznie ją na korzyść rządu sprzedają, ale za bardzo niską cenę. Zwierzyna jest w tym kraju tak oswojona, że się nie boi ludzi. W czasie lata, gdy grunta są obsiane, wyganiają zające ze szkody, rzucając na nie kamieniami i strasząc różnymi sposobami. Takie mnóstwo jest zwierzyny, że w czasie bitwy Lipskiej, gdy z dwóch stron rozpoczął się huk dział, zające, nie wiedząc gdzie się schronić, wpadały w szeregi, nareszcie we wodę ze strachu. Wówczas ja sam zabiłem zająca pałaszem.

Po opuszczeniu przez nas Drezna, korpus marszałka Saint-Cyr pozostał w okolicy tego miasta ¹⁾. Gdy nieprzyjaciół na wszystkich punktach rozpoczął operacje wojenne, przeto i Saint-Cyra ściskano. Wspomniany korpus zajmował pozycję pod Pirną. Nieprzyjaciół, nauczony przykładem Napoleona pod Dreznem, gdy deszcze ulewne puściły, rzucił jazdę na piechotę Saint-Cyra i rozbił ją, a resztę niedobitków pędził przed sobą, zabierając po drodze działa ²⁾. W korpusie Saint-Cyra była brygada jazdy polskiej

¹⁾ Siły marszałka Saint-Cyra w Dreźnie wynosiły 22 tysięcy ludzi.

²⁾ Marszałek Saint-Cyr stoczył pod Dreznem cały szereg potyczek. We wszystkich, jak wspomina znajdujący się wówczas w Dreźnie Niemcewicz, odznaczyła się jazda Weyssenhoffa. — Nie wiemy, o jakiej potyczce w danym wypadku mówi nasz autor.

pod dowództwem jenerała Weyssenhoffa. Ta brygada stała na lewym skrzydle swego korpusu, przedzielona małym lasem, tak, że gdy nieprzyjaciel rozpoczął atak, widać nie dostrzegł jej za laskiem. Gdy piechota francuska w nieładzie cofała się ku Dreznu, Weyssenhoff nie odebrawszy żadnego polecenia, oczekiwał na nie i pozostał na miejscu beczynnie.

Widząc się wreszcie opuszczonym, postanowił Weyssenhoff cofać się zwolna za korpusem, aby nie być odciętym. Nie wyszedł na trakt za korpusem, ale z boku za owym laskiem postępował spokojnie. Zobaczył, że nieprzyjaciel mnóstwo niewolnika francuskiego i przeszło 20 armat zabrał i dalej zabiera, zauważył również, że jazda nieprzyjacielska ma już konie porządnie pomęczone, harcując tak długo. Zdecydowało to jenerała i uderzył na nieprzyjaciela z tyłu, mając konie świeże i niezmęczone. Ten

napad taki skutek zrobił, że nietylko odbitym został niewolnik i działa, ale wzięto jeńców z samej jazdy nieprzyjacielskiej. Cesarz w rozkazie dziennym okrył ową brygadę pochwałami i wynagrodził dekoracjami ¹⁾. Korpus Saint-Cyra pozostał na załodze w Dreźnie, licząc koło 60.000 głów ²⁾.

Gdyśmy byli pomiędzy lasami koło Altenburga, obawialiśmy się, aby nas nie odcięto, przeto Poniatowski postanowił zatrzymać się i doczekać nadejścia jakiego korpusu francuskiego. Wtedy pewnej nocy zbliżył się do nas nieprzyjaciel, wysławszy kozaków na różne punkta i zaczął nas niepokoić tak, żeśmy całą tę noc pod bronią stać musieli. Skoro dzień nadszedł, odebrał Poniatowski rozkaz od Murata, aby, cofnąwszy się, zajął jakieś małe miasteczko ³⁾. Następnego dnia przybył do tego miasteczka

¹⁾ Niemcewicz mówi o odznaczeniu się jazdy Weyssenhoffa. pod d. 10/X i 17/X.

²⁾ Cyfra, jak wyżej zwróciliśmy uwagę, mylna.

³⁾ Z Muratem połączył się korpus 8-my d. 7/X pod Roechlitz.

Murat z korpusem i, połączeni z nim, ruszyliśmy, lewym skrzydłem naprzód, traktem ku Bernau. Byłem w batalionie, który zamykał lewe skrzydło korpusu, przeto, postępując na czele, najlepiej mogłem widzieć wszystkie poruszenia.

Dnia tego, gdy korpus nasz zbliżył się do Bernau ¹⁾, liczne flankiery jazdy i rozsypani gęsto tyralierzy nieprzyjacielscy okrywali trakt, prowadzący do wspomnianego miasta. Gdy się ogień armatni z rozstawionych po wzgórkach baterii rozpoczął, zatrzymano korpus i przybył do nas Murat wraz z Poniatowskim. Nieprzyjaciel zakrywał swoimi tyralierami nietylko trakt, miasteczko, ale nawet i las będący na jego lewym skrzydle. Gdy Murat rozpoznał pozycję miasteczka, które leżało między dwoma górami w parowie, tworząc jedną ulicę, rozkazał wysłać z naszej strony tak flankierów, jakoteż i tyralierów. Po krótkiej utarczce tychże, rozkazał, aby czoło naszego korpusu zeszło z traktu na prawo, a następnie i reszta korpusu ten obrót uczyniła, chroniąc się za naszych tyralierów. Po poruszeniach nieprzyjaciela widać było, że miał zamiar nas wpuścić do miasteczka. Gdybyśmy byli w nie weszli, byłiby uderzyli na nas z boku, a wtedy trudnoby było rozwinąć się dla przyjęcia bitwy. Ale doświadczenie i wprawne oko Murata, dostrzegłszy zastawione sidła przez nieprzyjaciela, potrafiło tego uniknąć. Pociągnawszy na prawo, po grzbiecie góry równolegle nad miastem leżącej postępowaliśmy dalej. Zasłona nieprzyjacielska zupełnie nam znikła z oczu, cofnąwszy się za las. Gdyśmy wyszli na więcej wyniosłe wzgórze, dało się widzieć po lewej stronie Bernau.

Armia nieprzyjacielska stała w szyku bojowym, tworząc trzy linie, ustawiona frontem do rozciągniętego miasta,

¹⁾ Dzień 10-go października. Opis bitwy nie da się zestawić z innemi źródłami.

i przedłużona tak, że po drugiej stronie miasta przecinała nam trakt. Postępując po przeciwległej górze, miasteczko owo było przeszkodą do przyjęcia bitwy nieprzyjacielowi. Nasze korpusy wyciągając się po górze tworzyły także linię równoległą do nieprzyjacielskiej. Widząc nieprzyjaciel swoje plany zawiedzionymi, a mając w lesie po prawej naszej stronie swoją piechotę ukrytą, postanowił nas zaczepić i wciągnąć w bitwę. Gdy czoło nasze doszło na wysokość owego lasu, spuszcza nieprzyjaciel z gór do miasta liczne kolumny swej lekkiej piechoty, która zająwszy rozciągnięte miasteczko, przebywa parów i wychodzi pod naszą górę, zagrażając naszemu lewemu skrzydłu. Gdy rozpoczęto ogień z przeciwległego lasku, rozpoczyna też owa piechota, ukryta w lesie, karabinowy ogień. Murat, który ciągle był obecnym przed czołem naszej kolumny, widząc większe niebezpieczeństwo zagrażające nam z lasku, nie mógł wiedzieć, jaką tam siłę miał nieprzyjaciel. Po zatrzymaniu czoła naszego, posyła kolumny ze środka korpusu na prawo dla okrążenia owego lasu i wyparcia z niego ukrytego nieprzyjaciela. Skoro nasze kolumny okrążyły las, rozsypawszy tyralierów rozpoczęły ogień. Widząc nieprzyjaciel, że się tu nie utrzyma, zaczął las spieszenie opuszczać, usiłując się złączyć ze swoimi tyralierami, którzy nam z lewej strony zagrażali. Tak wymykając się, przebiegały kolumny strzelców przed naszym czołem.

Ponieważ na czele naszym nie było jazdy, a strzelcy owi dostaliby się do swoich, przeto Murat, obróciwszy się do swego szwadronu służbowego szasserów, zawołał na dowódcę (podług wówczas przyjętego zwyczaju): „W imieniu cesarza! naprzód! wzięć tę kolumnę uciekających strzelców!” Dowódca powtarza to do swego szwadronu, ale jakoś nie sporo idzie szasserom, a tu strzelcy uchodzą. Wtem Poniatowski, widząc, że, jeżeli szybko nie natrą na uciekających, ci niezwłocznie ujdą i złączą się ze swymi, obróciwszy się do swojej świty, powtórzył powyżej wymienione zachęcenie, a dobywszy pałasza, sam na czele

świty na strzelców uderzył, których natychmiast rozbił i w niewolę resztę zabrał ¹⁾. Po przyprowadzeniu jeńców wziął Murat za rękę Poniatowskiego, dziękując mu w imieniu cesarza i dodał, że gdyby się przekonał, że ktoś jest waleczniejszy od niego, nie wyjmując Poniatowskiego, strzelałby się z nim do śmierci. Murat bowiem miał się za najwaleczniejszego.

Reszta nieprzyjacielskich strzelców, widząc, jaki los spotkał pierwszą kolumnę uciekającą z lasu, broń złożyła. Gdy las został oczyszczony z nieprzyjaciela, rozpoczęliśmy dalsze posuwanie się naszych kolumn w takiej dyrekcyi, aby na przypadek utworzyć linię równoległą do nieprzyjacielskiej. Ten, widząc bezskuteczność swego planu, powiększył znacznie swych tyralierów w mieście pod górą przez nas zajętą, aby tym sposobem kusić nas do rozpoczęcia bitwy. Tyralierowie owi mieli tę korzyść, że byli zakrytymi przez parkany i ogrody miasta i mogli sypać ogień na odsłonięte nasze kolumny, czyniąc nam znaczne straty w szeregach. Przeciwnie Murat z naszej strony nie odpowiadał żadnym ogniem. Gdy się tak posuwamy, Murat,

¹⁾ Zdaje się, że jest tu mowa o potyczce pod wsią Zettlitz, która miała miejsce w dniu 10-go października w czasie przemarszu korpusu 8-go od Frohburga ku Bornu. Książę Józef szarżował osobiście na czele sztabu na strzelców rosyjskich generała Gorczakowa.

Ale to należało do działań awangardy korpusu 8-go, a dywizja generała Małachowskiego, do której należał pułk 12-ty, uciarała się przez cały dzień z nieprzyjacielem: spaliła most na rzece Wira i biła się z Prusakami korpusu Wittgensteina pod Hoesburg i Steinbach.

Białkowski pomieszał jedno i drugie.

Z Muratem złączył się w tym dniu korpus 8-my pod Eylą. Nieprzyjaciół, wyparty z Zettlitz, przeszedł na lewy brzeg Pleissy i tam ustawił baterię, która mocno raziła postępujący traktem Lipskim korpus 8-my.

Reszty szeregów Białkowskiego niepodobna skontrolować, gdyż nie posiadamy wcale opisu działań awangardy korpusu 8-go.

— 354 —

chcąc widocznie pokazać Poniatowskiemu swoją brawurę i nieustraszoną, wysunął się sam przeciw tyralierom nieprzyjacielskim, syjącym gęsty ogień z za parkanów. Odznaczał się, jak wiadomo, swym admiralskim ubiorem. Przy blasku dnia pogodnego jego zapewne najwięcej na cel brano. Jednym razem konia pod nim ubito. Murat, niby to z oszczędności ubioru bogatego, staje przy koniu, na którym postawił nogę i podparłszy się pod boki, woła na swoją służbę, aby zdjąć ubiór z konia. Gdy kilku ludzi przyskoczyło, usiłując zdjąć ubiór takowy, tyralierzy nieprzyjacielscy blisko będący podwoili ogień, tak na Murata, jak na tych, aby nie pozwolić zdjąć zdobyczy, którą spodziewali się później osiągnąć. Co przyskoczy ich kilku usiłując zdjąć ubiór, mało który bez ran wychodzi, a niektórzy na miejscu zostają. Gdy się to powtarza, a Murat ciągle na strzały wystawiony stoi w nieruchomej postawie, nakoniec chcąc postawić na swoim, krzyknął na szwadron służbowy szasserów. Ten, zsiadłszy z koni, hurmem rzucił się na konia. Odebrawszy strzały, podobnie jak owa służba, zdołał jednak na koniu poobrzynać wspomniany ubiór. — Następnie przedelfilowaliśmy przed linią nieprzyjacielską, dosięgając traktu poza miastem będącego. Wskutek tego w oczach naszych artylerji nieprzyjacielska śpiesznie udaje się w ten punkt, chcąc nam przeszkodzić. Murat, korzystając z pozycji, która, jakby przygotowaną była, bo przy wiatrakach na daleko wyższym wzgórzu od nieprzyjacielskiej pozycji, ustawił kilka baterji artylerji, a w momencie nie tylko nasze kolumny uwolnił od ognia morderczego, ale nawet po wysadzeniu w powietrze kilku jaszczków i zdemontowaniu dział, resztę artylerji nieprzyjacielskiej zmusił do milczenia i cofnięcia się z pozycji. Dopiero pod zasłoną naszych dział spokojnie weszliśmy na trakt. Uszedłszy z parę wiorst, rozwinęliśmy się tak, żeśmy się znaleźli frontem do lewego skrzydła nieprzyjacielskiego, który z tej przyczyny musiał na całej linii frontu odmienić. Gdy się to dzieje, a nieprzyjaciół w żaden sposób nie może przeszkodzić

— 355 —

naszym przechodzącym kolumnom, zamierzył chociaż w części nas urwać.

Z tego powodu, widząc brygadę francuską, będącą w awangardzie korpusu, która niewiedomo dla jakiej przyczyny pozostała w niejkiej odległości za korpusem, skorzystał z tej przyczyny i wysłał wielką kolumnę swej piechoty w ową przerwę. Gdy owa brygada wchodziła do wsi, została napadnięta przez siły przeważne i poważnie zagrożona. Dostrzegłszy to Murat, daje rozkaz pułkowi legji nadwiślańskiej, aby śpiesznie wrócił do owej wsi dla wsparcia Francuzów i ukarania nieprzyjaciela za tak śmiały napad. Gdy wspomniany pułk wpadł do wsi, połączwszy się z brygadą francuską, całą kolumnę nieprzyjaciela co do nogi wytłukł i wieś opuścił.

Nie wiem z jakiego powodu w owej kampanii powstała zemsta i nienawiść między naszymi a Prusakami. Wspomniana tutaj kolumna nieprzyjacielska była złożona z wojsk pruskich. Przytoczę tu jeden jeszcze wypadek, jaki miał miejsce.

Razu pewnego porucznik z pułku 7-go legji nadwiślańskiej, Rostkowski, był wysłany w nocy dla zbierania wedet i przy tej czynności został obkoczony i wzięty do niewoli przez Prusaków. Gdy się po dołączeniu go do innych jeńców przekonano, że to był Polak, dowódca pruski rozkazał go ze znaków obdrzeć, dodając, że to jest desperat (tak wówczas Polaków nazywano). Następnie kazał go położyć i od stóp do głowy batami obłożyć. Relacja moja tchnie tylko samą prawdą, i spodziewam się, że nie będę odpowiedzialnym za to ni przed Bogiem, ni przed ludźmi, nie przepuszczając także i swoim, kto na jakie zarzuty zasłużył, jak się to później okaże.

Po opuszczeniu przez nas owej wioski i zajęciu nowej pozycji, nieprzyjaciół w przemagającej sile usiłował plan swój wykonać, ale nasza nowa pozycja dawała nam przewagę. Po kilkogodzinnej walce, w której z obu stron strata była znaczna, a szczególnie z armatniego ognia

— 356 —

noc położyła jej koniec. Nadedniem opuściliśmy nasze obozowisko i ruszyliśmy dalej ¹⁾.

Następnego dnia stanęliśmy z południa za jakąś wsią, w której był bardzo porządnny kościół z wysoką wieżą. Gdyśmy przeszli tę wieś, mieliśmy wyborną pozycję, bo na grzbiecie wyniosłego wzgórka, przed którym leżały rozległe błota, zasłaniające nas przed nieprzyjacielem. Wieś owa znalazła się na prawym naszym skrzydle. — Korpus 8-my stanął w pierwszej linii, korpus Murata w drugiej. Po rozłożeniu korpusów Murat udał się do wspomnianej wsi. Mając przed sobą równinę na milę rozległą, kazał sobie otworzyć kościół ²⁾. Wszedł na wieżę, z której dostatecznie mógł zbadać stanowisko nieprzyjaciela. Tymczasem kozacy, będący w przedniej straży (których wówczas właściwie nazywano wyłami, jako wszystko nie tylko przejeździ, ale i zwietrzyli) pomimo owej równiny odkrytej, dostali się niespostrzeżenie do niskiej dosyć olszyny ponad owym błotem. Pod osłoną olszyny weszli do wsi, a tam dowiedzieli się widać od mieszkańców, że Murat znajduje się na wieży. Na ich widok nie tylko część świty Murata, ale i będący przy nim szwadron służbowy szaserów pierzchnął. Murat, widząc się otoczonym, zdążył tylko zapomocą kilku oficerów przy nim będących, drzwi kościoła zaryglować. Kozacy, przebiegły naród, zsiadłszy z koni, wzięli długie belki, które rozbijawszy, wybili niemi drzwi z ryglami i zawiasami. Murat cofnął się do wyższej kondygnacji wieży i tam zabarykadowawszy się, rozkazał wystrzelić na znak, że jest w niebezpieczeństwie. Gdy echo doszło do naszego obozu, obóz zaczął stawać pod bronią

¹⁾ Odnosi się to do dnia 11-go października.

²⁾ Faktu, jak go opisuje Białkowski, nie znamy. Natomiast znamy analogiczne zjawisko, które miało miejsce d. 13-go października pod Groeben. Jazda nieprzyjacielska zaskoczyła Murata przy śniadaniu. — Warta dała ognia, a gdy nadbiegły pikietki służbowe, zastano Murata, szarżującego z pałasem w ręku na czele swojego sztabu.

na owe strzały. Przy tem ktoś z mieszkańców owej wsi dał znać o niebezpieczeństwie Murata. Poniatowski wówczas był jeszcze na koniu, objeżdżając rozłożony obóz. Gdy go ta wiadomość doszła, posłał do jazdy, która opodal stała. Nie czekając na jej przybycie, ze swoją tylko świtą pospieszył dla dania pomocy Muratowi, a gdy przypadł pod wieś, zastał poza domami ukrywającą się eskortę szaserów. Natychmiast rozkazał dowódcy tejże połączyć się dla uwolnienia Murata z niebezpieczeństwa. Gdy ów oficer nie tylko wzbraniał się tego, ale nawet oparł się groźbie za takie nieposłuszeństwo kazał go Poniatowski rozsiekać ¹⁾ Szaserzy, widząc ukaranie swego dowódcy, połączyli się ze świtą i razem z nią tak dzielnie natarli, że kozaków odpędzili.

Po owem wyswobodzeniu Murat niezmiernie dziękował Poniatowskiemu, który dla obrony Murata tak się tu narażał, że został od kozaka raniony w rękę lancą. Murat wyznał, że, gdyby nie pomoc Poniatowskiego, w kilka minut później byłby wzięty, gdyż wszelki opór był już daremny. Gdy mu doniesiono o rozsiekaniu oficera eskorty, odpowiedział, że to wszystko jedno, bo i tak byłby rozstrzelany za opuszczenie swojej poczty.

W owem miejscu staliśmy dni parę ²⁾. Pewnego razu przybył z drugiej linii oficer francuski z młodej gwardyi, której oficerowie nosili u spięcia fraków u dołu cztery cyfry „N” z koronami. Gdyśmy na to zwrócili uwagę, ja widząc w tem niedorzeczność, mówię, jak to nieprzyzwoitem mi się być zdaje, aby cyfra imienia cesarskiego była umieszczoną w tak niskiem i z tyłu do tego miejscu. Oficer ów, będąc rodem z Alzacyi, odezwał się po niemiecku z ironią. „Nie, to nie są cyfry cesarskie, to jest ostrzeżenie dla Francuzów na przyszłość” i tłumaczył to tak: „Nur

¹⁾ Fakt widocznie nieprawdziwy.

²⁾ Dnia 12-go korpus polski pomaszerował pod Goeborn i tam pozostał do dnia 14-go.

— 358 —

nicht nach Norden” — przypominając Francuzom, aby się więcej w klimat zimny nie zapuszczali. Owo tłumaczenie dowcipne jednych rozśmieszyło, drugich oburzyło.

Następnie, staczając codzień małe utarczki, ciągnęliśmy do miasta Rochlitz, a ponieważ tam już była pozycja więcej górzysta, przeto większe a radsze bitwy zachodziły. Ze wszystkich promieni Saksonii korpusa się ściągały ku Lipsku dla stoczenia stanowczej bitwy.

Nakonec zbliżył się i 15-ty października, a my byliśmy już blisko wspomnianego miasta ¹⁾. W dniu tym, gdy się rozwidniało, odebrano polecenie, aby najspieszniej, pozostawivszy wszystko w obozie, nawet jedzenie, udać się na miejsce przez adjutanta sztabu wskazane. Biegliśmy prawie kłusem, a na szczęście nasze była tej nocy mgła ogromna.

Adjutant, który nas prowadził, stracił dyrekcyę i w innym kierunku nas poprowadził. Gdy cokolwiek się rozwidniło, spostrzegł się i pokazał Poniatowskiemu owo miejsce, do którego mieliśmy dobieść. Była to budowla o dwóch piętrach w kwadrat, murem dość wysoko otoczona, jakaś fabryka, w której się zam knęła piechota austriacka. Rozkazano nam szturmem zdobyć ją. Nim skończono przygotowania do tego, rozpoczął się ogień z ręcznej broni i armat tak ze strony nieprzyjaciela jako też i naszej ²⁾. Gdy odgłos armat doszedł do uszu cesarza,

¹⁾ W opisie Białkowskiego znajduje się jeden fakt (mianowicie opis szturm na budynek murowany), na podstawie którego możnaby przypuszczać, że ma on tu na myśli dzień 16-go października — faktycznie jednak jest tu mowa o dniu 14-go października, tylko wyżej wymieniony szczegół przez pomyłkę jest tu podniesiony.

Korpus 8-my stał wtedy na linii Mark-Kleeberg, Wachau i Liebert-Wolkwitz. Działała tylko jazda francuska generała Milhaud, a polska jazda i piechota stały spokojnie.

Atak ten na budynek w Döllitz miał miejsce dnia 16-go października o godzinie 6-tej rano i, jak wyżej, Białkowski mylnie go tu odniósł.

— 359 —

zdziwił się on, skąd to i z czyjego rozkazu pochodzi i wysłał do nas adjutanta z zapytaniem, a razem z poleceniem wstrzymania bitwy. Jego zamiarem było zwabić nieprzyjaciela jak najbliżej Lipska dla łatwiejszego skoncentrowania sił. Wskutek tego, gdy ów adjutant spytał Poniatowskiego, jak wyżej, tenże oddał mu to polecenie na piśmie, jakie od Berthiera otrzymał. Poleciał nam tedy adjutant, aby, unikając odcięcia, cofać się najspieszniej ku Lipsku.

Opuszczając owo miejsce, starliśmy się z prawem skrzydłem korpusu nieprzyjacielskiego, który wskutek ataku owej budowli miał polecenie odcięcia nas. Tu się jawnie pokazała intryga Berthiera, który nie przestawał nas prześladować i chciał nas zgubić, jak się to później okazało. Cesarz niezmiernie był oburzony, gdy mu ów adjutant doręczył ów rozkaz Berthiera.

Odsunawszy się od owego miejsca, przeszliśmy przez szosę wiodącą do Lipska, a sformowawszy front, stanęliśmy na lewem skrzydle naszego korpusu w pierwszej linii. — Dnia tego ¹⁾ o godzinie 3-ciej popołudniu cesarz objeżdżał wszystkie linie, od których został przyjętym okrzykami: „Niech żyje cesarz!”, a to dla zwrócenia, jak się zdawało, uwagi nieprzyjaciela, którego kolumny na linię bojową przeciwległą wstępowały.

Następnie cesarz, wysławszy flankierów i kilka kolumn jazdy wraz z artylerją konną naprzód, — rozkazał zaczepić nieprzyjaciela, a to dla rozpoznania siły i pozycji tegoż. Po zaczepieniu rozpoczął się bój większy.

Gdy nieprzyjaciel rozwinął swe siły i nasza linia była

¹⁾ Fakt nieprawdziwy. — Napoleon był przy 8-mym korpusie dopiero w dniu 17-go października. W dniu 14-go nie było go jeszcze wcale pod Lipskiem.

— 360 —

w owym dniu czynna ¹⁾, ale nie zaszedł wtedy żaden ważniejszy wypadek, a noc prędko położyła koniec bitwie.

Dnia 16-go października przededniem opuściliśmy dotąd utrzymaną pozycję i cofnęliśmy się ku Lipsku najmniej pół mili ²⁾. Gdy dzień zaczęło, powstała ogromna mgła, tak mocna, że o trzydzieści kroków nie można było rozpoznać obiektu. Ponieważ przededniem został nam zakomunikowany rozkaz o odbyć się mającej w dniu tym stanowczej batalii, uważaliśmy się już za stojących w linii bojowej. Tak staliśmy i oczekiwaliśmy wypadków, gdy około godziny 10-tej z rana, po panującej ciszy, odezwał się naraz huk najmniej 60 dział nieprzyjacielskich. Działa były kierowane na naszą jazdę, którą nieprzyjaciel widział dnia poprzedniego, stojącą w pozycji ³⁾. Ale jazda nasza już dawno zmieniła swoją pozycję...

Po owych napróżno wymierzonych strzałach, ciężka jazda nieprzyjacielska natychmiast uderzyła w ów punkt, w którym się jazda nasza znajdować miała, chcąc korzystać z zamieszania, jakie liczne kule armatnie sprawiły. Gdy przypadła w ów punkt, nie zastała nikogo, a następnie dostała się między liczne kolumny jazdy naszej. Z tego wypadku rozpoczęła się ogólna bitwa jazdy⁴⁾. Z powodu

¹⁾ Nie była czynną.

²⁾ Jest to bardzo nieścisłe. W dniu 16-go października korpus 8-my stał na linii Pleissy między Döllitz i Conneville, nie zbliżył się więc tak bardzo ku Lipskowi. Dywizja generała Małachowskiego, w której był nasz autor, obsadziła wieże wyżej wymienione nad Pleissą i stanowiła w tym dniu prawe skrzydło korpusu polskiego.

³⁾ Bitwa zaczęła się na prawym skrzydle francuskim, gdzie stał pułk 12-ty o godzinie 8-mej rano. Prusacy odebrali wtedy korpusowi 8-mu wieś Mark-Kleeberg. Przypuszczać można, że pułk 12-ty o godzinie 8-mej rano użyty był do ataku na budynek w Döllitz, który Białkowski mylnie pomieścił pod dniem 14-go października.

⁴⁾ Mowa tu o starciu się jazdy Kellermana (24 szwadrony polskie i dragoni francuscy gwardyi) z jazdą austriacką, kirassyerami przeważnie. Miało ono miejsce o godzinie 1-szej w południe. Naszemu pamiętnikarzowi nie dopisała tutaj stanowczo pamięć, gdyż nie wspomina on wcale o walce, jaką pułk jego pod Döllitz staczał z kolumnami jen. Meerfeldt'a.

— 361 —

nagłego strzału, jak wyżej, przez rozbicie powietrza z owej mgły, pod zasłoną której byliśmy jak w worku, najpiękniejsza zrobiła się pogoda, a słońce wyjrzało, jakby było ciekawe, co my tu robimy. Tu dopiero można było widzieć, w jakiej ślicznej pozycji się znajdowaliśmy. Był to prawie jednostajnie wzgórek pochylony ku nieprzyjacielowi, u stóp którego leżały bagna, a strumień niezbyt szeroki otaczał nasze linie. Cesarz widać, wprzód tę pozycję obierając, wybrał ją jako odporną, bo przez ów strumień ani jazda, ani artyleria przejść nie mogły. Ujrzelśmy się teraz w szyku bojowym w kolumnach ściśniętych, tworząc prawe skrzydło armii w pierwszej linii, a zarazem okrywając szosę, prowadzącą do Lipska, co było bardzo ważnym punktem¹⁾.

Jazda nasza stała przed owym strumieniem, mając na wszelki wypadek po prawej swej stronie szosę, gdyby przyszło się jej cofać. Gdy się bitwa rozpoczęła, jazda nasza po kilku harcach przeciągnęła całą na prawo, a lukę stąd powstałą kazano wypełnić tyralierami, piechoty. Wysłani za ów strumień tyralierzy, rozsypawszy się, rozpoczęli rżęsyty ogień ze strzelcami pruskimi. Ponieważ Prusaków było więcej, przeto dla protegowania naszego łańcucha tyralierów — rozkazano naszemu batalionowi udać się w kolumnie przez strumień na tamtą stronę. Przebywszy strumień, wyszliśmy na mały wzgórek, z którego dobrze można było widzieć poruszenia jazdy. Tu ujrzałem, jak rozwinięte linie naszej i nieprzyjacielskiej jazdy do ataku na siebie ruszyły.

¹⁾ Pozycja korpusu 8-go była bardzo ważną, gdyż, zdobywszy ją, nieprzyjaciel miał przed sobą najkrótszą drogę do Lipska. Mężna obrona tej pozycji przez Polaków zjednała im ogólne uznanie, a ks. Józefowi tytuł marszałka Francyi.

— 362 —

Był to widok smutny, ale zabawny. Każdy mi przyzna, kto jest obeznany z rodzajami broni, że starcie się jazdy jest tylko igraszką w porównaniu starcia się z sobą piechoty. Przy takim starciu, jakie wówczas widziałem między jazdą, jużby najmniej połowa piechoty trupem leżała, a tu kończyło się tylko na krzyku i trąbieniu każdej z tych linii. Dowódcy krzyczeli: „Naprzód!”, trębacz

sygnały powtarzali, a obydwie linie na sobie oparte tylko śmiech w nas wzbudzały. Po półgodzinnym tym dyalogu, nie wiem jakim sposobem, zdaje się przez przeskrzydlenie, owe linie zaczęły się łamać od prawego, nasi jakby nieprzyjacielowi w tył zajeżdżali, a tamci coś, usuwając się, w kupę się zbijali, tak, że następnie sformował się jakiś rodzaj młynka¹⁾.

Kiedy się to kręci, z za góry od nieprzyjaciela wysuwa się ogromna kolumna, pamiętam pąsowe mundury. Te, zbliżywszy się do owego młynka, jak gdyby powódź, mały strumień wody — zabrawszy ową masę, pędziły ją w nieładzie ku Lipsku. Lubo szosa była obsadzona przez naszych, ale jazda nasza, pędzona przez nieprzyjaciela, była na przodzie, a zatem zasłaniała nieprzyjaciela, którego nie można było razić. Przedarłszy się przez nasze linie, poszło to wszystko w tył naszej armii, nie oparłszy się aż pod rogatkami Lipska, które były od nas oddalone jeszcze o milę. Tam stojące rezerwy, złożone z gwardyi, wzięły w krzyżowy ogień zaślepionego nieprzyjaciela, który, błakając się między rezerwami, wyciętym lub w niewolę wziętym został. Pułk tylko kirasyerów saskich²⁾ z pod komendy Thielmana, widząc się być otoczonym i wiedząc, co

¹⁾ Nie była to jednak zabawka, jazda nasza poniosła bowiem wówczas znaczne straty.

²⁾ Mowa tu o szarzy pułku kirasyerów austriackich Somariva który przebił się przez jazdę polską, zapędził się daleko między czworoboki piechoty — i, rażony ogniem batalionowym, stracił większość swego składu. Epizod skądinąd podobny do późniejszego pod Grochovem.

— 363 —

go spotkać miało, usiłował się przebić, ale tylko resztką, bo najwięcej 15 koni, przedzierając się przez przeprawę pod Wachau, nasza na nas z tyłu, a ta strzałami i bagnetami z koni zsadzona została. Konie ich były tak sforsowane, że każdy był spieniony i boki miał pokrwawione od ostróg i bicia pałaszami. Po zrzuceniu tych kirasyerów z koni, dwa z koni natychmiast, rozparte, zdechły.

Gdy się nasz batalion zbliżał pod ów wzgórek, nasi tyralierzy śmielej natarli na nieprzyjaciela. My zaś, wciąż postępując naprzód, weszliśmy na najwysioślejszy wzgórek, aby dobrze widzieć swych tyralierów. Gdyśmy na ów wzgórek wchodzili, z wielkiem naszym zdziwieniem ujrzelśmy blisko stojącą pierwszą linię nieprzyjacielską. Gdy zoczono nasze bagnety w kolumnie, sądził nieprzyjaciel, że cała nasza siła w tym punkcie — stara się natrzeć na ich linię. Ostatecznie taką dywersję zrobiliśmy tem posunięciem, że cała linia nieprzyjacielska, widząc się w niebezpieczeństwie, śpiesznie rozpoczęła odmianę frontu lewem skrzydłem w tył.

Cesarz, dostrzegłszy to, w lot zamierzył wyzyskać to, przysyłając do nas 5 baterii konnej artylerii. Artyleria, nie mogąc dostać się do nas szosą, obeszła wkoło przez wieś Wachau, która leżała nad strumieniem. Nieprzyjaciel, odwróciwszy front, stanął oparty o Elsterę i wywarł na naszą kolumnę straszliwy krzyżowy ogień armatni, a to raz w celu spędzenia nas z tej pozycji, powtórę — dowiedzenia się, czyli większych sił za górą nie mamy. Naszych 5 baterii w momencie zdemontowano, a wozy prochowe w powietrze wysadzone zostały. Cesarz, widząc swoją artylerję zniszczoną, a nasz batalion, lubo w takim ogniu i na

wzgórku niczem niezasłoniętym, nieustępujący ani kroku, wysłał do nas swego generał-adjutanta Bronikowskiego. Gdy ten do nas przybył, widząc nas w tak strasznym ogniu, zbliżył się do naszego dowódcy i oświadczył, że, nim objawi polecenie cesarskie, obowiązkiem jego jest w imieniu cesarza uściskać wszystkich oficerów

— 364 —

tego batalionu, czego dopełnia na osobie dowódcy. To mówiąc, uchwycił za szyję naszego podpułkownika Błęszyńskiego i dodał, że cesarz za nieustraszoną i wytrwałą naszą przysłał 15 krzyżów legii honorowej oraz daje temu batalionowi nazwę „batalionu walecznych”.

Gdy Bronikowski doniósł o naszym położeniu cesarzowi, przysłano znowu kilka baterii artylerii, która dnia tego cztery razy zmienioną w tym punkcie była. To, co donoszono było w biuletynach, a nawet i w opisie życia Napoleona, o morderczym ogniu pod Wachau, odnosi się wszystko do naszego punktu, ale tego nigdy szczegółowiej nie wyjaśniano, Francuzi bowiem, dla niezaśmiania sławy swego oręża, nigdy w biuletynach nie umieszczali obcego narodu, któryby się przyczynił do zwycięstwa¹⁾.

Szczególniejsze zdarzenia, jakie w tym ważnym punkcie zaszły, nie od rzeczy będzie wymienić.

Lubo nasz batalion bez planu został postawiony na tej nowej pozycji, t. j. na samym szczycie wzgórza, było to najszcześniejsze miejsce, jakie się zdarzy kiedy. Kto inny, działający z planem byłby batalion postawił tuż za górą, aby jedynie dać poznać nieprzyjacielowi o naszej obecności, a tymczasem by się zakrył owym szczytem gór. Nasz dowódca nieustraszony, podpułkownik Błęszyński postawił nas w miejscu odkrytym, nawet przed górą. Gdy przeto nieprzyjaciel usiłował nas spędzić morderczym ogniem i kule najgęściej się o nas ocierały, przecie dotąd ani jeden człowiek nie został zabity ani ranny, byliśmy tylko obsypani przez rokoszujące granaty piaskiem. Lubo staliśmy

¹⁾ Epizodu tu opisanego — nie znaleźliśmy nigdzie. Autor myli się tylko, mówiąc, że do jego pułku odnosi się wzmianka o morderczym ogniu pod Wachau. Skądinąd wiemy, że pułk 12-ty bił się cały dzień pod Döllitz, gdzie brał udział w rozbiciu kolumny austriackiej Meerfeldta, która zdołała się przeprawić przez Pleissę. Pułk 12-ty stał wówczas w kolumnach, obok traktu prowadzącego do Lipska, tzn. traktu czeskiego.

— 365 —

na wyniosłym miejscu, ale ten punkt dla artylerii był trudny: kule albo wprost przenosiły, albo, rokoszując, o wzgórek się odbijały i także przenosiły. Oswoivszy się z niemi, staliśmy już spokojnie. Tymczasem artyleria francuska, która stała od nas na prawo na 30 kroków, rażona była okrutnie. Gdy się to dzieje, porucznik Krukowski z naszego batalionu, zniecierpliwiony ciągłym owym armatnim ogniem, ciągle przed przechodzącymi kulami uchodził. Nareszcie słyszę, że do swoich kolegów mówi: „Dlaczego nas dowódca na tak niebezpiecznym miejscu postawił, wszakby to było wszystko jedno, gdybyśmy choć o piętnaście kroków za wzgórzem stali, a nie przed nim. Zobaczycie, że tu z nas i noga nie ujdzie”. Każdy z oficerów potakiwał jego twierdzeniu, ale odmienić stanowiska nie było można bez rozkazu dowódcy. Gdy Krukowski nie zrobić nie mógł ze swoimi propozycjami, ośmielił się toż samo zaproponować dowódcy, który, dumny ze swego mądrego postawienia batalionu, odrzucił z pogardą projekt Krukowskiego, mówiąc: „Ani cała się nie ruszę, a WPan jeżeli się boisz, to idź w tył, choćby nawet do Lipska”. Po takiej odpowiedzi ktoś z obecnych radzi Krukowskiemu, aby próbował jeszcze udać się do mnie, w nadziei, że jako najstarszy kapitan, a do tego zostający w bliższych stosunkach z dowódcą, wpłynie na niego. Gdy Krukowski przybył do mnie, powtarzając swoje życzenia, które już wszystkie dobrze słyszałem, odpowiedziałem mu na to: „Cóż to szkodzi, że tak stoimy, kiedy widzisz, że żaden jeszcze człowiek nie zginął, a przy tem nie odważę się mówić, aby mnie nie spotkała podobna odpowiedź od dowódcy”.

Stałem wówczas przed frontem kolumny, będąc dowódcą kompanii grenadierów. Krukowski spoglądał niecierpliwie na ziewające paszce dział, które, kierowane na nas, sypały grad kul. Gdy się tak obraca koło mnie, spostrzega artylerię austriacką, która zajeżdżała na nową pozycję na wzgórek nad Elsterą, chcąc nam szkodzić z prawego

— 366 —

boku. Schwyciwszy mnie pod lewą rękę, wykręcił mnie Krukowski na prawo, mówiąc: „Teraz-to dopiero oni nam tu dadzą z tych oto dział z boku”. W tem z pierwszego z owych dział zakurzył się dym, a w końcu widzę kulę rokoszującą ku nam. Jak się zdawało z dyrekcyi, kula miała nas minąć, ale, gdy szła na ostatni rekosz, widać zmieniła dyrekcyę i trafiła Krukowskiego w lewe biodro. Ten, trzymając mnie za rękę, przez impet kuli został porwanym najmniej trzy kroki, ale i mnie niemało za sobą pociągnął. Padł nawznak, a z nogi zgruchotanej aż szpik na ziemię wyleciał, a odzież w płatki się rozleciała. Odzywa się tedy do mnie ostatnimi słowy: „Kapitanie, widziałem już dawno moją śmierć”. Kazałem natychmiast go odnieść, będąc przerażonym tym wypadkiem, bo śmierć mi go prawie z rąk wydarła. Oprócz Krukowskiego, przez cztery godziny stojąc w owym ogniu, nie mieliśmy zabitych ani rannych. Ja tylko dostałem uderzenie od skorupy ułamanej od granata, ale nieszkodliwie.

W końcu przybyły na nasz wzgórek nowe baterie artylerii francuskiej i 14-cie czworoboków piechoty francuskiej, a na ten widok nieprzyjaciel musiał się cofnąć. I to jest to, co w biuletynach doniesione było, że dnia tego zwycięstwo przechyliło się na stronę Francuzów — przez otrzymanie pozycji pod Wachau¹⁾.

Po opuszczeniu przez nas owej pozycji, którą sądzono potrzebną dla artylerii, nasz batalion pociągnął przed wieś Wachau dla zasłonięcia w niej przeprawy²⁾. Było to przejście z deszczu pod rynnę, bo jazda nieprzyjacielska usiłowała zająć tę przeprawę, przez którą

¹⁾ Wyżej nadmieniliśmy — jest to pomyłka, pułk 12-ty nie był pod Wachau.

²⁾ Pod Wachau nie było żadnej przeprawy, szczegóły podane odnoszą się niewątpliwie do Döllitz, tylko w takim razie Białowski, opisawszy już wypadki późniejsze, opisuje z kolei wcześniejsze.

— 367 —

mogłaby nam zająć tyły i odciąć od armii. Wskutek usilnego ognia armatniego, skierowanego na ten punkt, wieś Wachau stanęła w płomieniach, a tem samem już byliśmy odcięci. Nasz dowódca, rozpuściwszy większą część swego batalionu w tyraliery, był jak się zdawało, zajęty wielkimi planami, patrząc zawsze w przeciwną stronę. Wtem przysłany ze sztabu major Tysson ostrzega Błęszyńskiego, aby się miał na baczności, gdyż masa kawalerii nieprzyjacielskiej zagraża uderzeniem na nas. Błęszyński, kiwnąwszy tylko ręką, nie zrobił żadnego przygotowania, bo nawet rozsypanych tyralierów nie kazał ściągnąć¹⁾.

Gdy wspomniany major dojrzał już z poza góry pokazujące się hełmy kirasyerów austriackich, krzyknął wreszcie Błęszyński: „Pilnuj się!” Ledwie zdążyliśmy boki czworobokowi zasłonić, bo nie byliśmy w komplecie, gdy owa jazda ciężka z największym impetem na nas naciera. Stojąc na czele ze swą kompanią grenadyerów, rozpoznałem broń jaka nacierała. Wskutek tego przyszedł mi śliczny pomysł. Nasamprzód wstrzymałem strzały, aż się jazda lepiej zbliżyła, a ponieważ byli to kirasyerzy i bezskutecznie było strzelać do ludzi okrytych kirysami, więc kazałem dać ognia rotami, mierząc do koni. Przez zabite konie pierwszego szeregu, następne szeregi się wywracały i karki kręciły, tak że po krótkim ogniu kirasyerzy spieszenie zawrócili, zostawiając mnóstwo koni i trupów.

Po odparciu jazdy znowu przysłało nam rozkaz, aby się cofnąć. Tymczasem nasz dowódca nieporuszony ani piędzi ziemi nie ustępuje. Kirasyerzy, uszykowawszy się znowu, rozpoczynają powtórny szarżę, ale teraz już nie na moją kompanię, ale na prawą ścianę czworoboku. Ta ściana, będąc wzmocniona przez tyralierów, którzy się do kolumny zebrali, odparła ze stratą nieprzyjaciela, przyczem wskutek mego pomysłu ciągle do koni strzelano. Po ustąpieniu powtórnej jazdy, mieliśmy czas cofnąć się bliżej

¹⁾ Szczegółów dalszych stwierdzić nie mogliśmy.

— 368 —

ku swoim za ów promień błota, gdzie bylibyśmy już zabezpieczeni od napadu jazdy.

Nasz dowódca nie skorzystał jednak z tej okazji i zatrzymał batalion na miejscu. Skutek był ten, że jazda uderzyła znowu i ogarnęła nas ze wszystkich stron. Mając już w komplecie batalion, odparliśmy i teraz wszystkie szarże. Te napady jazdy były z planem, bo, lubo forsownie nacierano, ale więcej dlatego, abyśmy zostali na miejscu, nim jęczy piesi nadbiegną. Gdy widać wszystko tam uporządkowanemu zostało, uderza po raz czwarty owa jazda, za którą biegnie kłusem piechota. Jazda rozdzieliła się na dwie strony, odsłaniając nas na strzały piechoty, która po odskoczeniu jazdy znalazła się przed nami w odległości 30 kroków. Dopiero to nasz Błęszyński żałował swojego uporu, gdy zaczęli ludzie padać. Gdy się nasze szeregi przerzedzały, jazda czekała po bokach, aż większe spustoszenie szeregów nastąpi i dopiero wtedy zamierzała, rozbiwszy nas, rozsiekać. Stojąc na boku czworoboku, chociaż byliśmy przedewszystkiem wystawieni na strzały piechoty, przecież dla zmuszenia jazdy do ustąpienia, strzelać na też ukośnie kazałem. Skończyło się i tak dość szczęśliwie dla nas, gdyż noc położyła koniec bitwie. Gdyśmy pozostali na miejscu, przybył w końcu znowu adjutant pułkowy z najsurowszym rozkazem, aby natychmiast się cofnąć, dodając, że już od godziny ustał ogień na całej linii, a ta kolumna wszystkich alarmuje. Dopiero przecie ruszyliśmy z owego miejsca, zostawiając je trupem i rannymi zasłane.

Gdyśmy się ruszyli, z trudnością można było przebyć zawałę z koni naokoło leżących. Nie będąc pewni, czy nieprzyjaciel ustąpił, cofaliśmy się, sformowawszy się w czworobok. Gdyśmy przyszedli do obozu, pułkownik, lubo nam winał pochwał od cesarza oświadczonej, ale niemniej dał napomnienie Błęszyńskiemu za upór w niewykonaniu rozkazu, dodając, że sam niepotrzebnie wysunął się

— 369 —

i wystawał w takim położeniu, że nie mógł spodziewać się od swoich żadnego wsparcia.

Po upływie dobrej godziny przychodzi do nas rozkaz, że nieprzyjaciel, wskutek tej bitwy na wszystkich punktach odparty, cofnął się i że dnia jutrzejszego armia postępuje naprzód ¹⁾. Widząc postępującą szosą oddziały z artylerią konną, zaproponowałem swemu dowódcy, aby można było pójść na ów plac boju dla dania pomocy naszym tam pozostałym rannym. Gdy na to zezwolił, udaliśmy

się, wzięwszy żołnierzy ze sobą dla odniesienia rannych z pola. Obliczyłem straty, jakie z przyczyny ostatniej bitwy ponieśliśmy: w mojej kompanii miałem dwóch podoficerów i 19 żołnierzy zabitych, a 35 rannych, 2 oficerów (oprócz Krukowskiego) zabitych, 3 rannych. Podobne były straty we wszystkich kompaniach naszego batalionu. Poznosiliśmy naszych rannych do pobliskich domów, gdzie ich w ten moment opatrzone. Dopiero wtenczas przekonaaliśmy się, jaką nieprzyjaciel poniósł stratę w koniach, których nietylko wał wokoło otaczał czworobok, ale i po polu niemało porożniętych leżało. Na drugi dzień, t. j. 17-go października, głęboka cisza panowała, jakby obie strony potrzebowały spoczynku. Nieprzyjaciel cofnął się na wszystkich punktach. Chociaż dnia wczorajszego zapowiedziane było postępowanie, przecież to nie nastąpiło i pozostaliśmy na miejscu.

Nasz dowódca poczynił przedstawienia do przeznaczonych nam 15 krzyżów, i ja zostałem podany na pierwszym miejscu.

¹⁾ Jest to mylnem. Ani nieprzyjaciel nie cofnął się, ani armia francuska nie otrzymała rozkazu posunięcia się naprzód.

Cały dzień 17-go października był dla armii francuskiej, wyjąwszy korpus Marmonta, dniem spoczynku.

Nasz autor nie wspominał o bytności Napoleona w obozie polskim w tym dniu, ani o mianowaniu księcia Józefa marszałkiem, choć oba te fakty wielkie wywarły wśród naszych oficerów wrażenie.

— 370 —

Po użyciu błogiego odpoczynku, około północy stanęliśmy pod bronią. Następnie udaliśmy się w tył, to jest bliżej Lipska, gdzie nową zajęliśmy pozycję. Nadedniem przyszedł znowu rozkaz, aby cała piechota z trzech we dwa szeregi sformowała się ¹⁾. W owym rozkazie wyjawionem zostało, jakie korzyści można ciągnąć z tej zmiany, że wówczas kula, gdy weźmie rotę, weźmie tylko dwóch a nie trzech ludzi.

Ale nie ten to był cel rozkazu Napoleona. W rzeczywistości cesarz chciał pokazać nieprzyjacielowi o jedną trzecią część siłę większą. Gdy przyszło do boju, nieprzyjaciel nie mógł odgadnąć owej nagłej zmiany, widząc armię francuską pomimo onegdajszej straty powiększoną o jedną trzecią.

Zostawiam rzeczy na moment w tem położeniu z tej strony Lipska, a zajrzyjmy na drugą stronę Lipska i Elstery, gdzie między innymi korpusami znajdował się i korpus generała Dąbrowskiego ²⁾. Wiadomo zapewne każdemu, że nieporozumienie i nienawiść Dąbrowskiego z Poniatowskim, z powodu intryg przez ostatniego ciągle knowanych, czyniły między nimi rozdział. Dąbrowski, który był lubiany od Napoleona, jako taki, który przez 17 lat dowodził legionami włoskimi ³⁾ i dał świetne dowody swych zdolności, ale dzisiaj był młodszym w starszeństwie od Poniatowskiego, któremu urodzenie nadało przewagę. Po odwróceniu z Moskwy, Dąbrowski był zostawiony w obserwacji Bobrujska, w końcu nam przybył w pomoc nad Berezynę —

¹⁾ Rozkazu podobnego nie znamy. Korpus 8-my nie cofnął się z zajmowanego stanowiska, cofnięto tylko bliżej do Lipska z centrum i z prawego skrzydła francuskiego — korpusy 2-gi, 5-ty i 11-ty.

²⁾ Dywizja generała Dąbrowskiego w dniu 16-go października znajdowała się na północ od Lipska, pod Pfaffendorf — naprzeciw armii śląskiej Blüchera.

³⁾ Cyfra jest mylna: rachując od roku 1796 do 1806, otrzymamy lat 10.

— 371 —

jak wyżej powiedziano ¹⁾). Gdy następnie ogólne cofanie nastąpiło, starał się w czasie tego Dąbrowski z swą dywizją od księcia odłączyć. My po przejściu Wilna skierowaliśmy się ku Grodnu, Dąbrowski udał się wprost traktu na Kowno a następnie przez Poznań i i Prusy nad Ren ²⁾). Następnie, zorganizowawszy sobie korpusik, złączony z nowo utworzoną armią francuską, działał oddzielnie od nas, tak że obecnie znajdował się po drugiej stronie.

Dzień 17-go października, ów dzień ciszy i spokoju posłużył cesarzowi do układania planów na dzień następny, do stoczenia decydującej bitwy. Wśród tego kazał cesarz przywołać do siebie generała Sokolnickiego, oficera najwaleczniejszego który wówczas należał do sztabu cesarskiego ³⁾). Temu polecił, aby dnia 18-go, jako dnia stanowczej rozprawy, wziął pod swe dowództwo całą jazdę polską, w której dowodził brygadą generał Krukowiecki ⁴⁾). Ten dowiedziawszy się o postanowieniu cesarskim, udaje się do cesarza, mówiąc: ⁵⁾ „Lubo szanujemy rozkazy N Pana, przecież,

¹⁾ W kampanii r. 1812, dywizja Dąbrowskiego w dniu 23-go sierpnia otrzymała rozkaz cofnięcia się z drogi do Smoleńska i udania się pod Bobrujsk dla obserwowania tej twierdzy i zastąpienia guberni mińskiej i wileńskiej od napaści korpusu generała Hertela. Z wielką armią złączyła się dywizja dopiero w dniu 28-listopada 1812 roku.

²⁾ Generał Dąbrowski organizował swój korpus w Wetzlar. — Z korpusem księcia Józefa zetknął się dopiero w w trzecim dniu bitwy Lipskiej.

³⁾ Generał Sokolnicki nie był w sztabie cesarskim, od czasu organizacji w Zittau — dowodził on dywizją jazdy w korpusie księcia Józefa.

⁴⁾ W dniu 18-go października Sokolnicki dowodził tylko jedną dywizją jazdy korpusu 8-go. Krukowiecki należał do korpusu generała Dąbrowskiego i dopiero w dniu 18-go samowolnie przeszedł do 8-go korpusu.

⁵⁾ Cała opisana poniżej scena — miała miejsce już po bitwie pod Lipskiem, w dniu 20-go października, o czym niżej.

— 372 —

znając rzeczy bliżej, ośmielał się zrobić tę uwagę. Generał Sokolnicki, któremu jest powierzone dowództwo jazdy polskiej, nie posiada żadnego zaufania w narodzie, bo ciągle jest od niego oddalonym i prawie go naród nie zna (co było fałszem, bo Sokolnicki okrył się chwałą w r. 1809, czego sam byłem naocznym świadkiem pod Grochowem, Górą i Sandomierzem). W miejsce wspomnianego generała życzyłbym, jako wierny i przywiązany Polak, oddać dowództwo generałowi księciu Sułkowskiemu, który pochodzi ze starożytnej rodziny i sam już dał dowody waleczności, posiadając w całym znaczeniu tego słowa ufność narodu”.

Cesarz, lubo pierwszy raz widział Krukowieckiego, ale owa nadzwyczajna śmiałość jego podała go w podejrzenie Napoleona. Rozkazawszy tedy zatrzymać się Krukowieckiemu, kazał się stawić Sokolnickiemu. Gdy się znaleźli obadwa przed cesarzem, tenże odezwał się do obecnych: „Oto ten generał (wskazując na Krukowieckiego) twierdzi, że generał nie masz żadnego zaufania w swym narodzie, że daleko by było z większą korzyścią, aby jazdą polską dowodził proponowany przez tegoż generał Sułkowski”. Sokolnicki odrzekł: „Niech się tak stanie, jak N Pan uważa lepiej, ja jestem gotów pełnić rozkazy N Pana”. Cesarz stanowczo rzekł: „Nie, tak będzie, jakem postanowił. Generał masz komendę, a przytem Ci polecam, że, gdy przyjdzie do boju, pamiętaj, abyś tego generała postawił w dobrym miejscu. Żegnam Panów!” ¹⁾).

Wskutek powyższych postanowień, gdy się dnia 18-go rozpoczęła bitwa, Krukowiecki otrzymał rozkaz, aby ze swą brygadą udał się w asekurację armat. Gdy w ów punkt natarczywie parli Szwedzi, Krukowiecki wśród boju, chcąc niby usunąć się przed nimi i z pod komendy Sokolnickiego, opuszcza swą pozycję i działa i udaje się przez

¹⁾ Opis zupełnie bałamutny: scena 20-go października inaczej się rozegrała.

— 373 —

Lipsk pod komendę Poniatowskiego, bez odebrania na to rozkazu ¹⁾), czego sam byłem świadkiem.

Dnia tego przy ostatnim cofaniu się naszym pod miasto, ujrzelśmy naszą jazdę dotąd nam nieznaną (bo z korpusu Dąbrowskiego), stojącą między wiatrakami pod miastem, na której czele ujrzelśmy wspomnianego generała. Wskutek opuszczenia stanowczej poczty i artylerii cofnąć się musiała, a w opuszczonej lukę wdarł się nieprzyjaciół, zagrażając naszej linii. Gdy spostrzeżono owo opuszczenie i zajęcie owej pozycji przez nieprzyjaciela, posłano natychmiast brygadę piechoty dla odzyskania pozycji. Taż zmuszona była bagnetem pozycję odzyskać, poniósłszy krwawą stratę. Wskutek tych i podobnych uchybień swym obowiązkom, generał Sokolnicki wydał później broszurę, opisującą ostatnią kampanię, w której nie przepuszczając innym, umieścił w niej i to uchybienie generała Krukowieckiego ²⁾). Ten, dowiedziawszy się o tem, postanowił sposobem pojedynku pomścić się i przyrzekł do śmierci nie zapomnieć tego, aż zgon generała Sokolnickiego (jak będzie niżej) koniec temu położył.

W kontynuacji mojej powieści, gdy w dniu 18-go staliśmy pod bronią, oczekując owej krwawej bitwy rozdzielono piechotę, jak następuje: Cztery pułki udały się pod Lipsk i umieściły się po prawej stronie jego na błoniach nad Elsterą, którą obserwowały, aby nieprzyjaciół tym punktem nie dostał się do miasta, a zarazem w środek naszej armii. Nasza brygada, składająca się z pułku

¹⁾ Krukowiecki dowodząc 17-tą brygadą jazdy dwukrotnie popełnił akt niesubordynacji w bitwie pod Lipskiem: raz opuszczając samowolnie Dąbrowskiego, drugi raz — opuszczając w dniu 18-go paźdz. wskazane sobie stanowisko.

²⁾ Jest to praca p. t. „Journal historique des opérations de la 7 division”. Paris 1814. Z powodu niej miało rzeczywiście przyjść do pojedynku pomiędzy jen. Sokolnickim i Krukowieckim. — Wspomina o tem Niemcewicz.

— 374 —

nadwiślańskiej piechoty i z 12-go pułku Księstwa Warszawskiego pod dowództwem pułkownika Malczewskiego, najwaleczniejszego oficera, jakiego posiadała nasza armia, została wysunięta naprzód, tworząc prawie centrum przy szosie ¹⁾). Po prawej naszej stronie stały dwie dywizje Sasów, które po rozpoczęciu ognia natychmiast ruszyły w szyku bojowym, mając działa

odprzodkowane i prowadzone na linach naprzód. Zmierzały ku małemu laskowi, położonemu przed naszą linią bojową, a który był obsadzony przez naszych tyralierów, gdyż to był punkt dla nas bardzo ważny.

Sasi zbliżyli się do owego lasku, a będąc już blisko nieprzyjaciela, zatrzymali się i dali ze wszystkich swych dział ognia do nas²⁾. Ruszyli następnie do nieprzyjaciela, który im lukę w swej linii otworzył, a później ich zasłonił. Cesarz, spostrzegłszy ową zdradę, rozkazał następnie ruszyć dywizji jazdy gwardii, która stała w rezerwie pod miastem dla ścigania wiarołomnych³⁾. Ale Sasi byli już pod zasłoną nieprzyjacielską ukryci. Dywizja owej gwardii tymczasowo zamknęła otwartą przez Sasów lukę, aż nadeszły znowu dwie niemieckie dywizje w to miejsce⁴⁾. Kiedy się to dzieje, nasz dowódzca Malczewski, chcąc uświetnić a razem otworzyć wółubieganie się innym do nagród, postanowił ogłosić listę, na której umieszczeni byliśmy za bitwę z dnia 16-go do krzyżów legii honorowej, na której byłem najpierwszym. Po odezwie swej do całej

¹⁾ W dniu 18-ym października dywizja Małachowskiego, do której należał pułk 12-ty, zajęła stanowisko pod Connewitz, a jej forpocztę były wysunięte daleko przed linią bojową.

²⁾ Koło Connewitz nie było wcale Sasów. Scena, którą autor opisuje, miała miejsce na północny wschód od Lipska między Paunsdorf i Taucha. Sasi strzelali do francuskiej dywizji Durutté'a, nie do dywizji Małachowskiego.

³⁾ O prześladowaniu Sasów nie mogło być mowy, ledwie zdołano uratować napadniętą tak zdradziecko dywizję Durutté'a.

⁴⁾ Autor myli się. Nadeszła francuska dywizja Delmas'a.

— 375 —

brygady, w której mówił, iż dumnym się być widzi, będąc dowódcą brygady, którą składa batalion 2-gi pułku 12-go piechoty, który w ostatniej bitwie zasłużył sobie na względy cesarza przez nieustraszoną wytrwałość w utrzymaniu tak ważnej pozycji, oświadczał, że cesarz przeznaczył 15 krzyżów dla więcej odznaczonych w tej bitwie i w dodatku batalionowi miano „waleczny” nadał¹⁾.

Gdy wyszliśmy przed front po odbębnienu do rozkazu, każdego z nas ozdobił w miejsce dekoracji wstążeczką tegoż krzyża, przy zwykłym uścisku, jaki był wówczas zwyczaj. Już to była piąta dekoracja dla mnie przeznaczona, a przez podłą intrygę znowu mnie ominęła. Wtem nadjechał z liczną świtą nasz książę Poniatowski, który w dniu tym²⁾ otrzymał stopień marszałka państwa francuskiego. Z tego tytułu nasz dowódzca powitał go w nowym stopniu przez potrójny okrzyk³⁾. Ponieważ staliśmy w pierwszej linii, nieprzyjacieli sądził, że to był cesarz. Skierował działo na ten punkt i przysłało kilkanaście kul i granatów, które ubiły kilkunastu ludzi. Książę okazał stąd swoje nieukontentowanie, dodając, że niepotrzebnie te okrzyki kilkunastu ludzi życia pozbawiły. Już odjeżdżając, zwrócił znowu konia, jakby czegoś zapomniał, i zapytał się: „Gdzież-to jest, panie pułkowniku, major tego pułku?” Odpowiedziano: „Chory w Lipsku“ „Chory”, — powtórzył z przyciskiem książę — „wiem, Kanonenfieber” i dalej ruszył. Trudno opisać, jak wielu generałów, sztabsoficierów i niższych stopni oficerów haniebnie wówczas splamiło charakter narodu naszego.

¹⁾ O nazwaniu batalionu „walecznym” nie wiemy. Biuletyn Lipski wspomina o rozdaniu znacznej ilości krzyżów Polakom.

²⁾ Autor myli się, jak już wiemy.

³⁾ Nominacja księcia Józefa na marszałka, jak świadczy A. Ostrowski, dość niechętnie przyjęta była przez oficerów polskich, dopiero zapewnienia ks. Józefa, że to w niczem nie zmieni jego charakteru wodza wojsk polskich, uspokoiły opinię.

— 376 —

Następnie rozpoczęto ogień armatni morderczy przed naszą linią, gdyż był to punkt stanowczy. Rozstawiono koło nas liczną artylerię gwardii, (tak zwaną piekielną), która mocno się związała w dawaniu ognia. Później rzadkie ich były strzały, a nareszcie spostrzegliśmy, pomimo najgęstszych strzałów nieprzyjacielskich, długie pauzy w strzelaniu, a na koniec — ze zdziwieniem widzimy, że owi kanonierzy posiadali na lawetach, nie strzelając. Dowiadujemy się, że zaraz z rana przy rozpoczęciu bitwy dowódzca artylerii francuskiej zawiadomił cesarza, że niema amunicji więcej, jak na cztery godziny¹⁾. Polecono przeto na całej linii oszczędzać amunicji i wskutek tego to artyleria nasza odpowiadała może na dziesiąty strzał, podczas gdy nieprzyjacieli ponawiał gęsto swe armatnie strzały na naszą artylerię i kolumny. Gdy kule znaczne spustoszenia w szeregach robią, tu widzieć można było odwagę każdego, jaką posiadał. Nie wymieniam jednego z naszych sztabsoficierów, który w garnizonie udawał zucha, a tu, widząc ze swego stanowiska poza kolumnami z tyłu, jak kula wpadła jakby między kręgle i powaliła kilku ludzi, niby gorliwy o taką stratę, pyta się, czy dużo zabiła, gdzie padła, a za każdym razem popija arak z butelki, znajdującej się w olstrach. Ten znowu, który to starał się mnie zgubić, bulionowe swoje szlify (pomimo pogody i ciepłego dnia tego) otulił płaszczem i, jak był wzrostu małego, jeszcze zmniejszył swoją figurę, tak, że można było myśleć, że to jakiś dzieciak się kręci. Jego powinnością, jako sztabsoficera, było być na koniu. Gdy mu służący jego przyprowadził konia, ten, wyłajawszy go, nakazał mu, aby się oddalił natychmiast i z koniem więcej się nie pokazywał.

Prawda, że to było przerażające, gdy kolumnę kule przeszywały, a często się zdarzało, gdy którego żołnierza

¹⁾ Amunicji w d. 18-go października było jeszcze dosyć, ale artyleria francuska ponosiła wielkie straty i wiele baterii zmuszonych było do milczenia.

— 377 —

kula ugodziła, to aż kiszki wyleciały, a ten leżał w miejscu, w którym stał poprzednio. Gdy co dopiero rozmawiał, w tej minucie już kona. Sam uważałem, że gdy na niego żołnierze wzrok zwrócili, można było ich uważać za stojących jeszcze, ale już umarłych; mieli okropne oczy, wzrok zmieniony, bladeść prawie trupia malowała się na każdej twarzy.

Powiedziawszy coś o wyższych, nie od rzeczy będzie też nadmienić o niższych stopniach. Przychodzi mi tu na myśl tyle razy wspomniany w mych powieściach porucznik Tarnawski, który lubił sobie często żartować w różnych okazyach i gdy byliśmy w Moskwie i za nią, ile razy zdarzyło mu się zobaczyć żołnierza albo chłopca do niewoli wziętego, zbliżał się do niego i, po zapytaniu się o niektóre szczegóły po rusku, prawie zawsze kończył pytaniem ironicznym: „A czija tiepier Moskwa?” Jeniec nie mógł inaczej odpowiedzieć w owej chwili, jak: „Wasza”. „A wy czii?” „Waszi”. „A armia wasza czija?” „Wasza” i t. p. Tak weszło prawie w zwyczaj, że naśladowano Tarnawskiego i, skoro zobaczono jakiegoś ruskiego żołnierza, zaraz mówiono: „A czija tiepier Moskwa?” Tymczasem dużo czasu odtąd upłynęło i jakoś to poszło w zapomnienie. Gdy obecnie przeszywają nas gęste kule, Tarnawski, lubo był w innym batalionie, ale, chcąc się przedemną uznać, przybiega do mnie zakłopotany i mówi: „Kapitanie, chyba do nogi wyginiemy, i dodał, już nawet z tamtej strony działa grają”. Widząc jego przestrach, przypomniałem sobie, jak i on

nie raz owych jeńców strachem przerażał. Na to, co on mi teraz przedstawiał, odzywam się żartem: „A czija tiepier Moskwa?” Tarnawskiego tak to przerażyło, że, uchwyciwszy się obu rękami za głowę, krzyknął, odwrócił się i umknął. Od tej pory jużem go nie zobaczył, aż po powrocie z niewoli w r. 1814. Gdy mu wtedy przypominałem moje powiedzenie, oświadczył mi, że tym żartem takem go przeraził, iż, straciwszy przytomność, pobiegł sam nie wie dokąd.

— 378 —

Następnie był w pułku starszy sierżant, który przez samochwalstwo w garnizonie dopuszczał się nawet kłamstwa. Nie trafiło mi się być z nim jeszcze w boju. Teraz w owym morderczym ogniu nie mógł tenże się wymknąć, bom go miał na oku. Pewnego razu spostrzegam, że tegoż dwóch żołnierzy za ręce prowadzi. Zabiegam mu drogę z przodu, chcąc widzieć, gdzie ranny, ale widzę, że zupełnie zdrow. Robił tylko różne pantominy, jakby był śmiertelnie rannym. Przypomniawszy mu samochwalstwo, kazałem żołnierzom puścić go i udać się na swoje miejsce. Ten natychmiast zniknął mi z oczów i już go więcej nie ujrzałem.

To wszystko dzieje się od rana do południa ¹⁾. Gdy doniesiono, że ów lasek, o którym wspomniałem, został zabrany przez nieprzyjaciela, posłano natychmiast cztery kompanie 8. pułku piechoty dla odebrania go. Skoro ten oddział biegiem doszedł, rozpoczęto żywy ogień. Nagle przypada do nas adjutant sztabu z poleceniem, aby jak najspieszniej udać się w to miejsce, że tam jest sam cesarz obecny. Jeżeli, mówił, za dziesięć minut nie podążymy, las będzie wziętym. Cała nasza kolumna, jakby piorunem rażona, ruszyła kłusem z miejsca. Kierując się ku owemu laskowi, potrzeba było przebywać znaczniejsze wzgórze.

Piechota austriacka, która walczyła naprzeciw nas, zajmowała także ów las, a następnie stało na pozycji około 80 dział, których celem było niedopuszczać nas do owego lasu. Gdy wybiegliśmy na owo wzgórze, artylerzyści

¹⁾ Cały następny opis Białkowskiego stosuje się do walk, staczanych między Connevitze i Doelitz i gdzie znajdował się opisywany przez autora lasek. Austriaków raz odparto. Gdy przybyły im posiłki, dywizja Wimpfena zdobyła wieś Doesen i lasek. Z lasu ją wyparto, ale nowe posiłki austr. i rosyj. pozwoliły nieprzyjacielowi utrzymać się w Doesen. Mimo to „zadanie kolumny nieprzyjacielskiej nie zostało spełnionem”, gdyż Polacy utrzymali Connevitze. Walka na tym punkcie była bardzo gorąca i przypuszczamy, że w tem miejscu nasz pamiętnik ma pewną wartość źródłową.

— 379 —

nieprzyjacielscy, jak gdyby iskrą elektryczną poruszeni, rzucili się do swych dział, które skierowano na nas i sygnęto gęstym ogniem. Okropny widok się przedstawił. Kule i granaty, gdy się skupiły przed naszą kolumną, prawie całą powierzchnię ziemi przed nami przewróciły. Gdy doszły do nas, zdawało się, że impet ich wiatru nas poobala. Mnie samemu kula zniosła biermycę z głowy. Nietylko ten pierwszy war kul nas spotkał, ale kilkakrotnie powtarzano strzały, dopóki nie spuściliśmy się z owego wzgórza. Gdym

się na nie obejrzał po przejściu, całe było pokryte naszym trupem. Dobiegając do lasu, w którym się bił pułk 8-my, spotykam podoficera tegoż pułku, któremu kula nogę urwała pod kolanem, a ponieważ kość była wzdłuż strzaskana, jeden jej ostry koniec sterczał, a reszta nogi tylko z tyłu na skórze się trzymała. Gdy go dwóch żołnierzy niosło i noga przez ten ruch się kiwała, przeto ten ostry koniec kości urażał i kaleczył zdrowe jeszcze ciało. Ów podoficer był tak jeszcze młody, że nie liczył jak 18 lat życia. Zniecierpliwiony, prosi, aby wiszącą nogę oderznięli. Gdy żaden nie chciał tego uczynić, pyta, czy który nie ma noża. Jeden z żołnierzy dobył tak zwany „cyganek” i podał go owemu podoficerowi, a ten, sięgnąwszy swej nogi, jedną ręką, drugą zaczyna rznąć nogę na skórze wiszącą. Ponieważ ów cyganek nie był ostry, przeto tępym nożem rznął po skórze i żyłach dosyć długo, a nareszcie, urznąwszy nogę, rzucił ją w górę, dodając do tego wykrzyk: „Niech żyje Napoleon!”, właśnie jak gdyby robił temuż z pozbytej nogi ofiarę. Ta rezygnacja owego mocno nas obecnych przerażyła, zwłaszcza tak młodego chłopca.

Skoro weszliśmy wów lasek, który składał się z drzewa olszowego i wierzb starych, nasi, broniący go, już byli u brzegu tegoż, nie mogli się już w nim utrzymać. Gdy nasz pułk cały przybył, rozsypawszy się gęsto, rozpoczął się ogień tak gęsty, jak gdyby się gotowało. Nieprzyjaciel, lubo liczny, ustępować zaczął, a my w końcu opanowaliśmy lasek. Nieprzyjaciel po ustąpieniu z lasu, począł

— 380 —

uciekać na prawo, a to dla odsłonięcia nas na strzały armatnie. W małej odległości za laskiem na wzgórką była ustawiona artyleria nieprzyjacielska, z dział pozycyjnych złożona. Ta, po odsłonięciu nas przez swoją piechotę, sygnęła na nas rżęsim ogniem kartaczowym, z czego naszych mnóstwo trupa legło. Potem owa piechota, cofając się, połączyła się ze swą rezerwą i uderzyła na nas z krzykiem z bagnetem w rękę. Lubo przyjęliśmy ich rżęsim karabinowym ogniem, lecz przemagającej sile znowu ustępować

zaczęliśmy — w głąb lasu. Oparłszy się w lesie, chcieliśmy się w nim utrzymać, gdy masa nieprzeliczonej piechoty austriackiej, nietylko zbliżyła się do nas tak blisko, że papier od ładunków pomiędzy nas wpadał, ale do tego, oskrzydliwszy ów lasek z nami, groziło nam zabranie. Malczewski, ten nieustraszony oficer, rozkazał, stojąc na miejscu, aby całą brygadą (bo już przybył nam w pomoc i pułk legii nadwiślańskiej) uderzyć w bębny do ataku, jak gdybyśmy na nieprzyjaciela nacierali. Skrzydła nieprzyjacielskie, nie wiedząc co się w lasku działo, sądziły, że środek ich pędzimy i zaczęły uciekać, co z kolei i środek uczynił, bo tenże znowu sądził, że posiłki nam z boku przyszły. A zatem ten pomysł pułkownika był bardzo szczęśliwy. Tym razem, po wyparowaniu piechoty owej, już nie wychyliliśmy się z lasu, aby nie być od armat rażonymi. Nieprzyjaciel, widząc, że nie wychodzimy za uciekającymi z lasu, już nie kartaczami ale kulami i granatami w ów lasek rozpoczął strzelać. Lubo na ślepo, nie widząc nas, strzelał, ale kule wskroś przeszywając ów lasek mały, strasznie nas raziły. Artyleria nieprzyjacielska, widząc wypędzoną swą piechotę, skierowała swe działa na nasz pułk i raziła tak morderczym ogniem, iż wyznać mogę śmiało, że przez cały ciąg służby mojej, w tylu odbytych kampaniach, nie byłem w podobnym armatnim ogniu ¹⁾.

¹⁾ Stwierdzają to wszyscy uczestnicy bitwy Lipskiej.

— 381 —

Nie jeden z nas myślał, spojrzawszy po ziemi, że to już jest ziemia, która jest dla nas na grób przeznaczona. Po półgodzinnym strasliwym ogniu krzyżowym armatnim, gdy kule w części ów lasek zniszczyły, bo drzewa cieńsze zostały zwalone, grube zaś prześwidrowane, a wierzby zgruchotane, od upadku których nie jeden śmierć poniósł, nastąpiła chwila pauzy. Ta pauza ataku była skutkiem tego, iż nadciągały nieprzyjacielowi posiłki. Po ich przybyciu już nie bataliony, nie pułki, ale dywizje całe piechoty austriackiej uderzyły na nas. Zalałszy lasek ogniem karabinowym, wystrzelano naszych niemało; brygada była już mocno

przerzedzoną. Nie odebrawszy nowych posiłków, byliśmy zmuszeni ustąpić i opuścić las. Przy opuszczaniu lasu odbieramy ostrzeżenie, aby uciekać jak najprędzej na prawo. Co tylko zdążyliśmy umknąć, gdy nieprzyjaciel wysypał się z lasu. Nasze baterie artylerii ustawione na wzgórzu, podobnie jak z tamtej strony lasu nieprzyjacielskie, kropną kartaczami na nich.

Ponieważ nieprzyjaciel był w zbyt przemagającej sile, przeto, widząc zdobyty las, postanowił zdobyć i nasze działa. Wysypała się piechota nieprzyjacielska z lasu, a po odebraniu strzałów z naszych dział, gdy usiłowała na nie uderzyć, atakując w rozsypce, bo las przebyty nie dał zachować szyku, jazda ciężka francuska, będąca w asekuracji owych dział, wypadła z za wzgórza. Uderzywszy na rozsypaną piechotę, wycięła wszystko co przed lasem było, tak, że reszta tylko niedobitków pozostała z całej dywizji śpiesznie las opuściła. Znowu rozpoczęła się kanonada artylerii nieprzyjacielskiej na las, jak pierwiej, ale myśmy go już nie zajmowali, a tak tym razem drzewa tylko więcej ucierpiały.

Nieprzyjaciel, tak samo jak my, uważał ów punkt za klucz do zwycięstwa tej bitwy i parł gwałtownie na niego, aby, zdobywszy go, zejść nam z boku.

Po ostatniej porażce austriackiej piechoty, dość długo trwała pauza. Las był niby opuszczony z obu stron dla

— 382 —

owego armatniego ognia, który coraz zdawał się być rzadszym. Lubo las był opuszczonym, przecież nasze tyraliery w części go zajmowały, będąc poukrywane poza zwalonami drzewami i różnymi zasłonami od armatnich strzałów. Wysunięto ich dla obserwo-wania, co nieprzyjaciel za lasem czynić zamysła, o czym nam ciągle donosili.

Razu pewnego ogień nieprzyjacielski ustaje, a przednie stráže donoszą, że nieprzyjaciel ukazał się w wielkich siłach, zbliżając się ku laskowi, jak doniesiono, w ciemnych kolumnach piechoty, około kilkunastu tysięcy liczących. Doniesiono o tem zaraz cesarzowi, który przysłał w tym momencie galopem brygadę jazdy dla wzmocnienia spieszego tego punktu, a piechota francuska dobiegła kłusem. Gdy strzały naszych tyralierów dały znać o zjawieniu się w lesie nieprzyjaciela, nasza już szczupła brygada sformowała się w kolumny do ataku, mając prawe skrzydło oparte o las, lewe o naszą artylerię, a frontem do wyjścia z lasu. Było polecenie, że skoro nieprzyjaciel wyjdzie z lasu, aby mu w lewy bok uderzyć. Gdy tenże zbliżył się i z straszliwym krzykiem rozlicznych głosów jeszcze zdaleka rozpoczął atak na las, który wówczas już nie był bronionym, a to dlatego, aby znowu nieprzyjaciela, jak pierwiej, urwać. Jakież było nasze podziwienie, gdy nieprzyjaciel po przebyciu lasu bez strzału się wysypuje i zamiast silnej i starej piechoty, w tak stanowczym punkcie ujrzeliśmy powstańców bez palnej broni, jedynie uzbrojonych w halabardy, przytem podpojonych, usiłujących krzykiem i mnogością siły zdobyć działa tej pozycji.

Jenerał francuski, którego nie znałem, dowodzący w tym punkcie, zobaczywszy tego nieprzyjaciela, poleca tak artylerii i nam, aby dozwolić temuż zbliżyć się i wysypać z lasu, aż dopiero za danym znakiem polecenie wykonać. Tak się też i stało. Przypuszczono powstańców prawie pod same armaty, a po wystrzale tychże — jazda

— 383 —

liczna wypadła z lewej strony, a my z prawej. Co więcej, jazda, okrążywszy ów tłum, zaszła mu od lasu, aby po porażce nie zdążył tam uciec.

Nastąpiła nowa rzeź, która ową masę ogromną zniszczyła. Tu dopiero trzeba było widzieć pobojuwisko przed lasem i w lesie, gdzie potrójnie, a może i poczwórnje trupy różnych narodów zostały pomieszan.

W ostatniej wyprawie mało straciliśmy ludzi, ale niestety owa dzicz wszystkich naszych rannych, jeszcze żyjących w pień wykłula. Po sprzątnięciu owej czarnej masy, pauza znowu nastąpiła. Cesarz przybywszy, obejrzał trupem zasłane pobojuwisko. Widząc las niezajęty, rozkazał natychmiast obsadzić go i zająć.

Po połączeniu się z nami piechoty francuskiej, która później nadbiegła, staraliśmy się jak najprędzej z połamanego drzewa i gałęzi u samego brzegu jego od strony nieprzyjaciela ułożyć zasiekę. Tak obwarowawszy się, poukrywaliśmy się w rowach, które, jak się zdawało, były wykopane dawniej, tworząc kapuśniki; tak zasłoniliśmy się od morderczego ognia armatniego. Tymczasem przed samym wieczorem nieprzyjaciel postanowił raz jeszcze próbować zdobycia owego punktu. Ostatecznie masa kolumn węgierskiej piechoty (jako żołnierza, który jądro armii austriackiej stanowił) uderzyła na las. Zbliżywszy się, rozpoczęła silny ogień karabinowy. Nie mogąc przejść zasiek, za ktoremi nasza piechota się znajdowała, ograniczyła się do strzelania i wreszcie, okrywając miejsce to trupem, ustąpiła. Noc coraz więcej rozpościerała swe cienie, a ogień karabinowy i armatni coraz bardziej ustawał, aż z zapadnięciem zupełnej nocy wszystko ucichło. My zostaliśmy pod bronią ciągle, a gdy cofnęły się korpusy za nami będące i następnie artyleria, wkońcu i nam cofać się kazano i rozłożyliśmy się tuż pod murami Lipska po prawej stronie szosy. Po rozłożeniu ognisk doszła do nas wiadomość, że mnóstwo naszych kolegów w tej bitwie ranionych, leży pod ogrodami miasta. Pobiegło nas

— 384 —

kilku z nimi się zobaczyć, a może na wieki pożegnać. Pomiędzy tymi znajdował się wyż wspomniany kapitan Lesiński, o którym wyżej mówiłem. Właśnie przystępowano do niego dla odbycia amputacji nogi. Utracił on obydwie nogi, jedną po kolano, a drugą niżej kostki. Gdym się do niego zbliżył, gdy mnie ujrzał, widać przyszła mu na myśl owa pogawędka pod Stolpem odbyta, bo w tym momencie odezwał się: „A co, nie powiedziałem ci, że będziesz patrzył na moją okropną śmierć? Czy się nie ziściło?” Wtem rozpoczęto operację, której wówczas najlepiej się przypatrzyłem. Nasamprzód ściśnięto sprężyną nogę wyżej rany, następnie chirurg (czyli, jak wówczas nazywano, oficer zdrowia) wziął nóż krzywy, podobny do ogrodniczego, którym bardzo zręcznie oberznął ciało około kości. Potem nóż rzucił, a ciało oberznęte po kości podsunął do góry, ogalając z niego kość. Następnie chwycił za piłkę bardzo ostrą i tą pociągnął po kości parę razy przy samem ciecie. Gdy ta odpadła wziął przygotowany pędzlik, którym oczyścił kość urznątą z trocin jakieby się tam znaleźć mogły. Następnie ciało podsunęte nad amputacją zesunął na dół, zakrywając niem urznątą kość. W końcu igły nawleczonej jedwabiem, połapał żyły w urznięciu będące i te niejako pościągał do środka, wszystko zasypał jakimś proszkiem, jak się zdawało tłuczoną żywicą i całą ranę dobrze obandażował. Operacja w ręku zręcznego lekarza, nie wiem czy 10 minut trwała. Po skończonej operacji Lesiński leżał na słomie, cokolwiek mając głowę wyżej patrzył spokojnie na swe nogi. Pamiętam, przez cały czas jadł jabłko, które mu podano, nie okazując bólu. Jedynie tylko w ten moment, kiedy lekarz kość piłował i gdy w końcu sprężynę odjęto — cierpiał, ale wkrótce się uspokoił i do nas się odezwał:

„Proszę was koledzy, aby po mojej śmierci oddane były rzeczy pozostałe mojemu ordynansowi. Tobie, odezwał się do porucznika Grabowskiego, którego egzekutorem testamentu swych

— 385 —

biednych posiadłości wojskowych robił, ofiaruję konia mego z siodłem”.

Gdy mnóstwo żołnierzy zbiegło się z nami, Lesiński, zobaczywszy jednego żołnierza ze swej kompanii pomiędzy nimi, powiedział: „Dobrze, że sobie jedną rzecz przypominałem. Pamiętasz w którym miejscu nogi straciłem, boś mnie podnosił?” „Pamiętam” — odrzekł żołnierz. „Idź oto, w bucie tej nogi, która tam została, jest pod podeszwą w papierku pięć dukatów”. „Gdyby cała noga była złota nie dotknąłbym się jej”, rzekł żołnierz i zaczął rzewnymi łzami płakać. Wszyscyśmy okropnie płakali, widząc Lesińskiego tak spokojnie oczekującego śmierci. Gdy nas żegnał, oczy jego zmieniły się nadzwyczajnie i zdawało się jakby go sen morzył. Pytano go, czyby mu się spać chciało, na co odpowiedział: „Tak” i zamknął oczy, jakby zasypiał. We śnie zaczął jakby powietrze połykać. Ujrawszy to lekarz, kiwnął głową i do nas rzekł półgłosem: „Adieu, gangrena”. Nie mogąc dalej znieść tego widoku, udaliśmy się do pułku. W godzinę doniesiono nam, że Lesiński już życie zakończył.

Rannych dnia tego taka ilość z naszej strony była, że nietylko przepełnione zostały lazareta, domy prywatne, trotoary przy ulicach, ale nawet pole pod miastem. Szosa była krwią zlaną przez niesionych do miasta ¹⁾.

Około godziny 11. w nocy przyszło polecenie, aby sztandary wszystkich pułków odesłać pod eskortą za Elsterę. Była to wskazówka, że dłużej bić się będziemy.

Zajrzyjmy choć na moment do głównej kwatery Napoleona, jakie były jego plany i dyspozycje. Cesarz dnia tego takie wydał rozkazy: „Armia nasza opuszcza dnia jutrzejszego Lipsk. Murat na czele całej jazdy uda się i otwierać będzie drogę, przebijając się przez nieprzyjaciela.

¹⁾ Kołaczkowski podaje, że liczba rannych, po części nieopatrzonych, wynosiła 20 tysięcy.

— 386 —

A zatem cała jazda, artyleria i piechota natychmiast przejdą miasto i most. Dla zasłony w dniu jutrzejszym Lipska zostaje korpus Lauriston’a, jako najslabszy. Gdy wspomniany rozkaz przeczytał ów wiarołomny i sprzedajny Berthier, szef sztabu i powiernik cesarza, odezwał się jadowitymi słowami: „N. Panie! jeżeli głos mój będzie zasługiwał na uwagę N. Pana radziłbym, aby, w miejsce jakiegobądź korpusu francuskiego, zostawić dla zasłony Lipska sprzymierzonych naszych, bo ci, podczas przechodzenia ich krajów, opuszczą nas pewno, a teraz naszych Francuzów trzeba nam oszczędzać”. Cesarz, wysłuchawszy owej propozycji, przyznał mu słuszność, mówiąc: „Masz rację, wszyscy oni nas opuszczą — dodał — jednakowoż dla obserwacji trzeba coś naszych zostawić, więc zostanie korpus Lauristona. Berthier, mając już swój plan przyznany, już sobie z tego względu ułożył nowy podstęp, jak się niżej okaże.

Gdy noc owa minęła, a zajaśniał smutny dzień 19. października, ujrzelśmy opodał nieprzyjaciela, który, po zakończeniu w dniu wczorajszym bitwy, pozostał na miejscu. Błoga cichość panowała, a skoro dzień się zrobił, smutne zjawiska snuć się przed nami zaczęły. Oficerowie, żołnierze ranni, dowiedziawszy się o opuszczeniu Lipska, przywlekli się, jak mogli, do naszego obozu, błagając nas ze łzami, aby ich nie opuszczać, aby ich nie zostawiać na pastwę i zemstę nieprzyjaciela, Prusaków zwłaszcza, którzy postanowili nie dawać pardonu żadnemu z Polaków. Nie będąc w stanie dać im żadnej pomocy, nasz dowódca dał im radę, aby jak można najprędzej przechodzili Lipsk za Elsterę, a tam łatwiej będzie jakimś sposobem ich choć na lawety zabrać. Ci, którzy byli cokolwiek mniej ranni, przyjęli radę pułkownika, ale drudzy, którzy ledwo zdołali się dowlec do nas, mówili, że nawet nie ustrzegą się, aby nie byli roztrąceni lub rozjechani przez natłok artylerii i jazdy. Najsmutniejszym było patrzeć na porucznika pułku naszego, Krasińskiego, który miał uda

— 387 —

przestrzelone kulą karabinową, przez to kroki nie dłuższe — jak na parę cali mógł robić, suwając drobno nogami. Gdy wszyscy ubolewamy nad nim, nie mogąc mu dać w żaden sposób pomocy, zjawia się koło nas adjutant pułkowy nasz, Bolewicz, który zeszłego dnia opuścił haniebnie wraz z pułkownikiem pole bitwy, teraz przystrojony jak Niemiec z polską. Nasamprzód był to chłopak śliczny i młody, nosił dotąd czarne wąsiki, które bardzo mu były do twarzy. Te już miał teraz ogolone, co go znacznie zmieniło, że aż go trudno było poznać. Nie miał już na sobie munduru, ale jakiś (widać ze studenta) krótki i ciasny surducik cywilny, a w miejsce butów z ostrogami, trzewiczki damskie bandarami pookręcane na swych skarpetkach, a spodnie około kostek sznurkami okręcone. Na głowie czapeczka, jak noszą Sasi, zielona, niska, futerkiem wązko obszyta, tak przystrojony arlekin, stawa wśród nas i odzywa się w te słowa: „Dużo was się jeszcze z pułku zostało? Nazwijcie mnie tchórzem, podłym, zdrajcą, zgola jak się wam tylko podoba, dlatego, że z pola uszedł. Ale ja mam więcej rozumu, że nie czekał tego, ażeby mnie podobny los spotkał, jak oto tego (tu wskazał na Krasińskiego). Oto smutna ofiara, której w tym momencie nikt żadnej pomocy dać nie jest w stanie.

Zjawienie się Bolewicza, w tak dziwnym stroju i do tego przemawiającego do nas w taki sposób hańbiący, oburzyło nas tem bardziej, gdy się zbliżył nasz brygadier Malczewski. Jednogłośnie zawołali wszyscy: „Precz nędzniku z oczów naszych, nie rób nam krzywdy, przyznając się do nas”. Pułkownik stanowczo krzyknął: „Rozstrzelać tego łotra!” a na to Bolewicz, dawszy kilka susów, znikł w tłumie.

Około godziny 10. zrana przybył do nas książę Poniatowski, a zebrawszy nas garstkę oficerów pozostałych, tak do nas przemówił: „Koledzy! król nasz (saski) tu zostaje z nami, nie wiadomo co będzie. Ale jakbądź, zaklinam was na imię naszej ojczyzny, ażebyście nie splamili

— 388 —

naszego charakteru narodowego. W najsmutniejszych wypadkach i niebezpieczeństwach to sobie hasło powtarzajcie, że jesteście Polakami.

Uważałem Poniatowskiego bardzo zmienionego, bladego i smutnego, jakby niewyspanego. Gdy się to dzieje, przybiega adjutant sztabu i oddaje ekspedycję księciu. Ten przeczytawszy ją, rozkazał stawać do broni, a do Malczewskiego rzekł: „Idziemy do miasta”. Te słowa „do miasta”, zdawały się dla nas zbawieniem, bośmy widzieli, że już prawie wszystko opuszcza Lipsk, a nas po wczorajszej krwawej rzezi zostawiono.

Gdy w mgnieniu oka żołnierze się ubrali i broń rozebrali, ruszyliśmy za księciem w miasto. Przeszedłszy ulicę, następnie rynek, zbliżamy się na koniec do mostu. Nasi żołnierze zaczęli już śpiewać swoje narodowe pieśni i wszyscy byli dobrym humorem ożywieni. W tym znowu oficer od sztabu zajeżdża drogę księciu i oddaje ekspedycję, z powodu której nas zatrzymano. Po przeczytaniu rozkazuje księżę wrócić napowrót przed Lipsk. Ta wiadomość zepsuła wszystkim humor, puszczano głowy i smutnie postępowaliśmy na miejsce przeznaczenia, jak delikwent na śmierć. Stanęliśmy w szyku przed bramą Lipska. Poprawiono porządek w rotach i plutonach, niemniej podzielono nas na równe części. Pamiętam, że się został jeden kapitan grenadierów i dwóch z innych kompanii w pułku. Skład kompanii spadł z 160 ludzi na 64, a oficerów z 60 zostało tylko 9.

Nim się bitwa rozpocznie, niech mi będzie wolno zrobić uwagę, dlaczego poszliśmy do miasta w celu przejścia Elstery, a teraz wrócono nas i przeznaczono dla zasłaniania Lipska, pomimo, że w dniu wczorajszym tak ważne trzymaliśmy stanowisko. Czyż nie było już korpusów dla odmiany, zwłaszcza, że nas dwie trzecie części wystrzelano? Odgadnąć bardzo łatwo, że w tem zachodziła intryga zdradzieckiego Berthiera. Gdy ten spostrzegł, żeśmy przez Lipsk przechodzili, przysłał rozkaz, aby

— 389 —

Polacy pozostali przed Lipskiem i zasłaniali go. Jak się później okazało, chcąc wygubić Polaków, podciągnął on ich pod rubrykę sprzymierzeńców niemieckich. Później Napoleon żałował, że nie zrobił w tym względzie osobnego zastrzeżenia ¹⁾).

Około 10. godziny przed południem, nieprzyjaciół, widząc pole przed Lipskiem odkryte, ruszył ogromnymi masami pod miasto. Naprzód wysłał swych tyralierów, którzy aż w przedmieścia Lipska dotarli. Następnie jedna kolumna pruska wchodzi w przedmieście, a wreszcie zbliża się ku bramie. Gdy nasz waleczny dowódca Malczewski ją zobaczył, kazał nastawić bagnietów i uderzyliśmy na nią z rozpaczą. Nieprzyjaciół, chcąc się widać utrzymać w przedmieściu, gdy wszedł w ulicę posunął się na prawo i oparł się tyłem o dom duży murowany. Gdyśmy na nich natarli, dali do nas ognia z odległości 20 kroków, ale po ich wystrale już bagnety nasze topiły się w szeregach naczelnych szeregów ich kolumny, chociaż plutony pruskie, głębiej w kolumnie będące, strzelały na nas wciąż. Wtem ukazał się oddział francuski kirasyerów, który, widząc naszą zaciętą walkę, przybył nam w pomoc. Kirasyerzy uderzyli z prawej strony na ową kolumnę, a tak w mgnieniu oka cała pruska kolumna w pień wyciętą i wykłutą została.

Lud nasz tak dalece się zajął, że, gdy Prusacy, po rzuceniu broni, na kolanach prosili o pardon, my oficerowie nie mogliśmy wstrzymać naszych żołnierzy i skłonić ich do darowania im życia. Pamiętam, jakiś otyły oficer pruski — rzucił się do mnie, a uchwyciwszy mnie wpół,

¹⁾ Z korpusu 8-go tylko jazda przeszła za Elsterę już o świcie dn. 19 p. Napoleon wezwał do siebie ks. Józefa i polecił mu, aby z resztkami swej piechoty bronił przedmieść. Autor nasz myli się, mówiąc o rozkazie uprzednim, aby korpus polski cały przeszedł za Elsterę. Podobną wersję powtarza także i Antoni Ostrowski. Księżę Józef miał bronić miasto od bramy Grimma aż do Petersthor.

— 390 —

prosił o protekcję, aby mu życie darowano, ale na próżno. Używałem zakazu, groźnych upomnień, gdy go porwali żołnierze. Prusak trzymał się mnie silnie, aż mi pelerynę od płaszcza mego oderwał. Skoro go tylko odciągnęli odemnie, jedni go przytrzymali, a drudzy przeszli bagnietami. Kiedy już co do jednego Prusacy leżeli na ziemi, odprowadziłem żołnierzy dla poprawienia porządku i przyjęcia nowych kolumn nieprzyjacielskich, które z bębniami wchodziły w przedmieścia. Nasi żołnierze jeszcze się oglądali na leżących, a gdy dostrzegli któregoś, że się albo podnosił, albo przewracał, szybko wracali się i bagnietami do ziemi przybijali.

Po skończonym pierwszym akcie tej smutnej sceny, gdyśmy tylko co sformowali bataliony, wchodzi znowu na ten plac kolumna austriacka, ale daleko silniejsza jak pierwsza. Skoro ją nasz dowódca spostrzegł, dał rozkaz jak najspieszniej do natarcia. Gdy to nastąpiło, znowu owe kolumny wparły nas, uderzając z boku. Nieprzyjaciół teraz, dlatego zapewne, że silniejszy, rozpoczął ogień karabinowy i nie rzucając broni, gęstym ogniem się bronił. Gdyśmy się z nim sparli, nasz dowódca, nie wiem dla jakiej przyczyny, wciskał się na koniu pomiędzy nas a nieprzyjaciela. Widziałem go ostatni raz pomiędzy tak naszymi, jako też i nieprzyjacielskimi strzałami, właśnie jak w feuerwerku, gdy naraz niodżałowany Malczewski, wzniosłszy obie ręce w górę, spadł z konia, ugodzony kilku kulami w piersi ¹⁾).

Gdy się tak bijemy, z tej strony gdzie natarli kirasyerzy na ową kolumnę, wysuwa się nowa kolumna austriacka, której nie spostrzegliśmy, bo ją zasłaniali kirasyerzy. Ta, zbliżywszy się na kilkanaście kroków, dała ognia do nacierających kirasyerów z tyłu. Położywszy ich, a więcej jeszcze koni, resztę spędziła z placu.

¹⁾ Kołaczkowski twierdzi, że Malczewski zginął od strzałów Sasów, strzelających z miasta.

— 391 —

Połączywszy się teraz, obydwie kolumny nieprzyjacielskie na naszą garstką natarły. Z przyległych domów zaczęto na nas strzelać z tyłu. Było to wojsko saskie, które ponowiło znowu dnia tego zdradę. Wzięci tak w dwa ognie, zostaliśmy rozbici i rozsypaliśmy się. Cofnąć się w miasto już nie było można, bo wszystkie okna, przyległe bramie, napelnione były, nie tylko wojskiem, ale mieszkańcami saskimi, którzy, syjąc na nas gęstym ogniem, bronili przystępu.

Po utracie reszty naszych walecznych żołnierzy, mała nasza garstka udała się z rozpaczą ponad miastem na prawo, gdzie, jak wiadomo, znajdują się ogrody spacerowe. Gdzieśmy tylko przebiegali, wszędzie byliśmy rażeni nowymi z okien strzałami. Okrążywszy miasto, zbliżyliśmy się nareszcie ku mostowi. Zbliżając się, widziałem jeszcze ostatni raz Poniatowskiego, który w kilka koni zwrócił się na lewo ku ogrodowi leżącemu nad Elsterą. Przybywszy do mostu, który zapelniony był taborem różnego rodzaju, dowiedzieliśmy się od tych, którzy już przed nami byli, że arkady zostały już prochem wysadzone ¹⁾). Nie pozostało już żadnej nadziei ocalenia. Po rozbiciu nas, nie tylko przez miasto ale i ogrodami przez błonia wysypało się mnóstwo strzelców pruskich, którzy, syjąc ogniem, mścili się za wykłucie swych rodaków i pardonu nie dawali. Przerażony owym niebezpieczeństwem, już myślałem rzucić się w rzekę, gdy ktoś ostrzegł, że z tej rzeki wyjść niepodobna, dlatego, że brzegi jej były obmurowane i wyższe daleko nad brzegi jej wody. Jednym razem spostrzegam garstkę ludzi, stojącą opodal nad rzeką. Z rozpaczą zatem rzucam się w to miejsce, myśląc, że gdy się tam gromadzą, musi tam być jakaś przeprawa. Gdy dobiegam, widzę, że gwardya piesza francuska podaje naszym różne sposoby ratunku w przepławianiu się tak niebezpiecznym.

¹⁾ Most na Elsterze wysadzonym został w chwili, gdy zobaczono pierwszych tyralierów Sakena koło bramy Ranstadzkiej.

— 392 —

Taż gwardya przyniosła dwie belki, których nie mogąc położyć przez rzekę, położyła je tak, że końce jedne od tamtej strony leżały na wierzchu, drugie — od nas wpuszczone były w rzekę. Kto chciał się ratować od niechybnej zguby, musiał pierwszej wpuścić się przy brzegu po szyję w wodę, następnie, posuwając się po tych belkach coraz wyżej, dostawać się na powierzchnię wody, a nareszcie

na drugą stronę, znajdując tam pomoc od gwardyi, która podawała przybywającym żerdzie. Za pomocą żerdzi łatwiej się można było utrzymać na owych belkach, o ile różne objekta pływające wodą, jako to koła, rozbite furgony, lawety, konie, trupy i t. p. nie zgarnęły z owych kładek. Gdy przybyłem do owej przeprawy, będąc już w płaszczu i w bermycy, jako dowódca kompanii grenadyerskiej, oficerowie gwardyi francuskiej po tamtej stronie stojący, sądząc, że należą do ich korpusu, zaczęli na mnie wołać, aby się prędzej przeprawiać. Już całe błonia okryte były tyralierami nieprzyjacielskimi, postępującymi ku rzece, którzy sypali gęstym ogniem. Ośmielony zachętą z przeciwnego brzegu, wpadłem w tłum zebrany nad rzeką, a rozepchnąwszy takowy, dostaję się do kładki. Skoro spuściłem się po szyję w wodę, jakiś Francuz z pomiędzy tłumy, chcąc się prędzej przeprawić, wsiada mi na kark, uchwyciwszy mnie za głowę, tak, że rękami oczy mi zasłonił. Pomimo mojej usilności nie mogłem go z siebie zrzucić, bo zapewne, tak ja, jako i on, niezawodnie bylibyśmy się utopili. Nie widząc innego ratunku, zacząłem go bić po rękę i szczypać, chcąc oderwać z siebie jego ręce, ale na próżno. Nakoniec dobyłem w wodzie mego pałasza i gdy nim popchnąłem w górę, tym sposobem naszpikowawszy go, uwolniłem się od tego niebezpiecznego ciężaru. Posuwając się po kładce, podpierałem się pałaszem jedną ręką, drugą odpychałem pływające wodą różne objekta. Dostawszy się do podanej mi żerdzi, łatwo przeprawiłem się już na drugą stronę. Oficerowie gwardyi, zbliżywszy się do mnie, poznali dopiero na ryngrafie moim

— 393 —

i guzikach, że należałem do innego korpusu. Gdy powiedziałem, że jestem z wojska polskiego, jeden z nich, mając na sobie manierkę, podał mi, abym się napił araku po tak chłodnej kąpieli. Nie mając czego czekać, wyszedłem na wzgórek i zdjąłem ze siebie płaszcz, który był bardzo ciężki, mając w sobie dużo wody. Przystąpiwszy go nogą, zacząłem go z całej siły kręcić dla wyciśnięcia z niego wody. Następnie zdjąłem buty, wylewając z nich wodę. Gdy się to dzieje w małej odległości odemnie, przejeżdża cesarz Napoleon ze świtą. Widząc mnie w takim położeniu, przysłała oficera ze swej świty dla dowiedzenia się, z jakiego byłem korpusu. Odpowiedziałem, że z 8, to jest Poniatowskiego. Gdy wspomniany oficer zaraportował o tem cesarzowi, niezwłocznie wrócił potem ku mnie i oznajmił mi, że Polacy zbierać się mają do Erfurtu.

Po skończonem wyciśnięciu wody, ubrawszy się, zatrzymałem się na moment, aby widzieć dalszą szarżę. Cesarz po przejechaniu nad rzeką, udał się ku traktowi prowadzącemu ku Lützen, przy którym stało mnóstwo artylerii gwardyi. Rozkazał tejże, aby, zajmwszy wzgórze, rozwinęła się jak najspieszniej. Gdy to nastąpiło, rozkazał rozpocząć okropny ogień, rzucając granaty na Lipsk, który niezwłocznie zaczął gorzeć okropnym ogniem. Gwardya zaś rozpoczęła ręczny ogień na nieprzyjaciela, który zbliżył się nad rzekę. Bitwa ta trwała długo, gdyż strzały dały się słyszeć do wieczora.

Przybywszy do Lützen, zastałem w rynku mnóstwo naszych oficerów a pomiędzy tymi i część sztabu Poniatowskiego. Dowiedziałem się, że książe Poniatowski się utopił. Przysłuchiwałem się różnym powieściom tego wypadku; słyszałem, że adjutanci, każdy innym sposobem, chwalili się, jak ratowali księcia. Mówił jeden, że, utraciwszy już swój pałasz, który kula armatnia przez połowę urwała, ratował go, podając mu pochwę; drugi, że, nie mając innego sposobu, kordony swe długie odjął i te podawał, aby za ich pomocą księcia z wody wyciągnąć. Inny,

— 394 —

że za burkę, którą miał na sobie, uchwycił i t. p., ale wszelki ratunek był nadaremny. W tem wysuwa się z tłumy jakiś człowiek w ubiorze cywilnym i zapytuje się owych. „Gdzieżecie to panowie księcia ratowali? Mnie się to zapytajcie o śmierci księcia, najlepiej wam opowiem. Oto jest koń, na którym książe utonął“. Usta adiutantów oniemiały, gdy poznali w owym człowieku masztalerza księcia, który ten wypadek następującym sposobem opowiedział.

Gdy przed bramą naszych rozbito, a Sasi zaczęli na nas z okien strzelać, książe jechał przez miasto, widząc że most już był wysadzonym. Wtem zbliżył się do niego jakiś generał francuski ze swym adjutantem, a pogadawszy z księciem, zwrócili się potem wszyscy do jednej bramy ogrodów. Zsiadłszy z koni, mówił masztalerz, wybiliśmy furtkę przy tejże bramie i przeprowadziliśmy przez nią konie. Ów generał, prowadząc konia szedł naprzód ulicami ogrodu, jakby czegoś szukał. Gdy zbliżył się do Elstery, która ów ogród przecinała, dało się nagle słyszeć kilka wystrzałów z klombów, a następnie pokazało się siedmiu strzelców pruskich. Na widok tychże książe i obecni powiadali na konie. Pomówiwszy z sobą, książe obrócił się do mnie i zapytał: „Masz-że ty chociaż pałasz?“ Na odpowiedź, że, jako cywilny człowiek, na co go mam nosić próżno, mając około koni dosyć roboty, książe ostatnie wyrzekł słowa: „To ostatnie nieszczęście“. Jak ów masztalerz dodał, książe zapewne chciał na owych strzelców uderzyć i ich odeprzeć, a dopiero spokojnie się przeprawić.

Nim przystąpię do tej ostatniej katastrofy, winienem. objaśnić, że ów generał francuski, który się z księciem połączył, chcąc prędzej dostać się za rzekę, dowiedział się od mieszkańców przedmieścia, że Elstera w tem miejscu miała brzegi oberwane z muru, tak, że można było do rzeki wygodnie się spuścić i na drugi brzeg się dostać. Tenże generał wówczas się tamtędy przeprawił i nikt nie utonął.

— 395 —

A zatem domyślić się należy, że kiedy ów generał spotkał się z księciem, zaproponował temuż, że go bezpiecznie przeprowadzi i tak się też działo, jak powiedziano wyżej. A gdy już nie było innego ratunku, bo tylko ich było uzbrojonych w pałasze czterech, to jest książe, Bléchamp i generał z adjutantem, i niepodobna było uderzyć na nieprzyjaciela, generał, spostrzegłszy owo miejsce, zawołał na księcia, a sam naprzód rzucił się w wodę. Gdy książe to uczynił, co tylko wjechaliśmy w rzekę, co tylko konie spłynęły, owi strzelcy, przybiegłszy do brzegu, dali ognia razem, z czego Bléchamp, ugodzony śmiertelnie, spadł z konia, którego woda poniosła. Książe, będąc ranionym w rękę i razem w bok jeszcze pozostał na koniu. Gdy przebył rzekę i koń już był przednimi nogami na brzegu, zdawało się, jak gdyby go książe zdarł cuglami tak, że koń, pochyliwszy się w tył przerzucił się

razem z księciem na wznak. Widać, że księżę, będąc ugodzony w bok, dopiero później zemdłał i tym sposobem konia zdarł cugłami. Koń, zanurzony w wodzie, przewrócił się i dopłynąwszy do brzegu wyskoczył, a księcia woda pochłonęła. Następnie masztalerz konia uchwycił i z nim przybył do Lützen¹⁾.

Kiedyśmy prowadzili ciało księcia z Lipska, koń ów aż do Warszawy był prowadzonym za karawanem.

Chociaż jesteś w Lützen, ale nie od rzeczy będzie

— 396 —

zwrócić uwagę na Lipsk. Wojsko polskie przez całe trzy dni bitwy pod Lipskiem miało udział następujący:

Dywizja generała Dąbrowskiego była czynną po drugiej stronie Lipska¹⁾. Brygada nasza pod dowództwem pułkownika Malczewskiego w pierwszej linii przy szosie na prawym skrzydle armii francuskiej i ta najwięcej ucierpiała, jak było wyżej powiedzianem. Ale cztery pułki piechoty postawione były po prawej stronie Lipska nad Elsterą dla zabezpieczenia prawej flanki, która nie była czynną, gdyż nieprzyjaciel działał całymi siłami z przodu. Te pułki zostały ogołocone z swych dowódców tak, że przy tych czterech pułkach tylko jeden pułkownik Bolesta się znajdował, który nie odebrał żadnego zawiadomienia o tem, że nieprzyjaciel zajął Lipsk. Gdy następnie wyszła dywizja piechoty nieprzyjacielskiej, tocząc przed sobą 30 dział, zaproponowano Polakom złożenie broni, którego wspomniany pułkownik za pomocą Jastrzębskiego, adjutanta pułku 8. piechoty dopełnił. Wszyscy bowiem, tak generałowie, jako też²⁾ i sztaboficerowie i niższe stopnie udali się do Lipska i tam pozostali. Z korpusu księcia tylko generał Sierawski i Małachowski nam pozostali.

Po ustąpieniu naszym nieprzyjaciel tłumnie Lipsk zajął, a tłocząc się w miasto, nie miał żadnej litości i względu na ludność. Gdy jazda nieprzyjacielska wpakowała się w ulice, przy której całe trotoary były zapełnione rannymi dla braku miejsca po szpitalach, takowych nieszczęśliwych wytratała.

¹⁾ Dąbrowski bronił w dniu 19-go razem z Reynier bramy Halskiej.

²⁾ Kapitulację Bolesty opisuje nasz autor fałszywie. Nastąpiła ona dopiero po równie walecznej obronie, jak i oddziału Malczewskiego. Przy szczątkach pułków 15-go, 10-go, 8-go i 1-go, którymi dowodził Bolesta, znajdowali się sztaboficerowie wszyscy, był tam nawet jen. Małachowski. W sprawie o kapitulację oddziału Bolesty wyprawiono pułkownika Rybińskiego do cesarza Aleksandra I.

— 397 —

Nie dość owego okrucieństwa, ale jeszcze rozbiegło się żołdactwo pruskie po szpitalach i lazaretach, zapytując się w polskim języku, czy niema tu Polaków. Na odezwanie się takowych, przybijano ich do łóżek albo podłogi bagnietami, a wziętym w Lipsku albo nad Elsterą nie przepuszczono życia.

Dnia następnego, skoro w Lipsku zaprowadzono porządek, wychyliło się z ukrycia niemało naszych generałów, oficerów sztabu jeneralnego, sztaboficerów i subalternów wielu, składając masę ogromną. Mając na swem czele generała Roźnieckiego, przybrani w galowe mundury, przy orężu u boku, odwiedzali i robili wizyty, tak panującym, jako i ich generałom¹⁾. Następnie udali się do ogrodu Richtera, w miejsce, gdzie Poniatowski zakończył chwalebnie życie. Roźniecki postanowił wystawić pomnik w tem miejscu, czego później dopełnił. Widziałem ów pomnik, gdy wracałem z Francji. Był postawiony z cegły w kwadrat około dwóch łokci, z wierzchu blachą pokryty, na którym z jednego boku od strony rzeki był napis. „Aleksander Roźniecki swemu wodzowi tę pamiątkę składa²⁾”. D. 19. października 1813“.

Lubo sztandary polskie okryły się sławą, którą nawet nieprzyjaciel im oddawał, ale w obecnej chwili wychodzący z ukrycia sztaboficerowie — wypadki polskie w oczach zebranych skoalizowanych zaćmili i splamili. Dnia tegoż jeden kapitan od konnych strzelców polskich, porzuciwszy już za Lipskiem swój pułk, przeszedł ze swym szwadronem do nieprzyjaciela. Gdy go przyprowadzono przed pałac, w którym monarchowie skoalizowani się znajdowali,

¹⁾ Generał Roźniecki był do końca prawie przy ks. Józefie.

²⁾ Pomnik ten wystawił Roźniecki w ogrodzie Reichla za sprzedane pozostałe po księciu Józefie kosztowności. Rysunek monumentu tego, odnowionego w r. 1876 kosztem Galicyjskiego wydziału krajowego, znajduje się w pamiętniku Kołaczkowskiego (Księga II, str. 97). Ciało ks. Józefa wyłowiono z Elstery w dniu 22-go października.

— 398 —

ci, gdy im oznajmiono owo zdradzieckie przejście kapitana, wyszli na balkon dla obejrzenia szwadronu przed pałacem uszykowanego. Bernadotte (król szwedzki) zapytuje się tej poczwary; „Jak się nazywasz?” Ten wymienił swoje polskie nazwisko. Bernadotte powtarza je, dodając: „A zatem jesteś rodowitym Polakiem” i dodaje z oburzeniem: „To wy Polacy takim sposobem wywdzięczacie się swemu cesarzowi, temu, który was uważał za najwierniejszych sprzymierzeńców”. Te wyrazy wymówił z największą zaciętością i gniewem¹⁾. Lubo Napoleona w owej chwili prawie już wszyscy zdradzali, ale krzywdą temuż wyrządzona była najokropniejsza i najczarniejsza ze wszystkich ze strony Berthiera, który i tu, jak się pokazuje okazał się największym jego wrogiem, bo przez czarną intrygę i nienawiść przyczynił się do zguby nie tylko Polaków ale nawet i korpusu francuskiego, który osłaniał w tej chwili Lipsk. Jako szef sztabu armii, ponosi Berthier winę powierzenia wysadzenia mostu osobie niepewnej. Jak mówiono polecenie to otrzymał jakiś sztaboficer francuski²⁾. Ten zdał to polecenie jakiemuś oficerowi, ten z kolei podoficerowi, a ostatni — kapralowi. To było przyczyną, że przedwcześnie, gdy nie groziło jeszcze żadne niebezpieczeństwo,

¹⁾ Scena co do Bernadotte’a napewno zmyślona, nie miałby on prawdopodobnie czoła w tym wypadku mówić o zdradzie. Fakta dezercji były na porządku dziennym: do nieprzyjaciela przeszedł nawet batalion polskiej gwardii cesarskiej polskiej wraz ze swym szefem Kurcyuszem.

²⁾ Polecenie wysadzenia w powietrze mostu otrzymał pułkownik Montfort. W ostatniej chwili chciał on zasięgnąć informacji cesarza co do sprawy wysadzenia mostu i zdał dozór nad miną kapralowi od inżynierów. Montfort nie mógł się dostać do cesarza, ani nie mógł wrócić do

mostu dzięki natłokowi. Tymczasem kapral, widząc tyralerów Sakena, słysząc koło siebie wołania: „Wysadzić most” — przyłożył lont do miny. Później, po katastrofie, zwalano winę na Monforta i kaprała niesłusznie, gdyż winą leżała tutaj po stronie cesarza, który w ogóle nie przygotował należycie odwrotu.

— 399 —

most wysadzono, z czego nieobliczone straty nastąpiły. Nietylko bowiem wielu luzi straciło życie i poszło w niewolę, ale wiele taborów i przeszło 80 dział ciężkiego kalibru dostało się nieprzyjacielowi.

Gdyby był Berthier dotąd wierny cesarzowi i swym obowiązkom szefa sztabu, mógł być zawczasu kazać postawić kilkanaście mostów na Elsterze z drzewa, które tuż przed oczyma nieprzyjaciela można było zniszczyć tak, jak się to zwykle robi. Kto zna Elsterę, przyzna mi, że ta rzeka we względnie strategicznym jest mało znacząca, bo ją można w każdym punkcie z łatwością przebyć, gdyż jest ona ściśnięta mурowanymi brzegami, a do tego wązka. Kiedy owa gwardya mogła nas ocalić kładką, dla czegoż Berthier takich przepraw nie kilkanaście, ale tysiąc przysposobić¹⁾. Wielka to różnica Elstery od Berezyny i obu przepraw. Berezyna ma łożysko bagniste, ale sam cesarz zajmował się tu przeprawą, przeto tam nie było żadnej ukartowanej zdrady i wojsko się pod ogniem nieprzyjacielskim przeprawilo. Słowem — pod Lipskiem — wszystko tchnęło zdradą i przekupstwem²⁾.

Po opuszczeniu Lipska przez armię francuską, która postępowała przez Lützen, zebrały się w końcu nasze niedobitki: z dywizji generała Dąbrowskiego jeszcze z półtora tysiąca piechoty pozostało, ale z korpusu księcia bardzo mało nas było; jedynie ci, co się różnym sposobem przez wodę przeprawili i ci, którzy po bitwie 18-go wieczorem, przy odesłaniu naszych sztandarów wtył za Lipsk, przy nich się znajdowali³⁾. Jazda zaś polska z pod Lipska wyszła prawie nieuszkodzoną i jedynie tylko przez

¹⁾ Pułk. Montfort proponował Berthier'owi wystawienie kilku mostów na Elsterze do odwrotu, ale Berthier odrzucił go z niczem.

²⁾ Przesadzone zdanie autora jest jednak odgłosem żywionej wówczas wśród niższych naszych oficerów opinii.

³⁾ Korpus 8-my stracił całą piechotę prócz 500 ludzi, którzy się przedostali za Elsterę. Generał Dąbrowski wyprowadził 1200 ludzi piechoty z boju o bramę Halską.

— 400 —

intrygę i niezgodę część jej przeszła do nieprzyjaciela, a część pozostała w maruderach¹⁾.

W nocy pod Weissenfeld niewiadomym sposobem obóz francuski został zaalarmowany i doniesiono, że ze wszystkich stron nieprzyjaciel nas otoczył, co było mylnem, ale Francuzi byli przerażeni z powodu cofania się. Mając sobie powierzone sztandary²⁾ swego pułku, gdy owa trwoga coraz więcej się szerzyła, bojąc się ich utraty, kazałem je pozdejnować z drzewców i utopiłem je w studni. Gdy nadedniem uspokoiło się i mieliśmy ruszać w dalszą drogę, kazałem ze studni, która nie była zbyt głęboka wodę wylać, a wydobyte sztandary na właściwe ich drzewca osadzić. Doszedłszy do Freiburg³⁾, zastaliśmy naszą awangardę bijącą się. Nieprzyjaciel usiłował w każdym punkcie nam przecinać odwrot i wszędzie szkodzić, a szczególnie na przeprawach. Wiadomo, że rzeka Sala tuż pod miastem Freiburg płynie, przeto nieprzyjaciel, mając wzgórze winnicami okryte, a położone naprzeciw mostu, osadził te pierwaj, niżeliśmy do Freiburga przyszli i rozpoczął mocny ogień na most, usiłując go spalić. Lubo pod miastem jest cytadela na wyniosłym wzgórzu i nad Salą, ale z tego punktu za daleko było szkodzić nieprzyjacielowi. Cesarz, przybywszy, udał się do cytadeli i z jej wyniosłego pagórka rozpoznał położenie nieprzyjaciela. Osądzwszy, że napróżno by było kusić się o przeprawę pod ogniem armatnim nieprzyjacielskim, zatrzymawszy wszystko, kazał się przeprawić na lewo dywizji jednej piechoty przez Salę, którą to przeprawę zasłaniał las tuż po drugiej stronie Sali leżącej. Gdy owa piechota zaszła lasem w bok

¹⁾ Jazdy z korpusu 8-go, łącznie z brygadą ułanów Krukowieckiego, zostało 3000. Co do dezercyi jazdy — przesadza nasz pamiętnikarz.

²⁾ Piechota Księstwa Warszawskiego nie miała sztandarów, tylko orły.

³⁾ 21 października.

— 401 —

nieprzyjacielskiej artylerii, rozpoczęła ogień, którym spędziła z pozycyi nieprzyjaciela, a zatem ogień ustał i armia nasza spokojnie przeprawiać się zaczęła. W drodze zaczęło się naszych więcej zjawiać i do kupy łączyć, i choć była nas garstka, zawsze trzymaliśmy się kupy. Szczątki naszego pułku trzymały się artylerii pieszej. Już nie pamiętam, jaka to onej była brygada, gdyż w owym czasie artyleria piesza tworzyła pułk, ale dowódcą onej był szef batalionu Uszyński, przyjaciel naszego dowódcy batalionu, walecznego oficera Bleszyńskiego, o którym tyle w bitwie pod Lipskiem wspominałem¹⁾. Jego to wspomniany Uszyński, rannego pod Lipskiem, na lawety zapaśne zabrał. Z tego powodu trzymaliśmy się przy naszym dowódcy, aby mu w złym razie dać pomoc.

Następnego dnia, gdyśmy obozowali pod jakąś wsią, przychodzi do mnie podporucznik Szumkowski z dowództwa mojej kompanii i oświadcza, że mu mówili mieszkańcy tej wsi, iż nieprzyjacielscy żołnierze, gdy zajmowali owo miejsce, nim zostali z niego wyparci, opowiadali, iż Francuzów i noga nie dojdzie do Francyi, gdyż wszystkie miasta, przez które Francuzi przechodzić będą, są pozajmowane i wszędzie znajdziemy przeszkodę i zapory nieprzebyte. Następnie pyta się mnie, co ja myślę z sobą zrobić i czy pójdę dalej. Zbeształem niezmiernie Szumkowskiego, że poważył mi się taką propozycyę robić. On, widząc mnie nieugiętego, uśmiechnął się i dodał, że tylko żartował. Niedługo obozy ruszać się zaczęły i my też się zabierali. W tem przychodzi do mnie grenadyer, który był na ordynansie u Szumkowskiego i oświadcza, że jego pan już się z nim pożegnał i, odebrawszy swe niektóre rzeczy, udał się do najbliższego lasu w stronę ku nieprzyjacielowi. Gdy zaraportowałem swemu dowódcy, ten rozkazem

¹⁾ Według Kołaczkowskiego, Bleszyński został pod Lipskiem wzięty do niewoli.

— 402 —

dziennym ogłosił Szumkowskiego, jako zbiega i zdrajcę, odsadzając go zaocznie od stopnia i t. d.

Nasze wojsko było teraz wciąż poduszczane, tak przez niechętnych, jako też intrygantów, i zaczęło na duchu upadać. Z tego też powodu nasza jazda, oddzieliwszy się od piechoty i artylerii, obrała sobie za dowódcę księcia Sułkowskiego¹⁾. Do niego przyczepił się i generał Krukowiecki i naradzali się, co robić na przyszłość. Gdy uradzili, że niema co przy armii francuskiej robić, gdyż ona za Ren nie przejdzie, postanowili posłać deputacyę do Napoleona i wybrano do tego generała Krukowieckiego, który, w czasie marszu spotkawszy cesarza, oświadczył, że został przysłany od szczątków Polaków z zapytaniem, co myśli cesarz nadal robić z Polakami, gdyż król saski pozostał w Lipsku²⁾. Cesarz, pomyślawszy jakiś czas, odpowiedział, że za ośm dni da im

odpowieź. Skoro się Krukowiecki oddalał, ale był tak blisko, że mógł słyszeć, cesarz odezwał się do Murata przy nim będącego w te słowa: „Sasi mnie odstąpili, ale i Polacy już się chwieją”.

Po decyzji cesarza, że za tydzień da odpowiedź — domyślać się należało, że w przeciągu tego czasu już armia będzie za Renem, a zatem wszystkie intrygi generałów na nic się nie przydadzą. Następnie, w czasie marszu spotkał cesarz oddział naszej piechoty, złożony z żołnierzy wszystkich pułków, którzy byli jeszcze przed rozpoczęciem nowej kampanii z pod Zittau odkomenderowani do bagażów, które w tył ku Renowi odsyłano. Widząc ich w dobrym stanie, zawołał dowódcę pułku (który sam i jego podkomendni byli wybrani z ludzi oszczędzonych za

¹⁾ Po ks. Józefie tymczasowe dowództwo naczelne objął najstarszy generał dywizji Sokolnicki. Dzięki samozwańczemu wystąpieniu Krukowieckiego, o którym nasz autor mylnie wspominał przy opisie bitwy Lipskiej, już dnia 20 paźdz. przekazano dowództwo ks. Sułkowskiemu.

²⁾ Nie uczynił tego Krukowiecki, ale sam Sułkowski i to znacznie później.

— 403 —

niezdolnych do boju), każąc sobie podać listę wszystkich oficerów, jak niemniej zasłużonych podoficerów i żołnierzy do krzyżów legii honorowej. Otóż nie zasłużony, ale szczęśliwy bierze, bo wspomnieni ani widzieli ognia i teraz przez przypadek zostali nagrodzeni. Następnie znowu spotkał cesarz młodego oficera, a po czerwonej czapce, tak zwanej konfederatce, domyślił się, że to musi być oficer polski, bo któryż naród chwytą się podobnych głupstw i arlekinady, jak Polacy. Dał temuż znak ręką, aby się zbliżył (był to porucznik Kochanowski, kuzynek pułkownika Stuarta, o którym wspomniano pod Smoleńskiem). Lubo tenże mówił po francusku, ale, żywo zapytany przez cesarza o coś, a może zmieszany swą konfederatką, cesarzowi nie odpowiedział. Gdy Napoleon zapytał go, czy nie słyszy, Kochanowski, schwyciwszy to zapytanie, odpowiedział, że w bitwie pod Lipskiem, przez pęknięcie granatu około głowy, słuch utracił. Murat obecny przytem i zawsze protegujący Polaków, odezwał się: „Być może, bo ja widziałem młodego oficera polskiego w tyralierach, który okazał się nadzwyczaj walecznym. Na to cesarz zapytał się: „Masz krzyż?” Spojrzawszy na Kochanowskiego i widząc go ozdobionego krzyżem francuskim jeszcze z pod Smoleńska, jak to już było opowiedzianem, zapytał się znów: „Jaki masz stopień?” Ten odpowiedział: „Porucznik. Cesarz na to: „Adieu kapitanie!” a zwróciwszy konia, ruszył dalej. Skoro się Kochanowski dostał do Francji, a następnie do Paryża, podał prośbę do cesarza, wymieniając datę, miejsce i szczegóły rozmowy ówczesnej, przysłano mu nominację na stopień kapitana.

Dalej znowu spotkał cesarz przy ognisku około drogi księdza Majewskiego, kapelana pułku 15. piechoty. Po mundurze poznał cesarz, że to był ksiądz. Widząc go ozdobionego krzyżem złotym polskim, poznał, że to jest ksiądz z wojska polskiego, przywoławszy go tedy do siebie, zapytał Napoleon przez tłumacza, ktoby on był i, jako ksiądz, gdzie otrzymał krzyż. Gdy tenże w krótkości opowiedział,

— 404 —

że tuż za frontem w bitwie pod Smoleńskiem dysponował na śmierć ciężko rannych i to pod ogniem, cesarz dobył pugilaresu, w którym notował sobie wszystko. W końcu napisał Majewskiemu tak jakby polecenie, że skoro tylko dostanie się do Francji, aby się z tem zgłosił, a cesarz, nie zważając na ustawy krajowe, zwłaszcza że to jest ksiądz z innego narodu, przyzna temuż podwyższenie pensji z dodatkiem furazu na konie. Podpisawszy, wydał kartkę z pugilaresu i oddał ją Majewskiemu. Gdy tenże dostał się do Francji, nie upominał się zaraz o przyrzeczenie cesarskie, ale dopiero, gdy stanęliśmy w Wersalu, Majewski udał się tam do katedry, chcąc odprawić mszę św. Gdy mu tamtejsi księża odmówili, z przyczyny, że chodził w butach (gdyż francuscy księża chodzą w trzewikach i czarnych pończochach), Majewski udał się do biskupa. Ten najsamprzód zażądał od niego, aby złożył świadectwo, jako jest księdzem. Gdy ten naprędce, mając przy sobie ową kartkę przez cesarza mu daną, okazał ją, biskup, zobaczywszy to, z największą grzecznością przyjął wspomnianego księdza i natychmiast dał mu upoważnienie, że w którymkolwiek kościele wolno mu jest odprawiać mszę św. i odtąd w dowód szacunku prosił go, aby często go odwiedzał.

Wróćmy na drogę wojenną. Gdy zbliżyliśmy się pod Erfurt, idąc po prawej stronie traktu, spostrzegamy, że po lewej stronie tegoż stoi obozem nasza jazda. Naszej kolumny dowódcą był wówczas major Domański, który, zawoławszy mnie do siebie, dał mi polecenie, abym się udał do obozu jazdy i zapytał się, kto jest naszym dowódcą, a następnie zapytał się o rozkaz dla naszej piechoty, co nadal mamy czynić. Gdy tam przybyłem, dowiedziałem się, że, lubo generał Dąbrowski po śmierci księcia Poniatowskiego jest naczelnym wodzem wojska polskiego, dowódzą wojska, które jest czynne w kampanii jest książę Sułkowski i wskazano mi go stojącego na wzgórzu i otoczonego licznym sztabem. Udałem się do niego, a po

— 405 —

zrobieniu winnego uszanowania, mówię: „Przysłany jestem od majora Domańskiego po rozkaz”. Książę zapytuje się: „Daleko stoicie?” Gdym wskazał niedaleko stojący obóz, ten wziął mnie za rękę i z poufałością powiedział: „Kolego, poproś do mnie majora i wszystkich oficerów piechoty”. Ja, salutując, odwróciłem się i udałem się do swoich, oświadczając, czego książę żądał. Po zebraniu się naszym, do którego i nasz szef batalionu Błęszyński, chociaż na kulach, należał, zbliżyliśmy się i znaleźliśmy zebranych już oficerów jazdy, którzy sformowali półkole, a my znowu dokończyli całego koła ¹⁾. W niem książę wraz ze swymi generałami (bo naszych jak wspominałem, nie było) umieścili się we środku. Sułkowski odezwał się do nas w te słowa: „Koledzy! zgromadziłem was tu w tym celu, że zrobiliśmy z oficerami jazdy umowę, iż pójdziemy w największym porządku aż do Renu, a od Renu wszyscy się wrócimy. W dowód dotrzymania tego — daliśmy sobie wspólnie słowo honoru, że noga nasza za Renem nie postoi. No, spodziewam się, że i oficerowie piechoty podzielą naszą umowę i łącznie z nami tego dopełnią”. Potem ze strony naszej nastąpiło milczenie. Jedynie w pośrodku naszych oficerów piechoty dał się słyszeć mały szmer i poszepty. Po krótkiej pauzie, nie mogąc się doczekać Sułkowski od nas decyzji, odezwał się znowu: „No! Jakże panowie?” Tymczasem kilku z nas się odezwało, że my tego czynić nie możemy, ponieważ zostajemy pod władzą cesarską, że bez wiedzy cesarza żadnych układów czynić nie możemy. Na to Sułkowski znowu zagadnął, że nikt za Ren nie przejdzie, bo nieprzyjaciół poprzecinał komunikację. Ktoś z naszych na to się odezwał, iż cesarz powiedział, że tylko ten nie przejdzie za Ren, kto będzie nogą pozbawionym. Nareszcie rozgniewany Sułkowski

¹⁾ Ks. Sułkowski, dzięki namowom Krukowieckiego, dał słowo, że wojsko polskie poprowadzi tylko do Renu. Scena, opisana przez naszego autora, wydaje się dość prawdopodobną.

— 406 —

odezwał się: „Ostatecznie się was zapytuję, wróćcie się od Renu ze mną, czy nie?” My znowu w ogóle odezwaliśmy się, że tego przyrzec nie możemy. Na to Sułkowski, oburzony do najwyższego stopnia, z uniesieniem zawołał: „Oto jest szlachta sejmikowa, która na wszystko krzyczy: „Nie pozwalam!” to są wyrodki, dodał, wskazując na nas, w nich nie polska krew płynie!” Nakoniec rzekł: „Ja dałem słowo honoru i dam go jeszcze sto, tysiąc i więcej razy, że noga moja za Renem nie postoji. Nie byłem legionistą, nie byłem najemnikiem i nim nigdy być nie myślę”. Te ostatnie słowa, że nazwał legionistów najemnikami, jak widać, obruszyły kilku generałów i wyższych oficerów. W tym celu odezwał się generał Kwaśniewski, o którym już wspomniałem, mówiąc: „Niech ich Pan generał nie krzywdzi, czy nie są to nasi bracia, którzy obecnie we wszystkich bitwach krew z nami przelewali. Dlaczego mają być wyrodkami?” „Tak jest! — krzyknął na to Sułkowski, powiedziałem raz i powtarzam to tysiąc razy, że za Renem noga moja nie postoji i koniec!” Do nas się wpół obróciwszy: „Żegnam panów” — powiedział. Nasz dowódzca odezwał się: „Jakiż jest rozkaz?” „Żadnego — odpowiedział — idźcie sobie wyrodki, gdzie was oczy poniosą, ani chcę o was wiedzieć”.

Gdyśmy się już odwrócili do odejścia, jeszcze się dowódzca nasz wrócił i zapytał Sułkowskiego, jak będzie z dekoracjami, które są przeznaczone dla piechoty. Na to Sułkowski zimno odpowiedział: „Skoro te nadejdą, otrzyma każdy, kto zasłużył sobie na to — i znowu — żegnam panów!” Widać powiedział tak dlatego, aby się nas prędzej pozbyć.

Jaką była złośliwość Sułkowskiego, okazuje się w tem, że na tyle dekoracji przeznaczonych dla piechoty, która ciągle była w ogniu przez trzy dni pod Lipskiem, gdy szef sztabu nasz, generał Rautenstrauch pozostał z całym biurem w Lipsku, w którym i listy też się pozostały, choć poprzednio do sztabu francuskiego też same podane

— 407 —

zostały, Sułkowski, chcąc się pomścić na nas, prze frymarczył, że tak powiem, owe listy. Pod pozorem, że dawne w Lipsku pozostały, podał nowe, w których jednego oficera, a tem bardziej z niższych stopni z piechoty nie podał, chociaż mieliśmy przeznaczone dla samej piechoty 180 krzyżów. Natomiast wszystkie nasze krzyże zapisano dla jazdy, tak że nie tylko oficerowie, podoficerowie, ale nawet magazynierzy, a na domiar tego własny masztalerz Sułkowskiego, krzyże otrzymali. Któryż wojskowy z jazdy nie posiada krzyża legii honorowej? Chyba taki, który wspomnianej kampanii nie robił.

Przechodząc przez Erfurt, otrzymała nasza artyleria rozkaz, aby wszystkie działa ciężkiego kalibru polskie zostawiła w cytadeli Erfurtskiej. Z lekkimi tylko połowami postępowaliśmy dalej. Tak kontynuując ów odwrót, każdego prawie dnia mieliśmy, tak z przodu, jako też i z tyłu, a częstokroć i z boku armii.

Pewnego dnia, gdy dochodziliśmy do Sachsen Gota — po wyruszeniu z obozu z rana, nie usłiśmy może jak pół mili, gdy nagły krzyk, pochodzący z tyłu ze wsi, którąśmy co tylko minęli, zwiastował jakieś nieszczęście. Od pomijających nas żołnierzy konnych francuskich dowiadujemy się, że nieprzyjaciel nas otacza. Jakikolwiek był rodzaj broni nieprzyjacielskiej, zawsze kończyło się u Francuzów na nazwisku „kozak”. Wszystko bowiem przerażone nie tylko ucieka, ale nawet jazda nie chce mijać, ale rozbija swoich na trakcie, aby prędzej uciec. Zostawszy, jako najstarszy kapitan, dowódcą naszej kolumny piechoty, poleciłem naszej artylerii, aby, zabrawszy kanonierów na swe lawety, spieszenie także udała się do Sachsen Gota, gdzie spodziewałem się, że większe nasze siły zebrane. Oficerom swym, którzy różnymi sposobami nabyli koni i na takowych marsz odbywali, poleciłem, aby, wzięwszy sztandary, spieszenie z nami naprzód się udali dla ich ocalenia. Sam zaś, sformowawszy wszystko w jedną kolumnę, zeszedłem z szosy na prawo. Postępowałem podwojonym krokiem z boku, nie

— 408 —

chcąc się narazić na drodze na rozbicie, jak się działo z Francuzami. Co mnie najwięcej przekonywało o niebezpieczeństwie, to to, że cała brygada dragonów francuskich uciekała najspieszej. Wówczas osądziłem, że musi być już nadzwyczajne niebezpieczeństwo.

Uszedłszy w takim położeniu z pół mili, gdy wyszedłem na miejsce zupełnie wyniosłe, z którego mogłem widzieć całą okolicę, nie dostrzegłem więcej, jak 25 koni huzarów nieprzyjacielskich i to jeszcze flankujących poza rzeką. Zatrzymawszy się zatem na owym wzgórzu, dałem ludziom wypoczynek, a następnie po oczyszczonym zupełnie trakcie, spokojnie sobie postępowaliśmy. Co to strach może! Na trakcie postawiono wozy, furgony, armaty, od których poodrzynano konie. Kufry, rynsztunki, broń i różne kosztowności rozrzucone były na szosie. Gdy doszedłem do mostu niewielkiego na szosie, dały się słyszeć pod nim jęki. Sądziłem, że to są ranni, ale jakżem się zdziwił, gdy cała objętość otworu podmostowego była zapchana Francuzami tak dalece, że z trudnością przyszło nam ich wyciągnąć. Obok tych wszystkich zdarzeń, mnóstwo koni, tak po szosie, jako i błoni biegło. Łapali je nasi żołnierze, a mnie przyprowadzono ślicznego anglezowanego konia pod czaprakiem pąsowym ze złotymi galonami i siodłem kosztownym.

Tak postępując powolutku, mieliśmy satysfakcję patrzeć na te wszystkie śmieszności. W końcu doszedłem do Gota. Tam wszystko, co niby zdołało ujsć do Gota, stało pod bronią, oczekując napadu nieprzyjaciela. Oficerowie, odesłani przezemnie z chorągwiemi, oznajmili nam, że uciekający z tyłu Francuzi donieśli, jakoby w ich oczach nasza kolumna została wzięta przez daleko liczniejszego nieprzyjaciela. Mnóstwo Francuzów powychodziło do nas na trakt i oglądali nas, jak gdyby zmartwychwstałych.

Zapewniłem wyższych oficerów, że nie było żadnego niebezpieczeństwa, oprócz 25-ciu huzarów i to za rzeką, przed którymi najmniej 12-cie tysięcy narodu w największym

— 409 —

popłochu uciekało. Na moje zapewnienie dopiero wysłano oddziały w tył dla pozbierania po traktach porozrzucanych rzeczy. Przy owym zebraniu się oficerów francuskich znalazł się i właściciel zdobytego wówczas konia. Był to pułkownik z gwardii holenderskiej, który, po udowodnieniu swej własności, takowego obok wdzięczności odebrał.

Postępowaliśmy dalej, aż nareszcie zbliżyliśmy się ku Bawarii. Lubo część wojska bawarskiego wchodziła w skład naszej armii, to jest korpus tego narodu posiłkowy¹⁾, większa część już była połączona z Austryakami. Gdyśmy weszli w granicę tego państwa, cesarz rozkazał dowódcy tego korpusu, aby przedstawił do nagród tych Bawarczyków, którzy się pod jego dowództwem w kampanii dotąd odznaczyli. Nakoniec uwolnił ich od wierności, jako takich, których król wypowiedział mu wojnę.

Gdy się książę Sułkowski dowiedział, iż pod Hanau znaczne siły nieprzyjacielskie przecięły naszą komunikację w odwrocie ku Renowi, nie sądził, aby armia francuska ową zaporę przebiła, widząc, jaki nieład i rozprzężenie znowu w armii francuskiej

panowały. Z drugiej strony przekonał się, że i jazda polska, zostająca pod jego rozkazami, objawiała chęć dzielenia losu z armią francuską. Łatwo mógł się domyślić, że też, aby tylko sposobność się podała, równie jak i piechota, uda się bez namysłu do Francji. Sam zaś trwał w niezmiennym swym postanowieniu wrócenia do kraju, nie czekając zbliżenia do Renu, jak to wyżej objawił i postanowił osobiście się oddać. Jednakowoż zwrócił swą uwagę na to, aby nie oddalać się, jako wiarygodny zbieg, ale to uczynić z wiedzą cesarza. W tym celu, zdawszy komendę jednemu z najstarszych generałów polskich, oddał się w celu widzenia²⁾ się z cesarzem

¹⁾ Od Lipska nie było już Bawarów w armii Napoleona.

²⁾ Sułkowski doniósł Napoleonowi tylko, że Polacy pójdą za nim do Renu, nie dalej. Komendy nie zdawał.

— 410 —

i proszenia o dymisyę. Gdy trudno było odgadnąć, w jakim punkcie cesarz się znajduje, bo jak ów Pinetti prawie z miejsca na miejsce się szybko i prawie niewidzialnie przenosił. Tymczasem cesarz, mając swą policję, wiedział dostatecznie o propozycyi Sułkowskiego nam czynionej, jak niemniej o tem, że tenże już szuka cesarza, aby mu objawić swoje oddalenie.

Gdy zbliżyliśmy się pod Fulda, cesarz, spotkawszy nas w marszu, polecił, abyśmy się udali w bok, upatrzywszy do tego dogodne miejsce i tam kazał nam spoczywać. Tymczasem posłał po naszą jazdę, a wreszcie sprowadził pułk szwoleżerów gwardyi pod komendą generała Wincentego Krasińskiego i gwardye piesze nowo uformowane w Saksonii.

Gdy to wszystko się zebrało, oddalił cesarz od siebie świtę z Francuzów złożoną i kazał nam się sformować w obszerne koło. Sam zaś, stanąwszy w środku, wezwał generała księcia Dominika Radziwiłła, którego zrobił tłumaczem swego objawienia do nas¹⁾. Książę odezwał się w te słowa: „N. Pan chce do was przemówić, którego wyrazy ogłaszać będę, jakoby tenże sam do was przemawiał. Cesarz zapytał: „Polacy! czy chcecie już mnie opuścić?” Na te wyrazy wszystko, co tylko składało korpus polski licznymi okrzykami zawołało: „Nie! jaki los spotka Francuzów, do ostatniej chwili dzielić będziemy los z wami”. W końcu: „Niech żyje cesarz!” Na znak potwierdzenia wzniesiono w górę bermyce i kaszkiety. Cesarz, widząc

¹⁾ Przemówienie cesarza do Polaków miało miejsce w dniu 28 października na drodze z Fuldy do Geluhamen (*powinno być: Gelnhausen*). Przy cesarzu zostali tylko Berthier i Caulaincourt. Nie wzywano szwoleżerów. Co do samego tekstu mowy, to dwa teksty jej podaje Askenazy (Napoleon a wojsko polskie w r. 1813. Kwartalnik historyczny 1899, str. 73-83). Nasz pamiętnikarz, nie rozumiejąc po francusku, wiele ważnych ustępów tej ze wszech miar ciekawej mowy opuścił Ks. Sułkowski był obecny przy mowie cesarza.

— 411 —

ów zapał, zdjął z głowy kapelusz, a okręciwszy się na koniu, kilkakrotnie się kłaniał. Następnie wziął kapelusz za siebie i pozostawił go za sobą tak długo, aż się z nami rozłączył.

Po uspokojeniu się okrzyków, dalej mówił: „Wiadomo wam, że w tym dniu (wymieniał datę i rok za każdym razem) byłem w Poznaniu, w tym byłem w Warszawie, a 14-go czerwca 1807. stoczyłem bitwę pamiętną pod Frydlandem. W lipcu t. r. zawarłem traktat w Tylży, w którym nadałem wam byt polityczny, 26. czerwca 1812 byłem nad Niemnem, a 14. września 1812. byłem w Moskwie. Potem byłem znowu nad Renem, a w 1813 stoczyłem bitwy pod Lützen i Bautzen, czego byliście naocznymi świadkami. Fortuna jest jak kobieta publiczna: dzisiaj temu, a jutro innemu sprzyja. Przeto nie uważajcie, że się znajdujemy ostatecznie w tem miejscu.

Wiem dobrze, że walczyć jedynie dla odzyskania waszej ojczyzny, pojmuję to. Jedna batalia nad Renem może wam zjednać waszą ojczyznę. Być może, że w Moguncyi (nie potrzebuję po to chodzić do was) oddam wam waszą ojczyznę. Prawda, że gwiazda wasza zaćmiła moją, ale nie uważajcie na to, że król wasz został w Lipsku. Ja sam to postanowiłem, bo cóż miał robić ten biedny starzec na drodze wojennej. Wreszcie król saski był tylko idealnym waszym królem, ale ja byłem, jestem i będę waszym nie tylko królem, ale ojcem i opiekunem. Cóż to myślicie, że już nie mam w sobie ducha (wyrazy ostatnie wymówił, które co do słowa nie były przetłumaczone po polsku, gdyż były bardzo gminne i ordynarne, ale zawsze sens był ten sam). Tak jest, jedna batalia za Renem zjedna wam waszą ojczyznę, a teraz pójdzicie do Francji. Nie użyję was do boju, każę was zapłacić, okryć i dać dobre zimowe kwatery. Ręczę wam, że lepiej będziecie wyglądali, jak ja (to mówiąc, uchwycił się ręką za twarz swoją) i na koniec czekać będziecie rozwinięcia moich planów”.

— 412 —

Gdy przestał mówić, Artur Potocki odezwał się do cesarza w te słowa: „N. Panie! gdybyś był wcześniej odezwał się do Polaków, że jesteś ich królem, ojcem i opiekunem, byłbyś miał z nas daleko większe ofiary”. Cesarz podniósł rękę ku niemu, jakby chciał te wyrazy zatrzymać: „Stój! wieki i późne pokolenia zdumiewać się będą nad waszą wiernością i poświęceniem dla mnie. Żaden naród nie wyrówna wam, a mnie nic nie pozostaje do żądania”. Potem kłaniał się na wszystkie strony z odkrytą głową dopóty, dopóki nie wyjechał ze wspomnianego koła.

Było to już nad wieczorem — korpusy ciągly dalej. Gdy jazda nas pomijała, my do swych znajomych kolegów mówili: „A w co się teraz obróci wasze słowo honoru i Sułkowskiego? Zapewne na takie zapewnienie cesarza zostanie złamane”.

Nim nas cesarz zupełnie opuścił, dał polecenie, aby szczątki piechoty polskiej wzięły pod swą straż trofea zdobyte w ostatniej kampanii (kilkadziesiąt sztandarów, szczególniej austriackich, zdobytych pod Dreznem) jak również cały skład ekwipaży cesarskich, dodając, że nam ten drogi skarb powierza. Odebraliśmy więc owe trofea jako ekwipaże gwardyi starej francuskiej, które połączyły się z naszymi orłami, uniesionymi z pod Lipska, których pułków właściwych nie było.

Gdy się wieść rozeszła o owem przemówieniu do nas cesarza i powierzeniu trofeów, gdzie tylko znajdowały się oddziały wojska naszego, łączyły się z nami, a tak postępowaliśmy tuż za starą gwardyą, bo też i do niej należeliśmy, jak będzie wyżej. Gdy zbliżyliśmy się pod Hanau¹⁾, panowała dnia tego z rana mocna mgła, tak,

¹⁾ Autor nie wspominał tu słówkiem o tem, że w dn. 29 Napoleon, spotkawszy Dąbrowskiego, kazał mu wsiąść na koń i objąć naczelne dowództwo nad Polakami.

W bitwie pod Hanau Polacy udziału nie mieli (30. paźdz.) Walczył tam i zginął — tylko ks. Dominik Radziwiłł.

— 413 —

że nasza awangarda zbliżyła się znacznie do forpoczt nieprzyjacielskich. Natarliśmy na nie, a oni, cofnąwszy się, rozpoczęli armatni ogień z baterii. Echo owych strzałów było bardzo głucho, jak gdyby z pod ziemi dobyte. Gdy dano znać o bytności nieprzyjaciela, kazano nam się cofnąć może na dwie wiorsty. Reszcie armii, ciągnącej z tyłu, rozkazano zająć położenie wojenne. Cesarza na przodzie jeszcze nie było, ale niezwłocznie przybył, a posławszy jazdę (nie wyłączając i naszej) na prawo, rozkazał awangardzie rozsypać tyralierów i tymże rozpocząć ogień. Sam zaś udał się na wyższe wzgórze i rozpoznawał położenie nieprzyjaciela.

Sułkowski, który poprzednio opuścił swą komendę dla widzenia się z cesarzem, lecz nie mógł go nigdzie spotkać, bo, jak się pokazuje, cesarz go unikał, jak to miało miejsce pod Fulda, gdzie korzystał z nieobecności tegoż. Gdy teraz rozpoczął się ogień na przodzie, łatwo się Sułkowski domyślił, że tam się cesarz znajduje. Był tam istotnie cesarz, zajęty ważnym przedmiotem, mając przed sobą 60.000 nieprzyjaciela w okopach, a za sobą postępującą armię skoalizowaną, wtem Sułkowski, nie zważając na towarzyszące okoliczności, zbliża się do cesarza, prosząc go o dymisyę. Cesarz, wiedząc o postępowaniu tegoż, że nie tylko sam występował przeciw przekraczaniu Renu, ale nawet swych podkomendnych do tego kroku znagłał, na widok Sułowskiego — zmienił humor, ale, jak się pokazało, w sobie ów wybuch tłumiał, sądząc może, że to tak przejdzie. Gdy Sułkowski coraz mocniej nalega, a nawet absolutnie się domaga dymisyi, zniecierpliwiony cesarz obraca się do niego, mówiąc: „Ty smarkaczu! Kto inny w Twoim wieku ledwo by posiadał stopień podporucznika, a ja Ciebie zrobiłem generałem dywizyi, obsypałem Cię dekoracyami, a co najważniejsza dowódcą tego chwałą okrytego wojska, czego Ci już niejeden zazdrościł i teraz jeszcze wywdzięczasz się haniebnym czynem. Pójdź

— 414 —

precz z moich oczów! ¹⁾ Sułkowski odwrócił się i udał się na stronę nieprzyjaciela, któremu po przejściu forpoczt oświadczył swoje postanowienie, ale nie uwierzono mu. Odesłano go pod ścisłą eskortą do Leszna, majątności jego i tam dopiero pod dozorem wyznaczonego oficera rosyjskiego zostawał, mając sobie zabronioną wszelką komunikację, tak z domownikami, jako też i z sąsiadami, aż do ogłoszenia ogólnej amnestyi przez N. cesarza Aleksandra, o czem będzie niżej ²⁾.

Po oddaleniu się Sułowskiego cesarz był bardzo w złym humorze i tego dnia nie rozpoczął nic stanowczego, jedynie tylko ogień tyralierski z obu stron dnia tego miał miejsce aż do późnej nocy. Przybyliśmy z gwardyą, która przez cały czas odwrotu od Lipska zachowała wzorowy porządek, z wielką różnicą tego, jaki był przy odwróceniu z Moskwy, czego byłem naocznym świadkiem.

Gwardya, wieczorem stanąwszy, tworzyła pierwszą linię, nam zaś kazano zająć przyległy cmentarz, który był otoczony murem. Po przebyciu nocy jeszcze przededniem — otrzymaliśmy d. 13 października 1813 rozkaz, aby, tak artylerya nasza, jako też ekwipaże były zaprzężone i stały w pogotowiu ³⁾. Kazano je ustawić ściśle, a naszej piechocie osłonić je rodzajem czworościanu i, skoro gwardya ruszy do ataku, aby tuż za nią postępować. Gdy to wszystko zostało uskuteczniłem, a dzień się zrobił, cesarz przybył przed kolumny gwardyi i w te się do niej odezwał się słowa: „Francuzi! oto są wieże Moguncyi. Nieprzyjaciół poważył się zastąpić nam drogę do naszej ojczyzny, powinien być przez was surowo ukaranym.” Gwardya na to odpowiedziała: „Niech żyje cesarz! Niech żyje

¹⁾ Zmyśłone. Sułkowski zaraz po 28 podał się z całym swym sztabem do dymisyi.

²⁾ Fakt nieprawdziwy.

³⁾ Polaków nie używano pod Hanau, stąd szczegóły u naszego autora mocno wątpliwe.

— 415 —

nasza ojczyzna!“ Potem cesarz zakomenderował: „Kolumny naprzód!” To natychmiast ruszyły w massach, wzięwszy w ramię broń, przy odgłosie bębnow i muzyki. Biorąc z miejsca zaraz odstępy batalionowe, podwójnym krokiem batalion każdy się kierował ku odpowiedniemu nieprzyjacielskiemu szykowi ¹⁾. Gdy doszli do frontu nieprzyjacielskiego, który ciągle syłał ogień rotowy na Francuzów, cesarz rozkazał się zatrzymać. Tu rozwinięty front, każdy batalion dał ognia, a następnie, nim dym ze strzałów opadł, z krzykiem uderzono bagnietem na owe linie nieprzyjacielskie, która po odebranych strzale mostem położona, a reszta rozbita została i nie pozostawało jej nic innego jak ratować się ucieczką. Jednocześnie jazda, tak gwardyi, jako też i nasza okrążyła z prawej strony wzgórze, obsadzone piechotą nieprzyjacielską i rozbiwszy takową, pędziła niedobitki ku Hanau.

Bitwa wspomniana dnia tego krótko trwała i koniec jej był stanowczy, bo nieprzyjaciół do rzeki wpędzonym został. Działa, broń, bagaże, wszystko się dostało w moc Francuzów. Książę Wrede, bawarski generał komenderujący ratował się wpływem przez rzekę, ugodzony kulą karabinową w ramię. Postępowaliśmy tuż za frontem linii francuskiej gwardyi. Gdy ta doszła do Menu, my udaliśmy się w dalszy marsz, drogą ku Frankfurtowi. Byłem wówczas naocznym świadkiem, ile trupa i rannych Bawarczyków okryło wspomnianą drogę. Nasze zaś furgony i artylerya francuska, nie zważając na żyjących jeszcze rannych, po takowych przejeżdżała, tratując i rozjeżdżając na szosie leżących.

Ci Bawarczykowie ranni, którzy pod szosą leżeli, widząc to, co się z ich kolegami na szosie działo, ścigali się jak mogli pod drzewa, bojąc się, aby ich, podobny los nie spotkał ¹⁾.

¹⁾ O fakcie podobnym wspomina i Thiers.

— 416 —

Zdarzyło mi się mówić z jednym Bawarczykiem, rannym oficerem, leżącym przy drodze, któremu wystawiałem wiarołomstwo, dodając, że jeszcze część ich wojsk składała naszą armię (bo dopiero cesarz, opuszczając granicę Bawaryi sam ich wojsku opuścić kazał armię, wynagrodziwszy każdego zasłużonego Bawara za upłynioną kampanię). Na to wspomniany oficer odpowiedział, że korpusa, które dotąd w kraju stały i nie należały do kontyngentu armii francuskiej, zawiadomione zostały w zupełnie inny sposób, że kontyngens bawarski jeszcze w czasie Lipskiej bitwy przeszedł do nieprzyjaciela, że armia francuska zupełnie rozbita została pod Lipskiem, tylko garstka niedobitków ucieka z Napoleonem do granic francuskich. „Za zbliżeniem się Francuzów mieliśmy sobie za igraszkę zagarnąć resztki niedobitków, nawet gdyśmy dostrzegli jeszcze w szyku postępujące kolumny, byliśmy bowiem uprzedzeni, że wasi żołnierze są już zupełnie upadli na duchu, ale niestety — dodał ten oficer, — sam tego doświadczyłem, z jaką energią Francuzi jeszcze się bili”.

Wojsko, które się dnia tego w bitwie znajdowało, pozostało na miejscu. Nam zaś z trofeami i furgonami cesarskimi kazano się udać szosą ku Frankfurtowi, gdzie przybyliśmy tej samej nocy, a porozpalawszy ognie po placach tego miasta, tamże przenocowaliśmy. Dnia następnego udaliśmy się traktem ku Moguncyi, a gdyśmy się tam zbliżyli, rozłożono nas po kwaterach po prawej stronie traktu nad Renem. Odpocząwszy przez dzień 1-go listopada, 2 go udaliśmy się przez Kassel, małe miasteczko tuż przed mostem leżące, a następnie przez most do Moguncyi.

Nasza jazda tegoż samego dnia przeprawiała się z nami przez Ren, co widząc, my oficerowie z piechoty robiliśmy wyrzuty oficerom jazdy, jakoby nie dotrzyмали słowa danego Sułkowskiemu. Ci odpowiedzieli, że to było dziecinństwo Sułkowskiego wymagać podobnych zobowiązań i dodali: „My zaraz sobie mówili, że dobrze

— 417 —

oficerowie piechoty zrobili, że odrazu odparli podobne propozycje. Jeden z nich dodał: „Co wam jeszcze powiem, to to, że owa najgłówniejsza sprężyna tego projektu, Krukowiecki nie wrócił z nim, ale właśnie dziś przebył Ren”¹⁾.

Po przybyciu naszym do Moguncyi nie otrzymaliśmy żadnego dalszego rozkazu, bo nawet nie wiedzieliśmy, kto jest naszym dowódcą. Dowiedzieć się nie było od kogo, bo sztaby, dostawszy się do jednego miasta, rozsypały się po różnych zakątkach onego, korzystając z błęgiego bezpieczeństwa i spokoju. Tak wszyscy niższych stopni oficerowie, podoficerowie i żołnierze, zajmując wskazane place tego miasta, biwakowali na bruku bez żadnego opatrzenia w słońcu, bez drzewa, a nawet żywności i furażu. W tym stanie pozostaliśmy przez trzy dni. Doszło do tego stopnia, że widziałem kilka koni zdechłych od jazdy i artylerii naszej, zapewne z powodu nie odebranego furażu. W podobnej biedzie wśród ogromnego miasta nie pozostało nic więcej, jak proponować jeden drugiemu, że jeżeli kto ma jakiś zapasik, ażeby wsparł innych. Dzięki Bogu, będąc oszczędnym, miałem choć szczupły, ale napełniony groszem woreczek; przystałem przeto chętnie na ową propozycję, bo też i własny w tym względzie miałem interes, gdyż byłem sam głodny. Przybrawszy z sobą trzech kolegów, przyrzekłem ich dnia tego w oberży posilić. Przybywszy tam, znaleźliśmy różnego rodzaju i broni wojskowych zebranych. Dla zaspokojenia głodu — nasza kompania ulokowała się zaraz przy pierwszym stoliku. Nim nam przyniesiono żądany obiad, umieszcza się obok nas nowo przybyłych trzech oficerów francuskich, z których dwóch było tamtejszych, Mogunckich garnizonowych oficerów, jak się należało domyślać po ich świeżym ubiorze.

¹⁾ „Intryganci, pisze Kołaczkowski, na czele ich Krukowiecki, pozostali przy armii, nie przestając burzyć oficerów niższych przeciwko starszym”.

— 418 —

Jeden z nich przyniósł pod płaszczem bułkę chleba, jaki powszechnie dla wojska dają. Trzeci zaś z nich (łatwo było odgadnąć) był to jeden z powracających z armii wielkiej, o czym świadczyły powypalane w obozach dziury w płaszczu, w mundurze, a do tego był on zasmolonym i co więcej może nie mytym przez czas kampanii. Dwaj pierwsi, widząc przyjaciela ostatniego, postanowili go utraktować. Nam podano obiad i byliśmy zajęci zaspokojeniem apetytu. Gdy z kolei podano inne potrawy, które bez chleba trudno jeść było, zawołałem na garsona, aby podał chleb. Ten, zbliżywszy się do nas, grzecznie powiada, że nietylko tutaj w oberży, ale nawet u wszystkich piekarzy i w straganach nie dostanie chleba z powodu wielkiego przechodu wojska przez Moguncję. Dodał niby od siebie, mówiąc: „Oto w sąsiedztwie panów — ci oficerowie mają chleb, to oni kawałek sprzedadzą”. Wtem z pomiędzy nas podnosi się porucznik Zabłocki, który dobrze mówił po francusku, a zbliżywszy się do stolika owych oficerów, prosi o odstąpienie kawałka chleba, na co jeden odpiera stanowczo: „Nie”. Gdy Zabłocki powtarza prośbę, ten porwał chleb ze stołu i położył go obok siebie i znowu podniesionym głosem odpowiada: „Nie!”

Było to dla nas coś szczególniejszego. Jeden z nas powiedział: „Oto znosiliśmy nietylko niedostatek, ale mrozy, niewygody, krew przelewali za ich sprawę. Dziś nogą wstąpiliśmy na ich ziemię i takiej niewdzięczności doznajem”. Inny dodał: „Wszakże pamiętne nam jest wejście Francuzów pierwszy raz w r. 1806. na naszą ziemię, ileśmy się ubiegali w przyjęciu ich 300 000 armii, a dziś nam nawet za pieniądze chleba odmawiają” i t. p. Następnie w kontynuacji obiadu już więcej na tych sąsiadów uwagi nie zwracamy.

Rozmowa ich była ciągle w zapytaniach owego przybysza o obrotach wojennych, obozach, wypadkach bitew, bo domyślić się należało, że owi garnizonowi oficerowie byli to zapewne nowicjusze, a zatem chcieli się o wszystkim

— 419 —

od kolegi, robiącego już tak ważną kampanię, dowiedzieć, lubo i ostatni, jak się okazało, był nowicjuszem. W toku gęstych zapytań, ten ostatni wspomniął o kozakach. „Teraz nam ważną odkryjesz wiadomość, powiedz nam, co to za rodzaj wojska, co to są za ludzie, jak wyglądają, bo też u nas tyle sprzecznego o nich mówią”, pytają go koledzy. Ten ostatni, zabrawszy głos, taką relację o kozakach rozpoczął: „Nasamprzód trzeba wam wiedzieć, że kozaki jest rodzaj ludzi zupełnie różniący się od nas. Mają oni głowy nadzwyczaj wielkie, oko jedno na środku czoła ogromne, nos długi, usta zaś tak szerokie, że, kiedy gębę otworzą, to się otwór robi od ucha do ucha. Do tego ogromne wąsy i brody w pas, a co najokropniejsze, że krzyk ich jest tak przeraźliwym, że na ich głos nasze bataliony w masach stojące rozsypują się i broń rzucają”. Do tego dodał, że kozacy mają wielkie paznokcie u rąk, jak gdyby u tygrysa i t. p.

Śluchając owych bredni, pozostawilibyśmy byli oficerów francuskich w tym błędzie, ale już większa liczba goszczących powstawała z swych miejsc i otoczyła stół, gdzie ów bohater w okropnym świetle wystawiał kozaków. Dla wyprowadzenia wszystkich z błędu mówimy do Zabłockiego: „Trzeba ich w tem objaśnić, a to dlatego, czy uważacie, jakie wrażenie owa relacja na słuchających robi, wszakże oni pobledli i prawie osłupieli. Więcej by teraz nie potrzeba jak krzyknąć: „kozak!” a ręczę, żeby wszyscy pouciekali ze strachu”. Wtem podniósł się Zabłocki, a zbliżywszy się do bohatera, zapytuje się: „Czyś Pan kiedy widział kozaka?” Ten odpowiada: „Dlaczego się Pan pytasz?” „Bo słyszę opowiadanie pana zupełnie fałszywe”. Ten znowu, widząc, że został zagadnięty, cofa się niby, mówiąc: „Prawda, że zbliżka nie widziałem, ale słyszałem, jak nasze bataliony rozsypane to powtarzały”. Wtem Zabłocki obraca się do słuchających i mówi: „Nie wiercie koledzy takim szarlatanom i tchórzom, którzy tylko powtarzają, co im uciekający z placu boju powiedzieli.

— 420 —

Ja wam zaręczam, że kozacy są ludzie, tak jak my, że noszą brody, bo im to ich wyznanie nakazuje. Kozacy nie są nic innego, jak wolontery, którzy z własnej chęci więcej służą i, jeżeli poczują zdobycz, tem więcej się zapalają w nacieraniu na uciekającego nieprzyjaciela. To wam zaręczam, bo my ich więcej znamy, robiliśmy przeciw nim trzy kampanie”. Jeden z obecnych zapytał: „Jakże można, Pan taki młody, żebyś już trzy kampanie robił?” Zabłocki odpowiedział: „Prawda, robiłem dopiero jedną ale, wskazując na nas, ci robili ich trzy, bo my jesteśmy Polacy”. Na ten ostatni wyraz — wszyscy zwrócili na nas oczy. Lubo mundury nas nie różniły w niczem od Francuzów, ale, widząc nas dekorowanych polskimi krzyżami, jednogłośnie się odezwali: „Prawda, to są waleczni Polacy” (taki nam zawsze dodatek dawali). Wtem po wyrazie „Polacy” ten sam oficer francuski, co nam sprzedania chleba odmówił, przynosi bochenek chleba do naszego stołu, a ofiarując, przeprosza za odmówienie, dodając, że nas wziął za Francuzów. „I — słusznie mówił — naszym warto było odmówić, bo to był tylko rodzaj lenistwa, aby nie pójść do magazynu i za bonami odebrać chleb dla siebie”. Podziękowaliśmy za jego grzeczność i przyznali się, że jesteśmy pierwszy raz w Moguncyi, żeśmy tylko kampanie niemieckie i w Rosyi odbywali.

Gdy się obecni dowiedzieli, żeśmy byli z cesarzem w Moskwie, całe otoczenie w tym salonie otoczyło nas, bo się tak trafiło, że żaden z obecnych kampanii 1812 nie robił. Okrążono nas i tysiączne zapytania robiono, a w końcu otoczono nas z butelkami i każdy starał się spełnić zdrowie walecznych Polaków. Tak ten dzień i następny spędziliśmy bardzo wesoło, a przynajmniej trochę wygodniej, jak na bruku w biwaku. Wszyscyśmy się dobrze bawili oprócz owego bohatera, który cichaczem wyniósł się z obozu. Zapewne udał się w inne miejsce, gdzieby mu nie zaprzeczono opowiadania o kozakach. A tak z tego

— 421 —

wypadku porobiliśmy sobie znajomości, które były dogodne przez trzy dni w biwaku w Moguncyi.

Po upływie trzech dni udaliśmy się my Polacy, zebrani razem, w dalszy marsz do księstwa Zweibrücken ¹⁾. Tam, odpocząwszy dni kilka, udaliśmy się ku miastu Verdun, dokąd mieliśmy marsz bardzo przykry. Maszerowaliśmy długą groblą, mającą długości przeszło milę, wiatr mocny pędził nam śnieg w same oczy, tak, że prawie wszyscy sztaboficerowie i wielu subałtemów po oberżach

pozostawało. W tem dojeżdża do naszej kolumny generał Żółtowski, a widząc, że przy niej niema żadnego oficera, zatrzymuje nas, chcąc porządkować sam kolumnę. Gdy wystąpiłem i zacząłem mój oddział szykować, woła mnie generał i mówi: „Omyliłem się, sądziłem, że niema przy całej kolumnie ani jednego oficera, ale oto Pana tu znajduję”. Zanotowawszy sobie moje nazwisko i stopień, polecił mi, abym w porządku całą piechotę poprowadził do Verdun, a przybywszy tam, rozkwaterował wojsko. Tymczasem pościągali się i pozostali oficerowie.

Po krótkim odpoczynku na kwaterze udałem się z moim kolegą (z którym od początku mej służby żyłem) do pierwszej restauracyi w mieście i kazaliśmy sobie dać obiad.

Dnia następnego, gdy uderzono generał-marsz i wojsko stanęło do marszu, generał Żółtowski, jako wówczas najstarszy w piechocie, wyszedł na plac, a po zebraniu wszystkich sztaboficerów i subałtemów, rozkazał wojsku odczytać rozkaz dzienny. W rozkazie była mowa o tem, że generał ze zgorszeniem dnia wczorajszego napotkał całą kolumnę naszej piechoty, opuszczoną przez swych

¹⁾ Kołaczkowski pisze: „Po dwóch dniach pobytu w Moguncyi... generał Dąbrowski odebrał rozkaz zebrania wszystkich pojedynczych oficerów bez wojska w Sedanie, dawnym zakładzie legii nadwiślańskiej. Miasto to przeznaczone nam było przez Napoleona na leże zimowe”.

— 422 —

oficerów, wyjąwszy tylko jednego, to jest mnie, że wskutek tego nadaje areszt w kwaterach wszystkim oficerom, którzy wówczas byli obecni, a mnie robi ogólnym dowódcą całej piechoty, którą mam prowadzić aż na miejsce przeznaczenia — do Sedanu ¹⁾. Zostawszy w ten sposób naczelnym wodzem piechoty, nietylko żem miał ogólną komendę w marszu, ale nadto, gdyśmy przybyli do Metzu, gdzie była kasa departamentu, z której braliśmy żołd miesięczny — dla wszystkich pułków podpisywałem listy płacy, jak niemniej karty drożne do dalszego marszu do Sedanu. Gdyśmy się zbliżali do Sedanu, wysłany został dla zrobienia kwater kapitan Święcicki z pułku 16-go piechoty naszej. Wspomniany kapitan mówił dobrze po francusku, jak rodowity Francuz. Gdy przybył do wsi Bazel poa Sedan, gdzie i nasz pułk się rozkwaterował, udał się do mera, czyli po naszemu sołtysa, który miał pod swoją dyspozycją kilka wsi. Przybywszy do biura, oddał Święcicki kartę drożną adjunktowi mera, a gdy długo kazano mu czekać, wszedł prosto do mieszkania mera, który, obrażony będąc śmiałością wspomnianego kapitana, powiada do niego: „Pan powinieneś czekać w biurze, a nie nachodzić mego mieszkania”, przyczem chwyta go za piersi, chcąc go wypchnąć za drzwi. Kapitan, obrażony tem postępowaniem, uderzył mera w twarz, a złapawszy za łeb i dobywszy pałasza, dał wspomnianemu kilkadziesiąt płażów. Gdy go puścił wreszcie, wybiegł mer tylnymi drzwiami do swego adjunkta, aby podług karty drożnej zrobić zaskarżenie wspomnianego oficera.

Dowiedziawszy się z karty drożnej, że to jest oficer polski, wbiega natychmiast do swego pokoju, a zastawszy w nim jeszcze Święcickiego, zamiast żądania satysfakcyi, przeprosza go najuprzejmiej za swoje uchybienie, dodając, że to się stało przez omyłkę, gdyż wziął go za oficera francuskiego. Gdy się już pogodzili, Święcicki powiedział

¹⁾ Fakt mocno wątpliwy.

— 423 —

merowi, że gdyby wistocie był oficerem francuskim, to wynik zajęcia byłby ten sam, na co mer zaręczył, że oficer francuski nie poważyłby się wchodzić do mieszkania mera, a powtóre, nawet wypchnięty za drzwi, przyjąłby to musiał z największą uległością, w obawie sądu wojennego, za uchybienie władzy. „Ale, że to wy Polacy inaczej jesteście uważani, tak przez nas, jako też przez samego cesarza, przeto ja Pana przeproszam i niech to co zaszło — zostanie między nami”. Gdyśmy się następnie rozkwaterowali, mieliśmy największe wygody i uszanowanie od mieszkańców ¹⁾.

Wspomniany mer był człowiekiem bogatym — i do tego miał w tej wsi fabrykę kirysów dla armii. W przeciągu tego czasu, jakeśmy w tej wsi konsystowali, pewnego razu przybył do mnie nasz dowódca, major Domański. Gdym się u niego stawił, zastałem tam jakiegoś Francuza. Major, wskazując mi na Francuza, mówi: „Oto ten kupiec dzisiejszej nocy został okradzionym, a podejrzenie

padło na naszych żołnierzy. Proszę cię kapitanie, chciej się do tego przyłożyć, aby człowiek ten odebrał swą własność. Chodzi tu o naszą reputację, aby nie mówiono, że Polacy złodzieje. Wyszedszy od majora, wypytuję się Francuza, gdzie go okradziono i wiele mu zabrano. Ten prowadzi mnie do oberży i pokazuje mi swój wóz, stojący przed austeryą przy samej szosie z Moguncyi do Paryża, dodając, że na tym wozie, stał na przodzie kufer, który zostawionym był przez noc na ulicy. Oburzyło mnie niezmiernie takie niedbalstwo ze strony Francuza, który mógł zostawiać kufer z wekslami i 500.000 franków na ulicy.

Chcąc zadosyć uczynić poleceniu majora, posłałem do warty policyjnej, we wsi będącej, aby mi przysłano podoficera i czterech żołnierzy, a następnie przystąpiłem do śledztwa. Obejrzałem najsamprzód wóz. Był to wóz francuski na dwóch kołach z dwoma dyszlami, czyli po naszymu hołoblami, któremi był oparty o ziemię, a kufer

¹⁾ Opowiadanie wątpliwej wiarygodności.

— 424 —

był umieszczony na przodzie. Koło wozu były ślady nóg ludzkich, przyczem jeden z nich — zaznaczał się roztartym świeżym nawozem końskim, co naprowadzało na podejrzenie, że złodzieje byli ludźmi służącymi przy koniach. Tymczasem nadeszła warta. Zamiarem moim było obecnie pobrać wszystkich zwoszczyków wojskowych i z nich śledztwo prowadzić. Zaraz obok austeryi — była stajnia, w której drzwiach stało dwóch zwoszczyków, patrzących na to, co ja przedsięwzię. Jakoby instynktem poruszony, przywołuję do siebie owych zwoszczyków, a wskazawszy im gnój koński na grudzie pozostały, mówię do nich: „To wasza sprawka! widzisz gnój, który was wydaje”. Na to się jeden z nich odzywa śmiało: „Ja przysięgnę, że to nie ja zrobiłem”. Ta odpowiedź zdawała się potwierdzać moje podejrzenie. Odpowiedziałem, że złodziejowi nikt nawet na przysięgę wierzyć nie będzie. „Ale otwarcie wam powiadam, dodałem, że nie będę słuchał waszej przysięgi, ale dopóty każę ćwiczyć, aż się przyznacie”. Ponieważ powyższy zwoszczyk jeszcze mi coś zuchwale odpowiedział, przeto, uniósłszy się gniewem, kazałem ludziom pójść do tej samej stajni i przynieść bata, a skręciwszy go, zapowiadam ostatecznie, że, jeżeli się nie przyznają, każę ćwiczyć. Jeden ze zwoszczyków, chcąc niby mnie przekonać, zawikłał się jeszcze bardziej, odpowiadając: „Wszakże ten kufer skradziono zaraz po przyjeździe Francuza, a tu ślad jest na grudzie”. Sądził że po skradzeniu kufra Francuz zrobił rajwach, ale, gdy się zapytałem Francuza, kiedy zauważył, że go okradziono, tenże odpowiedział, że dziś rano dopiero, gdy miał już wyjeżdżać. A zatem złapałem zwoszczyków za słowo, że kufer z wieczora został skradziony, przeto, kazawszy ich obydwóch położyć razem, przedstawiam im, aby się lepiej przyznali, a nie zmuszali mnie do użycia środków surowszych. Gdy to nie pomogło, każdemu z nich wypalono po kilka batów, poczem razem się odezwali, jak gdyby na komendę: Pierwszy: „Ja przysięgnę!” Drugi: „Już się przyznam”. Ostatniemu

— 425 —

zrobiłem pauzę, a pierwszemu kazałem dołożyć jeszcze kilka batów, aż nakoniec i ten zawołał, że się przyzna. Dano im wtedy spokój. Pierwszy, podrapawszy się w głowę: „Prawda, żeśmy kufer wzięli, ale byliśmy tak pijani, że nie pamiętamy, gdzieśmy go schowali, podobno w stajni”. Mając do pomocy żołnierzy, udałem się do stajni. Kazałem z pułapu wszystko zrzucić, sieczkę, siano, a nawet i to co było pod żłobem przetrząsnąć, ale napróżno. Zniecierpliwiony, każę winowajców kłaść znowu i dać im kilka batów.

Drugi z nich odzywa się: „Mamy się dać katować, to lepiej się przyznać”. Puszczono ich znowu. Pierwszy po krótkim namyśle powiada: „Zanieśliśmy kufer nad rzekę w karcze”. „Prowadź”. Gdy przyszli w karcze, udają, że nie mogą znaleźć, a wszystko tem tłómaczą, że byli pijani. Gdy powtórzyć im kazałem baty, nie czekając skutku, drugi odpowiada, że kufer utopili w rzece, a prowadząc prosto w to miejsce, wskazał kufer leżący na dnie wody.

Widząc to Francuz, w największej rozpacz ręce załamuje, włosy sobie z głowy wydiera, mówiąc: „Ja nieszczęśliwy! wolałbym pieniądze stracić, byleby tylko weksle były ocalone”. W końcu wydobyliśmy kufer. Był on rozbity, poczem kamień weń włożono i tak utopiono, wyjąwszy z niego wszystko. Już teraz miałem pewną rękojmię popełnionej przez zwoszczyków kradzieży. Nie czekając dalszego tłómaczenia, kazałem ich położyć i dałem może po piętnaście batów każdemu, zapowiadawszy, że dopóty każę ćwiczyć, aż wszystko oddadzą. Nareszcie odzywają się obydwaj, że wszystko oddadzą, a udawszy się o kilkanaście kroków dalej, między karczami pokazują mi wysypane ruchomości z kufra. Francuz, zobaczywszy swój pugilares, z owej rozpacz wpada w największe uniesienie radości, klaszcze w ręce, skacze do góry, wołając: „Są weksle! już o więcej nie stoję”. Sądziłem, że w istocie monety nie miał, jedynie chodziło o papiery, zapytuję się go tedy stanowczo, czy miał jeszcze pieniądze

— 426 —

w monecie, jak to poprzednio zeznał. „Tak jest — odpowiedział w dwóch, workach monetą pięciofrankową było 50.000 fr., ale, dodaje, patrząc na to wasze bicie, już prawie bym się reszty wyrzekł”. Kazał wreszcie Francuzisko od siebie owym winowajcom oświadczyć, że, jeżeli się bez bicia przyznają, ofiaruje każdemu z nich po 50 franków. Gdy objawiłem im obietnicę Francuza, zaraz pierwszy się odezwał: „To niech psiakrew da, bo to on wszystkiemu winien. Dlaczego kufer na ulicy zostawił?” Gdy ja im mówię: „Oddajcie pieniądze, to wam Francuz kwotę obiecaną wypłaci”, pierwszy znowu powiada, że w kufrze żadnych pieniędzy w workach nie było. Wówczas opuściła mnie już cierpliwość i każę znowu łotrów rozciągnąć, nie słuchając już ich tłómaczeń. Dostali może po dwadzieścia batów, aby sobie ze mnie żartów nie robili. Nakoniec pierwszy powiada, że już pieniądze odda. Prowadzi nas znowu pod stajnię i poza ścianą niby szuka w kupie gnoju, która, leżąc w cieniu, jeszcze omarzniętą była. Widząc, że to są wybiegi, powiadam: „Szukaj i oddaj, bo mi już cierpliwości nie staje — i bić każę do ostatniego”. Kazałem ich rozciągnąć i zawołałem: „Albo oddaj, albo już żadnych wybiegów słuchać nie będę!” Obydwaj zawołali: „Jeżeli już teraz nie oddamy, każ pan bić choćby na śmierć”. Nakoniec prowadzą mnie do stajni, a pod żłobem, gdzie w jednym miejscu podłoga nie dochodziła do ścian i była ziemia, odgrzebali z wielką trudnością ziemię i wydobyli owe dwa worki z pieniędzmi. Nie brakowało ani jednego franka, bo zaraz ów Francuz, wzięwszy woreczki do ręki, oświadczył, że tak są zawiązane jak były. Jednakowoż ów Francuz okazał się litościwym i wspaniałym i odliczył dla każdego z nich, jak to był pierwiej oświadczył, po 50 franków. Następnie prosił nas obecnych, abyśmy przyjęli w oberży śniadanie! Ja powiedziałem, że potrzeba nasamprzód o tem zrobić raport swemu dowódcy, gdyż wiem, że go to bardzo ucieszy.

— 427 —

Francuz ze swojej strony udał się ze mną do wspomnianego majora w celu podziękowania mu za tę łaskę. Gdy przybyliśmy do zamku, opowiedziałem majorowi szczegóły tego zdarzenia. Ucieszył się nasamprzód, że pieniądze skradzione właściciel odebrał, ale nie mógł się dosyć wydziwić nieostrożności Francuza, zostawiającego kufer na ulicy na noc. „Domyślam się, że Panowie pierwszy raz jesteście u nas, powiedział na to Francuz, bo, gdyby nie wojsko stojące we wsi, (nie mówię tego tylko do wojska polskiego, ale stosuję to i do naszych) pewnieby ten wypadek nie nastąpił. U nas nietylko że śmiało można zostawić podobny kufer na ulicy, ale, dla przekonania panów, gotówem, gdyby wojska nie było, to zaraz okazać, że ten sam kufer porzucę na trakcie i opuszczę go nawet na kilka dni, a znowu powróciwszy, znajdę go u mera najbliższej wsi.

A teraz wracam do wydarzeń służbowych. Wkrótce przybył do Sedanu adjutant cesarski, generał dywizji Flahaut, a później generał Falkowski, którym polecone było uorganizowanie naszego wojska rozłożonego koło Sedanu. Interesem cesarza było, aby można wszystkich Polaków na konie wsadzić i utworzyć z nich jazdę ¹⁾. Jak wiadomo z ostatnich wypadków bitwy Lipskiej, ta stoczona została prawie przez samą piechotę naszą, że jazda nasza przeszła za Elsterę wraz z francuską jazdą jeszcze w wigilię opuszczenia Lipska, to jest 18 października, a zatem nieuszkodzona, wyjąwszy kilku nieczemnych oficerów, którzy z swymi oddziałami w marszu od Lipska zdradziecko opuścili swój korpus. Była ta jazda w dobrym stanie i w sile ²⁾.

¹⁾ Do reorganizacji szczątków wojska polskiego wzięli się Flahaut i Falkowski w końcu grudnia r. 1814, zdecydował o niej dekret cesarski z dnia 18/XII 1813.

²⁾ Jazda polska przeszła Elsterę w dniu 19/X, w bitwie pod Lipskiem poniosła straty bardzo znaczne, choć mniejsze jak piechota.

— 428 —

Piechota zas, która była pod rozkazami księcia Poniatowskiego, w części musiała broń złożyć, w części zaś pod morderczym trzechniowym ogniem zniszczoną została. Reszta tylko niedobitków przeprawiła się prawie wprawdzie w dniu 19 października i do swoich się przedarła. Jedynie tylko z pułków pod rozkazami generała Dąbrowskiego jakaś część piechoty została. Z tego to powodu

organizatorowie wyż wspomnieni mieli polecenie, aby ile możności skompletować naszą jazdę piechotą. Ale zostawione było każdemu do woli, kto chciał wcielić się do jazdy lub nie. Przeto zebrano nas wszystkich Polaków (oprócz szwoleżerów Krasieńskiego, którzy ciągle przy głównej kwaterze cesarza się znajdowali) pod Sedanem i tam dokonano wspomnianej reorganizacji. Jednakowoż po zaproponowaniu każdemu z osobna przejścia do jazdy, pozostało jeszcze tyle piechoty, że jeden pułk takowej sformowano pod dowództwem pułkownika Kosińskiego ¹⁾. Ze zbywającej liczby podoficerów i kaprali piechoty, po obsadzeniu w jeździe wszystkich miejsc, uformowano pułk eklererów, czyli przedniej straży dla gwardyi konnych. Lubo to byli sami podoficerowie i kaprale i pozostali oni przy właściwych znakach i żołdzie, sformowano z nich szeregi plutonów i szwadronów ²⁾. Pozostali zaś oficerowie, którzy nie chcieli przejść do jazdy, a nie mieli miejsca w pułku piechotnym (bo tam dowódzca swymi znajomymi go obsadził) weszli w skład dwóch kompanij gwardyi honorowej pod numerami 3 i 4 ³⁾. Do tych ostatnich należałem i ja.

¹⁾ Utworzono 2 bataliony piechoty, każdy w sile 800 ludzi, jednym z nich dowodził Skrzynecki (do czworoboku tego batalionu schronił się Napoleon w czasie bitwy pod Arcis sur Aube). Kosiński, jak o tem niżej, dowodził batalionem legii Nadwiślańskiej, sformowanym oddzielnie.

²⁾ Autor myli się mocno. Pułk zwany „eclaireurs de Garde“, w sile 800 koni, sformowano z żołnierzy jazdy.

³⁾ Antoni Ostrowski twierdzi, że oficerowie polscy nadliczbowi jeszcze w Moguncji sformowali cztery kompanie honorowe. Oficerów tych było tylu, że, jak mówi Kołaczkowski, można nimi było obsadzić armię 30-tysięczną.

Dodajmy, że z żołnierzy jazdy polskiej, oprócz dokompletowania pułku lekkokonnych i sformowania nowego pułku „Eclaireurs de Garde“, stworzono jeszcze dwa pułki ułanów i jeden krakusów. Z całej artylerji została tylko jedna kompania konnej i jedna pieszej.

— 429 —

Po uorganizowaniu owem oficerowie i żołnierze natychmiast poszli do nowo przeznaczonych korpusów, my zaś (gwardya honorowa) umieszczeni byliśmy jedni we wsi wspomnianej Bazeille, a reszta w Sedanie i bliższych wioskach, ale już z sobą połączeni. Tak pozostaliśmy do dalszego rozkazu.

Następnie w Sedanie odbyło się w kościele katedralnym nabożeństwo i egzekwie za duszę księcia Józefa Poniatowskiego, marszałka Francji ¹⁾. Katafalk był wzniesiony z broni, pałaszów i sztandarów polskich, portretem i herbami nieboszczyka ozdobiony. Lubo były egzorty duchowne w języku francuskim, ale i w języku ojczystym miał mowę, pułkownik wówczas, Franciszek Morawski który przez szczytny dar wymowy, a do tego, jako znany poeta i historyk, w pełnych uczucia wyrazach skreślił nasamprzód pochodzenie i wzniesienie się familii Poniatowskich, których potomka lubo smutną ale zaszczytną pamiątkę jego osierociało dzieci obchodziły. Obok tego oddał w krótko zebranej treści wypadki historyczne przodków polskich, jak niemniej wyrządzone temu walecznemu narodowi krzywdy przez sąsiadów, nie zapominając, jak ten bitny naród strącał harde półksiężycy i inne godła sąsiedzkie. Słowem ta, tak czule oddana, mowa poruszyła do łez nietylko nas zebranych Polaków ale i Francuzów, chociaż ostatni nic nie rozumieli. Nie należy też zapomnieć i egzorty duchownej, mianej przez księdza Majewskiego, kapelana 15 pułku piechoty wojsk polskich, ozdobionego złotym polskim, później — za Konstantego — naczelnego

¹⁾ Dnia 23/XII 1813 r. (w wydaniu książkowym błędnie 1713)

— 430 —

kapelana wojsk polskich. Ten, lubo w stylu religijnym, przecież nie opuścił oddać należnych i zasłużonych pochwał zmarłemu.

Zbliżył się nakoniec i rok nowy 1814, rok, w którym nas nieprzewidziane czekały wypadki ¹⁾.

Po przejściu przez armie skoalizowane Renu w Szwajcaryi, zajrzała owa armia i na ziemię francuską. Stosownie do tego położenia odebraliśmy rozkazy, aby wyruszyć z miejsc dotąd przez nas zajmowanych i udać się ku Paryżowi. Jako gwardya honorowa udaliśmy się do Clermont ²⁾, gdzie już stały podobnie uorganizowane z samych polskich oficerów dwie kompanie, to jest 1-sza i 2-ga. Ponieważ miejsce owo było małym miasteczkiem, za szczupłym dla pomieszczenia nas razem, posunęliśmy się przeto

o dwie mile naprzód i zajęliśmy miasteczko Liancourt i jego okolice. Tam staliśmy czas niejaki, dopóki nas okoliczności stąd nie poruszyły. Stojąc tam, mieliśmy wygodne kwatery, bo każdy mieszkaniec obowiązany był dostarczyć nam wszelkiej wygody, a to

wskutek odezwy cesarza, który takową wydał zaraz, gdyśmy w granice Francji wstąpili³⁾. Mówił w niej cesarz, że „Polacy są to nasi najwierniejsi i niczem niezachwiani sprzymierzeńcy, którzy opuścili własną ojczyznę, dzieląc losy z armią francuską”. Wskutek tego polecał, aby, nie zważając na ustawy krajowe we względzie utrzymania wygody wojska, przyjmowano nas z wyjątkową gościnnością.

Otoż tego polecenia skutkiem było owo grzeczne obejście się mera w Bazeille ze Świąćickim. Taka była różnica między naszym a francuskim wojskiem, że nam

¹⁾ O kompaniach oficerów piechoty zapomniano w r. 1814. Przypomniano je sobie dopiero przed samem oblężeniem Paryża. Stąd i nasz autor pozostał beczynnym i jego wiadomości są bardzo skąpe i niedokładne.

²⁾ Clermont o 25 wiorst na północ od Paryża, Liancourt o 8 wiorst od Clermont.

³⁾ Fakt nieprawdziwy.

— 431 —

wszelkiej dostarczano wygody, podczas, gdy swemu żołnierzowi wody nawet nie podano. Była to polityka Napoleona, że o ile dawano wolność za granicą żołnierzowi, o tyle ją ścieśniano w kraju.

Co do oficerów, to ci mundury tylko na służbie nosili, poza nią prawie wstydzieli się w nich występować. Gdy czasem miewaliśmy pogadanki z mieszkańcami, twierdzili oni zawsze, że wielka różnica zachodzi między oficerami naszymi a francuskimi. „Wiadomo nam, mówili że u was wielu takich w wojsku służy, którzy mają wielki majątek i zaszczytne urodzenie, a wogóle, że każdy z własnej chęci służy dla ojczyzny, ale nasi są to zwyczajnie konskrypcyoniści, co się stopnia dosłużyli¹⁾).

Gdyśmy stali w Liancourt, armia skoalizowana zbliżała się ku Paryżowi. Pewnego razu doniesiono nam przez chłopów, że nieprzyjaciel się zbliża, a ponieważ miasta Clermont i Liancourt innego garnizonu nie miały, jak nasz, przeto generał komenderujący postanowił, aby oficerowie jazdy naszej, jak niemniej sztaboficerowie z piechoty, którzy furą na konie pobierali, kolejno robili patrole w stronę nieprzyjaciela. Wspomniane patrole rozpoczęła wysłać kolumna w Clermont stojąca, a po odbyciu kilku takowych patroli okolica nasza spokojniejszą się zdawała. Polecono nam, ażeby na każdy wypadek być w pogotowiu do wyruszenia. Po upływie dni kilku, pewnej nocy zawiadomiono nas, że kolumna z Clermont jak najspieszniej wyruszyła w stronę Paryża. Nadedniem wyszliśmy i my z Liancourt, ale, nie przebywszy dwóch mil, odebraliśmy zawiadomienia, aby powrócić z powrotem, gdyż zaszła tylko pomyłka. Powróciwszy, domagaliśmy się wyjaśnienia fałszywego alarmu. Wtedy opowiedziano nam, że wskutek nakazu onych nocnych patroli — przyszła kolej na szefa batalionu pułku naszego, Pogorzelskiego (znanego,

¹⁾ W tem miejscu nasz pamiętnikarz nieco przydługopowowiada historię dziedzica Liancourt, co uważaliśmy za stosowne pominąć.

— 432 —

jak wyżej, z tchórzostwa). Ten miał dzielne konie wierzchowe, ale w trokach duże pieniądze obok małego serca. Wyruszywszy na czele swego patrolu, udał on się w miejsce mu wskazane o dziewięć godzin drogi od Clermont odległe. Gdy się do owego miejsca już późno w noc zbliżał, wszedłszy w brzeg lasu, za którym leżało to miejsce, dostrzegł sam stojące w liniach, ukryte w owym lesie, szwadrony, jak się domyślał nieprzyjacielskie. Wysłał kilku naprzód dla rozpoznania. Gdy ci za zbliżeniem do onych szwadronów na zapytanie „kto tu stoi”, żadnej odpowiedzi nie odebrali, Pogorzelski uznał za stosowne uczynić odwrót, nie chcąc się narażać na stratę.

Wydawszy odpowiednie polecenie, sam zaś mając dzielnego konia, zwrócił się nazad tak szybko, iż w momencie znalazł się w Clermont i zaraportował, że nieprzyjaciel zrobił zasadzkę w lesie z kilkunastu szwadronów złożoną, następnie zas otoczył jego oddział i co do jednego zabrał żołnierzy w niewolę. Wskutek tego alarm ogromny powstał w Clermont i kolumna tam stojąca najspieszniej opuściła miasto, co i my z kolei uczyniliśmy. Tymczasem szpica patrolu Pogorzelskiego z kilku ludzi złożona, nie odebrawszy żadnej odpowiedzi od mniemanego nieprzyjaciela, dalej jeszcze postąpiła. Nareszcie dostrzeżono, że owe nieprzyjacielskie szwadrony były to..... sążnie w długich liniach i różnych kierunkach ustawione. Udano się następnie do miejsca przeznaczonego i tam od mera odebrano świadectwo, jako w tej stronie niema i nie było nieprzyjaciela. Wróciwszy do Clermont, już nie zastał patrol nikogo w mieście. Gdy się cała rzecz wydała, Pogorzelski, opuściwszy Clermont, nie oparł się aż w Paryżu, gdzie się śmiertelnie rozchorował.

Był to alarm fałszywy, później mieliśmy do czynienia z prawdziwym. W połowie marca — jednej nocy zawiadomiono nas o blizkiem niebezpieczeństwie i rozkazano najspieszniej Liancourt opuścić. Następnego dnia zrana doszła nasza kolumna do miasteczka Luzarches

— 433 —

i tam nas zatrzymano, donosząc, że niebezpieczeństwo minęło.

Rzecz się tak miała. Gdy podjazdy nieprzyjacielskie a za nimi i korpusa główne coraz więcej pod Paryż się zbliżały, jednego dnia przez wieś, która nie była jeszcze zajęta przez nieprzyjaciela, przejeżdżał oficer nieprzyjacielski, dopytując się chłopów tamtejszych o drogi. Chłopi, zbliżywszy się do niego, schwycili go, a odebrane od niego depesze przysłali do Clermont. Generał dowodzący, otworzywszy ekspedycję, dowiedział się z niej, że jeden z nieprzyjacielskich dowódców został zawiadomiony o tem, że Polacy stoją w tych miasteczkach. Posłał więc oficera do drugiego generała nieprzyjacielskiego, aby ten następnej nocy udał się do Clermont i napadł na naszych w nocy. Jeżeliby coś z tego napadu umknęło, to niezawodnie, dodawał, cofać się będą przez Luzarche do Pontoise i tam przez most przeprować się zechcą, a tych on, stanąwszy pierw w Pontoise, uciekających zagarnie. Po odebraniu takiej wiadomości generał nasz najspieszniej — takową odesłał do najbliższego sztabu korpusu francuskiego. Z niego taki zrobiono użytek, że najspieszniej rozkazano brygadzie lekkiej francuskiej piechoty udać się do Pontoise i tam ukryć się w szpalerach ogrodu zamkowego.

Tak owa brygada czekała w nocy ukryta, aż nareszcie wskutek owej depeszy przybyła w nocy jazda nieprzyjacielska, czekając przy moście, aż jej od Clermont zdobycz umówioną napędzą. Po północy — Francuzi, zaszedłszy od mostu, niespodzianie otoczyli ową jazdę. Wielu z niej poległo, potopiło się niemało, a reszta została wzięta wraz ze wszystkimi końmi. My, poruszeni owym wypadkiem, znowu udaliśmy się do Luzarche, a kolumna z Clermont poszła w inną stronę. Gdyśmy przyszli do tego miasteczka, dostałem kwaterę razem z mym kolegą Mrowińskim (z którym aż do końca kampanii nierozzerwalnie się trzymaliśmy) u jakiejś wdowy, dobrze się mającej, przy której bawiło kilka panien, bo swoich dzieci nie miała.

Wdowa przyjęła nas bardzo dobrze i przy stole w czasie obiadu wiele rozmawiała z moim kolegą, gdyż on więcej po francusku mówił jak ja, ciągle jednak zwracała na mnie uwagę, co robiły także i panny. Patrząc na mnie, panny często sobie coś do ucha mówiły, a następnie swe uwagi komunikowały owej wdowie, która wreszcie zapytała się mnie, jak się nazywam i dodała, że ją to dziwi, iż tak mało mówię, jakby nie dowierzając, abym miał nie mówić po francusku. W końcu obiadu wchodziły trzy kobiety bardzo porządnie ubrane, a po przywitaniu się wszystkie pilnie zaczęły się we mnie wpatrywać, tak że mnie to wreszcie zażenowało. Naraz wszystkie trzy jednogłośnie zawołały: „Tak, to on, to Antoni!” Zdziwiło mnie to tem więcej, że moje imię wymieniono. W tejże chwili jedna z przybyłych panien, bardzo przystojna, rzuca się do mnie ze łzami w oczach, a objąwszy mnie za szyję i całując, nazywa mnie swym bratem. Napróżno mój kolega starał się je wyprowadzić z błędu, zaręczając, że jesteśmy z jednych stron Wielkopolski, to jest z okolic Poznańskiego, gdyż i wszystkie prawie obecne kobiety krzyczały, aby się nie wypierać. Dowodem tożsamości w ich oczach był fakt, że mam na imię — Antoni, że mam oczy niebieskie i dołek w brodzie. Brano mnie za jednego ze swoich, który poszedł na kampanię 1812 roku w wieku młodym.

Niezaługo przybyło więcej kobiet, a nawet kilku mężczyzn już niemłodych i wszyscy jednoznacznie twierdzili, że ja jestem ten sam Antoni (nazwiska już nie pamiętam), który z Moskwy nie powrócił. Żem po francusku nie mówił, tłumaczono to tem, że mam jakiś w tem interes, a że po polsku mówię — tem, iż, będąc od owego czasu z Polakami, mogłem się po polsku nauczyć.

Podobieństwo moje do owego Francuza, jak się pokazuje, było bardzo wielkie. Mój kolega, a następnie wielu z naszych, jednoznacznie twierdzili, że owa panna Eufrozyna

(t. j. ta, która mnie wzięła za brata) tak była do mnie podobna, że rodzona siostra nie mogła być więcej.

Cały tedy ten dzień pobytu w miasteczku i następny przeszły na sprawdzaniu tożsamości, do tego stopnia nawet, że mer miejscowy udał się do naszego dowódcy, prosząc, aby dał objaśnienie, czyli ja pod ukrytem imieniem nie jestem. Ale dowódzca naśmiał się z tego, znając mnie i moją rodzinę prawie od lat dzieciennych. Dopiero to oświadczenie cokolwiek mieszkańców zaspokoilo. Jednakowoż panna Eufrozyna temu najmniej wierzyła i przy naszym wyjściu z miasta — pożegnała mnie najczulej, tak jakby siostra.

Z Luzarche już nie wracaliśmy do Liaoncourt, ale przez Paryż udaliśmy się do Wersalu, gdzie, gdyśmy przybyli 10 marca, rozkwaterowano nas poza obrębem miasta po wsiach pobliskich¹⁾. Naszemu pułkowi (?) dostało się przedmieście Clich, ale zastrzeżono, aby dnia następnego, gdy w dalszą drogę udać się mieliśmy, przez Paryż nie przechodzić, ale go okrążyć. Wiele z naszych oficerów, do których i ja należałem, nie spodziewając się już drugi raz być w Paryżu, prosiliśmy dowódcę o pozwolenie udania się choć wieczorem do tego miasta. Dowódzca nie odmówił nam pozwolenia, ale nadmienił, że nas mogą przez rogatki nie przepuścić.

Gdyśmy tam przybyli, oficer z gwardii narodowej, będący na warcie, wyrozumiawszy nasze chęci odwiedzenia Paryża, podał nam projekt, aby żądać przejścia przez rogatki pod pozorem spektaklu czyli widowiska teatralnego, gdyż, jak mówił, dzisiaj jest wielka opera pod tytułem „Alcybiades”, do czego nas nawet afiszem obdarzył. Z wdzięcznością przyjęliśmy takowy projekt i udaliśmy się wprost do teatru Wielkiej Opery. Pierwszy raz tedy

¹⁾ Z opowiadań autora wnosić można, że w samym końcu kampanii r. 1814 znajdował on się przy zakładach wojska polskiego pod gen. Dąbrowskim. Zakłady te znajdowały się w Pontoise, a stamtąd poszły do Le-Mans.

w życiu byłem na tej scenie, w tak obszernym gmachu, pierwszy raz widziałem tak wspaniałe widowisko¹⁾.

Po skończonym spektaklu (jak Francuzi mówią) udaliśmy się prosto do kwater, podziękowawszy znowu oficerowi od warty za podanie nam tego projektu. Dnia następnego, zebrawszy się do marszu, udaliśmy się na prawo od Paryża przez Elizejskie pole, a doszedłszy do szosy wiodącej od Paryża do Wersalu, weszliśmy do Wersalu. Miasto to leży od Paryża o cztery godziny drogi. Jest to letnie mieszkankie dawnych królów Francji. Znajduje się tu pałac królewski bardzo wspaniały, przy którym jest ogród, czyli park obszerny, ozdobiony starymi, wyniosłymi i strzyżonymi szpalerami z mnóstwem figur kamiennych mitologicznych, rozsypanych po obszerności tego ogrodu. Najciekawszem jednak zjawiskiem — były fontanny²⁾.

Co do życia w Wersalu, to było ono wówczas najdroższem, a to z następujących przyczyn. Napoleon, po cofnięciu się z pod Lipska w granice swego państwa, założył cztery zakłady dla skompletowania jazdy, z których jednym był Wersal. Zakład był urządzony tak, że np. w jednym dniu przychodzi kilkudziesięciu ludzi z jazdy i w tym momencie odbierają od nich konie odsiedziane, kulawe i pokaleczone, poczem ludzi zaś, jeżeli który był słabym, odsyłano natychmiast do lazaretu, a konie do weterynaryi. Dnia następnego rozdawano żołnierzom ubiór, czapraki, różne rzemienie, siodła i inne rzeczy, które potrzebowały odmiany — i do tego oddawano w zamian odebranych koni — świeże, zebrane i obeznane z rajtszulą. Trzeciego dnia już owa jazda, odświeżona zupełnie, wychodziła do armii. Tym sposobem każdego dnia przybywali jedni, a drudzy odchodzili do armii. Można liczyć w przecięciu, że armia odbierała codziennie z czterech zakładów świeżej jazdy najmniej 500 koni, co czyniło

¹⁾ Opuściliśmy w tem miejscu opis widzianego przez autora widowiska teatralnego.

²⁾ Opuszczony obszerny opis Wersalu.

znaczny zasilek w owej epoce. Napoleon nie szczędził na to wydatków. Szczególniej konie płacono po bardzo wysokiej cenie. Nasi oficerowie jazdy konie, które mieli do zbycia, dobrze posprzedawali. Konia pod ułana albo huzara płacono po 800 — 900 franków, a pod dragona lub kirasyera — po 1200 — 1500 franków. Niechaj by zaś kto pokazał konia, chociaż miernego wzrostu, naszej polskiej albo ukraińskiej rasy, zapłacono mu zaraz, co sam żądał¹⁾.

Z tych to przyczyn podróżowały produkta żywności, a szczególnie po oberżach. Płacąc za obiad 5 franków, nie było co jeść, trzeba było chlebem dojadać. Wszyscy — pieniądze, zamenażowane w obozach, tutaj z rozrzutnością sypali.

Zaproponowałem przeto memu koledze, z którym ciągle na kwaterze stawałem, aby sobie u siebie założyć menaż, do czego wielką mieliśmy dogodność, bo na naszej kwaterze nie było gospodarstwa w domu, tylko babina, ich gospodyni, która na nasz

projekt przystała, mówiąc, że mamy w domu drzewo i wszelkie naczynia kuchenne, ale dodała, że tylko po swojemu i to na skromny stół gotować umie. Przybraliśmy sobie do naszego stołu jeszcze dwóch kolegów, ale nie smakowały nam potrawy przez babinę gotowane. Gdyśmy się naradzili ze sobą, pokazało się, że ja jeden z pomiędzy wszystkich mogłem być kuchmistrem. A zatem następnego dnia, wzięwszy od babiny fartucha, przyrządziłem obiad, a babina tylko — co łatwiejszego mi pomagała. Wydałem obiad — prawda, że nie pański, ale gospodarski: rosół czysty, sztuka mięsa z chrzanem, potrawa z drobiu, jarzyna z mięsem i pieczeń na początek huzarska. Po zjedzeniu cała nasza kompania jednoznacznie uznała obiad za wyborny, a po obliczeniu wydatku pokazało się, że na każdego półtora franka wypadało i to z winem i chlebem. Dodać trzeba, że nie byłbym tak szumnego obiadu gotował, robiłem to jedynie

¹⁾ Autor przesadza co do cen: Kołaczkowski sprzedał w Wersalu dwa konie za 1100 franków.

— 438 —

dlatego, że, ugotowawszy raz, mieliśmy już jedzenie na cały dzień, jak niemniej babina, która z nami konsumowała, zachwalając jedzenie prawie za każdą łyżką, jako wyborne i smaczne, kluski tylko ganiła, jako potrawę wogóle niedobłą ¹⁾.

Gdy cała armia francuska została ściągniętą i rozłożoną około Paryża, korpusa, które ją składały, odebrały polecenie, aby tylko w razie potrzeby działać — tylko odpornie, cesarz zaś zostawił sobie samemu działanie zaczepne. Gdy najsamprzód Szwarzenberg z armią austriacką rozpoczął działanie zbliżalne od strony Lyonu ku Paryżowi, cesarz, z małą siłą zastąpiwszy mu drogę, odniósł zwycięstwo i wyparł nieprzyjaciela aż pod Laon. Wskutek tego — oprócz biuletynów, zamieścić kazał cesarz w gazetach następującą odezwę do narodu: „Nie ma się czego lękać Francya takich nieprzyjaciół, z jakimi dopiero stoczyłem walkę pod Laonem ²⁾. Przeciwno skoncentrowanej armii austriackiej — wystąpiłem w 42.000 liniowej piechoty, składającej się z nowo formowanego żołnierza. Osądź narodzie, czy nie jestem wyższym i t. d.” Następnie znowu Blücher, uderzywszy na słabszy korpus francuski, wyparł go z pozycji i posunął się o pięć godzin drogi od Paryża. Cesarz, korzystając z tego niebacznego posunięcia się, napędza go na twierdzę Soissons. W Soissons dowodził jakiś generał francuski ³⁾, garnizon zaś składał się z Francuzów i pułku Nadwiślańskiego piechoty polskiej, którym wówczas pułkownik Kosiński dowodził ⁴⁾. Cesarz był pewnym, że weźmie korpus Blüchera, bo

¹⁾ Opuszczony obszerny opis kuchni francuskiej.

²⁾ Opowiadanie fałszywe, ale nie komentujemy go z tej racji, że w ogóle cały przebieg wypadków r. 1814 jest u naszego autora zupełnie mylnie przedstawiony.

³⁾ Gener. Moreau.

⁴⁾ Skład załogi w Soissons był następujący: batalion pieszej legii Nadwiślańskiej (700 ludzi), 140 artylerzystów i 80 kawalerzystów z pułku „Eclaireurs de Garde“.

— 439 —

załoga w Soissons dostateczną była do obrony, mając jeszcze przed sobą rzekę ¹⁾. Gdy się zbliżyła awangarda pruskiego korpusu, partego przez cesarza, nie rozpoczęto ataku na twierdzę, ale Blücher zaproponował załozdę kapitulację honorową, to jest zgodę na wszelkie podane sobie warunki, aby tylko jak można najprędzej otworzono mu bramy ²⁾. Komendant Soissons bez namysłu zezwolił

na to, pomimo tego że nie tylko pułkownik Kosiński, ale i sztaboficerowie opierali się temu, donosząc, że w niewielkiem oddaleniu słychać mocny armatni ogień, że, jak się domyślają, korpus Blüchera jest party przez cesarza, że wspaniale ofiarowana kapitulacja taką jest z potrzeby ³⁾. Ale na nic się nie przydały owe objaśnienia, gdyż gubernator ciągle powtarzał, że wobec cesarza będzie go bronić kapitulacja honorowa, której warunki podał, że cała załoga wyjdzie z bronią i działami i połączy się ze swoją armią.

Gdy tedy ta nieszczęśliwa kapitulacja została podpisana i otworzono bramy, nie wymagał Blücher, aby załoga pierwszej twierdzy opuściła, jak się to zwykle dzieje, ale, za otwarciem bram, tłoczył się odrazu przez nie

¹⁾ W całym opisie poddania się Soisson nasz autor nie wspomina słówkiem o tem, że twierdza została poddana — nie awangardzie Blüchera, ale korpusom oddzielnym Bülow’a i Wintzingerode.

²⁾ Dnia 2/III 1814 o godz. 9 rano pojawiły się pod Soissons kolumny nieprzyjacielskie, o 10½ rozpoczęła się kanonada. Batalion Nadwiślański odparł atak Rossyan, a następnie sam ich atakował. Odparto i następny atak Rossyan. Pułkownik Kosiński tego dnia został rannym w głowę. Awangarda Blüchera znajdowała się jeszcze daleko.

³⁾ „Le colonel Kosiński, píše dzisiejszy historyk tych wypadków, dit, qu’il fallait tenir jusqu’à la dernière extrême ité“. „Me soldats sont braves, ajouta-t-il, j’en répons un contre quatre“.

Jeden z członków rady wojennej oświadczył się za kapitulacją, a dwaj nie bardzo gorąco przemawiali za obroną.

Kanonadę usłyszano dopiero dnia 2/III o g. 9 rano, w chwili, gdy Moreau jeszcze nie podpisał kapitulacji, ale jej warunki były już umówione.

— 440 —

nieprzyjaciel, aż cały korpus przez twierdzę przeszedł ¹⁾. W końcu Blücher powiedział do załogi, która w czasie przemarszu Prusaków z boku w ulicy stała, że nie wymaga teraz, aby załoga twierdzę opuszczała, że jej zostawia to do woli, że może i w twierdzy pozostać, co się też i tak stało. Ale jakież było podziwienie, gdy w przeciągu niespełna godziny ukazała się awangarda francuska korpusu, którym cesarz dowodził.

Po doniesieniu cesarzowi o kapitulacji, wpadł on w największe oburzenie, rozkazując oddać pod sąd wojenny całą radę wojenną twierdzy, która kapitulację podpisała. Tak pułkownik Kosiński niespodzianie został pod sąd wojenny oddany, lecz z powodu krótkości czasu i abdykacji Napoleona, niewiadomo jaki wyrok został wydany ²⁾. To tylko pamiętam, że ten wypadek był umieszczony w gazetach z przytoczonym świadectwem mieszkańców Soisson, którzy jednogłośnie świadczyli, że szczególnie Polacy,

¹⁾ Garnizon przyjął kapitulację jak najgoręcej „Les Polonais, píše naoczny świadek, mordaient leurs fusils de rage“.

W myśl kapitulacji o godz. 4 dnia 3/III nieprzyjaciel miał zająć bramy od strony miast Reims i Laon. Tymczasem już o g. 3 Wintzingerode wszedł do Soissons na czele 2 batalionów. Rozegrała się wówczas scena, którą uważamy za stosowne przytoczyć.

„En débouchant de la rue des Cordeliers Wintzingerode se trouva face à face avec les Polonais de Kosiński. „C'est encore Vous!“ dit-il au Colonel, qui portait le bras en écharpe. „Nous ne devons partir qu'à quatre heures, répondit Kosiński, et nous ferons feu sur vous si vous ne vous retirez pas immédiatement“. Wintzingerode, regardant sa montre, dit: „C'est juste...“ „Messieurs, en arrière“.

Awangarda Blüchera zaczęła przechodzić most na rzece l'Aisne pod Soissons późnym wieczorem. Garnizon francuski już wtedy wyszedł z miasta.

2) Pułkownik Kosiński został aresztowanym wraz ze wszystkimi członkami rady wojennej, ale wnet, stwierdziwszy jego rzeczywistą rolę, uwolniono go. Wyrok na gener. Moreau nie został wydany, a restauracja uwolniła go od razu. Napoleon, w uznaniu zasług batalionu Nadwiślańskiego podczas obrony Soissons, przeznaczył dla żołnierzy 15 krzyżów Legii honorowej.

— 441 —

gdy im rozkazano opuszczać baterie, takowe z płaczem opuszczali. Był to wypadek na pozór mało znaczący, że się twierdza znówu i zapasy wojenne zostały w ręku Francuzów, ale był wielkiej wagi w planach Napoleona, bo cesarz był pewnym wzięcia kilkunastu tysięcy Prusaków w niewolę.

Cesarz w owej krótkiej epoce taki plan przedsięwziął: Najpierw miał konie z swej stajni wszędzie tak rozstawione, że się mógł każdej nocy przenosić od korpusu do korpusu. Ponieważ miał sobie zostawione zaczepianie nieprzyjaciela, przeto do którego korpusu przybył dnia którego, natychmiast rozpoczynał rekonesans. Po rozpoznaniu stanowiska nieprzyjacielskiego, dnia następnego zaczyna cesarz niezawodnie bitwę i to w taki sposób: Upatrzywszy najwyższy punkt, który linia nieprzyjacielska zajmowała, z wybornym żołnierzem swego korpusu uderzał w to miejsce i zdobywał go bagnetem, aby się strzałami nie bawić. Za kolumną atakującą — prowadził ile mógł najwięcej artylerii, jeździe zaś polecał, aby, gdy zepchnie nieprzyjaciela z upatrzonego wzgórek, uderzyła na skrzydła nieprzyjacielskie. Gdy się zaś wcisnął w linię nieprzyjacielską, natychmiast artyleria rozpoczynała ogień na jedną i drugą stronę po liniach, zmuszając nieprzyjaciela do odmiany pozycji, z czego jego jazda po skrzydłach korzystała. Zaś dowódca nieprzyjacielski, nie mogąc odgadnąć tego, jaki sobie cesarz punkt obrał, nie mógł w tym momencie skupić rezerw dla odparcia ataku na tym punkcie, przeto atak udać się musiał.

Po paru dniach takiej walki przejeżdżał cesarz do innego korpusu i czynił to tak często, że w tej epoce prawie wszystkie konie swojej stajni pozajeżdżał, przejeżdżając się codziennie do innego korpusu. Gdy korpus Blüchera śmiały zrobił postęp ku Paryżowi, cesarz stoczył z nim bitwę pod Vitry¹⁾. Prusacy zostali rozbici i zmuszeni do

¹⁾ Takiej bitwy nie było w r. 1814. (błąd: starcie to miało miejsce 23 marca i jest bardziej znane pod nazwą bitwy pod Saint-Dizier).

— 442 —

szybkiego odwrotu. Prusacy cofali się i Francuzi szli za nimi po trudnej do przebycia w tej porze drodze. Oba wojska były tak już utrudzone, że czekały tylko nocy i odpoczynku.

Ale Napoleon, bystry i przewidujący naprzód wszystko, odgadł, że Prusacy nie oprą się prędzej, jak za rzeką, która im pozwoli zaprowadzić porządek w rozbitym korpusie. Wysłał tedy uboczną krótszą drogą Macdonalda, dawszy mu 25.000 wojska, z tem poleceniem, aby jak najspieszej udał się ku temu punktowi, gdzie rzeka przecina szosę. Cesarz liczył, że wskutek zmęczenia i forsownego marszu — znaczna część tego oddziału zostanie w maruderach, ale że do mostu dojdzie jeszcze najmniej 3000. Z tymi, przeszedłszy ów most, miał Macdonald takowy wysadzić w powietrze, a sam, obsadziwszy brzegi, bronić nieprzyjacielowi przeprawy; pozostali ludzie w maruderach mieli być zbierani przez rozstawionych na ten cel po drodze generałów i potem zejść z boku nienprzyjacielowi i wspierać usiłowanie Macdonalda, sam cesarz miał z tyłu uderzyć na nieprzyjaciela.

Gdy wojska znużone stanęły i rozłożyły ognie, korpus nieprzyjacielski po krótkim spoczynku ruszył w dalszą drogę, korzystając z nocy; Macdonald zaś, ruszywszy zaraz podług rozkazu, po paru godzinach marszu, może i przez swych podkomendnych podmówiony, zatrzymał korpus i nakazał krótki spoczynek, a to dla wzmocnienia ludzi i dojścia w całej sile do owego mostu. Gdy się zatrzymano, Macdonald się położył i mocno zasnął. Podkomendni, korzystając z tego, nie obudzili go. Tak spano kilka godzin, aż sam Macdonald się przebudził. Patrzy na zegarek, a tu już jest nad rankiem. Kazał tedy najspieszej ruszać, ale też i dzień zaczęło. Gdy oddział doszedł do miejsca przeznaczonego, zastano arcyergardę nieprzyjacielską, przechodzącą most, a główne siły nieprzyjaciela już za rzeką. Wkrótce pokazała się też awangarda

— 443 —

korpusu, przy którym był cesarz. Macdonaldowi natychmiast odebrano komendę i oddano go pod sąd¹⁾.

Następnie, gdy cesarz znajdował się sam bliżej Renu, na linii trzeciego rzędu fortec, które Ren otaczały, powziął zamiar wykonania planu, który oddawna w tajemnicy żywił. Miał zamiar Napoleon rzucić się w bok, zbliżyć się jak najbardziej ku Renowi, pozabierać z fortec ile można najwięcej wojska świeżego, słabych zaś swych, rannych i podniszczonych ludzi w miejsce pierwszych do fortec odesłać²⁾.

Zostawmy czasowo w położeniu obecnem wszystkie wojska, a wróćmy w okolice Paryża. Paryż już wtenczas, kiedy nieprzyjaciel Ren w Szwajcaryi przechodził, zaczęto fortyfikować, ile pora roku dozwalała, później roboty te daleko prędzej postępowały. Okopy Paryż otaczające, zamieniono w wały, fosi i te umocniono palisadami. Jak wiadomo, że Paryż leży na równinie od strony Saint-Denis, od której to strony spodziewano się przybycia nieprzyjaciela i mocniejszego ataku. Wskutek tego górę zwaną Montmartre, wyniesioną znacznie nad poziom, rozkazał cesarz ufortyfikować i wzmocnić 80. działami ciężkiego kalibru, aby z niej (jak to miało miejsce pod Dreznem z Lustgarten) zmiatać skierowanymi działami wszystko, coby mogło zagrażać. Uorganizowano 40.000 gwardyi narodowej, która do obrony Paryża użyta być miała, broniąc swej własności³⁾. Stojąc wówczas w Wersalu, odbieraliśmy najpomyślniejsze wiadomości, tak z biuletynów, jako też i pism publicznych. Zdobyte działa i niewolnicy przeprowadzani byli przez Paryż i Wersal, a to dla wzmocnienia

¹⁾ Fakt nieprawdziwy.

²⁾ Pierwszy raz nasz autor podaje fakt zgodny z prawdą o kampanii r. 1814. Jest tu mowa o ruchu cesarza ku fortecom, dzięki któremu sprzymierzeni poszli na Paryż.

³⁾ Autor nasz przecenia środki obroncze Paryża: fortyfikacje polegały na naprawionym wale celnym, pozycja Montmartre była broniona przez 30 dział i 250 saperów, a gwardyi narodowej było 11500 ludzi, z czego 3 tys. zbrojnych w piki.

— 444 —

ducha w narodzie, który już zaczął słabnąć. Pewnego razu prowadzono niewolników z rozbitego korpusu Blüchera, a ludność zgromadzona przypatrywała się jeńcom różnej broni. Francuzi, wskazując na jeńców, mówili do siebie: „Jak dużo nasi nabrali kozaków!” Ten wyraz „kozak” bardzo obruszył oficerów pruskich, którzy odzywali się do zgromadzonych, aby ich nie nazywano kozakami, gdyż, jak mówili, ubliża im to. Ale kto całą tę rzecz zrozumiał, łatwo mógł odgadnąć, że Francuzi w ogóle każdego nieprzyjacielskiego żołnierza czy oficera tem jednym nazwiskiem „kozak” mianowali. Pozostało to jeszcze między gminem, jako pamiątka z kampanii 1812 r.

Gdy zbliżył się dzień 30 marca, który był przeznaczony do odbioru z kasy pieniędzy dla pułku, nasz kasyer pułkowy zaproponował mnie i memu koledze, kapitanowi Mrowińskiemu, abyśmy mu towarzyszyli po odbiór pieniędzy do Paryża. Chętnieśmy się na to zgodzili i bardzo rano dnia tego wyruszyliśmy z Wersalu. Po przybyciu do Paryża, gdyśmy udali się do oberży, zastaliśmy tam mnóstwo gości, pomiędzy którymi krążyły wiadomości, że cesarz z nad Renu, wzmocniony wojskiem wyciągniętem

z fortec, znowu rozpoczął działania. Wtem dały się słyszeć działa ¹⁾. Każdy z obecnych gości zawołał: „Oto wiadomości pomyślne! Zwycięstwo!” Wszyscy byli tego zdania, że to przez salwę z dział z Hotelu Inwalidów — ogłaszano zwycięstwo. Każdy ciekawy kończył śniadanie dla dowiedzenia się owych wiadomości, a i nasza kompania, wychodząc z oberży, chciała się czegoś dowiedzieć. Wyszedszy na ulicę, spostrzegamy ruch nadzwyczajny ludu. Każdy biegnie w swoją stronę, nie chcąc nam na zapytanie nic odpowiedzieć.

Wśród tłumnego roju ludu spotykamy jednego z naszych oficerów jazdy i, zatrzymawszy go wreszcie,

¹⁾ 30/III 1814. Na alarm uderzono w Paryżu o godz. 4 rano, bitwa zaczęła się o godz. 5-ej. Siły całego garnizonu Paryża wynosiły 43 tys. ludzi, łącznie już z gwardią narodową.

— 445 —

pytamy, co oznacza salwa dział z Hotelu Inwalidów. „Ależ, odrzekł kolega, to nie od Inwalidów, mówią, że to nieprzyjaciół pod murami Paryża”. Usłyszawszy to, nasz kasyer, jakby piorunem rażony, nagle się obrócił, wołając, aby pójść za nim do kasy. Owa kasa niezbyt daleko była, lecz, przybywszy tam, zastaliśmy już papiery zapakowane i z nimi paki zapieczętowane. Gdy nasz kasyer udał się do miejscowego, upominając się według deklaracji o wymianę papierów, ten z oburzeniem odpowiedział: „Pan żądaś wymiany, czy nie wiesz Pan, że nieprzyjaciół atakuje Montmartre?” — i dalej swoje pakowanie kończył. Kasyer do nas się odezwał: „Straciliśmy całą nadzieję, nieprędkiem odbierzemy swoje”. Ale, jak to często bywa, gdy człowieka jaka niepomyślność spotka, trzeba się i pomyślności spodziewać. Kiedy udajemy się do drzwi, wchodzi francuski podinspektor popisów, Richard, który nas od początku połączenia się naszego z armią francuską jeszcze w Saksonii znał, a zwłaszcza kasyera naszego, bo tyłoliczne miał z nim rachunki. Po przywitaniu się pyta naszego kasyera, co tu robił. Gdy mu nasz kasyer wytłumaczył wszystko, na to Richard powiedział: „Jakże chcecie w takim zamieszaniu rozmieniać pieniądze? Trzeba było prędzej to uczynić”. Ale, gdy mu nasz kasyer oznajmił, że deklaracja jest na dzień dzisiejszy, a Richard się przekonał naocznie, powiedział: „A, to co innego, daj mi Pan papiery”. Udał się z nimi do kasyera, który z początku nie chciał słyszeć o wymianie, ale, gdy Richard mocnym głosem krzyknie: „Jak Pan śmiesz odmawiać wymiany pieniędzy, kiedyś się Pan zdeklarował na dzień dzisiejszy? Wreszcie możesz Pan odmówić tego Francuzom, którzy są i będą na miejscu, ale odmawiać narodowi obcemu i to takiemu, jak są Polacy, to się nie godzi. Jak Pan nie zapłacisz, to tu stoi ich pułk w kolumnach na ulicy, każę przyjść kompanii grenadierów i kasę rozbić”. Na takie obligacye — kasyer oderwał pieczęcie i wyliczył nam kilka tysięcy franków należności.

— 446 —

Gdyśmy Richardowi składali podziękowania, on do nas powiedział: „Rzeczy nie tak źle stoją. Prawda, że nieprzyjaciół pod Saint-Denis, ale party przez cesarza. Zapewneście słyszeli, co cesarz robił nad Renem; a potem, do tej ostateczności nie przyjdzie, aby Paryż atakowali. Wreszcie cesarzowa jest jako regentka w Tuilleries.

Król hiszpański odebrał w tej chwili komendę ogólną. Mamy przecież jeszcze obok tego 15.000 z korpusu Marmonta. W tej chwili przybyły 2 świeże dywizye, a coś dopiero gwardya narodowa. Nie damy się im zjeść. Co najważniejsza, cesarz idzie za nimi i tu im grób przeznaczył. W dniu wczorajszym przybył goniec od cesarza z wezwaniem do miasta Paryża, że jego jest planem, aby się nieprzyjaciół pokusił atakować Paryż, że cesarz miastu przyrzeka wynagrodzenia za uszkodzenia poczynione w czasie oblężenia i nie żąda od Paryżan więcej, tylko niezachwianego oporu 48 godzinnego, a w nagrodę miasto mieć będzie w swych murach, jeżeli nie dwóch, to zawsze jednego ze znakomitych jeńców“.

Po pożegnaniu Richarda udaliśmy się do oberży i kazaliśmy sobie otworzyć jeden numer. Tam zostawiwszy kasyera na pokucie, udaliśmy się na miasto dla powzięcia lepszych wiadomości. Uszedłszy paręset kroków, spotkaliśmy idącego śpiesznie króla Józefa, otoczonego świetnym sztabem, a za nim podwojonym krokiem spieszące dwie świeżo przybyłe dywizye, z niemi maszerowała artylerya nasza polska pod komendą pułkownika Walewskiego. Dalej ujrzelśmy i szwadron naszych krakusów. Wojsko to lud przyjmował z okrzykami radości.

W pierwszych momentach podstąpienia nieprzyjaciela pod Paryż, gdy pomiędzy flankierami naszego prawego skrzydła użyto owego szwadronu krakusów, na widok nowego wojska, które na pierwszy rzut oka miało nieco podobieństwa do Turków, flankierzy nieprzyjacielscy lewego skrzydła bez oporu się cofnęli.

Ulice Paryża zapełnione były ludem uzbrojonym. Co

— 447 —

nas najwięcej zastanawiało to to, że widziałem w tłumie uzbrojonego ludu chłopców od 10 — 12 lat, jak niemniej kilka kobiet, a wszystko to krzyczało: „Do boju! do boju!” Gdyśmy się przedzierali przez tłumy, dały się słyszeć różne głosy. Jedni wołali: „Pokój!” inni: „Cesarz przybył!” inni: „Naprzód, przeciwko nieprzyjacielowi”. My zagrani tymi wypadkami i zapalem, tak ludu, jak wojska w pomoc idącego, postanowiliśmy wstąpić w szeregi gwardii narodowej albo wojska liniowego. Chcąc być świadkiem nowej sceny, z łatwością przedarliśmy się przez tłumy w stronę rogatek Clichy, bo nam wszędzie robiono miejsce. Przeszedłszy

przez rogatki, pierwszym naszym czynem było rozpatrzyć się po pozycji i uważać, jak nieprzyjacieli stoi. Cała siła nieprzyjacielska stała w kolumnach przed Saint-Denis, lewe zaś jej skrzydło posuwało się ku Montmartre. Gwardya narodowa paryska, ubrana i uzbrojona kompletnie na sposób starej gwardyi, uszykowana była także w kolumnach ściśniętych frontem ku nieprzyjacielowi, mając po lewej stronie korpus Marmonta i dywizję nowo przybyłą. Obydwie strony stały od siebie oddalone więcej jak na strzał armatni.

Kiedyśmy przeszli rogatki, król Józef przejeżdżał przed kolumnami przyjęty okrzykami: „Niech żyje Napoleon!” Po owym przeglądzie — udał się on ku linii tyralierów rozsypanych przed frontem i zaczął tam harcować, przebiegając konno, aż tu widzimy, że jeździ z odkrytą głową. Sądziłyśmy, że to pochodzi z utrudzenia i pory cieplej (bo w tym dniu drzewa już rozwinięte były), że zapewne kapelusz w rękę trzyma, ale jakże to wszystkich zdziwiło, gdy zauważono, że wcale nie miał kapelusza. Gdzie go podział, niewiadomo i to dało powód do szemrania, tak w wojsku, jak w narodzie; wołano, że król bez głowy, nie wielka zatem w nim nadzieja.

Następnie nieprzyjacieli zaczęli się posuwać naprzód. Już linie tyralierskie obu stron — zaczęły się ścierać; wzmocniono potem tyralierów lewego nieprzyjacielskiego

— 448 —

skrzydła, a to dla wdarcia się w przedmieście przytykające do Montmartre. To ich zbliżenie nie robiło żadnego wrażenia, bo życzeniem nawet było, aby się pod Montmartre kolumny lub baterie artylerji zbliżały, skąd za jednym wyzionieniem paszcz dział ciężkich — z ziemią by było wszystko zrównane. Ale, gdy się przypatrujemy manewrującemu nieprzyjacielowi, nagle ktoś zawołał: „Patrzcie, co się dzieje! Spójrzmy na ową górę, tak uzbrojona, aż z niej ściągają działa, a część jej tyralierami nieprzyjacielskimi obsypana i w krótkim czasie cała pozycja bez strzału zajęta i osadzona nieprzyjacielskimi działami, z których natychmiast rozpoczęto ogień, rzucając granaty na przedmieście Clichy¹⁾).

Tak owa góra, która miała być zasłoną i zbawieniem, stała się tym sposobem punktem zgubnym dla Paryża, bo z niej, gdy zapalono przedmieście Clichy, przecięto odwrót wszystkim kolumnom do miasta. Tu dopiero zaczął się ogólny popłoch kolumn gwardyi narodowej. Na widok palących się domów rozsypali się gwardyści, niby dla bronienia pożaru. Wszystko w nieładzie w miasto przez okopy ucieka, a tymczasem kolumny nieprzyjacielskie zbliżają się pod miasto i, gdy już wszystko przed miastem uprzątnięto, wysłał nieprzyjaciel parlamentarza proponując kapitulację²⁾.

Korzystając z zaprzestania ognia, zesłaliśmy i my z placu boju ze wszystkimi. Tu dopiero popłoch i nieład zapanowały w mieście. Broń gwardyi narodowej stosami po bruku leży, lud wynosi z domów różne manatki, to chowa się sam. My, widząc taką zmianę, dokonaną w jednej chwili, spieszymy do naszego kasyera, aby ocalić

¹⁾ Pozycję Montmartre zdobył Langeron znacznie przewyższającymi siłami, wyciąwszy załogę i kanonierów. Nasz autor fałszywie przedstawia całe oblężenie Paryża.

²⁾ Parlamentarza wysłał mar. Marmont o godz. 4-ej popołudniu, poczem wnet ustał ogień, a kapitulacją podpisano o godz. 2-ej po północy.

— 449 —

wzięte pieniądze, może już ostatnie. Gdyśmy przybyli do numeru, gdzie kasyer siedział, tak się on był zaryglował, że trudniejby podobno było numer, jak Paryż zdobyć, bo i barykady z krzeseł, stołów i t. p. porobił. Na wezwanie nasze, aby drzwi otworzył, tak nas egzaminował, jak nieprzyjaciela. Okręciwszy z workami pieniądze w płaszcz, wychodzimy na ulicę. Rozruch nie ustaje. Dorożki dostać nie można za żadne pieniądze. Przecież szczęściem spotykamy Francuza takiego, który bywa używanym do przenoszenia rzeczy. Widząc nas w tem położeniu, wchodzi on z nami w ugodę, że prostym wozem może nas zawieźć, ale gdzieś niedaleko. Gdyśmy mu powiedzieli, że musimy jechać do Wersalu, powiedział, że do Wersalu już nie przejedzie, ponieważ Pola Elizejskie już są zajęte przez kozaków. Pomyślawszy chwilę, zaproponował nam wreszcie inny sposób dostania się do Wersalu. „Jak widzę, powiedział, jesteście cudzoziemcami, zdaje mi się że Polakami i dla tej jedynej przyczyny chcę wam usłużyć. Udamy się południową częścią Paryża, a na koniec ogrodami, nie dotykając się Sekwany, aż w punkcie tym, gdzieby było bezpiecznie się przeprawić. Mam nad brzegiem Sekwany rybaka znajomego, który was przeprowi, a tam w przyległych wioskach łatwo będzie dostać furmanki i spokojnie uboczną drogą dostaniecie się do Wersalu“. Tak się też i stało i ziściło się do słowa wszystko, jaków tragarz mówił. Chociaż człowiek niższej klasy, przecież bardzo zdrowo rozumował o położeniu obecnem Paryża i niewiadomo skąd owe wiadomości zebrał, które później na jaw wyszły i tak mówił: „Czegóż się spodziewać mamy w dzisiejszem położeniu obrony Paryża? Prawda, wojska jest dosyć, amunicji i wszelkich zapasów wojennych, ale kaprala starego niema, on by tu w mgnieniu oka wszystko zmienił. I cóż, że ten Józef lata jak oparzony, zgubił kapelusz, a z nim i głowę. Nie potrzeba było tego latania, ale odezwij do narodu, jak to zwykł był przed każdą bitwą mały kapral robić. Była cesarzowa rejentką, w której Paryż miał

— 450 —

nadzieję, bo przecież ojciec jej nie byłby jej gruzami w Tuilleries przysypał. Ponieważ była ona przeszkodą senatowi dla brudnej zdrady, przeto tenże ją w tej chwili wykurzył z Paryża, dając za pozór, że im chodzi o bezpieczeństwo jej osoby i króla rzymskiego; wyprawiono ją do Tours, a Józef gdzieś się podział. Ot, jak był tu niepotrzebnym, tak i zniknął. Marmont tu jest gubernatorem, cesarzem i wszystkim. Czy wiecie panowie dlaczego Montmartre zostało wzięte? Oto Marmont dał ładunki do dział innego kalibru, a, jak mówią, były one zupełnie sfalszowane, o czem nieprzyjaciel był uprzedzony. Kiedy przy pierwszym wdzieraniu się nieprzyjaciela na górę Montmartre pruski pułkownik został tam zabitym, znaleziono przy nim. rozkaz dzienny pod datą dzisiejszą, w te słowa: „Żołnierze! w dniu dzisiejszym zdobywamy Paryż, niech każdy z was będzie pewnym zwycięstwa, mamy bowiem nieprzeliczone we wszystkich klasach stronnictwo, które nam przyjazną rękę poda”.

Przy tej pogadance dostaliśmy się do owego rybaka, który nas przez Sekwanę łódką przewiózł. Dobrego furmana zaś pożegnaliśmy upominkiem 80 frankowym. Ten sam rybak za Sekwaną wskutek przyjaźni z furmanem sam się o dalszą furmankę postarał i dnia tego dostaliśmy się wieczorem do Wersalu. Pod tem to miastem zastaliśmy wracających od Paryża kosynierów około 10.000. Opatrzni oni byli w kosy zupełnie do naszych podobne, oficerów zaś mieli z pułków liniowych. Za spotkaniem się z nami

wypytywali się o zaszłe wypadki w ostatnich chwilach. Myśmy im udzielili tych samych wiadomości, jakie mieliśmy z relacji furmana.

Przybywszy do naszej kwatery, dowiedzieliśmy się, że przed wieczorem uderzono na alarm i w tym momencie wszystko wyruszyło w marsz. Gdy i nam potrzeba było za naszymi pospieszyć, chcieliśmy nająć dorożkę, ale te wszystkie przez wojsko zajęte i zabrane zostały. Wszystko opuszczało spiesznie miasto, grożąc zbliżaniem się kozaków.

— 451 —

Podzieliłiśmy się tedy pieniędzmi, które w zwinięte przez siebie zawieszono płaszcze staraliśmy się ukryć. Ja i mój kolega byliśmy w młodym wieku, ale kasyer, Niemiec, do wygodnego życia przywykły, a do tego około lat 50 liczący życia, z trudnością mógł za nami podążać. Nasze rzeczy oddaliśmy pocziwej babinie na kwaterze, które tak starannie ukryła, że po skończonej wojnie odebraliśmy je w całości. Tak puściwszy się w drogę, spotykaliśmy różne małe i duże oddziały wojska i pociągi z różnymi rekvizytami, ciągnące na południe. Nadedniem dostaliśmy się do jakiegoś miasteczka, za którym nasi obóz rozłożyli. Oddawszy kasyerowi pieniądze, w dalszą z naszym i ciągnęliśmy drogę. Dnia następnego znowu pod jakimś miastem odebrał sztab nasz doniesienie o warunkach kapitulacji Paryża, której pierwszy był, aby, tak gwardya narodowa, jako też wszyscy mieszkańcy Paryża, tudzież załoga, jaka jest jeszcze w Paryżu, w tym momencie złożyły broń i tu do obozu skoalizowanych pod Saint-Denis wyniosły, a po skutecznieniu czego, dopiero wojsko zwycięskie wejdzie.

Wejście armii skoalizowanej ¹⁾ było tryumfalne; przyjmowano ją z okrzykami, jak to dziwić nie będzie tego, kto zna bliżej naród francuski, którego bawią wszystkie nowości i pomyślność osobista. Tak, zaczawszy od senatu kupcy, handlowcy i wszyscy spekulanci, którzy mieli na celu swoje korzyści, z zadowoleniem ten wypadek przyjmowali i zaraz tego samego dnia, kiedy nieprzyjaciół zajął Paryż, otworzono sklepy i sklepy, w których wystawiono na sprzedaż kaszkiety, szarfy, kokardy i dekoracje wszystkich skoalizowanych narodów. Jak się pokazuje, że to wszystko już pierw było porobione, tylko zostawało w ukryciu ²⁾. A zatem wiadano z pewnością, że Paryż podany zostanie. Dnia następnego zebrało się mnóstwo udu na placu Vendôme i ci usiłowali statuetę Napoleona

¹⁾ 31/III 1814 r.

²⁾ Widoczna przesa.

— 452 —

z pomnika zrzucić. Widać, że już owa statua dla nich niepotrzebną się zdawała. Mimo jednak największej usilności zrzucić jej nie mogli. Wzięli się w końcu do tej ostateczności, że założyli linę za głowę posągu i spuścili go na dół. Gdy się to dzieje, jedni krzyczą: „Precz z tym tyranem!” ale klasa niższa, zebrawszy się, śmieje się z ich usiłowań i odpowiada ironicznie: „Nie! Napoleon jeszcze mocny, opiera się i sile końskiej”. Z onych sprzeczek powstaje wielki hałas, gdy wtem wchodzi ktoś na podstawę kolumny i w te się do narodu odzywa słowa: „Francuzi! Czyż to on sam (Napoleon) wystawił sobie ten pomnik? Wszak to wasze ręce go wzniosły, bo nie dla jego, ale dla narodu francuskiego chwały. Czyż przeto sami się nie hańbicie, że waszą chwałę zagrzebujecie i strącacie”. (Wspomniony nieznajomy był to jakiś pułkownik polski, ubrany w ubiór cywilny). Mowa tegoż ożywiła klasę niższą, a wzburzyła strącających posąg, którzy rzucili się z zajądłością na mówiącego, a stąd bójka. Wzięto się do kamieni, a ów mówca, korzystając z zamieszania, znikł w tłumie. Policja nie była w stanie uspokoić owych wzburzonych tłumów. Ale pomiędzy wodzami armii koalicji był obecny generał rosyjski (mówią, że Płatow), który, udawszy się do Aleksandra, w te słowa miał się odezwać: „Najjaśniejszy Panie! Ten naród lekki i niestały zrzuci z pomnika statuetę swego monarchy. Zdaniem mojem jest, aby tej hańby wymierzonej na to monarsze godło nie dozwolić”. Wskutek tego cesarz Aleksander rozkazał, aby cztery pułki konnej gwardji jego wystąpiły i sam na ich czele przybył na plac Vendôme i zakazał dalszych usiłowań w strąceniu posągu, a tłumów kazał rozpędzić ¹⁾. Zbliżywszy się do pomnika, miał cesarz wyrzec te słowa: „Co to za mocna głowa tego Napoleona! Ja, gdybym się znalazł tak

¹⁾ Batalion gwardji rosyjskiej zajął wieczorem plac Vendôme i rozproszył rojalistów. W. Ks. Konstanty odmówił prośbie o pozwolenie zrzucenia kolumny. 8/IV 1814 na rozkaz rządu tymczasowego zdjęto statuetę z kolumny.

— 453 —

wysoko, pewnieby mi się w głowie zakręciło”. Lud, lubo ustępował z placu, przecież domagał się, aby ową statuetę zrzucano, gdyż, jak się wyrażano, widok owej statuy wzrok ich razi. A zatem kazano natychmiast statuetę obsłonić płótnem, zakrywając ją przed nowatorami, a następnej nocy kazano ją podpiłować i spuszczać ją na ziemię, a w jej miejsce zatknęto chorągiew białą z trzema liliami, jako godło nowej Dynastji francuskiej. Na widok ten lud zebrany nowym okrzykiem witał chorągiew, ale znowu partja kontruująca znalazła coś w tem przeciwnego, gdyż następnej nocy wiatr zerwał się tak nagły, że ową chorągiew na pomniku będącą szarpał w kawałki. Znowu z rana jedni okazywali z tego wróżbę dla siebie pomyślną, mówiąc, że i wkrótce z nową dynastją tak się stanie. Jakoż i w części sprawdziło się, bo nie wyszło roku, a Ludwik XVIII uszedł z Paryża przed zbliżającym się Napoleonem. Wspomnianą statuetę N. cesarz Aleksander wziąć kazał (na pamiątkę odniesionego zwycięstwa nad Napoleonem) do Petersburga, jak również wzięte zostały obrazy, przez Francuzów zabrane z Kremlina, które umieszczone były w galerji obrazów w Paryżu ¹⁾.

Później doniesiono nam, że wszystko wojsko liniowe, należące do obrony Paryża, spieszenie przed podpisaniem kapitulacji Paryż opuściło. Doszła też i do nas nasza artylerja pod dowództwem pułkownika Walewskiego, który, będąc bliższym świadkiem haniebnej zdrady przy Montmartre, toż samo powtórzył, że same tylko tyraliery nieprzyjacielskie to warowne miejsce zdobyli, bo byli jakby uprzedzeni, że żadne działo nie wystrzeli, ani też szkody im nie zrobi, a nawet asekuracyi przy działach nie było. Nasza zaś artylerja tak była czynną, że kanonierowie do koszul się porozbiegali i, potem oblani, najspieszniej ognia dawali. Ale kiedy przyszło wkońcu polecenie, aby wszystko się w miasto cofnęło i nasza artylerja rozkaz ten wypełnić

¹⁾ Nieprawdziwe.

— 454 —

musiała. Gdy weszła w ulicę, mieszkańcy, widząc tak znużonych kanonierów, wino wiadrami dla nich wynosili, dodając, że, gdyby to i nasi tym sposobem byli postępowali, Paryż byłby ocalonym. Następnie naszych coraz więcej w drodze przybywało, a

Francuzi się przerzedzali, bo też i do domów się rozchodzili. Nasi dowódcy, dowiedziawszy się, że na Pirenejach od hiszpańskiej granicy stoją dwa korpusy Sucheta i Soult'a, w pierwszym mając więcej zaufania, przedsięwzięli się z nim połączyć. Gdyśmy tam przybyli, przyjął nas jak najlepiej Suchet ¹⁾. Dostarczono nam żywności, wypoczęliśmy dostatecznie, aż też dochodzą nas wiadomości, że Napoleon abdykuje, że większa część wojska francuskiego jest już rozpuszczoną do domu, a wkońcu, że spodziewają się wszyscy wyjazdu i powrotu na tron francuski Ludwika XVIII, co się nam zdawało urojonem marzeniem do prawdy niepodobnem ²⁾. Tego samego zdania był i Suchet, który utrzymywał, że, znając Napoleona, wie, że on, mając jeszcze przy sobie tyle wojska, będzie chciał coś ostatecznego zrobić, a w najgorszym razie, widząc swoją ostateczność, będzie wołał przed frontem swej gwardyi poledz, jak podpisać coś podobnego.

Tak zeszło na tem mniemaniu dni kilka. aż też nakoniec dowiedzieliśmy się, że wrócono na tron Ludwika ³⁾, który, jak prawy teraz monarcha, rozesłał do wszystkich korpusów jeszcze istniejących rozkazy, aby natychmiast zdjęto kokardy trójkolorowe i orły, a natomiast przywdziano kokardy białe i lilie. Czas jakiś wahał się jeszcze Suchet z przyjęciem tych nowych rozkazów, ale wkońcu

i on musiał uleść przeznaczeniu, bo dotąd już tylko Suchet i Davout w Hamburgu odegrywali rolę armii Napoleona. Inne zaś korpusa już zupełnie broń poskładały i do domów się rozeszły. Gdy sam Suchet udawał się podług

¹⁾ Fakt nieprawdziwy zupełnie. W dniu 10/IV zakłady polskie znajdowały się w Le Mans; mar. Suchet był w Katalonii.

²⁾ Napoleon abdykował ostatecznie w dniu 6/IV 1814.

³⁾ 6/IV 1814.

— 455 —

rozkazu do Paryża dla powitania na tronie nowego monarchy, żegnając naszego generała Dąbrowskiego, ze łzami pytał, co dalej przedsięwzięmy. Generał odwoływał się do traktatu, że w nim musi być jakaś wzmianka względem ostatecznego położenia Polaków, że jeszcze wypada czas jakiś w tem przejściowem położeniu zaczekać. Przeto Suchet tak Dąbrowskiemu radził: „Życzę wam od granicy się oddalić, tleje tam bowiem jeszcze nienawiść i zemsta z upłynionej kampanii hiszpańskiej. Któż przewidzieć może, czyliby jakie oddziały Hiszpanów nie napadły was, ale wam radzę, abyście się udali do miasta Le Mans. Jest tam prefektem inwalida bez ręki, dawny generał dywizyi, gorący stronnik Napoleona. Napiszę do niego, aby was wziął pod swą opiekę” ¹⁾. Wskutek tego ruszyliśmy do wspomnianego miasta i jego okolic. W istocie przyjął nas prefekt bardzo przychylnie, wydał wezwanie do mieszkańców, aby nas, jako najwierniejszych sprzymierzeńców Francyi, nie zważając na ustawy krajowe, jako cudzoziemców czyli

emigrantów przyjęli, co dobry wywołało skutek na mieszkańcach. Rozłożywszy się w tej okolicy i mieście, swobodnieśmy kilka dni przebyli. Karmiono nas jak najlepiej i wygod wszelkich dostarczano. Stronnicy Napoleona, którzy przy kapitulacyi Paryża domy opuścili, zebrali się tu w znacznej ilości pod protekcję niezachwianie wiernych sprzymierzeńców Napoleona (t. j. nas) i ci z nami się komunikowali. Ja z moim kolegą, jak zwykle, znowu razem na kwaterze stanęliśmy. Skoro nam wskazano nasz pokój, który okna miał od frontu, gdyśmy do niego weszli, mój kolega przebrał się spiesźnie i udał się na miasto, chcąc się przypatrzeć. Ja, przebrawszy się, otwieram okno, chcąc z niego na ulicę lepiej popatrzeć. Gdy spojrzałem w stronę prawą, widzę naprzeciwko małe, delikatne i białe rączęta otwierające okno, a następnie, wychyla się anielska piękność. Lubo widziałem wiele ślicznych twarzy, ale ta była

¹⁾ Jak wyżej, Polacy już dawno byli w Le Mans.

— 456 —

zbyt uderzająca. Zobaczywszy mnie, nieznajoma wlepia swój wzrok we mnie, i ja zapewne musiałem to samo uczynić, ale jednakowoż nie mogłem wytrzymać jej spojrzenia i na moment cofnąłem się z okna. Po krótkiej pauzie, gdy nieznacznie głowę wychyliłem, widzę, że nieznajoma widocznie tego czekała, poczem swobodnie już przypatrywaliśmy się sobie. Aż razu pewnego widzę moją nieznajomą, że wyszła na ulicę i weszła do tego domu, w którym ja miałem kwaterę. Mocno mnie to zastanowiło i byłem przygotowany na to, że mnie owa śliczna Francuzica znowu za jakiego kuzyna lub brata wzięła. Pomyślałem sobie, że dobrzeby było przez omyłkę od takiego aniołka, jako mniemany brat, być ucałowanym. Ale po krótkiej pauzie wychodzi z naszego domu moja nieznajoma z drugą w podobnym wieku, lecz już nie tak ładną. Po ujęciu kilku kroków, natychmiast, jakby się umówiły, razem oczy w górę podnoszą i we mnie wlepiają. Oto znowu, pomyślałem sobie, zapewne będzie i jakaś druga kuzynka. Ale, przechodząc od domu do domu, panny oczów ze mnie nie zdejmują. Nadszedł wreszcie czas obiadu, kolega mój też z przechadzki wrócił. Po zjedzeniu obiadu, jako to po marszu, rzuciliśmy się na łóżka i miłego snu użyli. Po przebudzeniu się prawie jednocześnie, wstajemy, idziemy do okna i spotykamy znowu moją nieznajomą. I memu koledze bardzo się podobała, a wejrzenia, jakie rzucała na nasze okna, zdawały się i jemu pochlebiać.

Gospodyni nasza była to już osoba w wieku, wdowa i miała jedną córkę. Następnego dnia po naszym przybyciu zaprosiła nas do siebie na śniadanie. Śniadanie przyniesiono do nas, zapoznaliśmy się z paniami, które, siadłszy z nami do stołu, razem śniadanie jadły. Stąd już i przyjaźń. W czasie tego śniadania zaczyna mnie córka, zapraszając mnie do jedzenia, następnie pyta, jak mi się tu podoba. Gdy widzi, że jej nie odpowiadam a mój kolega z matką ciągle rozmawia, pyta się go, czy ja tak mało mówię, czy też nie chcę mówić. Kolega odrazu

— 457 —

odpowiedział, że nie mówię po francusku. Następnego dnia już widać ułożony był plan i czekano aż mój kolega wyjdzie, gdyż zaraz po jego wyjściu gospodyni przyszła i prosiła, abym zszedł na dół do nich i z niemi zjadł śniadanie. Skoro tam przybyłem i kończymy śniadanie, wchodzi ów śliczny anioł, bardzo gustownie ubrany. Po przywitaniu się z domownikami mnie grzecznie się skłoniła. Siadłszy przy stole blisko mnie, znowu wlepia swe turkusy we mnie, a po krótkiej chwili pyta, jak mi się tu podoba. Odpowiedziałem jednym słowem, na które się ledwo zdobyłem, poczem znowu zostałem zapytany, a nareszcie pytano, dlaczego tak mało mówię. Gdy odpowiedziałem, że nie umiem, dostałem uwagę: „Trzeba mówić choć niedokładnie, my uczyć będziemy Pana“. Gdy mnie tak ośmielono, plotłem co mogłem i tak kilka godzin upłynęło, aż tu nareszcie i mój kolega wrócił. Gdy ową śliczną pannę przy mnie zastał, żartem powiedział: „Winszuję, zapewne cię znowu za brata wzięła; masz widzieć szczęście do znajdywania coraz nowych kuzynek“.

W parę dni potem przybywa do mnie jeden ze sztabsoficera naszych, który służył w pułkach nadwiślańskich, a temsamem będących na żołdzie francuskim i stojących w granicach francuskich, i przedstawia mi jakiegoś młodego kawalera, mieniąc go bratem owej ślicznej blondyny i oświadczając mi, że rodzice ich życzą sobie mnie poznać. Ponieważ mówiliśmy po polsku, przeto śmiało mogłem zapytać, jaki jest cel tej wizyty. Na to ów sztabsoficer otwarcie mi powiedział, że dziewczyna tak się mną zajęła, iż rodzice jej prosili go, jako dawnego znajomego, aby to jeżeli można doprowadzić do skutku. Ów swat ze swej strony dodał, że nie warto gardzić taką partją, gdyż rodzice mają trzy domy wielkie w Paryżu, folwark pod Paryżem i tu w tej okolicy wieś, do której jutro zaraz pojedziemy. Rodzice panny najczulej i najwystawniej mnie przyjęli stało się jak ów swat przepowiedział, bo któż się mógł oprzeć prośbie tego ślicznego stworzenia. Dnia

— 458 —

następnego pojechaliśmy na wieś wszyscy, nawet mój kolega, i bawiliśmy się wybornie. Ponieważ dowiedziano się, że jestem amatorem łowienia ryb na wędkę, przeto te śliczne rączki ukłęciły dla mnie wędkę z jedwabiu. Później już otwarcie ów swat proponował mi ożenienie się, a zwłaszcza z następujących powodów. Staliśmy czas długi w Le Mans, gdzie nawet przebyliśmy święta Wielkanocne. Na horyzoncie francuskim rzeczy stały jak najniepomyślniej dla Polaków. Skoncentrowane w Le Mans, nasze wojsko w liczbie 7.000 i 35 dział odegrało jeszcze rolę armii Napoleona ¹⁾. Gdy nadchodziły rozkazy od nowego rządu, ktokolwiek, szczególnie z młodzieży, je dostał, takowe darł, deptał w błocie i t. p. Razu pewnego jakiś Francuz porządnie ubrany przybył do jednej cenniejszej oberży, gdzie naszych nie brakowało, i, nie wchodząc w położenie nasze, sądząc nawet, że nam przyjemność robi, dobywa pism publicznych wysłanych nowo w Paryżu i jedną podaje do czytania, inne zaś sam głośno czyta. Oburzyło to niezmiernie naszych. Jeden się zapytał: „Kto Pana prosi o anonowanie pism? Powinieneś wiedzieć, że się znajdujesz pomiędzy armią Napoleona”. Pokazano mu przytem trójkolorową kokardę, a następnie, schwyciwszy Francuza za łeb, rozciągnięto go na ziemi, położono na nim owe pisma i bito najsamprzód kijami bilardowymi, następnie butami, aż owe pisma w kawałki na nim potłuczono. Taki czyn nie mógł do nas zobowiązać mieszkańców. Zapanowało wzburzenie do najwyższego stopnia i gdy wieczór nadszedł, zebrały się tłumy ludu, pozapalano pochodnie i z kokardami białymi przy kapeluszach cywilnych odbywano po ulicach i placach rodzaj procesyi, przy której śpiewano różne pieśni na cześć teraźniejszego rządu i króla Ludwika XVIII. Gdy temu chciano przeszkodzić zbrojnie,

¹⁾ Fakt nieprawdziwy. W Le Mans były tylko nieznaczne zakłady polskie. Ciekawemi natomiast są opowiadania autora o starciach Polaków z rojalistami Le Mans, miasta pamiętnego z powstania Wandei.

— 459 —

tak prefekt, jako i nasz Dąbrowski surowo polecali, aby nie irytować ludu, zwłaszcza w tem miejscu, gdzie w czasie dawniejszych rewolucyi wielka rzeź była i pochowano na placu, zwanym Jakobinów, jednego dnia przeszło 40.000. Owa procesya odbyła się dość późno w noc. Nakoniec przybyła przed prefekta i ratusz i pozejmowała tam orły, a zawiesiła herby z liliami. Odtąd odmawiano nam żywności, to jest nie dawano nam niczego po kwaterach.

Gdy tak rzeczy stały, pewnego dnia przybyło 300 koni żandarmów, którzy cesarzową Maryę Ludwikę do Tours eskortowali. Stanęli oni na placu i pościadali z koni, a wnet zbliżyła się do nich ludność tameczna, jak to jest zwyczajem Francuzów, dla dowiedzenia się, skąd maszerują, dokąd idą. Wielu z mężczyzn chodziło przytem po ulicach, mając przy kapeluszach białe kokardy. Gdy to spostrzegł dowódca żandarmów, zapytuje się naszych, co te kokardy znaczą. Nasi odpowiedzieli mu o owej procesyi i śpiewach nocnych i na dowód wskazali na herby z liliami zawieszone na prefekturze. Oburzony tem do najwyższego stopnia dowódca żandarmów, dobył pałasza i jednemu z cywilnych chciał odciąć kokardę z kapelusza, lecz na nieszczęście pałasz się obsunął i odciął kokardę, ale z uchem. Jak potem krzyknie dowódca na żandarmów: „Obcinać te kokardy!” Wnet żandarmerya, wsiadłszy na konie, rozjechała się po mieście, goniąc tych co nosili białe kokardy. W momencie kokardy znikły, żandarmerya się rozkwaterowała, a skoro noc nadeszła, znowu potajemnie zdjęto herby z liliami, a zawieszono znowu z orłami. Ale po odpoczynku jednodniowym, gdy żandarmerya udała się w dalszą drogę, znowu dawniejsza scena się odnowiła z przyczyny nowego wypadku.

Dnia następnego zebrało się mnóstwo naszych oficerów na placu Jakobinów, naradzając się nad tem co z nami będzie. Wtem przejeżdża przez plac kareta, zaprzężona w cztery pocztowe konie. Zatrzymała się wśród naszych: otwierają się drzwi, jakiś porządnie ubrany Francuz

— 460 —

wychył głowę i pyta się obecnych naszych: „Czy Panowie słyszeli o nowinach, jakie zaszły?” Nasi, chcąc się czegoś dowiedzieć, skupili się przy karecie, a Francuz tak mówić zaczął: „Przecie, dzięki niebu, postanowiono tego tyrana Francyi odesłać na wyspę Elbę, aby tam życia dokończył i przestał rozlewać krew francuską”. Jeden z naszych odzywa się: „Nie, nie był on waszym tyranem, ale wyniósł was do szczytu chwały...” Francuz nie dał dokończyć naszemu tego, co miał powiedzieć, i krzyknął głosem mocnym: „Precz z Korsykaninem! Niech żyje Ludwik XVIII!” Ale tu nasi znowu nie dali mu dokończyć, a pochwyciwszy go, wywlekli z karety i bili płazami — co wlażło. Jenerał Dąbrowski, widząc tę scenę z balkonu (bo przy owym placu Jakobinów miał kwaterę), wysłał adjutantów, a nareszcie i sam przybiega, aby temu nadużyciu zapobiedz. Tym sposobem ocalił Francuza od śmierci, a naganiwszy tym, co się dopuścili takiego gwałtu, zawołał na jednego z adjutantów, aby posłać po wartę, iżby arestować występnych. Zgiełk się niezmierny zrobił. Zaczęli się niektórzy opierać jenerałowi, utrzymując, że się ujeli za honor swego zbawcy. W końcu jenerał wszystko załatwił pokojowo, a widząc umysły rozjątrzone, w dobry sposób przedstawił obecnym, że nasze położenie jest bardzo drażliwe, żeśmy ile możliwości winni zachowywać się neutralnie, a nakoniec prosił, abyśmy się rozeszli i nie wdawali się w politykę. Tymczasem już przed wieczorem zaczął się lud gromadzić tłumnie. Widać było jakieś naradzanie się, a gdy wieczór nadszedł, spostrzeżono, że u kwater naszych oficerów poodrywano zamki. Gdy się jenerał o tem dowiedział, udał się do prefekta dla porozumienia się, co w takim razie czynić należy. Postanowiono, aby garnizon dla uniknięcia wszelkiego wypadku zebrał się w jednym miejscu, to jest na placu Jakobinów i tam noc przepędził. Wskutek tego zebrano wojsko i postawiono w kolumnach na wspomnianym placu, zakazując najsurowiej najmniejszej zaczepki. Zaś oddziałom stojącym po bliskich wsiach

— 461 —

polecono czuwać i za pierwszym strzałem usłyszonym w mieście najspieszniej przybywać w pomoc. Gdy noc nadeszła, znowu jeszcze z większą gwałtownością rozpoczęły się po odległych ulicach krzyki i śpiewy. Zapalono tysiące pochodni i, odśpiewawszy owe hymny po ulicach, zbliżono się na koniec i do naszego placu, wskutek czego stanęliśmy pod bronią. Ale tłumy nie były uzbrojone, przeto, chociaż obcierały się o nasze kolumny, nie dały jednak żadnej zaczepki, jedynie śpiewając hymny na cześć Ludwika; udały się następnie do prefektury, gdzie znowu zawiesiły herby z liliami. Reszta nocy przeszła spokojnie. Za zbliżeniem się dnia rozeszliśmy się po kwaterach, ale z największą ostrożnością. Jednakowoż wielu naszych nie opuściło placu i pobliskich obozów. Około godziny 10 z rana zachodzą konie pocztowe przed kwaterę generała Dąbrowskiego i jego karetę podróżną zaczynają pakować. Jak znaki telegraficzne, tak ta wiadomość w momencie rozeszła się po mieście, że nasz generał opuszcza nas. Wszystko z zakątków miasta zbiega się przed jego kwaterę i zalegliśmy cały plac. Kiedy generał już wsiadał, kilku śmielszych naszych oficerów zbliża się do karety i zapytuje się: „Gdzie Pan Generał odjeżdża?” Na to zapytanie generał się obruszył i zawołał: „W którym to wojsku jest zwyczaj, żeby starszy młodszemu się tłumaczył, albo meldował, gdzie chce wyjechać”. Ale z owego tłumy występuje znowu kilku rozsądniejszych i, chcąc zatrzeć błąd pierwszych, odzywają się w te słowa: „Nie zebraliśmy się tu w tym celu, aby tamować wyjazd Pana Generała. Słusznie, Pan Generał nie ma obowiązku nam, jako młodszemu, się tłumaczyć, ale my mamy prawo błagać Go, aby nas, w tej skołatanej nawie na rozhukanym morzu będących, nie opuszczał. Błagamy Cię o Jenerale, jako ojca, jako mającego z nas największe doświadczenie, bo cóż się z nami stanie? Jeżeli nas jeszcze w tej nieszczęśliwej chwili opuścisz, wydasz nas na pastwę tego rozhukanego ludu lub nieprzyjacielskiego żołďactwa”. Generał słuchał spokojnie, a gdy skończyli,

— 462 —

wysiadł z karety, konie pocztowe odesłał, a ludziom kazał karety rozpakować, a do nas się obróciwszy, tak mówił: „Nie sądzicie dzieci moje, że mam was chciał opuścić, bo od tylu lat, tak w kraju, jak we Włoszech, zwykłem z moimi rodakami los dzielić, i teraz chciałem się udać w takie miejsce, gdziebym wam mógł zapewnić spokojność. Ale kiedy już tak się stało, aby nie padło jakie niewinne na mnie podejrzenie, zostanę, a teraz proszę was, abyście zawiadomili generałów i sztaboficerów naszych, iżby się jak najspieszniej zebrali do mnie na naradę wojenną”¹⁾.

W mgnieniu oka ze wszystkich ulic snuli się członkowie wspomnianej rady i po upływie paru godzin postanowiono na niej, aby korzystać z tego, że jeszcze cesarz Napoleon na wyspę Elbę nie wyjechał, a zatem posłać do niego deputację od naszego narodu, prosząc go o uwolnienie od przysięgi na wierność, następnie zaś udać się do cesarza Aleksandra, prosząc go o protekcję w sprawie

powrotu do kraju²⁾. Deputacja wspomniana złożoną została z generała dywizji, Sokolnickiego i pułkownika Szymanowskiego. Ci, odebrawszy stosowne upoważnienie, jak i rozkazy, spieszenie udali się do Fontainebleau. Gdy tam przybyli, Sokolnicki złożył Napoleonowi notę od wszystkich Polaków, prosząc o uwolnienie ich od wierności. Schwycił się za głowę cesarz, mówiąc: „O ja nieszczęśliwy! Zapomniałem o was moi najwierniejsi sprzymierzeńcy w zbiegu moich nieszczęśliwych wydarzeń. Ani słowa w traktacie nie wspominałem — ale, pomyślawszy trochę, rzekł — wiem

¹⁾ Dąbrowski wyjechał jednak z Le Mans, udając się do Paryża wnet po otrzymaniu abdykacji Napoleona.

²⁾ Fakt nieprawdziwy. 5/IV 1814 gen. Krasiński z częścią wojska polskiego poszedł do Fontainebleau, napisawszy list do Napoleona z oświadczeniem wierności do końca dla niego. (4/IV Napoleon mianował Krasińskiego dowódcą wojsk polskich i w liście, zaszczytnym dla Polaków, wyraził im swe zadowolenie i pożegnał ich ostatecznie.

— 463 —

co uczynię. Odeszł was do wspaniałego cesarza Aleksandra, a on was za mnie wynagrodzi”¹⁾). Usiadł i napisał własnoręczny list do cesarza Aleksandra, polecając Sokolnickiemu, aby się starał go do własnych rąk cesarza oddać. Następnie usiadł i napisał do wojska polskiego rozkaz pożegnalny, który tak brzmiał: „Polacy! Niech wszystkie place bitew stoczonych przy waszej pomocy zaświadczą waszą dla mnie wierność — wierność, jakiej kiedyś potomność nie uwierzy. Przy potoku nieszczęść, jakie się obecnie na na mnie zwały, zapomniałem o was zupełnie i nie zrobiłem żadnej wzmianki o was w traktacie, ale idźcie do wspaniałego Aleksandra, a on was za mnie wynagrodzi. Żegnam was najwierniejsi sprzymierzeńcy moi, niech wasza wierność będzie przykładem dla wszystkich narodów i t. d.”²⁾.

Generał Sokolnicki wprost udał się do Paryża, a przybywszy do pałacu, który cesarz Aleksander zajmował, prosił o audiencję. Gdy doniesiono cesarzowi, że deputacja polska prosi o audiencję, natychmiast ją przyjął. Za wejściem Sokolnickiego zapytał: „Czego żądacie?” Sokolnicki odpowiedział: „Przybywamy w imieniu wszystkich Polaków, ilu się ich we Francji znajduje, prosić WC. Mości o pozwolenie przejścia do naszych siedzib”. Cesarz, wysłuchawszy, zapytał: „Czy byliście u Napoleona?” Sokolnicki: „Byliśmy i od niego też przybywamy”. Cesarz przybrał ton surowy i wyrzekł: „Dlaczegoż do mnie pierwej nie przyszliscie?” Sokolnicki: „Najjaśniejszy Panie!

¹⁾ Artykuł XIX traktatu, zawartego w dniu 11/IV 1814 w Fontainebleau, brzmiał: „Wojska polskie wszelkiej broni, zostające na służbie Francji, będą mieć wolność powrotu do domów, zachowując broń i bagaże, a to w dowód ich zaszczytnej służby. Oficerowie, podoficerowie i żołnierze zachowują udzielone im dekoracje i pensje do nich przywiązane”.

Cesarz Napoleon zgodził się na to, że Polacy wyślą deputację do cesarza Aleksandra.

²⁾ Rozkaz, stanowiący dość niefortunną trawestację listu Napoleona do Krasińskiego z dnia 4/IV 1814.

— 464 —

Cesarz Napoleon był dotąd naszym cesarzem i monarchą. Temu byliśmy winni wierność. Przeto udaliśmy się do niego, aby nas uwolnił od przysięgi wierności, a uzyskawszy to, udajemy się do WC. Mości łaski”. Cesarz zdawał się być ujęty tym czynem, a zmieniwszy ton na zupełnie łagodny, zbliżył się do Sokolnickiego, wziął go za rękę i wyrzekł: „Taką tylko drogą honoru jedni Polacy umieją chodzić. Nie! nie wróćcie jako emigranci, ale wróćcie jako wojsko okryte chwałą, wróćcie nie pojedynczo jak prosicie, ale, jak wojsko, z bronią i sztandarami waszymi, a na granicy Król was będzie witał”¹⁾). Następnie Sokolnicki doręczył ów list własnoręczny Napoleona, który tem więcej twarz cesarza rozjaśnił. Po wygotowaniu rozkazów śpiesznie doręczono je Sokolnickiemu, aby tę pomyślną nowinę mógł jak najprędzej zwiastować Polakom. Rozkaz cesarski brzmiał jak następuje:

„Do wojska polskiego, zostającego pod dowództwem generała Dąbrowskiego, N. cesarz Aleksander.

Lubo już większe błędy zapominałem Litwie, lecz i Wasza wierność dla przeszłego Waszego Monarchy nakazuje mi wszystko puścić w niepamięć i Wam przebaczyć. Nie, nie wróćcie jako emigranci, ale jako wojsko okryte chwałą, z bronią i Waszymi sztan-darami, a Król Was na granicy witać będzie. Nie mogłem wybrać stosowniejszego dowódcy dla Was, jak mego Najukochańszego Brata Konstantyna Pawłowicza, jako dla wojska, któremu świat waleczność przyznaje i które okryło się chwałą
(podpisani) Aleksander I”.

¹⁾ 13/IV 1814. Tekst dokładny rozmowy i decyzji podaje upk, Br. Gembarzewski: „Wojsko polskie” (str. 1—3).

— 465 —

JC. Mość W. X. Konstanty, Naczelný wódz. W. P.

ROZKAZ.

Jeżelim miał w życiu swoim jakiebądź szczęście i honor, nie może to pójść w porównanie z tem, jakie mnie dziś spotyka, gdy mnie N. cesarza Brat Najukochańszy przeznacza do dowodzenia tem chwałą okrytem wojskiem polskiem. Stosownie więc do objawionej tej Monarszej łaski, wojsko polskie wyruszy natychmiast z miejsca jakie zajmuje i podług załączonej karty drożnej postępować ma i przybyć pod Saint-Denis, gdzie będę miał szczęście powitać tak Wojsko, jak Jego Walecznego Dowódcę. — Wszystkim oficerom przeznacza się furaż na parę koni dla każdego.

(podpisano) Konstanty ¹⁾.

Jenerał Sokolnicki był oczekiwany przez nas z największą niecierpliwością, gdyż nam doniesiono, że, dla położenia końca różnym domniemaniom, wysłano już znaczny korpus Prusaków dla rozbrowienia nas i wzięcia w niewolę wojenną. Nadszedł wreszcie ów błogi dzień, w którym nasza deputacya wróciła. Każdy z nas różne sobie tworzył wyobrażenia z powrotu onej. Więcej było zdania tego, że zapewne każą nam broń złożyć i popędzą w sybirskie gubernie, zwłaszcza tak sądzili ci, którzy pochodzili z Litwy. Przeto za przybyciem deputacyi — hurmem udaliśmy się przed kwaterę jenerała Dąbrowskiego, chcąc się o przeznaczonym smutnym losie dowiedzieć. Ale po krótkiej pauzie sam jenerał Dąbrowski wybiega do nas na plac, mając w ręku plikę papierów. Nie mogąc ukryć ukontentowania, zawołał: „Dzieci moje, winszujemy sobie pomyślności, wszystko się stało jak najlepiej. Pójdźmy na obszerniejsze miejsce, aby każdy mógł lepiej słyszeć, jaką nam wszystkim pomyślną wiadomość zwiastuje odebrana depesza“.

¹⁾ Oba rozkazy są fikcyjnymi.

— 466 —

Gdy otoczyliśmy jenerała, ten nam odczytał wyż wspomniane rozkazy, które zdawały się nam tylko snem, aby z tak smutnego położenia przejść nagle do najpomyślniejszych nadziei. Nasamprzód odezwa pożegnalna Napoleona rozczuliła nas wszystkich, ale odezwa cesarza Aleksandra rozchmurzyła czoła nasze. Prawie każdy z nas nie mógł temu uwierzyć, co na własne uszy słyszał. Mówiliśmy wprawdzie do siebie: „Jakto, czy to być może, aby ten (cesarz Aleksander), przeciwko któremu tyle lat walczyliśmy w różnych krajach, a szczególnie w r. 1812, aby ten, od którego spodziewaliśmy się wiecznej zemsty, zapomniawszy uraz, dziś nam zwracał naszą ojczyznę, dawał nam Króla (?) i otaczał nas nietylko swą wielką protekcją i opieką, ale obsypywał swemi dobrodziejstwami i łaskawością”. Czegośmy się słusznie spodziewali od Napoleona, dziś cesarz Aleksander tego dopełnia; to ostatnie porównanie poruszyło nas do łez. „Tak — ktoś z obecnych się odezwał — jest to religijne ukaranie: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem”.

Po odczytaniu wspomnianych rozkazów obecny jenerał Sokolnicki osobiście jeszcze potwierdził wszystko. Nie miał on wyrazów na pochwałę uprzejmości i łagodnego obejścia się z nim cesarza Aleksandra, a szczególnie przy odjeździe z Paryża. Obok tego opowiadał smutne wypadki, pochodzące z abdykacyi i odjazdu Napoleona, które dla nas były nowością, bo żadne pisma publiczne do nas nie mogły z powodu postępowania naszych, że tak powiem, burzycieli i szaleńców, jak to wyżej wymienilem. Nasamprzód opowiadał wypadki, gdy Napoleon przybył do Fontainebleau, że pierwszy marszałek Ney, a za nim i inni rozpuścili swe korpusa ¹⁾. Została tylko przy cesarzu niezachwiana w wierności jego gwardya, która, gdy się dowiedziała o poddaniu się Paryża, błagała cesarza, aby poszedł na jej czele zdobyć nazad Paryż, ale

¹⁾ Fakt nieprawdziwy.

— 467 —

cesarz spokojnie odpowiedział: „Dosyć się już krwi lało. Nie chciałbym, aby już odtąd jed na kropla je j popłynęła” ¹⁾. Następnie w tem smutnem Napoleona położeniu, gdy się tenże do obecnych marszałków odezwał (jak wiadomo pierwszy Berthier go opuścił), aby niejako i oni objawili swe zdania, co w takim położeniu działać wypada, pierwszy Ney tak się do niego odezwał: „Przez 20 przeszło lat nie radziłeś się nikogo, boś nikomu z nas nie ufał, teraz sobie sam radź”. Ponieważ Napoleon w owej chwili chciał robić propozycję, że chce złożyć koronę na rzecz syna, Ney znowu absolutnie się odezwał: „Bądź kontent, że skoalizowani jeszcze ci tyle robią łaski, boś sobie na gorszy los zasłużył”. Wówczas Napoleon, oburzony temi słowy, porwał za szpadę i odezwał się do Ney: „Nie przyprowadzaj mnie do ostateczności, ty, któregom memi dobrodziejstwami osypywał” ²⁾. Dalej, że chytry intrygant Krukowiecki, chcąc korzystać jeszcze, nim cesarz abdykację podpisze, przybył do Fontainebleau i bezczelny, tak jak gdyby postępowanie jego było prawe i wierne, na tyle niegodnych intryg, jak wyżej, śmiał się od cesarza upominać o wynagrodzenie za mniemane zasługi i prawie wymógł na nim, że mu musiał podpisać baronię państwa francuskiego i dać krzyż komandorski francuski, to jest legii honorowej ³⁾. Gdy przyszło do wyjazdu, Napoleon rozkazał na dziedzińcu pałacu wystąpić gwardyi, aby ją pożegnać i taż miała ostatni raz przed nim defilować ⁴⁾. Gdy zwinięto kolumny, dały się słyszeć strzały gęste pomiędzy kolumnami. Zastanowiło go to, coby te strzały miały znaczyć, a gdy mu doniesiono, że kilkunastu gwardzistów

¹⁾ Rzeczywiście Berthier opuścił Napoleona jeden z pierwszych.

²⁾ Fakt nieprawdziwy: mar. Ney w dniu 4/IV w znanej ostrej scenie z Napoleonem występował za abdykacją na rzecz króla Rzymskiego. Jest to tylko odgłos daleki sceny 4/IV 1814.

³⁾ Fakt nieprawdziwy — co do tytułu. Krukowiecki był rzeczywiście Komand. L. H.

⁴⁾ 20/IV 1814.

wskutek owego pożegnania życie sobie odebrało przez zastrzelenie, rozczuliło to cesarza do najwyższego stopnia. Rozkazał zebrać się bliżej kolumnom i w te się do nich odezwał słowa: „Żołnierze! zaprzestańcie samobójstwa; wasze życie jest drogie dla Francji, a może wkrótce będzie potrzebne. Bierźcie przykład ze mnie. Ja pierwszy w moim położeniu powinienem się tego środka chwycić. Samobójstwo oznacza tchórzostwo, że człowiek nieszczęściu nie może stawić czoła. Dajcie mi słowo, że z was żaden tego nie powtórzy”¹⁾. Następnie kazał sobie podać sztandar czyli orła z pierwszego pułku gwardji, a odebrawszy go od oficera orłowego (gen. Petit), tego ucałował i wyrzekł te ostatnie słowa: „Dajcie mi go w dowód waszego do mnie przywiązania”. Tymczasem adjutanci wynieśli na tacach złota z napoleondorów (dukatów) złożonego i to między gwardję hojnie rozdawano.

Dalej, ponieważ umową abdykacyjną zastrzeżone było, że Napoleon miał wziąć sobą część gwardji na wyspę Elbę, jako to 1.000 Francuzów, 300 Polaków i 300 Korsykańów, kompletu tego nie można było inaczej dopełnić, jak przez losowanie, co się i tu spełniło. Na dowódcę Polaków padł los na pułkownika Jerzmanowskiego²⁾. Gdy wszystkie przygotowania do odjazdu skończone były, podług wyżej wspomnianej umowy zastrzeżonem zostało, że upoważnieni pełnomocnicy czterech wielkich mocarstw odprowadzić mają Napoleona aż na wyspę Elbę. Gdy wspomnieni wsiedli do pojazdów, chcąc ruszyć zaraz za Napoleonem, gwardja stara otoczyła ich pojazdy, a nadstawiając bagnety, wymagała uroczystego wyznania czyli przysięgi, że nie tylko nie będą godzić na życie Napoleona, ale go strzedz i zasłaniać od wszelkich nieprzewidzianych wypadków i w całości i zdrowego doprowadzają do miejsca jego

¹⁾ O samobójstwach fakt nieprawdziwy, jak również o rozdawaniu złota.

²⁾ Traktat w Fontainebleau pozwalał Napoleonowi wziąć na Elbę batalion starej gwardji (607 ludzi) i 118 lekkokonných polskich.

wygnania. Owi pełnomocnicy co do słowa przyrzekli, widząc w rozpacz i rozjuszoną prawie gwardję¹⁾. Po wyjeździe Napoleona gwardja udała się do Paryża, aby służyć do tryumfalnego wjazdu do Paryża Ludwika XVIII. Gdy to nastąpiło, przy wjeździe inne korpusy przyjmowały nowego monarchę okrzykami: „Niech żyje król!” Gwardja, nie wydawszy okrzyku, ale tak, jak gdyby jeden drugiemu coś powiedział do ucha, jednogłośnie wykrzyknęła: „Niech żyje cesarz!” Wzburzenie umysłów wówczas nie dozwalało wspomnianej gwardji kontrolować i za to karać, bo i tak bardzo mała liczba jej została, z której tylko dwa pułki skompletowano i nie ufano jej. Jak byłem później naocznym świadkiem, że przed pałacem Tuilleries dla formy tylko owi gwardziści francuscy odbywali warty. Dodaną do nich była i gwardja rosyjska, tak że wszędzie były podwójne szyldwachy.

Skończywszy relację jene rała Sokolnickiego wydarzeń Napoleona w Fontainebleau, wróćmy się do Le Mans. Upoiwszy się radości nadzieją, jaką nam depesza przez deputację z Paryża objawiła, odebraliśmy rozkazy od generała Dąbrowskiego do wyruszenia pod Paryż. Wskutek tych zostaliśmy podzieleni na kolumny, z których co dzień jedna wyruszała. Ponieważ byłem przeznaczony do jednej ze środkowych kolumn, przeto miałem jeszcze trochę czasu do przygotowania się marszowego. Ów sztaboficer, który mnie swatał z śliczną Francuzką, nim deputacja nasza wróciła, widząc wszystko stracone dla Polaków, mawiał mi: „Czego się namyślasz, szczęście samo ci lezie w ręce, nadzieje nasze spełzły, a tak będziesz żył wygodnie podług przysłowia: „Ubi bene — ibi patria“. Ale po przybyciu deputacji, gdy się z nim zaraz na placu zobaczył, ten do mnie mówi: „A cóż myślisz teraz zrobić z Francuzką?” Ja bez namysłu odpowiedziałem: „Głos ojczyzny silniej przemawia jak turkusowe oczy. Cobyś

¹⁾ Fakt nieprawdziwy.

ja począł, gdybym widział was wychodzących do Polski, a sam miał się wśród obcego narodu pozostać. Zdaje mi się, że bym z łańcucha się urwał, a za wami poleciał”. Po krótkim namyśle odpowiedział: „Prawda i to, odtąd moje dziewczęta ustają. Ale jednakowoż trzeba być wdzięcznym i dziś popołudniu będziemy u nich, trzeba nam się tem tłumaczyć, że wszyscy co do jednego musimy przedstawić się W. X. Konstantemu, a następnie pod Paryżem będziemy szukali sposobów do dopięcia naszych zamiarów”. Ale gdyśmy podług umowy przybyli do rodziców panny, już oni byli zawiadomieni o skutkach deputacji. Gdy rozpoczęto gawędę o naszej przyszłości, Francuzka oczów ze mnie nie spuszczała i widać chciała we mnie czytać, jakie wrażenie wnadomości te na mnie zrobiły. Gdy nie mogłem ukryć ukontentowania z powodu powrotu do kraju, zasmuciło się jej czoło. Lubo mój kolega w bardzo przychylnych kolorach malował nadzieję skutku, odkładając rzecz do przybycia do Paryża, panna zdawała się temu nie wierzyć. Tymczasem zbliżył się dzień wymarszu naszej kolumny. Cała rodzina odprowadziła nas aż za miasto, gdzieśmy mieli spoczynek, tam przyjechano za nami ze śniadaniem dobrem. Ostatnie pożegnanie zdawało się na mnie wywierać większy wpływ, zwłaszcza widząc w oczach tego anioła łzy, dowód niezmyślnego przywiązania. Ale na koniec zostawiono to wszystko do widzenia się w Paryżu.

Gdyśmy tam przyszli, nasza kolumna rozkwaterowaną została w okolicy Mant, po lewym brzegu Sekwany. Po ściągnięciu się wszystkich kolumn nakazano lustrację, czyli przegląd przed generałami naszymi. Następnie wystąpiliśmy wszyscy Polacy na równiny pomiędzy Paryżem a Saint Denis¹⁾ w tem miejscu, gdzie niedawno widziałem nieprzyjacielskie kolumny atakujące Paryż. Jaka różnica między wówczas zgubnem wyobrażeniem przyszłości, a dzisiejszemi ziszczonemi nadziejami. Po ustawieniu nas w liniach,

¹⁾ Przegląd pod S. Denis miał miejsce w dniu 24/IV 1814 r.

zbliżył się na koniec i W. X. Konstanty, otoczony licznym sztabem swoim, złożonym z części adjutantów naszych polskich. Odebrawszy raport od starego Dąbrowskiego, w miejsce salutowania służbowego, schwycił Księżę starego i uściskał tak silnie, że o mało go z konia nie ściągnął. Następnie, po obejrzeniu wojska, zakomenderował po polsku, jako naczelny wódz, że szpadą dobytą kilka poruszeń, które przez generała Wincentego Krasieńskiego podpowiadane mu były. Przy rozejściu się na kwatery objawiono nam, aby dla odbycia dużego marszu do Polski każdy oficer, nawet i z piechoty, starał się mieć konia, na którego pobierać będzie furą w naturze¹⁾. Obok tego W. X. Konstanty, jako nasz wódz, dołożył wszelkiego starania i wpływu N. cesarza Aleksandra, aby rząd francuski wypłacił nam zaległy żołd, który nam się za dziewięć miesięcy należał, dodając, że nie ustąpimy

pierwej z Francji, póki zaspokojeni nie będziemy. Był to nowy dowód łaski i protekcji cesarza Aleksandra ²⁾. Powróciwszy na kwatery, otrzymaliśmy rozkaz, aby nie zajmowano się żadnymi musztrami, a jedynie przysposobieniem do dalekiego marszu.

Wskutek wyższych rozkazów już wydawano nam furaż w naturze na dwa konie dla każdego oficera, żywność zaś odbieraliśmy podług etatu francuskiego. Przeto znowu wszelka swoboda wróciła do nas. Gdy nadszedł dzień świąteczny, prawie wszyscy oficerowie zebrali się w miasteczku Mant, około którego staliśmy, gdzie i ja przybywszy, zastałem mnóstwo kolegów, tak z tego korpusu, jak i z innych. Ale było też dużo i z gwardii konnej naszej, w której miałem dwóch braci stryjecznych. Zapytałem się

¹⁾ Cesarz Aleksander po rewii przemówił do oficerów polskich, kończąc swe przemówienie temi słowy: „Do zobaczenia w Warszawie“.

²⁾ Rachunki ze rządów francuskim skończono dopiero w listopadzie r. 1814. Zostawiono dla ich załatwienia w Paryżu gen. Łubieńskiego.

— 472 —

jednego z tych oficerów, gdzieby ten pułk stał, bo jego stałe miejsce dawniej było w Chantilly, małym miasteczku o dwie godziny od Paryża, tam mieli bardzo wygodne koszary. Ów oficer odpowiedział, że teraz te koszary jakiś inny pułk gwardii konnej z armii skoalizowanej zajmuje, a nasz pułk stoi także niedaleko Mant. Gdy mu objawiłem, że mam braci w tym pułku i pytałem się, czy żyją, odpowiedział: „Żyją i zdaje mi się, że jeden z nich jest tu dzisiaj”. Po upływie dobrej godziny już widzę tego samego oficera, prowadzącego z sobą brata mego. Zapewne każdy pojmuje, jakie było nasze przywitanie, bo nie widzieliśmy się od czasu Mołajskiej bitwy, o którym zdarzeniu wyżej wspomniałem. Po nacieszeniu się z sobą, widząc się zdrowymi i bez kalectwa, na które tylokrotnie codziennie każdy z nas był wystawiony, załatwiwszy się w miasteczku do wieczora, udałem się z bratem stryjcznym do jego kwatery, a to w celu, aby się i z drugim bratem nacieszyć. Pierwszy z nich, choć wiekiem młodszy, był podporucznikiem, drugi zaś był jeszcze wachmistrzem starszym; obaj byli dekorowani. Projektem moim było, aby u nich przenocować i nazajutrz wrócić do siebie. Gdy przybyłem tedy do ich kwatery, którą mieli w jakimś pałacu, i gdy się dowiedzieli inni oficerowie o moim przybyciu, mając także w piechocie naszej dużo kuzynów i znajomych, a chcąc się o ich teraźniejszym położeniu i życiu dowiedzieć, zebrali się u moich braci i miło nam czas uciekał na pogawędce o zeszlých kampaniach, teraźniejszym i przyszłym położeniu naszym, tak że tydzień upłynął bardzo szybko. Gdy wspominałem, że furaż na dwa konie pobieram, a jednego nawet nie mam, bracia powiedzieli mi, że i oni są w takim położeniu, gdyż tylko mają konie potrzebne do służby, że gdyby to było prędzej, nie potrzebowaliby starać się o konia. Powiedziałem im, że nie w tej myśli mówię, aby mi konia dali, ale, dodałem, zrobicie mi wielką dogodność, jeżeli mi się wystaracie o konia porządnego. Na to powiedział mi jeden z oficerów,

— 473 —

że ma do zbycia konia, należącego do porucznika Strzeleckiego, rannego w obecnej kampanii. Wsiadliśmy tedy zaraz na konie i udaliśmy się do Strzeleckiego. Przybywszy tam, zastaliśmy kilku oficerów zebranych, pomiędzy którymi był jeden oficer (którego nazwiska nie pamiętam), który był w r. 1809 w mojej kompanii podoficerem i wtedy prosił o translokację do tegoż pułku gwardii. Skorom wszedł do pokoju, rzucił się on na mnie, obsypując mnie uściskami. Po czułym przywitaniu z gospodarzem kwatery, bracia moi oznajmili, że jestem w chęci nabycia owego konia. Odpowiedział Strzelecki, że najchętniej zgadza się, że jest klacz normandzka, dobrze wyjeżdżona, pewna w nogach i można ją nabyć niedrogo, ale chciałby ją zbyć z całym przyborem, to jest z siodłem, czaprakiem, munsztukiem itd. Niezwłocznie przyprowadzono klacz przed okna; brat mój natychmiast wsiadł na nią i próbował jej w różny sposób, a nakoniec w daliśmy się w targ. Kupiłem ją za 250 franków ze wszystkim, a po wypiciu znacznego litkupu wina, udałem się już na swej klaczy do kwatery brata mego, będąc bardzo ukontentowanym ze zrobionego kupna.

W następną niedzielę (bo to upływał tydzień) udaliśmy się do Mant, aby wrócić do siebie po dowiedzenie się, czy jakie nie zasłży rozkazy. Gdyśmy się bawili w oberży, zajeżdża przed też furmanka i na niej siedzi jakiś oficer rosyjski z piechoty. (Zapomniałem powiedzieć, że w tej okolicy żaden oddział wojsk skoalizowanych nie stał, zostawiono te okolice li tylko na pomieszczenie nas Polaków). Wszedłszy do oberży, powitał nas grzecznie i zaczął się o coś pytać w języku rosyjskim. Nie znalazłszy nikogo, ktoby po rosyjsku mówił, tak błąkał się pomiędzy nami, chcąc z kimś pomówić. Mnie się wyrwał niespodzianie jakiś wyraz, którego on się uchwycił w przekonaniu, że ja mówię po rosyjsku, tylko się z tem ukrywam. Przyczepił się tedy do mnie, prosząc, abym mu coś wytłumaczył. Ja mu powiedziałem prawdę, że kilka wyrazów znam ruskich, ale że więcej nic nie umiem.

— 474 —

„No, dosyć i tego, rzekł, będziemy jako tako z sobą rozmawiać. Kazawszy dać wina, prosił mnie, aby z nim wypić. Gdyśmy zasiedli, przyczepiło się też jeszcze naszych kilku, jak to zwyczajnie do butelki dobrego wina, i bawiliśmy się wesoło. Jednym razem wchodzi chłop francuski, jak zwykle w bluzie, kapeluszu na głowie, sabotach, z biczem w rękę, i kazawszy sobie podać butelkę wina, siada przy tym stole, przy którym my się bawili. Położywszy bicz na stole, pije wino i wdaje się w gawędkę z obecnymi. Z początku ów kapitan rosyjski spogląda na nas, sądząc, że który z nas zgani to chłopu, ale widzi, że na to nikt nie uważa. Zapytuje się, jak to ten chłop ma tę śmiałość, aby około nas usiadł. Ja mu tłumaczę, że to we Francji, a szczególnie w domu gościnnym — jest każdemu wolno. Na to kapitan odpowiada, że zapewne tu muszą być oddzielne pokoje dla klasy niższej, a przytem my jesteśmy z odkrytymi głowami, a chłop w kapeluszu. Francuz znowu po gestach uważa oburzenie kapitana i pyta się, coby on mówił, wskazując palcem na Rosyanina. To tak kapitana oburzyło, że porwał się z miejsca i krzyknął w języku rosyjskim: „Paszoł won, ty sukinsyn, ach ty...” Francuz znowu porywa za bat swój, leżący na stole i kapitanowi prawie pod nos grozi, tak że ledwośmy ich zmytygowali. Nakoniec, widząc, że może przyjść do ostateczności, namówiliśmy przecie kapitana i przenieśliśmy się do ubocznego pokoju. Francuz (był to właśnie furman kapitana), widząc jego oburzenie, może się bał jakiego wypadku w drodze, wypiwszy przeto swoje wino, wsiadł i pojechał, zostawiwszy w oberży kapitana, który niezmiernie piorunował na obyczaje francuskie.

Scena ta przypominała mi wypadek, jaki się stał dawniej w Sedan. Wiadomo zapewne każdemu, że pułki polskie, będące na żołdzie francuskim, jako to legia północna, legia nadwiślańska, pułki 7 i 8 ułanów, lubo to byli Polacy, którym rekrutów z Księstwa Warszawskiego posyłało, miały zakłady, czyli depot, we Francji, w mieście

— 475 —

Sedan. Pewnego razu, gdy skompletował się batalion tejże legii i podług zwyczaju wychodził codziennie z miasta na musztrę, raz, gdy wracał z musztry i wchodził w wąską bramę, jak zwykle to po fortecach bywa, chłop wozem swym szerokim na dwóch kołach wyjeżdżał z miasta i, nie zważając na maszerujący z dobozami i muzyką batalion, jedzie prosto w bramę, chcąc, jak się pokazało, aby cały batalion dla niego się zatrzymał. Pomimo ostrzegania, aby się zatrzymał, aż batalion przejdzie, bo się w tak ciasnym miejscu pominąć nie było można, — chłop, nie zważając na to, konia popędza i, cisnąc się w bramę, ludzi potrąca. Dowódca tego batalionu, będąc konno, pałaszem wskazuje mu, aby na bok zjechał. Chłop na to wskazanie zaczął okładać batem dowódcę tak, że mu twarz poprzecinał i zakrwawił. Żołnierze, widząc tę zniewagę swego dowódcy, ściągnęli chłopą z wozu, a rozciągnawszy na ziemi, dali mu ze 200 batów. Cóż z tego wynikło? Oto chłop skargę podał, zrobiono protokół i udano się do samego cesarza, prosząc o satysfakcję. Cesarz, sprawdzwszy to, kazał sobie podać najwierniejszy stan służby wspomnianego podpułkownika, a ze się okazał z wielką korzyścią na stronę tegoż, żądał świadectw od generałów jeszcze, jakie jego postępowanie w boju. Gdy wszystko mówiło za nim, przeto taki wyrok podpisał, że jedynie przez wzgląd na to, iż wspomniany sztabsoficer jest cudzoziemcem, że służba jego jest wzorową i zaszczytną, na tych tylko zasadach poprzestaje na osadzeniu go w ścisłym areszcie na miesiąc jeden. Inaczej, gdyby to był sztabsoficer francuski, podług istniejących praw pozbawionyby był stopnia, dekoracji, wszelkich zasług i odesłany na galery. Z opłat podatkowych utrzymuje się wojsko, mówił cesarz, a zatem łatwiej było żołnierzom się zatrzymać a obywatela przepuścić, gdyż może jego interes był śpiesznym do wykonania, a z opóźnienia mógł ponieść jaką stratę. Gdyśmy to opowiadali Rosyaninowi, dopieroż znowu już nie na chłopą, ale na ustawy francuskie złorzeczyć zaczął.

— 476 —

Z kolei poleconem zostało, aby kasyerowie pułków udali się do generała Niemojewskiego po odbiór trzech-miesięcznego żołdu zaległego. Wspomniany generał zrobił obliczenie, a na jego ręce wypłacono wspomnianą sumę, pułki zaś od niego odbierały. Skoro każdemu z nas wypłacono, hurmem wszystko rzuciło się do swych dowódców po udzielenie urlopów, jak każdy mówił, dla oporządzenia się i rozmiany monety na złoto. Tu dopiero dorożki, kabriolety, wózki, przepełnione oficerstwem, zapępiały gościniec, prowadzący przez Saint-Germain do Paryża. Ja, żem się późno zgłosił o urlop, takowego nie uzyskałem, z powodu że przecie ktoś z oficerów musi pozostać przy wojsku. Ale i na mnie czas przyszedł, a to było z moją korzyścią, bo nasze oficerstwo, dostawszy się do Palais Royal w ruletę i „rouge et noir“ pozgrywali się ze szczętem, co było przestrogą dla nas, aby się w gry nie wdawać. Przez ten czas, aż tamci wrócili, stałem w wiosce, leżącej przy samym lewym brzegu Sekwany. Zrobiwszy sobie wędkę, chodziłem z młodymi mieszkańcami wioski na ryby i dosyć mi się szczęściło, tak że mnie obecni towarzysze rybołówstwa za metra ogłosili, gdy widzieli nieraz złapaną rybę ogromną przezemnie. W czasie tej niewinnej zabawki spostrzegłem raz pływającego trupa gołego. Gdym do obecnych powiedział, że trzebaby tego trupa wyciągnąć i pochować, roześmiali się na moją propozycję, mówiąc: „Jak Pan chce tyle trupów codziennie chować, uważaj tylko pilnie oto na nurt wody, to niezadługo więcej ich przepłynie”. Jakoż w krótkim czasie kilka ich przepłynęło. Gdym się owych chłopaków zapytał, skądby to taka ilość trupów być mogła, że to niesposób, aby to było z wypadku utonięcia: „Ba! — jeden się odezwał — jakże może być inaczej, kiedy każdy z nich zakłuty jest bagnetem”. Gdym temu nie dowierzał, chłopaki skoczyły do jednego, który w zakręcie przy brzegu z wodą się kręcił, na miejscu takowego sięgnięto i cokolwiek z wody uniesiono, aby mu zadaną ranę pokazać, która istotnie była od bagnetu. Jak

— 477 —

słyszałem później w Paryżu, znaczny był ubytek żołnierzy z gwardyi armii skoalizowanej i miano podejrzenie na starą gwardyę francuską, którą gdy wydalili z Paryża, owe samobójstwa ustały. Przyszedł nakoniec i na mnie czas udania się do Paryża. Wolno nam było chodzić w mundurach naszych z zastrzeżeniem, aby zachować wszelkie przepisy, ale wolno było i po cywilnemu, jak komu było dogodniej ¹⁾).

Nadszedł też 24 maja 1814 ²⁾, w którym to dniu podzieleni zostaliśmy na kolumny. Kolumny te dzień po dniu z miejsc swojej dotychczasowej konsystencji wyruszały, kierując się do traktu głównego. Mieszkańcy żegnali nas ze łzami i jak gdyby przewidyując zmianę wkrótce nastąpić mającą, prosili nas, abyśmy, gdy przyjedziemy znowu do Francji, jako jej natenczas nieprzyjaciele, nie zapominali o tem, że Francja zawsze nam była przychylną. Tego symbolum nie trudno było podówczas odgadnąć, że oni wiedzieli, iż już należemy pod berło rosyjskie, i mówili tak, ponieważ się spodziewano, że Napoleon nie pobawi długo na wyspie Elbie i przewidywano nowe wkroczenie skoalizowanych. Nie będę tu wymieniał miejsc etapami nam przeznaczonych i miasteczek, przez któreśmy przechodzili. Gdyśmy przyszli do miasteczka Maux, po rozkwaterowaniu się, nasi koledzy, którzy pierwsi odwiedzili tamtejszą oberżę, przynieśli wiadomość, że kilku kozaków eskortuje jednego z naszych oficerów polskich, przeznaczonego do Syberyi. Każdy z nas śpieszył w to miejsce dowiedzieć się bliżej, kto on jest i za co ukaranym. Przybywszy w to miejsce, widzę owego więźnia w naszym mundurze. Według jego własnego opowiadania był to kapitan Jurgaszko. Służąc w wojsku rosyjskiem i mając do tego już krzyż św. Anny, w czasie ostatniej kampanii 1812

¹⁾ Tu opuszczamy długi opis Paryża i zwiedzanych przez autora instytucyj.

²⁾ Rozkaz wyruszenia z Francji otrzymało wojsko polskie w dniu 30/V 1814.

— 478 —

przeszedł, jako dezterter, na stronę naszą i był w naszych szeregach. Gdyśmy się zbliżyli pod Paryż i złączyli z armią rosyjską, poznano Jurgaszkę, doniesiono o tem wyższej władzy, a następnie jako deztertera aresztowano, okuto w kajdany i obecnie wysyłano na Syberję. Jakkolwiek czyn owego oficera był niezaszczytny w przechodzeniu do innej armii, przecież, przez wzgląd że Polak i nieszczęśliwy, postanowiliśmy dla polepszenia jego losu złożyć składkę, z której zebrano 755 franków i włożono na mnie obowiązek, abym mu ją doręczył. Uważałem, że moja missya nie może mieć nic nagannego, przeto jej nie odmówiłem i

doręczyłem Jurgaszce wspomnianą składkę, którą przyjął z wdzięcznością. Zaraz zapytał mnie, jak się nazywam, aby, jak mówił, w odległej krainie wspomnieć sobie imię dobroczynne. Sądził zapewne, że ja byłem autorem składki. Jurgaszko po odpoczynku i posileniu się,

gdy odmieniono furmankę, czyli tak zwaną wówczas podwodę, w dalszą udał się drogę i nie widziałem się z nim aż w Poznaniu, o czym niżej będzie. Kontynuowaliśmy marsz, będąc wszędzie przyjmowanymi bardzo gościnnie, bądź to z powodu, że byliśmy wiernymi sprzymierzeńcami Francji, bądź też, że uważano nas jako część armii rosyjskiej, dość, że ów przemarsz z pod Paryża aż do granic pruskich, czyli Śląska, był prawie nagrodą za poniesione ostatniej kampanii trudy. Wszędzie, gdzieśmy przyszliz dostarczano nam furazę i na kwaterach dogadzano w możliwy sposób.

Maszerując dalej, przyszliśmy do Nancy. Wiadomo każdemu z historii, że miasto Nancy było stolicą króla polskiego, Stanisława Leszczyńskiego, który w tem mieście życie zakończył. Jako monarsze i zięciowi króla francuskiego, po zgonie jego wystawiono mu wspaniały pomnik w kościele tak zwanym tam „Bon secours”. Wiadomo każdemu, że Francja przy owej pamiętnej rewolucji wzięła się do broni dla strącenia tronów, jak niemniej ołtarzy. Miasto Nancy nie było wyłączone od tego

— 479 —

zaburzenia. W owym czasie przez rozhukany naród został ów pomnik Leszczyńskiego zburzonym, a ciało jego, dzięki zabalsamowaniu znalezione w całości, zostało wywlezione na ulicę i zwałane w rynsztokach, w końcu rydlami porozcinane na sztuki i porozrzućane po najobrzydliwszych kałużach. Widząc to jego dawni dworzanie, czyli ich potomkowie, przez wdzięczność pozbierali szczątki tylko zwłok rozrzuconych króla i w wielkiej tajemnicy, bojąc się zemsty rozhukanego ludu, takowe starannie ukryli. Przy powrocie porządku przez Napoleona, złożono je znowu w tym samym kościele, mieszcząc niektóre tylko ocalone części w małej srebrnej trumience. Szczątki te składały się z głowy już bez ciała, jednej ręki i jednej nogi, paru żeber i t. d.

Gdyśmy przybyli do owego miasta pod dowództwem generała Sokolnickiego, mieszkańcy czy potomkowie dworzan królewskich, przewidując znowu podobną burzę, zebrali się do wspomnianego generała, prosząc, aby te drogie szczątki zwłok Leszczyńskiego zabrać i umieścić na ziemi jego rodzinnej. Generał Sokolnicki, nie mogąc osobiście zdecydować tego, postanowił zrobić raport do N. cesarza Aleksandra i prosić o jego pozwolenie, na co też otrzymał rozkaz ¹⁾, że nie tylko zwłoki króla Leszczyńskiego, ale nawet księcia Józefa Poniatowskiego, zostające w Lipsku, może pod swym dozorem doprowadzić na ziemię rodzinną; cesarz zostawił tylko sobie przepisanie formalności w ich przeprowadzeniu. W tym celu rozkazano, aby kolumna Sokolnickiego zatrzymała się w Nancy do dalszego rozkazu. Dnia następnego po przyjeździe naszym, przemaszerował jakiś pułk francuskiej liniowej piechoty, kompletnie ubrany, wymusztrowany, złożony z trzech

¹⁾ Z Nancy nie zabierali Polacy zwłok Leszczyńskiego, w dniu 11/VI 1814 r. odprawiono tam tylko żałobne nabożeństwo za duszę króla, co przypomina wmurowana w ścianę tablica pamiątkowa. Cesarz Aleksander już w Paryżu pozwolił na przewiezienie zwłok ks. Józefa do kraju.

— 480 —

batalionów, który przychodził z jakiejś nadreńskiej fortecy ku Paryżowi, mając sobie przeznaczony w Nancy spoczynek. Gdy pułk wszedł do miasta i stanął na placu w kolumnach, dowódca zwołał przed front swych oficerów i wydał im stosowne rozkazy. Ci odezwali się, że im i żołnierzom należy się żołąd zaległy, a ponieważ w tem mieście jest kasa departamentowa, wymagali, aby od niej zażądać zaliczenia. Pułkownik, niewiele myśląc, zsiadł z konia i z adjutantem swym udał się do kasy. Gdy tam widać nie mógł uzyskać owego zaliczenia, przysłał adjutanta, aby kompania grenadyerów z bronią weszła do kasy, co też i natychmiast się spełniło. Na takie zobowiązanie kasyer natychmiast, jako zmuszony, żadaną kwotę wyliczył. Po rozkwaterowaniu w jednej części miasta (bo oprócz nas była tu już załoga rosyjska) zaczęli oficerowie francuscy hulać po wszystkich restauracjach, oberżach, bilardach i t. p. Dnia następnego rozkazał dowódca, aby, korzystając z dnia spoczynku, pułk wystąpił na lustrację. Widać, że dowódca chciał się z swym pułkiem produkować, ale przyznać trzeba, że ten pułk tak był świetny, iż tylko brakowało żołnierzom wąsów, aby ich nazwać starą gwardią Napoleona.

Następnie rozpoczęto przygotowanie do zebrania pozostałych części zwłok Leszczyńskiego i na ten cel w owym kościele zrobiono podniesienie od wielkiego ołtarza aż do chóru, na niem porobiono miejsca dla publiczności. Gdy nadszedł ów dzień ceremonii, miejsca owe zapełniły tylko damy, urzędnicy i klasa wyższa, wpuszczana za biletami. Generał Sokolnicki miał długą mowę w języku francuskim, wspominając upłynione wypadki historyczne. W mowie tej nie przepomniął podziękować mieszkańcom tego miasta w imieniu narodu polskiego za ocalenie wspomnianych szczątków. Odpowiedział znowu jakiś obywatel czyli urzędnik. Na wspomnianą mowę znowu jeden z naszych generałów miał mowę i odpowiedziano znowu, tak że trudno wyliczyć, ile było mów przez trzy dni odbywającego

— 481 —

się nabożeństwa. Generał Sokolnicki powybierał nas także i przygotował do eskorty zwłok księcia Józefa, która w komplecie miała się zebrać w Lipsku, jak będzie niżej. Po skończeniu wszystkiego udaliśmy się w dalszą drogę.

Przybywszy do Lipska ¹⁾, odebraliśmy rozkaz, aby oficerowie wybrani do eskorty w ilości 180 koni, jak niemniej oddział krakusów z 200 koni złożony, zostali w Lipsku do dalszego rozkazu, reszta zaś wojska, aby po odpoczynku jednodniowym udała się w dalszą drogę. Ponieważ zostałem wybrany do eskorty, przeto wraz z innymi oczekiwałem kilkanaście dni, póki, jak mówiono, N. cesarz Aleksander przez to miasto nie przejdzie i nie wyda rozkazów do wzięcia zwłok księcia Poniatowskiego. Przez ten czas odwiedzaliśmy miejsca smutnej pamiątki, a nasamprzód udaliśmy się nad rzekę Elster na miejsce, w którym utonął książę Poniatowski. Następnie odwiedziliśmy pole bitwy owej pamiętnej, jak niemniej niebezpieczne miejsce mojej przeprawy przez Elsterę.

Nim nastąpiło wyprowadzenie zwłok Poniatowskiego, zebrano z eskorty naszej wyższych i niższych oficerów dla naradzenia się o nastąpić mającej ceremonii wyprowadzenia zwłok. Pierwszą kwestją było, na czym będą wiezione zwłoki. Ponieważ byliśmy w obcym kraju i mieście, które i tak poniosło przez bitwę znaczne szkody, nie mogliśmy żądać, aby owe miasto dostarczyło nam odpowiedniego karawanu. A że i w tym względzie ucierpiałaby ambicja narodowa, przeto obliczono kosztą na ten cel i zaproponowano składkę, ale Sokolnicki nie pozwolił, aby wszyscy eskortę składający ponosili kosztą, które sam ofiarował się ponieść. Dodał tylko, że w obecnym czasie nie jest przy odpowiednim zapasie pieniędzy, ale że ktokolwiekby mu na ten cel zaliczył temu z wdzięcznością zwróci w krótkim czasie. Z pomiędzy obecnych członków

¹⁾ Wojsko polskie, idąc na Nancy i Strasburg, przeszło Ren pod Ettingen w dniu 7/VII 1814 r., do Lipska zaś przybyło podobno w dniu 26/VII tego roku.

— 482 —

oświadczył się kapitan od ułanów Otwinowski, że nie tylko gotów dać zaliczenie, ale nawet decyduje się własnym kosztem to uczynić. Sokolnicki, podziękowawszy za ofiarę, dodał, że tego pierwszeństwa nikomu nie ustąpi, że sam kosztą poniesie, a ofiarę przyjmuje tylko jako zaliczkę. Gdy na tem stanęło, wzięto się zaraz do rzeczy, zbudowano karawan bardzo obszerny; podstawa na trumnę była na niskich rysorach, a nad nią wznosił się na czterech słupkach daszek w kształcie baldachimu. To wszystko

umalowane olejno kolorem czarnym. Przygotowano trumny metalową i drewnianą i pudło objętości takiej, aby obiedwie trumny wygodnie pomieścić mogły. Do tego sprawiono całun na okrycie całego karawanu z sukna koloru czarnego, obszyty galonami i fręzlami srebrnymi, ozdobiony po dwóch rogach orłami polskimi białymi, a na dwóch przeciwnych — ciołkami, czyli herbami rodziny Poniatowskich. Sprawiono także sześć kap czarnych, równie ozdobionych galonami, na przykrycie sześciu koni, których artylerya saska dostarczyła (jak niemniej dwóch zwoszczyków dla odwiezienia zwłok — aż na miejsce, to jest do Warszawy).

Gdy tedy wszystko przygotowanem zostało, oczekiwaliśmy przejazdu przez Lipsk N. Cesarza. Gdy ten nastąpił, gubernator wówczas całej Saksonii, książę Repnin, odebrał od N. Cesarza instrukcje. Po jego wyjeździeznaczono dzień, w którym owa ceremonia odbyć się miała. Zaraz z południa dnia tego ściągnięto wszystkie oddziały wojsk rosyjskich i pruskich, stojące kwaterami w okolicy Lipska, oraz oddział krakusów, jak niemniej naszą eskortę konną. Zebrało się wszystko przed kościołem, gdzie w grobie familijnym jednego z książąt saskich ciało Poniatowskiego było tymczasowo złożone. Po przybyciu na miejsce księcia Repnina, jego sztabu, jak równie generalicyi wojsk rosyjskich i pruskich, rady miejskiej miejscowej i mnóstwa osób różnego stanu, po otworzeniu grobu, rozkazano naszej eskorcie, aby, zsiadłszy z koni, udała się do grobu,

— 483 —

a to w tym celu, aby być świadkami, że ciało, które pod swój dozór bierzemy, jest ciałem prawdziwym Poniatowskiego, aby później jakich kwestyi i wątpliwości nie było. Gdyśmy w komplecie się znaleźli, wystawiono ciało na środek grobu, odkryto i pokazano go nam wszystkim. Ciało to zostało wydobyte z wody po upływie 24 godzin przez tamecznych rybaków, ale wiadomo wszystkim, że Poniatowski wówczas liczył życia około lat 60, nie miał już na głowie włosów, ale nosił perukę i faworyty sztuczne, co wszystko przy utonięciu w wodzie zostało ¹⁾. Chociaż przeto był w mundurze i orderach, przecie trudno było i nam poznać go, tak był zmienionym, raz dlatego, że był bez peruki, po wtóre czoło miał tak czarne, jak u mulata. Z tego tedy powodu rada miejska, jako mająca ciało wspomniane pod swym dozorem i kluczem, wykonała przysięgę, jako ciało to jest istotnie ciałem Poniatowskiego. Następnie przystąpiła rada lekarska do uzupełnienia nabalsamowania ciała i opatrzenia go do dłuższej podróży. Gdy to skończonem zostało, zawinięto ciało w przygotowane na ten cel długie ręczniki, przekładając takowe ziołami. Następnie, gdy kładziono ciało do trumny, obłożono je z boków i z wierzchu znowu ziołami i kłakami tak, aby podczas jazdy nie taczało się po trumnie i z tego powodu nie podpadało zepsuciu. Naostatek obiedwie trumny włożono do przygotowanego pudła, opatrzonego trzema zamkami i po zamknięciu pudła oddano jeden klucz księciu Repninowi, drugi Sokolnickiemu, a trzeci radzie miejskiej. Następnie przyłożono pieczęci herbowe księcia Repnina, Sokolnickiego i rady miejskiej, i nam, na eskorcie będącym, polecono, aby pod żadnym pozorem nie dozwalać ich naruszenia. Po dopełnieniu owych formalności Sokolnicki już miał przygotowaną mowę pożegnalną, w której wynurzył podziękowanie i wdzięczność księciu Repninowi,

¹⁾ Książę Józef liczy w r. 1813 lat 51. Co do wyglądu ciała po wyłowieniu, porównać A. Ostrowski I. c, (T. II, str. 391 przypisek).

— 484 —

jako też i obywatelom Lipska, która tak czule napisaną była, że obecnych do łez czułych poruszyła. Nakoniec wzięliśmy zwłoki, których dotknęły się wyż wspomniane znakomite osoby i tak razem umieściliśmy na przygotowanym karawanie.

Przy wynoszeniu zwłok z grobu artylerya obu wojsk, rozstawiona po placach, uderzyła z dział salwę, a piechota, zacząwszy od kościoła, pod którym grób się znajdował, aż do gościńca za miastem dawała ognia batalionami z ręcznej broni. Przed ruszeniem karawanu taki uczyniono porządek co do eskorty, który ciągle aż do Warszawy był zachowany. Naprzód czterech oficerów trzymało za rogi całunu, ośmiu przeznaczonych wiozło ośm sztandarów, z których jeden żółty aksamitny, srebrem haftowany, należał dawniej do gwardyi przybocznej króla Leszczyńskiego; ten i trzy inne wzięli z Nancy, a cztery pozostałe — były to orły wojska Księstwa Warszawskiego. Ci oficerowie otaczali w pewnej odległości karawan. Przed karawanem, o kilka kroków jechał oficer dyżurny (najmniej kapitan) i za nim dwóch niższych oficerów sztabowych. Potem postępował oddział krakusów, a za karawanem cały skład eskorty, mając na czele generała Sokolnickiego, a w zastępstwie majora Malinowskiego. Przy ruszeniu karawanu dano znowu drugi raz salwę, tak z dział, jako i z ręcznej broni. Gdyśmy się zbliżali do czoła wojska rosyjskiego, na którego czole stał książę Repnin z całym swym sztabem, oddawano ciału honory należne feldmarszałkowi, bo takie było polecenie N. Pana. Książę Repnin przeprowadził ciało przed frontem swych wojsk, uszykowanych w liniach, które prezentowały broń, były w bębny, muzyka grała marsza, a oficerowie salutowali ciału, przed którym pochylano sztandary. Po przejeździe takim tryumfalnym, gdyśmy wojska już na polu pominęli, zatrzymano nas i dopiero książę Repnin, zebrawszy wszystkie sztaby, jak niemniej oficerów frontowych, miał mowę pożegnalną, w której te pamiętne wyrzekł słowa: „Na popiołach tego walecznego

— 485 —

wodza potwierdzmy sobie wieczną przyjaźń między polskim a rosyjskim narodem“. Po skończonej mowie wojska wszystkie, zaszedszy plutonami, defilowały przed karawanem ze spuszczoneymi sztandarami, niosąc broń spuszczoną, jak do pogrzebu. Po przedefilowaniu znowu we właściwym porządku uszykowały się wojska w linie po drugiej stronie szosy, a gdy karawan ostatecznie ruszył, książę z całym naczalstwem odprowadził zwłoki aż do granicy lipskiej, blisko pół mili. Wojsko wykonało salwę, dając trzy razy ognia batalionami, a działa przedłużały strzały tak długo, jak tylko nasz konwój widzieć mogły, co już przy zmroku się ukończyło.

Przybyliśmy do jakiegoś małego miasteczka, na traktie leżącego, z którego cała ludność wyszła, jak niemniej miejscowa gwardya narodowa, która wówczas wszędzie służbę miejscową odbywała i ta asystowała naszemu konwojowi, aż przybyliśmy przed kościół. Taki porządek, jaki tu wymieniam, był ciągle zachowanym przez całą drogę. Wiadomo zapewne każdemu, że w

całej Saksonii jest wyznanie ewangelickie i oprócz kaplicy dworskiej w Dreźnie obrządku katolickiego, który tylko dwór wyznaje, niema innych kościołów jak tylko ewangelickie. Przecież i te podług swego obrządku odbywały ceremonie pogrzebowe, a że, dla uniknięcia ambarasu, a więcej dla nienaruszenia pieczęci w zdejmowaniu na każdej stacyi pudła z karawanu, postanowiono, aby w każdym miejscu, gdy się przeprowadzi karawan przed kościół, starano się, aby ten ustawiony był bokiem jak najbliżej podwoi kościelnych, a te aby były całkiem otwarte, w kościele zaś podług obrządku wszystko miało się odbywać. A zatem, gdyśmy się zbliżyli do kościoła, pastor tameczny wyszedł i przyjął podług swego obrządku ciało. Gdy przed wrotami kościelnymi postawiono ciało, znowu w kościele odbyło się krótkie nabożeństwo z powodu nocy. Po skończonem nabożeństwie konie z karawanu wyprzęgano, wartę z krakusów przy karawanie zostawiono, za którą oficerowie służbowi

— 486 —

każdego dnia byli odpowiedzialni. Nasza eskorta przy przeprowadzeniu przed kościół karawanu, zsiadłszy z koni, udawała się do kościoła na nabożeństwo, a po skończonem nabożeństwie burmistrz miasta tego zaprosił nas na wieczerzę, po której rozeszliśmy się po przygotowanych dla siebie kwaterach, do przygotowania których w wigilię każdego marszu oficer bywał posyłany. Dnia zaś następnego, stosownie do umowy, w oznaczonym czasie zbieraliśmy się przed kościołem. Tymczasem przed kościół już nam konie przyprowadzono, a po nabożeństwie ruszaliśmy w drogę. Pomimo tego, że Sasi nas w części zdradzili w r. 1813, przecież przy przeprowadzeniu zwłok przez ten kraj doznaliśmy wielkiej przychylności ze strony mieszkańców. Wszędzie nas najgościnniej przyjmowano i ze łzami żegnano. Nie widzę potrzeby wymieniać stacyi i obrządków, czynionych dla zwłok Poniatowskiego, gdyż te były jednostajne, a zatem nie wzbudzają ciekawości. Ale nadzwyczajne wypadki obowiązują mnie do zrobienia wzmianki.

Sokolnicki odprowadził nas tylko do drugiej stacyi, a sam pojechał naprzód w celu uwiadomienia familii Leszczyńskich o tem, że wiezie zwłoki króla Stanisława; komendę i dozór nad eskortą i zwłokami otrzymał po nim major Malinowski. Tak postępując, przybyliśmy do Rosen, miasteczka leżącego nad granicą śląską. Wszedłszy w owo miasteczko, spostrzegliśmy już tam stojące wojsko pruskie, to jest landwerzystów, którzy otwarcie objawiali przeciwko nam jakąś nienawiść, pochodzącą, jak widać, z wypadków ostatniej kampanii, jak o tem wyżej mówiłem. Nie tylko nie okazywali oni żadnego uszanowania dla zwłok, ale nawet pogardę. Gdy podług zwyczaju po nabożeństwie udaliśmy się do kwater, prawie każdy z oficerów naszych miał pod swem oknem serenadę. W serenadzie takiej ludowej, zastosowanej do obecnych okoliczności, w najobelżywszych wyrazach spotwarzano nasz naród i Poniatowskiego. Z tego powodu nasz dowódzca, dowiedziawszy się o tem, że to wojsko idzie jednym traktem z nami

— 487 —

i ma nazajutrz bardzo rano wyruszyć, postanowił, że nasz konwój o dwie godziny później ruszy, aby się z nimi w drodze nie spotkać. Dnia następnego wyruszyli oni o świcie, a my później, spóźniwszy się jeszcze przytem dzięki odbywającemu się nabożeństwu i innym ceremoniom. Przy naszym wyjściu władza tamtejsza zatrzymała naszego dowódcę, który miał wkrótce za nami pośpieszyć.

Ale, pomimo to że landwerzyści daleko prędzej wyszli, ponieważ droga była piaszczysta, nie sporo jakoś maszerowali, a może też i oni naumyślnie ociągali się, aby się z nami w drodze zejść. Uszedłszy może więcej jak milę drogi, gdyśmy się do lasu zbliżyli, spostrzegamy ową piechotę tuż obok, tak żeśmy wkrótce z nią się zeszli. Nasz zastępca dowódcy, kapitan Otwinowski, widząc, że trudno będzie za nimi w pewnej odległości maszerować, a bokiem trudno ominąć, gdyż to był trakt szeroki, ale z obu stron las był bardzo gęsty, a droga sama bardzo piaszczysta, dzięki czemu Prusacy, unikając piasku, rozdzielili się na dwie połowy, idąc brzegiem lasu, a środek został wolnym. Otwinowski posłał do krakusów, na czele idących, aby, korzystając z odkrytego traktu, ruszyli kłusem, co i myśmy następnie zrobili, aby pomiędzy Prusakami prędko się przesunąć. Gdy oni to zobaczyli, jak najspieszniej zaczęli się skupiać, chcąc niejako nam przejście zatamować, ale nie zdążywszy, zbliżali się tylko śpiesznie, strasząc nasze konie stęplami od broni. Gdy widzieli, że nasze konie są oswojone z bronią, przeto na inny sposób się wzięli. Zaczęli wszyscy wykrzykiwać najobelżywsze wyrazy: „Gdzie ten gnój wieziecie?” Inni: „Wiozą cielca (bo widzieli na całunie ciałki), któregośmy w Elstrze utopili”. Nakoniec wygadywali co tylko może być najokropniejszego. Spokojnieśmy to wszystko zniesli, aż dostaliśmy się do czoła, gdzie kilku ich oficerów się znajdowało. Chcieliśmy się przed nimi poskarżyć, ale widzimy, że ci nie tylko nie poskramiają swych podkomendnych swywoli, ale nawet ich ona bawi, i żołnierzy sami poduszczają.

— 488 —

A zatem, gdyśmy ich wyprzedzili o paręset kroków, któryś oficer z naszej eskorty podaje nam sposób satysfakcyi, mówiąc: „Oto wiecie, którzy się dobrze umiecie bić na pałasze, wróćmy się do nich i oficerów, za to że nie umieją utrzymać karności przyzwoitej, wyzwijmy na pojedynek“. Wkrótce nas pięciu, t. j. tylu, ilu było tamtych, zwracamy konie i w galopie do nich ruszamy. Zobaczywszy to oni, zaczęli wojsko skupiać, a sami jakby się kryli pomiędzy żołnierzy. Ale my, nie zważając na to, skorośmy dotarli do szeregów, zsiadamy z koni i jeden z oficerów, nazwiskiem Ress, od kirasyerów, przystępuje tuż do nich i w imieniu wszystkich do nich mówi: „Panowie oficerowie! Nie mamy żadnej urazy za te obelgi waszych żołnierzy, bo to jest bydlę. Ale wy, którzy, mogąc temu zapobiedz, jeszczeście ich podburzali, jesteście odpowiedzialni, przeto wymagamy od was osobistej satysfakcyi. Jest nas tu tylu, ilu was, prosimy zatem, z kim się komu podoba“. Ci nie odpowiadają nic, ale tłoczą się pomiędzy swych żołnierzy, którzy śpiesznie sami kolumnę formują. Nareszcie Ress się odzywa: „Jeżeli z nami na ostrze szabli nie pójdziecie, zmusicie nas do użycia płaza”.

Gdy się to dzieje, nasze krakusy wracają i przybywają nam w pomoc. Tamci zaczynają broń nabijać, — wszystko przybiera postać wojenną. Tymczasem przybliża się kocyk, z którego wychyla głowę nasz dowódzca, a widząc, do czego rzecz zmierza, szybko wyskoczył z koczka, a zbliżywszy się do nas, pyta się o przyczynę. Opowiedzieliśmy mu wszystko, a ten do nas się tak odzywa: „Dobrze, żeście się panowie o honor narodowy upominali, ale z tem wszystkim proszę udać się na miejsce, a ja rzecz tę sam załatwię”. Nimeśmy odjechali, zapytuje się Malinowski oficerów pruskich: „Kto z panów dowodzi tym batalionem?” Gdy odebrał odpowiedź, że dowódcą jest podpułkownik Potuliński, który jeszcze w mieście pozostał, przeto Malinowski postanowił na miejscu na niego poczekać, aby prosić o satysfakcję. Niebawem nadjechał

— 489 —

ów dowódzca, a gdy mu Malinowski doniósł o zaszłym wypadku, ten natychmiast najstarszego po sobie oficera aresztował, jak niemniej z każdej kompanii podoficera służbowego i do aryagardy takowych odesłał, przyrzekając, że, skoro do miasta Hagenau (?) przyjdzie, nie omieszką zrobić najściślejszego śledztwa i winnych surowo ukarać. Po skończonej tej utarczce, ruszyliśmy dalej, a przybywszy do Hagenau, po skończonej ceremonii kościelnej, otrzymaliśmy od dowódcy naszego polecenie, aby ile możności unikać w mieście zejść. Dodał przytem Malinowski, że rozjątrzeni Prusacy, których zapewne ich dowódzca ukarał, będą się chcieli mścić, co nie obejdzie się bez krwi rozlewu. Ale jakież było nasze zdziwienie, gdy ów batalion wchodził do miasta i widzieliśmy w aryegardzie idących trzech oficerów i mnóstwo podoficerów i żołnierzy niosących za karę po kilka broni. Nim się rozeszli na kwatery, ich dowódzca najsurowsze dał polecenie, aby pod żadnym pretekstem nie wszczynać awantur, a spotkawszy naszego kwatermistrza, prosił go, aby się pofatygował i był świadkiem ukarania winnych, co się też i wykonało na odwachu. A tak dzień zeszedł jak najspokojniej, bo nasi, a tembardziej Prusacy unikali zejść.

Dnia następnego znowu ów batalion wyruszył bardzo wcześnie, a my przeciwnie spóźniłszy nasz wymarsz jeszcze więcej. Nakoniec, gdyśmy uszli może połowę drogi, sądząc, że tamci już muszą być na kwaterach, naraz, gdy wchodzimy na wzgórek, widzimy ów batalion pruski stojący w szyku bojowym. Przeto nasz dowódzca rozkazał poprawić porządek w szeregach i powoli kazał się zbliżać, chcąc rozpoznać, co zamierzają Prusacy. Gdy nakoniec zbliżyliśmy się do nich, Potuliński wyjechał konno naprzeciw nas, prosząc naszego dowódcę, aby zboczyć z drogi i przeciągnąć przed frontem jego batalionu dla odebrania przynależnych zwłokom honorów. Gdyśmy doszli, po sprezentowaniu broni i odbiciu przez doboszy marsza, przeciągnęliśmy wolnym krokiem przed frontem,

— 490 —

a następnie prosił Potuliński, abyśmy my oficerowie przybyli przed ich front. Stanąwszy tam, Potuliński odezwał się do batalionu swego: „Żołnierze! mylnie jest wasze wyobrażenie, że obcemu wodzowi nie należą się zasłużone honory, a natomiast rzucanie ohydnych obelg. W każdym wojsku należy czcić waleczność i czyny wielkie w tych, którzy sobie na to zasłużyli, chociażby to byli i nieprzyjaciele, bo oni to nawzajem dla nas uczynią. Wczorajsze uchybienie zasługuje na naganę i jedynie tylko mam wzgląd na was młodzi żołnierze, którzy nieoswojeni jeszcze jesteście z ustawami wojennymi. Ale więcej winy spada na panów oficerów, że zamiast w drodze oddać przynależne honory tym zwłokom, — bo trzeba wiedzieć, że nie tylko zwłoki księcia Poniatowskiego, ale i zwłoki monarsze tu ten karawan unosi, — przeto, nie wchodząc dalej w sprawę przepraszam za uchybienie”. Malinowski zaś w krótkich wyrazach podziękował Potulińskiemu za złagodzenie tej rzeczy, który odpowiedział, że spełnił tylko swą powinność. Dodał, że ponieważ tutaj trakt rozgałęzia się na dwa i oni idą w prawo, a my w lewo, dlatego tu zatrzymał batalion i czekał godzin kilka, aby swych ludzi przekonać i wyprowadzić ich z błędu.

Podobny wypadek miał miejsce, gdy generał Wincenty Krasieński (który prowadził na ostatku wojsko polskie pod bronią będące z Francji). Gdy przechodził przez Śląsk, przybył do miasteczka Kottbus ¹⁾. Tam z powodu, że w mieście stał już załogą batalion landwery pruskiej, nie mógł pomieścić na kwaterach swych żołnierzy; wkońcu ulokował tylko główną kwaterę i dla porządku tylko rozkazał, aby warta polska, złożona z piechoty, zajęła odwach. Reszta wojska została rozkwaterowaną w przyległych wioskach. Wielu żołnierzy polskich przybyło wnet

¹⁾ Opis zejścia podobny u naszego autora do opisu A. Ostrowskiego. Porównać ciekawy raport o tem samego W. Krasieńskiego u Gembarzewskiego (I. c. str. 7).

— 491 —

ze wsi do owego miasteczka. Między tymi znajdował się weteran polski, który szedł ulicą, a za nim piesek jego. Spotkało go paru landwerzystów, jeden z nich odezwał się do swych kolegów z ironią: „Patrzenie, oto idzie Polak, a za nim Napoleon”. Weteran, usłyszawszy to, zatrzymał się i odpowiedział: „Nie, nie poznałeś bracie, to nie Napoleon, to Fryderyk”. Ta odpowiedź oburzyła landwerzystów i rzucili się na weterana, któremu przybiegli na pomoc żołnierze, przybyli do miasta, a stąd powstała bójka. Warta polska, zobaczywszy to, wysłała kilku żołnierzy i przyaresztowano kłócących się, ale wkrótce przybył oficer pruski, domagając się, aby mu oddano aresztowanych landwerzystów, którzy niby mieli być ukarani. Komendant warty uczynił to i oddał owych landwerzystów. Ale następnie przychodzi podoficer pruski z kilku uzbrojonymi żołnierzami, żądając, aby owego weterana oddano im pod straż. Na to komendant warty odpowiedział: „Waszych już oddałem, a do naszego nie macie prawa, bo on zostaje pod aresztem u nas. Jeżeli będziecie chcieli jakiej z niego satysfakcji, macie oto tu obecnego generała naszego, do niego się udajcie, a weterana nie wydam”. Ów oddział odszedł, nic nie wskurawszy, ale niedługo przybywa znowu oddział daleko większy z bronią nabitą, grożąc, że, jeżeli weterana warta nie wyda, dadzą ognia. Ponieważ przy tym oddziale nie było żadnego oficera, przeto komendant warty tem więcej się upierał. Gdy Prusacy nie mogli nic wskórać, dali ognia do warty, która stała już w szyku przed odwachem. Wskutek tak bliskiego strzału, raniono kilku ludzi z warty, a zatem i owa warta odpowiedziała strzałami, od których Prusacy ponieśli straty. Ale na ten odgłos strzałów w mgnieniu oka zebrał się cały garnizon pruski z bronią, chcąc swego dopiąć. Gdy warta spostrzegła taką siłę, cofnęła się do odwachu i zabarykadowawszy drzwi, przez okna broniła się strzałami przed natarczością Prusaków. Ci ponieśli znaczną stratę w ludziach, będąc odkrytymi na strzały, zaś warta, lubo

— 492 —

mniejsza, ale zakryta ścianą, nietylko uszkodzoną została. Gdy się to dzieje, generał Krasieński, mając kwaterę naprzeciwko odwachu, przebudzony został ze snu strzałami. Zobaczywszy z okna, co się dzieje, wysłał na odwach swego adjutanta, zdaje mi się, księcia Radziwiłła. Ten, przybywszy pomiędzy Prusaków, zapytuje się o przyczynę tego zamieszania, ale za odpowiedź odbiera cios pałaszem w głowę, poczem, nie czekając smutniejszych skutków, ucieka napowrót pod protekcję i obronę swego generała. Ten, widząc z okna, że za adjutantem już ranionym biegnie kilkunastu rozjuszonych żołnierzy, chcąc go dognać i więcej ciosów zadać, ponieważ był wówczas rozebrany, dla zabezpieczenia siebie i wspomnianego, bierze czem prędzej na siebie mundur i wybiega na schody, chcąc wstrzymać rozjuszonych żołnierzy. Skoro tylko się zbliżył, sądząc, że jako generała szanować go będą, zapytuje się: „Czego chcecie, zrobię wam satysfakcję”. Ci, nie odpowiedziawszy nic, rąbią i generała i może byłby smutny koniec nastąpił, gdyby nie gospodarz domu, który, wstrzymawszy cokolwiek rozhukanych, generała wepchnął do stancyi, a zamknąwszy drzwi, innemi go wyprowadził i ukrył. Następnie przybyło i więcej żołdactwa, które wybiło drzwi, szukając generała po całym domu. Gdy się to dzieje, żołnierze polscy, którzy przybyli przed tem zdarzeniem do miasta, widząc ten smutny wypadek, dali znać swoim, stojącym

po bliskich wioskach, a ci znowu do wiosek dalszych. A tak w momencie, uchwyciwszy za broń, zebrani otoczyli miasteczko, a artyleria odprzodkowała działa, chcąc strzelać do miasta. Prusacy, którzy blokowali odwach, widząc to, w tym momencie rozbiegli się po mieście i pochowali się. Całe miasto było w największej trwodze, spodziewając się zemsty. Wtedy komendant miasta pruski przybiegł do kwatery jenerała i, za pomocą gospodarza wynalazłszy go w kryjówce owej, z największym przestachem zawołał: „Jenerale! ratuj! miasto i mieszkańcy jego są zagrożeni zniszczeniem. Oto wasi obiegli miasto,

— 493 —

działa zatoczyli i postanowili bombardować”. Na to jenerał odpowiedział: „Teraz Pan wołasz ratunku, a nie przeszkodziłeś tym smutnym wypadkom. Któż teraz odpowie za to?” Ale pierwszy nalegał, aby wstrzymano zniszczenie i rozlew krwi, poczem jenerał posłał do oblegających, aby się wstrzymali, a dopiero do owego komendanta się odzywa: „Któż teraz wstrzyma tych, którzy postanowili Polaków w mieście będących wyrządzić?” Na to ów komendant się odezwał, że w wojsku pruskim jest takie prawo, iż osoba starsza w stopniu ma komendę, że jenerał ma prawo rozkazywać, że władza komendanta ustała i nie istnieje, skoro jenerał do miasta przybył, że on oczekuje rozkazu jenerała w tym względzie. Jenerał odpowiedział, że kiedy przy nim komenda, to poleca, aby garnizon pruski co do jednego żołnierza opuścił miasto i wydalili się w miejsce odległe, tak aby nie miał żadnej komunikacji z wojskiem polskim, bo inaczej on nie odpowiada za zajść mające smutne starcia, a to aż do opuszczenia przez Polaków tej okolicy. Ten rozkaz natychmiast wykonano. Gdy Prusacy oddalili się z miasta, pozbierano trupów i rannych, wartość powiększono i Polacy wrócili na swoje kwatery, a po przenocowaniu dnia następnego udali się w dalszą drogę. Jenerał Krasiński miał wówczas do 7.000 wojska i 35 dział¹⁾.

Wracam do dalszego marszu przy zwłokach Poniatowskiego, przy których ten marsz odbywałem. Po rozejściu się z owym batalionem Potulickiego, postępowaliśmy dalej, aż nareszcie weszliśmy do Śląska. Gdyśmy przybyli do Oylichau, oficer z naszej komendy, wysłany poprzednio dla zrobienia kwater, wyjechał naprzeciw nas z oświadczeniem, że został przez komendanta pruskiego, jak niemniej władzę miejską, najniegrzeczniej przyjętym i odmówiono mu dla nas kwater i furazu. Tłumaczenie, że zostajemy obecnie pod opieką N. cesarza Aleksandra, nie

¹⁾ 5800 ludzi i dział 14/VII 1814 r. (w wydaniu książkowym błędnie 1714)

— 494 —

zostało przyjętem. Zatem nasz dowódca postanowił iść dalej i po drodze żyć za gotowe pieniądze. Gdyśmy weszli w owo miasto, mieszkańcy tegoż rzucali na nas wzrok pogardliwy i ucinkowe gadaniny wciąż dochodziły do naszych uszu. Co najgorsza, że gdyśmy przechodzili około kościoła, przed którym stał ksiądz tamtejszy wyznania rzymsko-katolickiego, nie tylko nie zadzwoniono (jak to miało miejsce w Saksonii), ale nie robiono żadnych obrządków żałobnych. Gdy nasz komendant zaczął księdza, mówiąc: „A cóż to księżu, czy nie widzisz tego żałobnego orszaku, nie każesz zadzwonić?” ksiądz tylko wzruszył smutnie ramionami, mówiąc, że niewolno. Po przejściu owego miasta, gdyśmy uszli parę wiorst, doszliśmy do karczmy dużej i porządnej, zatrzymaliśmy się przy niej, chcąc konie popaść i sami się czem posilić. Ale na zapytania się szynkarza, czy ma siano, owies i co do zjedzenia, ten odpowiedział, że nic nie ma. Dopiero, gdy mu powiedziano, że chcemy to mieć za gotowe pieniądze, lubo się niby wzbraniał, ale dał do zrozumienia, że mu tego zakazały jego władze. Ale niby od siebie powiedział, że chyba sobie sami weźmiemy. Otworzyliśmy tedy sobie sami skład siana i owsa, czego gospodarz nie tylko, że nie wzbraniał, ale jeszcze wskazywał, gdzie się co znajduje, mówiąc: „Bierzcie sobie panowie co chcecie, wiem, że mi krzywdy nie zrobicie”. Tak dawszy koniom siana i owsa, braliśmy co się znalazło do pożywienia i trunki. Nakoniec nagrodziliśmy szynkarza hojnie, z czego bardzo był zadowolnionym. Przy opuszczeniu karczmy ów szynkarz, żegnając nas, powiedział nam otwarcie, że władza miejscowa zakazała mu sprzedaży, że zapewne w całym Śląsku musimy sobie sami brać wszystko i dodał, że nam życzy, abyśmy w miejscach takich odpoczywali, które nam podyktował, jako mu dobrze znajome. Radził przytem, aby w tych miejscach wspomnieć nazwisko jego karczmy, jego samego imię i sposób, jaki nam sam w tym względzie podał.

— 495 —

A tak, uszedłszy znowu parę mil, zatrzymaliśmy się znowu przy wskazanej karczmie i postąpiwszy sobie, jak wyżej, przedłużaliśmy marsz przez dwie doby. Nakoniec przybyliśmy do miasteczka Krosna. Tam, lubo robiono nam trudności w przyjęciu nas na noc, ale wkońcu, niby sposobem gościnności, zdecydowano się nas przenocować. Wspomniane miasteczko leży blisko granicy polskiej, a owi mieszkańcy wiedzieli, jakie robiono na granicy przygotowania dla nas i o tem sami zawiadomili. Może i to było przyczyną ich gościnności. Po owym długim marszu, bo przez mil 14, któreśmy przebyli, popasając tylko, kwatery obecne wydawały się bardzo wspaniałemi. Chociaż już przed wieczorem przybyliśmy do miasteczka, jednakże nasz dowódca, jak się zdaje za porozumieniem się z władzą miejscową, postanowił dnia następnego spoczynek, a dopiero dnia trzeciego wyruszyliśmy dalej. Już było kawał na dzień, gdy przeszedłszy ten mały dystans, nakoniec wyszliśmy z lasu i ujrzeliśmy miasteczko do Polski należące, Kargowę. Przed Kargową na kilka wiorst ujrzeliśmy mnóstwo ludu zebranego na samej granicy polskiej. Ponieważ tej granicy nie odznacza żadna rzeka, przeto jakaż była nasza niewypowiedziana radość, gdyśmy za słupami pruskimi ujrzeli słupy świeżo pomalowane kolorem białoczerwonym, a na nich tablicę, na której figurowały w czerwonym polu orły polskie białe. (N. cesarz Aleksander, skoro nas przyjął w Paryżu pod swą protekcję, natychmiast posłał do Księstwa Warszawskiego z poleceniem, aby zdjęto wszędzie herby sasko-polskie, a natomiast zawieszono orły li tylko polskie białe)¹⁾. Kto nie opuszczał w życiu swego ojczyzny, ten nie pojmie nigdy, co się w duszy dzieje na jej widok. Tego właśnie uczucia my wówczas wszyscy doznali po przystąpieniu do słupów wspomnianych. Jedno uczucie wszystkich ogarnęło i tak jak gdyby każdemu do ucha powiedziano: „Oto jest ziemia

¹⁾ Fakt nieprawdziwy.

— 496 —

macierzyńska”. Wszyscy w jednym momencie zeskoczyliśmy z koni, a padłszy na ziemię tę, oblewając łzami, stokrotnie ją całowali. Widok nasz tak rozczulił obecnych, na granicy nas witających, że pomieszał łzy wspólnie. Długo, tak my, jak tamci uspokoić się nie mogliśmy; łkając, od łez trudno było co przemówić. Gdy przyszła wiadomość do kraju, że prowadzimy zwłoki króla Stanisława Leszczyńskiego i księcia Józefa Poniatowskiego, zachęczone duchowieństwo i obywatele polscy wspaniałością N. cesarza Aleksandra, który polecił przeprowadzenie zwłok z za granicy z należnymi honorami na ziemię ojczystą, postanowili

urządzić uroczyste przyjęcie tychże na granicy. Przeto zastaliśmy tu arcybiskupa Poznańskiego ze wszystkimi biskupami, prałatami i księżmi pontyfikalnie przybranymi, prefekta i podprefektów departamentu poznańskiego, jak niemniej prawie wszystkich obywateli i urzędników tego departamentu, poprzeplatanych damami i wojskowymi, którzy poprzednio wzięci byli w niewolę, a teraz uzyskali ogólną amnestję. Gdy konwój nasz wprowadził karawan, który unosił zwłoki, i stanął wśród tego świetnego orszaku, nasamprzód duchowieństwo odbyło ceremonialnie żałobny obrządek i żałobne śpiewy, poczem rozpoczęto egzortę żałobną. Dalej rozpoczęto mowy, stosowne do okoliczności, których było bez liczby, a nakoniec po upływie kilku godzin, z powodu że w Kargowie niema żadnego kościoła rzymsko-katolickiego, odprowadziliśmy zwłoki do miasteczka małego, niezbyt oddalonego, Kopanicy.

W Kargowie mieliśmy odpoczynek dwudniowy, spędzony na sutych przyjęciach, na które zaproszono nie tylko nasz orszak czyli eskortę, ale nawet wszystkich naszych wojskowych w tej okolicy będących. Z tego powodu zobaczyłem się z moim dawnym dowódcą batalionu, Janem Szczawińskim, o którym wyżej wspomniałem, a który niezmiernie mi dokuczał. Nie mogłem odgadnąć przyczyny urazy do mnie, ale gdyśmy w granice Polski wkroczyli, on także między zebrany lud się znajdował, ubrany

— 497 —

w pełny uniform, na koniu, ale na nieszczęście bez prawej ręki (którą przy zasłonie Lipska, gdy nas rozbito, jak sam mówił od mieszkańca tego miasta przez strzał z okna utracił). Przy powitaniu się wzajemnem — niezmiernie się rozculił. Sądziłem, że widok zwłok Poniatowskiego był tego przyczyną, ale pokazało się inaczej. Bóg zawsze, choć później, ukarze człowieka. Trzeba wiedzieć, że Szczawiński wszedł w służbę razem ze mną i razem postąpiliśmy na oficerów. Ale, jak to zwykle bywa, kto bliżej wielkiego ołtarza, temu jest lepiej. On zaraz się od początku przyłączył się do koteryi arystokratów do sztabu, a zatem więcej o nim pamiętano i też prędzej po szczeblach awansu postąpił. Lubo nie był zbyt odemnie daleko, bo był tylko szefem batalionu, a ja kapitanem, przecież musiałem być pod jego rozkazami. Powziąwszy ku mnie nienawiść, jak się teraz pokaże, wszędzie i zawsze mnie prześladował, przeznaczając moją kampanię w miejsca bardzo niebezpieczne i to bez przypadającej kolei, a to wszystko wymierzone było na moją osobę. Po pierwszym obiedzie, danym dla naszej eskorty w Kargowie, gdzie i on się znajdował, wymógł na mnie i kolegach z tegoż samego pułku, którzy się w eskorcie znajdowali, aby dnia następnego być u niego na obiedzie, gdyż on miał dom w Kargowie, bo był głównym nadzorcą magazynu nadgranicznego. Gdyśmy nazajutrz do niego przybyli, zaraz wiedziałem w nim więcej otwartości dla mnie, jak pierwej. Ale gdyśmy do stołu zasiedli, a z porządku rzeczy uderzyli w kielichy, z czego powstała zmiana humoru, i on też, będąc uczestnikiem, go zmienił, a w takim razie, jak to niesie przysłowie („pijany a dziecko wszystką prawdę mówi”), tak i on rozculiwszy się aż do łez, powiedział: „Szczęśliwy jestem, że przy dzisiejszem zdarzeniu mogę ulżyć sercu, co na nim dotąd ciąży. Daruj kochany kolego, że ci tyle robił przykrości w czasie ostatniej kampanii, że ci dokuczał, że cię narażał nietylko na niebezpieczeństwo,

— 498 —

ale na śmierć. Dziś oto sumiennie wyznaję, że życzeniem moim było ciebie zgubić, żebyś albo się dostał z mojej przyczyny w niewolę, albo żebyś zginął. Ale Bóg chciał inaczej się stało. Tyś wyszedł szczęśliwy z tej morderczej bitwy, a ja ukarany ręką utraciłem, ile sobie wnoszę za ciebie kochany kolego”. Zapytałem się: „W czymem p. podpułkownikowi zasłużył się na podobną zemstę?” Dopiero on mi przypomina, mówiąc: „Pamiętasz, gdyś, będąc rannym pod Smoleńskiem, leżał w lazarecie, a gdy doniesiono wam, że ja dostałem krzyż legii honorowej, powiedziałeś: „Jakże mogli dać krzyż takiemu tchórzowi; on nigdy nigdzie w bojach z nami nie był, bo był oficerem ubiorczym. Gdy się raz trafiło, że w czasie blokady Torunia był posłany od generała-gubernatora z jakimś rozkazem do nas do baterii, to, przechodząc przez most, za każdym strzałem, choć nie na niego wymierzonym, padał jak długi, aż zapewne sobie kolana pozbijał”. O tem mi doniósł kapitan Chmielewski, który z tobą w lazarecie wówczas leżał”. Przypomniałem sobie, że to mówiłem i odpowiedziałem mu: „A czy nieprawda, czy choć jedną jotę dodałem?” „Choćby też i tak było — odpowiedział — to na cóż było w obecności tylu osób gadać? Ale zapomnijmy już o tem, wszystko się skończyło, daruj mi. Wszakże widzisz, że jestem surowo za to ukaranym”. Tak po wzajemnych uściśnieniach, przyrzekliśmy sobie wieczne przebaczenie.

Wyruszywszy z Kargowy, ciągnęliśmy dalej. Arcybiskup Poznański czyli Gnieźnieński swym listem pasterskim polecił wszystkim proboszczom blisko traktu będącym, którzy konwój przechodził, aby czekali na trakcie, gdy ten przechodzić będzie, i odbywali zwykłe ceremonie pogrzebowe. Z tego tytułu mieliśmy przedłużony marsz dla odbywanych w parafiach obrządków, o czem niżej będzie. Następnie przyszlismy do Wolsztyna, miejsca rodzinnego rodziny Leszczyńskich, którego szczątki z Nancy prowadziliśmy i tam zostały w grobach familijnych złożone.

— 499 —

Tam arcybiskup z całym duchowieństwem, tak jak to miało miejsce w Kargowie, czekał na przyjęcie zwłok i odbycie ceremonii monarchicznej żałobnej. Zatrzymano nas tu dni kilka, a po odbytych nabożeństwach, zostawiwszy zwłoki Leszczyńskiego, udaliśmy się przez Grodzisk, Konarzew do Poznania ¹⁾. Zbliżając się do tego miasta, gdy nam przyległe lasy odsłoniły wierzchołki szczytów

i wież tego starożytnego grodu, na widok ten tak zostałem przejęty uczuciem radości, że mimowolnie łzy puściły się strumieniem. Na zapytanie moich kolegów, skąd to rozczenie, odpowiedziałem: „Wszakże to jest życia mego kolebka, tu pierwsze światło dziennie ujrzałem”. Zbliżwszy się do przedmieścia św. Marcina, zastaliśmy zebraną ludność przed miastem, która towarzyszyła konwojowi aż do kościoła zwanego Tumem. W nim już był pyszny przygotowany katafalk, ozdobiony kolumnami, na których umieszczone były wieńce, a w nich na każdym osobno napisy miejsc czyli batalii, w których się nieboszczyk znajdował. Od wyprowadzenia zwłok z Lipska, nie zdejmowano zwłok z karawanu (jak to wyżej wspomniałem), tylko w Wolsztynie i tu w Poznaniu, gdyż to robiło wielką trudność. Z całym pudłem trzeba było zdejmować, a to dla nienaruszenia pieczęci na wierzchu będących i tu blisko tydzień zatrzymano nas dla odbycia nabożeństwa. Korzystając z tego dla mnie drogiego czasu, bom się znajdował w gniazdeczku swoim, odwiedzałem swych znajomych, familię i kolegów szkolnych. Dnia pewnego, idąc przez rynek, zachodzi mi drogę oficer nasz i najczulej mnie wita. Nie mogąc go sobie przypomnieć, skąd on mnie zna, prosiłem go, aby mnie w tem objaśnił. Ale on, rzuciwszy się na mnie, prawie ze łzami powiedział: „Kochany dobroczyńco! czy nie poznajesz owego

¹⁾ Cztery kompanie honorowe, złożone z oficerów, prowadzone przez generała Sokolnickiego, przybyły do Poznania w dniu 30/VII 1814.

— 500 —

nieszczęśliwego, którego kozaki eskortowali i w miasteczku Meaux we Francji doręczyłeś mi wsparcie. Jestem kapitan Jurgaszko“
1).

¹⁾ Znany powszechnie w Warszawie za czasów W. K. Konstantego oficer żandarmeryi.

KONIEC